

ŚLADY



ZBRODNI!

LARS

KEPLER

HIPNOTYZER



L A R S

KEPLER

HIPNOTYZER

Przełożyła ze szwedzkiego
Marta Rey-Radlińska

Tytuł oryginału
Hypnotisören

Projekt okładki
HUMMINGBIRDS

Fotografia na okładce
© Love Lanner

Redakcja
MAGDALENA KĘDZIERSKA-ZAPOROWSKA

Korekta
IWONA HUCHLA

Redakcja techniczna
KRZYSZTOF CHODOROWSKI

Copyright © Lars Kepler 2009
Published by agreement with Salomonsson Agency

Polish edition © Publicat S.A. MMXVIII (wydanie elektroniczne)

Wykorzystywanie e-booka niezgodne z regulaminem dystrybutora,
w tym nielegalne jego kopiowanie i rozpowszechnianie, jest zabronione.
All rights reserved

Wydanie elektroniczne 2018

ISBN 978-83-271-5837-6



jest znakiem towarowym Publicat S.A.

Publicat S.A.

61-003 Poznań, ul. Chlebowa 24

tel. 61 652 92 52, fax 61 652 2519

e-mail: office@publicat.pl, www.publicat.pl

Oddział we Wrocławiu

50-010 Wrocław, ul. Podwale 62

tel. 71 785 90 40, fax 71 785 90 66

e-mail: wydawnictwodolnoslaskie@publicat.pl

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej



Spis treści

Strona tytułowa

Karta redakcyjna

- 1 Noc z siódmego na ósmy grudnia
- 2 Wtorek rano, ósmy grudnia
- 3 Wtorek przed południem, ósmy grudnia
- 4 Wtorek rano, ósmy grudnia
- 5 Wtorek przed południem, ósmy grudnia
- 6 Noc z siódmego na ósmy grudnia
- 7 Wtorek przed południem, ósmy grudnia
- 8 Wtorek przed południem, ósmy grudnia
- 9 Wtorek, pora lunchu, ósmy grudnia
- 10 Wtorek przed południem, ósmy grudnia
- 11 Wtorek wieczorem, ósmy grudnia
- 12 Wtorek wieczorem, ósmy grudnia
- 13 Środa przed południem, dziewiąty grudnia
- 14 Czwartek wieczorem, dziesiąty grudnia
- 15 Piątek rano, jedenasty grudnia
- 16 Piątek rano, jedenasty grudnia
- 17 Piątek rano, jedenasty grudnia
- 18 Piątek po południu, jedenasty grudnia
- 19 Piątek po południu, jedenasty grudnia
- 20 Piątek wieczorem, jedenasty grudnia
- 21 Piątek wieczorem, jedenasty grudnia
- 22 Piątek wieczorem, jedenasty grudnia
- 23 Sobota rano, dwunasty grudnia
- 24 Sobota wieczorem, dwunasty grudnia
- 25 Niedziela rano, trzynasty grudnia, dzień św. Łucji
- 26 Niedziela rano, trzynasty grudnia, dzień św. Łucji
- 27 Niedziela rano, trzynasty grudnia, dzień św. Łucji
- 28 Niedziela w południe, trzynasty grudnia, dzień św. Łucji
- 29 Niedziela po południu, trzynasty grudnia, dzień św. Łucji
- 30 Niedziela po południu, trzynasty grudnia, dzień św. Łucji
- 31 Poniedziałek rano, czternasty grudnia

- 32 Poniedziałek po południu, czternasty grudnia
- 33 Poniedziałek po południu, czternasty grudnia
- 34 Noc z czternastego na piętnasty grudnia
- 35 Wtorek rano, piętnasty grudnia
- 36 Wtorek rano, piętnasty grudnia
- 37 Środa przed południem, szesnasty grudnia
- 38 Środa przed południem, szesnasty grudnia
- 39 Środa po południu, szesnasty grudnia
- 40 Czwartek przed południem, siedemnasty grudnia
- 41 Czwartek, południe, siedemnasty grudnia
- 42 Czwartek wieczorem, siedemnasty grudnia
- 43 Czwartek wieczorem, siedemnasty grudnia
- 44 Piątek wczesnym rankiem, osiemnasty grudnia
- 45 Piątek rano, osiemnasty grudnia
- 46 Sobota przed południem, dziewiętnasty grudnia
- 47 Sobota po południu, dziewiętnasty grudnia
- 48 Sobota po południu, dziewiętnasty grudnia
- 49 Sobota po południu, dziewiętnasty grudnia
- 50 Niedziela rano, dwudziesty grudnia, czwarta niedziela adwentu
- 51 Czwartek, siedemnasty grudnia
- 52 Niedziela rano, dwudziesty grudnia, czwarta niedziela adwentu
- 53 Niedziela rano, dwudziesty grudnia, czwarta niedziela adwentu
- 54 Czwartek, dwudziesty czwarty grudnia

Przypisy

Jak ogień, zupełnie jak ogień. To były pierwsze słowa wypowiedziane przez zahipnotyzowanego chłopca. Pomimo zagrażających jego życiu ran od noża – miał ich setki na twarzy, nogach, tułowiu, plecach, na podszewkach stóp, na karku i z tyłu głowy – wprowadzono go w stan głębokiej hipnozy w nadziei, że będzie można jego oczami zobaczyć, co się wydarzyło.

– Próbuję mrugać – wymamrotał. – Wchodzę do kuchni, ale tam dzieje się coś dziwnego. Coś trzeszczy między krzesłami, a na podłodze rozprzestrzenia się czerwony ogień.

Policjant, który znalazł chłopca pośród ciał leżących w jednym z domków szeregowych, myślał, że on nie żyje. Stracił mnóstwo krwi, doznał wstrząsu i odzyskał świadomość dopiero siedem godzin później.

Był jedynym świadkiem, który przeżył masakrę, i komisarz kryminalny Joonas Linna miał nadzieję, że będzie mógł opisać zabójcę. Sprawca nie zamierzał nikogo zostawić przy życiu, więc pewnie nie przejmował się zakrywaniem twarzy.

Jednak gdyby pozostałe okoliczności nie były tak wyjątkowe, nikt by nawet nie wpadł na pomysł, żeby zwrócić się do hipnotyzera.

W mitologii greckiej bóg Hypnos przedstawiany jest jako skrzydlaty chłopiec z makówką w dłoni. Jego imię oznacza sen. Jest bliźniaczym bratem śmierci, synem nocy i mroku.

Określenie „hipnoza” użyte zostało po raz pierwszy w swoim współczesnym znaczeniu w 1843 roku przez szkockiego chirurga Jamesa Braidę. Terminem tym określił on stan przypominający sen, charakteryzujący się wzmożoną wrażliwością i podatnością

na sugestię.

Dziś jest już naukowo stwierdzone, że prawie każdego człowieka można zahipnotyzować, jednak panują wciąż różne opinie co do przydatności hipnozy, jej wiarygodności i szkodliwości. Prawdopodobnie ów ambiwalentny stosunek wynika stąd, że hipnoza nadużywana bywała przez oszustów, artystów estradowych i służby wywiadowcze na całym świecie.

Z czysto technicznego punktu widzenia wprowadzenie człowieka w stan hipnozy jest proste, trudność polega na kontrolowaniu przebiegu sesji, prowadzeniu pacjenta, analizie i wykorzystaniu wyników. Jedynie wieloletnie doświadczenie i wrodzone zdolności umożliwiają opanowanie głębokiej hipnozy. Na całym świecie jest zaledwie garstka prawdziwych hipnotyzerów z kwalifikacjami medycznymi.

1 NOC SIÓDMEGO NA ÓSMY GRUDNIA

Erik Maria Bark zostaje gwałtownie wyrwany ze snu dzwonkiem telefonu. Zanim się całkiem rozbudzi, słyszy siebie samego mówiącego z uśmiechem:

– Baloniki i serpentyny.

Serce łomocze mu po nagłym przebudzeniu. Erik nie wie, co miał na myśli. Nie ma pojęcia, czego dotyczył sen.

Żeby nie zbudzić Simone, wymyka się z sypialni i zamyka drzwi. Dopiero potem odbiera.

– Tak, tu Erik Maria Bark.

Jakiś komisarz kryminalny Joon Linna pyta, czy obudził się już na tyle, żeby przyswoić ważną informację. Kiedy Erik słucha słów komisarza, jego myśli wciąż jeszcze zapadają w ciemną próżnię pozostałą po śnie.

– Słyszałem, że zna się pan na leczeniu urazów – mówi Joon Linna.

– Tak – odpowiada krótko.

Zażywa tabletkę przeciwbólową, słuchając sprawozdania. Komisarz wyjaśnia, że musi kogoś przesłuchać. Piętnastolatek był świadkiem podwójnego zabójstwa. Problem w tym, że został ciężko ranny. Jego stan jest niestabilny – chłopak jest we wstrząsie, nie odzyskał przytomności. Przewieziono go w nocy z oddziału neurologii w Huddinge na neurochirurgię w szpitalu uniwersyteckim Karolinska w Solnie.

– Kto jest lekarzem prowadzącym? – pyta Erik.

– Daniella Richards.

– To świetna specjalistka i jestem pewien, że da sobie...

– Właśnie ona chciała, żebym zatelefonował – przerywa komisarz.

– Potrzebuje pańskiej pomocy, a czasu jest niewiele.

Erik wraca do sypialni po swoje rzeczy. Promień światła latarni

ulicznej wpada przez szparę między roletami. Simone leży na plecach i przygląda mu się dziwnym, pustym wzrokiem.

– Nie chciałem cię obudzić – mówi cicho.

– Kto to był? – pyta Simone.

– Policjant... Komisarz, nie dosłyszałem nazwiska.

– O co chodziło?

– Muszę jechać do Karolinska – odpowiada. – Potrzebują pomocy przy jednym chłopcu.

– Która jest właściwie godzina?

Simone patrzy na budzik i zamyka oczy. Erik widzi, że na jej piegowatej skórze ramion odgniotła się faktura pościeli.

– Śpij, Sixan – szepce.

Wynosi swoje ubrania do przedpokoju, zapala światło i ubiera się w pośpiechu. Za jego plecami błyska lśniąca stalowe ostrze. Erik odwraca się i widzi, że jego syn powiesił łyżwy na klamce drzwi wejściowych, żeby ich nie zapomnieć. Pomimo pośpiechu idzie do garderoby, wyciąga kufer i znajduje w nim ochraniacze na łyżwy. Zakłada je na ostrza, kładzie łyżwy na podłodze w przedpokoju i opuszcza mieszkanie.

Jest trzecia w nocy, wtorek, ósmy grudnia, kiedy Erik Maria Bark wsiada do samochodu. Śnieg powoli pada z czarnego nieba. Nie ma wiatru, ciężkie płatki sennie układają się na pustej ulicy. Erik przekręca kluczyki w stacyjce i miękkimi falami nadpływa muzyka: Miles Davis, *Kind of Blue*.

Przejeżdża ten krótki odcinek przez śpiące miasto, z Luntmakargatan, przez Sveavägen do Norrtull. Jezioro Brunnsviken majaczy w oddali niczym wielki czarny otwór za zasłoną padającego śniegu. Erik powoli wjeżdża na teren szpitala, między cierpiącą na niedobór personelu klinikę imienia Astrid Lindgren a porodówkę, obok kliniki radioterapii i psychiatrii. Parkuje na swoim zwykłym miejscu pod kliniką neurochirurgii i wysiada z samochodu. Światło latarni odbija się w oknach wysokiego kompleksu. Na parkingu dla odwiedzających stoi raptem

kilka samochodów. W ciemności wśród drzew latają kosy, szeleszcząc skrzydłami. Erik zauważa, że o tej porze nie słyhać szumu z autostrady.

Wtyka kartę i podaje sześciocyfrowy kod, wchodzi do foyer, wjeżdża windą na piąte piętro i przechodzi przez korytarz. Sufitowe świetlówki odbijają się w niebieskiej gumowej wykładzinie jak lód na kanale. Dopiero teraz dociera do niego zmęczenie po gwałtownym dopływie adrenaliny. Sen był dobry, pozostawił po sobie wciąż wyczuwalny smak szczęścia. Mija salę operacyjną, przechodzi obok drzwi do wielkiej komory hiperbarycznej, pozdrawia pielęgniarkę i jeszcze raz analizuje w myślach to, co komisarz powiedział mu przez telefon: chłopiec krwawi, jest pocięty na całym ciele, poci się, nie chce leżeć, jest niespokojny i bardzo spragniony. Próbowano z nim porozmawiać, ale jego stan szybko się pogarsza. Traci świadomość, jednocześnie jego serce przyśpiesza, aż w końcu dyżurna lekarka Daniella Richards podejmuje słuszną decyzję o niedopuszczeniu do pacjenta policji kryminalnej.

Dwóch umundurowanych policjantów stoi przy wejściu na oddział N18. Kiedy Erik zbliża się do nich, zdaje mu się, że dostrzega na ich twarzach niepokój. Może są po prostu zmęczeni, myśli, zatrzymując się, żeby się wylegitymować. Rzucają okiem na identyfikator i wciskają przycisk otwierający drzwi.

Erik wchodzi do środka, podaje rękę Danielli Richards i zwraca uwagę na stres malujący się na jej twarzy, ruchy zdradzające wewnętrzne napięcie.

- Napij się kawy – mówi Daniella.
- Zdążymy?
- Krwawienie wątroby mam pod kontrolą.

Jakiś mężczyzna w wieku około czterdziestu pięciu lat, ubrany w dżinsy i czarną marynarkę, stuka w obudowę automatu do kawy. Ma jasne zmierzwiowane włosy, wargi zaciśnięte, poważne. Erik domyśla się, że to może być Magnus, mąż Danielli. Nigdy go nie

spotkał, widział tylko fotografię w jej gabinecie.

– To twój mąż? – pyta, wskazując na niego.

– Co?

Lekarka wygląda na zdumioną i rozbawioną zarazem.

– Pomyślałem, że Magnus przyjechał z tobą.

– Nie. – Daniella śmieje się.

– Jesteś pewna? Zapytam go – żartuje Erik, idąc w stronę mężczyzny.

Dzwoni komórka. Daniella odbiera ją, dalej się śmiejąc.

– Erik, daj spokój – mówi, po czym przykłada telefon do ucha i potwierdza:

– Tak, tu Daniella.

Nasłuchuje, ale nic nie słyszy.

– Halo?

Odczekuje parę sekund, potem ironicznie kończy rozmowę hawajskim pozdrowieniem *aloha*. Wyłącza telefon i rusza za Erikiem.

Erik dochodzi do blondyna. Automat buczy i syczy.

– Kawy? – proponuje mężczyzna, usiłując wetknąć kubek w dłoń Erika.

– Nie, dziękuję.

Mężczyzna pije kawę i uśmiecha się, ukazując dołeczki w policzkach.

– Smaczna – stwierdza i znów próbuje podać Erikowi kubek.

– Nie chcę.

Blondyn upija kolejny łyk, przyglądając się lekarzowi.

– Czy mógłbym pożyczyć telefon? – pyta nagle. – Jeśli można... Zostawiłem swój w samochodzie.

– I teraz chce pan pożyczyć telefon ode mnie? – W pytaniu Erika wyczuwalne jest napięcie.

Mężczyzna kiwa głową i patrzy na niego jasnymi oczyma, szarymi jak polerowany granit.

– Weź mój – proponuje Daniella.

– Dzięki.

– Nie ma za co.

Blondyn bierze komórkę, przygląda się jej. Po chwili jego wzrok napotyka spojrzenie Danielli.

– Obiecuję oddać.

– I tak tylko ty z niej korzystasz – żartuje Daniella.

Mężczyzna śmieje się i odchodzi na bok.

– To na pewno jest twój mąż – stwierdza Erik.

Kobieta z uśmiechem kręci głową. Wygląda na bardzo zmęczoną. Musiała trzeć oczy, bo rozmazała po policzku srebrnoszary cień.

– Czy mam obejrzyć pacjenta? – pyta Erik.

– Byłoby miło.

– Skoro i tak już tu jestem... – dodaje Erik pośpiesznie.

– Bardzo chcę usłyszeć twoją opinię. Mam wątpliwości...

Daniella cicho otwiera ciężkie drzwi i prowadzi go do pokoju przylegającego do sali operacyjnej. Na łóżku leży szczupły chłopiec. Dwie pielęgniarki opatrują jego rany. Setki cięć i kłuć, wszędzie, na całym ciele. Na podeszwach stóp, na piersi i brzuchu, na karku, ciemieniu, twarzy i na dłoniach.

Puls jest słaby, ale bardzo szybki. Wargi szare jak aluminium. Chłopiec poci się, powieki ma zaciśnięte. Jego nos wygląda na złamany. Podskórny wylew rozprzestrzenia się niczym ciemna chmura od szyi przez klatkę piersiową w dół.

Erik zauważa, że pomimo obrażeń chłopiec ma ładną twarz.

Daniella relacjonuje ściszym głosem historię pacjenta, kiedy nagle przerywa jej pukanie. To znowu ten blondyn. Macha do nich przez szybę w drzwiach.

Erik i Daniella spoglądają po sobie i opuszczają pomieszczenie. Blondyn wrócił do posykującego automatu z kawą.

– Duże cappuccino – zwraca się do Erika. – Przyda się, zanim pozna pan funkcjonariusza, który znalazł chłopca.

Dopiero teraz do Erika dociera, że ten blondyn to komisarz kryminalny, który obudził go niespełna pół godziny temu. Przez

telefon jego fiński akcent nie był tak wyraźny albo Erik był wtedy zbyt zmęczony, żeby zwrócić na niego uwagę.

– Dlaczego miałbym chcieć go poznać? – pyta Erik.

– Żeby zrozumieć, czemu muszę przesłuchać...

Joono milknie na dźwięk telefonu Danielli. Wyjmuje go z kieszeni marynarki, ignoruje jej wyciągniętą rękę i zerka na wyświetlacz.

– To raczej do mnie – mówi i odbiera. – Tak... nie, chcę go tutaj. Okej, ale mam to gdzieś.

Komisarz uśmiecha się, słuchając obiekcji kolegi.

– Chociaż ja coś zauważyłem – odpowiada.

Ten drugi krzyczy do telefonu.

– Zrobię to po swojemu – deklaruje spokojnym tonem Joono i kończy rozmowę.

Oddaje telefon Danielli, cicho dziękując.

– Muszę przesłuchać pacjenta – tłumaczy z powagą.

– Przykro mi – mówi Erik. – Moja opinia pokrywa się z oceną doktor Richards.

– Kiedy będzie mógł ze mną porozmawiać?

– Gdy wyjdzie z szoku.

– Wiedziałem, że pan tak odpowie – stwierdza cicho Joono.

– Stan jest wciąż krytyczny – wyjaśnia Daniella. – Opłucna została uszkodzona, jelito cienkie, wątroba i...

Na oddział wchodzi mężczyzna w brudnym mundurze policyjnym. Rzuca w ich stronę pełne niepokoju spojrzenia. Joono macha do niego, podchodzi i wita się z nim. Mówi coś ściszym głosem, a policjant przesuwając dłoń po ustach i spogląda na lekarzy. Komisarz powtarza koledze, że wszystko jest w porządku, że muszą poznać okoliczności. To może im bardzo pomóc.

– No więc – zaczyna policjant i cicho odchrząkuje. – Słyszemy przez radio, że sprzętacz znalazł martwego faceta w toalecie na stadionie w Tumbie. A my akurat siedzimy w samochodzie na Huddingevägen i musimy tylko skręcić w Dalvägen, żeby

pojechać w stronę jeziora. Janne, mój kolega, wchodzi do środka, podczas gdy ja rozmawiam ze sprzątaczem. Na początku myśleliśmy, że chodzi o przedawkowanie, ale szybko okazuje się, że to zupełnie inna sprawa. Janne wychodzi z szatni, jest strasznie blady i zachowuje się tak, jakby nie chciał mnie tam wpuścić. „Jebana rzeka krwi”, trzy razy powtarza, siada na schodach i...

Policjant milknie, opada na krzesło i zamiera z wpółotwartymi ustami.

– Możesz mówić dalej? – pyta Joonas.

– Tak... przyjeżdża karetka, identyfikują zmarłego, a ja mam porozmawiać z rodziną. Brakuje nam ludzi, więc jadę sam. Moja szefowa mówi, że nie chce posyłać Jannego w tym stanie. To zrozumiałe.

Erik spogląda na zegarek.

– Masz czas, żeby tego wysłuchać – mówi do niego Joonas ze swoim spokojnym fińskim akcentem.

– Ofiara – ciągnie dalej policjant ze spuszczonego wzrokiem – to nauczyciel z gimnazjum w Tumbie, mieszka na tym nowym osiedlu domków szeregowych na wzgórzu. Nikt tam nie otwiera. Dzwonię parę razy do drzwi. Właściwie nie wiem, co skłania mnie do przejścia wzdłuż domu i zaświecenia latarką w okno od podwórza.

Policjant przerywa, usta mu drżą, zaczyna drapać paznokciem w oparciu krzesła.

– Mów dalej – prosi Joonas.

– Czy muszę, bo ja... Ja...

– Znalazłeś chłopca, matkę i pięcioletnią dziewczynkę. Tylko chłopiec jeszcze żył.

– Chociaż myślałem, że... Ja...

Milknie, blady jak ściana.

– Dziękuję, że przyszedłeś, Erland – mówi Joonas.

Policjant kiwa głową, wstaje, z roztargnieniem otrzepuje dłonią brud z kurtki i wychodzi.

– Wszyscy byli poszatkwani – ciągnie Joona. – Czysty obłąd, odnieśli ciężkie obrażenia, byli kopani, bici, uderzani nożem, a ta mała... była przecięta na dwie części. Dolna część leżała w fotelu przed telewizorem, a...

Milknie, przyglądając się Erikowi. Potem opowiada dalej:

– Przymuszczałnie sprawca wiedział, że ojciec był wtedy na stadionie – wyjaśnia. – Sędziował mecz piłki nożnej. Zabójca czekał, aż zostanie sam, zanim go zamordował. Potem zaczął ćwiartować ciało, z agresją rąbać na kawałki. Następnie pojechał do domu zabić pozostałych.

– W tej kolejności? – pyta Erik.

– Według mnie tak – odpowiada komisarz.

Erik czuje, jak ręka mu drży, kiedy przeciąga nią po twarzy. Ojciec, matka, syn, córka – myśli powoli i napotyka wzrok Joony Linny.

– Chciał zlikwidować całą rodzinę – stwierdza słabym głosem.

Joona waha się.

– Właśnie o to... Jest jeszcze jedno dziecko, najstarsza siostra. Dwudziestotrzylatka. Nie możemy jej znaleźć. Nie ma jej w mieszkaniu w Sundbybergu ani u chłopaka. Dopuszczamy możliwość, że sprawca będzie chciał dopaść również ją, dlatego chcemy jak najszybciej przesłuchać świadka.

– Przeprowadzę dokładne badanie – mówi Erik.

– Dziękuję.

– Ale nie możemy ryzykować życia pacjenta...

– Rozumiem – przerywa mu Joona. – Chodzi tylko o to, że im później znajdziemy jakiś punkt zaczepienia, tym więcej czasu zabójca ma na poszukiwanie siostry.

– Może powinniście przeprowadzić oględziny tych miejsc – proponuje Daniella.

– Są w toku – odpowiada komisarz.

– W takim razie jedź tam i ich pogoń.

– To i tak nic nie da.

– Co masz na myśli?

– Znajdziemy tam pomieszane ślady DNA setek, może tysięcy osób.

Erik wraca do pacjenta. Stoi przy łóżku chłopca, obserwując jego bladą, poranioną twarz. Płytki oddech. Zmarznięte usta. Erik wymawia jego imię, przez twarz pacjenta przebiega bolesny skurcz.

– Josef – powtarza cicho. – Nazywam się Erik Maria Bark, jestem lekarzem, zbadam cię. Możesz skinąć głową, jeśli mnie rozumiesz.

Chłopiec leży bez ruchu, jego brzuch wznosi się w rytm krótkich oddechów. Mimo to Erik jest przekonany, że Josef zrozumiał jego słowa, ale znów stracił świadomość i kontakt został zerwany.

Kiedy pół godziny później Erik opuszcza pokój, komisarz i Daniella wpatrują się w niego z napięciem.

– Przeżyje? – pyta Joona.

– Za wcześnie, by o tym mówić, ale...

– Ten chłopiec to nasz jedyne świadek – przerywa mu policjant. – Ktoś zamordował jego ojca, matkę i młodszą siostrę, a teraz prawdopodobnie jest w drodze do starszej.

– Wiemy – mówi Daniella. – Ale uważamy, że policja powinna poświęcić swój czas na szukanie jej, zamiast nam tu przeszkadzać.

– Szukamy, ale za wolno to idzie. Musimy porozmawiać z chłopcem, bo przypuszczalnie widział twarz zabójcy.

– Mogą minąć tygodnie, zanim będziecie w stanie go przesłuchać – stwierdza Erik. – Nie możemy tak po prostu nim potrząsnąć i powiedzieć mu, że cała jego rodzina nie żyje.

– A w hipnozie? – podsuwa Joona.

W pomieszczeniu zalega cisza. Erik myśli o śniegu padającym na Brunnsviken, który widział, jadąc w tę stronę. Jak płatki, wirując, opadały między drzewami w ciemną wodę.

– Nie – szepce sam do siebie.

– Hipnoza by nie zadziałała?

– Nie znam się na tym – odpowiada Erik.

– Mam świetną pamięć do twarzy – mówi Joona z szerokim

uśmiechem. – Jesteś sławnym hipnotyzerem, mógłbyś...

– Byłem szarlatanem – przerywa mu Erik.

– Nie wydaje mi się – stwierdza komisarz. – A to jest sytuacja krytyczna.

Daniella rumieni się i uśmiecha, patrząc w podłogę.

– Nie mogę – powtarza Erik.

– Tak właściwie to ja odpowiadam za pacjenta – odzywa się lekarka podniesionym głosem. – I nie zamierzam pozwolić na żadną hipnozę.

– Ale gdybyś uznała, że nie byłoby to dla niego groźne? – drąży Joona.

Erik domyśla się, że komisarz kryminalny od początku myślał o hipnozie jako o możliwej drodze na skróty. Nie chodzi tu o żadne nagłe olśnienie. Joona poprosił mężczyznę o przybycie do szpitala, aby spróbować namówić go do zahipnotyzowania pacjenta, a nie dlatego, że zna się na leczeniu szoku i urazów psychicznych.

– Przyrzekłem sobie już nigdy nie zajmować się hipnozą – mówi Erik.

– W porządku, rozumiem. Słyszałem, że był pan najlepszy, ale, do diabła, muszę uszanować pański wybór.

– Przykro mi.

Erik spogląda przez szybę na pacjenta, a potem zwraca się do Danielli.

– Dostaje desmopresynę?

– Nie, jeszcze z tym czekam.

– Dlaczego?

– Ryzyko powikłań zatorowo-zakrzepowych.

– Śledziłem dyskusję na ten temat, ale nie wydaje mi się, żeby miało to jakiś związek. Ja cały czas podaję synowi desmopresynę – mówi Erik.

Joona ociężale podnosi się z krzesła.

– Byłbym wdzięczny, gdyby mógł pan polecić innego hipnotyzera.

– Nie wiemy nawet, czy pacjent odzyska świadomość... – mówi Daniella.

– Ale liczę na...

– ...a musi być przytomny, żeby w ogóle móc poddać się hipnozie – kończy lekarka, uśmiechając się kącikiem ust.

– Słuchał, kiedy doktor mówił do niego – upiera się Joon.

– Nie wydaje mi się – mruczy Daniella pod nosem.

– Rzeczywiście słuchał – potwierdza Erik.

– Moglibyśmy ocalić jego siostrę – ciągnie Joon.

– Jadę do domu – oświadcza cicho Erik. – Daj pacjentowi desmopresynę i przemyśl komorę hiperbaryczną.

Wychodzi. Idąc korytarzem, zdejmuje fartuch i wsiada do windy. W foyer jest ruch. Drzwi są otwarte, a niebo trochę pojaśniało. Już w drodze z parkingu wyciąga rękę po drewniane puzderko leżące w schowku. Nie spuszczać wzroku z drogi, podnosi wieczko z kolorową papugą i tubylcem, bierze trzy tabletki i szybko je łyka. Będzie potrzebował kilku godzin snu, zanim zbudzi Benjamina na zastrzyk.

2 WTOREK RANO, ÓSMY GRUDNIA

Komisarz kryminalny Joon Linna zamawia dużą kanapkę z parmezanem, bresaolą i suszonymi pomidorami w kafejce Il caffè na Bergsgatan. Jest wczesny ranek i kawiarnię właśnie otwarto – dziewczyna przyjmująca zamówienie nie zdążyła jeszcze rozpakować pieczywa.

Po tym jak wczoraj późnym wieczorem obejrzał miejsca zbrodni w Tumbie, odwiedził ofiarę w szpitalu Karolinska w Solnie i po nocnej rozmowie z obojgiem lekarzy, Daniellą Richards i Erikiem Marią Barkiem, wrócił do domu i spał trzy godziny.

Teraz Joon czeka na śniadanie, zerkając w stronę ratusza przez zaparowaną szybę, i rozmyśla o przejściach podziemnych ciągnących się pod parkiem pomiędzy ogromnym budynkiem policji a ratuszem. Dostaje z powrotem kartę płatniczą, pożycza wielki długopis leżący na szklanym blacie, podpisuje się na kwicie i wychodzi z kawiarni.

Z nieba siecze śnieg z deszczem, kiedy Joon szybkim krokiem maszeruje w górę Bergsgatan z ciepłą kanapką w jednej i sportową torbą z kijem do unihokeja w drugiej ręce.

Dziś mecz ze śledczymi – już mi nas żal – myśli Joon. – Dostaniemy lanie, tak jak obiecali.

Drużyna unihokeja Wydziału Kryminalnego przegrywa z dzielnicowymi, drogówką, policją morską, antyterrorystami i służbami specjalnymi. Ale to dobry powód, żeby potem nawzajem pocieszać się w pubie.

Tylko z gośćmi z laboratorium udało nam się wygrać, myśli Joon.

Idąc wzdłuż fasady budynku policji i przechodząc obok głównego wejścia, nie wie jeszcze, że w ten wtorek ani nie zagra w unihokeja, ani nie pójdzie do pubu. Zauważa swastykę namalowaną

na tabliczce Sądu Rejonowego. Długimi krokami podąża w stronę aresztu Kronoberg i widzi, jak brama bezgłośnie zamyka się za jakimś samochodem. Płatki śniegu roztopiają się na szybie budki wartownika. Jooną mijają policyjną pływalnię i przechodzi przez trawnik w stronę wielkiego kompleksu. Fasada przypomina ciemną miedź, polerowaną, ale jakby pod wodą, myśli. Na długim stojaku pod salą rozpraw nie ma żadnych rowerów, na masztach po obu stronach wiszą mokre flagi. Jooną wbiega pomiędzy metalowymi słupkami pod wysoki dach z matowego szkła, otrzepuje buty i wchodzi do Krajowego Urzędu Policji.

W Szwecji policja podlega Ministerstwu Sprawiedliwości, ale ten departament nie ma uprawnień, aby decydować, w jaki sposób prawo ma być egzekwowane. Centralną władzę administracyjną pełni Krajowy Urząd Policji. W jego skład wchodzi Krajowy Wydział Kryminalny – Rikskriminalpolisen, Policja Bezpieczeństwa – Säkerhetspolisen, Wyższa Szkoła Policyjna – Polishögskolan i Centralne Laboratorium Kryminalistyczne – Statens kriminaltekniska laboratorium.

Krajowy Wydział Kryminalny, w skrócie Rikskrim, jest jedyną centralną jednostką operacyjną zwalczającą najcięższą przestępczość na poziomie krajowym i międzynarodowym. Tu od dziewięciu lat Jooną Linna pracuje jako komisarz kryminalny.

Jooną idzie swoim korytarzem, ściąga czapkę przy tablicy ogłoszeń, przebiega wzrokiem informację o jodze, ofertę sprzedaży przyczepy campingowej, wiadomość od związku zawodowego OFR/P i zmianę godzin otwarcia klubu strzeleckiego.

Podłoga, umyta w zeszły piątek, jest już bardzo brudna. Drzwi do Benny'ego Rubina są uchylone. Sześćdziesięcioletek z siwym wąsem i pomarszczoną, zniszczoną słońcem skórą należał przez kilka lat do Grupy Palmego¹, ale teraz jest zaangażowany we współpracę z centralą łączności i przejście na nowy system radiowy Rakel. Siedzi przed komputerem z papierosem zatkniętym za ucho i ślamazarnie wystukuje coś na klawiaturze.

– Mam oczy z tyłu głowy – odzywa się nagle.

– To by tłumaczyło, dlaczego tak wolno piszesz – żartuje Jooną.

Zauważa ostatnią zdobycz kolegi: plakat z reklamą linii lotniczych SAS – młoda, dość egzotyczna kobieta w śladowym bikini, popijająca owocowy drink przez rurkę. Benny’ego do tego stopnia rozżłościł zakaz wieszania kalendarzy z dziewczynami z rozkładówek, że wiele osób spodziewało się jego rezygnacji. Zamiast tego od wielu lat uparcie i w milczeniu wyrażał swój protest. Pierwszego dnia każdego miesiąca zmienia dekorację na ścianie. Nikt nie zabronił wieszania reklam linii lotniczych, zdjęć łyżwiarek z rozłożonymi nogami, instrukcji jogi czy reklam bielizny z Hennes & Mauritz. Jooną pamięta planszę ze zdjęciem sprinterki Gail Devers w obcisłych szortach i odważną litografię artysty Egona Schielego przedstawiającą rudowłosą kobietę siedzącą z rozchyłonymi nogami, w luźnych pantalonach.

Jooną przystaje, żeby przywitać się ze swoją koleżanką i asystentką Anją Larsson. Dziewczyna siedzi przed monitorem z półotwartymi ustami i wyrazem takiej koncentracji na pyzatej twarzy, że postanawia jej nie przeszkadzać. Idzie do swojego pokoju, wiesza na drzwiach mokry płaszcz, zapala w oknie gwiazdę adwentową i szybko przegląda papiery na swojej półce: pismo o BHP, oferta kupna energooszczędnych żarówek, zapytanie z prokuratury i zaproszenie na bożonarodzeniowe spotkanie w Skansenie.

Jooną wychodzi ze swojego biura i idzie do sali odpraw, siada na zwykłym miejscu, z papierowej torebki wyciąga kanapkę i zaczyna jeść.

Na białej tablicy wiszącej na długiej ścianie pokoju ktoś napisał: ubiór, środki ochrony indywidualnej, broń, gaz łzawiący, środki opatrunkowe, pojazdy, pozostałe pomoce techniczne, kanały, sygnały stacji, nasłuch radiowy, cisza radiowa, kody, test połączenia.

Petter Näslund zatrzymuje się na korytarzu, śmieje się

z zadowoleniem i opiera o framugę drzwi, plecami do sali odpraw. Jest muskularnym, łysym mężczyzną około trzydziestu pięciu lat, na stanowisku nadkomisarza, co czyni z niego bezpośredniego przełożonego Joony. Od wielu lat podrywa Magdalenę Ronander, nie zwracając uwagi na jej zażenowane spojrzenie i ciągłe próby przejścia na bardziej koleżeński ton. Magdalena jest inspektorem Wydziału Śledczego i postawiła sobie za cel ukończenie studiów prawniczych przed trzydziestką.

Teraz Petter, zniżając głos, pyta ją o wybór służbowej broni i o to, jak często wymienia lufę z powodu zużytego gwintu. Nie zwracając uwagi na wulgarny podtekst jego pytań, Magdalena wyjaśnia, że prowadzi dokładną statystykę oddanych strzałów.

– Ale lubisz ciężki sprzęt, co? – dopytuje się Petter.

– Nie, używam glocka 17 – odpowiada Magdalena. – Pasuje do niego większość dziewięćmilimetrowej amunicji używanej przez armię.

– Nie używasz czeskich...

– Tak, chociaż... chociaż wolę m39B.

Obydwoje wchodzi do sali odpraw, siadają na swoich miejscach i witają się z Jooną.

– Poza tym glock ma kompensację obok celownika. To diabelnie zmniejsza odrzut, i można szybciej przejść do następnego strzału.

– Co na to Muminek?

Joona uśmiecha się łagodnie, a jego błękitne oczy stają się czyste jak lód, kiedy odpowiada ze swoim śpiewnym fińskim akcentem:

– Że to nie ma znaczenia. Decydujące są inne rzeczy.

– Czyli nie musisz umieć strzelać – pokpiwa z niego Petter.

– Joona jest dobrym strzelcem – broni go Magdalena Ronander.

– Dobry we wszystkim – wzdycha Petter.

Magdalena ignoruje Pettera i zwraca się do Joony.

– Największą zaletą glocka z kompensacją jest to, że po ciemku nie widać tak ognia.

– Zgadza się – przyznaje Joona cicho.

Dziewczyna wygląda na zadowoloną, kiedy otwiera swoją czarną skórzaną teczkę i zaczyna przeglądać dokumenty. Wchodzi Benny, siada, patrzy kolejno na zebranych, uderza otwartą dłońią o blat stołu i szeroko się uśmiecha, widząc poirytowane spojrzenie Magdaleny.

– Wzięłem tę sprawę z Tumby – odzywa się Joon.

– O co tam chodzi? – pyta Petter.

– Cała rodzina zadżgana nożem – odpowiada.

– To nie dla nas – stwierdza Petter.

– Wydaje mi się, że może tu chodzić o seryjnego zabójcę albo co najmniej...

– Dajże raz spokój – przerywa Benny, patrząc mu w oczy, i ponownie uderza w stół.

– To zwykłe porachunki – ciągnie Petter. – Pożyczki, długi, hazard... Był znany na torze w Solvalli.

– Uzależniony od hazardu – potwierdza Benny.

– Pożytał pieniądze od miejscowych kryminalistów i w końcu za to zapłacił – podsumowuje Petter.

Zapada cisza. Joon pociąga łyk wody, wydłubuje kilka okruchów z kanapki i wtyka je sobie do ust.

– Mam przecucie co do tej sprawy – mówi pod nosem.

– To musisz złożyć wniosek o przeniesienie – stwierdza Petter z uśmiechem. – To nie jest sprawa dla Rikskrimu.

– Moim zdaniem jest.

– Jeśli chcesz się tym zająć, zostań dzielnicowym w Tumbie – radzi Petter.

– Zamierzam zbadać te zabójstwa.

– To ja o tym zdecyduję – odpowiada Joonie przełożony.

Wchodzi Yngve Svensson i siada na swoim miejscu. Ma zaczesane na żelu włosy, sine kręgi pod oczami, rudawą bródkę i jak zwykle czarny wymięty garnitur.

– Yngve – zwraca się do niego Benny z satysfakcją w głosie.

Yngve Svensson jest jednym z czołowych ekspertów

od zorganizowanej przestępczości, odpowiedzialnym za sekcję analiz. Wchodzi też w skład jednostki do spraw współpracy międzynarodowej.

– Yngve, co myślisz o Tumbie? – pyta Petter. – Pewnie właśnie o tym czytałeś.

– No cóż, wygląda to na lokalne porachunki – stwierdza. – Windykator przyjeżdża do domu. Ojciec powinien o tej porze już tam być, ale zastępuje kolegę jako sędzia na meczu piłkarskim. Windykator jedzie prawdopodobnie na speedzie i rohypnolu, jest niezrównoważony i zestresowany, coś go sprowokowało i rzuca się na rodzinę z bagnetem, żeby dowiedzieć się, gdzie jest ojciec. Tamci z pewnością mówią mu, co i jak, ale on, w amoku, morduje wszystkich, zanim wyrusza na stadion.

Petter uśmiecha się szyderczo, popija kilka dużych łyków wody, beka w dłoń, spogląda na Joone i pyta:

– Co powiesz na takie wyjaśnienie?

– Gdyby nie było błędne, to można by je uznać za dobre – odpowiada Joona.

– Gdzie widzisz błąd? – pyta Yngve bojowo.

– Morderca najpierw zabił mężczyznę na stadionie – wyjaśnia spokojnie Joona. – Potem pojechał do domu i zamordował pozostałych.

– W takim razie nie chodzi raczej o ściąganie długów – wtrąca Magdalena Ronander.

– Poczekajmy na wynik sekcji – mamrocze pod nosem Yngve.

– Wykaże, że mam rację – stwierdza Joona.

– Idiota – mówi Yngve, wzdychając, i wtyka sobie podwójną porcję snusu pod wargę.

– Joona, nie przydzielę ci tej sprawy – ucina Petter.

– Tak myślałem. – Joona wzdycha i wstaje od stołu.

– Dokąd to? Mamy zebranie.

– Muszę pogadać z Carlosem.

– Chyba nie o tym.

– Właśnie o tym – oświadcza Jooną i opuszcza pokój.

– Zostań! Bo jak nie, to...

Jooną nie słyszy groźby, bo spokojnie zamyka za sobą drzwi i rusza korytarzem, po drodze witając się z Anją, która spogląda na niego pytająco zza monitora.

– Nie jesteś na zebraniu?

– Jestem – odpowiada, idąc w stronę windy.

Na piątym piętrze znajduje się sala konferencyjna Krajowego Urzędu Policji oraz kancelaria, siedzi tam również Carlos Eliasson, szef Wydziału Kryminalnego. Drzwi są uchylone, ale jak zwykle bardziej zamknięte niż otwarte.

– Wejdz, wejdz, wejdz! – woła Carlos.

Kiedy Jooną wchodzi do środka, na twarzy Carlosa pojawia się mieszanina zmartwienia i radości.

– Nakarmię tylko moje maleństwa – mówi, stukając o brzeg akwarium.

Przygląda się z uśmiechem rybkom, które płyną ku powierzchni, a potem sypie im okruchy karmy.

– Tu masz odrobinę – szepce.

Pokazuje kierunek najmniejszemu wielkopłetwowi, Nikicie, potem odwraca się i mówi przyjaźnie:

– Komisja do spraw Zabójstw pyta, czy mógłbyś rzucić okiem na morderstwo w Dalarnie.

– Dadzą sobie radę – stwierdza Jooną.

– Chyba w to wątpię. Był tu w tej sprawie Tommy Kofoed...

– Ale ja nie mam czasu – przerywa mu Jooną.

Siada naprzeciwko Carlosa. W gabinecie przyjemnie pachnie skórą i drewnem. Słońce figlarnie prześwieca przez szkło akwarium.

– Chcę się zająć sprawą Tumbę – oznajmia bez ogródek.

Przez krótką chwilę na pomarszczonej przyjaznej twarzy Carlosa wyraźnie widać zmartwienie.

– Przed sekundą dzwonił do mnie Petter Näslund. Ma rację, to nie jest sprawa dla Rikskrimu – mówi ostrożnie.

– Moim zdaniem jest – upiera się Joona.
– Tylko jeśli windykacja ma związek ze zorganizowaną przestępczością, Joona.

– To nie była windykacja.

– Nie?

– Zabójca zaczął od mężczyzny – stwierdza Joona. – Potem pojechał do jego domu, żeby wykończyć mu rodzinę. Chciał zamordować wszystkich. Odnajdzie i dorosłą córkę, i chłopca, jeśli ten przeżyje.

Carlos rzuca krótkie spojrzenie na swoje akwarium, jakby się bał, że rybki mogą przypadkiem usłyszeć coś okropnego.

– Ach tak – mówi sceptycznie. – Skąd to wiesz?

– Bo kroki odcisnięte we krwi w domu były krótsze.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

Joona pochyła się w przód i wyjaśnia:

– Oczywiście ślady stóp były wszędzie, a ja niczego nie mierzyłem, ale odebrałem kroki w przebieralni jako... zwawsze, a w domu bardziej zmęczone.

– Znowu się zaczyna – wzdycha Carlos zrezygnowany. – Znowu komplikujesz sprawę.

– Ale mam rację – odpiera Joona.

Carlos kręci głową.

– Wydaje mi się, że nie tym razem.

– Właśnie, że tak.

– Ten Joona Linna to najbardziej uparty człowiek, jakiego kiedykolwiek spotkałem – zwraca się Carlos do rybek.

– Wiesz, co się dzieje, kiedy ktoś się wycofuje, mimo iż wie, że ma rację?

– Nie mogę dać ci tej sprawy za plecami Pettera na podstawie twojego przecucia – tłumaczy Carlos.

– Możesz.

– Wszyscy sądzą, że to było ściąganie długów z hazardu.

– Ty też? – pyta Joona.

– Tak, ja też.

– Kroki w przebieralni były żwawsze, bo mężczyzna został zabity jako pierwszy. – Joona obstaje przy swoim.

– Nigdy się nie poddajesz, co?

Joona wzrusza z uśmiechem ramionami.

– Równie dobrze mogę od razu zadzwonić do działu medycyny sądowej – mruczy Carlos, podnosząc słuchawkę telefonu.

– Potwierdzą, że mam rację – powtarza Joona, patrząc w dół.

Joona Linna zdaje sobie sprawę z tego, że jest uparty. Wie również, że potrzebuje tego uporu, aby przeć do przodu. Być może zaczęło się to od ojca Joony, Yrjö Linny, policjanta patrolującego ulice w dystrykcie Märsta. Był na starej Uppsalavägen, kawałek na północ od szpitala Löwenströmska, kiedy dyżurny, reagując na zgłoszenie, wysłał go na Hammarbyvägen w Upplands Väsby. Sąsiad zadzwonił na policję, że dzieciaki Olssona dostają znowu lanie. W 1979 roku Szwecja była pierwszym krajem, który wprowadził zakaz bicia dzieci, a policja otrzymała polecenie, żeby poważnie traktować nowe prawo. Yrjö Linna zajechał radiowozem na podwórze i zatrzymał się przed bramą. Cekał na swojego kolegę Jonny'ego Andersena. Po kilku minutach zawołał go przez radio. Jonny stał w kolejce do budki z hotdogami U Mamy i powiedział, że jego zdaniem chłop musi czasami pokazać, kto w domu rządzi. Yrjö Linna był cichym człowiekiem. Wiedział, że według procedur w zatrzymaniu tego rodzaju powinno uczestniczyć dwóch funkcjonariuszy, ale się nie upierał. Nic nie odrzekł, chociaż zdawał sobie sprawę, że przysługuje mu wsparcie. Nie chciał naciskać, nie chciał się okazać tchórzem, ale nie mógł czekać. Yrjö Linna wszedł po schodach na trzecie piętro i zadzwonił do drzwi. Otworzyła mu przestraszona dziewczynka. Poprosił, żeby poczekała na klatce, ale pokręciła głową i wbiegła z powrotem do mieszkania. Policjant ruszył za nią i znalazł się w pokoju dziennym. Dziewczynka waliła w drzwi balkonowe. Yrjö dostrzegł za nimi małego chłopca, ubranego jedynie w pieluszkę. Wyglądał na dwa latka. Pośpieszył

przez pokój, żeby wpuścić malca, i dlatego zbyt późno odkrył pijanego ojca. Siedział bez ruchu na kanapie stojącej przy drzwiach, z twarzą zwróconą ku balkonowi. Yrjö musiał użyć obu rąk, żeby odsunąć zasuwkę i przekręcić klamkę. Dopiero kiedy usłyszał kliknięcie śrutówki, znieruchomiał. Rozległ się strzał i zbitek trzydziestu sześciu ołowianych kulek trafił go prosto w kręgosłup, zabijając na miejscu.

Jedenastoletni Joonas przeprowadził się razem z mamą Ritwą z jasnego mieszkania w centrum Märstý do trzypokojowego lokum ciotki we Fredhäll w Sztokholmie. Po ukończeniu szkoły podstawowej i trzyletnim gimnazjum na Kungsholmen złożył podanie do szkoły policyjnej. Często wspomina przyjaciół ze swojej grupy, spaceruje po ogromnych trawnikach, spokój przed aspiranturą² i pierwsze lata w stopniu asystenta³. Joonas Linna odrobił swój przydział roboty za biurkiem; wspierał plany równouprawnienia i związek zawodowy; kierował ruchem drogowym podczas Maratonu Sztokholmskiego i po setkach wypadków samochodowych; czuł się zażenowany, kiedy pseudokibice obrażali jego koleżanki po fachu, wyrzaskując w wagonach metra wulgarne piosenki typu „Po co suce pała? Żeby się nią dymała!”; znajdował martwych heroinistów z gnijącymi ranami; przeprowadzał poważne rozmowy z drobnymi złodziejami; pomagał personelowi karetek przy rzygających pijakach; rozmawiał z prostytutkami na głódzie narkotykowym i z przerażonymi chorymi na AIDS; spotkał setki mężczyzn bijących żony i dzieci, zawsze według tego samego wzoru: pijani, ale metodyczni – radio na cały regulator i zaciągnięte żaluzje; zatrzymywał piratów drogowych i nietrzeźwych kierowców; konfiskował broń, narkotyki i samogon. Raz, kiedy był na zwolnieniu z powodu lumbago i spacerował, żeby całkiem nie zeszywnieć, przechodząc pod szkołą Klastorpskolan, zobaczył, jak jakiś skinhead łapie muzułmankę za pierś. Mimo bólu pleców ruszył za nim w pogoń nad wodą, przez cały park, wzdłuż Smedsudden, przez most Västerbron i wyspę

Långholmen aż na Södermalm i złapał go dopiero na światłach przy Högalidsgatan.

Nie prac ku karierze, stopniowo awansował. Zawsze lubił trudne zadania i nigdy się nie poddawał. Na pagonach miał wyszytą koronę i dwa dębowe listki, ale brakowało mu jednej belki do nadkomisarza. Po prostu nie interesowało go szefowanie i odmówił wstąpienia do Krajowej Komisji do spraw Zabójstw.

Tego grudniowego poranka Joona siedzi w gabinecie szefa Rikskrimu. Przysłuchuje się rozmowie Carlosa Eliassona z zastępcą głównego lekarza instytutu medycyny sądowej, profesorem Nilsem „Nålenem” Ålénem⁴. Nie czuje jeszcze zmęczenia po długiej nocy w Tumbie i szpitalu Karolinska.

– Nie, chciałbym tylko wiedzieć, które miejsce zdarzenia było pierwsze – mówi Carlos i milknie na chwilę. – Rozumiem, rozumiem... ale jak ty to oceniasz?

Joona odchyła się na oparcie krzesła, drapie się po zmierzwionych blond włosach i przygląda się, jak twarz przełożonego robi się coraz bardziej czerwona. Carlos słucha monotonnego wywodu Nålena i zamiast odpowiedzieć, kiwa głową i bez pożegnania odkłada słuchawkę.

– Oni... Oni...

– Stwierdzili, że najpierw zamordowano ojca – kończy za niego Joona.

Carlos potakuje.

– A nie mówiłem? – uśmiecha się Joona.

Carlos opuszcza wzrok i odchrząkuje.

– W porządku, prowadzisz postępowanie przygotowawcze. Sprawa Tumbi jest twoja.

– Zaraz – mówi z powagą Joona.

– Zaraz?

– Najpierw chcę coś usłyszeć. Kto miał rację? Kto miał rację? Ty czy ja?

– Ty! – krzyczy Carlos. – Na Boga, Joona, co z tobą? Ty miałeś

rację, jak zwykle!

Joona wstaje i zakrywa dłońią uśmiech.

– Muszę przesłuchać świadka, zanim będzie za późno.

– Chcesz przesłuchać chłopca? – pyta Carlos.

– Tak.

– Rozmawiałeś z prokuratorem?

– Nie oddam postępowania, dopóki nie będę miał podejrzanego.

– Nie, nie to miałem na myśli – mówi Carlos. – Wydaje mi się po prostu, że dobrze jest mieć po swojej stronie prokuratora, jeśli chcesz rozmawiać z chłopcem w tak ciężkim stanie.

– Okej, jak zwykle mądrze mówisz. Zadzwonię do Jensa – obiecuje Joona i wychodzi.

3 WTOREK PRZED POŁUDNIEM, ÓSMY GRUDNIA

Po rozmowie z szefem Wydziału Kryminalnego Joona Linna wsiada do samochodu, żeby przejechać kawałek do działu medycyny sądowej na terenie Instytutu Karolinska ⁵. Przekręca kluczyk w stacyjce, wrzuca jedynkę i ostrożnie wytacza się z parkingu.

Zanim zadzwoni do prokuratora generalnego Jensa Svanehjälma, musi przemyśleć wszystko, czego do tej pory dowiedział się na temat tej sprawy w Tumbie. Teczka, w której zebrał swoje notatki z rozpoczętego śledztwa, leży na siedzeniu pasażera. Jedzie w stronę Sankt Eriksplan, próbując sobie przypomnieć, co już zaraportował do prokuratury na temat wstępnych oględzin miejsc zdarzenia i co zawierają jego zapiski z nocnej rozmowy z Radą Opieki Społecznej.

Joona przejeżdża przez most, po lewej widzi błądy pałac Karlberg, powtarza sobie pod nosem, o jakim ryzyku w związku z przesłuchaniem pacjenta w tak ciężkim stanie mówili oboje lekarze, i postanawia jeszcze raz przeanalizować ostatnie dwanaście godzin.

Karim Muhammed przybył do Szwecji jako uchodźca z Iranu. Był dziennikarzem, został uwięziony, kiedy Ruhollah Chomeini wrócił do kraju. Po ośmiu latach w więzieniu udało mu się zbiec przez granicę do Turcji, a stamtąd do Niemiec i Trelleborga. Karim Muhammed od dwóch lat jest zatrudniony przez Jasmina Jabira, właściciela spółki handlowej Usługi Porządkowe Johanssona, pod adresem Alice Tegnér's väg 9 w Tullinge. Przedsiębiorstwo miało na zlecenie gminy Botkyrka sprzątać szkoły Tullingeberg, Vista, Broäng, Storvretsbadet, gimnazjum w Tumbie, halę sportową

w Tumbie i szatnie przy stadionie sportowym Rödsthage.

Karim Muhammed pojawił się na stadionie w Rödsthage poprzedniego wieczoru o 20.50, w poniedziałek, siódmego grudnia. To miało być ostatnie zlecenie tego dnia. Zaparkował swojego volkswagena busa niedaleko czerwonej toyoty. Reflektory na masztach oświetleniowych były wyłączone, ale w szatni wciąż paliło się światło. Otworzył tylne drzwi samochodu, opuścił rampę, wspiął się do środka i rozpiął pasy przytrzymujące najmniejszy wózek do sprzątania.

Kiedy doszedł do niskiego drewnianego budynku i spróbował przekręcić klucz w zamku, okazało się, że drzwi są otwarte. Zapukał, nikt nie odpowiedział, więc je otworzył. Dopiero kiedy zablokował drzwi plastikowym klinem, zauważył krew na podłodze. Wszedł do środka, zobaczył martwego mężczyznę, wrócił do samochodu i zadzwonił pod numer alarmowy.

Centrum koordynacji skontaktowało się z wozem policyjnym na Huddingevägen, niedaleko dworca w Tumbie. Funkcjonariusze Janne Eriksson i Erland Björkander zostali wysłani na stadion.

Podczas gdy Erland Björkander spisywał relację Karima Muhammeda, Janne Eriksson wszedł do szatni. Zdawało mu się, że coś usłyszał, że ofiara nadal żyje, dlatego rzucił się naprzód. Kiedy odwrócił mężczyznę, zrozumiał, że to niemożliwe. Jego ciało było bardzo poranione, brakowało prawej ręki, pierś miał tak pokaleczoną, że przypominała otwartą misę pełną krwawej miazgi. Przyjechała karetka, a wkrótce potem zjawiała się inspektor Lillemor Blom. Zwłoki zostały bez problemów zidentyfikowane. Rozpoznano w nich Andersa Eka, nauczyciela chemii i fizyki w gimnazjum w Tumbie, męża Katji Ek – pracownicy biblioteki miejskiej w Huddinge. Mieszkali w domku szeregowym przy ulicy Gärdesvägen 8, z dwojgiem dzieci – Lisą i Josefem.

Ponieważ było późno, inspektor Lillemor Blom zleciła asystentowi Erlandowi Björkanderowi skontaktowanie się z rodziną ofiary, podczas gdy sama odbierała raport Jannego Erikssona

i odgradzała miejsce zbrodni.

Erland Björkander dojechał do domku szeregowego w Tumbie, zaparkował samochód i zadzwonił do drzwi. Nikt nie otwierał, więc obszedł dom i zajrzał przez okno od tyłu, przyświecając sobie latarką. Pierwsze, co zobaczył, to wielka kałuża krwi na wykładzinie w sypialni, długie smugi, jakby ktoś coś ciągnął przez drzwi, i para dziecięcych okularów przy progu. Nie wzywając posiłków, sforsował drzwi balkonowe i wszedł do środka z wyciągniętą bronią. Przeszukał dom, znalazł trzy ofiary, natychmiast wezwał policję i karetkę. Nawet nie zauważył, że chłopiec wciąż jeszcze oddycha. Przez pomyłkę użył kanału policyjnego wspólnego dla całego okręgu sztokholmskiego.

Była 22.10, kiedy Joon Linna jechał swoim samochodem ulicą Drottningholmsvägen i usłyszał to dramatyczne wołanie. Asystent Erland Björkander krzyczał, że dzieci są zarżnięte, że jest sam w tym domu, matka nie żyje, wszyscy nie żyją. Chwilę później stał przed domem, o wiele bardziej opanowany, i powiedział, że inspektor Lillemor Blom wysłała go samego na Gärdesvägen. Nagle umilkł, wymamrotał, że pomylił kanał, i zniknął.

W samochodzie Joony Linny zaległa cisza. Wycieraczki zbierały z szyby krople wody. Mijając powoli Kristineberg, myślał o swoim ojcu, który nie otrzymał wsparcia.

Joon zjechał na pobocze przy Szkole św. Stefana poirytowany brakiem kierownictwa w Tumbie. Żaden policjant nie powinien być zmuszany do wypełniania tego typu poleceń, nie otrzymawszy wsparcia. Joon westchnął, wziął telefon i poprosił o połączenie z Lillemor Blom.

Lillemor Blom uczyła się w Szkole Policyjnej w tym samym czasie, co Joon. Po aspiranturze wyszła za mąż za kolegę z jednostki śledczej, Jerkera Lindkvista. Dwa lata później urodził im się syn Dante. Jerker nigdy nie skorzystał z płatnego urlopu rodzicielskiego, mimo że ustawowo mu przysługiwał. Konsekwencją jego wyboru były straty finansowe i spowolnienie kariery Lillemor. Jerker

zostawił ją dla młodszej policjantki, świeżo po szkole, a Jooną słyszał, że podobno nie widuje swojego syna nawet w co drugi weekend.

Jooną przedstawił się krótko, kiedy Lillemor odebrała telefon. Nie bawiąc się w kurtuazję, powiedział, co usłyszał przez radio.

– Brakuje nam ludzi, Jooną – wyjaśniła. – Oceń, że...

– To nie ma znaczenia – przerwał jej. – Twoja ocena była do dupy.

– Nie chcesz słuchać?

– Słucham, ale...

– To daj mi skończyć!

– Nawet Jerkera nie wolno ci samego wysyłać na miejsce zdarzenia – ciągnął Jooną.

– Skończyłeś?

Po chwili milczenia Lillemor Blom wyjaśniła, że asystent Erland Björkander miał jedynie za zadanie poinformować rodzinę o zdarzeniu i że na własną rękę zdecydował się forsować tylne drzwi. Jooną przyznał, że słusznie postąpiła, i kilkakrotnie prosił o wybaczenie, a potem, głównie z grzeczności, zapytał, co się właściwie wydarzyło w Tumbie.

Lillemor opisała, co asystent kryminalny Erland Björkander zaraportował o nożach i sztucach leżących we krwi na podłodze w kuchni, okularach dziewczynki, śladach krwi, odciskach dłoni, zwłokach i rozmieszczeniu części ciał w mieszkaniu. Następnie opowiedziała, że Anders Ek, który, jak uznała, został zabity jako ostatni, znany był opiece społecznej z powodu uzależnienia od hazardu. Przeszedł oddłużanie, ale jednocześnie pożyczył pieniądze od kilku groźnych przestępców działających w gminie. Teraz windykator mafii zaatakował jego rodzinę, żeby go dopaść. Lillemor opisała okaleczone ciało Andersa Eka leżące w szatni i to, że pod prysznicem znaleziono nóż myśliwski i uciętą rękę. Zreferowała, co wiedziała o rodzinie, i powiedziała, że syn Andersa Eka został przewieziony do szpitala w Huddinge. Wielokrotnie powtarzała, że brakuje jej personelu. Oględziny miejsca zdarzenia

musiały poczekać.

- Jadę do ciebie – powiedział Joon.
- Czemu? – zdziwiła się.
- Chcę na to spojrzeć.
- Teraz?
- Tak, jeśli można – odparł.
- To miło. – Joon wyczuł szczerość w jej głosie.

Nie od razu zdał sobie sprawę, co przede wszystkim zwróciło jego uwagę. Nie był to charakter przestępstwa, ale coś, co się nie zgadzało w połączeniu informacji, które uzyskał, i wniosków, które wyciągnięto.

Dopiero po odwiedzeniu obydwu miejsc – szatni przy stadionie Rödshage i domku szeregowego przy Gärdesvägen 8 w Tumbie – upewnił się, że to przecucie można było połączyć z konkretnymi obserwacjami. Oczywiście nie miał żadnych dowodów, ale jego spostrzeżenia były na tyle wyraźne, że nie mógł odpuścić. Był przekonany, że ojciec został zamordowany, zanim zaatakowano resztę rodziny. Po pierwsze, ślady kroków w szatni wydawały się żwawsze, bardziej energiczne w porównaniu ze śladami w domu, a po drugie, nóż myśliwski znaleziony pod prysznicem miał ułamany koniuszek ostrza, co mogłoby wytłumaczyć sztućce na podłodze w kuchni: sprawca po prostu szukał nowej broni.

Joon polecił lekarza ogólnego ze szpitala w Huddinge, który miał pomóc jako biegły, zanim na miejsce dotrze specjalista medycyny sądowej z Centralnego Laboratorium Kryminalistycznego. Przeprowadził wstępne oględziny w domku szeregowym, a następnie skontaktował się z Zakładem Medycyny Sądowej w Sztokholmie i zażądał szczegółowych oględzin sądowo-lekarskich.

Kiedy Joon wyszedł z domku szeregowego, Lillemor Blom paliła papierosa, stojąc przy szafie rozdzielczej pod latarnią. Od dawna nic nim tak nie wstrząsnęło. Najbardziej znęcano się nad dziewczynką.

Technik kryminalistyki był już w drodze. Joon przekroczył

łopoczącą biało-niebieską taśmę odgradzającą teren, i podszedł do Lillemor.

Było ciemno i wietrznie. Suche, rzadko padające płatki śniegu kłuły ich co jakiś czas w twarze. Lillemor była atrakcyjną, choć wyniszczoną kobietą – jej twarz pokrywały zmarszczki zmęczenia, malowała się zbyt mocno i niestarannie. Jooną jednak zawsze uważał, że jest ładna, ze swoim prostym nosem, wysokimi kośćmi policzkowymi i skośnymi oczyma.

– Rozpoczęliście już postępowanie przygotowawcze? – zapytał.

Pokręciła głową, wydmuchując dym.

– Zajmę się tym – obiecał Jooną.

– W takim razie pojedę do domu się położyć.

– Brzmi nieźle – uśmiechnął się.

– To jedź ze mną – zażartowała.

– Muszę sprawdzić, czy uda się porozmawiać z chłopcem.

– A, właśnie! Zrobiłam jedną rzecz, zadzwoniłam do CLK w Linköping, żeby skontaktowali się ze szpitalem w Huddinge.

– Bosko.

Policjantka upuściła peta i zdeptała żar.

– Co właściwie Rikskrim ma do tej sprawy? – zapytała, zerkając w stronę samochodu.

– Zobaczymy – mruknął Jooną.

Przyczyny tych morderstw nie łączyły się z próbą ściągnięcia karcianych długów, pomyślał znowu. To się po prostu nie zgadzało. Ktoś chciał zlikwidować całą rodzinę, ale nie było jasne, co kryje się za tą zbrodnią.

Kiedy Jooną wsiadł z powrotem do samochodu, zadzwonił do szpitala w Huddinge, gdzie dowiedział się, że pacjent został przewieziony na neurochirurgię do szpitala Karolinska w Solnie. Powiedzieli, że jego stan pogorszył się godzinę po tym, jak technicy kryminalistyki skończyli zabezpieczać materiały biologiczne.

Był już środek nocy, kiedy Jooną wyruszył z powrotem do Sztokholmu. Na Södertäljevägen zadzwonił do opieki społecznej,

żeby nawiązać współpracę w związku z planowanym przesłuchaniem w ramach postępowania przygotowawczego. Połączono go z opiekunką świadka, Susanne Granat, której opowiedział o wyjątkowych okolicznościach tej sprawy i obiecał zadzwonić, jak tylko będzie wiedział coś o stanie pacjenta.

Jooną znalazł się na oddziale neurochirurgii w szpitalu Karolinska o godzinie 2.05, piętnaście minut później udało mu się porozmawiać z lekarką prowadzącą, Daniellą Richards. Wyjaśniła mu, że według niej jeszcze przez wiele tygodni nie będzie można przesłuchać chłopca, o ile w ogóle przeżyje.

– Jest we wstrząsie – powiedziała.

– Co to oznacza?

– Stracił dużo krwi, serce próbuje to zrekompensować i zaczyna szybciej bić...

– Udało wam się zatamować krwotoki?

– Mam taką nadzieję, cały czas podajemy mu krew, ale niedotlenienie organizmu powoduje, że produkty przemiany materii nie są odprowadzane, krew się zakwasza i może uszkodzić serce, płuca, wątrobę i nerki.

– Jest przytomny?

– Nie.

– Jeśli musiałbym z nim porozmawiać, to czy da się coś zrobić?

– Jedyńm człowiekiem, który mógłby przyśpieszyć jego powrót do zdrowia, jest Erik Maria Bark.

– Hipnotyzer? – zdziwił się Jooną.

Uśmiechnęła się szeroko i zarumieniła.

– Nie nazywaj go tak, jeśli chcesz, żeby ci pomógł – poradziła po chwili. – Jest naszym najwybitniejszym specjalistą od leczenia szoku i urazów.

– Czy masz coś przeciwko temu, żebym poprosił go o przyjazd?

– Wręcz przeciwnie, sama o tym myślałam – odparła.

Jooną zaczął szukać komórki w kieszeniach, ale przypomniał sobie, że została w samochodzie, poprosił więc Daniellę Richards

o pożyczenie telefonu. Opisawszy sytuację Erikowi Marii Barkowi, zadzwonił ponownie do Susanne Granat z opieki społecznej i powiedział, że ma nadzieję wkrótce porozmawiać z Josefem Ekiem. Susanne Granat poinformowała go, że ma tę rodzinę w swoich rejestrach, że ojciec był uzależniony od hazardu i że trzy lata temu opieka społeczna kontaktowała się z córką.

– Z córką? – zdziwił się Joonas.

– Starszą córką Evelyn – wyjaśniła Susanne.

4 WTOREK RANO, ÓSMY GRUDNIA

Erik Maria Bark właśnie wrócił do domu z nocnej wizyty w Karolinska, gdzie spotkał się z komisarzem Jooną Linną. Polubił go, mimo iż ten próbował go nakłonić do złamania przyrzeczenia, że już nigdy nie użyje hipnozy. Może to nieskrywany, szczerzy niepokój policjanta o najstarszą siostrę wzbudzał sympatię. Ktoś prawdopodobnie w tej chwili na nią polował.

Erik wchodzi do sypialni i patrzy na swoją żonę Simone, leżącą w łóżku. Jest już bardzo zmęczony, tabletki zaczęły działać, bolą go oczy, powieki ciężą, nadchodzi sen. Simone leży w plamie światła przypominającej porysowaną szklaną płytę. Minęła prawie cała noc, odkąd ją zostawił, żeby zbadać rannego chłopca. Teraz Simone zajęła całe łóżko. Jej ciało jest bezwładne. Kołdra leży przy stopach, koszula nocna podsunęła się do talii. Leży rozluźniona, na brzuchu. Na ramionach i rękach ma gęsią skórę. Erik ostrożnie ją okrywa. Simone mówi coś cicho i kuli się. Erik siada, muska pieścotliwie jej kostkę, widzi, jak palce stóp reagują, poruszają się.

– Wezmę prysznic – mówi, odchylając się w tył.

– Jak nazywał się policjant? – mamrocze żona.

Ale zanim zdoła jej odpowiedzieć, nagle znajduje się w lasku przy Obserwatorium w Sztokholmie. Grzebie w piasku na placu zabaw i znajduje żółty kamień, jajowaty, wielkości dyni. Strzepuje z niego piach, z boku wyczuwa jakiś relief, ostry rząd zębów. Kiedy go odwraca, widzi, że to czaszka dinozaura.

– Idź do diabła! – wrzeszczy Simone.

Otrząsa się, zdając sobie sprawę, że zasnął i zaczął śnić. Silne prozki uspiły go w środku rozmowy. Próbuje się uśmiechnąć, ale napotyka chłodny wzrok Simone.

– Siħan? O co chodzi?

- Czy to się znowu zaczęło? – pyta żona.
- Co?
- Co, co? – powtarza zirytowana. – Kim jest Daniella?
- Daniella?
- Obiecałeś, przyrzekłeś mi, Erik – mówi wzburzona. – Ufałam ci, byłam tak głupia, że rzeczywiście zaufałam...
- O czym ty mówisz? – przerywa jej. – Daniella Richards to koleżanka z Karolinska. Co z nią nie tak?
- Nie kłam.
- To jakiś absurd – mówi Erik z uśmiechem.
- Uważasz, że to zabawne? Czasami myślałam... nawet w to wierzyłam, że uda mi się zapomnieć o tym, co się stało.
- Erik zasypia na parę sekund, ale słyszy jej słowa.
- Może powinniśmy zdecydować się na separację – szepce.
- Nic nie zaszło między mną a Daniellą.
- To właściwie nie ma znaczenia.
- Co? Nie ma znaczenia? Chcesz separacji z powodu jednej głupoty, którą popełniłem dziesięć lat temu?
- Jednej głupoty?
- Byłem pijany i...
- Nie chcę tego słuchać, wszystko wiem, ja... Do diabła! Nie chcę tej roli. Nie jestem zazdrosna z natury, jestem tylko lojalna i wymagam lojalności.
- Nigdy więcej cię nie zawiodłem i nigdy nie...
- Czemu mi tego nie udowodnisz? – przerywa mu. – Właśnie tego bym potrzebowała.
- Musisz po prostu mi zaufać.
- Jasne... – wzdycha Simone i wychodzi z pokoju z poduszką i kołdrą.

Erik oddycha ciężko. Wie, że powinien za nią pójść, nie poddawać się, powinien zaciągnąć ją z powrotem do łóżka albo położyć się na podłodze obok sofy w pokoju gościnnym, ale pokonuje go senność. Nie ma siły dłużej się opierać. Pada na łóżko, czuje, jak

dopamina zawarta w tabletkach krąży w jego ciele, cudowne rozluźnienie ogarnia jego twarz, palce u stóp i koniuszki palców dłoni. Ciężki chemiczny sen otacza jego świadomość niczym chmura pyłu.

Dwie godziny później Erik uchyla powieki w bladym świetle przenikającym przez firanki. Natychmiast przed oczyma stają mu obrazy z nocy: oskarżenia Simone i chłopiec, którego jasne ciało pokryte jest setkami czarnych ran od noża. Głębokich ran na karku, szyi i klatce piersiowej.

Erik myśli o komisarzu policji, który zdawał się przekonany, że sprawca chciał wymordować całą rodzinę. Najpierw ojca, potem matkę, syna i córkę.

Dzwoni telefon na szafce obok łóżka.

Erik podnosi się, ale zamiast odebrać, rozsuwa firanki i spod przymrużonych powiek patrzy na przeciwległą fasadę, odczekuje chwilę, próbując zebrać myśli. W porannym słońcu wyraźnie widać smugi kurzu na szybach.

Simone poszła już do galerii. Nie rozumie jej reakcji, nie wie, dlaczego mówiła o Danielli. Zastanawia się, czy nie chodzi tu o coś zupełnie innego. Może tabletki. Jest świadomy, że stoi na granicy poważnego uzależnienia. Musi jednak spać. Wszystkie te nocne dyżury w szpitalu zniszczyły mu sen. Bez tabletek przepadłbym, myśli, sięgając po budzik, ale zrzuca go na podłogę.

Telefon milknie, ale tylko na chwilę, bo zaraz zaczyna dzwonić od nowa.

Erik zastanawia się, czy nie pójść do Benjaminia i nie położyć się obok syna, ostrożnie go zbudzić i spytać, czy coś mu się śniło.

Bierze telefon z szafki nocnej i odbiera.

– Erik Maria Bark.

– Cześć, tu Daniella Richards.

– Jesteś jeszcze na neurochirurgii? Która jest właściwie godzina?

– Kwadrans po ósmej. Zaczynam być trochę zmęczona.

– Jedź do domu.

– Wręcz przeciwnie – mówi Daniella spokojnie. – To ty musisz tu wrócić. Komisarz jest już w drodze. Wydaje się jeszcze mocniej przekonany, że sprawca poluje na najstarszą córkę. Twierdzi, że musi porozmawiać z chłopcem.

Erik czuje w głowie nagły, mroczny ciężar.

– To raczej nie jest dobry pomysł, jako że...

– Ale siostra... – przerywa mu Daniella. – Chyba wkrótce dam komisarzowi zielone światło do przesłuchania Josefa.

– Jeśli uważasz, że on to wytrzyma...

– Wytrzyma? Nie wytrzyma, jest zdecydowanie zbyt wcześnie, jego stan jest... Dowie się, co się stało z całą jego rodziną, nieprzygotowany, nie mając czasu na zbudowanie jakiejś ochrony... Może wpaść w psychozę, może...

– Do ciebie należy ocena – ucina Erik.

– Nie chcę wpuścić policji, ale nie mogę też tylko czekać... Jego siostra bez wątplenia jest w niebezpieczeństwie.

– Ale to...

– Erik, morderca szuka najstarszej córki! – przerywa mu Daniella podniesionym głosem.

– Przypuszczalnie tak...

– Wybacz, nie wiem, czemu mnie to tak wytrąca z równowagi. Może dlatego, że nie jest za późno, że jeszcze da się coś zrobić. Nieczęsto się to zdarza, ale tym razem moglibyśmy uratować dziewczynę, zanim...

– Czego właściwie chcesz? – wchodzi jej w słowo Erik.

– Musisz tu przyjechać i zrobić to, w czym jesteś dobry.

– Mogę porozmawiać z chłopcem o tym, co zaszło, kiedy się lepiej poczuje.

– Masz przyjechać i go zahipnotyzować.

– Nie, nie ma mowy.

– To jedyne wyjście.

– Nie mogę.

– Jesteś najlepszy.

– Nie mam nawet pozwolenia na wykorzystywanie hipnozy w Karolinska...

– Załatwię to, zanim się tu zjawisz.

– Ale przyrzekłem już nigdy tego nie robić.

– Czy nie możesz po prostu tu przyjechać?

Na chwilę zalega cisza, po niej Erik pyta:

– Jest przytomny?

– Wkrótce będzie.

Erik słyszy w słuchawce szum własnego oddechu.

– Jeśli nie zahipnotyzujesz tego chłopca, pozwolę wejść policji.

Daniella odkłada słuchawkę.

Erik stoi z telefonem w drżącej dłoni. Ciężar zza oczu przetacza się do mózgu. Otwiera szafkę nocną. Nie ma w niej drewnianego pudełka z papugą. Musiał je zostawić w samochodzie.

Idzie przez zalane słońcem mieszkanie, żeby zbudzić Benjamina.

Chłopiec śpi z otwartymi ustami, ma bladą twarz i wygląda na zmęczonego, mimo całonocnego snu.

– Benni?

Benjamin otwiera zaspane oczy i przez chwilę patrzy na niego jak na zupełnie obcą osobę, zanim nie rozjaśni się uśmiechem, takim samym od urodzenia.

– Jest wtorek. Czas wstawać.

Benjamin, ziewając, siada na łóżku, drapie się po głowie i zerka na komórkę wiszącą mu na szyi. To pierwsza rzecz, jaką robi każdego ranka: sprawdza, czy w nocy nie przegapił jakiejś wiadomości. Erik wyciąga żółtą torbę Pумы, w której trzyma czynnik krzepnięcia, desmopresynę, altacet, sterylne igły, gaziki, taśmę chirurgiczną i środki przeciwbólowe.

– Teraz czy przy śniadaniu?

Benjamin wzrusza ramionami.

– Wszystko jedno.

Erik przeciera szczupłą rękę syna, obraca ku światłu, czuje

miękkosć mięśni, stuka w strzykawkę i ostrosźnie wbija igłę pod skórę. Powoli opróżnia zawartość, podczas gdy Benjamin wolną ręką pisze coś na komórce.

– *Shit*, kończy mi się bateria – mówi i kładzie się na łóżku, a Erik przyciska mu do ramienia gazik, żeby zatamować krwawienie. Benjamin musi dość długo czekać, zanim będzie można zakleić rankę plastrem.

Delikatnie zgina nogi chłopca, tam i z powrotem, następnie ćwiczy jego szczupłe stawy kolanowe i kończy masażem stóp i palców.

– I jak tam? – pyta, obserwując ciągle jego twarz.

Benjamin krzywi się.

– Jak zwykle – odpowiada.

– Chcesz coś przeciwbólowego?

Syn kręci głową, a Erik nagle przypomina sobie nieprzytomnego świadka, chłopca z ranami od noża. Może w tej właśnie chwili zabójca poszukuje jego dorosłej siostry.

– Tato? Co się stało? – pyta niepewnie Benjamin.

Erik patrzy mu w oczy i mówi:

– Podwiozę cię do szkoły, jeśli chcesz.

– Po co?

Samochody w korku mruczą monotennie. Benjamin siedzi obok ojca i daje się powoli uśpić falowaniu auta. Ziewa przeciągle, wciąż jeszcze czuje miękkie ciepło wypełniające ciało po nocnym odpoczynku. Myśli o tym, że tacie się śpieszy, ale że mimo to znajduje czas, żeby go podwieźć do szkoły. Uśmiecha się sam do siebie. Zawsze tak było. Kiedy tata w szpitalu widzi straszne rzeczy, to potem jeszcze bardziej się martwi, że coś mi się może stać.

– I tak zapomnieliśmy łyżew – mówi nagle Erik.

– Faktycznie.

– Zawracamy?

– Nie, nie trzeba, nie szkodzi – zapewnia Benjamin.

Erik próbuje zmienić pas, ale blokuje go inny samochód. Kiedy zmuszony jest z powrotem wjechać na swoje miejsce, prawie zderza się ze śmieciarką.

– Zdążymy zawrócić i...

– Ołać łyżwy, nie zależy mi. – Benjamin podnosi głos.

Erik zerka na niego ze zdziwieniem.

– Myślałem, że to lubisz...

Benjamin nie wie, co odpowiedzieć, nie cierpi wypytywania, nie chce zacząć kłamać.

– Nie jest tak? – pyta ojciec.

– Co takiego?

– Nie lubisz jeździć na łyżwach?

– A dlaczego miałbym lubić? – mamrocze.

– Kupiliśmy całkiem nowe...

– Co w tym fajnego? – przerywa mu Benjamin ze zmęczeniem.

– Czyli mam po nie nie wracać?

Chłopiec wzdycha tylko w odpowiedzi.

– Nudzą cię łyżwy – mówi Erik. – Nudzą szachy i gry telewizyjne.

Co ty tak właściwie lubisz robić?

– Nie wiem.

– Nic?

– Nie, no...

– Oglądać filmy?

– Czasami.

– Czasami? – Erik uśmiecha się.

– Tak.

– I mówisz to ty, który potrafisz obejrzeć trzy lub cztery filmy jednego wieczoru.

– I co z tego?

– Nie, nic – odpowiada Erik, uśmiechając się. – Co miałoby być? Można by się zastanawiać, ile filmów dziennie byłbyś w stanie obejrzeć, gdybyś naprawdę to lubił. Gdybyś to uwielbiał...

– Daj spokój.

– Może miałbyś podwójne monitory i przewijałbyś do przodu, żeby zdążyć.

Benjamin nie może powstrzymać się od śmiechu, kiedy tata się z nim przekomarza.

Nagle słychać głuchy łoskot i na niebie pojawia się błękitna gwiazda, z opadającymi z ramion jęzorami dymu.

– Dziwna pora na fajerwerki – zauważa Benjamin.

– Co?

– Patrz!

Na niebie wisi gwiazda z dymu. Z jakiegoś powodu Benjamin przypomina sobie Aidę, czuje skurcz w brzuchu i robi mu się gorąco. W zeszły piątek siedzieli w milczeniu, blisko siebie, na sofie w ciasnym salonie w domu Aidy w Sundbybergu. Oglądali film *Elephant*, podczas gdy jej młodszy brat bawił się na podłodze kartami Pokémona i mówił sam do siebie.

Kiedy Erik parkuje przed szkołą, Benjamin zauważa Aidę. Stoi po drugiej stronie ogrodzenia i czeka na niego. Macha ręką na jego widok. Benjamin bierze swoją torbę i rzuca zdenerwowany:

– Cześć, tato, dzięki za podwiezienie.

– Kocham cię – mówi cicho Erik.

Benjamin kiwa głową i wycofuje się.

– Obejrzymy wieczorem jakiś film?

– Nie wiem – odpowiada chłopiec, ze wzrokiem wbitym w ziemię.

– Czy to jest Aida? – pyta Erik.

– Tak. – Benjamin potwierdza prawie bezgłośnie.

– Chciałbym się z nią przywitać – stwierdza Erik, wysiadając z samochodu.

– Ale po co?

Podchodzą do dziewczyny. Benjamin nie ma odwagi na nią spojrzeć, czuje się jak małe dziecko. Nie wolno jej pomyśleć, że chce, żeby jego tata ją zaaprobował. Ma gdzieś, co myśli tata. Aida wygląda na zdenerwowaną, kiedy idą ku niej. Spogląda najpierw

na Benjamin, a potem na jego ojca. Zanim Benjamin zdąży z jakimś wyjaśnieniem, Erik wyciąga rękę i mówi:

– Cześć.

Aida z rezerwą podaje mu dłoń. Chłopiec zauważa, że ojca zatkało na widok jej tatuażu: na szyi ma swastykę, a obok małeńką gwiazdę Dawida. Pomalowała oczy na czarno, włosy ma splecione w dwa dziecinne warkoczyki, ubrana jest w czarną skórzaną kurtkę i szeroką, ufarbowaną na czarno spódnicę z tiulu.

– Jestem Erik, tata Benjamin – przedstawia się.

– Aida.

Jej głos jest jasny i delikatny. Benjamin rumieni się, patrzy nerwowo na dziewczynę, a potem znów w ziemię.

– Jesteś nazistką? – pyta Erik.

– A ty? – Aida odbija piłeczkę.

– Nie.

– Ja też nie – stwierdza i przez krótką chwilę patrzy mu prosto w oczy.

– Dlaczego masz...

– Dla niczego – wpada mu w słowo. – Jestem niczym, jestem tylko...

Benjamin przerywa im, ze wstydu za ojca serce bije mu jak młotem.

– Kilka lat temu wpadła w pewne kręgi – mówi głośno. – Ale uznała, że to idioci i...

– Nie musisz mu tłumaczyć. – Zirytowana dziewczyna nie daje mu skończyć.

Chłopiec milknie na chwilę.

– Ja... myślę tylko, że przyznawanie się do własnych błędów świadczy o odwadze – mówi po chwili.

– Tak, ale ja odbieram to inaczej – wtrąca się Erik. – Że niepozbycie się tego jest brakiem zrozumienia...

– Dość! – krzyczy Benjamin. – Nic o niej nie wiesz.

Aida odwraca się tylko i odchodzi. Benjamin biegnie za nią.

- Wybacz – dyszy. – Tata, on jest żałosny...
- A nie ma racji?
- Nie – odpowiada cicho chłopiec.
- Chyba właśnie ma – przyznaje Aida, uśmiechając się lekko, i chwyta Benjamina za rękę.

5 WTOREK PRZED POŁUDNIEM, ÓSMY GRUDNIA

Dział medycyny sądowej mieści się w czerwonym budynku z cegły przy ulicy Retzius väg 5, pośrodku kampusu Instytutu Karolinska, otoczony ze wszystkich stron rozległymi zespołami budynków. Joon Linna skręca za jego rogiem, zatrzymuje się i zostawia samochód na parkingu dla gości. W drodze do głównego wejścia mija niewielki, pokryty szronem trawnik i stalową rampę do rozładunku.

Joon myśli, że to dziwne, iż słowo obdukcja pochodzi od łacińskiego „przykrywać, okrywać, zasłaniać”, podczas gdy robi się coś wręcz odwrotnego. Może po prostu chodzi o to, że podświadomie chciano podkreślić zakończenie tego procesu, kiedy ciało po przeprowadzonej sekcji zamyka się, a wnętrze w końcu znowu zostaje zakryte.

Zgłosivszy się w recepcji, może wreszcie pójść do Nilsa Åléna, profesora medycyny sądowej, zwanego „Nålenem” od podpisu na raportach: N Ålén.

Gabinet Nålena jest urządzony nowocześnie, czyste powierzchnie lśniącej bieli i matowej jasnej szarości. Drogo i zgodnie z najnowszymi trendami. Nieliczne krzesła i fotele zrobione ze szlifowanej stali mają twarde siedzenia pokryte białą skórą. Światło nad biurkiem pada z dużej szklanej płyty, podwieszanej pod sufitem.

Nålen podaje Joonie rękę, nie wstając z krzesła. Pod lekarskim fartuchem ubrany jest w biały golf, nosi okulary pilotki w białych oprawkach. Twarz ma gładko ogoloną i szczupłą, siwe włosy przystrzyżone na jeża, usta blade, a nos długi i krzywy.

– Dzień dobry – mówi przez zaciśnięte zęby.

Na ścianie wisi wyblakła fotografia Nålana i kilku jego kolegów: lekarzy medycyny sądowej, chemików, genetyków i odontologów sądowych. Wszyscy w białych fartuchach i z zadowolonymi minami. Zebrali się wokół stołu, na którym leży kilka ciemnych fragmentów kości. Podpis pod zdjęciem informuje, że chodzi tu o znalezisko z grobów z IX wieku, wykopaliska nieopodal Birki, ośrodka handlu na Björkö.

– Nowe zdjęcie – odzywa się Joono.

– Muszę przyklejać fotografie taśmą. – Nålan jest wyraźnie niezadowolony. – Na starej patologii mieli obraz o powierzchni osiemnastu metrów kwadratowych.

– Ojej... – Joono wyraża zainteresowanie.

– Namalowany przez Petera Weissa.

– Tego pisarza?

Nålan potwierdza skinieniem, a blask lampy na biurku odbija się w jego pilotkach.

– Tak, sportretował w latach czterdziestych cały instytut. Pół roku pracy, za którą, jak słyszałem, dostał sześćset koron. Mój ojciec jest wśród obducentów na obrazie. U dołu, obok Bertila Falconera.

Nålan przekrzywia głowę i wraca do komputera.

– Siedzę tu nad protokołem z morderstwa w Tumbie – mówi, cedząc słowa.

– Tak?

Nålan zerka na Joonę.

– Carlos dzwonił dziś rano i poganiał mnie.

Joono uśmiecha się.

– Wiem.

Nålan poprawia okulary na nosie.

– To ustalenie czasu zgonów jest rzeczywiście istotne.

– Właśnie, musieliśmy wiedzieć, w jakiej kolejności...

Nålan przeszukuje pliki w komputerze, ściągając usta w dzióbek:

– To była tylko wstępna ocena, ale...

– Że mężczyzna zginął jako pierwszy?

– Właśnie tak... wyszedłem tylko od temperatury ciał – wyjaśnia, wskazując na ekran. – Erixon powiedział, że w obydwu pomieszczeniach, szatni i domu Eków, panowała ta sama temperatura, więc moim zdaniem mężczyzna zmarł trochę ponad godzinę przed pozostałą dwójką.

– Czy teraz zmieniłeś zdanie?

Lekarz kręci głową i wstaje z jęknięciem.

– Dyskopatia – mówi tonem wyjaśnienia, potem wychodzi z gabinetu i rusza korytarzem.

Joona idzie za Nålenem, który powoli kuśtyka do prosektorium.

Mijają ciemną salę ze stojącym pośrodku stalowym stołem do sekcji. Przypomina blat nierdzewny w kuchni, tyle że z kwadratowymi segmentami i z podwyższonymi brzegami. Wchodzą do chłodniejszego pomieszczenia, gdzie przebadane ciała przechowywane są w komorach o temperaturze czterech stopni. Nålen staje, sprawdza numer, wyciąga wielką szufladę i widzi, że jest pusta.

– Nie ma – uśmiecha się i idzie dalej korytarzem, którego podłogę pokrywają tysiące śladów kółek, otwiera inne drzwi i przepuszcza Joone.

Znajdują się w jasnej sali pokrytej białymi kafelkami, z dużą umywalką pod ścianą. Woda ścieka z pomarańczowego węża do odpływu w podłodze. Na długim, okrytym folią stole sekcyjnym leży bezbarwne ciało, pokryte setkami ciemnych ran.

– Katja Ek – stwierdza Joona.

Martwa kobieta ma dziwnie spokojny wyraz twarzy, usta na wpół otwarte, nieruchome oczy. Wygląda, jakby słuchała pięknej muzyki. Jej mina nie łączy się w żaden sposób z długimi cięciami na czole i policzkach. Joona przesuwając wzrokiem po ciele. Wokół szyi można już dostrzec marmurowy wzór żył.

– Mamy nadzieję skończyć sekcję dziś po południu.

– Na Boga, oby! – wzdycha Joona.

Otwierają się drugie drzwi i wchodzi młody mężczyzna,

uśmiechając się niepewnie. W brwiach ma sporo kolczyków, farbowane na czarno włosy związane w kucyk odcinają się na plecach od białego lekarskiego fartucha. Nålen z lekkim uśmiechem wznosi pięść w hardrockowym pozdrowieniu, które chłopak natychmiast odwzajemnia.

– To Joon Linna z Rikskrimu – wyjaśnia Nålen. – Jeden z tych, co czasami tu do nas wpadają.

– Frippe – przedstawia się młodzieniec i ściska dłoń Joony.

– Jest u nas na specjalizacji – dodaje profesor.

Frippe naciąga parę lateksowych rękawiczek, Joon podchodzi z nim do stołu. Zimne powietrze otaczające kobietę ma nieprzyjemny zapach.

– Ona jest z nich wszystkich najmniej pokiereszowana – zaznacza Nålen. – Nawet mimo tak wielu ran kłutych i ciętych.

Przyglądają się zmarłej. Na jej ciele widoczne są różnej wielkości obrażenia.

– Poza tym, w odróżnieniu od tamtych, nie jest ani okaleczona, ani poćwiartowana – mówi dalej. – Bezpośrednią przyczyną zgonu nie są rany na szyi, tylko ta, która trafiła prosto w serce, jak widać na zdjęciu z tomografu.

– Ale na zdjęciu dość trudno dostrzec krwawienia – dodaje Frippe.

– Oczywiście sprawdzimy to po otwarciu ciała – wyjaśnia Nålen Joonie.

– Broniła się – zauważa Joon.

– Myślę, że początkowo aktywnie stawiała opór, jeśli spojrzeć na rany na dłoniach – potwierdza profesor. – Ale potem starała się tylko unikać ciosów i osłaniać się.

Młody lekarz spogląda Nålenowi w oczy, jakby chciał o coś zapytać.

– Zwróćcie uwagę na obrażenia na wyprostnej stronie ramion.

– Rany w obronie własnej – mamrocze Joon.

– Właśnie.

Joon nachyla się i przygląda brązowożółtym plamom

widocznym w otwartych oczach kobiety.

– Patrzysz na plamy?

– Tak...

– Widać je dopiero kilka godzin po śmierci, czasami zajmuje to kilka dób – wyjaśnia lekarz. – Na koniec zrobią się całkiem czarne. To przez spadek ciśnienia w gałce ocznej.

Nålen bierze z półki młotek neurologiczny i poleca Frippemu sprawdzić, czy występuje jeszcze odruchowy skurcz mięśnia. Młody lekarz uderza w biceps kobiety i próbuje wyczuć palcami reakcję.

– Minimalny.

– Ustaje po upływie około trzynastu godzin – wyjaśnia Nålen.

– Zmarli nie są całkiem zmarli – mówi Jooną, czując dreszcz na widok ruchu wiotkiej ręki Katji.

– *Mortui vivos docent*. Umarli uczą żywych – odpowiada profesor, uśmiechając się do siebie, podczas gdy Frippe odwraca kobietę na brzuch.

Wskazuje na rozmazane brunatne plamy na jej pośladkach i wzdłuż kręgosłupa, pod łopatkami i ramionami:

– Plamy opadowe są niewyraźne, jeśli ofiara straci dużo krwi.

– To jasne – mówi Jooną.

– Krew jest ciężka, a po śmierci zanika wewnętrzny system utrzymujący ciśnienie – wyjaśnia profesor młodemu. – To być może oczywistość, ale krew spływa w dół i zbiera się po prostu w najniższych położonych miejscach, gdzie najczęściej jest widoczna w punktach zetknięcia z podłożem.

Uciska kciukiem jedną z plam, aż ta prawie całkiem znika.

– Tak, sam widzisz... Znikają pod naciskiem do doby po śmierci.

– Ale mnie się zdawało, że widziałem też plamy na biodrach i piersi – mówi Jooną z wahaniem.

– Brawo – chwali go Nålen i patrzy na niego ze zdziwionym uśmiechem. – Nie przypuszczałem, że zwrócisz na to uwagę.

– Leżała zatem martwa na brzuchu, zanim została odwrócona – stwierdza Jooną z napięciem.

– Stawiałbym na dwie godziny.

– Zatem sprawca został dwie godziny – zastanawia się Joon na głos. – Albo wrócił na miejsce zbrodni i obrócił ją. On albo ktoś inny.

Nålen wzrusza ramionami.

– Do ostatecznych wniosków jeszcze daleko.

– Mogę o coś spytać? Zauważyłem, że jedna z ran na brzuchu wygląda jak cesarskie cięcie...

– Cesarskie cięcie – uśmiecha się Nålen. – Czemu nie? Popatrzmy.

Lekarze odwracają z powrotem ciało.

– To miałeś na myśli?

Profesor wskazuje na dużą ranę ciętą ciągnącą się od pępka, piętnaście centymetrów w dół.

– Tak – potwierdza Joon.

– Nie miałem jeszcze czasu zbadać wszystkich obrażeń.

– *Vulnera incisa s scissa* – odzywa się Frippe.

– Tak, wygląda to na, jak to się mówi, ranę ciętą – zgadza się Nålen.

– A nie kłutą? – pyta Joon.

– Z uwagi na regularną linię i na to, że skóra wokół jest nietknięta...

Lekarz wkłada palec do rany, a Frippe nachyla się, żeby popatrzeć.

– Taa...

– Ściany – ciągnie dalej Nålen. – Nie są szczególnie przesiąknięte krwią, ale...

Nagle milknie.

– To cięcie zrobiono po jej śmierci – stwierdza.

Zdejmuje rękawiczki.

– Muszę spojrzeć na tomografię komputerową – mówi nerwowo i podchodzi do komputera, który stoi na stole przy wejściu.

Przechodzi przez trójwymiarowe obrazy, zatrzymuje się, szuka dalej i zmienia kąt.

– Rana wydaje się sięgać macicy – szepce. – Wygląda, jakby

prowadziła po starych bliznach.

– Starych? Co masz na myśli? – pyta Jooną.

– Nie zauważyłeś? – Nålen uśmiecha się i wraca do ciała. – Nagłe cesarskie cięcie.

Wskazuje na pionową ranę. Jooną przygląda się i widzi, że wzdłuż jednego brzegu biegnie ścieg blad różowych śladów po szwach, po dawno zagojonym cesarskim cięciu.

– Ale teraz nie była w ciąży? – pyta Jooną.

– Nie – śmieje się Nålen i podsuwa wyżej okulary.

– Mamy do czynienia z zabójcą o chirurgicznych zdolnościach?

Nålen kręci głową, a Jooną myśli, że ktoś zamordował Katję Ek z niespotykaną agresją i furją. Dwie godziny później wrócił, położył ją na plecach i rozplątał jej bliznę po cesarskim cięciu.

– Sprawdź, czy na pozostałych ciałach znajdziecie coś podobnego.

– Mamy to traktować priorytetowo? – pyta Nålen.

– Tak, raczej tak – odpowiada Jooną.

– Nie jesteś pewien?

– Jestem.

– Ale chcesz, żebyśmy wszystko traktowali priorytetowo.

– Mniej więcej. – Jooną uśmiecha się i wychodzi.

Kiedy na parkingu wsiada do samochodu, zaczyna marznąć. Odpala, wyjeżdża na Retzius väg, podkręca ogrzewanie i wybiera numer do prokuratora generalnego Jensa Svanehjälma.

– Svanehjälme.

– Tu Jooną Linna.

– Dzień dobry... Właśnie skończyłem rozmawiać z Carlosem. Wspominał, że miałeś się odezwać.

– Trudno było stwierdzić, na czym stoimy.

– Jesteś w samochodzie?

– Właśnie wyszedłem z Zakładu Medycyny Sądowej i chciałem po drodze wpaść do szpitala. Naprawdę muszę przesłuchać tę ocalałą ofiarę.

– Carlos wyjaśnił mi sytuację – mówi Jens. – Uruchomiłeś już

grupę profilującą?

– Mamy za mało na portret psychologiczny – odpowiada Joono.

– Tak, wiem, zgadzam się z tobą. Jedyna szansa na ochronienie starszej siostry to przesłuchanie chłopca, po prostu.

Joono dostrzega nagle bezgłośny wybuch fajerwerków – błękitną gwiazdę daleko nad dachami Sztokholmu.

– Jestem w kontakcie z... – mówi dalej i odchrząkuje. – Jestem w kontakcie z Susanne Granat z opieki społecznej i chciałem wziąć ze sobą psychiatrę Erika Marię Barka, specjalistę od szoku i traumy.

– Czyli wszystko prawidłowo – uspokaja go Jens.

– No to jadę prosto na neurochirurgię.

– Jedź.

6 NOC SIÓDMEGO NA ÓSMY GRUDNIA

Z jakiegoś powodu Simone budzi się, jeszcze zanim telefon na szafce nocnej Erika zaczyna wydawać długie, brzęczące sygnały.

Erik mamrocze coś o balonach i serpentynach, zabiera komórkę i pośpiesznie wychodzi z pokoju.

Przed odebraniem zamyka drzwi. Ton głosu, dobiegający z drugiego pokoju, wydaje jej się czuły, prawie tkliwy. Po chwili Erik wślizguje się do sypialni, Simone pyta go więc, kto dzwonił.

– Policjant... jakiś komisarz kryminalny, nie dosłyszałem nazwiska
– odpowiada Erik i dodaje, że musi jechać do szpitala Karolinska.

Simone patrzy na budzik i zamyka oczy.

– Śpij, Sihan – szepce Erik i wychodzi.

Koszula nocna przekręciła się i gniecie ją w lewą pierś. Simone poprawia ją, obraca się na bok i leży w ciszy, nasłuchując ruchów Erika.

Mężczyzna ubiera się, szuka czegoś w garderobie, korzysta z łóżki do butów, wychodzi z mieszkania i zamyka za sobą drzwi na klucz.

Simone leży w łóżku, długo próbuje zasnąć, ale bezskutecznie. Nie wydaje jej się, żeby Erik rozmawiał z policjantem, był zbyt rozluźniony. Może po prostu zmęczony...

Wstaje, idzie się wysikać, wypija trochę jogurtu i kładzie się z powrotem. Potem zaczyna rozmyślać o wydarzeniach sprzed dziesięciu lat, co na dobre wytrąca ją ze snu. Leży jeszcze pół godziny, potem siada, włącza lampkę, bierze do ręki telefon, patrzy na wyświetlacz i wyszukuje ostatnią rozmowę przychodzącą. Wie, że powinna zgasić światło i iść spać, ale i tak dzwoni pod ten numer. Trzy sygnały. Trzask i śmiech kobiety w pewnym oddaleniu.

– Erik, daj spokój! – Słyszy rozbawiony głos, a potem: – Tak, tu Daniella. Halo?

Kobieta po drugiej stronie linii odczekuje chwilę, a potem zmęczonym, pytającym tonem rzuca *aloha*, i przerywa połączenie. Simone siedzi ze słuchawką w rękę. Próbuje zrozumieć, dlaczego Erik powiedział, że to dzwonił policjant, mężczyzna. Chciałaby znaleźć rozsądne wytłumaczenie, ale mimowolnie wraca myślami do tego dnia sprzed dziesięciu lat, kiedy dotarło do niej, że Erik ją zdradzał, że kłamał jej prosto w oczy.

To był akurat ten dzień, w którym Erik oznajmił, że na zawsze skończył z hipnozą.

Simone pamięta, że wyjątkowo nie była w swojej nowo otwartej galerii, może Benjamin nie poszedł do przedszkola, może wzięła wolne, ale w każdym razie tego dnia siedziała przy jasnym kuchennym stole w domu w Järfälli i przeglądała pocztę, gdy nagle zauważyła jasnoniebieską kopertę zaadresowaną do Erika. Nie było adresu nadawcy, tylko imię: Maja.

Są takie chwile, kiedy człowiek każdą cząsteczką swego ciała czuje, że coś jest nie w porządku. Może nabawiła się lęku przed niewiernością, obserwując, jak jej ojciec był oszukiwany. On, który aż do emerytury pracował jako policjant i dostał nawet medal za zasługi w pracy śledczej, potrzebował wielu lat, żeby odkryć coraz bardziej ewidentną niewierność żony.

Pamięta, jak się schowała tego dnia, kiedy doszło do straszliwej awantury między rodzicami, która zakończyła się porzuceniem ich przez mamę. Przez ostatnie lata matka spotykała się z sąsiadem, alkoholikiem na rencie, który dawno temu nagrał kilka płyt z muzyką taneczną. Mama przeprowadziła się z nim do mieszkania w Fuengirolí na hiszpańskim wybrzeżu.

Żyli z ojcem dalej, zaciskając zęby. Doszli do wniosku, że w zasadzie i tak w tej rodzinie było ich tylko dwoje. Dorosła, odziedziczyła po matce tę samą piegowatą cerę, te same rudozłote kręcone włosy. Ale w odróżnieniu od matki Simone miała usta stworzone do śmiechu. Tak jej kiedyś powiedział Erik i spodobało jej się to określenie.

W młodości chciała zostać artystką, ale zrezygnowała z tego, bo zabrakło jej odwagi. Jej tata, Kennet, przekonywał ją, żeby zdobyła jakiś porządny, pewny zawód. Doszli do kompromisu. Zaczęła studiować historię sztuki, zaskakująco dobrze czując się wśród studentów, i napisała sporo artykułów o szwedzkim malarzu Oli Billgrenie.

Na uczelnianej imprezie spotkała Erika. Podszedł do niej z gratulacjami, myślał, że to ona się doktoryzowała. Kiedy zrozumiał swoją omyłkę, zarumienił się, przeprosił i chciał odejść. Ale coś – nie tylko to, że był wysoki i przystojny, być może jego taktowny sposób bycia – skłoniło ją do zagadnięcia go. Rozmowa od początku była interesująca i zabawna, ciągnęli ją, poruszając coraz to nowe tematy. Spotkali się znowu już następnego dnia, poszli do kina na Fanny i Aleksandra Ingmara Bergmana.

Simone była żoną Erika od ośmiu lat, kiedy drżącymi palcami otwierała kopertę od nadawcy „Maja”. Na kuchenny stół w ich domu wysypało się dziesięć fotografii. Nie robił ich profesjonalista. Nieostre zbliżenia kobiecych piersi, usta i naga szyja, jasnozielone figi i czarne poskręcane włosy. Na jednym ze zdjęć był Erik. Wyglądał na zaskoczonego i szczęśliwego. Maja okazała się śliczną, młodą dziewczyną o ciemnych, mocnych brwiach. Miała duże, poważne usta. Leżała w samych majtkach na wąskim łóżku, kosmyki czarnych włosów spływały jej na piersi. Była zadowolona, zarumieniona.

Trudno przywołać to poczucie zdrady. Od dawna zostały tylko żal i dziwne, puste ssanie w brzuchu, chęć uniknięcia bolesnych wspomnień. Mimo to pamięta, że pierwszą reakcją było zaskoczenie. Rozdziawione, głupie zdziwienie, że zostało się totalnie oszukany przez kogoś, komu się bezgranicznie ufało. A potem wstyd, po którym przyszły rozpaczliwa świadomość własnej niewystarczalności, kipiący gniew i samotność.

Simone leży w łóżku, podczas gdy myśli krążą jej po głowie, odbijając w różnych bolesnych kierunkach. Powoli nad miastem

nastaje świt. Zapada w drzemkę kilka minut przed powrotem Erika ze szpitala. On próbuje nie hałasować, ale kiedy siada na brzegu łóżka, Simone budzi się. Erik mówi, że idzie pod prysznic. Widać po nim, że znowu nafaszerował się tabletkami. Z walącym sercem Simone pyta go o nazwisko policjanta, który dzwonił w nocy, ale on nie odpowiada, bo zasnął w pół rozmowy. Wtedy Simone wyjaśnia, że dzwoniła pod ten numer i że odebrał nie policjant, lecz jakaś rozchichotana kobieta o imieniu Daniella. Erik nie jest w stanie utrzymać oczu otwartych i znowu zasypia. Wtedy ona krzyczy na niego, żąda odpowiedzi, oskarża go, że wszystko zniszczył, kiedy właśnie znów zaczęła mu ufać.

Siedzi na łóżku i patrzy na niego. On chyba nie rozumie jej wzburzenia. Simone myśli, że nie zniesie więcej kłamstw. A potem wypowiada te słowa, które już wielokrotnie pojawiały się w jej głowie, ale które naraz wydają się takie odległe, bolesne i przegrane.

– Może powinniśmy się rozejść.

Simone wychodzi z sypialni z poduszką i kołdrą, słyszy za sobą skrzypienie łóżka i ma nadzieję, że Erik pójdzie za nią, pocieszy i wyjaśni, co się stało. On jednak zostaje w sypialni, a Simone zamyka się w pokoju gościnnym, długo płacze, w końcu wydmuchuje nos. Kładzie się na kanapie i próbuje zasnąć, ale wie, że nie będzie w stanie stanąć oko w oko ani z Erikiem, ani z Benjaminem. Idzie do łazienki, obmywa twarz, szoruje zęby, robi makijaż i ubiera się. Widzi, że Benjamin wciąż śpi, zostawia mu karteczkę na stole i wychodzi z mieszkania, żeby przed pójściem do galerii zjeść jeszcze śniadanie na mieście.

Siedzi długo, czytając, w przeszklonej kafejce w parku Kungsträdgården, i zjada kanapkę, popijając kawą. Przez okno widzi, jak grupa osób przygotowuje jakiś występ. Przed dużą sceną rozstawiono różowe namioty, bariery odgradzają rampę do odpalania sztucznych ogni. Nagle coś się dzieje. Słychać trzask i jeden z fajerwerków wypala w powietrze. Mężczyźni cofają się

niezdarnie i wrzeszczą na siebie. Rakieta eksploduje przejrzystym niebieskim światłem na jasnym niebie, a wybuch rozbrzmiewa echem między domami.

7 WTOREK PRZED POŁUDNIEM, ÓSMY GRUDNIA

Dwoje rozsypujących się w proch ludzi tuli szary płód. Artysta Sim Shulman zmieszał ochrę, hematyt, tlenek magnezu i węgiel z tłuszczem zwierzęcym, a następnie rozprowadził kolory na wielkich kamiennych płytach. Miękkie, pełne miłości pociągnięcia. Zamiast pędzla Shulman użył patyka o zwęglonym końcu. Technikę zapożyczył z francuskiej i hiszpańskiej kultury magdaleńskiej sprzed około piętnastu tysięcy lat, kiedy to swój szczyt osiągnęły fantastyczne malowidła naskalne przedstawiające rozpędzone byki, bawiące się jelenie i tańczące ptaki.

Zamiast zwierząt Shulman malował postacie ludzi: ciepłe, zwiewne i jakby przypadkowo zachodzące na siebie. Kiedy Simone po raz pierwszy zobaczyła jego prace, od razu zaproponowała mu osobną wystawę w swojej galerii.

Swoje gęste czarne włosy Shulman wiąże zazwyczaj w koński ogon. Jego ciemna karnacja i wyraziste rysy twarzy świadczą o tym, że w żyłach płynie mu także iracka krew. Wychował się w Tenście, gdzie jego mieszkająca samotnie matka pracowała jako ekspedientka w supermarkecie Ica.

Jako dwunastolatek był członkiem młodzieżowego gangu trenującego sporty walki, który okradał chodzących samotnie nastolatków z pieniędzy i papierosów. Któregoś ranka znaleziono go na tylnym siedzeniu zaparkowanego samochodu. Wąchał klej, przez co stracił przytomność. Spadła mu temperatura ciała, a kiedy w końcu dotarła do niego karetka, jego serce przestało bić.

Sim Shulman przeżył i został objęty programem resocjalizacyjnym dla młodzieży. Młodzi mieli ukończyć

podstawówkę, a jednocześnie nauczyć się jakiegoś rzemiosła. Sim zdecydował, że chce zostać artystą, sam nie wiedząc, co to właściwie oznacza. Opieka społeczna nawiązała współpracę ze Szkołą Kultury i szwedzkim artystą Keve Lindbergiem. Sim opowiedział Simone, co czuł, kiedy po raz pierwszy wszedł do atelier Keve Lindberga. Wielki, jasny pokój pachniał terpentyną i farbami olejnymi. Szedł między ogromnymi płótnami, na których widniały jaskrawe twarze o otwartych ustach. Nieco ponad rok później został przyjęty na Akademię Sztuk Pięknych jako najmłodszy student w historii, w wieku zaledwie szesnastu lat.

– Nie, kamienne płyty musimy umieścić dość nisko – mówi Simone do Ylvy, swojej asystentki. – Fotograf zastosuje oświetlenie pośrednie. Będzie to dobrze wyglądać w katalogu. Może mogłybyśmy je po prostu ustawić na podłodze, oprzeć o ściany, a światło skierować...

– Oho, słodziak idzie – przerywa jej Ylva.

Simone odwraca się i widzi, jak jakiś mężczyzna szarpie za klamkę. Od razu go rozpoznaje. To malarz o nazwisku Norén, który uważa, że galeria powinna mieć osobną wystawę jego akwarel. Puka i krzyczy coś przez drzwi, poirytowany, zanim dociera do niego, że drzwi otwiera się do wewnątrz.

Mężczyzna jest niski i krępy. Wchodzi do środka, rozgląda się i zwraca do kobiet. Ylva obraca się na pięcie, mamrocząc coś o telefonie, i znika w biurze.

– Komuś zachciało się sikać – szczyrzy się Norén. – Nie ma tu żadnego faceta, z którym by można pogadać?

– O co chodzi? – pyta sucho Simone.

Gość kiwa głową w stronę jednego z obrazów Shulmana.

– To jest sztuka, tak?

– Tak – potwierdza Simone.

– Piękne damy – mówi Norén pogardliwie. – Nie możecie się napatrzeć na kutasa w cipie, co nie? Czy to nie o to w tym wszystkim chodzi?

– Proszę stąd wyjść – mówi Simone.

– Nie każesz mi...

– Znikaj stąd – przerywa mu.

– Kurwa mać – przeklina Norén i wychodzi z galerii. Odwraca się jeszcze w drzwiach, wrzeszczy coś i chwytą się za krocze.

Asystentka wychodzi z zaplecza, uśmiechając się słabo.

– Wybacz, że nawiałam. Cholernie mnie wystraszył poprzednim razem.

– Dobrze by było wyglądać jak ten Shulman, co? – pyta Simone, wskazując na wielki portret artysty, na którym pozuje w czarnym stroju ninja z mieczem uniesionym nad głową.

Śmieją się i postanawiają kupić dwa takie kostiumy, kiedy w torebce Simone zaczyna wibrować telefon.

– Galeria Simone Bark.

– Tu Siv Sturesson z sekretariatu szkoły. – Słyszysz głos starszej kobiety po drugiej stronie.

– Tak, słucham – mówi Simone z wahaniem. – Dzień dobry.

– Dzwonię, żeby zapytać, co się dzieje z Benjaminem.

– Z Benjaminem?

– Nie przyszedł dziś do szkoły – wyjaśnia kobieta – i nie zgłosił choroby. W takich wypadkach zawsze kontaktujemy się z rodzicami.

– Wie pani... – mówi Simone – zadzwonię do domu i sprawdzę to. Benjamin i Erik byli w domu rano, kiedy wyjeżdżałam. Oddzwonię.

Simone wyłącza się i od razu wybiera numer domowy. To niepodobne do Benjaminą, żeby zaspać albo lekceważyć zasady. I ona, i Erik niepokoiłi się nawet, że syn jest zbyt porządny.

Nikt w domu nie odbiera. Erikowi przypada dziś wolne przedpołudnie, mógłby dłużej pospać. Simone czuje, jak zalewa ją nowa fala lęku, ale potem myśli, że przypuszczalnie Erik leży na plecach i chrapie, uśpiony tabletkami, a Benjamin słucha głośno muzyki. Próbuje dzwonić na telefon Benjaminą. Nikt nie odbiera. Nagrywa krótką wiadomość, a następnie dzwoni na komórkę Erika, która oczywiście jest wyłączona.

– Ylva! – woła. – Muszę jechać do domu, niedługo wracam.

Asystentka wygląda zza drzwi biura, z grubym segregatorem w rękach, uśmiecha się i krzyczy:

– No to buźka!

Ale Simone jest zbyt zestresowana, żeby odpowiedzieć żartem. Narzuca płaszcz na ramiona i biegnie do metra.

Przed drzwiami pustych mieszkań panuje szczególny rodzaj ciszy. Już wsadzając klucz do zamka, Simone wie, że nikogo nie ma w domu.

Na podłodze leżą zapomniane łyżwy, ale plecak Benjamina, buty i kurtka zniknęły, podobnie jak rzeczy Erika. W pokoju syna znalazła torbę Pумы z lekarstwami. Ma nadzieję, że to oznacza, że Erik podał Benjaminowi czynnik.

Siada na krześle, zasłaniając twarz rękami i próbując powstrzymać przerażające myśli. Mimo to wyobraża sobie, jak u syna po leku tworzy się zakrzep, jak Erik wzywa pomoc, jak właśnie w tej chwili biegnie w dół długich schodów z Benjaminem na rękach.

Simone nie może zapanować nad lękiem. W głowie zawsze powstawały jej podobne obrazy. Benjamin trafiony w twarz piłką do koszykówki, dochodzi do spontanicznego krwawienia w czaszce: ciemna perła, która rozprzestrzenia się jak gwiazda i płynie zakrętami mózgu.

Opanowuje ją nieznośne uczucie wstydu, kiedy przypomina sobie, jak traciła cierpliwość, kiedy mały Benjamin nie chciał chodzić. Miał dwa latka i ciągle jeszcze raczkował. Nie wiedzieli, że ma chorobę krwotoczną i że kiedy stawał, pękały mu naczynia krwionośne w stawach. Beształa go, gdy płakał. Mówiła mu, że raczkując, wygląda jak dzidzius. Benjamin próbował chodzić, robił kilka kroków, ale potworny ból zmuszał go do położenia się z powrotem na ziemi.

Po tym jak zdiagnozowano u chłopca chorobę von Willebranda, to Erik się nim zajmował. To on delikatnie zginał

i prostował stawy po nocnym bezruchu, żeby zmniejszyć ryzyko krwawień wewnętrznych. To Erik robił skomplikowane zastrzyki, bo igła absolutnie nie mogła wniknąć w mięsień. Trzeba tylko ostrożnie i pomału opróżnić strzykawkę pod skórą. Ta technika sprawiała o wiele więcej bólu niż zwykłe wkłucie. Przez pierwsze lata Benjamin siedział, wtulając twarz w brzuch taty i płacząc cicho przy wbijaniu igły. Teraz w trakcie zastrzyku nie przerywał śniadania. Nie patrząc, podawał Erikowi rękę, a ten dezynfekował ją, wkłuwał się i zaklejał plastrem miejsce po igle.

Czynnik, który miał pomóc w krzepnięciu krwi Benjamin, nazywał się Haemate. Simone uznała, że nazwa przypomina imię greckiej bogini zemsty. Lekarstwo miało postać liofilizowanego żółtawego proszku, było wstrętne i nie do końca im odpowiadało. Przed podaniem trzeba je było rozpuścić, wymieszać, podgrzać i odmierzyć. Haemate zwiększało znacznie ryzyko powstania zakrzepów i cały czas mieli nadzieję, że pojawi się coś lepszego. Jednak dzięki haemate, dużej dawce desmopresyny i cyklokapronu w spreju, mającego ustrzec przed krwawieniami z błony śluzowej nosa, Benjamin był względnie bezpieczny.

Simone doskonale pamięta, jak dostali laminowaną kartę ryzyka od Pogotowia Koagulacyjnego w Malmö, ze zdjęciem zrobionym w dniu urodzin Benjamin. Roześmiana buzia czterolatka, a pod spodem tekst: „Mam chorobę von Willebranda, jeśli coś mi się stanie, zadzwoń natychmiast na Pogotowie Koagulacyjne: tel. 040-33-10-10”.

Simone rozgląda się po pokoju Benjamin, myśli, że to szkoda, iż zdjął ze ściany plakat z Harrym Potterem i spakował wszystkie zabawki do kartonu w składziku. Od kiedy poznał Aidę, zaczęło mu się śpieszyć do dorosłości.

Simone nieruchomieje na myśl, że Benjamin może jest teraz z nią.

Chłopiec ma tylko czternaście lat, Aida siedemnaście. Mówi, że są jedynie przyjaciółmi, ale to oczywiste, że Aida jest jego dziewczyną. Simone zastanawia się, czy Benjamin w ogóle odważył się jej

powiedzieć, że ma skazę krwotoczną. Czy ona wie, że jeśli nie dostanie lekarstwa, to najmniejsze uderzenie może go kosztować życie?

Odkąd Benjamin poznał Aidę, zawsze nosi telefon komórkowy zawieszony na szyi, na czarnej smyczy w trupie czaszki. Piszą do siebie SMS-y do późna w nocy. Chłopak śpi z telefonem przy sobie.

Simone przeszukuje ostrożnie papiery i czasopisma na biurku syna, otwiera szufladę, odsuwa na bok książkę o drugiej wojnie światowej i znajduje karteczkę z odcisniętą czarną szminką i numerem telefonu. Wybierając numer, idzie prędko do kuchni, odczekuje kilka sygnałów, w tym czasie wyrzuca śmierdzącą gąbkę do kosza. Nagle ktoś odzywa się w słuchawce.

Słaby, chrapliwy głos i ciężki oddech.

– Dzień dobry – mówi Simone. – Przepraszam, jeśli dzwonię nie w porę. Jestem Simone Bark, mama Benjamin. Chciałam zapytać, czy...

Głos, chyba kobiecy, syczy, że nie zna żadnego Benjamin, że musiała wybrać zły numer.

– Bardzo proszę jeszcze się nie rozłączać. – Simone stara się, by jej głos brzmiał spokojnie. – Aida i mój syn spotykają się i pomyślałam, że może pani wie, gdzie mogą teraz być. Nie mogę dodzwonić się do Benjamin.

– Ten... ten...

– Nie słyszę. Przepraszam, ale nie dosłyszałam, co pani mówiła.

– Ten... sta.

– Tensta? Aida jest w Tenście?

– Tak, ten pieprzony... tatuaż.

Simone ma wrażenie, że słyszy dźwięk aparatu tlenowego, świszczący, regularny odgłos w tle.

– Co próbuje pani powiedzieć? – pyta błagalnie.

Kobieta mruczy coś pod nosem i przerywa rozmowę. Simone siedzi, wpatrując się w telefon, przez głowę przelatuje jej myśl, żeby

ponownie zadzwonić, kiedy nagle dociera do niej, co usłyszała: coś o tatuowaniu w Tenście. Natychmiast dzwoni do biura numerów i dostaje adres studia tatuażu w galerii handlowej Tensta Centrum. Simone czuje zimny dreszcz, wyobrażając sobie, jak Benjamin zostaje namówiony na tatuaż i jak krew zaczyna płynąć, nie krzepnąc.

8 WTOREK PRZED POŁUDNIEM, ÓSMY GRUDNIA

Idąc szpitalnym korytarzem po odstawieniu Benjamina do szkoły, Erik rozmyśla, jaką głupotą było komentowanie tatuażu na szyi Aidy. Wyszedł na przemądrzałego waźniaka.

Dwóch umundurowanych policjantów wpuszcza go na oddział. Przed salą, w której leży Josef Ek, czeka już na niego Joona Linna. Na widok Erika uśmiecha się i macha ręką jak małe dziecko, otwierając i zamykając dłoń.

Erik staje obok i przez okienko w drzwiach spogląda na pacjenta. Nad chłopcem wisi torebka prawie czarnej krwi. Jego stan się stabilizuje, ale w wątrobie w każdej chwili mogą powstać nowe krwawienia.

Chłopiec leży na plecach, usta ma mocno zaciśnięte, brzuch porusza się szybko w górę i w dół, palce dłoni drgają co chwila.

W zgięciu drugiej ręki umieszczono nowy wenflon. Pielęgniarka przygotowuje wlew morfiny. Zmniejszono nieco prędkość przepływu kroplówki.

– Miałem rację, twierdząc, że sprawca zaczął od stadionu – mówi Joona. – Najpierw zamordował ojca, Andersa Eka, potem pojechał do domu i zabił Lisę, najmłodszą córkę, myślał, że zabił syna, a na końcu zamordował matkę.

– Lekarz sądowy to potwierdził?

– Tak.

– Rozumiem.

– Zatem jeśli zamiarem sprawcy było zlikwidowanie całej rodziny – mówi dalej Joona – pozostaje tylko dorosła córka, Evelyn.

– O ile już się nie dowiedział, że Josef także przeżył – wtrąca Erik.

– No tak, ale jego możemy ochronić.

– Właśnie.

– Trzeba złapać sprawcę, zanim będzie za późno. Muszę usłyszeć, co wie ten chłopiec.

– Zrobię to, co dla pacjenta najlepsze.

– Może najlepsze dla niego byłoby nie stracić siostry.

– Też o tym myślałem i oczywiście obejrzę go jeszcze raz – mówi Erik. – Jednak właściwie już w tej chwili jestem pewien, że jest zdecydowanie za wcześnie.

– W porządku – odpowiada Jooną.

Zjawia się Daniella, w czerwonym obcisłym płaszczku, idzie szybkim krokiem, oświadcza, że musi gnać, i przekazuje Erikowi dokumentację medyczną.

– Wydaje mi się, że już wkrótce, w ciągu kilku godzin, pacjent odzyska przytomność do tego stopnia, że będzie można z nim rozmawiać – tłumaczy Erik Joonie. – Ale od tej chwili... Musisz zrozumieć, że mamy przed sobą długi proces terapeutyczny. Przesłuchanie może pogorszyć jego stan tak, że...

– Erik, nie ma znaczenia, co myślimy – przerywa mu Daniella. – Prokurator już się zgodził, że mamy tu wyjątkowe okoliczności.

Erik odwraca się i patrzy pytająco na Joonę.

– Nie potrzebujesz więc naszej zgody?

– Nie – odpowiada policjant.

– Na co czekasz?

– Uważam, że Josef już i tak zbyt wiele wycierpiał – wyjaśnia Jooną. – Nie chcę narażać go na coś, co może mu zaszkodzić, ale jednocześnie muszę odnaleźć jego siostrę, zanim zrobi to zabójca. A chłopiec przypuszczalnie widział twarz sprawcy. Jeśli nie pomożesz mi go przesłuchać, to zrobię to po swojemu, ale oczywiście wolałbym lepszy sposób.

– Czyli jaki? – pyta Erik.

– Hipnozę – odpowiada Jooną.

Erik patrzy na niego, a potem mówi powoli:

– Nie mam nawet pozwolenia na stosowanie hipnozy...

- Rozmawiałam z Anniką – wtrąca Daniella.
- I co powiedziała?
- Że zezwolenie na hipnozę niestabilnego małoletniego pacjenta to nie jest decyzja, którą podejmuje się ot tak, ale ponieważ to ja za niego odpowiadam, powierzyła mi ocenę sytuacji.
- Naprawdę wolałbym tego nie robić – mówi Erik.
- Dlaczego? – dziwi się Joon.
- Nie zamierzam o tym rozmawiać, ale dałem słowo, że już nigdy nie użyję hipnozy. Wciąż uważam, że była to właściwa decyzja.
- Czy w tym przypadku też? – pyta Joon.
- Przyznam, że nie wiem.
- Zrób wyjątek – prosi Daniella.
- Czyli jednak hipnoza... – wzdycha Erik.
- Proszę cię, żebyś spróbował, jeśli tylko uznasz, że pacjent będzie w stanie wejść w trans.
- Byłoby dobrze, żebyś przy tym była.
- Zgodzę się na hipnozę pod warunkiem, że od tej chwili ty przejmiesz odpowiedzialność za pacjenta.
- A więc jestem sam?

Na twarzy Danielli widać już oznaki zmęczenia. Spogląda na Erika i mówi:

– Pracowałam całą noc. Dałam słowo, że pójde z Tindrą do szkoły, wieczorem czeka mnie jeszcze przeprawa z nią. Teraz naprawdę muszę jechać do domu się przespać.

Daniella odchodzi, Erik odprowadza ją wzrokiem. Poły czerwonego płaszcza powiewają w rytm kroków. Joon zagląda do pacjenta. Erik idzie do toalety, zamyka drzwi, przemywa twarz, wyciąga kilka ekologicznych ręczników papierowych i wyciera czoło oraz policzki. Bierze telefon i wystukuje numer Simone, ale nikt nie odbiera. Próbuje dzwonić na numer domowy, wysłuchuje sygnałów i automatycznej sekretarki. Rozpoczyna się nagrywanie, a on nagle nie wie, co ma powiedzieć:

- Sixan, ja... musisz mnie wysłuchać, nie wiem, co ci się wydaje,

ale nic się nie wydarzyło, może cię to nie obchodzi, ale dam ci słowo, że znajdę sposób, by udowodnić, że jestem...

Erik milknie, wie, że jego słowa nie mają już znaczenia. Okłamał ją dziesięć lat temu i do tej pory nie udało mu się dowieść swojej miłości. W żaden sposób, nigdy wystarczająco, nie tak, żeby znów zaczęła na nim polegać. Przerzywa połączenie i opuszcza toaletę. Podchodzi do drzwi ze szklanym okienkiem, przy którym stoi komisarz, zaglądając do środka.

– Co to właściwie jest hipnoza? – pyta policjant po chwili.

– Chodzi po prostu o zmieniony stan świadomości, spokrewniony z sugestią i medytacją – wyjaśnia Erik.

– Okej... – mówi Jooną z wahaniem w głosie.

– Kiedy mówisz o hipnozie, masz tak naprawdę na myśli heterohipnozę, gdy jedna osoba hipnotyzuje drugą w jakimś celu.

– Na przykład w jakim?

– Na przykład, żeby wywołać negatywne halucynacje.

– Co to takiego?

– Najczęstsze polegają na tym, że człowiek blokuje świadome rejestrowanie bólu.

– Ale ból pozostaje?

– To zależy, jak definiujesz pojęcie bólu – odpowiada Erik. – Pacjent oczywiście odpowiada reakcjami fizjologicznymi na bodźce bólowe, ale nie odczuwa bólu. U człowieka w stanie hipnozy klinicznej można nawet wykonywać zabiegi chirurgiczne.

Jooną zapisuje coś w notesie.

– Neurofizjologicznie rzecz biorąc – ciągnie Erik – mózg w stanie hipnotycznym funkcjonuje w szczególny sposób. Części mózgu, których rzadko używamy, nagle się aktywują. Zahipnotyzowany jest bardzo rozluźniony, wygląda prawie, jakby spał, ale jeśli zrobimy mu EEG, to zobaczymy aktywność mózgu osoby rozbudzonej i skoncentrowanej.

– Chłopiec czasem otwiera oczy – zauważa Jooną, zerkając przez okno.

– Widziałem.

– Co teraz będzie?

– Z pacjentem?

– Tak, kiedy go zahipnotyzujesz.

– Podczas hipnozy dynamicznej, to znaczy w sytuacji terapeutycznej, pacjent prawie zawsze dzieli siebie samego na ja obserwujące i jedno lub więcej ja przeżywających i działających.

– Widzi siebie samego jak w teatrze?

– Tak.

– Co mu powiesz?

– Najpierw muszę sprawić, żeby czuł się bezpiecznie. Był świadkiem strasznych rzeczy, więc zacznę od wyjaśnienia, co chcę zrobić, a potem przejdę do odprężenia. Powiem uspokajająco o powiekach, które zaczynają ciążyć, że się ma ochotę zamknąć oczy, o głębokich wdechach przez nos, przejdę przez całe ciało od góry do dołu, i z powrotem.

Erik czeka, aż Joon skończy notować.

– Następnie przejdziemy do tak zwanej indukcji – ciągnie Erik. – Podam mu pewnego rodzaju ukryte komendy w tym, co będę mówił, i skłonię pacjenta do wyobrażenia sobie miejsc i jakichś prostych sytuacji, zasugeruję mu wędrówkę w myślach, coraz dalej i dalej, aż potrzeba kontrolowania sytuacji prawie ustanie. To trochę tak, jakbyś czytał książkę, która tak cię wciągnęła, iż nawet nie zdajesz sobie sprawy z tego, że siedzisz i czytasz.

– Rozumiem.

– Jeśli podniesie się rękę pacjenta, o tak, a potem puści, to przy zakończonej procedurze indukcji, ręka powinna pozostać uniesiona kataleptycznie – wyjaśnia Erik. – Po indukcji odliczam w tył, jeszcze pogłębiając hipnozę. Ja odliczam, inni każą pacjentowi wizualizować skalę szarości, aby rozmyć w myślach wszelkie granice. Chodzi tu o wykluczenie strachu czy nieufności, które blokują niektóre wspomnienia.

– Myślisz, że uda ci się go zahipnotyzować?

– Jeśli nie stawi oporu.

– Co wtedy? – pyta Joon. – Co się stanie, jeśli stawi opór?

Erik nie odpowiada. Obserwuje chłopca przez szybę, próbuje wyczytać coś z jego twarzy, może podatność na hipnozę.

– Trudno powiedzieć, do czego dojdę, mogą to być mniej lub bardziej istotne rzeczy – wyjaśnia.

– Nie oczekuję zeznania świadka, potrzebuję jedynie wskazówki, rysopisu, czegoś, czego można by się uchwycić.

– Czyli mam tylko szukać osoby, która to zrobiła?

– Najlepiej nazwiska, miejsca albo jakiegoś powiązania.

– Nie mam pojęcia, co z tego wyjdzie – oświadcza Erik, nabrawszy głęboko powietrza.

Joon wchodzi z nim do środka, siada na krześle w rogu pokoju, zdejmuje buty i odchyła się w tył. Erik przyciemnia światło, przystawia sobie metalowy taboret i siada przy łóżku. Ostrożnie zaczyna tłumaczyć chłopcu, że chce go zahipnotyzować, żeby pomóc mu zrozumieć, co wydarzyło się poprzedniego dnia.

– Josef, przez cały czas będę tu siedział – mówi spokojnie. – Nie ma się czego bać. Możesz czuć się całkowicie bezpiecznie. Jestem tu dla ciebie, nie powiesz niczego, czego nie będziesz chciał, i możesz sam zakończyć hipnozę, kiedy będziesz miał na to ochotę.

Dopiero teraz do Erika zaczyna docierać, jak bardzo za tym tęsknił. Serce mu wali. Musi spróbować opanować swój zapał. Nie wolno wymuszać procesu ani go przyśpieszać. W trans trzeba wchodzić spokojnie, powoli się w nim zagłębiając, znajdując radość w jego łagodnym nurcie.

Łatwo rozluźnić chłopca, jego ciało już teraz jest w stanie odpoczynku i zdaje się łaknąć go jeszcze więcej.

Kiedy Erik otwiera usta, żeby rozpocząć indukcję, czuje się tak, jakby nigdy nie przestał hipnotyzować: jego głos jest spokojny, słowa pojawiają się same, naturalnie, płyną strumieniem, nasycone monotonnym ciepłem i usypiającym, opadającym tonem.

Od razu wyczuwa dużą podatność Josefa. Tak jakby chłopiec

intuicyjnie uczeplił się poczucia bezpieczeństwa przekazywanego przez Erika. Jego poraniona twarz rozluźnia się, rysy się wypełniają, a usta rozchylają.

– Josef, jeśli chcesz... Pomyśl o letnim dniu – mówi Erik. – Wszystko jest wspaniałe i przyjemne. Leżysz na dnie niewielkiej drewnianej łodzi, która powoli się kołysze. Słyszysz chlupot wody, patrzysz na chmury płynące po błękitnym niebie.

Chłopiec tak dobrze odpowiada na indukcję, że Erik zaczyna się zastanawiać, czy trochę nie przyhamować procesu. Wie, że ciężkie przeżycia mogą zwiększyć podatność na hipnozę, że napięcie wewnętrzne może zadziałać jak „odwrócony” silnik – niespodziewanie szybko wyhamować, podczas gdy liczba obrotów błyskawicznie spada do zera.

– Policzę teraz do tyłu, a z każdą liczbą będziesz się coraz bardziej odprężał. Poczujesz, jak wypełnia cię wielki spokój i jakie przyjemne jest wszystko wokół ciebie. Rozluźnij się od palców u stóp, przez kostki, łydki. Nic cię nie niepokoi, wszystko przepętnia spokój. Słuchaj tylko mojego głosu, padających liczb. Odprężasz się jeszcze bardziej, robisz się coraz cięższy, rozluźniasz kolana, uda, pachwiny. Poczuj, jak opadasz w dół, miękko i przyjemnie. Ogarniają cię spokój, cisza i całkowite odprężenie.

Erik kładzie dłoń na ramieniu chłopca. Wzrok ma utkwiony w jego przeponie i przy każdym wydechu wypowiada kolejną liczbę, malejąco. Czasami łamie logiczny porządek, ale cały czas odlicza w dół. W miarę pogłębiania transu czuje, jak ogarnia go poczucie sennej lekkości i fizycznej siły. Odlicza, jednocześnie widząc siebie samego opadającego w głąb przejrzystej, nasyconej tlenem toni. Prawie zapomniał, jakie to uczucie zanurzać się w błękitnym morzu, oceanie. Z uśmiechem płynie wzdłuż ogromnej formacji skalnej, przypominającej rów tektoniczny ciągnący się w dół, w niewyobrażalną głębię. Woda mieni się maleńkimi bąbelkami. Czując, jak wypełnia go szczęście, opada wzdłuż chropowatej ściany.

Chłopiec wykazuje wyraźne oznaki głębokiego transu. Na jego policzkach i ustach widać spokój. Erik zawsze miał wrażenie, że twarze pacjentów robią się szersze, jakby bardziej płaskie. Mniej piękne, ale delikatniejsze, pozbawione wszelkiej sztuczności.

Erik opada jeszcze głębiej, wyciąga rękę i dotyka mijanej skały. Jasna woda zmienia stopniowo kolor na różowy.

– Jesteś głęboko odprężony – odzywa się spokojnie Erik. – Wszystko jest bardzo, bardzo przyjemne.

Oczy chłopca lśnią spod przymkniętych powiek.

– Josef... spróbuj sobie przypomnieć, co się wydarzyło wczoraj. Dzień zaczął się jak zwykły poniedziałek, ale wieczorem ktoś przyszedł w odwiedzinach.

Chłopiec milczy.

– Opowiesz mi teraz, co się dzieje – prosi Erik.

Josef prawie niedostrzegalnie kiwa głową.

– Siedzisz w swoim pokoju? Czy tak? Słuchasz muzyki?

Nie odpowiada. Jego usta poruszają się, jakby szukały czegoś ze zdziwieniem.

– Twoja mama jest w domu, kiedy wracasz ze szkoły – podpowiada Erik.

Skinienie głową.

– Dlaczego? Wiesz? Czy dlatego, że Lisa ma gorączkę?

Kiwa głową i zwilża wargi.

– Co robisz po powrocie ze szkoły, Josef?

Chłopiec coś szepce.

– Nie słyszę – stwierdza Erik. – Mów tak, żebym słyszał.

Usta Josefa poruszają się i Erik pochyla się nad nim.

– Jak ogień, zupełnie jak ogień – mamrocze. – Próbuję mrugać, wchodzę do kuchni, ale tam dzieje się coś dziwnego, trzaskanie między krzesłami i po podłodze rozprzestrzenia się czerwony ogień.

– Skąd pochodzi ogień? – pyta Erik.

– Nie pamiętam, coś się wydarzyło...

Milknie znowu.

– Cofnij się jeszcze trochę, zanim ten ogień pojawił się w kuchni – poleca Erik.

– Ktoś tam jest – mówi chłopiec. – Słyszę, jak ktoś puka do drzwi.

– Drzwi zewnętrznych?

– Nie wiem.

Twarz Josefa nagle sztywnieje, chłopiec zaczyna niespokojnie jęczeć, rząd dolnych zębów obnaża się w dziwnym grymasie.

– Nie bój się – uspokaja go Erik. – Nic złego się nie dzieje, Josef, jesteś tu bezpieczny, jesteś spokojny i nie czujesz żadnego strachu. Tylko patrzysz na to, co się dzieje, nie bierzesz w tym udziału, widzisz przebieg zdarzeń z odpowiedniej odległości i to nie jest w najmniejszym stopniu niebezpieczne.

– Stopy są jasnoniebieskie – szepce Josef.

– Co powiedziałaś?

– Ktoś puka do drzwi – bełkocze chłopiec. – Otwieram, ale nikogo tam nie ma, nikogo nie widzę. Ale znowu słyszę stukanie. Rozumiem, że ktoś robi mi na złość.

Josef oddycha szybciej, jego brzuch porusza się spazmatycznie.

– Co się teraz dzieje? – pyta Erik.

– Idę do kuchni i biorę sobie kromkę.

– Jesz kanapkę?

– Ale znów rozlega się stukanie, dźwięk dochodzi z pokoju Lisy. Drzwi są uchylone, widzę, że jej lampka z księżniczką się świeci. Ostrożnie otwieram drzwi nożem i zaglądam do środka. Lisa leży w swoim łóżeczku. Ma okulary, ale zamknęła oczy i dyszy. Jest biała na twarzy. Jej ręce i nogi są zupełnie sztywne. Potem odchyła głowę do tyłu, aż szyja się napina, i zaczyna kopać nogami w ramę łóżka. Kopie coraz szybciej i szybciej. Mówię jej, żeby przestała, ale ona dalej to robi, jeszcze mocniej. Krzyczę na nią. Nóż już zaczął zadawać ciosy, mama wbiega do środka i szarpie mnie, odwracam się, nóż uderza, to wypływa ze mnie jak wodospad, przynoszę nowe noże, boję się przestać, muszę kontynuować, nie da się zatrzymać, mama czołga się przez kuchnię, podłoga jest całkiem czerwona,

muszę wypróbować noże na wszystkim, na sobie, na meblach, na ścianach, uderzam, rąbię, w końcu męczę się i kładę. Nie wiem, co się dzieje, coś mnie boli w środku i chce mi się pić, ale nie mogę się ruszyć.

Erik ma wrażenie, że jest z chłopcem głęboko w jasnej wodzie, ich nogi poruszają się miękko, podąża wzrokiem za skalną ścianą, głębiej i głębiej, nie ma końca, woda tylko ciemnieje i staje się niebieskoszara, a potem kusząco czarna.

– Spotkałeś... – zaczyna Erik i słyszy, jak głos mu drży. – Wcześniej spotkałeś się z tatą.

– Tak, na stadionie – potwierdza Josef.

Milknie, wygląda na zdziwionego, wpatruje się przed siebie sennym wzrokiem.

Erik widzi, że jego puls rośnie, a jednocześnie spada mu ciśnienie.

– Chcę, żebyś zanurzył się jeszcze głębiej – mówi ściszym głosem. – Opadasz, czujesz się spokojniejszy, zadowolony i...

– Nie mama? – pyta chłopiec płaczliwie.

– Josef, opowiedz... spotkałeś też swoją starszą siostrę Evelyn?

Erik obserwuje twarz chłopca, świadomy, że zgadywanie jest ryzykowne, pomyłka może spowodować szczelinę w hipnozie. Musiał jednak szybko zmienić temat, wiedząc, że nie ma już czasu, że wkrótce trzeba przerwać trans, bo stan chłopca znów staje się krytyczny.

– Co się wydarzyło, kiedy spotkałeś Evelyn? – pyta.

– Nie powinienem był wcale do niej jechać.

– Czy to było wczoraj?

– Ukryła się w chacie – mówi Josef z uśmiechem.

– Jakiej chacie?

– Cioci Sonji.

– Opowiedz, co wydarzyło się w chacie.

– Stoję tam, Evelyn nie cieszy się, wiem, co sobie myśli – mamrocze. – Jestem dla niej tylko psem, nic niewartym...

Po policzkach Josefa płyną łzy, usta mu drżą.

- Czy Evelyn to mówi?
- Nie chcę, nie muszę, nie chcę – jęczy chłopak.
- Czego nie chcesz?

Powieki zaczynają mu drgać spazmatycznie.

- Josef, co się teraz dzieje?
- Mówi, że muszę gryźć i gryźć, żeby dostać nagrodę.
- Kogo masz ugryźć?
- W chacie jest zdjęcie... zdjęcie w ramce, która wygląda jak

muchomor. Są tam tata, mama i Drobinka, ale...

Jego ciało napina się nagle, nogi zaczynają się poruszać, chłopiec wychodzi z bardzo głębokiego transu. Erik ostrożnie nim kieruje, uspokaja i podnosi o kilka poziomów. Dokładnie zamyka drzwi do wszystkich wspomnień z tego dnia i wspomnień hipnozy. Nic nie pozostaje otwarte, kiedy przechodzi do łagodnego procesu przebudzania.

Kiedy Erik go zostawia, Josef leży uśmiechnięty na łóżku. Komisarz kryminalny wstaje z krzesła w kącie pokoju i wychodzi za Erikiem, a potem kieruje się w stronę automatu z kawą.

- Jestem pod wrażeniem – przyznaje cicho i wyciąga telefon.

Erika ogarnia nieprzyjemne uczucie, że stało się coś nieodwracalnego.

- Zanim gdziekolwiek zadzwonisz, chciałbym podkreślić jedno. Pacjent w stanie hipnozy mówi zawsze prawdę, ale to oczywiście jego wersja prawdy, mówi to, w co sam wierzy, opisuje więc własne, subiektywne wspomnienia, a nie...

- Rozumiem – przerywa mu Joon.

- Hipnotyzowałem osoby chore na schizofrenię – ciągnie dalej lekarz.

- Co chciałeś powiedzieć?

- Josef mówił o siostrze...

- Tak, że kazała mu gryźć jak psu i tak dalej.

Wybiera numer i przykłada słuchawkę do ucha.

- Nie jest pewne, że siostra kazała mu to robić – wyjaśnia Erik.

– Ale możliwe – mówi Joona i unosi dłoń, uciszając lekarza. – Anja, mój skarbie złoty...

W telefonie daje się słyszeć łagodny głos.

– Możesz sprawdzić jedną rzecz? Tak, właśnie. Josef Ek ma ciotkę, imieniem Sonja, która ma gdzieś dom albo domek letniskowy i... Tak, to... kochana jesteś.

Joona spogląda na Erika.

– Przepraszam, chciałeś dodać coś jeszcze.

– Tylko tyle, że to, że Josef wymordował swoją rodzinę, też nie jest pewne.

– Ale czy to możliwe, że sam zadał sobie te rany? Czy mógł pociąć się do tego stopnia? Co o tym sądzisz?

– Właściwie nie, ale teoretycznie tak – odpowiada Erik.

– W takim razie zdaje mi się, że nasz sprawca leży w tym pokoju – stwierdza Joona.

– Też tak myślę.

– Czy jest w stanie zbiec ze szpitala?

– Nie. – Erik uśmiecha się, zaskoczony.

Joona rusza w stronę korytarza.

– Jedziesz do domu ciotki? – pyta Erik.

– Tak.

– Mogę z tobą pojechać. Dziewczyna może być ranna albo w ciężkim szoku.

9 WTOREK, PORA LUNCHU, ÓSMY GRUDNIA

Simone siedzi w wagonie metra i wygląda przez okno. Wciąż jest spocona po biegu z mieszkania na stację.

Pociąg zatrzymuje się na przystanku Huvudsta.

Przechodzi jej przez myśl, że trzeba było wziąć taksówkę, ale usiłuje sobie wmówić, że nic się nie stało, że zawsze niepokoi się zupełnie niepotrzebnie.

Patrzy na telefon i zastanawia się, czy ta dziwna kobieta, z którą rozmawiała przed chwilą, to była mama Aidy, i czy miała rację, mówiąc, że Aida jest teraz w studiu tatuażu w Tensta Centrum.

Drzwi się zamykają, ale po chwili otwierają znowu, trochę dalej słychać wołanie. Drzwi zasuwają się ponownie i pociąg w końcu rusza.

Naprzeciwko jakiś mężczyzna szeleści gazetami. Zbiera je razem, rozkłada na siedzeniu obok, zdaje się coś porównywać, potem znowu je składa. W odbiciu w szybie Simone widzi, że jej sąsiad zerka na nią od czasu do czasu. Zastanawia się, czy nie zmienić miejsca, ale zapomina o tym, kiedy dźwięk telefonu mówi jej, że dostała SMS-a. To od Ylvy z galerii. Simone nie ma siły go czytać. Miała nadzieję, że to od Erika. Nie wie, ile już razy próbowała, ale mimo to dzwoni znowu na jego komórkę. Słucha przeciągłych dźwięków i nagłego przekierowania na pocztę głosową.

– Ty – odzywa się mężczyzna z naprzeciwka zaczepnym tonem.

Simone próbuje sprawiać wrażenie, jakby go nie słyszała, wygląda przez okno i udaje, że słucha czegoś w telefonie.

– Halo-o – mówi mężczyzna.

Simone zdaje sobie sprawę, że facet nie podda się, dopóki nie złowi jej uwagi. Jak wielu mężczyzn, on też nie może zrozumieć, że kobiety mają własne życie, własne myśli, że nie żyją w ciągłej gotowości, by ich słuchać.

– Ty, nie słyszysz? Do ciebie mówię – powtarza.

Simone odwraca się w jego stronę.

– Słyszę doskonale – informuje spokojnie.

– To czemu nie odpowiadasz? – pyta facet.

– Odpowiadam.

Mężczyzna mruga kilka razy, potem pada pytanie:

– Jesteś kobietą? Prawda?

Simone przełyka ślinę i myśli, że to ten typ, który chce wydusić z niej jej imię, stan cywilny, a na koniec sprowokować do bardzo niegrzecznego zachowania.

– Jesteś kobietą?

– Czy tylko to chce pan wiedzieć? – pyta Simone, ponownie odwracając się ku szybie.

Mężczyzna siada obok niej:

– Posłuchaj tego... Miałem kobietę, a moja kobieta, moja kobieta...

Simone czuje krople śliny na policzku.

– Była jak Elizabeth Taylor – ciągnie natręt. – Wiesz kto to?

Potrząsa jej ramieniem.

– Wiesz, kim była Elizabeth Taylor?

– Tak – potwierdza Simone niecierpliwie. – Oczywiście, że wiem.

Mężczyzna z zadowoleniem odchyła się z powrotem.

– Ciągłe nowych facetów miała – narzeka. – Lepsi, wciąż lepsi mieli być, pierścionki z diamentem i prezenty, i naszyjniki.

Pociąg zwalnia i Simone widzi, że musi wysiąść, dojechali do Tensty. Wstaje z ławki, ale mężczyzna zastawia jej drogę.

– Przytul mnie tylko, chcę tylko jeden mały uścisk.

Simone mówi stanowczo „przepraszam”, robi unik i czuje jego rękę na pośladku. W tej samej chwili wagon zatrzymuje się, mężczyzna traci równowagę i ciężko pada z powrotem na siedzenie.

– Dziwka – rzuca za nią ze spokojem.

Simone wysiada z pociągu, wybiega ze stacji metra, przez pokryty pleksiglasem most, schodami w dół. Przed centrum handlowym

na ławce siedzi trzech pijaków, rozmawiają zachrypniętymi głosami. Simone wpada przez główne wejście i znowu próbuje dodzwonić się na komórkę Erika. Z Systembolaget⁶ dolatuje woń starego czerwonego wina z rozbitej butelki. Oddychając ciężko, przebiega przed witryną restauracji. Zauważa bufet z kukurydzą z puszki, kawałkami ogórka i suchymi liśćmi sałaty. Pośrodku zabudowanego placyku mieści się tablica z opisem sklepów centrum handlowego. Simone czyta, aż znajduje to, czego szuka: Tensta Tattoo. Z mapki wynika, że salon znajduje się na samej górze, na końcu galerii. Biegnie w stronę ruchomych schodów, między matkami na urlopie macierzyńskim, emerytami przechadzającymi się pod rękę i nastolatkami na wagarach.

Oczyrna wyobraźni widzi, jak młodzież gromadzi się wokół leżącego chłopca, jak ona sama przeciska się do przodu i zdaje sobie sprawę, że to Benjamin, a krew nie przestaje płynąć z zaczętego tatuażu.

Przeskakuje po dwa stopnie na ruchomych schodach. W tej samej chwili, w której staje na najwyższym piętrze, wyłapuje dziwne poruszenie w najdalszym kącie. Wygląda to tak, jakby ktoś wisiał za barierką. Rusza w tamtą stronę i im jest bliżej, tym wyraźniej widzi, co się dzieje: dwoje dzieci trzyma trzecie za balustradą. Jakaś zwałista postać chodzi za nimi tam i z powrotem i uderza się ramionami, jakby chciała się ogrzać.

Dzieci mają spokojny wyraz twarzy, trzymając przerażoną dziewczynkę po drugiej stronie barierki.

– Co wy robicie?! – woła Simone, podchodząc do nich.

Boi się podbiec, żeby się nie wystraszyli i nie upuścili małej. Pod nią jest co najmniej dziesięciometrowa przepaść, aż do placyku pośrodku najniższego poziomu galerii.

Chłopcy zauważyli ją, udają, że ofiara wyslizguje im się z rąk. Simone krzyczy, ale oni nadal trzymają dziewczynkę i powoli wciągają ją z powrotem. Jeden z nich uśmiecha się dziwnie do Simone, po czym rzuca się do ucieczki. Tylko ten duży chłopak

zostaje na miejscu. Dziewczynka kuli się przy balustradzie. Simone staje przy niej z walącym sercem i nachyla się.

– Jak się czujesz?

Mała w milczeniu potrząsa głową.

– Musimy iść do ochrony – oświadcza Simone.

Dziewczynka znowu potrząsa głową. Drży na całym ciele i zwija się w kłębek przy barierce. Simone patrzy na zwałistego chłopca, który przygląda się im w milczeniu. Nosi ciemną puchową kurtkę i czarne okulary przeciwsłoneczne.

– Jak się nazywasz? – pyta go Simone.

Zamiast odpowiedzieć, chłopak wyjmuje talię kart i zaczyna je tasować, przekładać i mieszać.

– Jak się nazywasz? – powtarza Simone głośniej. – Przyjaźnisz się z tymi chłopcami?

Chłopak nie reaguje.

– Dlaczego nic nie zrobiłeś? Mogli ją zabić!

Simone czuje przypływ adrenaliny, przyspieszony puls w skroniach.

– Zadałam ci pytanie. Dlaczego nic nie zrobiłeś?

Patrzy mu w oczy. Chłopak wciąż nie odpowiada.

– Kretyn! – wrzeszczy Simone.

Chłopiec zaczyna się powoli cofać. Kiedy Simone rusza za nim, żeby jej nie umknął, on potyka się i upuszcza swoje karty na podłogę. Mamrocze coś do siebie i ulatnia się ruchomymi schodami.

Simone odwraca się, żeby zająć się dziewczynką, ale ta już zniknęła. Biegnie galerią, sklepy są pozamykane, wygaszone światła, ale nie widzi ani dziewczynki, ani żadnego z chłopców. Idzie kawałek dalej i nagle zdaje sobie sprawę, że stoi przed studiem tatuażu. Witryna pokryta jest pomarszczoną czarną folią i wielkim wizerunkiem wilka Fenrira. Otwiera drzwi i wchodzi do środka. Wydaje się, że wewnątrz jest pusto. Na ścianach wisi pełno zdjęć tatuaży. Simone rozgląda się i już ma wyjść, kiedy słyszy wysoki,

zdenerwowany głos:

– Nicke? Gdzie jesteś? Powiedz coś.

Czarna kotara rozdziela się na dwoje i wychodzi z niej dziewczyna z telefonem komórkowym przy uchu. Od pasa w górę jest naga. Po szyi spływa jej kilka drobnych kropli krwi. Twarz ma skoncentrowaną i niespokojną.

– Nicke – mówi spokojnie do telefonu. – Co się stało?

Jej piersi pokrywa gęsia skórka, ale zdaje się nie myśleć o tym, że jest półnaga.

– Czy mogę o coś zapytać? – odzywa się Simone.

Dziewczyna wybiega ze studia. Simone idzie za nią do drzwi, kiedy słyszy kogoś za sobą.

– Aida?! – woła chłopięcy przestraszony głos.

Simone odwraca się i widzi Benjamina.

– Gdzie jest Nicke? – pyta chłopiec.

– Kto?

– Młodszy brat Aidy, jest upośledzony. Widziałaś go?

– Nie, ja...

– Duży, w czarnych okularach.

Simone powoli wchodzi z powrotem do salonu i siada na krześle.

Aida wraca ze swoim bratem. Chłopak zostaje na zewnątrz, potakuje przestraszony na to, co mówi mu siostra, a potem wyciera nos. Dziewczyna wchodzi do środka, zakrywając piersi jedną ręką, mija Simone i Benjamina, nie patrząc na nich, i znika za kotarą. Simone widzi, że jej szyja poczerwieniała w miejscu, gdzie wytatuowała ciemnoczerwoną różę obok małej gwiazdy Dawida.

– Co się dzieje? – pyta Benjamin.

– Zobaczyłam kilku chłopców, chyba powariowali, wystawili jakąś dziewczynkę za barierkę. Brat Aidy stał tam tylko i...

– Powiedziałaś coś do nich?

– Wciągnęli ją, kiedy podeszłam, ale im się chyba wydawało, że to było zabawne.

Benjamin wygląda na zakłopotanego, rumieni się, ucieka

wzrokiem, rozgląda się, jakby miał ochotę uciec.

– Nie podoba mi się, że tu jesteś – oznajmia Simone.

– Robię, co chcę – odpowiada chłopiec.

– Jesteś za mały, żeby...

– Dostyć – przerywa jej zduszonym głosem.

– I co? Też chciałeś zrobić sobie tatuaż?

– Nie, nie chciałem.

– Uważam, że tatuaże na szyi i twarzy są okropne...

– Mamo – przerywa jej.

– Brzydkie.

– Aida cię słyszy.

– Chociaż ja uważam...

– Możesz stąd wyjść? – mówi ostro Benjamin.

Simone patrzy na niego, myśli, że nie poznaje tego tonu, chociaż zdaje sobie sprawę, że ona i Erik coraz częściej mówią do siebie w ten sposób.

– Idziesz ze mną do domu – oświadcza spokojnie.

– Pójdę, jeśli najpierw stąd wyjdiesz – odpowiada chłopiec.

Simone wychodzi i widzi, że Nicke stoi przy tym ciemnym oknie z rękami założonymi na piersi. Podchodzi do niego, starając się wyglądać miło, i wskazuje na jego karty Pokémona.

– Wszyscy najbardziej lubią Pikachú – zagaduje.

Chłopak kiwa głową w zamyśleniu.

– Ale ja wolę Mew – ciągnie Simone.

– Mew uczy się różnych rzeczy – odzywa się ostrożnie Nicke.

– Przepraszam, że na ciebie krzyknęłam.

– Nie ma siły na Wailorda, nikt go nie pokona, jest największy – mówi dalej chłopiec.

– Największy ze wszystkich?

– Tak – potwierdza z powagą Nicke.

Simone podnosi kartę, którą upuścił.

– A to kto?

Benjamin wychodzi, oczy mu błyszczą.

– Arceus – odpowiada Nicke i kładzie kartę na samym wierzchu.

– Wygląda sympatycznie – stwierdza Simone.

Nicke szeroko się uśmiecha.

– Idziemy – mówi cicho Benjamin.

– Do zobaczenia. – Simone odwzajemnia uśmiech chłopca.

– Do zobaczenia papa – odpowiada mechanicznie Nicke.

Benjamin idzie w milczeniu obok matki.

– Weźmiemy taksówkę – decyduje Simone, kiedy zbliżają się do stacji metra. – Mam dość pociągów.

– W porządku – mówi Benjamin i zawraca.

– Poczekaj chwilkę.

Zauważyła przed chwilą jednego z chłopców, którzy grozili dziewczynce. Chłopak stoi przy bramkach do metra i zdaje się na coś czekać. Simone czuje, jak Benjamin próbuje ją odciągnąć.

– O co chodzi? – pyta go.

– Chodź, idziemy. Mielisz wziąć taksówkę.

– Tylko z nim porozmawiam.

– Mamo, olej ich – prosi Benjamin.

Jego twarz jest blada i niespokojna, stoi nieruchomo, kiedy ona podchodzi do chłopca.

Simone kładzie mu rękę na ramieniu i obraca go ku sobie. Chłopak ma może trzynaście lat, ale zamiast się przestraszyć czy zdziwić, uśmiecha się do niej szyderczo, tak jakby zastawił na nią pułapkę.

– Pójdiesz ze mną do ochrony centrum – mówi Simone zdecydowanym tonem.

– Co powiedziałaś, babo?

– Widziałam cię, jak...

– Stul pysk! – przerywa jej chłopiec. – Trzymaj gębę na kłódkę, jeśli nie chcesz, żeby cię ktoś za karę zerznął.

Simone jest w takim szoku, że nie wie, co powiedzieć. Chłopak pluje jej pod nogi i przeskakuje przez bramkę, a potem powoli znika w przejściu podziemnym.

Simone jest roztrzęsiona, kiedy wraca do Benjamina.

– Co powiedział?

– Nic – odpowiada zmęczona.

Idą na postój taksówek i wsiadają do pierwszego samochodu. W drodze z Tensta Centrum Simone mówi, że dzwonili dziś ze szkoły.

– Aida chciała, żebym był przy niej, kiedy będzie zmieniała tatuaż – wyjaśnia cicho Benjamin.

– To miło z twojej strony.

Taksówka wiezie ich w ciszy przez Hjulstavägen, wzdłuż starych, zardzewiałych torów na wale z brunatnego gruzu.

– Powiedziałaś Nickemu, że jest kretynem? – pyta Benjamin.

– Myliłam się... To ja jestem kretynką.

– Jak mogłaś!

– Czasami się mylę, Benjamin – odpowiada Simone zduszonym głosem.

Z mostu Tranebergsbron Simone spogląda na wyspę Stora Essingen. Łód jeszcze nie skuł zatoki, ale woda wydaje się gęsta i blada.

– Chyba zdecydujemy się z tatą na separację – mówi.

– Aha... A czemu?

– To absolutnie nie ma nic wspólnego z tobą.

– Spytałem czemu.

– Nie ma dobrej odpowiedzi – zaczyna Simone. – Twój tata... Jak mam to wyjaśnić? Jest miłością mojego życia, ale to... mimo wszystko może się skończyć, na początku wydaje się to niemożliwe, poznajecie się, rodzi się dziecko i... Przepraszam, nie powinnam o tym mówić. Chciałam tylko, żebyś zrozumiał, dlaczego jestem zupełnie wytrącona z równowagi. Ta separacja... To jeszcze nie jest pewne.

– Nie chcę być w to zamieszany.

– Wybacz, że ja...

– Skończ już.

10 WTOREK PRZED POŁUDNIEM, ÓSMY GRUDNIA

Erik wiedział, że nie będzie mógł zasnąć, ale jednak starał się. Był cały czas rozbudzony, mimo że komisarz kryminalny Joona Linna bardzo delikatnie prowadził samochód drogą numer 274 przez Värmdö, do domku letniskowego, w którym przypuszczalnie znajdowała się Evelyn Ek.

Mijając stary tartak, słyszą chrzęst żwiru pod kołami. Kodeina sprawia, że oczy Erika stają się suche i wrażliwe. Spod przymkniętych powiek próbuje dostrzec coś w gęstym skupisku letniskowych domków z bali. Drzewa są nagie w sterylnym chłódzie grudnia. Słońce i barwy przywodzą Erikowi na myśl dzieciństwo i szkolne wycieczki. Zapach gnijących pni, grzybów i ziemi. Mama pracowała na pół etatu jako szkolna pielęgniarka w gimnazjum w Sollentunie i była przekonana o dobrym wpływie świeżego powietrza. To właśnie ona chciała, żeby nazywał się Erik Maria. Jego oryginalne imię było efektem kursu językowego w Wiedniu i wizyty w Burgtheater, gdzie obejrzała *Ojca Strindberga*, z Klausem Marią Brandauerem w roli głównej. Przedstawienie tak ją poruszyło, że przez wiele lat imię aktora zajmowało jej myśli. W dzieciństwie Erik próbował ukrywać swoje drugie imię, a jako nastolatek odnajdywał się w piosence *A Boy Named Sue* z płyty Johnny'ego Casha nagranej w więzieniu San Quentin. „Some gal would giggle and I'd get red, and some guy'd laugh and I'd bust his head, I tell ya, life ain't easy for a boy named Sue”⁷.

Ojciec Erika pracował w Kasie Ubezpieczenia Społecznego i miał właściwie jedną pasję w życiu. Był czarodziejem amatorem i zwykł przebierać się w uszytą w domu pelerynę, stary frak i składany

cylinder, który nazywał swoim szapoklakiem. Erik i jego przyjaciele siadywali na krzesłach w garażu, gdzie ojciec zbudował niewielką scenę z tajemnymi zapadniami. Większości sztuczek nauczył się z katalogu *Bernandos Magic* z Bromölli: różdżka, rozkładająca się z grzechotem, kule bilardowe pomnażające się za pomocą skorupki, aksamitny rękaw ze skrytką czy lśniąca gilotyna palcowa. Erik z rozbawieniem i czułością wspomina, jak ojciec nogą włączał magnetofon z Jeanem-Michelem Jarre'em, jednocześnie czyniąc magiczne gesty nad latającą trupa czaszką. Kiedy podrósł i zaczął się za ojca wstydzić, robił do kolegów miny za jego plecami. Dziś ma nadzieję, że tata nigdy ich nie zauważył.

Właściwie nie było jakiegoś poważniejszego powodu, dla którego Erik został lekarzem. Chyba nigdy nie myślał o innym zawodzie, nie wyobrażał sobie innego życia. Pamięta wszystkie deszczowe zakończenia roku szkolnego, powiewającą na maszcie flagę i letnie psalmy. Zawsze miał najlepsze oceny ze wszystkich przedmiotów, rodzice tego oczekiwali. Mama często powtarzała, że Szwedzi są rozpieszczeni, bo uważają dobrobyt za coś oczywistego, podczas gdy to najprawdopodobniej krótki epizod w historii. Jej zdaniem system z darmową służbą zdrowia i opieką nad dziećmi, darmowymi szkołą podstawową, gimnazjum i uniwersytetem może się w każdej chwili skończyć. Teraz jednak zwykli chłopcy i zwykłe dziewczynki mieli szansę kształcić się na lekarzy, architektów czy doktorów ekonomii na dowolnym uniwersytecie w kraju, bez względu na zamożność, stypendia czy zapomogi.

Uzmysłowienie sobie tych możliwości stawiało go w uprzywilejowanej pozycji i dawało świadomość celu, ale także pewnego rodzaju poczucie wyższości.

Pamięta, jak w wieku osiemnastu lat siedział na kanapie w Sollentunie i wpatrywał się w swoje celujące oceny, a potem przesunął wzrokiem po prostym umeblowaniu pokoju. Półki z książkami, ozdoby, pamiątki i fotografie w niklowanych ramkach, zdjęcia z konfirmacji rodziców, ze ślubu i z pięćdziesiątych urodzin,

a za nimi kilkanaście fotografii ich jedynaka, od krągłego bobasa w koronkowej sukience po uśmiechniętego młodzieńca w garniturze z wąskimi spodniami.

Mama weszła do pokoju i podała mu formularze podań na studia medyczne. Miała całkowitą rację, jak zwykle. Gdy tylko postawił nogę na Wydziale Medycznym Instytutu Karolinska, poczuł się jak w domu. Kiedy zaczął specjalizację na psychiatrii, zrozumiał, że zawód lekarza odpowiada mu bardziej, niż był to skłonny przyznać. Po odbyciu stażu, osiemnastomiesięcznej praktyki wymaganej przed wydaniem legitymacji lekarskiej przez Krajowy Urząd do spraw Zdrowia, pracował dla Lekarzy bez Granic. Wylądował w Chisimayu na południe od Mogadyszu w Somalii. Był to czas ciężkiej pracy w szpitalu polowym, na którego wyposażenie składał się wycofany z użytku szwedzki sprzęt, aparaty rentgenowskie z lat sześćdziesiątych, lekarstwa z przekroczoną datą ważności, zardzewiałe i poplamione łóżka z zamkniętych lub przebudowanych oddziałów szpitali. W Somalii po raz pierwszy spotkał ludzi ciężko poszkodowanych w wyniku urazów psychicznych. Apatyczne dzieci, które straciły chęć do zabawy, nastolatków, którzy beznamiętnie opowiadali o tym, jak zmuszano ich do popełnienia potwornych zbrodni, kobiety skrzywdzone tak, że nie były w stanie mówić, uśmiechały się tylko wymijająco, nigdy nie podnosząc wzroku. Czuł, że chce pracować, pomagając tym, których więżą przeżyte traumy, którzy cierpią, mimo że ich prześladowcy już dawno odeszli.

Erik wrócił do domu i przeszedł szkolenie z psychoterapii w Sztokholmie. Ale dopiero kiedy zaczął się specjalizować w psychotraumatologii i psychiatrii katastrof, zapoznał się z różnymi teoriami dotyczącymi hipnozy. To, co go w niej pociągało, to szybkość, fakt, że psycholog mógł od razu zbliżyć się do źródła traumy. Erik rozumiał, że właśnie czas działania jest nieoceniony w pracy z ofiarami wojen i katastrof naturalnych.

Zapisał się na kurs podstawowy hipnozy w Europejskim

Stowarzyszeniu Hipnozy Klinicznej i wkrótce został członkiem Stowarzyszenia na rzecz Hipnozy Eksperymentalnej, Europejskiej Rady Hipnozy Medycznej i Szwedzkiego Towarzystwa Hipnozy Klinicznej. Przez wiele lat korespondował z Karen Olness, amerykańską pediatrą, której przełomowa metoda hipnotyzowania chronicznie chorych i cierpiących na przewlekły ból dzieci zrobiła na nim, jak do tej pory, największe wrażenie.

Przez pięć lat Erik pracował w Ugandzie dla Czerwonego Krzyża, lecząc ludzi ciężko poszkodowanych w wyniku urazów. W tym czasie nie miał w ogóle czasu, żeby wypróbować i rozwinąć swoje nowe umiejętności, sytuacje były zbyt przytłaczające i pilne, prawie zawsze chodziło o zaspokojenie podstawowych potrzeb. Użył hipnozy ledwie kilkanaście razy, i to właściwie tylko w lekkich przypadkach, zamiast środków przeciwbólowych przy nadwrażliwości i jako pierwszą blokadę fobicznych fiksacji. Raz, w ostatnim roku pobytu w Ugandzie, natknął się na dziewczynkę, którą trzymano zamkniętą w pokoju, ponieważ bez przerwy krzyczała. Katolickie zakonnice pracujące jako pielęgniarki wyjaśniły mu, że dziewczynka przyczołgała się drogą ze slumsów na północ od Mbale. Przypuszczały, że należy do ludu Bagisu, ponieważ mówiła w lugisu. Nie przespała ani jednej nocy, tylko bez przerwy wykrzykiwała, że jest strasznym demonem z ogniem w oczach. Erik poprosił siostry, żeby otworzyły drzwi. Już na pierwszy rzut oka zauważył, że dziewczynka jest bardzo odwodniona. Kiedy próbował skłonić ją do picia, wrzeszczała, jakby widok wody palił ją żywym ogniem. Turlała się po podłodze, wyjąc. Postanowił spróbować hipnozy, żeby ją uspokoić. Zakonnica, siostra Marion, tłumaczyła jego słowa na bukusu, który dziewczynka powinna rozumieć, a kiedy w końcu zaczęła słuchać, łatwo było ją wprowadzić w trans. W ciągu zaledwie godziny opisała swój uraz psychiczny. Cysterna z benzyną zjechała z drogi niedaleko na północ od slumsów przy drodze Mbale – Soroti. Ciężki pojazd przewrócił się i wyłobitł głęboki rów. Z dziury w cysternie wytrysnęła na ziemię czysta

benzyna. Dziewczynka pognęła do domu i odszukała swojego wujka, powiedziała mu o benzynie, która wsiąkała w grunt. Wujek pobiegł tam z dwoma plastikowymi kanistrami. Kiedy dotarli na miejsce, znajdowało się tam już kilkanaście osób. Napełniali zbiorniki paliwem z rowu. Strasznie śmierdziało, słońce prażyło, powietrze było gorące. Wujek skinął na dziewczynkę. Wzięła pierwszy pojemnik i zaczęła ciągnąć go do domu. Był bardzo ciężki. Zatrzymała się, żeby postawić go sobie na głowie, i zobaczyła kobietę w niebieskiej chuście stojącą przy cysternie po kolana w benzynie i napełniającą szklane butelki. Dalej na drodze do miasta dziewczynka zauważyła mężczyznę w żółtej maskującej koszuli. Był coraz bliżej, trzymał w ustach papierosa, popiół rozżarzył się, kiedy mężczyzna się zaciągnął.

Erik pamięta wyraźnie, jak wyglądała dziewczynka w trakcie tej opowieści. Jej głos był gruby i głuchy, łzy płynęły jej po policzkach, kiedy opowiadała, jak pochwyciła wzrokiem żar i przeniosła go na kobietę w błękitnej chuście. Ogień był w jej oczach, twierdziła. Bo kiedy odwróciła się i spojrzała na kobietę, ta zapłonęła. Najpierw zajęła się jej niebieska chusta, a potem całą postać ogarnęły wielkie płomienie. Nagle przy cysternie rozpętała się ognista burza. Dziewczynka zaczęła biec, słysząc za sobą jedynie krzyki.

Po seansie Erik i siostra Marion długo rozmawiali z nią o tym, co im opowiedziała, będąc w transie. Raz za razem wyjaśniali jej, że to opary benzyny, to, co tak mocno pachniało, zaczęły się palić. Papieros mężczyzny rozpętał pożar przez powietrze i że nie miało to z nią nic wspólnego.

Jakiś miesiąc po tym wydarzeniu Erik wrócił do Sztokholmu i zaczął się starać o grant z Rady Badań Medycznych, żeby poważnie się zająć hipnozą i leczeniem traumy w Instytucie Karolinska. Zdarzyło się to wkrótce po tym, jak poznał Simone na jakiejś dużej uczelnianej imprezie. Była pełna energii, z rumieńcami na twarzy, i tryskała radością. Najpierw zwrócił

uwagę na jej kręcone rudoblond włosy. Potem dostrzegł jej twarz. Czoło miała ładnie sklezione i blade, jej delikatna, jasna cera usiana była jasnobrazowymi piegami. Wyglądała jak drobny, smukły cherubin. Do dziś pamięta, w co była ubrana tego wieczoru: przylegającą do ciała zieloną jedwabną bluzkę, długie czarne spodnie i wysokie ciemne szpilki. Usta miała pomalowane na blad różowy odcień, a jej oczy lśniły czystą zieleńią.

Wzięli ślub już po roku i dość szybko zaczęli starać się o dziecko. Okazało się to trudne, przeżyli cztery poronienia z rzędu. Erik pamięta zwłaszcza jedno. Simone była w szesnastym tygodniu, kiedy poroniła dziewczynkę. Dokładnie dwa lata później urodził się Benjamin.

Erik patrzy przez okno, mrużąc oczy. Słyszy, jak Joona ściszone głosem rozmawia przez radio z kolegami będącymi w drodze do Värmdö.

– Przyszło mi coś do głowy – odzywa się Erik.

– Tak?

– Powiedziałem, że Josef Ek nie może zbiec ze szpitala, ale myślę, że skoro mógł sam sobie zadać te wszystkie rany, to nie można być tego pewnym.

– Też o tym pomyślałem – zgadza się Joona.

– W porządku.

– Umieściliśmy jednego z naszych chłopaków pod drzwiami sali.

– Prawdopodobnie zupełnie niepotrzebnie – mówi Erik.

– Pewnie tak.

Trzy samochody zatrzymują się jeden za drugim na poboczu drogi obok słupa energetycznego. Czworo policjantów stoi w białym świetle i rozmawia, zakładając kamizelki kuloodporne i pokazują coś na mapie. Światło słoneczne odbija się w szybie starej cieplarni.

Joona siada z powrotem za kierownicą, wciągając za sobą falę chłodnego powietrza. Czeką, aż pozostali zajmą miejsca w swoich wozach, i w zamyśleniu stuka palcami po kierownicy.

Nagle w policyjnym radiu słychać jakiś sygnał, a potem głośne

trzaski, które nagle się urywają. Jooną zmienia kanał, sprawdza, czy są wszyscy, i zamienia z każdym kilka słów, po czym przekręca kluczyk w stacyjce.

Samochody jadą wzdłuż zaoranego pola, mijają brzozy zagajnik i wielki, zardzewiały silos.

– Tam na miejscu zaczekasz w samochodzie – mówi cicho Jooną.

– Dobrze.

Kilka wron podrywa się z jezdnii i odlatuje.

– Jakie są minusy hipnozy? – pyta Jooną.

– To znaczy?

– Byłeś najlepszy na świecie, ale przestałeś to robić.

– Ludzie mają czasem powody, żeby ukrywać różne sprawy – odpowiada Erik.

– To jasne, ale...

– I te powody bardzo trudno jest ocenić w czasie hipnozy.

Jooną zerka na niego sceptycznie.

– Dlaczego nie chce mi się wierzyć, że to dlatego z tym skończyłeś?

– Nie chcę o tym mówić – ucina Erik.

Pnie drzew migają za boczną szybą. Las gęstnieje i staje się ciemniejszy. Pod kołami chrzęści żwir. Skręcają w wąską leśną drogę, mijają kilka domków letniskowych i zatrzymują się. Daleko, między świerkami Jooną widzi brązowy drewniany dom stojący na zacienionej polanie.

– Liczę na to, że się stąd nie ruszysz – mówi do Erika i wysiada.

Podczas gdy Jooną idzie w kierunku podjazdu, gdzie pozostali policjanci już na niego czekają, Erik wraca myślami do zahipnotyzowanego chłopca. Słowa, które po prostu wypływały spomiędzy jego luźnych warg. Chłopiec, który jasno i przejrzysto opisał swój atak bestialskiej agresji. Wspomnienie musiało być zupełnie wyraźne: drgawki gorączkowe młodszej siostrzyczki, napływająca wściekłość, wybór noży, euforia po przekroczeniu granicy. Pod koniec transu opisy Josefa stały się chaotyczne,

trudniej było zrozumieć, co miał na myśli, jak to odbierał, czy starsza siostra Evelyn rzeczywiście zmusiła go do morderstwa.

Jooną zbiera wokół siebie wszystkich policjantów. Nie wyolbrzymiając czekającego ich zadania, opisuje powagę sytuacji i daje instrukcje użycia broni palnej – jeśli to będzie konieczne, mogą strzelać tylko w nogi. Unika fachowej terminologii z zakresu taktyki interwencji i zamiast tego wyjaśnia, że najprawdopodobniej zetkną się z absolutnie nieszkodliwą osobą.

– Proszę, byście działali ostrożnie, żeby nie przestraszyć tej dziewczyny – mówi. – Możliwe, że się boi, niewykluczone, że jest ranna, ale jednocześnie ani na chwilę nie wolno wam stracić czujności, bo może być też niebezpieczna.

Patrol złożony z trzech policjantów wysyła za dom, prosi, żeby nie zdeptali warzywniaka, żeby zostali na zewnątrz, żeby zbliżyli się do budynku na bezpieczną odległość.

Ruszają w dół drogi, jeden z nich zatrzymuje się i wkłada sobie pod wargę porcję snusu. Czekoladowobrązowa fasada budynku składa się z poziomych, zachodzących na siebie paneli. Framugi są białe, drzwi wejściowe czarne. Okna zakryte są różowymi zasłonkami. Z komina nie unosi się dym. Na schodach werandy stoją miotła i żółte plastikowe wiadro z suchymi szyszkami.

Jooną widzi, że patrol rozprasza się we właściwej odległości i z wyciągniętą bronią. Trzaska nadepnięta gałązka. Z daleka słychać echo stukania dzięcioła. Jooną obserwuje przemieszczanie się policjantów, a jednocześnie, powoli zbliżając się do domu, próbuje dostrzec coś przez różowy materiał firanki. Daje znak Kristinie Andersson, młodej policjantce o trójkątnej twarzy, żeby zatrzymała się na ścieżce. Kobieta ma czerwone policzki, kiwa głową, nie spuszczając budynku z oczu. Ze spokojem wyciąga służbowy pistolet i przesuwa się kilka kroków w bok.

Dom jest pusty, myśli Jooną, zbliżając się do schodów. Deski cicho skrzypią pod jego ciężarem. Obserwuje okno, wypatrując ruchu powietrza na firance, po czym puka do drzwi. Nic się nie

dzieje. Odczekuje chwilę i zamiera, wydaje mu się, że coś usłyszał, przeszukuje wzrokiem las koło domu, za zaroślami i pniami drzew. Wyciąga swój pistolet, ciężkiego smitha&wessona, którego woli od standardowej broni marki Sig Sauer. Odbezpiecza go i sprawdza naboje w magazynku. Nagle w zaroślach coś trzaska i wybiega z nich sarna, znikając w lesie. Kristina Andersson odpowiada na spojrzenie komisarza nerwowym uśmiechem. Joonna wskazuje na okno, ostrożnie podchodzi i zagląda do środka przez szparę w firance.

W ciemności widzi rattanowy stół z obdrapaną szklaną płytą i jasnobrązową sztruksową kanapę. Na oparciu krzesła suszą się dwie pary białych bawełnianych majtek. We wnęce kuchennej leży sporo paczek makaronu błyskawicznego, słoiczki pesto, konserwy i torba jabłek. Na podłodze przed zlewozmywakiem i pod stołem błyskają sztucce. Joonna wraca na schody i pokazuje na migi Kristinie Andersson, że wchodzi do domu, potem otwiera drzwi i usuwa się z linii strzału. Kristina daje mu znak, że jest czysto. Joonna zerka do środka i przechodzi przez próg.

Erik siedzi w samochodzie i z daleka może się tylko domyślać, co się dzieje. Widzi, jak Joonna znika w budynku, a za nim drugi policjant. Po krótkiej chwili wraca na schodki. Trzech funkcjonariuszy wychodzi z za węgła i zbiera się wokół niego. Rozmawiają, oglądają mapę, wskazują na drogę i pozostałe zabudowania. Zdaje się, że Joonna chce pokazać coś jednemu z nich wewnątrz domu. Wszyscy idą za nimi, ostatni zamyka za sobą drzwi, żeby nie wypuszczać ciepła.

Nagle Erik zauważa kogoś między drzewami, w miejscu, gdzie zaczyna się zbrocze schodzące ku trzęsawisku. To szczupła kobieta ze strzelbą w ręku, śrutówką. Błyszcząca dwururka wlecze się po ziemi, kiedy dziewczyna rusza w stronę domu. Erik widzi, jak broń obija się miękko o borówki i mech.

Policjanci nie zauważyli kobiety, ona też nie miała szans ich dostrzec. Erik wybiera numer Joony. Telefon odzywa się

w samochodzie, leży obok, na siedzeniu kierowcy.

Kobieta idzie, nie śpiesząc się, z luźno opuszczoną bronią. Erik zdaje sobie sprawę, że sytuacja może stać się groźna, jeśli ona i policjanci zaskoczą się nawzajem. Wysiada z samochodu, biegnie do podjazdu, a potem zwalnia kroku.

– Hej! – woła.

Kobieta zatrzymuje się i obraca w jego stronę.

– Chłodny dziś dzień – mówi Erik niezbyt głośno.

– Co?

– W cieniu jest dziś zimno – powtarza głośniej.

– To prawda.

– Jest pani tu nowa? – pyta Erik, zbliżając się do niej.

– Nie, wynajmuję domek od mojej ciotki.

– Sonja to pani ciotka?

– Tak – uśmiecha się dziewczyna.

Erik podchodzi do niej.

– Na co pani poluje?

– Na zajęce.

– Mogę zobaczyć strzelbę?

Dziewczyna składa śrutówkę i podaje mu ją. Ma czerwony czubek nosa. W jej płowych włosach utkwili kilka świerkowych igieł.

– Evelyn – mówi spokojnie Erik. – Jest tu paru policjantów, chcieliby z tobą porozmawiać.

Dziewczyna nerwowo cofa się o krok.

– Jeśli masz czas – dodaje Erik z uśmiechem.

Evelyn kiwa słabo głową, więc Erik krzyczy w stronę domu. Joona wychodzi, widać, że jest zirytowany, gotów nakazać mu powrót do samochodu. Kiedy dostrzega kobietę, zamiera na ułamek sekundy.

– To jest Evelyn – przedstawia ją Erik, podając policjantowi strzelbę.

– Cześć – mówi Joona.

Dziewczyna blednie, wygląda, jakby miała zaraz zemdleć.

- Muszę z tobą porozmawiać.
- Nie – szeptem odpowiada Evelyn.
- Wejź do domu.
- Nie chcę.
- Nie chcesz wejść do środka?

Evelyn zwraca się do Erika.

- Muszę? – pyta drżącymi ustami.
- Nie – odpowiada Erik. – Sama zdecyduj.
- Chodź z nami, proszę – odzywa się Joon.

Dziewczyna potrząsa głową, ale mimo wszystko idzie za nim.

- Poczekam na zewnątrz – mówi Erik.

Podchodzi jeszcze kawałek podjazdem. Żwir pokryty jest igliwem i brązowymi szyszkami. Słyszysz krzyk Evelyn przez ściany domu. Jeden jedyny krzyk. Samotny i pełen rozpacz. Wyraz niepojętej straty. Rozpoznaje dobrze ten dźwięk z czasów w Ugandzie.

Evelyn siedzi na sztruksowej kanapie, dłonie ściska udami, twarz ma białą jak popiół. Dowiedziała się, co stało się z jej rodziną. Fotografia w ramce przypominającej muchomora leży na ziemi. Mama i tata siedzą w czymś, co wygląda na hamak. Między sobą trzymają najmłodszą siostrzyczkę. Rodzice mrużą oczy w ostrym słońcu, podczas gdy okulary dziewczynki połyskują biało, odbijając światło.

- Moje kondolencje – mówi głucho Joon.

Broda dziewczyny drży.

- Myślisz, że byłąbyś w stanie pomóc nam zrozumieć, co się właściwie stało? – pyta policjant.

Krzeseł trzeszczy pod jego ciężarem. Joon oczekuje chwilę, po czym pyta:

- Gdzie byłaś w poniedziałek, siódmego grudnia?

Dziewczyna potrząsa głową.

- Wczoraj – precyzuje Joon.
- Byłam tutaj – mówi dziewczyna słabym głosem.

– W domku letniskowym?

Evelyn patrzy mu w oczy.

– Tak.

– Nie wychodziłaś przez cały dzień?

– Nie.

– Siedziałaś tutaj cały czas?

Dziewczyna robi gest w stronę łóżka i podręczników politologii.

– Studiujesz?

– Tak.

– A więc wczoraj nie wychodziłaś z domu?

– Nie.

– Czy ktoś może to potwierdzić?

– Że co?

– Czy ktoś tu z tobą był? – pyta Joon.

– Nie.

– Czy domyślasz się, kto mógł to zrobić twojej rodzinie?

Przeczenie.

– Czy ktoś wam groził?

Dziewczyna zdaje się go nie słyszeć.

– Evelyn?

– Co? Co pan mówił?

Jej palce są mocno zaciśnięte między nogami.

– Czy ktoś groził twojej rodzinie, czy macie nieprzyjaciół, wrogów?

– Nie.

– Wiesz, że twój tata miał spore długi?

Przeczenie.

– Miał – powtarza Joon. – Twój ojciec pożyczał pieniądze od gangsterów.

– Aha.

– Czy to któryś z nich mógłby...

– Nie.

– Dlaczego nie?

- Nic nie rozumiecie!
- Czego nie rozumiemy?
- Nic nie rozumiecie.
- Powiedz nam, co...
- To niemożliwe!

Jest tak wzburzona, że zaczyna płakać, otwarcie, nie zakrywając twarzy. Kristina Andersson podchodzi i obejmuje ją, po chwili dziewczyna się uspokaja. Siedzi bez ruchu w objęciach policjantki, a pojedyncze spazmy wstrząsają jej ciałem.

- Moja mała – szepce pocieszająco Kristina Andersson.

Przytula dziewczynę do siebie i głaszcze ją po głowie. Nagle krzyczy i odpycha Evelyn, zrzucając ją na podłogę.

- Do diabła, ugryzła mnie... Ugryzła, mocno jak cholera.

Zdumiona patrzy na swoje skrwawione palce. Krew płynie z rany na szyi.

Evelyn siedzi na podłodze, zakrywając dłońią zdeorientowany uśmiech. Oczy wywracają jej się białkami na zewnątrz i dziewczyna mdleje.

11 WTOREK WIECZOREM, ÓSMY GRUDNIA

Benjamin ukrywa się w swoim pokoju. Simone siedzi z zamkniętymi oczami przy kuchennym stole i słucha radia, które nadaje bezpośrednią transmisję z Berwaldhallen ⁸ . Próbuje wyobrazić sobie życie w pojedynkę. Wiele by się nie zmieniło – myśli z ironią. – Chodziłabym może na koncerty, do teatru i galerii, jak to robią samotne kobiety.

Znajduje w szafce butelkę słodowej whisky i nalewa sobie odrobinę z paroma kroplami wody: bladożółty płyn w ciężkiej szklance. Otwierają się drzwi wejściowe. Ciepłe tony suitu Bacha na wiolonczelę wypełniają kuchnię spokojną, smutną melodią. Erik stoi oparty o framugę i patrzy na Simone, z twarzą poszarzałą od zmęczenia.

– Wygląda na dobre.

– Mówią na to whisky. – Simone podaje mu szklankę.

Nalewa sobie nową porcję, potem stają naprzeciw siebie i z powagą wypijają swoje zdrowie.

– Ciężki dzień? – pyta cicho Simone.

– Dosyć – potwierdza Erik, uśmiechając się blado.

Widać, jaki jest wycieńczony. Rysy twarzy stają się niewyraźne, jakby pokryte cienką warstwą kurzu.

– Czego słuchasz? – pyta.

– Mam wyłączyć?

– Nie, mnie to nie przeszkadza. Ładnie grają.

Opróżnia szklankę i podaje ją Simone, która dolewa mu whisky.

– A więc w końcu Benjamin nie zrobił sobie tego tatuażu – stwierdza Erik.

– Prześledziłeś akcję w poczcie głosowej?

– Przed chwilą, w drodze do domu, nie dałem rady wcześniej...

– Nie – przerywa Simone i myśli o kobiecie, która odebrała telefon.

– Dobrze, że pojechałaś po niego.

Simone kiwa głową i myśli o tym, że wszystkie uczucia się zazębiają, a żaden związek nie może być wolny i niezależny, bo wszystko z wszystkim się w którymś miejscu przecina.

Wypijają swoje drinki. Simone zdaje sobie sprawę, że Erik uśmiecha się do niej. Jego uśmiech odstaniający nierówne zęby zawsze sprawiał, że miękły jej kolana. Chciałaby w tej chwili pójść z nim do łóżka, bez gadania, bez komplikacji. Pewnego dnia i tak wszyscy będziemy samotni, mówi sobie w myślach.

– Niczego nie jestem pewna – stwierdza. – Czy raczej... Jestem pewna, że ci nie ufam.

– Dlaczego mówisz...

– Mam wrażenie, że wszystko gdzieś zgubiliśmy – przerywa mu. – Ty tylko śpisz albo jesteś w pracy czy gdzieś. Chciałam robić różne rzeczy, podróżować, być razem.

Erik odstawia szklankę i robi krok w jej stronę.

– A nie możemy?

– Nie mów tak – szepce Simone.

– Czemu nie?

Uśmiecha się, głaszcze ją po policzku i poważnieje. Nagle zaczynają się całować. Simone czuje, jak całe jej ciało za tym tęskniło, tęskniło za pocałunkami.

– Tato, nie wiesz, gdzie...

Benjamin wchodzi do kuchni i milknie na ich widok.

– Jesteście nienormalni – wzdycha i wychodzi.

– Benjamin! – woła za nim Simone.

Chłopiec wraca.

– Obiecałeś przynieść jedzenie.

– A zadzwoniłaś?

– Będzie za pięć minut – mówi Simone, podając mu portfel. – Wiesz, gdzie jest ta tajska knajpka?

– Mamo...

– Nigdzie się nie zatrzymuj.

– Daj spokój.

– Słuchaj mamy – wtrąca Erik.

– Mam tylko odebrać jedzenie z baru na rogu, nic mi nie będzie – mówi Benjamin i wychodzi do przedpokoju.

Erik i Simone uśmiechają się do siebie, słyszą trzask zamykanych drzwi i szybkie kroki na schodach.

Erik wyjmuje z szafki trzy szklanki, przystaje, bierze dłoń Simone i przytula do policzka.

– Idziemy do sypialni? – pyta Simone.

Erik wygląda na żenująco uszczęśliwionego, kiedy nagle dzwoni telefon.

– Nie odbieraj – prosi.

– To może być Benjamin – odpowiada Simone i przykłada słuchawkę do ucha. – Tak, tu Simone.

Nic nie słyhać, tylko ciche tykanie, może odgłos rozsuwanego zamka błyskawicznego.

– Halo?

Odstawia telefon na ładowarkę.

– Nikt się nie odezwał? – pyta Erik.

Simone zauważa, że Erik wygląda na zaniepokojonego, kiedy podchodzi do okna i wygląda na ulicę. Simone znowu przypomina sobie głos kobiety, która odebrała telefon dziś rano. „Erik, daj spokój”, powiedziane ze śmiechem. Z czym daj spokój? Przestań błądzić dłońmi pod moim ubraniem, ssać piersi, podciągać w górę spódnicę?

– Zadzwoń do Benjaminą – prosi Erik z napięciem w głosie.

– Po co mam...

Simone bierze słuchawkę do ręki w tej samej chwili, w której rozlega się sygnał.

– Halo?

Kiedy nikt się nie odzywa, przerywa połączenie i wybiera numer

Benjamina.

– Zajęte.

– Nie widzę Benjamina – mówi Erik.

– Mam po niego pójść?

– Może.

– Wścieknie się – stwierdza z uśmiechem Simone.

– To ja pójde – decyduje Erik i wychodzi do przedpokoju.

Zdejmuje kurtkę z wieszaka. Jednocześnie otwierają się drzwi i wchodzi Benjamin. Erik odwiesza kurtkę i odbiera parującą torbę z jedzeniem na wynos.

Siadają przed telewizorem i oglądając film, jedzą prosto z pudełek. Benjamin śmieje się z jakiejś wymiany zdań. Rodzice patrzą na siebie z zadowoleniem, zupełnie jak wtedy, gdy był mały i śmiał się do rozpuku z programów dla dzieci. Erik kładzie dłoń na kolanie Simone, a ona nakrywa ją swoją i ścisza jego palce.

Bruce Willis leży na plecach i ociera krew z ust. Znów dzwoni telefon, Erik odstawia jedzenie i wstaje z kanapy. Wychodzi do przedpokoju i odbiera, starając się zachować spokój.

– Erik Maria Bark.

Nic nie słychać, tylko cichy stukot.

– Dość już tego – rzuca ze złością.

– Erik?

To głos Danielli.

– To ty Erik? – pyta.

– Jemy obiad.

Słyszysz jej przyśpieszony oddech.

– Czego chciał? – pyta lekarka.

– Kto?

– Josef.

– Josef Ek? – dziwi się Erik.

– Nic nie powiedział? – powtarza Daniella.

– Kiedy?

– Teraz... przez telefon.

Erik zerka przez drzwi do pokoju, widzi Simone i Benjamina oglądających film. Myśli o tej rodzinie z Tumbi, dziewczynce, matce i ojcu. O makabrycznej furii będącej źródłem zbrodni.

– Dlaczego sądzisz, że do mnie dzwonił? – pyta.

Daniella odchrząkuje.

– Musiał przekonać pielęgniarkę, żeby dała mu telefon, rozmawiałam z centralą, połączyli go z tobą.

– Jesteś tego pewna?

– Josef wrzeszczał, kiedy weszłam do niego, wyrwał wenflon, podałam mu alprazolam, ale zanim zasnął, powiedział o tobie mnóstwo rzeczy.

– Czyli? Co mówił?

Erik słyszy, jak Daniella przełyka ślinę, jej głos jest bardzo zmęczony:

– Że wyjebałeś jego mózg, że masz się odpierdolić od jego siostry, bo jak nie, to cię zniszczy. Powtórzył wiele razy, że masz się liczyć z tym, że cię zniszczy.

12 WTOREK WIECZOREM, ÓSMY GRUDNIA

Minęły trzy godziny, odkąd Jooną odprowadził Evelyn do aresztu Kronoberg. Jest teraz w małej celi o zimnych ścianach i poziomych kratkach w zaparowanym oknie. Z nierdzewnej umywalki w rogu dolatuje woń wymiocin. Kiedy Jooną ją tam zostawiał, Evelyn stała obok przytwierdzonej do ściany pryczy i patrzyła na niego pytająco.

Od momentu schwytania dziewczyny prokurator ma maksymalnie dwanaście godzin na podjęcie decyzji o jej zatrzymaniu procesowym bądź wypuszczeniu. Gdyby postanowił ją zatrzymać, to do godziny dwunastej trzeciego dnia musi złożyć w sądzie wnioski o zastosowanie aresztu tymczasowego. Jeśli tego nie zrobi, Evelyn zostanie zwolniona. A jeśli wystąpi z takim wnioskiem, to albo robi to na podstawie uzasadnionego podejrzenia, albo dużego prawdopodobieństwa popełnienia przestępstwa, co jest zarzutem wyższego stopnia.

Teraz Jooną znowu kroczy po białej błyszczącej podłodze. Idąc korytarzem aresztu, mija szereg zielonych drzwi do cel. Widzi swoje odbicie w metalowych płytach z klamką i zamkiem. Przed każdymi drzwiami stoi biały termos. Czerwone tabliczki oznaczają szafki z gaśnicami. Wózek sprzątacza, z białym workiem na pranie i zielonym na śmieci, stoi koło recepcji.

Jooną zatrzymuje się i zamienia kilka słów z kuratorem z Individuell människohjälp⁹, a potem kieruje się na oddział kobiecy.

Przed jednym z pięciu pokoi przesłuchań stoi Jens Svanehjälms, nowy prokurator generalny okręgu sztokholmskiego. Wygląda na jakieś dwadzieścia lat, ale w rzeczywistości skończył czterdzieści. Ma w spojrzeniu coś chłopięcego, jakąś dziecinność w rysach

twarzy, przez co sprawia wrażenie, jakby nigdy w życiu nie przeżył niczego wstrząsającego.

– Evelyn Ek – mówi bardzo powoli. – Czy to ta, która zmusiła młodszego brata do wymordowania członków rodziny?

– Tak właśnie twierdził Josef, kiedy...

– Ale to, co Josef Ek powiedział w transie, nie może być wykorzystane – przerywa Jens. – To wbrew zarówno prawu do milczenia, jak i prawu do niezeznawania przeciw sobie.

– Rozumiem, ale to nie było przesłuchanie, on nie był o nic podejrzany – wyjaśnia Joona.

Jens zerka na swoją komórkę, mówiąc:

– Wystarczy, że rozmowa ma związek ze sprawą, której dotyczy postępowanie przygotowawcze, żeby liczyła się jako przesłuchanie.

– Jestem tego świadomy, uznałem jednak, że ważniejsze jest co innego – oświadcza Joona.

– Tego się obawiałem, ale...

Milknie i spogląda na Joonę, jakby się czegoś spodziewał.

– Wkrótce dowiem się, co się stało – mówi komisarz.

– Świetnie. – Jens wygląda na zadowolonego. – Kiedy przejmowałem obowiązki po Anicie Niedel, dała mi jedną radę: jeśli Joona Linna mówi, że pozna prawdę, to tak będzie.

– Mieliśmy kilka starć.

– Dała mi to do zrozumienia. – Jens uśmiecha się.

– Mam tam wejść? – pyta Joona.

– Ty tu jesteś szefem, ale...

Jens Svanehjälms drapie się w ucho i mamrocze, że nie chce więcej pomysłów, żadnych streszczeń przesłuchań, żadnych niejasności.

– Zawsze, jeśli to możliwe, prowadzę dialog z przesłuchiwanym – odpowiada Joona.

– Jeśli będziesz to nagrywał, to nie wydaje mi się, żebyśmy potrzebowali świadka przesłuchania, nie w tej sytuacji.

– Tak myślałem.

– To tylko przesłuchanie informacyjne – podkreśla Jens.

– Chcesz, żebym jej powiedział, że jest podejrzana? – pyta Joona.

– Sam zdecydуй, ale zegar tyka, nie zostało ci zbyt wiele czasu.

Joona puka do drzwi i wchodzi do ponurego pokoju przesłuchań z żaluzjami zakrywającymi zakratowane okna. Evelyn Ek siedzi na krześle, jest zdenerwowana. Jej spięta twarz na pierwszy rzut oka wygląda dość pospolicie, ale im dłużej jej się przygląda, tym mu się wydaje ładniejsza.

– Pomyślałem, że moglibyśmy chwilę porozmawiać – mówi Joona. – Co ty na to?

Dziewczyna wzrusza ramionami.

– Kiedy ostatnio spotkałaś Josefa?

– Nie pamiętam.

– Czy to było wczoraj?

– Nie. – Evelyn jest zdziwiona.

– Ile dni temu?

– Co?

– Chciałbym się dowiedzieć, kiedy ostatnio widziałaś się z Josefem – mówi Joona.

– Bardzo dawno temu.

– Odwiedził cię w domku letniskowym?

– Nie.

– Nigdy? Nigdy nie był tam u ciebie?

Evelyn wzrusza lekko ramionami:

– Nie.

– Ale wie o tym miejscu, prawda?

Skinienie.

– Był tam w dzieciństwie – odpowiada Evelyn i obdarza Joonę długim spojrzeniem swoich brązowych oczu.

– Kiedy to było?

– Nie wiem... Miałam dziesięć lat, pożycziliśmy dom na lato od cici Sonji, była wtedy w Grecji.

– Od tego czasu Josef tam nie był?

Wzrok Evelyn omiata ścianę za plecami Joony.

- Nie wydaje mi się - mówi.
- Jak długo mieszkałaś w domu ciotki?
- Wprowadziłam się, jak się zaczął semestr.
- W sierpniu.
- Tak.

- Mieszkałaś tam od sierpnia, czyli cztery miesiące. W małym domku w Värmdö. Dlaczego?

Jej wzrok ponownie ucieka, gdzieś za plecy Joony.

- Żeby móc spokojnie studiować.
- Cztery miesiące?

Dziewczyna powoli zmienia pozycję na krześle, krzyżuje nogi i drapie się w czoło.

- Potrzebuję spokoju - mówi z westchnieniem.
- Kto ci go zakłóca?
- Nikt.
- To dlaczego potrzebny ci spokój?

Na twarzy dziewczyny pojawia się delikatny, choć smutny uśmiech.

- Lubię las.
- Co studiujesz?
- Politologię.
- I utrzymujesz się z kredytu studenckiego?
- Tak.

- Gdzie robisz zakupy?
- Jeżdżę na rowerze do Saltarö.
- To chyba daleko?

Wzruszenie ramion.

- Daleko.
- Spotkałaś tam kogoś znajomego?
- Nie.

Joona zatrzymuje wzrok na gładkim, młodym czole Evelyn.

- Nie spotkałaś tam Josefa?
- Nie.

– Evelyn, wysłuchaj mnie. – Jooną zmienia ton, poważnieje. – Twój młodszy brat Josef powiedział, że to on zamordował waszą rodzinę.

Evelyn wbija wzrok w stół, jej rzęsy drżą. Błada twarz zaczyna się rumienić.

– On ma tylko piętnaście lat – ciągnie Jooną.

Patrzy na jej wąskie dłonie i wyszcotkowane, lśniące włosy opadające na kruche ramiona.

– Dlaczego, twoim zdaniem, twierdzi, że zabił waszych rodziców i siostrę?

– Że co? – Dziewczyna podnosi wzrok.

– Wyglądasz, jakbyś wierzyła w jego słowa.

– Tak?

– Nie byłaś zdziwiona, kiedy ci powiedziałem, że przyznał się do zabójstw – mówi Jooną. – A jesteś?

– Tak.

Evelyn siedzi bez ruchu na krześle, zmarznięta i wyczerpana. Na jej gładkim czole, między brwiami pojawiła się zmarszczka niepokoju. Wygląda na bardzo zmęczoną. Jej wargi poruszają się, jakby się modliła albo szeptała coś sama do siebie.

– Jest pod kluczem? – pyta nagle.

– Kto?

Dziewczyna odpowiada, nie podnosząc wzroku, bezbarwnym tonem.

– Josef? Zamknęliście go?

– Boisz się go?

– Nie.

– Pomyślałem sobie, że miałaś przy sobie broń, bo się go bałaś.

– Poluję – odpowiada dziewczyna, patrząc policjantowi w oczy.

Jooną myśli, że jest w niej coś dziwnego, coś, czego jeszcze nie rozgryzł. Jej reakcje nie były typowe – poczucie winy, wściekłość czy nienawiść. Raczej coś na kształt gigantycznego oporu. Nie umie tego uchwycić. Mechanizm obronny, z jakim się jeszcze nie spotkał.

- Na zające? – pyta.
- Tak.
- Dużo ich?
- Niespecjalnie.
- Jak smakują?
- Słodkawo.

Joona przypomina sobie, jak stała na zimnie przed domem. Próbuje odtworzyć przebieg wydarzeń.

Erik Maria Bark zabrał jej strzelbę. Trzymał ją na ramieniu, była złożona. Evelyn przyglądała mu się pod słońce, spod przymrużonych powiek. Smukła i wysoka, włosy w kolorze ciemnego piasku, zebrane wysoko w koński ogon. Srebrnoszara puchowa kamizelka, džinsy biodrówki, wilgotne tenisówki, z tyłu sosny, na ziemi mech, krzaczki brusznic i rozdeptany muchomor.

Nagle Joona znajduje lukę w zeznaniach Evelyn. Już wcześniej o tym pomyślał, ale potem zapomniał. Teraz znów wyraźnie dostrzega tę nieścisłość. Kiedy rozmawiał z Evelyn w domu ciotki, siedziała bez ruchu na sztruksowej kanapie z dłońmi ściśniętymi między udami. Na podłodze u jej stóp leżała fotografia w ramce o kształcie muchomora. Na zdjęciu widać było młodszą siostrzyczkę Evelyn. Siedziała między rodzicami, a światło słońca odbijało się w jej dużych okularach.

Dziewczynka musiała mieć wtedy cztery, może pięć lat – zastanawia się Joona. – Zdjęcie ma w takim razie nie więcej niż rok.

Evelyn twierdziła, że Josef nie był w chacie od wielu lat, ale wprowadzony w trans opisał właśnie tę fotografię.

Oczywiście mogło być więcej kopii w takich samych ramkach, myśli Joona. Możliwe nawet, że ta fotografia zmieniała miejsce. A Josef mógł być w domku bez wiedzy Evelyn. Ale może to być również luka w zeznaniu Evelyn. Nie jest to wcale takie nieprawdopodobne.

- Evelyn – mówi. – Zastanawia mnie jedna rzecz, którą powiedziałaś chwilę temu.

Ktoś puka do drzwi. Evelyn płoszy się. Jooną wstaje i otwiera. To prokurator Jens Svanehjälms, prosi go na korytarz.

– Zwalniam ją – oświadcza Jens. – To jakieś bzdury, nie mamy kompletnie nic, tylko nieważne przesłuchanie jej piętnastoletniego brata, który sugeruje...

Jens milknie, kiedy napotyka wzrok Joony.

– Wpadłeś na coś, tak?

– To nie ma znaczenia – odpowiada Jooną.

– Kłamie?

– Nie wiem, może...

Jens przeciąga dłonią po brodzie, myśli.

– Daj jej kanapkę i herbatę – oznajmia w końcu. – Masz godzinę, zanim podejmę decyzję, czy ją zatrzymamy.

– Nie wiadomo, czy to do czegoś doprowadzi.

– Ale spróbujesz?

Jooną stawia przed Evelyn plastikowy kubek z angielską herbatą i kanapkę na papierowym talerzyku, potem siada.

– Pomyślałem, że pewnie zgłodniałaś – mówi.

– Dziękuję. – Evelyn przez krótką chwilę wydaje się trochę weselsza.

Ręka jej drży, je kanapkę, a potem zgarnia okruszki ze stołu.

– Evelyn, w domu twojej ciotki jest fotografia w ramce w kształcie muchomora.

Evelyn kiwa głową:

– Kupiła ją w Morze, uznała, że będzie pasować do chaty i...

Milknie i dmucha na herbatę.

– Macie więcej takich ramek?

– Nie. – Evelyn uśmiecha się.

– Czy to zdjęcie zawsze było w domku cioci?

– Do czego pan zmierza? – pyta niepewnie dziewczyna.

– Do niczego, tylko że Josef wspominał o tym zdjęciu, musiał je gdzieś widzieć, więc pomyślałem, że może zapomniałaś o czymś.

- Nie.
- To chyba tyle. - Jooną wstaje.
- Pan już sobie idzie?
- Evelyn, wierzę ci - mówi z powagą Jooną.
- Wszyscy myślą, że jestem w to zamieszana.
- Ale nie jesteś, prawda?

Kręci głową.

- Nie w taki sposób - dodaje Jooną.

Dziewczyna ociera szybko łzy z policzków.

- Josef przyjechał raz, wziął taksówkę, miał ze sobą tort - wykrztusza łamiącym się głosem.

- Na twoje urodziny?
- To on... on miał urodziny.
- Kiedy to było? - pyta Jooną.
- Pierwszego listopada.
- Mniej więcej miesiąc temu. Co było dalej?
- Nic - odpowiada dziewczyna. - Zaskoczył mnie.
- Nie powiedział, że przyjeżdża?
- Nie mamy ze sobą kontaktu.
- Czemu nie?
- Potrzebuję samotności.
- Kto wiedział, że tam mieszkasz?

- Nikt poza Sorabem, moim chłopakiem... To znaczy, zerwał ze mną, jesteśmy tylko przyjaciółmi, ale pomaga mi, mówi wszystkim, że mieszkam u niego, odbiera telefon, kiedy dzwoni mama, i...

- Dlaczego?
- Potrzebuję spokoju.
- Czy Josef odwiedził cię jeszcze?
- Nie.
- To ważne, Evelyn.
- Już więcej nie przyjechał - odpowiada.
- Czemu powiedziałaś nieprawdę?

- Nie wiem – szepce dziewczyna.
- Kiedy jeszcze kłamałaś?

13 ŚRODA PRZED POŁUDNIEM, DZIEWIĄTY GRUDNIA

Erik krąży wśród oszklonych gablot sklepu jubilerskiego w domu towarowym NK. Ubrana na czarno kobieta ściszym głosem rozmawia z klientem, potem otwiera szufladę i wykłada kilka sztuk biżuterii na wyściełaną aksamitem tackę. Erik przystaje przed jedną z gablot i ogląda naszyjnik Georga Jensena. Ciężkie, miękko oszlifowane trójkąty połączone niczym płatki kwiatu w zamknięty wieniec. Platynowy blask promieniuje od sterlingowego srebra. Erik wyobraża sobie, jak pięknie by wyglądał na smukłej szyi Simone, i postanawia kupić go żonie w prezencie pod choinkę.

Kiedy ekspedientka zawija naszyjnik w ciemnoczerwony błyszczący papier, w kieszeni Erika zaczyna wibrować telefon, objając się o drewnianą kasetkę z tubylcem i papugą. Wyciąga komórkę i odbiera, nie sprawdzając numeru na wyświetlaczu.

– Erik Maria Bark.

Coś dziwnie trzeszczy, w tle słycać kolędy.

– Halo?

Odzywa się słaby głos:

– Czy to Erik?

– Tak, to ja.

– Zastanawiam się...

Erikowi wydaje się, że słyszy chichot.

– Z kim rozmawiam? – pyta zdecydowanym głosem.

– Czekaj, doktorcu. Chcę tylko o coś zapytać – mówi głos, teraz wyraźnie rozbawiony.

Erik już chce się pożegnać, kiedy w słuchawce rozlega się ryk:

– Zahipnotyzuj mnie! Chcę być...

Erik odrywa telefon od ucha. Rozłącza się i próbuje sprawdzić, kto dzwonił, ale numer jest zastrzeżony. Sygnał SMS-a informuje, że nadeszła nowa wiadomość. Nadawca także jest ukryty. Otwiera ją i czyta: Umiesz zahipnotyzować trupa?

Oszołomiony Erik odbiera złoto-czerwoną torebkę z zapakowanym prezentem i opuszcza sklep jubilerski. W przejściu w stronę ulicy Hamngatan napotyka spojrzenie kobiety w czarnym workowatym płaszczu. Stoi pod wiszącą, wysoką na trzy piętra choinką i wpatruje się w Erika. Nigdy wcześniej jej nie widział, ale jej wzrok jest wyraźnie wrogi.

Erik jedną ręką unosi wieczko kasetki, którą trzyma w kieszeni płaszcza, wysypuje na dłoń kapsułkę kodeiny, wkłada ją do ust i połyka.

Wychodzi na mróz. Ludzie cisną się przed witryną sklepową. Krasnale tańczą w krainie słodyczy. Karmelek z wielką gębą śpiewa kolędę. Przedszkolaki w żółtych odblaskowych kamizelkach narzuconych na ciepłe kurteczki przyglądają się temu w milczeniu.

Znów dzwoni telefon, ale tym razem przed odebraniem Erik sprawdza numer. To ktoś ze Sztokholmu. Odzywa się z rezerwą:

– Erik Maria Bark.

– Dzień dobry, nazywam się Britt Sundström. Pracuję dla Amnesty International.

– Witam – mówi ze zdziwieniem.

– Chciałabym się dowiedzieć, czy pański pacjent miał jakąś szansę, żeby odmówić poddania się hipnozie.

– Słucham? – pyta Erik, obserwując, jak w oknie wystawowym wielki ślimak ciągnie sanie z prezentami.

Serce zaczyna mu mocniej bić, wzrasta poziom kwasów żołądkowych.

– KUBARK, podręcznik CIA opisujący niezostawiające śladów tortury, wymienia hipnozę jako jedną z...

– Lekarz prowadzący ocenił...

– Chce pan powiedzieć, że osobiście nie ponosi pan żadnej

odpowiedzialności?

– Nie powinienem chyba tego komentować – ucina Erik.

– Złożyliśmy już na pana doniesienie na policję – oznajmia wprost jego rozmówcy.

– Aha – odpowiada Erik bezsilnie i przerywa rozmowę.

Powoli rusza w kierunku placu Sergels torg, lśniącej szklanej wieży i Domu Kultury, zauważa świąteczny jarmark, słyszy Cichą noc graną na trąbce. Skręca w Sveavägen i mija biura podróży. Staje przed sklepem 7-Eleven i czyta nagłówki wieczornych gazet:

DZIECKO ZMUSZONE POD HIPNOZĄ DO PRZYZNANIA SIĘ,
ŻE ZAMORDOWAŁO CZŁONKÓW RODZINY

SKANDALICZNY SEANS

HIPNOTYZER ERIK MARIA BARKRYZYKUJE ŻYCIE CHŁOPCA

Erik czuje pulsowanie krwi w skroniach, rusza dalej, unikając wzroku przechodniów. Mija plac, na którym zginął Olof Palme. Na brudnej tablicy pamiątkowej leżą trzy czerwone róże. Erik słyszy, jak ktoś coś za nim woła, chowa się więc w ekskluzywnym sklepie ze sprzętem hi-fi. Zmęczenie, przed chwilą odczuwane jak zamroczenie alkoholowe, teraz zastąpiła gorączka, coś pomiędzy zdenerwowaniem a desperacją. Zażywa kolejną tabletkę codeisanu, mocnego środka przeciwbólowego, trzęsą mu się przy tym ręce. Czuje pieczenie w żołądku, kiedy kapsułka rozpuszcza się, a proszek przenika przez błony śluzowe.

W radiu transmitują debatę, czy hipnoza powinna zostać zakazana jako środek terapeutyczny. Jakiś mężczyzna opowiada, jak to mu wmówiono, że jest Bobem Dylanem.

– Wiedziałem, że to nieprawda – relacjonuje, przeciągając głoski. – A i tak musiałem mówić, co mówiłem, no nie, wiedziałem, że jestem pod hipnozą, widziałem mojego kumpla, jak tam siedział

i czekał, a i tak myślałem, że jestem Dylanem, gadałem po angielsku, nie mogłem przestać, mógłbym przyznać się do czegokolwiek.

Głos zabiera minister sprawiedliwości, mówi z wyraźnym smalandzkim zaśpiewem:

– Stosowanie hipnozy jako metody przesłuchań bez wątpienia jest naruszeniem prawa.

– A więc Erik Maria Bark złamał prawo? – pyta ostro dziennikarz.

– O tym zadecyduje prokuratura...

Erik wychodzi ze sklepu, skręca w przecznicę i idzie ulicą Lundmakargatan.

Kiedy staje pod bramą na Luntmakargatan 73, czuje, jak pot spływa mu po plecach. Wystukuje kod i otwiera bramę. Jadąc windą, drżącymi rękami szuka kluczy. Wchodzi do mieszkania i dokładnie zamyka za sobą drzwi, chwiejnie przechodzi do salonu, usiłuje zdjąć ubranie, ale cały czas zatacza się w prawo.

Włącza telewizor i widzi w telewizyjnym studiu przewodniczącego Szwedzkiego Stowarzyszenia Hipnozy Klinicznej. Erik zna go bardzo dobrze, był świadkiem, jak wielu kolegów ucierpiało przez pychę i oportunizm tego osobnika.

– Wykluczyliśmy Barka przed dziesięciu laty i nie jest u nas mile widziany – oznajmia z fałszywym uśmiechem.

– Czy to wpłynie na reputację poważnej hipnozy?

– Nasi członkowie trzymają się rygorystycznych zasad etycznych – odpowiada przewodniczący z wyższością. – Poza tym w Szwecji obowiązuje prawo o przeciwdziałaniu znachorstwu.

Erik rozbiera się niezgrabnie, siada na kanapie, by odpocząć. Ponownie otwiera oczy, kiedy w telewizji słyszy gwizdek i dziecięce głosy. Na oświetlonym słońcem podwórku stoi Benjamin. Ma zmarszczone brwi, zaczerwieniony czubek nosa i uszy, ramiona podkurczone. Wygląda, jakby było mu zimno.

– Czy twój tata cię kiedyś zahipnotyzował? – pyta reporter.

– Co? E... nie, to chyba jasne, że on nie...

– A skąd wiesz? – przerywa mu dziennikarz. – Jeśli cię zahipnotyzował, to chyba nie musisz o tym wiedzieć?

– Nie, jasne. – Benjamin uśmiecha się, zaskoczony nachalnością reportera.

– Jak byś się czuł, gdyby się okazało, że to zrobił?

– Nie wiem.

Na policzkach chłopca pojawia się rumieniec.

Erik wstaje i wyłącza telewizor, przechodzi do sypialni, siada na łóżku, ściąga spodnie i chowa kasetkę z papugą w szufladzie nocnej szafki.

Nie chce myśleć o tej tęsknocie, którą poczuł, poddając hipnozie Josefa Eka, podążając za nim w głąb niebieskiego głębokiego morza.

Kładzie się, wyciąga rękę po szklankę z wodą, ale zasypia, zanim zdąży się napić.

Erik budzi się i w półśnie myśli o swoim ojcu, o jego występach na kinderbalach, w specjalnym fraku, o tym, jak pot spływał mu po policzkach. Robił figurki z balonów, z wydrążonej laski wyciągał kolorowe kwiaty z piór. Kiedy się zestarzał i wyprowadził z Sollentuny do domu spokojnej starości, dowiedział się o zaangażowaniu Erika w hipnoterapię i chciał, żeby ułożyli razem numer. On jako złodziej-dżentelmen i Erik jako hipnotyzer estradowy, skłaniający ludzi do śpiewania jak Elvis i Zarah Leander¹⁰.

Nagle przytomnieje, przypomina sobie Benjamina marznącego na szkolnym podwórku, przed kolegami z klasy i nauczycielem, kamerę telewizyjną i uśmiechniętego reportera.

Siada, czuje, jak pali go w żołądku, bierze z szafki telefon i dzwoni do Simone.

– Galeria Simone Bark.

– Cześć, to ja – mówi.

– Poczekaj sekundę.

Słyszy kroki na drewnianej podłodze i trzask zamykanych drzwi

biura.

– Co się dzieje? – pyta go. – Dzwonił Benjamin...

– Rozpętała się kampania medialna i...

– Chodzi mi o to, co ty zrobiłeś.

– Lekarz odpowiedzialny za pacjenta poprosił mnie o zahipnotyzowanie go.

– Ale przyznanie się do przestępstwa pod hipnozą jest...

– Posłuchaj mnie – przerywa jej Erik. – Możesz?

– Tak.

– To nie było żadne przesłuchanie – zaczyna Erik.

– Chyba nie ma znaczenia, jak się nazwie...

Simone milknie. Erik słyszy jej oddech.

– Przepraszam – mówi cicho żona.

– To nie było przesłuchanie, policja potrzebowała rysopisu sprawcy, czegokolwiek, bo ich zdaniem od tej informacji zależało życie pewnej dziewczyny, a lekarz, który odpowiadał za pacjenta, uznał, że zagrożenie dla zdrowia pacjenta jest dość niewielkie.

– Ale...

– Myśleliśmy, że jest ofiarą, i chcieliśmy po prostu ratować życie jego siostry.

Milknie, nasłuchując oddechu Simone.

– Coś ty najlepszego narobił? – mówi po chwili Simone, z czułością.

– Będzie dobrze.

– Będzie?

Erik idzie do kuchni, rozpuszcza tre comp¹¹ i słodkim napojem popija lek na wrzody żołądka.

14 CZWARTEK WIECZOREM, DZIESIĄTY GRUDNIA

Joona wygląda na pusty, ciemny korytarz. Jest wieczór, dochodzi ósma, tylko on został w biurze. We wszystkich oknach świecą adwentowe gwiazdy, blask elektrycznych świeczników w kształcie piramidy odbija się od czarnego szkła, tworząc miękką, półkolistą poświatę. Anja postawiła na jego biurku miseczkę ze świątecznymi słodyczami, których Joona zjada zdecydowanie zbyt dużo, pisząc swoje komentarze do protokołu z przesłuchania Evelyn.

Po ujawnieniu pierwszych kłamstw Evelyn prokurator postanowił zatrzymać ją w areszcie. Poinformował ją o podejrzaniach współudziału w zabójstwach i prawie do obrońcy z urzędu. Z tą chwilą prowadzący dochodzenie wstępne zyskali trzy dni, potem musi zostać podjęta decyzja o zastosowaniu tymczasowego aresztu. Albo będą mieli tak mocne dowody, że sąd uzna jej winę przynajmniej za prawdopodobną, albo zostanie zwolniona.

Joona doskonale zdaje sobie sprawę, że kłamstwa Evelyn bynajmniej nie muszą oznaczać, że dziewczyna jest winna, ale przynajmniej zyskuje trzy doby na zbadanie, co ukrywa i dlaczego. Drukuje protokół, kładzie go w przegródce na pocztę dla prokuratora, sprawdza, czy pistolet jest porządnie zamknięty w szafce z bronią, wsiada do windy, zjeżdża na dół i opuszcza komendę.

Na placu Fridhemsplan słyszy sygnał telefonu, ale nie może go wyciągnąć. Wpadł mu pod podszewkę płaszcza przez dziurę w kieszeni. Ma zielone światło, samochody stojące za nim zaczynają trąbić. Wjeżdża na przystanek przed restauracją ruchu Hare Kriszna,

wydobywa z płaszcza komórkę i oddzwania.

– Tu Joon Linna. Dzwoniłeś przed chwilą...

– O, to ty, super – odzywa się asystent Ronny Alfredsson. – Mamy mały problem.

– Rozmawialiście z chłopakiem Evelyn Sorabem Ramadanem?

– Średnio nam to poszło.

– Sprawdziliście w pracy?

– Nie o to chodzi – mówi Ronny. – Jest u siebie w mieszkaniu, ale nie chce otworzyć, nie zamierza z nami rozmawiać. Krzyczy, że mamy spadać, że przeszkadzamy sąsiadom i że go prześladowujemy, bo jest muzułmaninem.

– Co mu powiedzieliście?

– Nic, tylko tyle, że potrzebujemy pomocy w jednej sprawie. Zrobiliśmy dokładnie tak, jak nam poleciłeś.

– Rozumiem.

– Mamy sforsować drzwi?

– Jadę do was. Zostawcie go na razie.

– Czekać w samochodzie pod bramą?

– Tak, czekajcie.

Joon włącza kierunkowskaz, zawraca i kieruje się na most Västerbron, obok wieżowca dziennika „Dagens Nyheter”. W ciemnościach wszystkie okna i światła miasta lśnią, a niebo okala je szarą mglistą kopułą.

Ponownie wraca myślami do oględzin miejsca przestępstwa, w wyłaniającym się obrazie jest coś dziwnego. Niektóre okoliczności wydają się wzajemnie wykluczać. Na czerwonym świetle przy Heleneborgsgatan Joon korzysta z okazji i otwiera teczkę leżącą na fotelu pasażera. Pośpiesznie przerzuca zdjęcia ze stadionu. Trzy prysznicie nieprzedzielone zasłonkami. Światło lampy błyskowej odbite w białych kafelkach. Na jednym ze zdjęć widać oparty o ścianę ściągacz do wody na drewnianym kiju. Wokół gumowej końcówki zebrała się spora kałuża krwi, wody i brudu. Do tego włosy, plastry i butelka mydła w płynie.

Przy odpływie leży ramię. Obnażona główka kości, chrząstki i odcięta tkanka mięśniowa. Nóż myśliwski ze złamanym ostrzem pod prysznicem.

Nålen znalazł czubek noża dzięki tomografii komputerowej. Tkwiał w kości miednicy Andersa Eka.

Mocno okaleczone ciało pozostawiono na podłodze między drewnianą ławką a powgniatanymi metalowymi szafkami. Na haku wisi czerwona sportowa kurtka. Krew jest wszędzie – na podłodze, drzwiach i ławkach.

Czekając na zmianę świateł, Joonu stuka palcami w kierownicę i myśli o tym, że technicy zabezpieczyli mnóstwo śladów, odcisków palców, włókien i włosów. Mają tu do czynienia z nieprawdopodobną ilością DNA, od setek ludzi, ale nie znaleźli jeszcze niczego, co by można połączyć z Josefem Ekiem. Duża część zebranego materiału była zanieczyszczona, a mieszany obraz DNA tak złożony, że utrudniało to analizy Centralnego Laboratorium Kryminalistycznego.

Wyjaśnił technikom kryminalistyki, że mają się skoncentrować na szukaniu krwi ojca na Josefie Eku. Olbrzymie ilości krwi pokrywające całe ciało chłopca w drugim miejscu zdarzenia nic nie znaczyły. Wszystkie ofiary w domu były w niej unurzane. To, że Josef miał na sobie krew młodszej siostry, nie dziwiło, tak samo jak fakt, że jego krew znaleziono na ciele dziewczynki. Ale jeśli znajdą krew ojca na Josefie albo ślad Josefa w przebieralni, zostanie on w ten sposób skojarzony z obydwojema miejscami zdarzenia. Aby wnieść oskarżenie, wystarczy jakoś połączyć chłopca z szatnią.

Już w szpitalu w Huddinge lekarka Sigrid Krans otrzymała instrukcje z CLK w Linköping, odpowiedzialnego za analizy DNA w Szwecji, że wszystkie ślady biologiczne znalezione na Josefie mają zostać zabezpieczone.

Koło parku Högalidsparken Joonu dzwoni do Eriksa, bardzo grubego faceta, który podczas oględzin w Tumbie pełnił funkcję koordynatora od technik kryminalistycznych.

- Odwal się – odzywa się w słuchawce znużony głos.
- Erixon? – żartuje Joon. – Erixon? Można prosić o jakiś znak życia?
- Śpię – odpowiada policjant zmęczonym głosem.
- Sorry.
- No, może nie do końca, ale rzeczywiście jestem w drodze do domu.
- Czy znaleźliście ślady Josefa w przebieralni? – pyta Joon.
- Nie.
- Oczywiście, że tak.
- Nie – powtarza Erixon.
- Myślę, że się obijasz.
- I tu się mylisz – zapewnia go spokojnie Erixon.
- Naciskałeś naszych przyjaciół w Linköping? – pyta Joon.
- Całym ciężarem.
- I?
- Nie znaleźli DNA ojca na Josefie.
- Im też nie wierzę – mówi Joon. – Był przecież unurzany we...
- Ani kropelki – przerywa Erixon.
- Nieprawda...
- W każdym razie byli cholernie zadowoleni, kiedy mi to przekazywali.
- Metoda LCN¹²?
- Nie, ani mikrokropelki, nic.
- Nie możemy przecież mieć aż tak cholernego pecha.
- Jak widać, możemy.
- Niemożliwe.
- Niestety, będziesz się musiał poddać – stwierdza Erixon.
- Okej.

Przerywają rozmowę, a Joon myśli, że coś, co wygląda na zagadkę, czasem może być tylko kwestią przypadku. Sposób działania sprawcy w obu miejscach wydaje się identyczny: obłąkańcze ciosy nożem i agresywne próby poćwiartowania. Więc

jeśli Josef jest sprawcą, to bardzo dziwne, że nie było na nim krwi ojca, myśli Jooną i ponownie wybiera numer Eriksona.

– No, słucham...

– Coś mi przyszło do głowy.

– Po dwudziestu sekundach?

– Sprawdziliście damską szatnię?

– Nikogo tam nie było, drzwi były zamknięte na klucz.

– Ofiara prawdopodobnie miała klucze.

– Ale...

– Sprawdź odpływy w damskich prysznicach – prosi Jooną.

Objechawszy naokoło Tantolunden, Jooną wjeżdża na chodnik i parkuje pod blokami zwróconymi frontem do parku. Zastanawia się, gdzie stoi czekający na niego wóz policyjny, sprawdza adres i rozważa możliwość, że Ronny i jego kolega po prostu zapukali do niewłaściwych drzwi. Uśmiecha się pod nosem. Jeśli domniemany Sorab nie nazywał się Sorab, to nic dziwnego, że nie miał ochoty ich wpuścić.

Wieczne powietrze jest chłodne. Jooną zmierza szybkim krokiem w stronę bramy, myśląc o tym, w jaki sposób wprowadzony w trans Josef opisał przebieg wydarzeń w swoim domu. Jeśli było tak, jak mówił, to Josef nie robił nic, żeby ukryć zbrodnię, nie próbował się chronić. Nie myślał o żadnych konsekwencjach, tylko pozwalał na to, by krew na niego chlustała.

Ale być może będąc pod wpływem hipnozy, Josef Ek opisywał tylko uczucia, chaotyczny, wściekły natłok myśli, podczas gdy czysto fizycznie, na zewnątrz, na miejscu, w rzeczywistości był bardzo opanowany i metodyczny, włożył pelerynę przeciwdeszczową zakrywającą całe ciało, a następnie przed powrotem do domu umył się w damskiej przebieralni.

Jooną dochodzi do wniosku, że musi porozmawiać z Daniellą Richards, dowiedzieć się, kiedy jej zdaniem Josef będzie wystarczająco zdrow, żeby znieść przesłuchanie.

Wchodzi przez bramę, wyciąga telefon i widzi swoje odbicie

w czarnych polach szachownicy płytek na ścianie. Jasna, pozbawiona emocji twarz, poważne spojrzenie i zmierzwione blond włosy. Przed windą ponownie dzwoni do Ronny'ego, ale ten nie odbiera. Może spróbowali jeszcze raz i Sorab wpuścił ich do środka? Jooną wyjeżdża na szóste piętro, czeka, aż matka z wózkiem zjedzie na dół, podchodzi do drzwi Soraba i dzwoni.

Odczekuje chwilę, puka, czeka jeszcze kilka sekund, uchyla klapkę otworu na listy i mówi:

– Sorab? Tu Jooną Linna z policji. Jestem komisarzem kryminalnym.

Za drzwiami słychać ruch, jakby ktoś się o nie ciężko oparł, a następnie szybko cofnął.

– Jako jedyny wiedziałeś, gdzie znajduje się Evelyn – mówi dalej Jooną.

– Ja nic nie zrobiłem – odzywa się niski głos wewnątrz mieszkania.

– Ale powiedziałeś, że...

– Ja nic nie wiem! – wrzeszczy Sorab.

– W porządku – uspokaja go Jooną. – Chciałbym jednak, żebyś otworzył drzwi, spojrzał na mnie i powtórzył, że nic nie wiesz.

– Odejdź.

– Otwórz drzwi.

– Do cholery... Nie możecie po prostu zostawić mnie w spokoju, nie mam z tym nic wspólnego i nie chcę być w to zamieszany.

W jego głosie słychać strach. Milknie, głośno oddycha, uderza w coś ręką.

– Evelyn czuje się dobrze – mówi Jooną.

Przez szparę na listy słychać szum.

– Myślałem...

Milknie.

– Musimy z tobą porozmawiać.

– Czy to prawda, że Evelyn nic się nie stało?

– Otwórz drzwi.

- Nie chcę, mówiłem już.
- Dobrze by było, żebyś z nami poszedł.

Na moment zapada cisza.

- Był tu więcej razy? – pyta nagle Jooną.
- Kto?
- Josef.
- Kto to?
- Brat Evelyn.
- Jego tu nie było.
- To kto tu był?
- Czy nie mówiłem, że nie zamierzam z panem rozmawiać?
- Kto tu był?
- Nie mówiłem, że ktoś tu był, prawda? Próbuje mnie pan podejść.

- Nie, nie próbuję.

Znowu cisza. Po chwili za drzwiami słychać urywany szloch.

- Czy ona nie żyje? – pyta Sorab. – Czy Evelyn nie żyje?
- Czemu pytasz?
- Nie chcę z panem rozmawiać.

Odgłosy kroków oddalają się w głąb mieszkania, słychać trzask zamykanych drzwi. W mieszkaniu dudni głośna muzyka. Jooną zbiegając po schodach, domyśla się, że ktoś przestraszył Sorabą i zmusił go do wyjawienia miejsca pobytu Evelyn.

Jooną wychodzi na mróz i widzi, że dwóch mężczyzn w kurtkach z klubu fitness Pro Gym czeka przy jego samochodzie. Odwracają się na odgłos kroków. Jeden z nich siada na masce samochodu, trzymając komórkę przy uchu. Jooną szybko ich ocenia. Obaj około trzydziestki. Ten siedzący na masce jest łysy, drugi ma fryzurę jak niegrzeczny uczeń podstawówki. Jooną szacuje jego wagę na ponad sto kilo. Może trenuje aikido, karate albo kick-boxing. Pewnie faszeruje się hormonami wzrostu, zgaduje Jooną. Drugi najprawdopodobniej ma nóż, ale raczej żadnej broni palnej.

Trawnik pokrywa cienka warstwa śniegu.

Joona skręca, jakby w ogóle nie zauważył mężczyzn, i rusza w kierunku oświetlonego chodnika.

– Te, koleś! – słyszy za sobą.

Joona ignoruje wołanie, idąc w kierunku schodów przy latarni z zielonym koszem na śmieci.

– Nie chcesz swojej fury?

Joona zatrzymuje się i zerka na fasadę budynku. Wie już, że mężczyzna siedzący na masce wozu rozmawia przez telefon z Sorabem, który obserwuje ich przez okno.

Większy z nich ostrożnie zbliża się do Joony, który odwraca się i rusza mu naprzeciw.

– Jestem policjantem.

– A ja małym sukinsynem – odpowiada facet.

Joona szybko sięga po telefon i dzwoni do Ronny'ego. W kieszeni mężczyzny rozbrzmiewa Sweet Home Alabama, facet wstaje, uśmiechając się szeroko, wyjmuje komórkę Ronny'ego i odbiera.

– Tak, tu gliniarz.

– O co w tym wszystkim chodzi?

– Masz się odpieprzyć od Soraba. On nie chce rozmawiać.

– Tylko wam się wydaje, że mu pomagacie...

– To jest ostrzeżenie – przerywa mężczyzna. – Mam w dupie, kim jesteś, masz trzymać się z dala od Soraba.

Joona widzi, że sytuacja może stać się groźna, uświadamia sobie, że zamknął pistolet w szafce na komendzie, więc rozgląda się w poszukiwaniu jakiejś broni.

– Gdzie są moi koledzy? – pyta spokojnie.

– Słyszałeś? Masz się odpieprzyć od Soraba.

Mężczyzna stojący naprzeciwko Joony energicznym ruchem przeczesuje palcami chłopięcą fryzurę, zaczyna szybciej oddychać, ustawia się bokiem, zbliża się i unosi o parę centymetrów pięty.

– Trenowałem za młodu – mówi Joona. – Jeśli mnie zaatakujesz, będę się bronił i was aresztuję.

– Już się trzęsiemy – odzywa się ten siedzący na masce.

Joona nie spuszcza wzroku z mężczyzny z chłopięcą fryzurą.

– Zamierzałeś kopnąć mnie w nogi – mówi. – Wiesz, że jesteś zbyt niezdarny na wysokie wykopy.

– Kretyn – mamrocze przeciwnik.

Joona przesuwa się na prawo, żeby zwiększyć sobie pole manewru.

– Jeśli zdecydujesz się na kopnięcie – ciągnie Joona – to ja nie cofnę się, jak byś się tego spodziewał, tylko zaatakuję twoje drugie kolano, tym łokciem uderzę cię w głowę i runiesz w tył.

– Kurwa, ależ on pieprzy – odzywa się facet na masce.

– No – wyszczerza się jego kumpel.

– Jeśli będziesz miał język na wierzchu, to go sobie odgryziesz – dodaje Joona.

Mężczyzna ze zwichrzoną fryzurą chwilę balansuje ciałem, a kiedy w końcu wyprowadza kopnięcie, jest ono wolniejsze, niż można się było spodziewać. Joona wykonał pierwszy krok już wtedy, gdy przeciwnik rozpoczynał półobrót. Nim noga napastnika zdąży się wyprostować i trafić w cel, Joona z całej siły kopie prosto w zgięcie drugiej, na której spoczywa cały ciężar przeciwnika. Facet już ma zachwianą równowagę, a gdy Joona obraca się i uderza go łokciem w głowę, mężczyzna pada na plecy.

15 PIĄTEK RANO, JEDENASTY GRUDNIA

Dochodzi wpół do szóstej rano, kiedy w mieszkaniu rozlegają się jakieś stuki. Simone odbiera dźwięk jako część frustrującego snu, w którym musi podnosić muszle ślimaków i porcelanowe pokrywki. Rozumie zasady, ale i tak wszystko robi źle. Jakiś chłopiec puka w stół, pokazując, że znów się pomyliła. Simone wije się we śnie i jęczy, otwiera oczy i w jednej chwili jest całkowicie rozbudzona.

Ktoś lub coś stuka w mieszkaniu. Simone próbuje w ciemnościach zlokalizować odgłos, leży bez ruchu i nasłuchuje, ale stukanie cichnie.

Obok słyszy ciche chrapanie Erika, w rurach coś trzeszczy. Wiatr uderza o szyby.

Właśnie dochodzi do wniosku, że musiała wyolbrzymić sobie dźwięk ze snu, kiedy znowu rozlega się to stukanie. Ktoś jest w mieszkaniu. Erik zażył tabletki i śpi głęboko. Zza okna słychać przejeżdżający samochód. Erik przestaje pochrapywać, kiedy Simone kładzie mu dłoń na ramieniu. Obraca się z sapnięciem. Simone jak najciszej wstaje z łóżka i przemyka się przez uchylone drzwi sypialni.

W kuchni coś się świeci. Przechodząc przez przedpokój, dostrzega w powietrzu jakąś poświatę, jakby niebieską mgiełkę. To lampka w lodówce. Zarówno lodówka, jak i zamrażarka są otwarte na oścież. Z zamrażarki kapie, woda wypłynęła już na podłogę. Z rozmarzających produktów spływają krople, rozbryzgując się o plastikową listwę.

Simone czuje, że jest zimno i śmierdzi papierosami.

Zagląda do przedpokoju.

Drzwi zewnętrzne są otwarte na oścież.

Biegnie do pokoju Benjamina, ale chłopiec śpi i spokojnie

oddycha. Przez chwilę Simone stoi, wsłuchując się w jego regularne posapywanie.

W drodze do drzwi serce prawie wyskakuje jej z piersi. W progu ktoś stoi, kiwa na jej widok głową i podaje jej jakiś przedmiot. Dopiero po kilku sekundach do Simone dociera, że to kurier z poranną gazetą. Dziękuje, bierze gazetę, a kiedy w końcu zamyka drzwi wejściowe, czuje, że cała się trzęsie.

Zapala wszystkie światła i przeszukuje mieszkanie. Wygląda na to, że niczego nie brakuje.

Simone, na kolanach, właśnie ściera wodę, kiedy Erik wchodzi do kuchni. Przynosi jej ręcznik z łazienki, rzuca go na podłogę i przesuwa nogą.

– Pewnie chodziłem we śnie – mówi.

– Nie – odpowiada Simone ze zmęczeniem w głosie.

– Lodówka to klasyka. Może byłem głodny.

– To nie jest zabawne, mam lekki sen, ja... budzę się za każdym razem, kiedy przekręcasz się z boku na bok albo przestajesz chrapać, budzę się, kiedy Benjamin idzie do łazienki, słyszę, jak...

– W takim razie to ty lunatykowałaś.

– Wyjaśnij, czemu drzwi wejściowe były otwarte. Wyjaśnij, czemu...

Milknie, zastanawiając się, czy powiedzieć o tym, czy nie.

– Czułam wyraźny zapach dymu papierosowego w kuchni – dodaje w końcu.

Erik śmieje się, a Simone rumieni się ze złości.

– Dlaczego uważasz, że nikogo tu nie było? – pyta. – Po tym całym gównie, które wypisywali o tobie w gazetach? To, do cholery, chyba całkiem możliwe, że jakiś szaleniec wdarł się do środka i...

– Ależ daj spokój – przerywa jej Erik. – To się nie trzyma kupy, Sixan. Bo kto, do diabła, miałby włamywać się do naszego mieszkania, otwierać lodówkę i zamrażarkę, zapalić papierosa i sobie pójść?

Simone ciska ręcznik na podłogę.

– Nie wiem, Erik! Nie wiem kto, ale ktoś to zrobił!

– Uspokój się – mówi Erik z irytacją.

– Tak uważasz?

– Mogę powiedzieć, co myślę? Uważam, że odrobina dymu papierosowego nie jest taka dziwna. Przypuszczalnie jakiś sąsiad palił u siebie pod wyciągiem. Dzielimy kominy wentylacyjne z innymi mieszkaniami. Albo jakiś idiota zapalił papierosa na schodach, nie myśląc, że...

– Nie traktuj mnie z góry – warknęła Simone.

– Na Boga, Simone, robisz z igły widły, naprawdę uważam, że nic się nie stało i że za chwilę wpadniemy na zupełnie naturalne wytłumaczenie.

– Kiedy się obudziłam, czułam, że ktoś jest w mieszkaniu – powtarza Simone zduszonym głosem.

Erik wychodzi z kuchni, wzdychając. Simone wpatruje się w brudny ręcznik, którym wycierał podłogę przy lodówce.

Benjamin zjawia się w kuchni i siada na swoim zwykłym miejscu.

– Dzień dobry – mówi.

Wzdycha i opiera głowę na dłoniach.

– Czemu ty i tata zawsze kłamiecie?

– Wcale nie – zaprzecza Simone.

– Właśnie że tak.

– Tak myślisz?

Chłopiec nie odpowiada.

– Jeśli masz na myśli to, co ci powiedziałam w taksówce...

– Myślę o wielu różnych rzeczach – przerywa jej syn podniesionym głosem.

– Nie musisz na mnie krzyczeć.

– Zapomnij, że się odezwałem.

– Nie wiem, jak to dalej będzie z tatą i ze mną. To nie takie proste – mówi Simone. – Pewnie masz rację, że sami się oszukujemy, ale to nie to samo, co kłamać.

- Sama to powiedziałaś – odzywa się cicho Benjamin.
 - O czym jeszcze rozmyślałaś?
 - Że nie ma żadnych zdjęć z okresu, kiedy byłem mały.
 - Ależ są – odpowiada Simone z uśmiechem.
 - Ale nie takich zaraz po urodzeniu.
 - Wiesz, że poroniłam, zanim... Tak się cieszyliśmy, kiedy się urodziłeś, że zupełnie zapomnieliśmy o robieniu zdjęć. Pamiętam dokładnie, jak wyglądałaś po urodzeniu, pomarszczone uszka i...
 - Dosyć! – krzyczy Benjamin i idzie do swojego pokoju.
- Erik wchodzi do kuchni i rozpuszcza tabletkę tre compu w szklance wody.
- Co się stało Benjaminowi? – pyta.
 - Nie wiem – szepce Simone.
- Erik wypija napój nad zlewem.
- Uważa, że kłamiemy – mówi Simone.
 - Jak każdy nastolatek.
- Erik tłumi beknięcie.
- Niechcący powiedziałam mu o separacji.
 - Jak mogłaś zrobić coś tak cholernie głupiego? – złości się Erik.
 - Powiedziałam, co czułam.
 - Nie możesz, kurwa, myśleć tylko o sobie.
 - To nie ja się tak zachowuję, to nie ja śpiam z praktykantkami, to nie ja...
 - Zamknij się! – wrzeszczy Erik.
 - To nie ja opycham się tabletkami, żeby...
 - Nic nie wiesz!
 - Wiem, że zażywasz silne leki przeciwbólowe.
 - Co to ma do rzeczy?
 - Boli cię gdzieś, Erik? Powiesz...
 - Jestem lekarzem, więc chyba potrafię ocenić to trochę lepiej, niż...
 - Nie oszukasz mnie – przerywa mu Simone.
 - Co masz na myśli? – Erik parska śmiechem.

– Jesteś uzależniony, nie śpimy już ze sobą, bo bierzesz mnóstwo mocnych tabletek, które...

– Może nie mam ochoty z tobą sypiać? – przerywa jej. – Dlaczego miałbym tego chcieć, skoro jesteś ze mnie wiecznie niezadowolona?

– No to separacja.

– Świetnie.

Simone nie może na niego patrzeć, powoli wychodzi z kuchni, czuje ból i napięcie w gardle, jej oczy wypełniają się łzami.

Benjamin zamknął się w swoim pokoju i tak głośno słucha muzyki, że aż ściany i drzwi się trzęsą. Simone chowa się w łazience, gasi światło i płacze.

– Kurwa mać jebana! – Słyszy krzyk Erika z przedpokoju, a potem odgłos otwieranych i zatrzasniętych drzwi.

16 PIĄTEK RANO, JEDENASTY GRUDNIA

Nie było jeszcze siódmej, kiedy komisarz Joon Linna odebrał telefon od doktor Danielli Richards. Poinformowała go, że według jej oceny stan Josefa jest na tyle stabilny, że można mu zadać kilka pytań, mimo że wciąż jeszcze leży w pokoju przy sali operacyjnej.

Joon postanawia wybrać się do szpitala. Wsiadając do samochodu, czuje w łokciu tępy ból. Myśli o poprzednim wieczorze, o błękitnym świetle policyjnych radiowozów omiatającym fasadę bloku przy Tantolunden, gdzie mieszka Sorab Ramadani. Wielki facet z chłopcęcią fryzurą pluł krwią i bełkotał coś o swoim języku, kiedy funkcjonariusze prowadzili go na tylne siedzenie radiowozu. Ronny'ego Alfredssona i jego kolegę Petera Jyska znaleziono w schronie w piwnicach bloku. Napastnicy sterroryzowali ich nożem i uwięzili, a potem odwieźli ich radiowóz na parking dla gości sąsiedniego bloku.

Joon wrócił do budynku i zadzwonił do drzwi Soraba, powiedział, że jego ochroniarze zostali aresztowani i że jeśli natychmiast nie otworzy, to policja wyważy drzwi.

Sorab wpuścił go, poprosił, żeby usiadł na niebieskiej skórzanej kanapie, poczęstował herbatą z rumianku i przeprosił za swoich przyjaciół.

Był bladym mężczyzną z włosami spiętymi w koński ogon. Bał się, bez przerwy rozglądał się niespokojnie, jeszcze raz przeprosił, za to, co się stało, wyjaśniając, że ostatnio miał duże problemy.

– To właśnie dlatego zorganizowałem sobie ochronę – dodał cicho.

– Jakiego rodzaju problemy? – zapytał Joon, siorbiąc gorącą herbatę.

– Ktoś chce mnie dorwać.

Sorab wstał i wyjrzał przez okno.

– Kto?

Zwrócony plecami do Joony mężczyzna stwierdził apatycznie, że nie chce o tym mówić.

– Czy muszę odpowiadać? – spytał. – Mam chyba prawo zachować milczenie, prawda?

– Masz prawo zachować milczenie – zgodził się Joon.

Sorab wzruszył ramionami.

– To dobrze.

– Ale chciałbym, żebyś ze mną porozmawiał – spróbował Joon. – Może potrafiłbym ci pomóc, pomyślałeś o tym?

– Dziękuję bardzo – odpowiedział Sorab do okna.

– Czy to brat Evelyn...

– Nie. – Chłopak przerwał mu gwałtownie.

– To nie Josef Ek cię odwiedził?

– On nie jest jej bratem.

– To kim w takim razie jest?

– Czy ja wiem, nie jej bratem, czymś innym.

Po tych słowach, że Josef nie jest bratem Evelyn, Sorab znów zaczął zachowywać się nerwowo, mówił o piłce nożnej, lidze niemieckiej i nie odpowiedział konkretnie na żadne pytanie. Joon zastanawiał się, co Josef powiedział Sorabowi, co zrobił i jak udało mu się go aż tak nastraszyć, że chłopak zdradził mu miejsce pobytu Evelyn.

Joon parkuje pod kliniką neurologii, wysiada z samochodu, wchodzi przez główne wejście, wjeżdża windą na piąte piętro, przechodzi korytarzem, wita się z policjantem stojącym na straży i wchodzi do pokoju Josefa. Jakaś kobieta na jego widok wstaje z krzesła i przedstawia się:

– Lisbet Carlén. Jestem inspektorem opieki społecznej i będę wspierać Josefa podczas przesłuchania.

– Doskonale – mówi Joon, podając jej rękę.

Kobieta przygląda mu się w sposób, który z jakiegoś powodu Joona odbiera jako miły.

– Czy to pan prowadzi przesłuchanie?

– Tak. Przepraszam, nazywam się Joona Linna i jestem z Wydziału Kryminalnego, rozmawialiśmy przez telefon.

W równych odstępach słycać głośny bulgot pompy połączonej rurką z przedziurawioną opłucną Josefa. Drenaż opłucnej utrzymuje odpowiednie ciśnienie, żeby płuco mogło pracować w czasie rekonwalescencji.

Lisbet Carlén wyjaśnia cicho, że lekarz zalecił chłopcu całkowity bezruch z uwagi na możliwość wystąpienia nowych krwawień wątroby.

– Nie zamierzam narażać jego zdrowia – zapewnia Joona, umieszczając dyktafon na stoliku przy głowie Josefa.

Na pytający gest komisarza Lisbet odpowiada skinieniem głowy. Joona włącza nagrywanie, opisuje sytuację, w jakiej przeprowadzane jest przesłuchanie, że Josef Ek będzie składał wyjaśnienia, jest piątek, godzina ósma piętnaście rano. Następnie wylicza osoby znajdujące się w pomieszczeniu.

– Hej – mówi do chłopca.

Josef patrzy na niego spod ciężkich powiek.

– Nazywam się Joona... Jestem komisarzem policji.

Josef zamyka oczy.

– Jak się czujesz?

Pracownica opieki społecznej wygląda przez okno.

– Możesz spać z tą bulgoczącą maszyną? – pyta policjant.

Josef powoli potakuje.

– Wiesz, dlaczego tu jestem?

Chłopiec otwiera oczy i kręci głową. Joona czeka, obserwując jego twarz.

– Był wypadek – mówi Josef. – Cała moja rodzina uległa wypadkowi.

– Czy nikt ci nie mówił, co się stało? – pyta policjant.

- Może trochę – przyznaje chłopiec słabo.
- Odmawia spotkania z psychologami i kuratorami – wtrąca pracownica opieki.

Joona myśli o tym, jak zmienił się głos Josefa podczas hipnozy. Teraz jest nagle słaby, prawie niesłyszalny i pytający.

- Wydaje mi się, że wiesz, co się stało.
- Nie musisz odpowiadać – wtrąca szybko Lisbet Carlén.
- Skończyłeś piętnaście lat – ciągnie Joona.
- Tak.
- Co robiłeś w swoje urodziny?
- Nie pamiętam.
- Dostałeś prezenty?
- Oglądałem telewizję – odpowiada Josef.
- Pojechałeś do Evelyn? – pyta Joona neutralnym tonem.
- Tak.
- Do jej mieszkania?
- Tak.
- Była tam?
- Tak.

Cisza.

- Nie, nie było jej – poprawia się chłopiec z wahaniem.
- Gdzie była?
- W domku letniskowym.
- Czy to luksusowy domek?
- Nie... ale przytulny.
- Ucieszyła się?
- Kto?
- Evelyn.

Cisza.

- Miałeś coś ze sobą?
- Tort.
- Tort? Był smaczny?

Skinienie.

- Smakował Evelyn? – ciągnął Jooną.
- Dla niej tylko to, co najlepsze – mówi chłopiec.
- Dostałeś od niej prezent?
- Nie.
- Ale może chociaż zaśpiewała...
- Nie chciała dać mi mojego prezentu – mówi Josef urażony.
- Tak powiedziała?
- Tak – brzmi szybka odpowiedź.
- Dlaczego?

Cisza.

- Była na ciebie zła?

Skinienie.

- Chciała, żebyś zrobił coś, czego nie mogłeś zrobić? – dąży cierpliwie Jooną.

- Nie, ona...

Josef kończy zdanie szeptem.

- Nie słyszę cię, Josef.

Chłopiec nadal szepce. Jooną przybliżyła się, usiłuje dosłyszeć słowa, nachyliła się nad nim.

- Ten skurwiel! – wrzeszczy mu Josef do ucha.

Jooną cofa się, obchodzi łóżko naokoło, pociera ucho i stara się uśmiechnąć. Twarz Josefa przybiera barwę popiołu, chłopiec cedzi słowa:

- Wywęszę tego pierdolonego hipnotyzera i rozszarpie mu gardło, będę ścigać jego i jego...

Pracownica opieki społecznej podchodzi szybko do magnetofonu i próbuje wyłączyć nagrywanie.

- Josef! Masz prawo milczeć...

- Proszę się nie wtrącać – przerywa jej Jooną.

Kobieta patrzy na niego roztrzęsiona.

- Przed przesłuchaniem powinien go pan pouczyć...

- Myli się pani, nie ma co do tego żadnych przepisów – mówi Jooną podniesionym głosem. – Ma prawo milczeć, to prawda, ale ja

nie mam obowiązku go o tym informować.

– W takim razie przepraszam.

– W porządku – mamrocze Joona, a następnie zwraca się do Josefa. – Dlaczego jesteś zły na hipnotyzera?

– Nie muszę odpowiadać na pańskie pytania – oświadcza Josef i próbuje kiwnąć głową w kierunku pracownicy opieki społecznej.

17 PIĄTEK RANO, JEDENASTY GRUDNIA

Erik zbiega schodami i wypada przez bramę. Zatrzymuje się na Sveavägen. Czuje pot spływający mu po plecach. Lęk przyprawia go o mdłości, jak mógł być tak głupi, żeby odtrącić Simone tylko dlatego, że poczuł się urażony. Powoli rusza w kierunku Odenplan, siada na ławce pod biblioteką. Jest zimno, kawałek dalej, pod stertą koców, śpi jakiś mężczyzna.

Erik wstaje i idzie w stronę domu, kupuje chleb w tradycyjnej piekarni i latte macchiato dla Simone. Chce już być z powrotem, na klatce schodowej przeskakuje po dwa stopnie. Drzwi są zamknięte, wyjmuje klucze, otwiera i od razu wie, że mieszkanie jest puste. Postanawia udowodnić Simone, że może na nim polegać. Niezależnie od tego, ile czasu miałyby to zabrać, przekona ją. Stoi przy stole w kuchni i pije kawę, ogarniają go mdłości, wyszukuje więc kapsułkę losecu.

Jest najwyżej dziewiąta rano. Dyżur w szpitalu zaczyna dopiero za kilka godzin. Bierze książkę i kładzie się na łóżku. Zamiast jednak czytać, myśli o Josefie Eku. Zastanawia się, czy komisarz kryminalny Joonas Linna skłoni go do mówienia.

Mieszkanie jest ciche, opuszczone.

Po zażyciu lekarstwa w żołądku rozlewa się błogi spokój.

Nic, co zostało powiedziane pod wpływem hipnozy, nie może zostać użyte jako dowód, ale Erik wie, że Josef mówił prawdę. To on zamordował członków własnej rodziny, nawet jeśli sam motyw nie jest jasny i nie wiadomo, w jaki sposób siostra miałaby nim kierować.

Erik zamyka oczy, próbuje wyobrazić sobie domek szeregowy i jego mieszkańców. Evelyn już od dawna musiała sobie zdawać sprawę z tego, że brat jest niebezpieczny. Przez lata nauczyła się żyć z tym, że nie kontrolował swoich impulsów, musiała utrzymywać

stan delikatnej równowagi między własną wolą a wybuchami brata. Josef wszczywał bójkę, dostawał burę, ale i tak bił się dalej. Jako starsza siostra nie miała żadnej konkretnej ochrony. Rodzina radziła sobie z brutalnością Josefa z dnia na dzień, próbowała z nią żyć, ale nie rozumiała powagi sytuacji. Rodzice być może sądzili, że to agresywne zachowanie wynika po prostu z tego, że jest chłopcem. Możliwe, że brali na siebie winę, gdyż pozwalali mu na brutalne gry telewizyjne i oglądanie strasznych filmów.

Evelyn porzuciła dom tak szybko, jak tylko mogła, zdobyła pracę i własne mieszkanie, ale coś sprawiło, że przeczuwała rosnące niebezpieczeństwo, coś ją tak przestraszyło, że ukryła się w domu ciotki i dla obrony nosiła ze sobą strzelbę.

Czy Josef jej groził?

Erik próbuje wyobrazić sobie, co czuła Evelyn, nocą, w ciemnościach chaty, z naładowaną strzelbą przy łóżku. Jej przerażenie.

Rozmyśla o rozmowie telefonicznej z Jooną Linną, po przesłuchaniu Evelyn. Co się wydarzyło, kiedy Josef przyjechał z tortem? Co jej powiedział? Co czuła? Czy to dopiero wtedy przestraszyła się i zdobyła broń? Czy to po jego odwiedzinach zaczęła obawiać się o własne życie?

Erik myśli o Evelyn. Widzi ją tam, przed chatą. Młoda kobieta w srebrnoszarej puchowej kamizelce, szarym wełnianym swetrze, znoszonych džinsach i tenisówkach. Idzie między drzewami, nieśpiesznie, jej kucyk kołysze się w rytm kroków. Twarz bez maski, dziecinna. Luźno trzyma śrutówkę, ciągnąc ją po ziemi, strzelba obija się miękko o borówki i mech. Słońce prześwieca przez gałęzie sosen.

Nagle Erik zdaje sobie sprawę z zasadniczej rzeczy: jeśli Evelyn się bała, jeśli strzelba miała ją obronić przed Josefem, to powinna nieść ją inaczej, a nie ciągnąć za sobą.

Erik pamięta, że miała mokre kolana, ciemne, ziemiste plamy na džinsach.

Poszła do lasu, żeby popełnić samobójstwo, uświadamia sobie.

Kłęczała w mchu z lufą w ustach, ale zmieniła zdanie, nie odważyła się.

Kiedy ujrzał ją na skraju lasu ze śrutówką wlokącą się po poszyciu, była w drodze powrotnej do chaty, do tej sytuacji, od której chciała uciec.

Erik bierze telefon i wybiera numer Joony.

– Joon Linna, słucham.

– Cześć. Erik Maria Bark.

– Erik? Miałem do ciebie dzwonić, ale podziało się tak cholernie dużo...

– Nie szkodzi – mówi Erik. – Mam...

– Musisz wiedzieć – przerywa mu Joon – że jest mi piekielnie przykro z powodu tej medialnej nagonki. Obiecuję znaleźć źródło przecieku, jak tylko wszystko się uspokoi.

– To nie ma znaczenia.

– Czuję się winny, bo namówiłem cię...

– To był mój wybór, nie obwiniam nikogo innego.

– Wprawdzie nie należy tego teraz mówić głośno, osobiście jednak nadal uważam, że dobrze zrobiliśmy, hipnotyzując Josefa. Co prawda nic jeszcze nie wiemy, ale mogło to uratować życie Evelyn.

– Właśnie dlatego dzwonię – wtrąca Erik.

– To znaczy?

– Wpadłem na coś. Masz czas?

Erik słyszy, jak Joon coś przesuwają, jakby wyciągał krzesło i siadał na nim.

– Tak – odpowiada. – Mam czas.

– Kiedy byliśmy w Värmdö, przy domku jej ciotki – zaczyna Erik – siedziałem w samochodzie i zauważyłem między drzewami kobietę. Miała w ręku śrutówkę. Skądś wiedziałem, że to Evelyn, i obawiałem się, że jeśli policja ją zaskoczy, może się zrobić niebezpiecznie.

– To prawda, mogłaby dojść do wniosku, że to Josef, i strzelić

w okno.

– Siedzę teraz u siebie i myślę o niej – mówi dalej Erik. – Widziałem ją między drzewami. Szła powoli w stronę domu, trzymając śrutówkę jedną ręką, a lufę ciągnąc po ziemi.

– No i?

– Czy tak nosiłbyś broń, gdybyś bał się mordercy?

– Nie – stwierdza Joona.

– Moim zdaniem poszła do lasu, żeby odebrać sobie życie – oznajmia Erik. – Dżinsy miała mokre na kolanach. Prawdopodobnie klęczała w mokrym mchu, ze strzelbą skierowaną w czoło albo pierś, ale sądzę, że zmieniła zdanie, nie odważyła się.

Erik milknie. Słyszy w słuchawce ciężki oddech Joony. Na ulicy odzywa się alarm samochodowy.

– Dziękuję – mówi policjant. – Pojadę i porozmawiam z nią.

18 PIĄTEK PO POŁUDNIU, JEDENASTY GRUDNIA

Przesłuchanie Evelyn ma się odbyć w jednym z biur działu penitencjarnego. Dla ożywienia ponurego pokoju ktoś postawił na stole czerwoną puszkę z pierniczkami, a w oknach elektryczne świeczniki z IKE-i. Evelyn i jej pomocnik siedzą już na swoich miejscach, kiedy Jooną włącza nagrywanie.

– Wiem, że moje pytania będą dla ciebie trudne, Evelyn – mówi cicho, zerkając na nią. – Ale byłbym wdzięczny, gdybyś mimo wszystko zechciała odpowiedzieć, jak najlepiej potrafisz.

Evelyn nie odzywa się, wbija tylko wzrok w kolana.

– Bo nie wydaje mi się, żeby milczenie było dla ciebie korzystne – ciągnie łagodnie policjant.

Dziewczyna nie reaguje, uparcie patrząc w dół. Jej pomocnik, mężczyzna w średnim wieku, z cieniem zarostu na twarzy, przygląda się Joonie bez wyrazu.

– Mogę zacząć, Evelyn?

Dziewczyna potrząsa głową. Jooną czeka. Po chwili Evelyn podnosi brodę do góry i spogląda mu w oczy.

– Poszłaś ze strzelbą do lasu, żeby odebrać sobie życie, prawda?

– Tak – szepce Evelyn.

– Cieszę się, że tego nie zrobiłaś.

– Ja nie.

– Masz za sobą więcej prób?

– Tak.

– Wcześniej?

Skinienie.

– Ale nie, zanim Josef przyjechał z tortem?

– Nie.

- Co powiedział?
- Nie chcę o tym myśleć.
- O czym? O tym, co powiedział?

Evelyn prostuje się na krześle, zaciska usta.

- Nie pamiętam – mówi niemal bezgłośnie. – Na pewno nie było to nic szczególnego.

- Zamierzałaś się zastrzelić, Evelyn – przypomina Joona.

Kobieta wstaje, podchodzi do okna, gasi i zapala lampki w świeczniku adwentowym, wraca do krzesła, siada, obejmując brzuch rękami.

- Czy nie możecie zostawić mnie w spokoju?
- Chcesz tego? Naprawdę tego chcesz?

Kiwa głową, nie patrząc na niego.

- Potrzebujesz przerwy? – pyta pomocnik.

- Nie wiem, co jest z Josefem – mówi cicho Evelyn. – Ma coś nie tak z głową. Zawsze... kiedy był mały, wdawał się w bójki, bił się zbyt mocno, zbyt niebezpiecznie. Niszczył też wszystkie moje rzeczy, nie wolno mi było niczego mieć.

Usta jej drżą.

- Kiedy miał osiem lat, zapytał, czy chcę z nim być. To może nie brzmi tak groźnie, ale dla mnie... Ja nie chciałam, a on żądał, żebyśmy się całowali... Bałam się go, robił dziwne rzeczy, potrafił zakraść się nocą do mojego pokoju i ugryźć mnie do krwi. Oddawałam mu, wciąż jeszcze byłam silniejsza.

Ociera łzy z policzków.

- Jak nie robiłam tego, co mi kazał, to wyżywał się na Busterze... Było coraz gorzej, chciał patrzeć na moje piersi, kąpać się ze mną... Zabił mojego psa i zrzucił go z wiaduktu.

Wstaje i podchodzi znów do okna.

- Josef miał może dwanaście lat, kiedy...

Głos jej się łamie, wydaje z siebie cichy jęk, potem mówi dalej.

- Zapytał, czy chcę wziąć jego fiuta do ust. Odpowiedziałam, że jest obrzydliwy. Wtedy poszedł do pokoju Drobinki i uderzył ją.

Miała tylko dwa lata...

Evelyn płacze i uspokaja się.

– Musiałam patrzeć, jak się onanizuje, wiele razy każdego dnia... Bił Drobinkę, jeśli się sprzeciwiałam, powiedział, że ją zabije. Niedługo potem, minęło może kilka miesięcy, zaczął domagać się, żebym z nim sypiała, powtarzał to codziennie, groził mi... ale znalazłam wymówkę, powiedziałam, że jest nieletni, że to zabronione, że nie mogę zrobić czegoś, co jest niezgodne z prawem.

Ociera łzy z policzków.

– Myślałam, że mu przejdzie, wyprowadziłam się, minął rok, ale wtedy zaczął do mnie dzwonić, powiedział, że wkrótce skończy piętnaście lat. Ukryłam się... Nie mam pojęcia, jak wpadł na to, że jestem w chacie, ja...

Płacze z otwartymi ustami, nie kryjąc się.

– O Boże...

– A więc groził – mówi Joon. – Groził, że zabije całą rodzinę, jeśli nie...

– Nie powiedział tego! – krzyczy Evelyn. – Powiedział, że zacznie od taty. To moja wina, wszystko... Chcę umrzeć...

Osuwa się po ścianie na podłogę i zwija w kłębek.

19 PIĄTEK PO POŁUDNIU, JEDENASTY GRUDNIA

Joona siedzi w swoim pokoju i tępo wpatruje się we własne dłonie. W jednej wciąż trzyma słuchawkę telefonu. Kiedy informował Jensa Svanehjälma o zaskakującym przełomie w zeznaniach Evelyn, ten słuchał w milczeniu, ciężko wzdychając, podczas gdy Joona przedstawiał mu bestialski motyw kryjący się za zbrodnią.

– Szczerze mówiąc, Joona – powiedział potem Jens. – To niestety trochę mało, nie zapominajmy, że z kolei Josef Ek oskarża siostrę. Potrzebujemy przyznania się do winy albo jakiegoś dowodu rzeczowego.

Joona omiata wzrokiem pokój, pociera dłonią twarz, a następnie dzwoni do lekarza Josefa Eka, Danielli Richards, żeby ustalić odpowiedni termin kolejnych przesłuchań, kiedy podejrzany nie będzie odurzony środkami przeciwbólowymi.

- Musi trzeźwo myśleć – wyjaśnia.
- Przyjdź o piątej – proponuje Daniella.
- Dziś po południu?
- Kolejną dawkę morfiny dostanie po szóstej. W okolicach kolacji poziom leków się stabilizuje.

Joona spogląda na zegarek. Jest wpół do trzeciej.

– W porządku, jesteście umówieni.

Po rozmowie z lekarką dzwoni do Lisbet Carlén, kuratorki Josefa, i informuje ją o godzinie spotkania.

Przechodzi do pokoju socjalnego, bierze jabłko z kosza z owocami, a kiedy wraca do siebie, jego krzesło zajmuje Eriksen, główny technik kryminalistyki na miejscu zbrodni w Tumbie, i pokłada się na biurku. Jest czerwony na twarzy, macha bezsilnie ręką do Joony

i dyszy.

– Wetknij mi to jabłko do gęby, a będziesz miał świątecznego prosiaka – sapie.

– Daj spokój. – Jooną odgryza kawałek.

– Zasłużyłem sobie na to. Odkąd otworzyli tę tajską knajpkę na rogu, przybyło mi jedenaście kilo.

– Dobrze gotują.

– O tak, niech ich diabli.

– Jak poszło z damską szatnią? – pyta Jooną.

Eriksen powstrzymuje go gestem pulchnej dłoni.

– Tylko nie mów „a nie mówiłem”, ale...

Jooną uśmiecha się szeroko.

– Zobaczymy – odpowiada dyplomatycznie.

– Okej – wzdycha Eriksen, ocierając pot z policzków. – W studziencie ściekowej były włosy Josefa Eka, a na fugach w podłodze krew ojca, Andersa Eka.

– A nie mówiłem! – triumfuje Jooną. Twarz promienieje mu z satysfakcji.

Eriksen parska śmiechem i łapie się za gardło, jakby się bał, że coś mu się w nim rozpadnie.

Jadąc windą na dół, Jooną ponownie wybiera numer Jensa Svanehjälma.

– Dobrze, że zadzwoniłeś – wita go Jens. – Najeżdżają na mnie za tę akcję z hipnozą, ich zdaniem powinniśmy zakończyć postępowanie przygotowawcze przeciwko Josefowi, bo to tylko mnożenie niepotrzebnych kosztów...

– Daj mi sekundę – przerywa mu Jooną.

– Ale ja już postanowiłem...

– Jens?

– Tak.

– Mamy dowód rzeczowy – mówi z powagą policjant. – Josef Ek jest powiązany z pierwszym miejscem zdarzenia i z krwią ojca.

Prokurator generalny Jens Svanehjälme oddycha ciężko

do słuchawki i po chwili odzywa się opanowanym głosem.

– Joon, zadzwoniłeś w ostatniej chwili.

– Wystarczy?

– Tak.

Już mają się rozłączyć, kiedy Joon dodaje:

– A nie mówiłem, że mam rację?

– Co?

– Nie miałem racji?

W słuchawce zalega cisza. Po chwili Jens Svanehjålm oznajmia powoli i pedagogicznie:

– Tak, Joon, miałeś rację.

Kończą rozmowę i uśmiech znika z twarzy komisarza. Joon idzie wzdłuż szklanej ściany w stronę podwórza, ponownie patrzy na zegarek. Za pół godziny ma być na wyspie Djurgården, w Muzeum Nordyckim.

Joon wchodzi po schodach muzeum i przemierza długie, puste korytarze. Mija setki oszklonych i podświetlonych gablot, nie zwracając na nie uwagi. Nie widzi przedmiotów codziennego użytku, skarbów ani dzieł sztuki, nie zauważa wystaw, strojów ludowych ani wielkich fotografii.

Strażnik już podsunął krzesło do słabo oświetlonej gabloty. Joon, jak zwykle, siada bez słowa i wpatruje się w lapońską koronę panny młodej. Krucha i delikatna, rozszerza się ku górze, tworząc perfekcyjny okrąg. Zakończenia przywodzą na myśl kielich kwiatu albo złączoną parę dłoni z rozcapierzonymi palcami. Światło padające na przedmiot porusza się wraz z powolnymi ruchami głowy Joony. Korona jest ręcznie wyplatana z korzenia. Z materiału wygrzebanego z ziemi, lśniącego jak skóra, jak złoto.

Tym razem Joon siedzi przed gablotą tylko godzinę, potem wstaje, pozdrawia skinieniem głowy strażnika i nieśpiesznie opuszcza Muzeum Nordyckie. Topniejący na ziemi śnieg zmienił się w czarną maź, w powietrzu czuć olej napędowy z łodzi

przepływającej pod mostem na Djurgården. Komisarz kieruje się spokojnym krokiem w stronę Strandvägen, kiedy rozbrzmiewa sygnał telefonu. To Nålen, lekarz medycyny sądowej.

– Dobrze, że cię złapałem – rzuca krótko Nålen.

– Skończyliście sekcję zwłok?

– Już prawie, prawie.

Joona widzi na chodniku młodego ojca, który raz za razem odchyła wózek do tyłu, wywołując atak śmiechu dziecka. W oknie domu stoi kobieta i obserwuje ulicę. Kiedy napotyka wzrok Joony, natychmiast cofa się o krok w głąb mieszkania.

– Znalazłeś coś zaskakującego?

– Sam nie wiem...

– Ale?

– Chodzi o to cięcie brzucha, rzecz jasna.

– Tak?

Słyszysz, jak Nålen wciąga powietrze, coś stuknęło w tle.

– Upuściłem pióro – szepce lekarz, a Joona słyszy jakiś szelest w słuchawce.

– Ciała zostały potraktowane z bardzo dużą brutalnością – mówi Nålen z powagą, z powrotem przy telefonie. – Przede wszystkim dziewczynka.

– Domyśliłem się – odpowiada Joona.

– Wiele ran zadano bez potrzeby, mówiąc prosto z mostu, dla przyjemności. To czyste skurwysyństwo, jeśli chcesz znać moje zdanie.

– Też tak sędzę – przyznaje Joona, myśląc o tym, co zobaczył na miejscu zbrodni.

Policjant w szoku, wrażenie chaosu. Ciała wewnątrz. Pamięta blade jak papier policzki Lillemor Blom, trzymającej papierosa w drżącej dłoni. Przypomina sobie krew, która obryzgała szyby okien i spłynęła w dół drzwi na taras z tyłu domu.

– Wyjaśniło się coś z tą raną na brzuchu?

Nålen wzdycha.

– Tak jak przypuszczaliśmy. Cięcia dokonano jakieś dwie godziny po śmierci. Ktoś odwrócił jej ciało i przyłożył nóż do starej blizny po cesarce.

Przerzuca papiery.

– Nasz sprawca nie wie zbyt wiele o sectio caesarea. U Katji Ek mamy do czynienia z nagłym cięciem, które biegnie od pępka pionowo w dół.

– No i?

Nålen wypuszcza powietrze.

– To jest tak, że macicę rozcina się zawsze w poprzek, nawet jeżeli cięcie przez powłoki brzuszne biegnie pionowo.

– Ale tego Josef nie wiedział? – pyta Joon.

– Nie – potwierdza patolog. – Po prostu otworzył brzuch, nie rozumiejąc, że cesarskie cięcie składa się z dwóch cięć: powłok brzusznych i ściany macicy.

– Czy coś jeszcze powinienem wiedzieć już teraz?

– Może to, że pastwił się nad ciałami bardzo długo, nie kończył, mimo coraz większego zmęczenia nie miał dosyć, furia nie stygła.

Zapada cisza. Joon idzie ulicą Strandvägen. Wraca znowu myślami do ostatniego przesłuchania Evelyn.

– Chciałem tylko potwierdzić to z tym cesarskim cięciem – odzywa się po chwili patolog. – Że ranę zadano jakieś dwie godziny po śmierci ofiary.

– Dzięki, Nålen – mówi Joon.

– Dostaniesz jutro pełny protokół sekcji.

Joon rozłącza się i myśli, jak potworne musiało być dorastanie w pobliżu Josefa Eka. Jak bezbronna musiała się czuć Evelyn, nie mówiąc już o jej młodszej siostrzyczce.

Joon próbuje sobie przypomnieć, co Evelyn mówiła o cesarskim cięciu.

Siedziała skulona na podłodze i opierając plecy o ścianę, opowiadała o niemal patologicznej zazdrości Josefa o młodszą siostrę.

– Josef ma coś nie tak z głową – wyszeptała. – Zawsze tak było. Pamiętam, że kiedy miał się urodzić, mama była bardzo chora, nie wiem, co to było, ale musieli jej szybko zrobić cesarskie cięcie.

Evelyn potrzaskała głową i zagryzła wargi, zanim znowu zaczęła mówić:

– Wie pan, co to jest nagłe cięcie?

– Tak, mniej więcej – odparł Joon.

– Czasami... czasami po takim porodzie pojawiają się komplikacje.

Evelyn zerknęła na niego niepewnie.

– Masz na myśli niedotlenienie i tak dalej? – zapytał.

Potrzaskała głową i otarła łzy.

– Mam na myśli psychiczne problemy u matki. Kobieta, która przeżywa ciężki poród, a potem nagle zostaje uśpiona do cięcia, może mieć trudności z nawiązaniem więzi z dzieckiem.

– Twoja mama miała depresję poporodową?

– Nie do końca – odpowiedziała śmiertelnie zmęczonym głosem.

– Moja mama popadła w psychozę po urodzeniu Josefa. Nie wychwycili tego na porodówce, wypuścili ją z nim do domu. Ja zauważyłam od razu. Wszystko było źle. To ja musiałam zajmować się dzieckiem. Miałam tylko osiem lat, ale jej to nie obchodziło, nie dotykała go, leżała tylko w łóżku i płakała, płakała i płakała.

Evelyn popatrzyła na Joonę i wyszeptała:

– Mama twierdziła, że to nie jej dziecko, że jej zmarło, no i w końcu musieli ją wziąć do szpitala.

Uśmiechnęła się krzywo.

– Mama wróciła do domu po jakimś roku. Udawała, że wszystko jest w porządku, ale tak naprawdę nadal go odrzucała.

– A więc uważasz, że twoja mama nie wyzdrowiała? – spytał Joon ostrożnie.

– Wyzdrowiała, bo kiedy urodziła Lisę, zmieniła się. Była bardzo szczęśliwa, poświęcała jej się całkowicie.

– A ty musiałaś zajmować się Josefem.

– Zaczął powtarzać, że mama powinna była urodzić go tak, jak

trzeba. Tłumaczył sobie tę niesprawiedliwość tym, że Lisa urodziła się „przez cipę”, a on nie. Mówił o tym bez przerwy. Że mama powinna była urodzić go przez cipę, a nie...

Głos Evelyn ucichł. Odwróciła twarz. Jooną widział jej skulone, napięte ramiona, ale bał się jej dotknąć.

20 PIĄTEK WIECZOREM, JEDENASTY GRUDNIA

Na oddziale intensywnej terapii szpitala Karolinska tym razem wyjątkowo nie panuje cisza. W powietrzu unosi się zapach jedzenia, pod drzwiami wspólnej sali stoi wózek z garnkiem z nierdzewnej stali, talerzami, szklankami i sztućcami. Ktoś włączył telewizor, Jooną słyszy brzęk porcelany.

Rozmyśla o tym, że Josef otworzył stare cesarskie cięcie w brzuchu matki, swoją bramę do życia, która jednocześnie skazała go na sieroctwo i sprawiła, że matka nigdy nie nawiązała z nim więzi.

Josef wcześniej zdał sobie sprawę, że nie jest taki jak inne dzieci, czuł się samotny. Jediną osobą, która obdarzyła go miłością i opieką, była Evelyn. Nie potrafił zaakceptować odrzucenia przez nią. Najmniejsza oznaka dystansu między nimi wprawiała go w rozpacz i wściekłość, a swój gniew kierował coraz częściej przeciwko kochanej przez wszystkich młodszej siostrzytce.

Jooną kiwa głową Sunessonowi stojącemu pod drzwiami do pokoju Josefa Eka, a potem zerka przez okienko na twarz pacjenta. Worek na mocz jest do połowy pełny, przy łóżku stoi wieszak z kroplówką dostarczającą chłopcu płyny i osocze. Spod jasnoniebieskiego koca wystają stopy. Josef ma brudne podeszwy, do plastrów chirurgicznych chroniących szwy poprzyklejały się włosy i śmieci. Telewizor jest włączony, ale chłopiec na niego nie patrzy.

Inspektorka opieki społecznej, Lisbet Carlén, jest już w pokoju. Jeszcze go nie zauważyła, stoi w oknie, spinając włosy klamrą.

Josef znowu krwawi z jakiejś rany, krew ścieka mu po ramieniu i kapie na podłogę. Starszawa pielęgniarka pochyla się nad nim,

luzuje opatrunek i zlepia ponownie brzegi rany, ściera krew i wychodzi z pokoju.

– Przepraszam! – woła Jooną i dogania pielęgniarkę.

– Tak?

– Jak on się czuje? Co z nim?

– Proszę rozmawiać z lekarzem prowadzącym – odpowiada kobieta i odchodzi.

– Porozmawiam. – Jooną uśmiecha się, idąc za nią. – Ale... chciałbym mu pokazać coś, co... Mogę go tam zawieźć na wózku?

Pielęgniarka kręci głową i zatrzymuje się.

– Pacjenta absolutnie nie wolno przewozić – mówi surowo. – Co za idiotyzm, on bardzo cierpi, nie może się ruszać, mógłby znów zacząć krwawić, nawet gdyby tylko usiadł.

Jooną wraca do pokoju Josefa. Wchodzi bez pukania, bierze pilota, wyłącza telewizor, włącza nagrywanie w dyktafonie, podaje datę, godzinę, wymienia obecnych, a potem siada na krześle dla odwiedzających. Josef unosi ciężkie powieki i patrzy na niego z łagodnym brakiem zainteresowania. Podłączony do jego klatki piersiowej drenaż, który ma przywrócić ciśnienie w przedziurawionej opłucnej, wydaje z siebie dość przyjemny, cicho bulgoczący odgłos.

– Wkrótce powinni cię wypisać – odzywa się Jooną.

– Byłoby miło – odpowiada słabym głosem Josef.

– Chociaż przeniosą cię do aresztu.

– Lisbet mówiła, że prokurator nie jest jeszcze gotowy – oświadcza chłopiec, patrząc na opiekunkę.

– To było, zanim znaleźliśmy świadka.

Josef zamyka oczy.

– Kogo?

– Rozmawialiśmy już całkiem sporo ze sobą, ty i ja – stwierdza Jooną. – Ale może chcesz zmienić jakieś zeznanie albo dodać coś, czego nie powiedziałeś.

– Evelyn – szepce chłopiec.

– Długo posiedzisz.

– Kłamie pan.

– Nie, Josefie, mówię prawdę. Zostanie wydany na ciebie nakaz aresztowania i masz teraz prawo do adwokata.

Josef próbuje podnieść rękę, ale nie jest w stanie.

– Zahipnotyzowaliście ją – uśmiecha się.

– Nie.

– Słowo przeciwko słowu.

– Nie do końca – mówi Joon, przyglądając się gładkiej, bladej twarzy chłopca. – Mamy też dowód rzeczowy.

Josef ściska mocno szczęki.

– Nie mam czasu tu siedzieć, ale jeśli chcesz mi coś powiedzieć, to mogę zostać jeszcze chwilę – proponuje Joon uprzejmie.

Odczekuje minutę, bębni palcami po poręczy krzesła, bierze dyktafon i wychodzi, żegnając panią inspektor skinieniem głowy.

W samochodzie dochodzi do wniosku, że powinien był skonfrontować Josefa z opowieścią Evelyn, żeby zobaczyć jego reakcję. Josefa Eka przepętnia pycha, która może skłoniłaby go do przyznania się, gdyby się go dostatecznie sprowokowało.

Przez chwilę rozważa, czy nie wrócić, ale rezygnuje, żeby nie spóźnić się na kolację do Disy.

Jest ciemno i mgliście, kiedy parkuje pod okazałym domem na Lützengatan. Wyjątkowo czuje, że zmarzł. Idąc do bramy, spogląda na oszronioną trawę na placu Karlaplan, czarne gałęzie drzew.

Próbuje przypomnieć sobie leżącego w łóżku Josefa, ale nasuwa mu się jedynie bulgoczący i świszczący aparat do drenażu. Mimo to powraca uczucie, że widział coś ważnego, nie zdając sobie z tego sprawy.

Wjeżdżając windą na piętro Disy, cały czas ma wrażenie, że coś się zgadza. Dzwoni do drzwi. Nikt nie otwiera. Joon słyszy kogoś na klatce schodowej poziom wyżej, jakaś kobieta to wzdycha spazmatycznie, to cicho płacze.

W drzwiach w końcu pojawia się Disa, wygląda na zdenerwowaną, ubrana jest tylko w biustonosz i rajstopy.

– Liczyłam na to, że się odrobinę spóźnisz – tłumaczy się.

– Jestem za to trochę wcześniej – mówi Jooną, całując ją lekko w policzek.

– Możesz wejść i zamknąć drzwi, zanim wszyscy sąsiedzi zobaczą mój tyłek?

W przytulnym przedpokoju pachnie jedzeniem. Różowa lampa z frędzelkami łaskocze Joonę w głowę.

– Zrobiłam solę z ziemniaczkami – informuje Disa.

– Z roztopionym masłem?

– I grzybami, pietruszką i kostką bulionu cielęcego.

– Pycha.

Mieszkanie jest dość zniszczone, ale w sumie ładne. Składają się na nie tylko dwa pokoje z kuchnią; ma wysokie sufity, wielkie okna wychodzące na Karlaplan, futryny z teku, sufit z lakierowanych drewnianych paneli i piękną, froterowaną podłogę.

Jooną idzie za Disą do jej sypialni. Zatrzymuje się, próbując uświadomić sobie, co widział u Josefa. Na niepościelonym łóżku leży włączony komputer, Disa rozrzuciła wokół książki i papiery.

Jooną siada w fotelu i czeka, aż przyjaciółka się ubierze. Kobieta bez słowa odwraca się do niego plecami, żeby mógł zapiąć zamek błyskawiczny obcisłej, prostej sukienki.

Jooną zagląda do otwartej książki i widzi duże czarno-białe zdjęcie cmentarzyska. Archeolodzy, ubrani w stroje z lat czterdziestych, stoją w głębi obrazu i zerkają w stronę fotografa. Wygląda, że dopiero co zaczęli wykopaliska, oznaczyli miejsce kilkudziesięcioma małymi flagami.

– To cmentarz – wyjaśnia cicho Disa. – Flagi oznaczają rozmieszczenie grobów. Archeolog, który prowadził tam wykopaliska, nazywał się Hannes Müller. Zmarł jakiś czas temu, ale dożył co najmniej setki. Do końca pracował w instytucie. Wyglądał jak sympatyczny, stary żółw...

Staje przed wysokim lustrem, splata proste włosy w dwa cienkie warkocze, a potem odwraca się ku niemu.

– Jak wyglądam?

– Wspaniale – odpowiada Jooną szarmancko.

– Tak – mówi z żalem Disa. – Co słyszeć u twojej mamy?

Jooną bierze ją za rękę.

– W porządku – szepce. – Pozdrawia cię.

– Jak miło, co powiedziała?

– Że nie powinnaś się mną przejmować.

– Nie – przytakuje ponuro Disa. – Oczywiście ma rację.

Powoli przeciąga palcami przez jego gęste, zmierzwiłone włosy. Patrzy na niego, uśmiechając się niespodziewanie, potem podchodzi do komputera, wyłącza go i odstawia na komodę.

– Wiesz, że zgodnie z przedchrześcijańskim prawem noworodków nie uważano za pełnowartościowych ludzi, zanim nie przystawiono się ich do piersi? W okresie po porodzie, a przed karmieniem można było wynieść dziecko do lasu.

– Człowiekiem zostawało się z wyboru innych – mówi powoli Jooną.

– Czyż nie jest tak zawsze?

Disa otwiera garderobę, wyciąga pudło z butami i wyjmuje parę ciemnobrązowych sandałów z miękkich rzemyków, na zgrabnym obcasie, w paski z różnych gatunków drewna.

– Nowe? – pyta Jooną.

– Sergio Rossi. Dostałam je w prezencie od siebie samej z okazji, że mam taką mało wytworną pracę. Całymi dniami czołgam się po błotnistym polu.

– Nadal w Sigtunie?

– Tak.

– Co właściwie znaleźliście?

– Opowiem ci w trakcie jedzenia.

Jooną wskazuje na jej sandały.

– Bardzo ładne – zauważa, podnosząc się z fotela.

Disa odwraca głowę z cierpkim uśmiechem.

– Przykro mi, Joono – rzuca przez ramię – ale nie wydaje mi się, żeby robili je w twoim rozmiarze.

Mężczyzna zatrzymuje się nagle.

– Czekaj – prosi i opiera się o ścianę.

Disa patrzy na niego pytająco.

– To był żart – oznajmia.

– Nie, chodzi o jego stopy...

Joono mija Disę i idzie do przedpokoju, wyjmując z kurtki telefon, dzwoni na centralę i wyjaśnia opanowanym głosem, że Sunesson potrzebuje w szpitalu natychmiastowego wsparcia.

– Co się stało? – pyta Disa.

– Jego stopy były brudne – tłumaczy Joono. – Mówią, że chłopak nie może się ruszać, ale on wstawał. Wstał i chodził po pokoju.

Joono wybiera numer Sunesson, a kiedy ten nie odbiera, zarzuca na siebie kurtkę, mamrocze słowa przeprosin, wychodzi z mieszkania i zbiega w dół schodami.

* * *

Mniej więcej w tym czasie, kiedy Joono dzwoni do drzwi Disy, Josef Ek siada na łóżku w swoim szpitalnym pokoju.

Poprzedniej nocy sprawdził, czy może chodzić: zsunął się na podłogę, przez długą chwilę musiał stać bez ruchu, opierając się rękami o ramę łóżka. Jego rozliczne rany sprawiały mu ból, który zalał go jak fala wrzącego oleju, przeszył uszkodzoną wątrobę, aż pociemniało mu przed oczami, ale mógł chodzić. Naciągnął przewody od kroplówki i drenażu, sprawdził zawartość szafy ze środkami medycznymi i po chwili wrócił do łóżka.

Mija właśnie trzydzieści minut od ostatniej wizyty personelu. W korytarzu jest prawie zupełnie cicho. Josef ostrożnie wyciąga wenflon z nadgarstka, czuje ssanie w rurce odcepianej od ciała, na kolana spływa mu strużka krwi.

Schodząc z łóżka, nie czuje wielkiego bólu. Podchodzi do szafy,

znajduje gaziki, skalpele, strzykawki jednorazowe i rolki bandaży. Wsadza kilka strzykawek do szerokiej, luźnej kieszeni szpitalnej koszuli. Trzęsącymi się rękoma otwiera opakowanie skalpela i odcina przewód drenażu. Wycieka z niego śluzowata krew, a lewe płuco powoli się zapada. Czuje ból pod łopatką, kaszle słabo, ale w sumie nie odczuwa różnicy, zmniejszonej pojemności płuc.

Nagle na korytarzu słychać kroki, gumowe podeszwy na linoleum. Ze skalpelem w ręku Josef staje przy drzwiach, zerka przez szybkę i czeka.

Pielęgniarka zatrzymuje się i rozmawia z pilnującym go policjantem. Josef słyszy, jak się z czegoś śmieją.

– Rzuciłam palenie. – Słyszysz głos kobiety.

– Jeśli poczęstuje mnie pani plastrem nikotynowym, nie odmówię – droczy się policjant.

– To też rzuciłam – odpowiada pielęgniarka. – Może pan wyjść na zewnątrz, chwilę tu zabawię.

– Pięć minut – obiecuje gorliwie strażnik.

Policjant odchodzi, słychać brzęk kluczy, pielęgniarka przegląda jakieś papiery i po chwili wchodzi do pokoju. Właściwie wygląda tylko na zaskoczoną. Zmarszczki śmiechu w kącikach oczu uwidaczniają się, kiedy ostrze skalpela zagłębia się w jej szyję. Josef jest słabszy, niż mu się wydawało, musi zadać jej wiele ciosów. Od gwałtownych ruchów pali i rwie go w całym ciele. Pielęgniarka nie upada od razu, próbuje się go przytrzymać. Osuwają się razem na podłogę. Jej ciało jest mokre od potu i aż paruje od ciepła. Josef próbuje wstać, ale ślizga się na włosach pielęgniarki, które rozsypały się, tworząc szeroki złoty snop. Wyrzuca skalpel z jej szyi i słyszy świszczący odgłos. Zaczynają podrygiwać jej nogi, Josef stoi przez chwilę i przygląda się, po czym wychodzi na korytarz. Fartuch pielęgniarki podsunął się do góry, pod nylonowymi rajstopami wyraźnie widać różowe majtki.

Josef idzie korytarzem. Bardzo boli go wątroba. Skręca w prawo, znajduje czyste ubrania na jakimś wózku i przebiera się. Przsadzista

kobieta przesuwa zamazyście mopem po lśniącym linoleum. Słucha muzyki, na uszach ma słuchawki. Josef zbliża się, wyciągając z kieszeni strzykawkę. Wykonuje w powietrzu kilka zamachów, za każdym razem jednak zatrzymuje rękę, zanim igła sięgnie pleców. Kobieta niczego nie zauważa. Josef chowa strzykawkę do kieszeni, odpycha kobietę i przechodzi obok. Sprzątaczką omal nie upada, przeklinając po hiszpańsku. Josef zatrzymuje się gwałtownie i obraca ku niej.

– Co powiedziałaś? – pyta.

Kobieta zdejmuje słuchawki i patrzy na niego pytająco.

– Mówiłaś coś?

Ta potrząsa szybko głową i wraca do sprzątania. Josef przygląda się jej przez chwilę, a potem podchodzi do windy, naciska guzik i czeka.

21 PIĄTEK WIECZOREM, JEDENASTY GRUDNIA

Joona Linna z dużą prędkością przejeżdża obok stadionu na Vallhallavägen, gdzie w 1912 roku odbyły się igrzyska olimpijskie. Zmienia pas, wyprzedza z prawej dużego mercedesa, między drzewami miga mu ceglana fasada Sophiahemmet ¹³ . Koła dudnią, przejeżdżając po metalowej płycie. Joona wciska pedał gazu w podłogę, żeby zdążyć przed niebieskim autobusem liniowym, ruszającym właśnie z przystanku. Kierowca trąbi na niego ze złością. Z szarej kałuży tryska woda na zaparkowane samochody i na chodnik za Tekniska Högskolan ¹⁴ .

Joona przejeżdża na czerwonym świetle przy Norrtull, mija hotel Stallmästaregården. Do ostrego zjazdu pod autostradą, prowadzącego do szpitala Karolinska, został mu krótki odcinek Uppsalavägen. Rozpędza się na nim prawie do stu osiemdziesięciu kilometrów na godzinę.

Parkując przy głównym wejściu, zauważa liczne wozy policyjne z włączonymi niebieskimi sygnalizatorami. Ich światła omiatają brązową ceglana fasadę szpitala niczym uderzenia jakichś strasznych skrzydeł. Grupa dziennikarzy otoczyła kilka pielęgniarek, które trzęsąc się, stoją przed głównym wejściem. Na ich twarzach maluje się strach, niektóre otwarcie płaczą przed kamerami.

Joona próbuje wejść do środka, ale zostaje natychmiast zatrzymany przez młodego policjanta, który pod wpływem adrenaliny, a może z podniecenia cały czas przestępuje z nogi na nogę.

– Zjeżdżaj stąd – mówi, odpychając Joonę.

Joona zagłąda w parę błękitnych oczu bez wyrazu. Zdejmuje z piersi dłoń funkcjonariusza i mówi ze spokojem:

– Rikskrim.

W spojrzeniu policjanta błyska nieufność.

– Legitymację proszę.

– Joona, pośpiesz się, to tam.

Przy recepcji, w bladożółtym świetle stoi Carlos Eliasson, szef policji kryminalnej, i macha na niego. Joona widzi przez szybę Sunessona, który siedzi na ławce i płacze z wykrzywioną twarzą. Jakiś młodszy kolega siada obok niego i obejmuje go ramieniem.

Joona pokazuje swoją legitymację i policjant odsuwa się z niechęcią. Okolice głównego wejścia odgradzono taśmą policyjną. Zza przeszklonych ścian błyskają flesze dziennikarzy, a wewnątrz szpitala zdjęcia robią dochodzeniowcy.

Carlos dowodzi akcją i odpowiada za nią zarówno na poziomie ogólnoorientacyjnym, strategicznym, jak i na poziomie szczegółowym, taktycznym. Rzuca krótkie instrukcje koordynatorowi działań na miejscu zdarzenia, a potem obraca się w stronę Joony.

– Macie go? – pyta komisarz.

– Świadek twierdzi, że wyszedł z foyer, podpierając się na balkoniku – odpowiada nerwowo Carlos. – Zostawił go na przystanku.

Zerka do notesu.

– Teren opuściły dwa autobusy, siedem taksówek i transport osób niepełnosprawnych... mniej więcej kilkanaście samochodów prywatnych i tylko jedna karetka.

– Zablokowaliście wyjazdy?

– Na to już za późno.

Wezwany gestem, podchodzi do nich umundurowany policjant.

– Namierzyliśmy autobusy, ale nic to nie dało – oznajmia.

– Taksówki? – pyta Carlos.

– Sprawdziliśmy już Taxi Stockholm i Taxi Kurir, ale...

Policjant macha ręką w roztargnieniu, jakby zapomniał, co chciał powiedzieć.

– Skontaktowałeś się z Erikiem Marią Barkiem? – pyta Jooną.
– Od razu do niego zadzwoniliśmy. Nie odebrał, ale próbujemy go złapać.
– Musi dostać ochronę.
– Rolle! – woła Carlos. – Znalazłeś Barka?
– Przed chwilą dzwoniłem – odpowiada Roland Svensson.
– Zadzwon jeszcze raz – prosi Jooną.
– Muszę pogadać z Omarem z jednostki łącznikowej. – Carlos rozgląda się naokoło. – Musimy ogłosić alarm ogólnokrajowy.
– Czego ode mnie oczekujesz?
– Zostań tutaj, zobacz, czy czegoś nie przegapiłem – mówi Carlos i woła Mikaela Venera, jednego z techników Wydziału Zabójstw.
– Przekaż komisarzowi Linnie, co znaleźliście do tej pory – poleca mu.

Verner patrzy obojętnie na Joonę i mówi przez nos:

– Martwa pielęgniarka... Sporo osób widziało podejrzanego, jak wychodził stąd, wspierając się na balkoniku.
– Zobaczmy – odpowiada Jooną.

Przeszukiwanie wind i szybów jeszcze się nie zakończyło, więc na górę wchodzi schodami przeciwpożarowymi.

Jooną przygląda się czerwonym śladom stóp, które bosy Josef Ek zostawił, idąc w dół do wyjścia. Czuć zapach elektryczności i śmierci. Krwawy odcisk dłoni na ścianie mniej więcej w tym miejscu, w którym stał wózek z jedzeniem, wskazuje na to, że zachwiał się albo musiał się podeprzeć. Na metalowych drzwiach windy Jooną widzi krew i coś, co przypomina tłusty odcisk czoła i czubka nosa.

Idą dalej korytarzem i zatrzymują się w drzwiach do pokoju, w którym przed jakąś godziną Jooną rozmawiał z Josefem. Wokół ciała na podłodze rozpościera się niemal czarna kałuża krwi.

– Była pielęgniarką – mówi Verner. – Ann-Katrin Eriksson.

Jooną patrzy na płowe włosy i martwe oczy zamordowanej. Pielęgniarski fartuch podwinął się nad biodra. Zupełnie jakby zabójca próbował zdrzeć jej sukienkę, myśli Jooną.

– Narzędziem był przypuszczalnie skalpel – stwierdza sucho Verner.

Joona mamrocze pod nosem, wyciąga telefon i dzwoni do aresztu Kronoberg.

Odbiera zaspany męski głos, mówi coś, czego Joona nie dosłyszy.

– Tu Joona Linna – przedstawia się szybko. – Chcę wiedzieć, czy Evelyn Ek jest jeszcze u was.

– Co?

Joona powtarza ostrym tonem:

– Czy Evelyn Ek jest jeszcze w areszcie?

– Musi pan zapytać dyżurnego – odpowiada skwaszony głos.

– Może pan go poprosić?

– Chwilunia – mówi mężczyzna, odkładając słuchawkę na biurko.

Joona słyszy jego kroki i skrzypienie drzwi. Potem wymianę zdań i jakiś rumor. Patrzy na zegarek. Jest w szpitalu już od dziesięciu minut.

Idzie w stronę schodów i schodzi do głównego wejścia, trzymając telefon przy uchu.

– Tu Jan Persson – odzywa się jowialny głos.

– Joona Linna z Rikskrimu. Chciałem zapytać o Evelyn Ek – wyjaśnia krótko.

– Evelyn Ek – zastanawia się Jan Persson. – Ach, ona. Już jej tu nie ma. Nie było łatwo, opierała się, chciała zostać w areszcie.

– Wypuściliście ją?

– Nie, nie, był tu prokurator, siedzi w...

Joona słyszy szelest przewracanych stron katalogu.

– Siedzi w jednym z naszych chronionych mieszkań.

– To dobrze – mówi. – Postawcie paru policjantów pod jej drzwiami. Zrozumiano?

– Ma pan nas za idiotów – odpowiada urażony Persson.

Joona kończy rozmowę i podchodzi do Carlosa, który siedzi na krześle, z komputerem na kolanach. Obok stoi jakaś kobieta i pokazuje coś na ekranie.

Omar z jednostki łącznikowej powtarza do radia kryptonim „Echo”, stosowany dla uczestniczących w akcji jednostek z psami. Jooną domyśla się, że do tej pory wytropili już większość samochodów, bez rezultatu.

Jooną macha do Carlosa, ale nie udaje mu się zwrócić jego uwagi, odpuszcza więc i wychodzi przez jedne z mniejszych szklanych drzwi. Jest ciemno i zimno. Na pustym przystanku stoi balkonik na kółkach. Jooną rozgląda się wokół. Ignoruje ludzi obserwujących pracę policji z drugiej strony ogrodzenia, ignoruje niebieskie światła policyjnych kogutów, nerwowe ruchy funkcjonariuszy, błyskające flesze aparatów, a zamiast tego omiata wzrokiem parking, ciemne fasady i przestrzenie między budynkami zespołu szpitalnego.

Rusza, zwiększa tempo, przekracza łopoczące taśmy ogradzające teren, przeciska się przez grupę gapiów i spogląda w stronę Cmentarza Północnego. Idzie w dół, do ulicy Solna kyrkoväg i dalej wzdłuż płotu, próbuje dojrzeć cokolwiek pośród czarnych konturów drzew i kamieni. Sieć lepiej lub gorzej oświetlonych chodników rozciąga się na sześćdziesięciu hektarach mieszczących ogrody pamięci i klomby, jedno krematorium i trzydzieści tysięcy grobów.

Jooną mija stróżówkę, przyśpiesza kroku, zerka na jasny obelisk na grobie Alfreda Nobla, mija kaplicę.

Nagle robi się zupełnie cicho. Nie słychać hałasu spod szpitala, tylko szum wiatru w nagich gałęziach drzew i słabe echo jego własnych kroków rozbrzmiewające wśród nagrobków i krzyży. Daleko, na autostradzie jakiś wielki pojazd przejeżdża z łoskotem. Szeleszczą suche liście pod krzakiem. Tu i tam w zamglonych słoiczkach płoną znicze.

Jooną kieruje się na skraj cmentarza, w stronę jego dłuższej wschodniej ściany, która wychodzi na wjazd na autostradę, gdy nagle widzi jakiś ruch w ciemności – ktoś przemyka między kamieniami nagrobnymi, w kierunku biura. Jakieś czterysta metrów dalej. Komisarz staje i próbuje skupić wzrok. Postać idzie pochylona, kuleje. Jooną rusza pędem między nagrobkami, klombami,

migotliwymi płomieniami świec i aniołami z kamienia. Widzi, jak drobna figurka śpieszy przez oszronioną trawę między drzewami. Białe ubranie łopocze.

– Josef! – woła Jooną. – Stój!

Chłopak wchodzi za grobowiec otoczony żeliwnym płotkiem i żwirowaną ścieżką. Jooną wyciąga broń, szybko ją odbezpiecza, biegnie bokiem, zauważa Josefa, woła, żeby się zatrzymał, i celuje w jego lewe udo. Nagle tuż przed nim pojawia się staruszka. Pochyliła się nad grobem, a teraz wstała. Jej twarz znajduje się bezpośrednio na linii strzału. Joonę ze strachu ściska w żołądku. Josef zniknął za cyprysowym żywopłotem. Policjant opuszcza broń i rusza za nim w pościg. Słyszy jeszcze utyskiwanie kobiety, że chciała tylko zapalić znicz na grobie Ingrid Bergman. Nie patrząc na nią, Jooną krzyczy coś o akcji policyjnej. Przeszukuje wzrokiem ciemności. Josef zniknął między drzewami i skałami. Rzadko ustawione latarnie oświetlają tylko niewielkie obszary, zieloną parkową ławkę czy kilka metrów żwirowej dróżki. Jooną wyjmując komórkę, wybiera numer jednostki łącznikowej i prosi o natychmiastowe wsparcie, sytuacja jest niebezpieczna, potrzebuje całej jednostki, co najmniej pięciu grup i helikoptera. Biegnie pod górę w poprzek zbocza, przeskakuje niski płot i zatrzymuje się. Z oddali dobiega szczekanie psów. Na ścieżce daje się słyszeć chrzęst żwiru i Jooną rusza w tę stronę. Widzi, jak ktoś skrada się między grobami. Śledzi go wzrokiem, próbuje podejść bliżej, znaleźć linię strzału, w razie gdyby udało mu się zidentyfikować osobę. Czarne ptaki z łopotem wzbijają się w powietrze. Przewraca się kontener na śmieci. Nagle widzi Josefa, który skulony biegnie za brązowym oszronionym żywopłotem. Jooną traci równowagę i ześlizguje się po zboczu, wpada prosto w stojak na konewki i stożkowe wazon. Kiedy staje na nogi, nigdzie nie widzi Josefa. Puls dudni mu w skroniach. Czuje, że poranił sobie plecy. Dłonie ma zimne i zeszywniałe. Przechodzi na drugą stronę żwirowej alejki i rozgląda się. W oddali, za budynkiem biur, widać samochód

z herbem Sztokholmu. Zawraca powoli, znikają czerwone tylne światła, reflektory omiatają drzewa i nagle oświetlają Josefa. Chłopiec stoli chwiejnie na drodze. Głowa zwisa mu ciężko; kulejąc, robi parę kroków. Jooną biegnie co sił w nogach. Samochód zatrzymuje się, otwierają się drzwi, zza których wyłania się brodaty mężczyzna.

– Policja! – krzyczy Jooną.

Nie słyszą go.

Strzela w powietrze, brodacze patrzy w jego stronę. Josef ze skalpelem w ręku zbliża się do mężczyzny. To kwestia kilku sekund. Jooną nie ma szans do nich dobiec. Opiera się o nagrobek, odległość jest większa niż trzysta metrów, sześć razy więcej niż na torze do strzelania precyzyjnego. Celownik skacze mu przed oczami. Trudno mu coś zobaczyć, mruga i wyteżę wzrok. Szarobiała postać niknie i ciemnieje. Gałąź drzewa raz za razem przesłania linię strzału. Brodacze odwraca się z powrotem do Josefa, cofa się o krok. Jooną stara się utrzymać cel na muszce i naciska spust. Pada strzał, odrzut przechodzi przez łokieć i ramię. Drobinki prochu parzą go w zziębniętą dłoń. Kula znika bez śladu między drzewami. Jooną ponownie celuje i widzi, jak Josef wbija ostrze w brzuch brodacza. Bucha krew. Jooną strzela, kula przelatuje przez ubranie Josefa, ten zatacza się, upuszcza skalpel, maca ręką po plecach i wsiada do samochodu. Jooną zaczyna biec, usiłuje dostać się do drogi, ale Josef zdołał już uruchomić silnik, przejeżdża prosto po nogach brodacza i wciska gaz do dechy. Kiedy Jooną pojmuje, że nie zdąży, staje, celuje w przednią oponę, strzela i trafia. Samochód kołysze się, ale jedzie dalej, przyśpiesza i odjeżdża w kierunku wjazdu na autostradę. Jooną wkłada pistolet do kabury, wyjmuję komórkę i raportuje do jednostki łącznikowej. Prosi Omara do telefonu i powtarza, że potrzebny jest śmigłowiec.

Brodacze żyje, strumień ciemnej krwi wypływa pomiędzy jego palców zaciśniętych na ranie na brzuchu, obydwie nogi wyglądają na złamane.

– To przecież był tylko chłopak – powtarza w szoku. – To był tylko chłopak.

– Karetka już tu jedzie – mówi Joona i w końcu słyszy lecący nad cmentarzem helikopter, rytmiczne uderzenia łopat wirnika.

Jest już późno, kiedy Joona podnosi słuchawkę telefonu w swoim pokoju w komendzie, wybiera numer Disy i czeka, wsłuchując się w sygnał.

– Daj mi spokój – mówi sennym głosem Disa.

– Spałaś? – pyta Joona.

– Pewnie, że tak.

Na chwilę zapada cisza.

– Kolacja była dobra?

– Tak, była.

– Rozumiesz, że musiałem...

Joona milknie, słyszy jak Disa ziewa i siada na łóżku.

– Jesteś cały? – pyta.

Joona patrzy na swoje dłonie. Chociaż dokładnie się umył, ma wrażenie, że wciąż jeszcze czuje słabą woń krwi na palcach. Klęcząc, zaciskał największą ranę na brzuchu mężczyzny, którego samochód ukradł Josef Ek. Ranny przez cały czas był przytomny, mówił radośnie, niemal entuzjastycznie o swoim synu, który niedawno zdał maturę i po raz pierwszy całkiem sam wybierał się do północnej Turcji, do babci i dziadka. Mężczyzna popatrzył na Joone, na jego ręce przyciśnięte do swojego brzucha, i stwierdził ze zdziwieniem, że nic go nie boli.

– Czy to nie dziwne? – zapytał, spoglądając na policjanta jasnym, czystym wzrokiem dziecka.

Joona starał się mówić spokojnie, wytłumaczył mu, że dzięki endorfinom chwilowo nie czuje bólu. Organizm był w takim szoku, że postanowił zaoszczędzić systemowi nerwowemu kolejnego obciążenia.

Mężczyzna umilkł, a po chwili zapytał łagodnie:

– Czy tak wygląda umieranie?

Nawet próbował uśmiechnąć się do Joony:

– Nic wtedy nie boli?

Joona otworzył usta, żeby odpowiedzieć, ale w tej samej chwili nadjechał ambulans. Poczuł, jak ktoś ostrożnie zdejmuje jego dłonie z brzucha brodacza i prowadzi go na bok, podczas gdy personel karetki podnosi mężczyznę na noszach.

– Joona? – pyta znowu Disa. – Jak się czujesz?

– Ja w porządku – odpowiada.

Słyszy w słuchawce odgłos jej ruchów, chyba pije wodę.

– Chcesz jeszcze jedną szansę? – pyta kobieta po chwili.

– Bardzo bym chciał.

– Chociaż masz mnie gdzieś – dodaje ostro Disa.

– Wiesz, że to nieprawda – odpowiada Joona, słysząc jednocześnie w swoim głosie bezgraniczne zmęczenie.

– Przepraszam – mówi kobieta. – Cieszę się, że nic ci się nie stało.

Kończą rozmowę.

Joona przez chwilę siedzi bez ruchu, wsłuchując się w szumiącą ciszę komendy, potem wstaje, wyjmując broń z kabury wiszącej po wewnętrznej stronie drzwi, rozkłada pistolet na części, a każdą z nich powoli czyści i smaruje. Następnie składa z powrotem, podchodzi do szafki i zamyka pistolet w środku. Zapach krwi zniknął. Teraz jego dłonie czuć intensywnie smarem do broni. Siada, żeby w raporcie dla Pettera Näslunda, swojego bezpośredniego przełożonego, napisać, dlaczego uznał użycie broni służbowej za konieczne i uzasadnione.

22 PIĄTEK WIECZOREM, JEDENASTY GRUDNIA

Erik przygląda się pieczeniu trzech pizz i prosi o dodatkowe salami na tę dla Simone. Dzwoni telefon, Erik spogląda na wyświetlacz. Nie rozpoznaje numeru, wsadza więc telefon z powrotem do kieszeni. Przypuszczalnie to kolejny dziennikarz. Erik nie ma w tej chwili siły odpowiadać na więcej pytań. Niosąc do domu wielkie, ciepłe kartony, myśli o tym, że musi porozmawiać z Simone, wytłumaczyć, że zdenerwował się, bo był niewinny, że nie zrobił tego, o co go posądza, że nie zawiódł jej znowu, że ją kocha. Zatrzymuje się przed kwiaciarnią, waha się przez chwilę, ale potem wchodzi do środka. Powietrze w sklepie przesycone jest słodyczą. Okno wychodzące na ulicę zaparowało. Postanawia kupić bukiet róż, kiedy znów dzwoni telefon. To Simone.

- Halo?
- Gdzie jesteś? – pyta żona.
- W drodze.
- Umieramy z głodu.
- Wiem.

Wraca śpiesznie do domu, wchodzi przez bramę i staje w oczekiwaniu na windę. Przez żółte szybki ze szlifowanego szkła świat na zewnątrz wygląda bajkowo, jak zaczarowany. Szybko stawia pudełka z pizzą na podłodze, otwiera drzwiczki do zsypu i wyrzuca bukiet.

W windzie tego żałuje, myśli, że może jednak by się ucieszyła i wcale nie odebrała tego jako próby wykupienia się, uniknięcia konfrontacji.

Dzwoni do drzwi. Otwiera mu Benjamin i odbiera kartony. Erik

zdejmuje kurtkę, idzie do łazienki i myje ręce. Wyciąga listek małych cytrynowożółtych tabletek, wyciska trzy, połyka bez popicia i przechodzi do kuchni.

– My już jemy – oznajmia Simone.

Erik patrzy na szklanki z wodą na stole i mruży coś o templariuszach, wyjmując dwa kieliszki do wina.

– Świetnie – mówi Simone, podczas gdy Erik odkorkowuje butelkę.

– Simone – odzywa się Erik. – Wiem, że cię zawiodłem, ale...

Dzwoni komórka. Spoglądają na siebie.

– Czy ktoś ma ochotę odebrać? – pyta Simone.

– Nie rozmawiam już dziś z dziennikarzami – wyjaśnia Erik.

Simone kroi pizzę, odgryza kawałek i mówi:

– Niech sobie dzwoni.

Erik napełnia kieliszki winem. Simone kiwa głową, uśmiechając się.

– A właśnie – odzywa się niespodziewanie. – Już się prawie wywietrzyło, ale kiedy wróciłam do domu, czuć było papierosami.

– Czy ktoś z twoich kolegów pali? – pyta Erik.

– Nie – odpowiada Benjamin.

– A Aida?

Benjamin nie odpowiada, je pośpiesznie, ale nagle przestaje, odkłada sztucce i wbija wzrok w stół.

– Brachu, co się dzieje? – pyta ostrożnie Erik. – O czym myślisz?

– O niczym.

– Wiesz, że możesz nam wszystko powiedzieć?

– Mogę?

– Nie wierzysz, że...

– Nic nie rozumiesz – przerywa mu Benjamin.

– Wyjaśnij mi – próbuje Erik.

– Nie.

Jedzą w milczeniu. Benjamin wpatruje się w ścianę.

– Dobre salami – stwierdza cicho Simone.

Wyciera szminkę z kieliszka.

– Szkoda, że zarzuciliśmy wspólne gotowanie – mówi do męża.

– Niby kiedy mielibyśmy to robić? – broni się Erik.

– Przestańcie się kłócić! – wybucha Benjamin.

Pije wodę i spogląda przez okno na ciemne miasto. Erik prawie nic nie je, za to dwa razy napełnia swój kieliszek.

– Dostałeś we wtorek zastrzyk? – pyta syna Simone.

– A czy tata kiedykolwiek o nim zapomniał?

Benjamin wstaje i odstawia talerz na blat przy zlewie.

– Dziękuję.

– Po drodze oglądałam tę skórzaną kurtkę, na którą zbierasz. Pomyślałam, że mogę dołożyć ci resztę.

Benjamin rozpromienia się, podchodzi i obejmuje ją. Simone tuli go mocno, ale puszcza, gdy tylko wyczuwa pierwszy opór. Chłopiec idzie do swojego pokoju.

Erik odrywa brzeg pizzy i wkłada go do ust. Pod oczami ma ciemne kręgi, zmarszczki wokół ust się pogłębiły. Na czole maluje się ból albo napięcie.

Znowu odzywa się telefon. Wibrując, krąży po stole.

Erik patrzy na wyświetlacz i kręci głową.

– Nikt z moich przyjaciół – stwierdza tylko.

– Masz już dość sławy? – pyta łagodnie Simone.

– Rozmawiałem dziś tylko z dwoma dziennikarzami. – Erik delikatnie się uśmiecha. – Jak dla mnie wystarczy.

– Czego chcieli?

– To z tej gazety „Café”¹⁵, czy jak tam ona się nazywa.

– Tej z pin-up girlsami na okładce?

– Zawsze jest tam jakaś lala w samych majtkach z angielską flagą i z taką miną, jakby się dziwiła, że robią jej zdjęcie.

Simone uśmiecha się do niego.

– Czego chcieli?

Erik odchrząkuje i mówi sucho:

– Zapytali, czy da się tak zahipnotyzować kobiety, żeby chciały

seksu, bla, bla, bla.

– Poważnie?

– No.

– A ta druga rozmowa? – pyta Simone. – Z „Ritza”¹⁶ czy „Slitza”?

– „Dagens Eko”¹⁷ – odpowiada Erik. – Chcieli wiedzieć, co myślę o doniesieniu do Rzecznika Praw Obywatelskich.

– Przykro mi.

Erik pociera oczy i wzdycha. Wygląda jak swój własny cień.

– Gdyby nie hipnoza – mówi powoli – Josef być może zamordowałby swoją siostrę zaraz po wypisaniu ze szpitala.

– I tak nie powinienesz być tego robić – sprzeciwia się cicho Simone.

– Nie powinienem, wiem – odpowiada Erik, bawiąc się kieliszkiem. – Żałuję, że...

Milknie, a Simone czuje nagłą potrzebę dotknięcia, przytulenia go. Ale zamiast tego siedzi, gdzie siedziała, patrzy na niego i pyta:

– I co dalej?

– Dalej?

– Z nami. Powiedzieliśmy sobie, że decydujemy się na separację. Nie wiem, co do ciebie czuję, Erik.

Mężczyzna przeciąga dłońią po oczach.

– Rozumiem, że mi nie ufasz – mówi i milknie.

Simone napotyka jego zmęczony, błyszczący wzrok, widzi zniszczoną twarz, siwe potargane włosy, i myśli o tym, że kiedyś zawsze było im razem wesoło.

– Nie jestem taki, jakiego byś chciała – ciągnie Erik.

– Daj spokój.

– Co?

– Mówisz, że ja jestem z ciebie niezadowolona, ale to ty mnie zdradzasz, uważasz, że ci nie wystarczam.

– Simone, ja...

Erik dotyka jej ręki, ale Simone przyciąga ją do siebie. Jego spojrzenie ciemnieje, Simone zdaje sobie sprawę, że wziął tabletki.

– Muszę się przespać – mówi Simone, wstając.

Erik idzie za nią, ma poszarzałą twarz i zmęczone oczy. W drodze do łazienki Simone sprawdza dokładnie, czy drzwi wejściowe są zamknięte.

– Możesz się położyć w gościnnym – mówi do Erika.

Erik kiwa głową, wygląda na zubożniałego, otępiałego. Wchodzi do sypialni i zabiera kołdrę i poduszkę.

W środku nocy Simone budzi ukłucie w ramię. Leży na brzuchu, przewraca się na bok i maca po ramieniu. Mięsień napina się i swędzi. Sypialnia jest ciemna.

– Erik? – odzywa się szeptem, ale przypomina sobie, że mąż śpi w pokoju gościnnym.

Odwraca się w stronę drzwi i widzi znikający w nich cień. Parkiet skrzypi pod ciężarem człowieka. Przychodzi jej do głowy, że to Erik wstał, żeby coś sobie przynieść, ale zdaje sobie sprawę, że po tabletkach nasennych powinien głęboko spać. Simone zapala nocną lampkę, podsuwa ramię do światła i widzi kropelkę krwi wypływającą z małej różowej kropki na skórze. Musiała się czymś ukłuć.

Z przedpokoju słychać przytłumione stukoty. Simone gasi światło i wstaje na miękkich nogach. Masując obolałe ramię, wychodzi do dużego pokoju. Czuje suchość w ustach, nogi ma ciepłe i zdrętwiałe. Ktoś szepce w przedpokoju i śmieje się cicho, gruchając. To nie brzmi jak Erik. Simone czuje dreszcz na plecach. Drzwi wejściowe są otwarte na oścież. Do środka napływa chłodniejsze powietrze. Z pokoju Benjamina dobiega jakiś dźwięk, jakby skamlenie.

– Mama?

Benjamin ma przestraszony głos.

– Aj... – Simone słyszy jego jęk. Chłopiec zaczyna płakać, cicho, ochryple.

W lustrze w przedpokoju Simone widzi, jak ktoś pochyla się nad

łóżkiem syna, ze strzykawką w dłoni. Przez jej głowę przelatują myśli. Próbuje zrozumieć, co się dzieje, co widzi.

– Benjamin?! – woła przestraszona. – Co robicie? Mogę wejść?

Odchrząkuje, robi krok w przód i nagle uginają się pod nią nogi, próbuje złapać się kredensu, ale nie może ustać. Pada na podłogę, uderzając głową w ścianę, i czuje, jak ból rozsadza jej czaszkę.

Usiłuje wstać, ale nie może się już poruszyć, nie kontroluje nóg, nie ma czucia w dolnej części ciała. Czuje dziwne mrowienie w klatce piersiowej, jej oddech staje się cięższy. Na parę sekund traci wzrok, po chwili znów widzi, ale obraz jest zamazany.

Ktoś ciągnie Benjamina za nogi po podłodze, bluza od piżamy podsunęła mu się do góry, ręce poruszają się nieporadnie. Chłopiec próbuje przytrzymać się framugi drzwi, ale jest zbyt słaby. Głową uderza o próg. Benjamin patrzy Simone w oczy, jest przerażony, porusza ustami, ale nie może wydobyć słowa. Simone sięga, by złapać go za rękę, ale nie trafia. Stara się czołgać, ale nie jest w stanie, oczy uciekają w tył głowy, nic nie widzi, mruga i w krótkich migawkach obserwuje, jak ktoś wlecze Benjamina przez przedpokój, na klatkę schodową. Drzwi ostrożnie się zamykają. Simone próbuje wzywać pomocy, ale nic nie słyhać, powieki opadają, oddycha powoli, ciężko, nie może zaczerpnąć wystarczająco powietrza.

Zapada ciemność.

23 SOBOTA RANO, DWUNASTY GRUDNIA

Simone ma wrażenie, jakby usta miała pełne pokruszonego szkła. Kiedy chce zaczerpnąć powietrza, czuje potworny ból. Próbuje dotknąć językiem podniebienia, ale jest tak spuchnięty, że nie może nim poruszyć. Stara się coś zobaczyć, lecz powieki unoszą się ledwie o milimetr. Obraz nie dociera do niej od razu. Stopniowo pojawiają się smugi światła, metal i zasłony.

Erik siedzi obok na krześle i trzyma ją za rękę. Oczy ma zapadnięte i zmęczone. Simone próbuje coś powiedzieć, słowa z trudem przechodzą przez poranione gardło:

– Gdzie Benjamin?

Erik drga.

– Co powiedziałaś?

– Benjamin – szepce Simone. – Gdzie Benjamin?

Erik przymyka powieki, usta zdradzają napięcie, przełyka ślinę i patrzy jej w oczy.

– Coś ty zrobiła? – pyta cicho. – Znalazłem cię na podłodze, Siłan. Puls był ledwo wyczuwalny, gdybym cię nie znalazł... – Przeciąga dłońią po ustach i powtarza: – Coś ty zrobiła?

Simone oddycha z wysiłkiem. Kilkakrotnie przełyka ślinę. Rozumie, że przepłukali jej żołądek, ale nie wie, co powiedzieć. Nie ma czasu wyjaśniać, że nie próbowała odebrać sobie życia. Nieważne, w co on wierzy. Nie teraz. Kiedy próbuje pokręcić głową, czuje mdłości.

– Gdzie on jest? – szepce. – Nie ma go?

– Co masz na myśli?

Łzy płyną jej po policzkach.

– Nie ma go? – powtarza.

– Leżałaś w przedpokoju, kochanie. Benjamin wyszedł, zanim wstałem. Pokłóciliście się?

Simone próbuje znowu pokręcić głową, ale nie daje rady.

– Ktoś był w naszym mieszkaniu... Zabrał go – mówi słabym głosem.

– Kto?

Simone płacze żałośnie.

– Benjamin? – pyta Erik. – Co z Benjaminem?

– O Boże – mamrocze Simone.

– Co z Benjaminem?! – Erik prawie krzyczy.

– Ktoś go zabrał.

Erik wygląda na przestraszonego, rozgląda się, drżącą dłonią zakrywa usta i klęka przy niej.

– Opowiedz, co się stało – mówi opanowanym głosem. – Simone, co się stało?

– Widziałam, jak ktoś ciągnie Benjamina przez korytarz – odpowiada ledwo słyszalnie.

– Jak to ciągnie, co masz na myśli?

– Zbudziło mnie ukłucie w ramię, ktoś dał mi zastrzyk, ktoś dał mi...

– Gdzie? Gdzie dostałaś ten zastrzyk?

– Nie wierzysz mi?

Simone próbuje podwinąć rękaw szpitalnej koszuli, Erik pomaga jej i pośrodku ramienia znajduje mały czerwony ślad. Kiedy maca palcami opuchliznę wokół ukłucia, z twarzy odpływa mu cała krew.

– Ktoś zabrał Benjamina – mówi Simone. – Nie mogłam powstrzymać...

– Musimy się dowiedzieć, co dostałaś – przerywa Erik, wciskając przycisk alarmu.

– Olej to, mam to gdzieś, musisz znaleźć Benjamina.

– Znajdę – odpowiada Erik krótko.

Pojawia się pielęgniarka, otrzymuje instrukcje co do badania krwi i po chwili wychodzi. Erik zwraca się do Simone:

– Co się stało? Jesteś pewna, że widziałaś, jak ktoś ciągnie Benjamina przez korytarz?

– Tak – potwierdza z rozpaczą Simone.

– Ale nie wiesz, kto to był?

– Ciągnął Benjamina za nogi przez przedpokój i przez drzwi na klatkę. Leżałam na podłodze... Nie mogłam się ruszać...

Po policzkach znów płyną łzy. Erik obejmuje ją, wyczerpana Simone opiera policzek o jego pierś, szloch wstrząsa jej ciałem. Kiedy się trochę uspokaja, delikatnie go odpycha.

– Erik – mówi – musisz znaleźć Benjamina.

– Znajdę – odpowiada Erik i wychodzi z pokoju.

Pielęgniarka puka do drzwi i wchodzi do środka. Simone zamyka oczy, nie chce widzieć, jak cztery wąskie próbówki napełniają się krwią.

Erik idzie do swojego gabinetu i myśli o porannej jeździe ambulansem, po tym jak znalazł żonę leżącą bez życia na podłodze, z ledwie wyczuwalnym pulsem. Szybki przejazd przez zatłoczone miasto, samochody usuwające im się z drogi na chodniki. Płukanie żołądka, skuteczność lekarki, jej spokojne, szybkie działanie. Tlen przez maskę i ciemny ekran z nierównym rytmem serca.

W korytarzu Erik włącza telefon, staje i przesłuchuje wszystkie nowe wiadomości. Wczoraj cztery razy dzwonił do niego policjant o nazwisku Roland Svensson, z propozycją ochrony. Żadnej wiadomości od Benjamina albo kogokolwiek, kto miałby związek z jego zniknięciem.

Dzwoni do Aidy i czuje lodowatą falę paniki, gdy dziewczyna lekko zaniepokojonym głosem stwierdza, że nie ma pojęcia, gdzie Benjamin może teraz być.

– Czy mógł pojechać w to miejsce do Tensty?

– Nie.

Erik dzwoni do Dawida, przyjaciela Benjamina z dzieciństwa. Odbiera jego mama. Kiedy oznajmia, że od wielu dni nie widziała Benjamina, Erik przerywa połączenie w połowie jej zatroskanego słowotoku.

Wybiera numer do laboratorium, żeby zapytać o wyniki, ale nie mogą jeszcze nic powiedzieć, krew Simone dopiero co do nich dotarła.

– Czekam przy telefonie – mówi.

Słyszy, jak pracują, a po chwili słuchawkę podnosi doktor Valdés i mówi ochryple:

– Tak, cześć, Eriku. Wygląda mi to na rapifen albo coś podobnego z alfentanylem.

– Alfentanyl? Środek znieczulający?

– Albo ktoś obrabował szpital, albo weterynarza. Nie używamy tego wiele, bo pierońsko uzależnia. No cóż, wygląda na to, że twoja żona miała cholerne szczęście.

– To znaczy?

– Żyje.

Erik wraca do pokoju Simone, żeby wypytać o szczegóły porwania, jeszcze raz przeanalizować wszystkie fakty, ale widzi, że zasnęła. Wargi ma popękane po płukaniu żołądka.

W kieszeni odzywa się telefon, Erik szybko wychodzi na korytarz i odbiera.

– Tak?

– Tu Linnea z recepcji. Ma pan gościa.

Erik potrzebuje kilku sekund na uświadomienie sobie, że chodzi o recepcję w szpitalu na oddziale neurologicznym i że rozmawia z Linneą Åkesson, która pracuje tam od czterech lat.

– Doktorze Bark?

– Mam gościa? Kogo?

– To Joon Linna.

– W porządku, proszę go poprosić, żeby przyszedł do kantyny. Poczekam tam na niego.

Erik rozłącza się i przez chwilę stoi bez ruchu w korytarzu, myśli jak oszalałe przelatują mu przez głowę. Przypomina sobie wiadomości na poczcie głosowej, to, że Roland Svensson dzwonił kilkakrotnie, żeby zaproponować mu ochronę policyjną. Co się

stało? Ktoś mi groził?, zastanawia się Erik i po chwili robi mu się zimno, gdy dociera do niego niezwykłość obecnej sytuacji. Zamiast zadzwonić, komisarz kryminalny Joon Linna przychodzi do niego osobiście.

Erik idzie do kantyny, staje przed plastikowymi kloszami przykrywającymi składniki do kanapek, czuje słodki zapach pokrojonego chleba. Skręcają go mdłości. Drżącą ręką nalewa wody do porysowanej szklanki.

Idzie tu Joon – myśli – żeby powiedzieć mi, że znaleźli ciało Benjamina. Dlatego jest tu osobiście. Poprosi mnie, żebym usiadł, a potem oznajmi, że Benjamin nie żyje. Erik nie chce tej myśli, ale i tak tkwi mu w głowie, nie wierzy w nią, broni się przed nią, ale ona cały czas powraca, umysł coraz szybciej podsuwa mu przerażające obrazy ciała Benjamina w rowie przy autostradzie, w czarnych workach na śmieci w lesie, wyrzucone przez fale na błotnisty brzeg.

– Kawy?

– Co?

– Mam nalać?

Młoda kobieta o lśniących jasnych włosach stoi przy ekspresie i wyciąga w jego kierunku napełniony dzbanek. Znad świeżo zaparzonego napoju unosi się para. Kobieta patrzy na niego pytająco. Erik uświadamia sobie, że w rękę trzyma pusty kubek, potrząsa głową i jednocześnie zauważa wchodzącego do sali Joonę Linne.

– Usiądźmy – mówi Joon.

Minę ma zakłopotaną, ucieka wzrokiem.

– Dobrze – odpowiada po chwili Erik, niemal bezgłośnie.

Zajmują miejsce w głębi sali, przy nakrytym papierową serwetą stole, na którym stoi solniczka. Joon drapie się po brwi i coś szepce.

– Co? – pyta Erik.

Policjant odchrząkuje cicho i mówi:

– Próbowaliśmy cię złapać.

– Nie odbierałem wczoraj telefonu – tłumaczy słabym głosem Erik.

– Erik, przykro mi, ale muszę cię poinformować, że...

Joona urywa, spogląda na Erika swoimi szarymi jak granit oczami i w końcu oznajmia:

– Josef Ek uciekł ze szpitala.

– Co?

– Masz prawo do ochrony policyjnej.

Usta Erika zaczynają drżeć, oczy wypełniają się łzami.

– To to chciałeś mi powiedzieć? Że Josef uciekł?

– Tak.

Erik czuje taką ulgę, że najchętniej położyłby się na podłodze i zasnął. Szybkim ruchem ociera łzy.

– Kiedy to się stało?

– Wczoraj wieczorem... zabił pielęgniarkę i poważnie zranił jednego mężczyznę – wzdycha ciężko Joona.

Erik kiwa głową, podczas gdy myśli układają się w nowy, przerażający wzór.

– Przyszedł do nas w środku nocy i zabrał Benjamina.

– Co ty mówisz?

– Zabrał Benjamina.

– Widziałeś go?

– Ja nie, ale Simone...

– Co się stało?

– Ktoś wstrzyknął Simone silny środek znieczulający – mówi Erik powoli. – Przed chwilą dostałem wyniki badań, to alfentanyl, substancja często używana podczas dużych operacji chirurgicznych.

– Ale dobrze się czuje?

– Wyjdzie z tego.

Joona kiwa głową i notuje nazwę leku.

– Simone twierdzi, że Josef zabrał Benjamina?

– Nie widziała twarzy.

– Rozumiem.

– Znajdziecie Josefa?

– Znajdziemy, zaufaj mi. Policja w całym kraju postawiona została w stan gotowości – odpowiada Joon. – Chłopak jest ciężko ranny. Daleko nie zajdzie.

– Ale nie macie żadnych śladów?

Joon spogląda na Erika, nie okazując żadnych emocji.

– Myślę, że szybko go złapiemy.

– To dobrze.

– Gdzie byłeś, kiedy przyszedł do waszego domu?

– Spałem w pokoju gościnnym – wyjaśnia Erik. – Zażyłem tabletkę i nic nie słyszałem.

– Czyli jak do was przyszedł, widział tylko Simone w sypialni?

– Najprawdopodobniej.

– Coś tu nie pasuje – mówi Joon.

– Łatwo nie zauważyć gościnnego, przypomina garderobę, a jeśli drzwi do toalety są otwarte, zasłaniają wejście do niego.

– Nie o to chodzi. Chciałem powiedzieć, że to nie pasuje do Josefa... On nie daje zastrzyków, jest o wiele bardziej agresywny.

– Może tylko dla nas wygląda to na agresywne zachowanie? – podsuwa Erik.

– Co masz na myśli?

– Może on cały czas doskonale wie, co robi. Pomyśl sam, nie znaleźliście na nim śladu krwi ojca.

– Nie, ale...

– To wskazuje na to, że działa pragmatycznie, na zimno. Może postanowił zemścić się na mnie, zabierając Benjamina.

Zapada cisza. Kątem oka Erik widzi, jak blondynka stoi przy ekspresie, popijając kawę małymi łyčzkami i spoglądając przez okno na budynki szpitala.

Joon wbija wzrok w stół, potem patrzy Erikowi w oczy i mówi z głębi serca tym swoim miękkim fińskim akcentem:

– Naprawdę, Eriku, bardzo mi przykro.

Pożegnawszy się z Jooną, Erik idzie do swojego gabinetu, w którym sypia, kiedy zostaje w szpitalu na noc. Nie może uwierzyć, że Benjamin został porwany. To po prostu zbyt niewiarygodne, zbyt absurdalne, żeby ktoś obcy wdarł się do ich mieszkania i wywlókł go przez przedpokój na klatkę schodową, w dół na ulicę i gdzieś dalej.

Nic się nie zgadza.

To nie mógł być Josef Ek. Nie wierzy w to. To niemożliwe.

Czując, że to wszystko zaczyna go powoli przerastać, siada przy swoim zniszczonym biurku i dzwoni, dzwoni, dzwoni raz za razem do tych samych ludzi, jakby z tonu ich głosów mógł wyczytać, czy przypadkiem coś ważnego nie umknęło ich uwadze, czy nie kłamią albo nie ukrywają informacji. Czuje się jak historyk, kiedy trzy razy z rzędu dzwoni do Aidy. Za pierwszym razem pyta, czy Benjamin miał jakieś plany na weekend. Za drugim, czy ma numer telefonu do jakichś innych jego przyjaciół. Nie wie już, z kim Benjamin koleguje się w szkole. Za trzecim pyta, czy nie pokłócili się z Benjaminem, a następnie daje jej wszystkie numery telefonów, pod którymi może go złapać, łącznie z numerem do szpitala i komórką Simone.

Dzwoni jeszcze raz do Dawida, żeby potwierdzić, że nie widział Benjamina od wczorajszych lekcji. Wtedy zaczyna wydzwaniać na policję. Pyta, co się dzieje, czy coś znaleźli. Potem dzwoni do wszystkich szpitali w okręgu sztokholmskim. Dziesiąty raz wystukuje numer wyłączonej komórki Benjamina, a potem telefonuje do Joony, podniesionym głosem domagając się od niego zintensyfikowania poszukiwań i wezwania posiłków. Potem błaga go, żeby zrobił wszystko, co w jego mocy.

Erik idzie w kierunku pokoju, w którym leży Simone, ale nie wchodzi do środka. Ściany wirują mu przed oczami, czuje się osaczony. Mózg walczy o zrozumienie sytuacji. W głowie nieprzerwanie kołacze mu się jedna myśl: Znajdę Benjamina, znajdę Benjamina.

Przez okienko w drzwiach patrzy na swoją żonę. Nie śpi, ale wygląda na zagubioną – twarz ma zmęczoną, wargi blade, cienie pod oczami jeszcze pociemniały. Jej rudoblond włosy są splątane i mokre od potu. Bawi się obrączką, kręci nią i dociska do stawu palca. Erik przeciąga ręką przez włosy, a kiedy dotyka brody, czuje twarde zarost. Simone patrzy na niego, ale twarz ma nieruchomą.

Erik wchodzi do środka i siada ciężko obok niej. Simone zerka na męża i spuszcza wzrok. Erik widzi, jak jej usta wykrzywiają się w bolesnym skurczu. Wielkie łzy wypełniają jej oczy, nos czerwienieje od płaczu.

– Benjamin próbował mnie złapać, chwycić za rękę – szeptem Simone. – A ja tylko leżałam, nie mogłam się ruszyć.

Erik łamiącym głosem mówi jej to, co usłyszał od Joony:

– Właśnie się dowiedziałem, że Josef Ek uciekł, wczoraj wieczorem.

– Zimno mi – szeptem Simone.

Usiłuje okryć ją jasnoniebieskim szpitalnym kocem, ona jednak odtrąca jego rękę.

– To twoja wina – syczy. – Tak cię cholernie ciągnęło do tej hipnozy, że...

– Przestań, Simone, to nie moja wina, starałem się ratować człowieka, taką mam pracę, że...

– A twój syn? On się nie liczy?! – krzyczy Simone.

Kiedy Erik próbuje jej dotknąć, odpycha go.

– Dzwonię do taty – oznajmia drżącym głosem. – On mi pomoże odnaleźć Benjamina.

– Nie chcę, żebyś do niego dzwoniła.

– Wiedziałam, że to powiesz, ale tak naprawdę mam to w dupie. Chcę tylko odzyskać Benjamina.

– Znajdę go, Siłan.

– Dlaczego ci nie wierzę?

– Policja robi, co może, a twój tata jest...

– Policja? To przecież policja wypuściła tego świra! – mówi

wzburzona. – Może nie? Nie zrobią nic, żeby znaleźć Benjamina.

– Josef jest seryjnym mordercą, policja chce go znaleźć i znajdzie, ale nie jestem głupi, wiem, że Benjamin się dla nich nie liczy, nie obchodzi ich, nie tak naprawdę, nie jak nas, nie jak...

– Przecież to właśnie mówię – przerywa mu zirytowana.

– Joon Linna powiedział, że...

– To przecież jego wina, to on namówił cię na hipnozę.

Erik potrząsa głową i przełyka głośno ślinę.

– To był mój wybór.

– Tata zrobiłby wszystko... – mówi cicho Simone.

– Chciałbym, żebyśmy razem przeanalizowali każdy najdrobniejszy szczegół, musimy pomyśleć, potrzebujemy spokoju, żeby...

– A co my, do diabła, możemy zrobić?! – krzyczy Simone.

Zapada cisza. Erik słyszy, jak ktoś w pokoju obok przerzuca kanały w telewizji.

Simone leży, nie patrząc na męża.

– Musimy pomyśleć – odzywa się ostrożnie Erik. – Nie jestem pewien, czy to Josef Ek...

– Tobie już chyba całkiem odwalilo – przerywa mu Simone.

Próbuje wstać z łóżka, ale nie ma siły.

– Mogę coś powiedzieć? – pyta Erik.

– Zamierzam zdobyć pistolet, a potem go znaleźć.

– Drzwi wejściowe były otwarte przez dwie noce z rzędu, ale...

– Mówiłam ci – wtrąca Simone. – Mówiłam, że ktoś był w mieszkaniu, ale mi nie uwierzyłeś, nigdy mi nie wierzysz, gdybyś tylko mi uwierzył, to...

– Posłuchaj mnie – wpada jej w słowo Erik. – Tej pierwszej nocy Josef Ek leżał w szpitalu, w swoim łóżku, więc nie mógł być u nas, nie mógł otworzyć lodówki, to niemożliwe.

Simone nie słucha, usiłuje wstać. Jęczy ze złością, ale udaje jej się podejść do wąskiej szafy, w której wiszą jej ubrania. Erik stoi obok, nie pomagając jej, patrzy, jak ubiera się drżącymi rękami. Słyszy, jak

klnie pod nosem.

24 SOBOTA WIECZOREM, DWUNASTY GRUDNIA

Jest już wieczór, kiedy Erikowi w końcu udaje się wypisać Simone ze szpitala. W mieszkaniu panuje chaos – pościel wywleczona do przedpokoju, zapalone światła, ciekąca z kranu w łazience woda, porozrzucane buty, telefon ciśnięty na parkiet, leżące obok baterie.

Erik i Simone rozglądają się wokół z potwornym, ściskającym w dołku uczuciem, że coś nieodwołalnie stracili. Przedmioty stały się obce, bez znaczenia.

Simone podnosi krzesło, siada na nim i zaczyna ściągać kozaki. Erik zakręca kran w łazience i idzie do pokoju Benjamina. Patrzy na pomalowany na czerwono blat biurka. Podręczniki przy komputerze, oprawione w szary papier. Na korkowej tablicy wisi jego własne zdjęcie z czasów Ugandy, na którym jest uśmiechnięty i opalony, a ręce trzyma w kieszeniach lekarskiego fartucha. Erik dotyka lekko džinsów syna, przewieszonych przez krzesło razem z czarną bluzą.

Wraca do dużego pokoju. Widzi, jak Simone wkłada baterie do telefonu i jak zaczyna wybierać numer.

- Do kogo dzwonisz?
- Do taty – odpowiada.
- Możesz z tym chwilę poczekać?

Simone pozwala odebrać sobie telefon.

– Co chcesz powiedzieć? – pyta głosem, w którym słychać zmęczenie.

- Nie mam siły na spotkanie z Kennetem, nie teraz, nie...

Milknie, odkłada telefon na stół i przeciąga dłonią po twarzy, po czym mówi dalej:

– Czy możesz uszanować to, że nie chcę wszystkiego, co mam, powierzać w ręce twojego ojca?

– Czy możesz uszanować to, że...

– Daj spokój – przerywa jej.

Simone patrzy na niego z urazą.

– Siħan, trochę trudno mi zebrać myśli w tej chwili. Sam nie wiem, chce mi się krzyczeć, czy co... Nie mam siły znosić twojego ojca w pobliżu.

– Skończyłeś? – pyta Simone, wyciągając rękę po telefon.

– Chodzi o nasze dziecko – mówi Erik.

Simone kiwa głową.

– Czy może tak być? Czy możemy się na nim skupić? – ciągnie Erik. – Chcę, żebyśmy poszukali Benjamina, ty i ja... wspólnie z policją, dokładnie tak, jak powinno być.

– Potrzebuję taty – oświadcza Simone.

– A ja potrzebuję ciebie.

– W to akurat nie wierzę.

– Dlaczego...

– Dlatego, że ty tylko chcesz mi mówić, co mam robić – przerywa mu Simone.

Erik okrąża pokój, staje.

– Twój ojciec jest na emeryturze, nic nie może zrobić.

– Ma kontakty.

– Tak mu się wydaje, wydaje mu się, że ma kontakty, wydaje mu się, że nadal jest komisarzem, ale tak naprawdę jest zwykłym emerytem.

– Nie wiesz...

– Benjamin to nie hobby – wpada jej w słowo Erik.

– Mam gdzieś twoje zdanie.

Simone patrzy na telefon.

– Jeśli on tu przyjedzie, ja nie zostanę.

– Nie rób tego – mówi cicho Simone.

– Chcesz, żeby tu przyjechał i powiedział ci, że popełniłem błąd,

że wszystko to moja wina, dokładnie jak wtedy, kiedy dowiedzieliśmy się o chorobie Benjamina. „Wszystko to wina Erika”, rozumiem, że to dla ciebie wygodne, ale dla mnie...

– Ale z ciebie głęda – przerywa mu z uśmiechem Simone.

– Jeśli on tu przyjdzie, ja wychodzę.

– Mam to w dupie – stwierdza Simone, nie ustępując.

Opadają mu ręce. Simone odwraca się bokiem, wystukuje numer.

– Nie rób tego – prosi Erik.

Nawet na niego nie patrzy. Erik wie, że nie może tu zostać. Nie ma mowy, żeby był w mieszkaniu, kiedy przyjdzie Kennet. Rozgląda się wokół. Nie widzi niczego, co by chciał ze sobą zabrać. W ciszy rozbrzmiewają sygnały, Erik widzi na policzkach Simone drżący cień rzęs.

– Do diabła z tobą – mówi i wychodzi do przedpokoju.

Wkładając buty, słyszy, jak Simone rozmawia z Kennetem. Z płaczem prosi, żeby przyjechał, jak najszybciej może. Erik zdejmuje kurtkę z wieszaka, wychodzi z mieszkania, zatraskuje drzwi i przekręca klucz w zamku. Schodzi po schodach, zatrzymuje się, myśli, że może powinien wrócić i coś powiedzieć, wytłumaczyć jej, że to niesprawiedliwe, że to jego dom, jego syn, jego życie.

– Do diabła – mówi cicho, idzie do bramy i wychodzi na ciemną ulicę.

Simone stoi w oknie i widzi odbicie swej twarzy jako przezroczysty cień w ciemnościach wieczoru. Na widok ojca parkującego swojego starego nissana primerę wzdłuż innych samochodów z trudem powstrzymuje szloch. Kiedy rozlega się pukanie, jest już w przedpokoju, nie zdejmując łańcucha, otwiera drzwi, przymyka je, odhacza łańcuch i próbuje się uśmiechnąć.

– Tatusiu – odzywa się, czując napływające łzy.

Kennet obejmuje ją, a kiedy Simone czuje unoszący się z jego kurtki dobrze znany zapach skóry i tytoniu, na kilka sekund przenosi się w czasy dzieciństwa.

– Jestem przy tobie, maleńka – pociesza ją Kennet.

Siada na krześle w przedpokoju, sadzając ją sobie na kolanach.

– Erika nie ma w domu?

– Rozeszliśmy się – szepce Simone.

– Oj, oj... – próbuje pocieszać ją Kennet.

Wyławia z kieszeni chustkę, a Simone zsuwa się z jego kolan i wydmuchuje nos. Potem Kennet, wieszając kurtkę na wieszaku, zauważa, że kurtka Benjamina nadal tam wisi, jego buty stoją na półce, a plecak oparty jest o ścianę przy drzwiach.

Kładzie ręce na jej ramionach i ostrożnie ociera kciukiem łzy, a potem prowadzi do kuchni. Tam sadza ją na krześle, wyciąga z szafki filtr i kawę, po czym nastawia ekspres.

– Zaraz mi wszystko opowiesz – mówi spokojnie, stawiając na stole kubki. – Zaczynij od początku.

Simone opowiada więc szczegółowo o pierwszej nocy, kiedy zbudziła się, bo ktoś był w mieszkaniu. O tym, że czuła dym z papierosów w kuchni, o otwartych drzwiach wejściowych i o przymglonym świetle z lodówki i zamrażarki.

– A Erik? – pyta Kennet surowo. – Co zrobił Erik?

Simone waha się, potem patrzy ojcu w oczy i przyznaje:

– Nie uwierzył mi... Powiedział, że to któreś z nas chodziło we śnie.

– Kurwa...

Simone czuje kolejny skurcz twarzy. Kennet nalewa kawę, notuje coś na kartce i prosi, żeby mówiła dalej.

Simone opowiada o ukłuciu w ramię, które zbudziło ją następnej nocy, o tym, jak wstała i usłyszała dziwne odgłosy dochodzące z pokoju Benjamina.

– Jakie odgłosy? – pyta ojciec.

– Gruchanie – odpowiada Simone z wahaniem. – Albo mamrotanie. Nie wiem.

– A potem?

– Zapytałam, czy mogę wejść, i wtedy zobaczyłam, że ktoś jest

w środku, ktoś pochylał się na Benjaminem i...

– Tak?

– Potem nogi się pode mną ugięły, odebrało mi mowę, upadłam, mogłam tylko leżeć. Leżałam w przedpokoju i widziałam, jak ktoś ciągnie Benjamina... Boże, jego twarz, był taki przerażony. Wołał mnie i próbował dosięgnąć. Nie mogłam się poruszyć.

Simone siedzi w milczeniu ze wzrokiem utkwionym w przestrzeń.

– Pamiętasz coś jeszcze?

– Co?

– Jak wyglądał? Ten, co tu był?

– Nie wiem.

– Widziałaś coś?

– Dziwnie się poruszał, zgarbiony, jakby go coś bolało.

Kennet notuje.

– Zastanów się – nalega.

– Było ciemno, tato.

– A Erik? – pyta Kennet. – Co on zrobił?

– Spał.

– Spał?

Simone potakuje.

– Ostatnio łyka sporo tabletek nasennych – wyjaśnia. – Spał w pokoju gościnnym i niczego nie słyszał.

Wzrok Kenneta wyraża tak głęboką pogardę, że Simone w nagłym przebłysku litości czuje trochę zrozumienia dla zachowania męża.

– Co to za tabletki? – pyta Kennet. – Wiesz, jak się nazywają?

Simone obejmuje dłonie ojca.

– Tato, to nie Erik jest tu oskarżony.

Kennet zabiera rękę.

– Jeśli dziecko doświadcza przemocy, to prawie zawsze sprawcą okazuje się ktoś z rodziny.

– Wiem, ale...

– Spójrzmy na fakty – przerywa jej Kennet. – Porywacz zna się

najwyraźniej na medycynie i ma dostęp do leków.

Simone potakuje.

– Nie widziałaś Erika śpiącego w pokoju gościnnym?

– Drzwi były zamknięte.

– Ale go nie widziałaś. Prawda? I nie wiesz, czy zażył tego wieczoru tabletki.

– Nie. – Simone musi to przyznać.

– Patrzę tylko na to, co wiemy, Sixan – mówi Kennet. – Wiemy, że nie widziałaś go śpiącego. Może i spał w pokoju gościnnym, ale tego nie wiemy na pewno.

Kennet wstaje, wyciąga chleb z szafki i coś do chleba z lodówki. Przygotowuje Simone kanapkę z serem i podaje jej.

Po chwili odchrząkuje i pyta:

– Dlaczego Erik otwiera drzwi Josefowi?

Simone wlepia w niego wzrok.

– Że co proszę?

– Jeśli to zrobił, jaki mógł mieć powód?

– Ta rozmowa jest bez sensu.

– Dlaczego?

– Erik kocha Benjamina.

– Tak, ale może coś poszło nie tak. Może Erik chciał tylko porozmawiać z Josefem, namówić go, żeby zadzwonił na policję albo...

– Tato, przestań – prosi Simone.

– Jeśli mamy znaleźć Benjamina, musimy zadać sobie te pytania.

Simone kiwa głową, czując, że twarz ma kompletnie znieruchomiałą, a potem odzywa się ledwo słyszalnie:

– Może Erik myślał, że to ktoś inny puka do drzwi.

– Kto?

– Wydaje mi się, że spotyka się z jakąś Daniellą – odpowiada Simone, nie patrząc ojcu w oczy.

25 NIEDZIELA RANO, TRZYNASTY GRUDNIA, DZIEŃ ŚW. ŁUCJI

Simone budzi się o piątej nad ranem. Kennet najwyraźniej pościelił jej łóżko i zaniósł ją do niego. Simone idzie prosto do pokoju Benjamina, w jej sercu tli się nadzieja, która jednak ginie, gdy tylko staje w progu.

Pokój jest pusty.

Simone nie płacze, ale ma wrażenie, że smak łez i lęku przeniknął wszystko, jak kropla mleka, która mąci czystą wodę. Próbuje skupić się na czymś innym, nie ma odwagi myśleć o Benjaminie, nie do końca, boi się dopuścić do siebie strach.

W kuchni świeci się światło.

Kennet pokrył stół kartkami. Policyjne radio leży na blacie koło zlewu. Z aparatu dobiegają trzaski i szумы. Kennet stoi przez chwilę nieruchomo, wpatrując się w przestrzeń, potem gładzi się po brodzie.

– Dobrze, że się trochę zdrzemnęłaś – mówi.

Simone potrząsa głową.

– Sixan?

– Hm – mamrocze Simone i podchodzi do kranu. Nabiera zimnej wody w dłonie i opłukuje twarz. Wycierając się papierowym ręcznikiem, widzi w szybie swoje odbicie. Na zewnątrz jest jeszcze ciemno, ale wkrótce wstanie świt utkany ze srebra mrozu i grudniowego mroku.

Kennet notuje coś, odsuwa jakąś kartkę i pisze w zeszycie. Simone siada na krześle naprzeciwko ojca i próbuje wymyślić, dokąd Josef mógł zabrać jej syna, jakim cudem dostał się do ich mieszkania i dlaczego wybrał właśnie Benjamina, a nie kogoś innego.

- Dziecko szczęścia – szepce.
- Co mówiłaś? – pyta Kennet.
- Nie, nic...

Hebrajskie znaczenie imienia Benjamin to właśnie dziecko szczęścia. Rachela ze Starego Testamentu była żoną Jakuba, który musiał odpracować czternaście lat, żeby móc się z nią ożenić. Rachela miała dwóch synów: Józefa, tłumaczącego faraonowi sny, i Benjamina, dziecko szczęścia.

Twarz Simone wykrzywia się od powstrzymanego płaczu. Kennet bez słowa nachyla się ku niej i ściska ją za ramię.

- Znajdziemy go – obiecuje.

Simone kiwa głową.

- Dostałem te papiery chwilę przedtem, zanim wstałaś – mówi Kennet, stukając palcem w teczkę leżącą na stole.

- Co to?

- Dom szeregowy w Tumbie, tam gdzie Josef Ek... To raport z oględzin.

- Nie jesteś na emeryturze?

Ojciec uśmiecha się i popycha teczkę w jej stronę. Simone otwiera ją i czyta szczegółowy rejestr znalezionych odcisków palców, dłoni, śladów ciał ciągniętych po podłodze, włosów, fragmentów naskórka pod paznokciami, czyta o złamanym ostrzu noża, o rdzeniu kręgowym na pantoflach, krwi na telewizorze, krwi na lampie z papieru ryżowego, na dywaniku, firankach. Z plastikowej koszulki wysypują się fotografie. Simone stara się nie patrzeć, ale mózg zdążył już zarejestrować wstrząsający obraz pokoju: przedmioty codziennego użytku, szafka ze sprzętem stereo, półki z książkami – wszystko pokryte czarną krwią.

Podłoga, a na niej okaleczone ciała i części ciał.

Simone wstaje, podchodzi do zlewu i próbuje wymiotować.

- Wybacz – mówi Kennet. – Nie pomyślałem... Czasami zapominam, że nie wszyscy są policjantami.

Simone zamyka oczy, widzi przestraszoną twarz Benjamina

i ciemny pokój z zastygłą krwią na podłodze. Nachyla się i wymiotuje. Pasma śluzu i żółci pokrywają filiżanki i łyżki. Kiedy płucze usta i czuje, jak puls wali jej głośno w skroniach, zaczyna się bać, że zaraz wpadnie w histerię.

Przytrzymując się blatu, oddycha spokojnie, zbiera się w sobie i patrzy na Kenneta.

– Nic się nie stało – mówi słabym głosem. – Po prostu nie mogę połączyć tego z Benjaminem.

Kennet idzie po koc, otula nim córkę i ostrożnie sadza na krześle.

– Jeżeli to Josef Ek porwał Benjaminą, to miał jakiś powód, prawda? Wcześniej tak nie postępował...

– Chyba nie dam rady... – szepce Simone.

– Powiem tylko tyle, że moim zdaniem Josef Ek szukał Erika – mówi dalej Kennet. – A kiedy go nie znalazł, to porwał Benjaminą, żeby zrobić wymianę.

– W takim razie on na pewno żyje... Prawda, że na pewno?

– Oczywiście, że żyje – uspokaja ją Kennet. – Musimy tylko wymyślić, gdzie go ukrył, gdzie jest Benjamin.

– Gdziekolwiek, to może być gdziekolwiek.

– Wprost przeciwnie.

Simone patrzy na ojca.

– Prawie na pewno będzie to jego dom rodzinny albo domek letniskowy.

– Ale przecież to jest jego dom! – Simone podnosi głos i stuka palcem w koszulkę ze zdjęciami.

Kennet zgarnia okruszki ze stołu.

– Dutroux – mówi.

– Co?

– Dutroux, pamiętasz Dutroux?

– Nie wiem...

Kennet opowiada rzeczowym tonem o belgijskim pedofilu Marcu Dutroux, który porwał i torturował sześć dziewczynek. Julie Lejeune i Melissa Russo umarły z głodu, kiedy Dutroux odsiadywał krótką

karę za kradzież samochodu. Eefje Lambrecks i An Marchal zostały pogrzebane żywcem w ogrodzie.

– Dutroux miał dom w Charleroi – mówi dalej Kennet. – W piwnicy zbudował pomieszczenie z dwustukilogramowymi ukrytymi drzwiami. Opukiwanie ścian nic nie dawało. Jedyнным sposobem na odnalezienie schronu było zmierzenie domu – różnił się wymiarami od wewnątrz i z zewnątrz. Sabinę Dardenne i Laetitię Delhez znaleziono żywe.

Simone próbuje wstać. Czuje w piersi nierówne bicie serca. Myśli o tym, że istnieją mężczyźni, którzy odczuwają potrzebę zamurowywania ludzi, których uspokaja strach ofiar uwięzionych w ciemnościach, ich wołanie o pomoc za dźwiękoszczelnymi ścianami.

– Benjamin potrzebuje lekarstwa – szepce.

Simone widzi, jak ojciec podchodzi do telefonu. Wybiera numer, chwilę czeka, a potem mówi szybko:

– Charley? Muszę dowiedzieć się jednej rzeczy o Josefie Eku. Nie, chodzi o jego dom, o ten szeregowiec.

Na chwilę zapada cisza, potem Simone słyszy czyjś gruby, szorstki głos.

– Tak – potwierdza Kennet. – Rozumiem, że już to sprawdziliście, zdążyłem przejrzeć raport z oględzin miejsca.

Ten drugi znów coś mówi. Simone przymyka oczy i wsłuchuje się w szum policyjnego radia, zlewający się z buczeniem głosu w telefonie.

– Ale nie mierzyliście domu? – słyszy pytanie ojca. – Nie, jasna sprawa, ale...

Simone otwiera oczy i czuje, jak nagły przypływ adrenaliny wypiera senność.

– Tak, byłoby dobrze... Mógłbyś przez kogoś przesłać mi plan budynku? – pyta Kennet. – I dokumenty do pozwolenia na budowę, które... Tak, ten sam adres. Tak... Wielkie dzięki.

Kończy rozmowę, staje przed oknem i wpatruje się w noc.

– Czy Benjamin może być w tym domu? – pyta Simone. – Może? Tato?

– Właśnie to za chwilę sprawdzimy.

– To chodźmy – ponagla go niecierpliwie Simone.

– Charley prześle nam plany budynku.

– Jak to plany? Mam w dupie plany, tato. Na co czekasz? Jedziemy, wyłamie każdą najmniejszą...

– To nie ma sensu – przerywa jej ojciec. – To znaczy... trzeba się śpieszyć, ale nie sądzę, żebyśmy zaoszczędzili czas, jadąc tam i burząc ścianę po ścianie.

– Ale coś musimy zrobić, tato.

– W ostatnich dniach w jego domu roiło się od policjantów – wyjaśnia jej ojciec. – Jeśli byłoby tam coś, co można zobaczyć na pierwszy rzut oka, to już by to znaleźli, nawet nie szukając Benjamina.

– Ale...

– Muszę spojrzeć na te plany, sprawdzić, gdzie by się dało umieścić ukryte drzwi, porównać miary z rysunków z tym, co zastaniemy na miejscu.

– Ale jeśli nie znajdziemy takiego pomieszczenia, to gdzie on może być?

– Jego rodzina współużytkowała z braćmi ojca domek letniskowy pod Bollnäs... Mam tam przyjaciela, obiecał się do niego przejechać. Zna dobrze okolicę, w której mieszkali Ekowie, w starszej części osiedla domków letniskowych.

Kennet spogląda na zegarek i wybiera numer.

– Cześć Svante, tu Kennet, zastanawiałem się...

– Jestem na miejscu – przerywa mu kolega.

– Gdzie?

– W tym domu – odpowiada Svante.

– Miałeś przecież tylko tam zajrzeć.

– Wpuścili mnie nowi właściciele, Sjölinowie, którzy...

W tle słychać głosy.

– Przepraszam, Sjödinowie – poprawia się. – Kupili dom ponad rok temu.

– Dzięki za pomoc.

Kennet rozłącza się. Na czole pojawia mu się głęboka zmarszczka.

– A ten drugi dom? – podsuwa Simone. – Ten, w którym mieszkała jego siostra?

– Byli tam nasi ludzie i to wiele razy, ale możemy tam jeszcze razem pojechać.

Milkną, pogrążeni w myślach, mają nieobecne spojrzenia. Coś szeleści w skrzynce na listy, ktoś przez szparę wciska spóźnioną poranną gazetę, która z łupnięciem ląduje na podłodze. Tkwią w bezruchu. Z niższych pięter dobiegają odgłosy uchylanych skrzynek, po chwili ktoś otwiera bramę.

Nagle Kennet pogłównia policyjne radio. Ktoś nadał komunikat. Ktoś inny odpowiada, prosi o informacje. Zwięzła wymiana zdań, Simone wyłapuje tylko coś o jakiejś kobiecie, która usłyszała krzyki w sąsiednim mieszkaniu. Zostaje wysłany radiowóz. W tle ktoś się śmieje i rozpoczyna wywód, wyjaśniający, dlaczego jego dorosły młodszy brat wciąż jeszcze mieszka z rodzicami i co rano dostaje kanapki na śniadanie. Kennet ścisza radio.

– Zaparzę więcej kawy – mówi Simone.

Kennet wyciąga ze swojej zielonej wojskowej torby atlas Sztokholmu i okolic. Zdejmuje ze stołu świeczniki i stawia na parapecie, a następnie rozkłada mapę. Stojąca za nim Simone przygląda się pogmatwanej sieci dróg, kolei i połączeń autobusowych, które przecinają się wzajemnie czerwonymi, niebieskimi, zielonymi i żółtymi liniami. Lasy i geometryczne systemy przedmieść.

Kennet prowadzi palec wzdłuż żółtej drogi na południe od Sztokholmu, mija Älvsjö, Huddinge, Tullinge i schodzi w dół, do Tumbi. Wspólnie przyglądają się Tumbie i Salem. Wyblakła mapka starego osiedla kolejowego, które zyskało nowe centrum wokół stacji pociągów wahadłowych. Widać tu typową dla czasów

powojennych architekturę mającą ułatwiać życie. W samym sercu miejscowości można zatem znaleźć bloki mieszkalne, sklepy, kościół, bank i sklep monopolowy, na boki zaś rozchodzą się osiedla domów szeregowych i willi. Na północnych obrzeżach rozpościera się kilka złocistych pól uprawnych, paręnaście kilometrów dalej wypierają je lasy i jeziora.

Kennet sprawdza nazwy ulic na osiedlu domów szeregowych i zakreśla jeden punkt spośród wąskich prostokątów ułożonych prostopadle do drogi, niczym żebra.

– Gdzie ten posłaniec? – mamrocze pod nosem.

Simone nalewa kawę do dwóch kubków i podaje ojcu pudełko z cukrem w kostkach.

– Jak mógł dostać się do środka? – zastanawia się głośno.

– Josef Ek? No tak, prawdopodobnie albo miał klucz, albo ktoś mu otworzył.

– A nie mógł wytrychem...

– Nie, ten zamek jest zbyt skomplikowany, już łatwiej wyważyć drzwi.

– Sprawdźmy komputer Benjamina?

– Już dawno trzeba to było zrobić. Myślałem o tym, ale zapomniałem, chyba zaczynam być zmęczony.

Simone dostrzega nagle, że ojciec wygląda staro. Do tej pory nigdy nie zwracała uwagi na jego wiek. Kennet patrzy na nią smutno.

– Spróbuj się przespać, a ja sprawdzę w tym czasie komputer – proponuje Simone ojcu.

– Nie, do diabła.

Pokój Benjamina sprawia wrażenie, jakby nigdy nie był zamieszkały. Nagle chłopiec zdaje się być potwornie daleko.

Simone czuje, że robi jej się niedobrze ze strachu. Przełyka kilkakrotnie ślinę, w kuchni policyjne radio szemrze, popiskuje i buczy. Tu, w ciemnościach, czeka śmierć, jak czarna nieobecność, brak, po którym już nigdy się nie podniesie.

Włącza komputer, ekran błyska, zapalają się diody, wentylatorki zaczynają się kręcić, a twardy dysk wyrzuca komendy. Kiedy rozlega się powitalna melodia systemu operacyjnego, to tak, jakby w jakimś sensie Benjamin powrócił.

Przysuwają sobie krzesła i siadają. Simone klika w miniaturowe zdjęcie Benjamina, żeby się zalogować.

– Zrobimy to powoli i dokładnie, mała – mówi Kennet. – Zaczniemy od mejli, a potem...

Milknie, kiedy komputer żąda hasła dostępu.

– Spróbuj z imieniem – proponuje Kennet.

Simone wystukuje „Benjamin”, ale wyskakuje odmowa dostępu. Wpisuje „Aida”, odwraca imiona, łączy je. Próbuje z „Bark”, „Benjamin Bark”, rumieni się, pisząc „Simone” i „Siřan”, próbuje hasła „Erik” i muzyków, których słucha Benjamin, Sexsmith, Ane Brun, Rory Gallagher, Lennon, Townes Van Zandr, Bob Dylan.

– To bez sensu – odzywa się Kennet. – Musimy sprowadzić kogoś, kto nam otworzy tę puszkę.

Simone sprawdza jeszcze tytuły kilku filmów i nazwiska reżyserów, o których Benjamin czasem opowiadał. W końcu poddaje się.

– Powinniśmy już dostać te plany – mówi Kennet. – Zadzwońię do Charleya i zapytam, co się dzieje.

Z zamyślenia wyrывa ich pukanie do drzwi. Simone stoi w przedpokoju, z sercem bijącym jak oszalałe, i patrzy, jak ojciec przekręca zamek.

Złocisty grudniowy ranek, temperatura trochę powyżej zera. Kennet i Simone wjeżdżają do tej części Tumbry, gdzie Josef Ek urodził się, dorastał i gdzie w wieku piętnastu lat zaszlachtował prawie całą rodzinę. Dom wygląda tak samo, jak wszystkie inne na tej ulicy. Zadbany i nierzucający się w oczy. Gdyby nie niebiesko-biała taśma odgradzająca, nikt by nie przypuszczał, że kilka dni temu był sceną dwóch najgorszych, najbardziej

rozciągniętych w czasie i bezlitosnych morderstw w historii kraju.

Przed domem, oparty o piaskownicę, stoi dziecięcy rowerek. Taśma policyjna odczepiła się z jednej strony i, porwana przez wiatr, zahaczyła o skrzynkę na listy naprzeciwko. Kennet nie zatrzymuje się, tylko powoli przejeżdża koło domu. Simone patrzy w okna spod przymrużonych powiek. Dom wygląda na całkowicie opuszczony, podobnie jak sąsiednie budynki. Dojeżdżają do placu do zawracania, robią kółko i ponownie zbliżają się do miejsca zbrodni. Nagle dzwoni komórka Simone.

– Halo? – Kobieta słucha przez chwilę. – Coś się stało?

Kennet zatrzymuje samochód i przez moment nie wyłącza silnika, następnie przekręca kluczyk w stacyjce, zaciąga ręczny hamulec i wysiada. Z bagażnika wyjmuje miarę, łom i latarkę. Nim zatrzaskuje bagażnik, łowi uchem słowa Simone, że musi kończyć.

– A jak ci się wydaje?! – wrzeszczy córka.

Kennet słyszy ją przez szyby. Kiedy Simone wysiada z samochodu z planami budynku w ręku, jest wyraźnie wzburzona. Bez słowa idą do białej furtki w niskim płocie. Kennet wyciąga z kieszeni klucz, podchodzi do drzwi wejściowych i otwiera je. W progu odwraca się do Simone, kiwa głową i widzi jej zaciętą twarz.

W przedpokoju wita ich dławiąca woń zakrzepłej krwi. Simone przez moment czuje w piersi narastającą panikę: w mieszkaniu unosi się zgniły słodkawy smród przypominający odchody. Zerka na ojca. Nie wygląda na przestraszonego, jest skupiony, ruchy ma wyważone. Mijają salon, Simone kątem oka dostrzega zakrwawioną ścianę, przytłaczający chaos, grozę emanującą z podłogi, krew na steatytowym kominku.

Z głębi domu dobiega dziwny skrzypiący odgłos. Kennet staje w miejscu, spokojnie wyjmuje swój niegdyś służbowy pistolet, odbezpiecza go i sprawdza, czy nabój jest w komorze.

Znów coś słychać. Ciężki, zanikający dźwięk. Nie przypomina kroków, raczej przywodzi na myśl powoli czołgającego się

człowieka.

26 NIEDZIELA RANO, TRZYNASTY GRUDNIA, DZIEŃ ŚW. ŁUCJI

Erik budzi się na wąskim łóżku w swoim pokoju w szpitalu. Jest środek nocy. Patrzy na zegarek w telefonie. Dochodzi trzecia. Zażywa kolejną tabletkę, a potem leży pod kocem, trzęsąc się, aż mrowienie rozprzestrzenia się po całym ciele i ogarnia go ciemność.

Kilka godzin później okropny ból głowy wyrывa go ze snu. Bierze coś przeciwbólowego, wygląda na zewnątrz i przesuwa wzrokiem w górę ponurej fasady o setkach okien. Niebo jest białe, ale szyby naprzeciwko są jeszcze ciemne. Erik pochyla się, opiera nos o chłodne szkło i wyobraża sobie, że patrzy w tej chwili na siebie samego przez te wszystkie okna jednocześnie.

Kładzie telefon na biurku i rozbiera się. Maleńka kabina prysznicowa pachnie plastikiem i środkiem do dezynfekcji. Ciepła woda leje mu się na głowę, na kark, z łomotem uderza o ścianki z pleksiglasu.

Erik wyciera się, a potem osusza spotniałe lustro, zwilża twarz i nakłada piankę do golenia. Pianka dostaje mu się do nosa, więc parska, żeby się jej pozbyć. W miarę golenia niezaparowana powierzchnia lustra kurczy się w coraz węższy owal.

Rozmyśla. Simone mówiła o otwartych drzwiach jeszcze przed ucieczką Josefa Eka ze szpitala. Obudziła się, wstała i zamknęła. Ale wtedy nie mógł to być Josef Ek. Jak to wszystko mogło się łączyć? Erik próbuje zrozumieć, co stało się tamtej nocy. Zbyt wiele pytań bez odpowiedzi. Jak Josefowi udało się dostać do środka? Może po prostu zapukał do drzwi, Benjamin się obudził i mu otworzył. Erik wyobraża sobie, jak dwóch chłopców stoi i przygląda się sobie w słabym świetle padającym z klatki schodowej. Benjamin jest

bosy, włosy stoją mu nastroszone, ma na sobie dziecięcą piżamę. Patrzy zaspanymi oczyma na większego chłopaka. Ktoś mógłby powiedzieć, że są do siebie podobni, ale Josef zamordował swoich rodziców i młodszą siostrzyczkę, dopiero co zabił skalpelem pielęgniarkę w szpitalu i ciężko ranił mężczyznę przy Cmentarzu Północnym.

– Nie – mówi Erik na głos. – Nie wierzę w to, to nie ma sensu.

Kto mógłby dostać się do środka, komu Benjamin otworzyłby drzwi, komu Simone lub Benjamin powierzyliby klucz? Może Benjamin myślał, że to Aida. Może to była ona? Erik powtarza sobie, że musi brać pod uwagę wszystkie możliwości. Może ktoś współpracował z Josefem i pomógł mu z drzwiami, może Josef rzeczywiście zamierzał przyjść tej pierwszej nocy, ale nie udało mu się uciec. To dlatego drzwi były otwarte, zgodnie z umową.

Erik kończy się golić, myje zęby i bierze telefon ze stołu. Patrzy na zegarek, a następnie dzwoni do Joony.

– Dzień dobry, Erik. – W słuchawce odzywa się zachrypnięty głos z wyraźnym fińskim akcentem.

Joona musiał rozpoznać go po numerze.

– Obudziłem cię?

– Nie.

– Przepraszam, że znowu dzwonię, ale...

Erik odkaśluje.

– Coś się stało? – pyta Joona.

– Nie znaleźliście Josefa?

– Musimy porozmawiać z Simone, wszystko dokładnie przeanalizować.

– Ale nie wierzysz w to, że to Josef porwał Benjamina?

– Nie, nie wierzę – potwierdza Joona. – Ale nie mam pewności, chcę obejrzeć mieszkanie, porozmawiać z sąsiadami, spróbować odszukać świadków.

– Mam poprosić Simone, żeby do ciebie zadzwoniła?

– Nie trzeba.

Kropla wody odrywa się od kranu z nierdzewnej stali i z brzdękiem spada do umywalki.

– Nadal uważam, że powinieneś przyjąć policyjną ochronę – dodaje Jooną.

– Nie ruszam się na razie z Karolinska, a nie wydaje mi się, żeby Josef miał tu dobrowolnie wrócić.

– A Simone?

– Zapytaj ją, możliwe, że zmieniła zdanie. Chociaż ona już ma ochroniarza.

– A tak, rzeczywiście, słyszałem. – Jooną jest wyraźnie rozbawiony. – Przyznam, że trudno mi sobie wyobrazić, jak to jest mieć Kenneta Stränga za teścia.

– Mnie też – mówi Erik.

– Rozumiem. – Jooną śmieje się i milknie po chwili.

– Czy Josef próbował przedwczoraj uciec? – pyta Erik.

– Nie, nie wydaje mi się, nic na to nie wskazuje – odpowiada policjant. – A czemu pytasz?

– Ktoś otworzył drzwi do naszego mieszkania poprzedniej nocy, dokładnie tak samo, jak dziś.

– Jestem prawie pewien, że ucieczka była reakcją na groźbę aresztowania, a dowiedział się o tym dopiero w piątek wieczorem – mówi powoli Jooną.

Erik potrząsa głową i przesuwa kciukiem po wargach. Zauważa, że wodoodporne tapety w łazience przypominają szary laminat z Perstorpu.

– To się nie trzyma kupy – wzdycha Erik.

– Widziałeś, że drzwi były otwarte? – pyta komisarz.

– Nie, to Sixan... Simone wstała.

– Czy może mieć powód, żeby kłamać?

– Nie myślałem o tym.

– Nie musisz odpowiadać od razu.

Erik patrzy sobie w oczy w lustrze i jeszcze raz próbuje zweryfikować teorię: a jeśli Josef miał pomocnika, który coś

przygotował w wieczór przed porwaniem, którego po prostu wysłał, żeby sprawdzić, czy skopiowany klucz pasuje do zamka? Pomocnik miał się tylko upewnić, czy klucz jest w porządku, ale postanowił jeszcze wejść do mieszkania. Nie mógł się powstrzymać, wkradł się do środka i przyjrzał się śpiącej rodzinie. Ta sytuacja obudziła w nim rozkoszne poczucie władzy i zapragnął zrobić śpiącym kawał, zostawiając otwarte lodówkę i zamrażarkę. Może opowiedział o tym wszystkim Josefowi, opisał swoją wizytę, jak wyglądały pokoje i kto gdzie spał.

To by wyjaśniało, dlaczego Josef mnie nie znalazł – myśli. – Bo tej pierwszej nocy spałem w łóżku obok Simone.

– Czy Evelyn była w zeszłą środę w areszcie w komisariacie? – pyta Erik.

– Tak.

– Cały dzień i całą noc?

– Tak.

– Jest tam nadal?

– Przeniosła się do jednego z chronionych mieszkań. Ale ma podwójną obstawę.

– Kontaktowała się z kimś?

– Wiesz, że musisz dać policji pracować.

– Robię tylko swoje – odpowiada cicho Erik. – Chcę porozmawiać z Evelyn.

– O co ją zapytasz?

– Czy Josef ma przyjaciół, kogoś, kto mógłby mu pomóc.

– Mogę ją o to spytać sam.

– Może wie, z kim Josef mógłby współpracować, może zna jego kolegów, wie, gdzie mieszkają.

Joona wzdycha i stwierdza po chwili:

– Wiesz doskonale, że nie mogę ci pozwolić na prywatne śledztwo. Nawet gdybym osobiście uważał, że masz do tego prawo, to...

– Czy nie mógłbym być obecny przy waszej rozmowie? – pyta

Erik. – Przez lata pracowałem z ludźmi po ciężkich przejściach i...

Na kilka sekund zapada cisza.

– Spotkajmy się za godzinę przy głównym wejściu do Wydziału Kryminalnego – proponuje po chwili Jooną.

– Będę za dwadzieścia minut.

– Dobrze, za dwadzieścia minut – zgadza się Jooną i kończy rozmowę.

Z głową wypraną z wszelkich myśli Erik podchodzi do biurka i wysuwa górną szufladę. Wśród długopisów, gumek do mazania i spinaczy leży kilka listków tabletek. Wyciska trzy różne na rękę i połyka.

Przechodzi mu przez myśl, że powinien poinformować Daniellę, że nie ma czasu na poranne zebranie, ale po chwili zapomina o tym. Wychodzi z pokoju i idzie do kantyny. Nie siada, przystaje przed akwariem i na stojąco wypija filiżankę kawy, śledząc wzrokiem ławicę neonków Innesa, krążącą to tu, to tam wokół plastikowego wraku, potem zawija kanapkę w serwetki i wsadza ją do kieszeni.

W windzie, jadąc na parter, przygląda się sobie w lustrze, patrzy w błyszczące oczy. Smutna, jakby nieobecna twarz. Obserwując swoje odbicie, myśli o tym dziwnym uczuciu ssania w brzuchu, jak przy spadaniu z dużej wysokości, doznanie niemal seksualne, a jednocześnie bardzo mocno powiązane z bezsilnością. Jest niemal wyzuty z sił, ale dzięki proszkom wszystko wokół zdaje się jasne, wyostrzone. Jeszcze przez chwilę podziałam, myśli. Trzyma się. Jedyne, co musi robić, to trzymać się wystarczająco długo, żeby odnaleźć syna. Potem wszystko może się walić.

Jadąc na spotkanie z Jooną i Evelyn, próbuje przeanalizować swoje kroki i wydarzenia ostatniego tygodnia. Szybko zdaje sobie sprawę, że było wiele okazji do skopiowania jego kluczy. W zeszły czwartek kurtka z kluczami w kieszeni wisiała, niepilnowana, w restauracji na Södermalm. Leżała też na krześle w gabinecie, wisiała na wieszaku w kantynie i w wielu innych miejscach. Z pewnością tak samo było z kluczami Benjamina i Simone.

Mijając chaos przebudowywanego placu Fridhemsplan, wydobywa z kieszeni kurtki komórkę i wybiera numer Simone.

– Halo?

Słyszysz zdenerwowany głos żony.

– To ja.

– Coś się stało?

W tle słychać jakiś huk, jakby jakiejś maszyny, potem nagle zapada cisza.

– Chciałem tylko powiedzieć, że powinniśmy sprawdzić jego komputer, nie tylko mejle, ale wszystko, co ściągał, jakie strony odwiedził, pliki tymczasowe, czaty i...

– To jasne – przerywa mu Simone.

– Nie będę przeszkadzał.

– Jeszcze nie zaczęliśmy z komputerem.

– Hasło Dumbledore.

– Wiem – kłamie Simone.

Erik skręca w Polhemsgatan i w dół na Kungsholmsgatan, jedzie wzdłuż komisariatu i obserwuje, jak zmienia się jego fasada: najpierw gładka ściana w kolorze miedzi, potem betonowa dobudówka, aż w końcu wysoki budynek otynkowany na żółto, który stał tu jako pierwszy.

– Muszę kończyć – mówi Simone.

– Simone – odzywa się Erik. – Czy powiedziałaś mi prawdę?

– Co masz na myśli?

– O tym, co widziałaś, że drzwi były otwarte poprzedniej nocy, że widziałaś, jak ktoś wlecze Benjamina przez...

– A jak ci się wydaje?! – wrzeszczy Simone i przerywa połączenie.

Erik czuje, że nie ma siły szukać wolnego miejsca na parkingu, mandat nie ma najmniejszego znaczenia, termin płatności przypadnie w innym życiu. Bez zastanowienia wjeżdża prosto pod budynek policji. Dudnią opony, po chwili staje przy wielkich schodach, z których widać ratusz. Światła mijania padają na piękne stare drewniane drzwi, których już dawno przestano używać.

Starodawne rzeźbione litery głoszą: „Wydział Detektywistyczny”.

Wysiada z samochodu, szybkim krokiem okrąża budynek, podchodzi kawałek pod górę na Kungsholmsgatan, w stronę parku i wejścia do Krajowego Wydziału Kryminalnego. Zauważa ojca z trojgiem dzieci w naciągniętych na zimowe kurtki przebraniach orszaku świętej Łucji. Białe szatki opinają się na grubych puchówkach. Dzieci mają na czapkach korony ze świeczkami, a jedno z nich w ubranej w rękawiczkę rączce ściska świecę. Erik przypomina sobie nagle, jak malutki Benjamin uwielbiał być noszony, wczepiał się w ojca rękami i nogami, mówiąc: „Weś mnie na roncki, tatusiu, jesteś duży i silny”.

Wejście do Krajowego Wydziału Kryminalnego Policji ma formę wysokiego lśniącego sześcianu ze szkła. Przed szklanymi drzwiami wahadłowymi w stalowej ramie znajduje się czytnik kart z klawiaturą do wstukiwania kodów. Zdyszany Erik staje na gumowej wykładzinie w śluzie przed kolejnymi drzwiami z czytnikiem. Przed sobą, w jasnym holu widzi jeszcze dwoje drzwi obrotowych z takimi urządzeniami. Erik przecina białą marmurową podłogę i podchodzi do recepcji znajdującej się po lewej stronie. Za drewnianą ladą siedzi mężczyzna i rozmawia przez telefon.

Erik zgłasza swoją sprawę, recepcjonista potwierdza skinieniem głowy, wystukuje coś na klawiaturze komputera i podnosi słuchawkę telefonu.

– Tu recepcja – mówi stłumionym głosem. – Ma pan gościa, Erik Maria Bark.

Mężczyzna wysłuchuje odpowiedzi, po czym zwraca się do Erika:

– Już tu idzie.

– Dziękuję.

Erik siada na długiej ławie bez oparcia, z czarnymi skrzypiącymi siedzeniami. Przygląda się jakiemuś dziełu sztuki z zielonego szkła, potem przenosi wzrok na nieruchome drzwi obrotowe. Za szklaną ścianą widać następny przeszklony korytarz. Ma około dwudziestu metrów i prowadzi przez otwarte podwórze do innego kompleksu

budynków. Nagle Erik zauważa Joonę przechodzącego obok kompletu wypoczynkowego po prawej. Policjant naciska guzik w ścianie i wychodzi przez obrotowe drzwi. Wyrzuca skórkę z banana do aluminiowego kosza na śmieci, macha do recepcjonisty i podchodzi prosto do Erika.

Do chronionego mieszkania Evelyn Ek na Hantverkargatan idą pieszo. Jooną stara się streścić, co do tej pory udało się ustalić w trakcie przesłuchań: dziewczyna potwierdziła, że poszła do lasu ze strzelbą, żeby odebrać sobie życie. Josef przez lata wymuszał na niej czynności seksualne. Bił małą Lisę, jeśli Evelyn nie spełniała jego zachcianek. Kiedy zaczął żądać stosunku, Evelyn zdołała kupić sobie odroczenie, powiedziała mu, że to zabronione, jeśli nie ma się skończonych piętnastu lat. Dzień urodzin się zbliżał, ukryła się więc w domku letniskowym ciotki w Värmdö. Josef szukał jej, poszedł do jej byłego chłopaka Soraba Ramadaniego i jakimś cudem udało mu się nakłonić go do zdradzenia miejsca pobytu Evelyn. W swoje urodziny Josef odwiedził siostrę, a kiedy nie zgodziła się na seks, powiedział jej, że dobrze wie, co się stanie, i że wszystko to jej wina.

– Jak widzisz, Josef zaplanował przynajmniej zabójstwo ojca – mówi Jooną. – Nie wiemy, dlaczego wybrał ten dzień, może to był przypadek, ojciec akurat miał się znaleźć sam w jakimś miejscu poza domem. W zeszły poniedziałek Josef spakował do sportowej torby ubranie na zmianę, dwie pary ochraniaczy na buty, ręcznik, nóż myśliwski ojca, butelkę benzyny i zapałki, a potem pojechał na rowerze na stadion Rödsthage. Po zamordowaniu i poćwiartowaniu ojca wyjął z jego kieszeni klucze, przeszedł do szatni dziewcząt, wziął prysznic i przebrał się, zamknął za sobą drzwi na klucz, na placu zabaw podpalił torbę z zakrwawionymi rzeczami, wsiadł na rower i pojechał z powrotem do domu.

– A to, co się stało potem? Czy było mniej więcej tak, jak mówił w transie? – pyta Erik.

– Nie mniej więcej, ale dokładnie tak, na to przynajmniej wygląda – stwierdza Jooną i odchrząkuje. – Ale co go nagle skłoniło

do zaatakowania siostry i matki, tego nie wiemy.

Joona rzuca Erikowi chmurne spojrzenie.

– Może po prostu czuł, że to nie dość, że jeszcze nie ukarał wystarczająco Evelyn.

Joona zatrzymuje się przed bramą budynku przed kościołem, wyjmuje komórkę, wybiera numer i informuje, że są na miejscu. Wstukuje kod, otwiera drzwi i wpuszcza Erika na klatkę schodową o ścianach w grochy.

Przy windzie na trzecim piętrze czeka dwóch policjantów. Joona wita się z nimi uściskiem dłoni, a potem przekręca klucz w zamku drzwi bez szczeliny na listy. Najpierw puka, potem naciska klamkę.

– Czy możemy wejść? – pyta Joona przez szparę.

– Nie znaleźliście go, prawda?

Evelyn stoi pod światło, jej twarz ginie w cieniu. Erik i Joona widzą tylko ciemną plamę otoczoną włosami, przez które prześwieca słońce.

– Nie – potwierdza Joona.

Evelyn podchodzi do drzwi, wpuszcza ich do środka i szybko zamyka je ponownie na klucz, sprawdza zamek, a kiedy odwraca się ku nim, Erik zauważa, że dziewczyna szybciej oddycha.

– To chronione mieszkanie, masz policyjną obstawę – uspokaja ją Joona. – Nikomu nie wolno wyjawiać ani szukać informacji na twój temat, mamy na to zgodę prokuratora. Jesteś teraz bezpieczna, Evelyn.

– Może dopóki pozostaję tu, w środku – odpowiada dziewczyna. – Ale kiedyś będę musiała wyjść, a Josef potrafi czekać.

Podchodzi do okna, wygląda na zewnątrz, a potem siada na sofie.

– Gdzie Josef mógłby się ukrywać? – pyta Joona.

– Wam się wydaje, że ja cokolwiek wiem.

– A wiesz? – odzywa się Erik.

– Chce mnie pan zahipnotyzować?

– Nie. – Erik uśmiecha się z zaskoczeniem.

Evelyn jest bez makijażu, jej oczy mają bezbronny i bezradny

wyraz. Obserwuje Erika.

– Może pan to zrobić, jeśli pan chce – mówi i spuszcza wzrok.

Mieszkanie składa się z sypialni, w której stoją dwa fotele, szerokie łóżko i telewizor, łazienki z kabiną prysznicową i kuchni z częścią jadalną. W oknach są kuloodporne szyby, a wszystkie ściany pomalowano na spokojny żółty odcień.

Erik rozgląda się i idzie za nią do kuchni.

– Całkiem tu ładnie – stwierdza.

Evelyn wzrusza ramionami. Ubrana jest w czerwoną bluzę i spłowiałe džinsy. Włosy związała niedbale w kucyk.

– Przywiozłam mi dziś trochę prywatnych rzeczy.

– To dobrze – stwierdza Erik. – Zazwyczaj człowiek czuje się lepiej, gdy...

– Lepiej? Skąd pan może wiedzieć, po czym czułabym się lepiej?

– Pracowałem z...

– Przepraszam, ale mam to gdzieś – przerywa mu dziewczyna. – Powiedziałam już, że nie zamierzam rozmawiać z psychologami i kuratorami.

– Nie dlatego tu jestem.

– A dlaczego?

– Żeby odnaleźć Josefa.

Evelyn odwraca się w jego stronę i stwierdza krótko:

– Tutaj go nie ma.

Bez wyraźnego powodu Erik postanawia nie wspominać o Benjaminie.

– Posłuchaj, Evelyn – mówi spokojnie. – Potrzebuję twojej pomocy, żeby określić krąg znajomych Josefa.

Oczy dziewczyny błyszczą jak w gorączce.

– Okej – zgadza się, uśmiechając się lekko.

– Czy ma dziewczynę?

Spojrzenie jej ciemnieje, usta się zaciskają.

– Oprócz mnie, tak?

– Tak.

Po chwili Evelyn potrząsa głową.

– Z kim się spotyka? – pyta Erik.

– Z nikim.

– Koledzy z klasy?

Evelyn wzrusza ramionami.

– O ile wiem, nigdy nie miał przyjaciół.

– Do kogo by się zwrócił, gdyby potrzebował pomocy?

– Nie wiem... Czasami rozmawia z pijakami za monopolowym.

– Znasz ich? Wiesz, jak się nazywają?

– Jeden z nich ma tatuaż na ręce.

– Jaki?

– Nie pamiętam... zdaje się, że rybę.

Wstaje i znowu podchodzi do okna. Erik przygląda się jej. Światło dnia pada na jej młodą twarz, podkreślając detale. Widać niebieską tętnicę pulsującą na jej szczupłej, długiej szyi.

– Czy twoim zdaniem mógł zamieszkać u kogoś z nich?

Dziewczyna lekko wzrusza ramionami.

– Ta...

– Myślisz, że tak?

– Nie.

– To co myślisz?

– Myślę, że on znajdzie mnie, zanim wy znajdziecie jego.

Erik przygląda się jej, kiedy tak stoi z czołem opartym o szybę, i zastanawia się, czy spróbować ją jeszcze naciskać. Jest coś w jej bezdźwięcznym głosie, braku nadziei, co podpowiada mu, że dziewczyna wie o swoim młodszym bracie rzeczy, o których nikt inny nie ma pojęcia.

– Evelyn, czego chce Josef?

– Nie mam siły o tym rozmawiać.

– Czy on chce mnie zabić?

– Nie wiem.

– A jak myślisz?

Evelyn wciąga powietrze i mówi ochrypłym, zmęczonym głosem:

– Jeśli uważa, że stoi pan pomiędzy nim a mną, jeśli jest zazdrosny, to zrobi to.

– Co?

– Zabije pana.

– Chciałaś powiedzieć: spróbuje?

Evelyn oblizuje wargi, odwraca się przodem do niego i spuszcza wzrok. Erik chce powtórzyć pytanie, ale nie jest w stanie wydusić słowa. Nagle słychać pukanie do drzwi. Evelyn patrzy na Joone i Erika, wygląda na przestraszoną i cofa się do kuchni.

Pukanie powtarza się. Joona podchodzi do drzwi, wygląda przez wizjer i otwiera. Dwóch policjantów wchodzi do przedpokoju. Jeden z nich niesie karton.

– Chyba jest wszystko z listy – mówi. – Gdzie mamy to postawić?

– Gdziekolwiek – odpowiada cicho Evelyn i wychodzi z kuchni.

– Można prosić o parafkę?

Podaje jej kwit, Evelyn podpisuje się. Policjanci wychodzą, a Joona zamyka za nimi. Evelyn podchodzi szybko do drzwi i sprawdza zamki, po czym odwraca się do nich.

– Poprosiłam o parę rzeczy z domu, które...

– Tak, mówiłaś.

Evelyn przykuca, odrywa brązową taśmę klejącą i otwiera pudło. Wyciąga srebrną skarbonkę w kształcie królika i obrazek za szybką przedstawiający anioła stróża, gdy nagle zastyga w pół ruchu.

– Mój album ze zdjęciami – mówi, a Erik zauważa, że usta jej drżą.

– Evelyn?

– Nie prosiłam o niego, nie mówiłam nic o...

Odwraca pierwszą stronę z dużym portretem z czasów szkolnych. Wygląda na czternaście lat, ma aparat na zębach i nieśmiały uśmiech, błyszczącą skórę i krótko obcięte włosy.

Evelyn przewraca kolejną stronę i z albumu na podłogę wypada złożona kartka. Podnosi ją i odwraca, a w miarę czytania jej twarz robi się coraz bardziej czerwona.

– Jest w domu – szepce, podając list.

Erik prostuje kartkę i razem z Jooną czytają:

Jesteś moją własnością, jesteś tylko moja. Zabiję innych, to twoja wina, zabiję tego parszywego hipnotyzera, a ty mi w tym pomożesz, zrobisz to, pokażesz mi, gdzie mieszka, pokażesz, gdzie się pieprzycie i zabawiacie, i wtedy go zabiję, a ty będziesz na to patrzeć, potem umyjesz cipę w mydle, a ja cię zerżnę sto razy, bo wtedy będziemy kwita i zaczniemy od nowa tylko my dwoje.

Evelyn zaciąga żaluzje i staje, obejmując się rękoma. Erik kładzie list na stole i wstaje. Josef jest w swoim domu, myśli. Na pewno. Jeśli umieścił list w albumie w tym pudle, to musiał tam być.

– Josef wprowadził się z powrotem do domu – mówi na głos.

– Gdzie indziej miałby mieszkać? – odpowiada Evelyn.

Jooną rozmawia już w kuchni przez telefon z dyżurnym komisarzem na centrali.

– Evelyn, masz może pojęcie, jak Josefowi udało się ukryć przed policją? – pyta Erik. – W waszym mieszkaniu od prawie tygodnia trwają policyjne oględziny.

– Piwnica – odpowiada Evelyn, podnosząc wzrok.

– Co jest w piwnicy?

– Jest tam takie dziwne pomieszczenie.

– Jest w piwnicy! – woła Erik w stronę kuchni.

Jooną słyszy w telefonie powolny stukot w klawiaturę.

– Podejrzany przypuszczalnie znajduje się w piwnicy – mówi Jooną.

– Czekaj chwilę – odzywa się dyżurny. – Muszę...

– Nie ma czasu – ponagla go Jooną.

Po chwili pełniący dyżur komisarz ciągnie spokojnym głosem:

– Dwie minuty temu poszło zgłoszenie na ten sam adres.

– Co ty mówisz? Na Gärdesvägen 8 w Tumbie? – pyta Jooną.

– Tak. Sąsiedzi zadzwonili, że ktoś jest w domu.

27 NIEDZIELA RANO, TRZYNASTY GRUDNIA, DZIEŃ ŚW. ŁUCJI

Kennet Sträng staje i nasłuchuje, potem powoli podchodzi do schodów. Trzyma pistolet skierowany w dół, blisko ciała. Dienne światło wpada z kuchni na korytarz. Simone idzie za ojcem, w głowie kołacze jej myśl, że dom tej zamordowanej rodziny przypomina jej własny, w którym mieszkała z Erikiem, kiedy Benjamin był mały.

Coś skrzypi – w podłodze albo głęboko w ścianach.

– Czy to Josef? – szeptem pyta Simone.

Ściskając jednocześnie latarkę, plany budynku i łom, czuje, jak drętwieją jej ręce. Ciężar tego ostatniego wydaje się nie do zniesienia.

W środku panuje zupełna cisza. Dźwięki, które słyszeli przed chwilą, skrzypienie i stłumione uderzenia, teraz ucichły.

Kennet skinieniem głowy daje córce znak, że schodzą do piwnicy. Simone potakuje, chociaż każdy mięsień jej ciała pragnie się sprzeciwić.

Według planów piwnica jest niewątpliwie najlepszym miejscem na kryjówkę. Kennet naszkicował, w jaki sposób ścianę przy pomieszczeniu na kocioł olejowy dałoby się przedłużyć, tworząc niemal niewidoczny pokoik. Drugim miejscem, które zaznaczył, jest najdalszy kąt strychu.

Obok sosnowych schodów na piętro w ścianie zieje niezbyt szeroki otwór bez drzwi. W murze tkwią jeszcze niewielkie zawiasy po furtce zagrządzającej dostęp dzieciom. Żelazne schody prowadzące na dół wyglądają na własną robotę, spawy są duże i nieforemne, a stopnie pokryto grubym szarym filcem.

Kiedy Kennet naciska włącznik światła, nic się nie dzieje, próbuje

jeszcze raz, ale lampa jest zepsuta.

– Zostań tu – mówi cicho.

Simone czuje nagłą falę strachu. Z dołu napływa ciężka woń brudu, przywodząca na myśl wielkie pojazdy.

– Daj latarkę – prosi ojciec, wyciągając do niej rękę.

Simone powoli podaje mu lampkę. Kennet uśmiecha się do niej, bierze latarkę, włącza ją i ostrożnie schodzi niżej.

– Halo! – woła surowym tonem. – Josef? Muszę z tobą porozmawiać.

Odpowiada mu cisza. Ani szmeru, ani oddechu.

Simone czeka, ściskając w dłoniach łom.

Światło latarki oświetla tylko ściany i sufit przy wejściu. Ciemności piwnicy zachowują swą nieprzeniknioną gęstość. Kennet idzie dalej, światło odbijają pojedyncze przedmioty: biała foliowa torba, odblask na starym wózku dziecięcym, szkło antyramy na jakimś plakacie z filmu.

– Myślę, że mógłbym ci pomóc – dodaje ciszej Kennet.

Jest już na dole, zamasyżuje omiata światłem przestrzeń wokół, żeby upewnić się, że nikt się na niego nie czai z ukrycia. Wąski krąg światła przesuwa się po podłodze i ścianach. Przeskakuje po przedmiotach znajdujących się blisko i rzuca pochyłe, ruchome cienie. Po chwili Kennet zaczyna od początku, powoli i systematycznie przeszukując pomieszczenie.

Simone rusza w dół schodów. Metalowa konstrukcja głucho dudni pod jej krokami.

– Nikogo tu nie ma – stwierdza Kennet.

– Co to w takim razie było? Bo coś słyszeliśmy – upiera się Simone.

Przez brudne piwniczne okienko, tuż pod sufitem, sączy się światło dnia. Oczy przyzwyczajają się do ciemności. Piwnica pełna jest rowerów różnej wielkości, stoją tam sanki, wózek, narty, maszyna do pieczenia chleba, ozdoby choinkowe, rolki tapet i drabina poplamiona białą farbą. Na jednym z pudeł ktoś napisał

grubym flamastrem: komiksy Josefa.

Nad ich głowami słyszeć jakieś trzaski, Simone zerka na schody, a potem na ojca. Ten zdaje się nie słyszeć dźwięków. Powoli podchodzi do drzwi po drugiej stronie pomieszczenia. Simone trąca konika na biegunach. Kennet otwiera drzwi i zagląda do pralni, w której dostrzega zniszczoną pralkę, suszarkę bębnową i stary magiel. Na szafie stojącej obok pompy geotermicznej wisi brudna zasłona.

– Tu nikogo nie ma – stwierdza Kennet, odwracając się do Simone.

Córka patrzy na niego, jednocześnie widząc obskurną draperię za jego plecami. Zasłona jest nieruchoma, ale w jakiś sposób przyciąga uwagę.

– Simone?

Na materiale widać plamkę wilgoci, niewielki owal, jak usta.

– Rozłóż plany budynku – prosi Kennet.

Simone ma wrażenie, jakby owal nagle się zagłębił.

– Tato – mówi szeptem.

– Tak? – Ojciec opiera się o framugę, chowa pistolet do kabury i drapie się po głowie.

Coś skrzypi, Simone odwraca się i widzi, że konik na biegunach wciąż się buja.

– Co jest, Sixan?

Kennet podchodzi do niej, wyjmując jej z rąk plany budynku, rozkłada na zwiniętym materacu, oświetla je latarką i obraca dookoła.

Patrzy w górę, potem znów na rysunek, podchodzi do ceglanej ściany, pod którą, obok garderoby z pomarańczowymi kamizelkami ratunkowymi, leży rozmontowane łóżko piętrowe. Na haczykach na ścianie wiszą dłuta, piły i imadła. Miejsce obok młotka jest puste, brakuje dużej siekiery.

Kennet mierzy wzrokiem ścianę i sufit, schyla się i opukuje ścianę za łóżkiem.

- Co to? – pyta Simone.
- Ta ściana musi mieć co najmniej dziesięć lat.
- Jest coś za nią?
- Tak, całkiem spore pomieszczenie.
- Którędy się wchodzi?

Kennet oświetla latarką ścianę, potem podłogę przy rozebranym łóżku. Po piwnicy poruszają się cienie.

- Poświeć tam jeszcze raz – prosi Simone.

Wskazuje na podłogę przy garderobie. Coś wydrapało w betonie rysy w kształcie łuku.

- Za szafą – mówi.
- Trzymaj latarkę – poleca jej ojciec, a sam wyciąga broń.

Nagle zza garderoby słychać jakiś szelest, jakby ktoś ostrożnie się przesuwał. Wyraźne, bardzo powolne ruchy.

Simone czuje gwałtownie przyśpieszający puls. Ktoś tam jest, myśli. Dobry Boże. Chciałaby zawołać Benjamina, ale nie ma odwagi. Kennet powstrzymuje ją gestem i na migi daje znać, żeby się cofnęła, Simone chce coś powiedzieć, gdy nagle pełna napięcia cisza zostaje przerwana. Z góry słychać huk, trzask łamanego drewna. Simone upuszcza latarkę, zapada ciemność. Dudnią szybkie kroki, sufit trzeszczy, oślepiające snopy światła omiatają żelazne schodki i piwnicę.

- Na ziemię! – krzyczy z histerią w głosie jakiś mężczyzna. – Na ziemię!

Simone stoi jak skamieniała, oślepiona niczym nocne zwierzę w światłach reflektorów pędzącego autostradą samochodu.

- Połóż się! – woła Kennet.
- Stul pysk! – wrzeszczy ktoś.
- Na ziemię! Na ziemię!

Do Simone nie dociera, że mężczyzna zwraca się do niej. Nagle czuje silny cios w brzuch i zostaje przyciśnięta do podłogi.

- Na ziemię, powiedziałem!

Simone brakuje powietrza, kaszle i próbuje złapać oddech.

Piwnicę zalewa ostre światło. Jakieś ciemne postacie szarpią ich, wloką w górę wąskich schodów. Ręce ma skute za plecami. Porusza się z trudem, potyka i uderza policzkiem o ostry kant metalowej poręczy.

Próbuje odwrócić głowę, ale ktoś ją trzyma, dysząc z nerwów i podniecenia, i brutalnie spycha na podłogę przy wejściu do piwnicy.

Kilka postaci zdaje się przewiercać ją wzrokiem. Simone mruga w dziennym świetle, obraz jej się zamazuje. Dociera do niej fragment rozmowy, rozpoznaje stanowczy i rzeczowy głos ojca. Ten głos, który kojarzy jej się z zapachem porannej kawy, przed wyjściem do szkoły, do wtóru wiadomości radiowych „Eko”.

Dopiero teraz zdaje sobie sprawę, że to policja wtargnęła do domku szeregowego. Może któryś z sąsiadów dostrzegł światło latarki i zadzwonił pod numer alarmowy.

Policjant, na oko dwudziestopięcioletni, ze zmarszczkami i ciemnymi cieniami pod oczyma, przygląda jej się nerwowo. Włosy ścięte na zapałkę odsłaniają niekształtną czaszkę. Kilkakrotnie pociera dłonią kark.

– Nazwisko? – pyta zimno.

– Simone Bark – odpowiada Simone łamiącym się głosem. – Jestem tu z ojcem, który...

– Pytałem o nazwisko – przerywa jest mężczyzna podniesionym głosem.

– Spokojnie, Ragnar – uspokaja go kolega.

– Cholerny pasożyt – ciągnie policjant, zwrócony twarzą do Simone. – Oto co myślę o takich, co to lubią sobie popatrzeć na trochę krwi.

Odwraca się z prychnięciem. Simone wciąż słyszy ojca, który nie podnosi głosu, ale słyhać, że jest bardzo zmęczony.

Widzi, jak jeden z funkcjonariuszy odchodzi na bok z jego portfelem.

– Przepraszam – odzywa się Simone do jednej z policjantek. –

Słyszeliśmy kogoś na dole w...

– Zamknij się – przerywa jej kobieta.

– Mój syn jest...

– Zamknij się, powiedziałam. Zaklej jej usta taśmą, niech się przymknie.

Simone widzi, jak policjant, który nazwał ją pasożytem, wyciąga rolkę szerokiej taśmy, ale przerywa w pół ruchu, kiedy otwierają się drzwi wejściowe i wchodzi wysoki blondyn o szarym przenikliwym spojrzeniu.

– Joon Linna, Rikskrim – przedstawia się. – Co tu macie?

– Dwoje podejrzanych – raportuje policjantka.

Joon patrzy na Kenneta i Simone.

– Przejmuję sprawę. To pomyłka.

W policzkach Joony, kiedy poleca rozkuć podejrzanych, pojawiają się nagle dołeczki. Policjantka podchodzi do Kenneta i zdejmuje mu kajdanki, prosi o wybaczenie, potem stoi jeszcze chwilę i, zaczerwieniona po uszy, zamienia z nim parę słów.

Ogolony na zapałkę funkcjonariusz stoi przed Simone, przestępując z nogi na nogę i wbijając w nią wzrok.

– Proszę ją puścić – mówi Joon.

– Stawiali gwałtowny opór i odniosłem obrażenia kciuka.

– Chcesz ich zatrzymać?

– Tak.

– Kenneta Stränga i jego córkę?

– Mam gdzieś, kim są – upiera się agresywny policjant.

– Ragnar – wtrąca się uspokajającym tonem jego partnerka. – To kolega...

– Wkraczanie na teren miejsca popełnienia przestępstwa jest zabronione i daję słowo...

– Uspokój się natychmiast – rozkazuje mu Joon.

– A nie mam racji?

Podchodzi do nich Kennet, ale się nie odzywa.

– Nie mam racji? – powtarza mężczyzna.

– Porozmawiamy później – odpowiada Joona.

– Czemu nie teraz?

Joona zniża głos i ucina krótko:

– Dla twojego własnego dobra.

Policjantka podchodzi znowu do Kenneta, odchrząkuje i mówi:

– Przykro nam, że tak się stało. Ma pan jutro od nas tort.

– Już dobrze. – Kennet pomaga córce wstać.

– Piwnica – szepce niemal bezgłośnie Simone.

– Zajmę się tym – obiecuje jej ojciec i zwraca się do Joony. –

W piwnicy znajduje się jedna lub więcej osób, w ukrytym pomieszczeniu za garderobą z kamizelkami ratunkowymi.

– Uwaga! – woła Joona do pozostałych. – Mamy powody sądzić, że podejrzany znajduje się w piwnicy. Jestem szefem operacyjnym na czas całej akcji. Zachowajcie ostrożność. Gdyby wystąpiła sytuacja zakładnicza, to ja będę negocjował. Podejrzany jest niebezpieczny, ale ogień kierujemy najpierw w nogi.

Joona pożycza kamizelkę kuloodporną i szybko się w nią wciska. Potem wysyła dwoje policjantów na tyły domu i zbiera wokół siebie grupę operacyjną. Wysłuchują szybkich wskazówek i po chwili znikają w piwnicy. Metalowe schody dudnią pod ich ciężarem.

Kennet stoi, obejmując Simone, która jest tak przerażona, że aż cała się trzęsie. Ojciec szepce, że wszystko będzie dobrze. Jedyne, co Simone chciałaby usłyszeć, to głos syna z piwnicy, modli się, żeby teraz, za chwilę, go usłyszeć.

Po krótkiej chwili Joona wraca z kamizelką w rękę.

– Uciekł – stwierdza krótko.

– Benjamin, gdzie jest Benjamin? – pyta Simone.

– Nie tu.

– Ale to pomieszczenie...

Simone rusza w kierunku schodów, Kennet próbuje ją zatrzymać, ale córka wyrywa rękę, przeciska się koło Joony i zbiega na dół. W piwnicy jest teraz jasno jak w letni dzień. Trzy reflektory

na statywach zalewają pomieszczenie światłem. Drabina malarska została przesunięta i stoi teraz pod otwartym piwnicznym okienkiem. Odsunięto na bok garderobę z kamizelkami, a wejścia do ukrytego pokoju strzeże policjant. Simone powoli podchodzi do niego. Słyszy za plecami głos ojca, ale nie rozumie słów.

– Muszę – mówi słabym głosem.

Policjant unosi dłoń i kręci głową.

– Niestety nie mogę pani przepuścić.

– To mój syn.

Czuje na sobie ręce ojca, ale próbuje się uwolnić.

– Nie ma go tu, Simone.

– Puszczaj!

Idzie naprzód i zagląda do pokoju. Na podłodze leżą sterty starych komiksów, materac, puste opakowania po chipsach, jasnoniebieskie ochraniacze na buty, puszki konserw, torba płatków i wielka, lśniująca siekiera.

28 NIEDZIELA W POŁUDNIE, TRZYNASTY GRUDNIA, DZIEŃ ŚW. ŁUCJI

Simone siedzi w samochodzie w drodze powrotnej z Tumbi i słucha monologu Kenneta na temat braku koordynacji działań w policji. Nie odpowiada, pozwala mu się wygadać, a sama patrzy przez okno. Obserwuje spacerujące rodziny. Mamusie w drodze dokądś z małymi dziećmi okutanyimi w ciepłe kurtki, gaworzącymi ze smoczkiem w buzi. Kilkoro dzieciaków próbuje w śnieżnym błocie jechać na hulajnogach. Wszystkie mają jednakowe plecaki. Kilka dziewczynek ze świątecznym brokatem we włosach wyjada coś z torebki i śmieje się radośnie.

Minęła już ponad doba, odkąd Benjamin został porwany, wyciągnięty z łóżka i wywleczony z własnego domu, myśli, wpatrując się w swoje dłonie złożone na kolanach. Wciąż wyraźnie widać czerwone linie po kajdankach.

Nic nie wskazuje na to, żeby Josef Ek miał być zamieszany w porwanie. W ukrytym pokoju nie było żadnych śladów Benjamina, jedynie Josefa. Najprawdopodobniej siedział w kryjówce, kiedy Simone i jej ojciec zeszli do piwnicy.

Simone wyobraża sobie, jak musiał się kulić, przysłuchując się im, wiedząc, że znaleźli jego azyl, i jak po cichu sięgał po siekiere. Kiedy wybuchło zamieszanie, wpadła policja i wyciągnęła na górę ją i Kenneta, Josef skorzystał z okazji, przesunął garderobę, przestawił drabinę pod okno i wymknął się.

Uciekł, wyprowadził policję w pole i nadal jest na wolności. Ogłoszono ogólnokrajowy alarm, ale to nie Josef porwał Benjamina. To tylko dwa wydarzenia, do których doszło mniej więcej w tym samym czasie, dokładnie tak, jak próbował ją przekonywać Erik.

– Idziesz? – pyta Kennet.

Simone podnosi wzrok i zdaje sobie sprawę, że się ochłodziło. Kennet prosi, żeby wyszła z samochodu i poszła z nim, powtarza to kilkakrotnie, zanim do Simone dociera, że są już na Luntmakargatan.

Otwiera drzwi mieszkania i widzi ubranie Benjamina w przedpokoju. Serce wyrywa jej się z piersi i już ma wrażenie, że chłopiec wrócił, kiedy przypomina sobie, że wywleczono go w piżamie.

Ojciec, z widocznymi oznakami zmęczenia na twarzy, oznajmia, że idzie pod prysznic, i znika w łazience.

Simone opiera się o ścianę w przedpokoju, zamyka oczy i myśli: Jeśli odzyskam Benjamina, zapomnę o wszystkim, co się wydarzyło i wydarzy w tych dniach. Nigdy nie będę o tym mówić, nie będę na nikogo zła, nigdy o tym nie pomyślę, będę tylko wdzięczna.

Słyszy, jak Kennet odkręca wodę w łazience.

Simone z westchnieniem ściąga buty, upuszcza kurtkę na podłogę, wchodzi do sypialni i siada na łóżku. Nie może sobie przypomnieć, co zamierzała zrobić – czy chciała coś przynieść, czy tylko się na chwilę położyć i odpocząć. Czuje chłód prześcieradła pod dłońią i widzi wystające spod poduszki zmięte spodnie od piżamy Erika.

W tej samej chwili, w której milknie prysznic, uświadamia sobie, po co tu przyszła. Miała zanieść tacie ręcznik, a potem uruchomić komputer Benjamina i spróbować znaleźć coś, co mogłoby mieć związek z porwaniem. Wstaje, wyciąga z garderoby szary ręcznik kąpielowy i wraca do przedpokoju. Otwierają się drzwi łazienki i pojawia się w nich Kennet, ubrany.

– Ręcznik – mówi Simone.

– Wziąłem ten mały.

Ma wilgotne włosy i pachnie lawendą. Simone domyśla się, że użył taniego mydła w płynie z umywalki.

– Myłeś włosy mydłem? – pyta.

– Ładnie pachniało – stwierdza ojciec.

– Jest szampon, tato.

– Wszystko jedno.

– Okej. – Simone uśmiecha się i postanawia nie wyjaśniać mu, do czego był używany mały ręcznik.

– Zrobię kawę – mówi Kennet i idzie do kuchni.

Simone odkłada szary ręcznik na szafkę i przechodzi do pokoju Benjamina, włącza komputer i siada na krześle. W pokoju nic się nie zmieniło: na podłodze leży pościel i przewrócona szklanka.

System operacyjny uruchamia się, grając znaną melodyjkę, Simone kładzie dłoń na myszce, odczekuje parę sekund, na potem klika na miniaturowe zdjęcie Benjamina, żeby się zalogować. Komputer żąda nazwy użytkownika i hasła. Simone wstukuje Benjamin i poniżej Dumbledore.

Ekran miga, niczym oko, które najpierw zamyka się, a potem otwiera.

Jest w środku.

Tapeta na pulpicie to zdjęcie sarny w lesie na polanie. Czarodziejskie, zamglone światło poranka muskające roślinność. Płochliwe zwierzę w tej jednej chwili wydaje się zupełnie spokojne.

Chociaż Simone zdaje sobie sprawę, że wdziera się w najbardziej prywatną sferę życia syna, ponownie czuje jego bliskość.

– Jesteś geniuszem. – Słyszysz zza pleców słowa ojca.

– Nie jestem – odpowiada.

Kennet kładzie jej rękę na ramieniu, przyglądając się, jak otwiera program pocztowy.

– Jak daleko wstecz mamy sprawdzać? – pyta Simone.

– Przejrzemy wszystko.

Simone przewija mejle w skrzynce odbiorczej, otwiera listy jeden za drugim.

Kolega z klasy ma pytanie o zbiórkę pieniędzy.

Omówienie wyników pracy grupowej.

Ktoś twierdzi, że Benjamin wygrał czterdzieści milionów euro na hiszpańskiej loterii.

Kennet wychodzi i po chwili wraca z dwoma kubkami.

– Mała kawa to najlepszy napój na świecie – mówi, przysiadając się do niej. – Jak, u licha, udało ci się złamać hasło?

Simone wzrusza ramionami i upija łyk kawy.

– Muszę zadzwonić do Kalle Jeppsona, że nie potrzebujemy już jego ślimaczej pomocy.

Simone dalej przegląda pocztę, otwiera mejl od Aidy. Dziewczyna w żartobliwy sposób opisuje akcję kiepskiego filmu, porównuje Arnolda Schwarzeneggera do Shreka po lobotomii.

Cotygodniowy list ze szkoły.

Bank ostrzega przed przekazywaniem danych o koncie.

Facebook, Facebook, Facebook, Facebook, Facebook.

Simone wchodzi na profil Benjamina na Facebooku. Setki zaproszeń dotyczą grupy „hypno monkey”.

Wszystkie wpisy dotyczą Erika, różne szydercze teorie, że Benjamin został zahipnotyzowany i dlatego z niego taka łajza, dowody na to, że Erik zahipnotyzował cały naród szwedzki, a jeden osobnik żąda odszkodowania, bo Erik zahipnotyzował mu fiuta.

Jest link do filmiku na YouTube. Simone klika i ogląda krótkie wideo o nazwie Asshole. Na ścieżkę dźwiękową składa się wypowiedź jakiegoś naukowca o poważnych skutkach hipnozy, podczas gdy sekwencja zdjęć pokazuje Erika, przeciskającego się obok grupki ludzi. Przypadkiem potrąca staruszkę z chodzikiem, która pokazuje mu za plecami palec.

Simone wraca z powrotem do skrzynki odbiorczej i znajduje mejl od Aidy, po którego przeczytaniu włosy jeżą jej się na karku. Jest coś w tych kilku słowach, co sprawia, że wzbiera w niej fala nieokreślonego lęku. Dłonie jej się pocą. Odwraca się i ściąga uwagę Kenneta.

– Tato, przeczytaj.

Nachyla ekran tak, żeby Kennet mógł przeczytać list Aidy: „Nicke mówi, że Wailord jest zły, że stworzył przeciwko tobie gębę. Boję się, że to może być naprawdę niebezpieczne, Benjamin”.

– Nicke to młodszy brat Aidy – wyjaśnia Simone.

– A Wailord? – pyta ojciec i bierze głęboki wdech. – Wiesz coś na ten temat?

Simone potrząsa głową. Nagły lęk skoncentrował się teraz w jedną ciemną kulę, która przetacza się w jej wnętrzu. Co ona właściwie wie o życiu Benjamina?

– Wydaje mi się, że to nazwa jednego z pokémonów – odpowiada. – Brat Aidy, Nicke, wspominał coś o Wailordzie.

Simone zmienia widok na skrzynkę nadawczą i znajduje wzburzoną odpowiedź Benjamina: „Nicke nie może wychodzić z domu. Nie pozwól mu iść do oceanu. Jeżeli Wailord wściekł się naprawdę, to któreś z nas może źle skończyć. Trzeba było od razu iść na policję. Wydaje mi się, że teraz jest to zbyt niebezpieczne”.

– Do diabła – komentuje Kennet.

– Nie wiem, czy to naprawdę, czy to nie jakaś zabawa.

– To nie wygląda na zabawę.

– Nie.

Kennet sapie i skrobie się po brzuchu.

– Aida i Nicke – mówi powoli. – Co to właściwie za ludzie?

Simone przygląda się ojcu i zastanawia, co ma odpowiedzieć. Nigdy nie zrozumiałby takiej osoby jak Aida. Czarne stroje, kolczyki, makijaż, tatuaże i specyficzna sytuacja w domu.

– Aida jest dziewczyną Benjamina – wyjaśnia. – A Nicke to jej brat. Gdzieś tu jest zdjęcie jej i Benjamina.

Przynosi portfel syna i wyciąga zdjęcie Aidy. Benjamin obejmuje ją ramieniem. Dziewczyna wygląda na lekko zażenowaną, ale on śmieje się radośnie wprost do kamery.

– Ale co to za ludzie? – upiera się Kennet, wpatrując się w mocno umalowaną twarz dziewczyny.

– Co to za ludzie – powtarza powoli Simone. – Nie wiem dokładnie. Wiem tylko, że Benjamin jest nią zachwycony. I że ona chyba opiekuje się bratem. Zdaje się, że jest upośledzony w jakiś sposób.

– Agresywny?

Simone kręci głową.

– Raczej nie.

Zastanawia się przez chwilę i dodaje:

– Ich mama jest chora. Przyjęłam, że to rozedma płuc, ale nie wiem na pewno.

Kennet krzyżuje ramiona na piersi. Opiera się o ścianę i patrzy w sufit. Potem prostuje się i pyta z powagą:

– Wailord to postać z kreskówki, tak?

– Pokémon – odpowiada Simone.

– Coś o czym powinno się wiedzieć?

– Jeśli jesteś dzieckiem w pewnym wieku, to wiesz, co to są pokémony, czy tego chcesz, czy nie.

Kennet patrzy na nią pustym wzrokiem.

– Pokémon – powtarza Simone. – To taka gra.

– Gra?

– Nie pamiętasz, jak Benjamin się tym zajmował, kiedy był młodszy? Zbierał karty i zamęczał opowieściami o różnych mocach, o tym, jak się zmieniały.

Kennet kręci głową.

– Bawił się w to co najmniej dwa lata – dodaje Simone.

– Ale teraz już nie?

– Jest na to trochę za duży.

– Widziałem, jak bawiłaś się lalkami po powrocie z obozu jeździeckiego.

– Fakt. Może nie zauważyłam, że dalej je ma.

– O co chodzi z tymi pokémonami?

– Jak to wyjaśnić? To takie zwierzaki. Ale nieprawdziwe. Sztuczne, wyglądają jak owady czy roboty, sama nie wiem. Niektóre są urocze, inne po prostu wstrętne. To przyszło z Japonii w latach dziewięćdziesiątych, jakoś pod koniec, i przeobraziło się w cały przemysł. Te postacie to takie kieszonkowe potwory, pocketmonsters. Gracz ma je w kieszeni, dają się zwijać i wkładać

do małych kulek. To wszystko jest raczej głupie. Rywalizujesz tak jakby z innymi graczami, wystawiając swoje pokemony do walk. Oczywiście bardzo brutalnych. Cel to pokonanie jak największej liczby przeciwników, bo wtedy dostaje się pieniądze... gracz dostaje pieniądze, a pokémon punkty.

– I ten, kto ma najwięcej punktów, wygrywa? – domyśla się Kennet.

– Tak naprawdę to nie wiem. To wydaje się nie mieć końca.

– Czyli to gra komputerowa?

– Wszystko naraz, na pewno dlatego to się tak rozrosło, istnieje jako programy telewizyjne, gra w karty, maskotki, słodycze, gry telewizyjne i komputerowe, Nintendo i tak dalej.

– Niewiele mi to rozjaśniło w głowie – stwierdza Kennet.

– Nie... – wzdycha Simone.

Ojciec patrzy na nią.

– O czym myślicz?

– Zrozumiałam właśnie, że to o to chodzi, żeby dorośli zostali na zewnątrz – mówi Simone. – Dzieci zostawia się w spokoju, mają luz, bo my nie ogarniamy świata pokémonów, za dużo tego, przerasta nas.

– I myślisz, że Benjamin znowu się w to wciągnął? – pyta Kennet.

– Nie, nie w taki sam sposób. To, co tu mamy, to musi być coś innego – odpowiada, wskazując ekran.

– Uważasz, że Wailord to prawdziwa osoba – zgaduje ojciec.

– Tak.

– Która nie ma nic wspólnego z pokémonami?

– Nie wiem... Młodszy brat Aidy, Nicke, rozmawiał ze mną o Wailordzie, tak jakby chodziło o pokémona. Ale to może tylko taki jego sposób wyrażania się. Moim zdaniem wszystko zmieniają słowa Benjamin z mejla: „Nie pozwól mu iść do oceanu”.

– Jakiego oceanu?

– No właśnie, tu nie ma żadnego oceanu, istnieje tylko w grze.

– Ale jednocześnie wygląda na to, że Benjamin nie lekceważy

niebezpieczeństwa – stwierdza Kennet. – Że to na poważnie, prawda?

Simone potakuje.

– Ocean jest na niby, ale zagrożenie prawdziwe.

– Musimy znaleźć tego Wailorda.

– To może być ktoś z Lunara¹⁸ – mówi z ociąganiem Simone.

Ojciec patrzy na nią i uśmiecha się lekko.

– Zaczynam rozumieć, czemu zostałem wysłany na emeryturę.

– Lunar to taka tożsamość na portalu do czatowania – wyjaśnia Simone i przysuwa się bliżej komputera. – Wrzucę w wyszukiwarkę „Wailord”.

Otrzymała 85 000 wyników. Kennet wychodzi do kuchni, Simone słyszy, jak podkręca policyjne radio. Trzaski i szumy mieszają się z głosami ludzi.

Przegląda pobieżnie kolejne strony z japońskimi materiałami na temat pokémonów. „Wailord is the largest of all identified pokémon up to now. This giant pokémon swims languorously in the vast open sea, eating massive amounts of food at once, with its enormous mouth”.

– No i mamy ocean – mówi cicho Kennet, czytając jej przez ramię. Nie słyszała, kiedy wrócił.

Tekst opisuje, jak Wailord poluje na swoją zwierzynę: robi wielki skok i ląduje pośrodku ławicy, a potem po prostu odpływa z pyskiem pełnym ryb.

– To straszny widok – czyta Simone – jak Wailord jednym haustem połyka swą zdobycz.

Simone zawęży wyszukiwanie do stron w języku szwedzkim i wchodzi na forum, na którym znajduje taką rozmowę:

„– Hej, jak można zdobyć Wailorda?

– Żeby zdobyć Wailorda, najłatwiej jest złapać Wailmera gdzieś na oceanie.

– Okej, ale gdzie na oceanie?

– Właściwie wszystko jedno, tylko użyj Super Roda”.

– Masz coś? – pyta Kennet.
– To może zająć trochę czasu.
– Przejrzyj wszystkie mejle, sprawdź kosz, spróbuj wysledzić tego Wailorda.

Simone podnosi wzrok i widzi, że Kennet ma na sobie skórzaną kurtkę.

- Co chcesz zrobić?
- Jadę – brzmi krótka odpowiedź.
- Dokąd? Do domu?
- Muszę pogadać z tą Aidą i Nickem.
- Mam jechać z tobą?

Kennet kręci głową.

- Lepiej sprawdź komputer.

Kennet próbuje się uśmiechnąć, kiedy córka odprowadza go do drzwi. Wygląda na bardzo zmęczonego. Simone obejmuje go na pożegnanie, zamyka drzwi na zamek i słyszy, jak ojciec naciska guzik przywołujący windę. Maszyneria rusza. Nagle Simone przypomina sobie, jak kiedyś stała cały dzień, wpatrując się w drzwi, w oczekiwaniu na powrót taty do domu. Miała może dziewięć lat i zrozumiała, że mama zamierza ich opuścić. Bała się wierzyć, że tata z nią zostanie.

Kiedy Simone wraca do kuchni, widzi, że ojciec rozkroił placek drożdżowy na opakowaniu, z którego go wyjął. Ekspres jest włączony, na dnie dzbanka zalega czarny osad.

Zapach palonej kawy miesza się z narastającą paniką, że być może właśnie zostawiła za sobą resztki szczęśliwego okresu swego życia. Że jej życie podzielone jest na dwa akty. Pierwszy, szczęśliwy właśnie się skończył. O tym, co ją czeka, nie ma siły nawet myśleć.

Simone podchodzi do swojej torebki i wyjmuje z niej telefon. Tak jak się tego spodziewała, kilkakrotnie dzwoniła do niej Ylva z galerii. Na liście nieodebranych połączeń jest też Shulman. Simone wybiera jego numer i naciska „połącz”, ale rozmyśla się jeszcze przed pierwszym sygnałem. Odkłada telefon i wraca do pokoju

Benjamina.

Za oknem panują grudniowe ciemności. Wygląda na to, że wieje. Wiszące latarnie się bujają, a mokre płatki śniegu przelatują przez światło.

Simone znajduje skasowanego mejla od Aidy: „Żal mi ciebie, że mieszkasz w domu kłamstw”. Do listu załączony jest duży plik. Simone czuje przyśpieszający puls, kiedy przesuwą kursor. W chwili kiedy ma wybrać program do otwarcia obrazu, ktoś ostrożnie puka do drzwi. Brzmi to prawie jak drapanie. Simone wstrzymuje oddech, słyszy ponowne pukanie, wstaje. Na miękkich nogach rusza korytarzem prowadzącym do przedpokoju i drzwi wejściowych.

29 NIEDZIELA PO POŁUDNIU, TRZYNASTY GRUDNIA, DZIEŃ ŚW. ŁUCJI

Kennet siedzi w samochodzie przed bramą domu Aidy w Sundbybergu i rozmyśla o dziwnych groźbach znalezionych w poczcie elektronicznej Benjamina: „Nicke mówi, że Wailord jest zły, że otworzył przeciwko tobie gębę”. „Nie pozwól mu iść nad ocean”. Zastanawia się, ile to już razy w swoim życiu widział i słyszał lęk. Sam dobrze wie, jakie to uczucie, bo żaden człowiek nie jest od niego wolny.

Dom Aidy jest nieduży, trzypiętrowy. Sprawia niespodziewanie sielskie, staromodne i przytulne wrażenie. Kennet spogląda na zdjęcie, które dała mu Simone. Wykolczykowana dziewczyna, czarny makijaż. Zastanawia się, czemu trudno mu jest wyobrazić ją sobie w tym domu, przy kuchennym stole, w pokoju, w którym plakaty z końmi ustąpiły miejsca tym z Marilyn Mansonem.

Kennet już ma wysiąść, żeby przemknąć się pod balkon, który według niego może należeć do rodziny Aidy, ale zamiera na widok zwalistej postaci na chodniku za domem.

Nagle brama otwiera się i wychodzi Aida. Śpieszy się. Spogląda za siebie i wyciąga z torby paczkę papierosów, chwytając jednego wargami, zapala i zaciąga się, nie zwalniając kroku. Kennet rusza za nią w kierunku stacji metra. Postanawia porozmawiać z nią, kiedy już będzie wiedział, dokąd jedzie. Autobus mija ich z hałasem, gdzieś zaczyna szczekać pies. Kennet nagle zauważa, że wyrosnięty chłopak, który spacerował za domem, rusza biegiem w jej kierunku. Dziewczyna się uśmiecha, twarz się jej rozjaśnia: blade od pudru policzki i wymalowane na czarno oczy wyglądają nagle zupełnie dziecinnie. Chłopak podskakuje przed nią. Dziewczyna poklepuje go po policzku, on odpowiada jej uściskiem. Całują się nawzajem

w czubek nosa, potem Aida macha mu na pożegnanie. Kennet zbliża się do nich, domyślając się, że ten wyrośnięty chłopak to pewnie jej brat. Stoi teraz nieruchomo, patrząc za nią, macha ręką, potem się odwraca. Kennet widzi twarz chłopca, łagodną i bezbronną. Jedno oko mocno zezuje. Kennet staje pod latarnią i czeka. Chłopak zbliża się długimi, ciężkimi krokami.

– Cześć, Nicke – odzywa się były policjant.

Nicke zatrzymuje się i patrzy na niego z przerażeniem. W kącikach ust ma bańki śliny.

– Nie wolno – mówi powoli, z rezerwą.

– Mam na imię Kennet i jestem policjantem. Albo, dokładniej mówiąc, zrobiłem się troszkę za stary i przeszedłem na emeryturę, ale to niczego nie zmienia, nadal jestem policjantem.

Chłopiec uśmiecha się z zaciekawieniem.

– A masz pistolet?

Kennet potrząsa głową.

– Nie – kłamie. – Nie mam też radiowozu.

Chłopak poważnieje.

– Zabrali ci je, jak się zestarzałeś?

Mężczyzna odpowiada skinieniem.

– Tajess...

– Przyszedłeś łapać złodziei? – pyta Nicke.

– Jakich złodziei?

Nicke ciągnie za suwak.

– Czasami zabierają mi rzeczy – mówi i kopie butem ziemię.

– Kto tak robi?

Chłopiec patrzy na niego ze zniecierpliwieniem.

– Złodzieje.

– No tak, to oczywiste.

– Moją czapkę, zegarek, ładny kamyk z błyszczącym kantem.

– Boisz się kogoś?

Kręci głową.

– Więc wszyscy są tu mili? – pyta Kennet z lekkim wahaniem.

Chłopiec sapie i patrzy w kierunku, w którym zniknęła Aida.

– Moja siostra szuka najgorszego potwora.

Kennet wskazuje głową kiosk przy metrze.

– Chcesz napój?

Nicke idzie za nim i opowiada:

– W soboty pracuję w bibliotece. Wieszam ubrania w garderobie i daję ludziom numerki, tysiąc różnych numerów.

– Mądry z ciebie chłopak – chwali go Kennet i zamawia dwie butelki coca-coli.

Nicke patrzy na niego z zadowoleniem i prosi o dodatkową rurkę do picia. Pije, beka, pije i znowu beka.

– Co miałeś na myśli, mówiąc o swojej siostrze? – pyta Kennet tonem pogawędki.

Nicke marszczy czoło.

– Ten chłopak. Chłopak Aidy. Benjamin. Nicke go dzisiaj nie widział. Ale przedtem on był taki zły, taki zły. Aida płakała.

– Benjamin był zły?

Nicke patrzy na policjanta ze zdziwieniem.

– Benjamin nie jest zły, jest miły. Aida się cieszy i śmieje.

Kennet przygląda się dużemu chłopcu.

– Więc kto był zły, Nicke? Kto się rozzłościł?

Nicke nagle robi się niespokojny. Patrzy na butelkę i szuka czegoś.

– Nie wolno mi przyjmować rzeczy...

– To tylko ten jeden raz, obiecuję – mówi Kennet. – Kto się rozzłościł?

Nicke drapie się po szyi i ociera ślinę z kącików ust.

– To Wailord. On ma taką wielką gębę.

Pokazuje rękami.

– Wailord?

– On jest zły.

– Dokąd pojechała Aida, Nicke?

Policzki chłopca drżą, kiedy odpowiada:

– Ona nie może znaleźć Benjamin, to niedobrze.

– Ale gdzie teraz poszła?

Nicke wygląda, jakby miał się rozplakać, potrząsa głową:

– Oj, oj, oj, nie wolno rozmawiać z panami, których się nie zna...

– Zobacz, Nicke, ja nie jestem takim zwykłym panem – tłumaczy Kennet, wyciągając portfel, w którym nosi zdjęcie w policyjnym mundurze.

Nicke dokładnie przygląda się fotografii. Potem mówi z powagą:

– Aida idzie teraz do Wailorda. Boi się, że ugryzł Benjamin. Wailord ma taką paszczę.

Nicke znowu demonstruje, rozkładając ręce, a Kennet stara się panować nad głosem, zadając pytanie:

– Wiesz, gdzie on mieszka, ten Wailord?

– Nie wolno mi iść do oceanu, nawet się zbliżyć.

– Jak tam się jedzie?

– Autobusem.

Nicke wymacuje coś w kieszeni i szepce sam do siebie.

– Wailord bawił się raz ze mną, kiedy miałem zapłacić – mówi i próbuje się uśmiechnąć. – Tylko żartował. Kazali mi zjeść coś, czego nie powinno się jeść.

Kennet czeka. Nicke rumieni się i bawi zamkiem błyskawicznym. Ma brudne paznokcie.

– Co zjadłeś?

Policzki chłopca znowu zaczynają drżeć.

– Nie chciałem – odpowiada i kilka łez spływa po jego szerokiej twarzy.

Kennet poklepuje go po ramieniu i kryjąc niepokój, stwierdza spokojnie:

– Ten Wailord to chyba jest naprawdę głupi.

– Głupi.

Kennet zauważa, że Nicke ma coś w kieszeni, czego co chwila dotyka.

– Jestem policjantem, jak wiesz, i twierdzę, że nikomu nie wolno

się głupio zachowywać w stosunku do ciebie.

– Jesteś za stary.

– Ale jestem silny.

Nicke wygląda nieco różniej.

– Mogę jeszcze colę?

– Jeśli chcesz.

– Poproszę.

– Co masz w kieszeni? – Kennet stara się nadać głosowi obojętny ton.

Nicke uśmiecha się.

– To tajemnica.

– Aha – mówi Kennet i nie naciska.

Nicke połyka przynętę.

– Nie chcesz wiedzieć?

– Nie musisz mi mówić, jeśli nie masz ochoty, Nicke.

– Oj, oj, oj. Nie masz bladego pojęcia, co to może być.

– Pewnie nic takiego.

Nicke wyjmuje rękę z kieszeni.

– Powiem ci.

Otwiera pięść.

– To moja siła.

Na dłoni chłopca leży trochę ziemi. Kennet przygląda mu się pytająco, ale Nicke tylko się uśmiecha.

– Jestem ziemnym pokémonem – oznajmia zadowolony.

– Ziemnym pokémonem – powtarza za nim Kennet.

Nicke zaciska pięść i wsadza z powrotem do kieszeni.

– Wiesz, jakie mam moce?

Kennet potrząsa głową i zauważa mężczyznę wędrującego wzdłuż ciemnej, mokrej fasady po drugiej stronie ulicy. Wygląda, jakby czegoś szukał, w ręku ma laskę, którą szpera w śmieciach na chodniku. Nagle Kenneta uderza myśl, że być może próbuje on zajrzeć przez okna do suterenu. Myśli, że powinien podejść i zapytać, co właściwie robi. Ale Nicke położył mu rękę

na ramieniu:

– Wiesz, jakie mam moce? – powtarza.

Kennet niechętnie spuszcza z oczu faceta na chodniku. Nicke zaczyna wyliczać na palcach:

– Jestem dobry przeciwko pokémonom elektrycznym, ognistym, trującym, kamiennym i stalowym. Nie mogą mnie pobić, jestem bezpieczny. Ale nie mogę się bić z latającymi, trawiastymi ani pokémonami insektami.

– Ach tak? – pyta Kennet z roztargnieniem, bo wydaje mu się, że mężczyzna zatrzymał się przy jednym z okien. Niby czegoś szuka, ale w rzeczywistości nachyla się nad oknem.

– Słuchasz? – pyta z niepokojem Nicke.

Kennet próbuje uśmiechnąć się zachęcająco, ale kiedy ponownie zwraca wzrok ku szybie, tamtego mężczyzny już nie ma. Mruży oczy, żeby dojrzeć okno w suterenie, ale nie jest w stanie zobaczyć, czy jest zamknięte.

– Nie toleruję wody – ciągnie ze smutkiem Nicke. – Woda jest najgorsza, nie znoszę wody, strasznie się boję wody.

Kennet ostrożnie uwalnia się od ręki chłopca.

– Poczekaj chwileczkę – mówi, podchodząc do okna.

– Która godzina? – pyta Nicke.

– Godzina? Za kwadrans szósta.

– No to muszę iść. Będzie zły, jeśli się spóźnię.

– Kto będzie zły? Twój tata?

Nicke śmieje się.

– Nie mam przecież taty!

– Chciałem powiedzieć, mama.

– Nie, Ariados będzie zły, ma wziąć rzeczy.

Nicke patrzy z wahaniem na Kenneta, potem spuszcza wzrok i pyta:

– Dostanę od ciebie pieniądze? Bo jak będę miał za mało, to będzie musiał mnie ukarać.

– Poczekaj – mówi Kennet, który zaczął uważnie słuchać słów

chłopaka. – Czy to Wailord chce od ciebie pieniędzy?

Wychodzą razem z kiosku i Kennet powtarza pytanie:

– Czy to Wailord chce pieniędzy?

– Chory jesteś? Wailord? On by mnie połknął... Ale ci inni... inni, mogą do niego popłynąć.

Nicke patrzy przez ramię. Kennet powtarza:

– Dla kogo te pieniądze?

– Dla Ariadosa, mówiłem przecież – odpowiada niecierpliwie chłopiec. – Masz pieniądze? Mogę coś zrobić, jak dostanę pieniądze. Mogę dać ci trochę mocy...

– Nie trzeba – mówi Kennet, wyciągając portfel. – Dwadzieścia koron wystarczy?

Nicke śmieje się z zachwytem, wtyka banknot do kieszeni i rusza biegiem w dół ulicy bez słowa pożegnania.

Kennet stoi przez chwilę bez ruchu i próbuje zrozumieć, czego się właśnie dowiedział. Nie potrafi złożyć w całość opowieści chłopca, ale i tak rusza za nim. Za rogiem zauważa go na światłach na przejściu dla pieszych. Kiedy światło zmienia się na zielone, chłopiec pośpiesznie przechodzi przez jezdnię. Zdaje się, że zmierza w kierunku biblioteki przy rynku. Kennet idzie za nim przez ulicę, zatrzymuje się przy bankomacie i czeka. Nicke znowu przystanął. Niecierpliwie drepcze wokół fontanny przed biblioteką. Miejsce jest źle oświetlone, ale Kennet i tak widzi, jak chłopiec bawi się ziemią w kieszeni spodni.

Nagle spomiędzy krzaków obok przychodni dentystycznej wyłania się młodszy chłopiec. Zbliża się do Nickego, staje i coś mówi. Nicke natychmiast kładzie się na ziemi i podaje mu pieniądze. Chłopak przelicza je i klepie Nickego po głowie. Potem niespodziewanie chwytą go za kołnierz kurtki, ciągnie do fontanny i wciska mu twarz pod wodę. Kennet już ma rzucać się na pomoc, ale zmusza się do zachowania spokoju. Jest tu, żeby odnaleźć Benjamina. Nie wolno mu spłoszyć chłopaka, który prawdopodobnie jest Wailordem albo może go zaprowadzić

do Wailorda. Stoi więc, zaciskając zęby, i odlicza sekundy, kiedy będzie musiał wkroczyć. Nogi Nickego podrygują, a kiedy kat w końcu puszcza ofiarę, Kennet obserwuje na jego twarzy niewytłumaczalny spokój. Nicke siedzi na ziemi przy fontannie, kaszle i beka. Chłopak klepie go po raz ostatni po ramieniu i odchodzi.

Kennet rusza za nim, przez krzaki, w dół błotnistej zbroczy na chodnik. Śledzi go przez osiedle bloków i do bramy, przyśpiesza kroku i chwytając drzwi, zanim się zamkną. Łapie windę, widzi, że świeci się guzik szóstego piętra. Wyjeżdża więc też na szóste, ociąga się, udaje, że szuka czegoś w kieszeniach, i patrzy, jak chłopiec podchodzi do drzwi i wyciąga klucz.

– Kawalerze – odzywa się Kennet.

Chłopak nie reaguje, więc Kennet podchodzi do niego, chwytając go za kurtkę i odwraca twarzą do siebie.

– Puszczaj, dziadu – mówi dzieciak, patrząc mu prosto w oczy.

– Nie wiesz, że wymuszanie pieniędzy jest zabronione?

Kennet patrzy w parę czujnych, zaskakująco spokojnych oczu.

– Masz na nazwisko Johansson – stwierdza Kennet, sprawdzwszy na drzwiach.

– Tak. – Chłopak uśmiecha się. – A ty?

– Kennet Sträng, komisarz kryminalny.

Chłopak tylko stoi i przygląda mu się, nie okazując żadnego lęku.

– Ile pieniędzy zabrałeś Nickemu?

– Ja nie biorę pieniędzy, czasami je dostaję, ale niczego nie zabieram. Wszyscy się cieszą i nikt nie jest smutny.

– Zamierzam porozmawiać z twoimi rodzicami.

– Aha.

– Mam to zrobić?

– Błagam, nie – odpowiada chłopak z drwiną w głosie.

Kennet dzwoni do drzwi, które po chwili otwiera tęga, opalona kobieta.

– Dzień dobry – wita się Kennet. – Jestem z policji i obawiam się,

że pani syn zszedł na złą drogę.

– Syn? Ale ja nie mam dzieci – dziwi się kobieta.

Kennet widzi, że chłopak uśmiecha się pod nosem.

– Nie zna pani tego chłopca?

– Czy mogę zobaczyć pana odznakę?

– Ten chłopiec jest...

– On nie ma odznaki – przerywa mu dzieciak.

– Właśnie, że mam – kłamie Kennet.

– On wcale nie jest policjantem – stwierdza chłopak, wyciągając portfel. – Oto mój bilet miesięczny, jestem bardziej policjantem niż...

Kennet wrywa mu portfel.

– Oddawaj.

– Tylko spojrzę – mówi były policjant.

– Powiedział, że chce pocałować mnie w siusiaka.

– Dzwonię na policję – oświadcza kobieta przelęknionym głosem.

Kennet naciska guzik windy. Kobieta rozgląda się wokół i zaczyna walić do drzwi innych mieszkań na klatce.

– Dał mi pieniądze – poinformował chłopiec kobietę. – Ale nie chciałem z nim pójść.

Rozsuwają się drzwi windy. Jeden z sąsiadów otwiera, nie zdejmując łańcucha.

– Masz się na przyszłość odpieprzyć od Nickego – mówi cicho Kennet.

– On jest mój – odpowiada chłopak.

Kobieta wzywa policję. Kennet wchodzi do windy, naciska zielony przycisk i patrzy, jak drzwi się zasuwiają. Po plecach płynie mu pot. Domyśla się, iż chłopak musiał zauważyć, że jest śledzony od fontanny. Nabrał go, wchodząc w bramę i zaprowadzając do obcych drzwi. Dźwig powoli zjeżdża w dół, światło mruga, stalowe liny huczą. Kennet zagląda do portfela chłopca: prawie tysiąc koron, karta rabatowa do sklepu z filmami, bilet miesięczny i zmięta niebieska wizytówka z tekstem: Ocean, Louddsvägen 18.

30 NIEDZIELA PO POŁUDNIU, TRZYNASTY GRUDNIA, DZIEŃ ŚW. ŁUCJI

Na dachu budki z fast foodem ktoś zamontował ogromną, uśmiechniętą parówkę, która jedną ręką nakłada na siebie ketchup, a drugą wystawia do góry kciuk. Erik zamawia hamburgera z frytkami, siada na wysokim taborecie przy oknie i wygląda na zewnątrz przez zaparowaną szybę. Po drugiej stronie ulicy znajduje się sklep ślusarski. Z okazji świąt witrynę przyozdobiono sięgającymi do kolan krasnalami, poustawianymi przy kasach pancernych, wkładkach do zamków i kluczach.

Erik otwiera puszkę z wodą mineralną, upija łyk i dzwoni do domu. Słyszy własny głos nagrany na sekretarkę, który prosi, żeby zostawić wiadomość. Rozłącza się i dzwoni na komórkę Simone. Nikt nie odbiera, więc nagrywa się na pocztę głosową:

– Cześć, Simone... Chciałem tylko powiedzieć, że powinnaś przyjąć ochronę policyjną, bo ten Josef Ek chyba coś do mnie ma. To tyle.

Przy pierwszym kęsie hamburgera czuje ból w pustym żołądku. Zalewa go fala zmęczenia. Nabija przesmażoną frytkę na plastikowy widelec i myśli o wyrazie twarzy Joony czytającego list Josefa do Evelyn. Jakby w jednej chwili wokół nich zrobiło się zimno. W jasnoszarych oczach pojawiły się chłód i determinacja.

Joona zadzwonił przed czterema godzinami i powiedział, że znowu nie udało im się złapać Josefa. Był w piwnicy swojego domu, ale uciekł. Nie znaleźli śladów Benjamina. Wręcz przeciwnie, wstępne badanie DNA wykazało, że w pomieszczeniu poza Josefem nie było nikogo.

Erik próbuje sobie przypomnieć minę Evelyn i co dokładnie powiedziała, kiedy zrozumiała, że Josef wrócił do domu. Nie chce mu się wierzyć, żeby specjalnie zataiła informację o ukrytym

pokoju. Musiała po prostu o tym zapomnieć. Dopiero na wieść o powrocie brata przypomniała sobie o pomieszczeniu w piwnicy.

Josef mi źle życzy – myśli Erik. – Jest zazdrosny i nienawidzi mnie, wmówił sobie, że mam romans z Evelyn, i dąży do zemsty. Ale nie wie, gdzie mieszkam. W liście żąda od Evelyn pomocy. Napisał: „pokażesz mi, gdzie mieszka”.

– Nie wie, gdzie mieszkam – szepce Erik. – Jeżeli Josef nie wie, gdzie mieszkam, to w takim razie nie on wdarł się do naszego mieszkania i nie on porwał Benjamin.

Erik zjada jeszcze trochę mięsa, wyciera dłonie w serwetkę i próbuje ponownie złapać Simone. Musi jej powiedzieć, że to nie Josef Ek zabrał ich syna. Czuje falę ulgi, choć musi zacząć od początku, przemyśleć wszystko jeszcze raz. Wyciąga kartkę, zapisuje na niej „Aida”, ale zmienia zdanie, mnie papier w kulkę. „Simone musiała coś jeszcze zapamiętać – powtarza sobie. – Musiała coś wiedzieć”.

Przesłuchiwał ją Joon Linna, ale nie przypomniała sobie nic więcej. Byli zbyt skoncentrowani na Josefie, na tym zbiegu okoliczności, że uciekł, zanim Benjamin został porwany. W tej chwili wydaje się to aż dziwne. To się przecież nijak nie łączy, Erik od początku to powtarzał. Do pierwszego włamania doszło jeszcze przed ucieczką Josefa. Jest seryjnym mordercą, lubi zabijać. Porwanie nie pasuje do jego profilu psychologicznego. Jediną osobą, którą chciałby uprowadzić, jest Evelyn. Ma obsesję na jej punkcie, to ona jest motywacją wszystkich jego działań.

Dzwoni telefon, Erik odkłada hamburgera, wyciera ręce i odbiera, nie patrząc na wyświetlacz.

– Tak, tu Erik Maria Bark.

Odpowiadają mu trzaski i głucho dudnienie w tle.

– Halo? – powtarza Erik gniewnie.

Nagle słyszy słaby głos.

– Tatuś?

Koszyk z frytkami zanurza się z sykiem w oleju.

– Benjamin?

Ktoś odwraca hamburgera na płycie. W telefonie słysząc trzaski.

– Poczekaj, nie słyszę.

Erik przepycha się między klientami, którzy dopiero weszli, i wychodzi na parking. Płatki śniegu wirują w żółtym świetle lamp.

– Benjamin!

– Słyszysz mnie? – pyta chłopiec.

– Gdzie jesteś? Powiedz mi, gdzie jesteś!

– Nie wiem, tato, nie wiem, co się dzieje. Leżę w samochodzie, jedzie i jedzie...

– Kto cię porwał?

– Obudziłem się tutaj, niczego nie widziałem, pić mi się chce...

– Jesteś ranny?

– Tatusiu... – płacze chłopiec.

– Jestem tu, synku.

– Co się dzieje?

Jest wystraszony jak małe dziecko.

– Znajdę cię – obiecuje Erik. – Wiesz, dokąd cię wiozą?

– Słyszałem głos, jak przez grubą materiał, gdy tylko się obudziłem. Co to było? Coś o... jakimś domu, chyba...

– Powiedz coś więcej! Co to za dom?

– Nie, nie dom... dom strachów.

– Gdzie?

– Stajemy, tatuś, samochód stanął, słyszę kroki – mówi Benjamin z przerażeniem w głosie. – Nie mogę rozmawiać.

Słysząc dziwne odgłosy, jakby rycia w ziemi, potem trzask i nagły krzyk Benjamina, drżący i przenikliwy, potwornie przestraszony:

– Zostaw mnie, nie chcę, proszę, obiecuję, że...

Zapada cisza, rozmowa przerwana.

Nad parkingiem przed fast foodem wirują płatki śniegu. Erik wpatruje się w telefon, boi się go użyć, żeby Benjamin w razie kolejnej próby mógł się do niego dodzwonić. Stoi przy

samochodzie. Ma nadzieję, że Benjamin zadzwoni jeszcze raz. Próbuje przeanalizować rozmowę, ale cały czas gubi wątek. Przerazenie syna odbija się echem w jego głowie. Zdaje sobie sprawę, że musi porozmawiać z Simone.

Sznur czerwonych świateł samochodów wije się na północ i rozdziela niczym język węża na prawo, w kierunku uniwersytetu i trasy europejskiej E18, i na lewo, w stronę szpitala Karolinska i trasy europejskiej E4. Godzina szczytu i tysiące aut w powoli sunącym korku. Erik wie, że rękawiczki i czapkę zostawił w barze, koło talerza z hamburgerem, ale nie ma siły się tym przejmować.

Kiedy wsiada do samochodu, dłonie mu się tak trzęsą, że nie może trafić kluczykiem do stacyjki. Musi to zrobić dwiema rękami. Szosa lśni szarością i wilgocią od mokrego śniegu. Erik wycofuje w ciemność i skręca w Valhallavägen.

Parkuje przy Döbelnsgatan i schodzi w dół na Luntmakargatan. Wchodząc do bramy i idąc po schodach, czuje dziwną obcość. Puka do drzwi, czeka, słyszy kroki, ciche kliknięcie odsuwanej klapki wizjera. Odgłos otwieranych zamków. Po chwili sam naciska klamkę i wchodzi do ciemnego przedpokoju. Simone wycofała się, stoi w korytarzu z rękami założonymi na piersi. Ubrana jest w dzinsy i niebieski wełniany sweter. Patrzy na Erika z zaciętą miną.

– Nie odbierasz telefonów – stwierdza Erik.

– Widziałam, że dzwoniłeś – odpowiada mu zduszonym głosem. – Coś ważnego?

– Tak.

Na jej twarzy pojawia się nagle strach, który z całych sił starała się ukryć. Zakrywa dłonią usta i wlepia w niego wzrok.

– Benjamin dzwonił do mnie pół godziny temu.

– Dobry Boże...

Simone zbliża się do niego.

– Gdzie on jest? – pyta podniesionym głosem.

– Nie wiem, sam nie wiedział, nic nie wiedział...

– A co mówił?

– Że leży w samochodzie.

– Jest ranny?

– Chyba nie.

– Ale co...

– Czekaj – przerywa jej Erik. – Muszę skorzystać z telefonu, może uda się namierzyć tę rozmowę.

– Do kogo chcesz dzwonić?

– Na policję. Mam kontakt...

– Porozmawiam z tatą, pójdzie szybciej – przerywa Simone.

Simone bierze telefon, a Erik siada w ciemności na ławeczce w przedpokoju i czuje, że w ciepłe mieszkania zaczynają go szczypać policzki.

– Spałeś? – pyta Simone. – Tato, muszę... Erik jest tutaj, rozmawiał z Benjaminem, musisz sprawdzić, skąd była rozmowa. Nie wiem. Nie, nie mam... Sam z nim porozmawiaj...

Erik wstaje i pokazuje jej na migi, że nie chce, ale w końcu bierze słuchawkę i przykłada do ucha.

– Halo.

– Erik, powiedz mi, co się stało – prosi Kennet.

– Chciałem rozmawiać z policją, ale Simone stwierdziła, że szybciej będzie, jak ty się tym zajmiesz.

– Możliwe, że miała rację.

– Benjamin zadzwonił do mnie pół godziny temu, nie wiedział, co się dzieje, gdzie jest ani kto go porwał. Właściwie wiedział tylko, że leży w jakimś samochodzie... W trakcie rozmowy samochód zatrzymał się, Benjamin powiedział, że słyszy kroki, potem coś zawołał i zapadła cisza.

Erik słyszy powstrzymany płacz Simone.

– Dzwonił ze swojego telefonu? – pyta Kennet.

– Tak.

– Był wyłączony... Próbowałem namierzyć go już przedwczoraj, wiesz, komórka komunikuje się ze stacją bazową, nawet jak się

przez nią nie rozmawia.

Erik słucha w milczeniu, podczas gdy Kennet krótko wyjaśnia, że operatorzy muszą pomagać policji zgodnie z ustawą o telekomunikacji, paragrafy od dwadzieścia trzy do dwadzieścia siedem, jeśli kara, jaka grozi za dane przestępstwo, wynosi minimum dwa lata więzienia.

– Jakie dane mogą wyciągnąć?

– Rezultat może być różny, to zależy od rodzaju nadajnika i możliwości centrali, ale przy odrobinie szczęścia dostaniemy wkrótce informacje o położeniu z dokładnością do stu metrów.

– Pośpiesz się, błagam.

Erik rozłącza się, stoi z telefonem w ręku, potem podaje go Simone.

– Co ci się stało w policzek? – pyta.

– Co? Aha, to nic – odpowiada Simone.

Patrzą na siebie, zmęczeni, u kresu sił.

– Wejdziesz?

Erik kiwa głową, przez chwilę stoi bez ruchu, potem ściąga buty i wchodzi. Widzi, że komputer w pokoju Benjaminia jest włączony, więc zbliża się do niego.

– Znalazłaś coś?

Simone zatrzymuje się w drzwiach do pokoju.

– Kilka mejli między Benjaminem a Aidą – odpowiada. – Wygląda na to, że ktoś im grozi.

– Kto?

– Nie wiemy. Tata nad tym pracuje.

Erik siada przed komputerem.

– Benjamin żyje – mówi cicho i długo patrzy na Simone.

– Tak.

– Josef Ek raczej nie jest w to zamieszany.

– Nagrałeś na pocztę głosową, że nie wie, gdzie mieszkamy. Ale przecież zadzwonił tu, mógł więc równie dobrze...

– To co innego – przerywa jej mąż.

– Jak to?

– Połączyła go centrala – wyjaśnia Erik. – Poprosiłem ich o to, w nagłych wypadkach. Nie ma więc ani naszego telefonu, ani adresu.

– Ale ktoś porwał Benjamina i wsadził go do samochodu...

Milknie.

Erik czyta mejla od Aidy, w którym dziewczyna pisze, że jest jej go żal, bo żyje w domu kłamstw, potem otwiera zdjęcie z załącznika: kolorową fotografię, zrobioną w nocy z lampą błyskową, przedstawiającą żółtknięty, zarośnięty trawnik. Wygląda, jakby się nieco wybrzuszał bliżej niskich krzaczków. Za suchym żywopłotem można się domyślać tylnej ścianki brązowego ogrodzenia. Na skraju białej plamy światła widać zielony plastikowy kosz na liście i coś, co przypomina ziemniaczysko.

Erik przygląda się zdjęciu, próbuje zrozumieć, co jest jego głównym motywem, dojrzeć gdzieś jeża albo ryjówkę, których do tej pory nie zauważył. Wpatruje się w ciemności poza zasięgiem lampy błyskowej – może jest tam jakiś człowiek, jakaś twarz, ale niczego nie znajduje.

– Ale dziwna ta fotografia – szepce Simone.

– Może Aida załączyła nie to zdjęcie, co trzeba – zastanawia się Erik.

– To by tłumaczyło, dlaczego Benjamin skasował mejla.

– Musimy porozmawiać z Aidą zarówno o tym tu...

– Czynniki krzepnięcia – jęczy nagle Simone.

– Wiem...

– Podałś mu go we wtorek?

Zanim Erik zdąży odpowiedzieć, Simone wychodzi do kuchni. Erik idzie za nią. Simone stoi w oknie i wyciera nos w kawałek papierowego ręcznika. Wyciąga do niej rękę, żeby ją pogłaskać, ale kobieta się odsuwa. Erik wie dokładnie, kiedy Benjamin ostatnio dostał zastrzyk. Zastrzyk czynnika krzepnięcia, środka, który pomaga krwi koagulować, który chroni go przed wylewami do mózgu, przed

wykrwawieniem się, choćby w wyniku gwałtowniejszego ruchu.

– We wtorek przed południem, dziesięć po dziewiątej, dałem mu zastrzyk. Miał iść na łyżwy, ale zamiast tego pojechał z Aidą do Tensty.

Simone potwierdza ruchem głowy i liczy, twarz drga jej spazmatycznie:

– Dziś jest niedziela. Powinien dostać następny jutro albo pojutrze – szepce.

– Tak naprawdę nie ma niebezpieczeństwa jeszcze przez parę dni – uspokaja ją Erik.

Patrzy na żonę, jej zmęczoną twarz, ładne rysy, piegi. Dżinsy biodrówki, gumka od żółtych majtek. Chciałby tu zostać, tylko zostać, chciałby, żeby razem spali, właściwie to chciałby się z nią kochać, ale wie, że na to wszystko jeszcze za wcześnie, za wcześnie nawet próbować, za wcześnie zacząć tęsknić.

– Pójdę już – mamrocze.

Simone kiwa głową.

Patrzają na siebie.

– Zadzwoń, kiedy Kennet wyśledzi rozmowę.

– Dokąd idziesz?

– Muszę popracować.

– Śpisz w gabinecie?

– To całkiem praktyczne.

– Możesz spać tutaj.

Erik jest zdziwiony, nagle nie wie, co powiedzieć. Ale ta krótka chwila milczenia wystarcza, żeby Simone po swoim zinterpretowała jego reakcję jako wahanie.

– To nie było zaproszenie – mówi szybko. – Niczego sobie nie wyobrażaj.

– Nawzajem – odpowiada Erik.

– Wprowadziłeś się do Danielli?

– Nie.

– Jesteśmy w separacji. – Simone podnosi głos. – Więc nie musisz

kłamać.

- Okej.
- Co? Co okej?
- Wprowadziłem się do Danielli – kłamię Erik.
- Świetnie – mówi Simone szeptem.
- Tak.
- Nie zamierzam pytać, czy jest młoda i ładna, i...
- Jest – przerywa jej Erik.

Wychodzi do przedpokoju, wkłada buty, opuszcza mieszkanie i zamyka za sobą drzwi. Czeką, aż Simone przekręci zasuwki i założy łańcuch, a potem schodzi na dół.

31 PONIEDZIAŁEK RANO, CZTERNASTY GRUDNIA

Simone budzi sygnał telefonu. Zasłony są rozsunięte, sypialnię rozświetla zimowe słońce. Przez moment łudzi się, że to może Erik, i łzy napływają jej do oczu, kiedy zdaje sobie sprawę, że to niemożliwe, bo tego ranka obudzi się on u boku Danielli, że teraz jest już całkiem sama.

Bierze słuchawkę z nocnego stolika i mówi:

– Tak?

– Simone? Tu Ylva. Od paru dni próbuję się do ciebie dodzwonić. W jej głosie słychać zdenerwowanie. Dochodzi dziesiąta.

– Miałam co innego na głowie – ucina Simone.

– Nie znaleźli go?

– Nie.

Zapada milczenie. Kilka cieni prześlizguje się za oknem. Simone patrzy, jak z dachu naprzeciwko spadają płaty farby. Mężczyźni w pomarańczowych kombinezonach oskrobują blachę.

– Wybacz – mówi Ylva. – To ja już nie przeszkadzam.

– Coś się stało?

– Dziś znowu ma przyjść inspektor, coś się nie zgadza, a ja nie potrafię zebrać myśli, kiedy Norén się rozbija.

– Rozbija się?

Ylva wydaje trudny do zinterpretowania odgłos.

– Wszedł do środka z gumowym młotkiem i oznajmił, że tworzy sztukę nowoczesną – wyjaśnia Ylva ze zmęczeniem. – Mówi, że skończył z akwarelami i że teraz szuka dziur w sztuce.

– To niech to robi gdzie indziej.

– Rozbił wazę od Petera Dahla.

– Dzwoniłaś na policję?

– Tak, byli tu, ale Norén zaczął bredzić o swojej wolności artystycznej. Kazali mu trzymać się z daleka, więc teraz stoi na zewnątrz i łomocze.

Simone wstaje i przygląda się sobie w przydymionym lustrze garderoby. Chuda i zmęczona. Ma uczucie, jakby jej twarz rozbito na mnóstwo małych kawałków, które potem posklejano.

– A Shulman? – pyta. – Jak idzie z jego wystawą?

Ylva odpowiada podekscytowana:

– Mówi, że musi z tobą porozmawiać.

– Zadzwoń do niego.

– Chciał ci pokazać coś ze światłem. – Zniża głos. – Nie mam pojęcia, jak jest między tobą a Erikiem, ale...

– Jesteśmy w separacji – wyjaśnia krótko Simone.

– Bo naprawdę odnoszę wrażenie...

Ylva milknie.

– Jakie wrażenie? – pyta Simone cierpliwie.

– Że Shulman się w tobie podkochuje.

Simone patrzy sobie w oczy w lustrze i czuje mrowienie w brzuchu.

– Pewnie będę musiała przyjść.

– Możesz?

– Tylko najpierw muszę zadzwonić.

Simone odkłada słuchawkę i siedzi przez chwilę na brzegu łóżka. Benjamin żyje, to najważniejsze. Żyje, choć upłynęło wiele dni, odkąd został porwany. To bardzo dobry znak. Świadczy o tym, że porywaczowi nie zależy na zamordowaniu go. Ma inne zamiary i może zażąda okupu. Simone szybko przelicza swoje zasoby. Co właściwie posiada? Mieszkanie spółdzielcze, samochód, trochę dzieł sztuki. Oczywiście galeria. Jest w stanie pożyczyć pieniądze. Wszystko się ułoży. Nie jest bogata, ale tata może sprzedać dom letniskowy i mieszkanie. Mogą się razem przeprowadzić do wynajętego, gdziekolwiek, wszystko jedno. Byle tylko odzyskała Benjamina, żeby tylko miała już z powrotem swojego synka.

Simone dzwoni do ojca, ale nikt nie odbiera. Nagrywa krótką wiadomość, że idzie do galerii, potem bierze szybki prysznic, myje zęby, przebiera się i wychodzi, nie gasząc za sobą światła.

Na zewnątrz jest zimno, wietrznie, temperatura trochę poniżej zera. Mrok grudniowego poranka jest wyciszony, senny, cmentarny. Drogę przebiega pies, ciągnąc za sobą smycz przez kałuże.

Simone dochodzi do galerii, przez szklane drzwi dostrzega Ylvę. Noréna nigdzie nie widać, ale na ziemi przy ścianie leży gazeta poskładana w kapelusz Napoleona. Zielonkawe światło delikatnie oświetla dzieła namalowane przez Shulmana. Lśniące obrazy olejne, zielone jak woda w akwarium. Wchodzi do środka, Ylva podbiega i obejmuje ją. Simone zauważa, że przyjaciółka zapomniała zafarbować włosy na tradycyjny czarny kolor i wzdłuż prostego przedziałka pojawiły się siwe odrosty. Ale twarz ma gładką, makijaż idealny, usta ciemnoczerwone, jak zwykle. Ma na sobie szary kostium z szerokimi spodniami do kolan, rajstopy w czarno-białe pasy i nieforemne brązowe buty.

– Coraz lepiej to wygląda – chwali Simone, rozglądając się. – Świetna robota.

– Dzięki – szepce Ylva.

Simone podchodzi do obrazów.

– Nie widziałam ich w ten sposób, tak jak były pomyślane – mówi. – Tylko pojedynczo.

Podchodzi jeszcze o krok bliżej:

– Tak jakby odpływały w bok.

Idzie do drugiej sali. Bloki z malowidłami skalnymi Shulmana stoją na drewnianych stelażach.

– Chciał tu mieć lampy naftowe – mówi Ylva. – Powiedziałam, że to niemożliwe, ludzie chcą widzieć, co kupują.

– Nie, nie chcą.

Ylva śmieje się.

– Więc Shulman dostanie, czego chce?

– Tak – potwierdza Simone. – Dostanie, czego chce.

- Sama możesz mu to powiedzieć.
- Co?
- Jest w biurze.
- Shulman?
- Powiedział, że musi zadzwonić w parę miejsc.

Simone zerka w stronę gabinetu, a Ylva odchrząkuje i mówi:

- Pójdę kupić sobie kanapkę na lunch.
- Już?
- Tak tylko pomyślałam. – Ylva spuszcza wzrok.
- Dobrze.

Simone jest niespokojna i smutna, po policzkach znów płyną jej łzy, ociera je, a potem puka do drzwi i wchodzi do środka. Shulman siedzi za biurkiem i ssie ołówki.

- Co u ciebie? – pyta ją.
- Nie za dobrze.
- Domyślam się.

Zapada cisza. Simone spuszcza głowę. Wypełnia ją poczucie bezbronności, jakby cała warstwa ochronna została z niej starta, aż do najwrażliwszej materii. Usta jej drżą, kiedy wykrztusza:

- Benjamin żyje. Nie wiemy, gdzie jest ani kto go porwał, ale żyje.
- To dobra wiadomość – mówi Shulman z czułością w głosie.
- Do diabła – szepce Simone, odwraca się i trzęsącą się ręką ociera łzy z twarzy.

Shulman delikatnie dotyka jej włosów. Simone odsuwa się instynktownie. Właściwie to nie chce, żeby przestawał. Jego ręka opada. Patrzą na siebie. Mężczyzna ubrany jest w swój czarny miękki kostium, spod kołnierza marynarki wystaje kaptur.

- Masz na sobie ubiór ninja – stwierdza Simone i uśmiecha się mimowolnie.
- Shinobi, właściwe określenie ninja, ma dwa znaczenia – wyjaśnia Shulman. – Oznacza „ukrytą osobę”, ale też „tego, który wytrzymuje”.

– Wytrzymałe?

– To może najtrudniejsza sztuka na świecie.

– Samemu się nie da, ja w każdym razie nie potrafię.

– Nikt nie jest sam.

– Nie dam rady – szepce Simone. – Rozpadam się na kawałki, muszę przestać się zastanawiać, nie mam co z sobą zrobić. Chodzę i myślę. Żeby tylko coś się działo... Gotowa jestem walnąć się w głowę albo wskoczyć ci do łóżka, żeby tylko pozbyć się tkwiącej we mnie paniki...

Urywa nagle.

– To... – jąka się. – To zabrzmiało dość... Bardzo przepraszam, Sim.

– Co w takim razie wybierasz? Wskoczysz mi do łóżka czy walniesz się w głowę? – pyta Shulman z uśmiechem.

– Nic z tych rzeczy – pośpiesznie odpowiada Simone.

Po chwili dociera do niej, jak to zabrzmiało, i próbuje złagodzić swoje słowa:

– Nie chciałam powiedzieć, ja chętnie...

Znowu milknie i czuje, jak serce wali jej w piersi.

– Tak? – pyta Shulman.

Simone napotyka jego spojrzenie.

– Nie jestem sobą. Dlatego tak się zachowuję – wyjaśnia krótko. – Możesz mi wierzyć, że czuję się idiotycznie.

Spuszcza wzrok, czuje, jak palą ją policzki, odchrząkuje.

– Muszę...

– Czekaj – przerywa jej Shulman i wyciąga z torby przezroczysty słoik.

Coś, co przypomina grube ciemne motyle, wspina się po ściankach. Ze środka słychać jakby kliknięcia, szkło wygląda jak zaparowane.

– Sim?

– Chciałem tylko pokazać ci coś niesamowitego.

Unosi słoik w jej stronę. Simone przygląda się brązowym ciałkom, rozsmarowywanemu po szkle pyłkowi ze skrzydeł,

resztkom kokonów. Motyle stukają racizkopodobnymi odnóżami w ścianki, trąbkami muskają gorączkowo skrzydła i czułki współtowarzyszy.

– Kiedy byłam mała, myślałam, że są piękne – odzywa się Simone. – Ale to było, zanim naprawdę je zobaczyłam.

– Nie są piękne, są okrutne. Wydaje mi się, że to przez tę metamorfozę.

Simone dotyka słoika, muskając przy tym palce Sima.

– Okrucieństwo wynika z przemiany?

– Być może.

Obserwują się wzajemnie, nie skupiają się już na rozmowie.

– Katastrofy nas zmieniają – mówi Shulman powoli.

Dotyka pieścotliwie jej dłoni.

– Tak już musi być.

– Ale ja nie chcę być okrutna – odpowiada szeptem Simone.

Stoją blisko siebie. Shulman ostrożnie odstawia słoik na biurko.

– Ty... – zaczyna, nachyla się i całuje ją w usta, krótko.

Simone mięknię kolana. Jego jedwabisty głos, ciepło jego ciała. Zapach snu i pościeli, delikatnych ziół. Gdy gładzi dłonią jej policzek i kark, Simone zdaje sobie sprawę, jak dawno nie czuła tej cudownej miękkości pieśczości. Shulman przygląda się jej z uśmiechem w oczach. Simone już nie myśli o ucieczce z galerii. Wie, że to tylko sposób na pozbycie się na chwilę tego wałącego młotem w piersi lęku, ale niech i tak będzie, mówi sobie. Pragnie tylko, żeby to trwało jeszcze choć krótką chwilę, chce zapomnieć o tych wszystkich strasznych rzeczach. Jego wargi zbliżają się do jej ust, tym razem Simone oddaje pocałunek. Oddycha coraz szybciej. Czuje jego dłonie na plecach, krzyżu, biodrach. Zalewa ją fala uczuć, w łonie wybucha pożar: nagła, ślepa tęsknota, by go przyjąć. Przeraza ją moc żądz, wycofuje się, mając nadzieję, że nie widać po niej podniecenia. Przesuwa dłonią po ustach, odchrząkuje, podczas gdy on odwraca się i próbuje doprowadzić ubranie do porządku.

– Ktoś może przyjść – odzywa się nieśmiało Simone.

– I co teraz? – pyta Shulman, a Simone słyszy, jak głos mu drży.

Bez słowa podchodzi do niego i znowu go całuje. Już nie ma wątpliwości. Dotyka jego skóry pod ubraniem, czuje na ciele jego ciepłe dłonie. Shulman pieści jej lędźwie, wsuwa ręce pod bluzkę, jego dłonie kierują się w dół, między nogi, a kiedy czuje, jaka jest wilgotna, wydaje z siebie jęk i przyciska nabrzmiałego penisa do jej kości łonowej. Simone łapie się na myśli, że pragnie go tu, na stojąco, przy ścianie, na biurku, na podłodze. Nic innego się nie liczy, byle tylko na kilka minut rozproszyć panikę. Serce bije szybko, nogi miękną. Ciągnie go do ściany, a kiedy Shulman rozsuwa jej uda, by się w nią wbić, Simone szepce mu do ucha, żeby to zrobił, żeby się pośpieszył. W tej samej chwili słychać dzwonek w drzwiach. Ktoś wszedł do galerii. Skrzypi parkiet, odsuwają się od siebie.

– Jedziemy do mnie – decyduje mężczyzna.

Simone kiwa głową, czując rumieńce na policzkach. Shulman przeciąga dłonią po ustach i wychodzi z biura. Simone zostaje, odczekuje chwilę, opiera się o biurko, drży na całym ciele. Poprawia ubranie, a kiedy wychodzi z gabinetu, Shulman stoi w drzwiach wyjściowych.

– Miłego lunchu – mówi Ylva.

Simone zaczyna żałować już w taksówce, kiedy w milczeniu jadą na ulicę Mariagränd. Zadzwońię do taty, myśli. Potem wytłumaczę, że muszę iść. Na samą myśl o tym, co właśnie robi, czuje mdłości. To wynik poczucia winy, paniki i podniecenia.

Wchodzą po wąskich schodach na piąte piętro, a kiedy Shulman przekręca klucz w zamku, Simone szuka telefonu w torebce.

– Muszę tylko zadzwonić do taty – tłumaczy wymijająco.

Shulman nie odpowiada, wchodzi przed nią do korytarza w kolorze terakoty i znika w głębi mieszkania.

Simone stoi w płaszczu, rozgląda się w ciemnym holu. Na ścianach wiszą zdjęcia, a pod sufitem znajduje się nisza, w której stoją wypchane ptaki. Shulman wraca, zanim Simone zdąży wybrać

numer Kenneta.

– Simone... – szepce. – Nie wejdiesz?

Kobieta potrząsa głową.

– Chociaż na chwilkę? – pyta Shulman.

– Okej.

Wchodząc za nim do salonu, nie zdejmuje płaszcza.

– Jesteśmy dorośli, robimy, co chcemy – stwierdza Shulman, nalewając po kieliszku koniaku.

Wznoszą toast i piją.

– Dobrze – mówi cicho Simone.

Jedna ze ścian składa się wyłącznie z okien. Kobieta podchodzi do nich i spogląda na miedziane dachy dzielnicy Södermalm i ciemny tył neonowej reklamy przedstawiającej tubkę pasty do zębów.

Shulman podchodzi do Simone, staje za nią i obejmuje ją ramionami.

– Wiesz już, że szaleję za tobą? – szepce. – Od samego początku.

– Sim, ja nie wiem... Nie wiem, co robię – odpowiada ochryple Simone.

– A musisz? – Shulman uśmiecha się i pociąga ją w kierunku sypialni.

Idzie za nim, jakby wiedziała, że tak się stanie. Wiedziała, że ona i Shulman pójdą razem do łóżka. Chciała tego, a powstrzymywała ją jedynie niechęć do zachowania się jak jej matka, jak Erik, jak kłamca, który potajemnie rozmawia przez telefon i wysyła SMS-y. Zawsze uważała, że nie jest typem zdrajcy, że ma blokadę przeciwko niewierności, ale teraz wcale nie czuje, że zdradza. Sypialnia Shulmana jest ciemna, ściany pokrywa coś w rodzaju granatowego jedwabiu, z tego samego materiału uszyte są długie zasłony w oknach. Krótkie, ukośne promienie zimowego słońca wdzierają się między włókna tkaniny, rozpraszając mrok. Drżącymi dłońmi rozpina płaszcz i zrzuca go na podłogę. Shulman rozbiera się do naga, oczom Simone ukazują się krągłe mięśnie ramion, ciało

pokryte ciemnymi włosami. Pas gęstszych, kręconych włosów biegnie od łona do pępka.

Shulman przygląda się jej spokojnie swymi ciemnymi, łagodnymi oczyma. Simone zaczyna się rozbierać, gdy nagle, kiedy tak stoi zawstydzona jego spojrzeniem, opada ją paralizujące uczucie potwornego osamotnienia. Shulman zauważa to i spuszcza wzrok, podchodzi bliżej, klęka. Simone patrzy na jego długie włosy okrywające ramiona, a on rysuje palcem linię od jej pępka przez kość biodrową. Próbuje się uśmiechnąć, ale nie wychodzi jej to za dobrze.

Shulman popycha ją lekko na brzeg łóżka i zaczyna zsuwać jej figi. Simone unosi biodra, nogi trzyma razem. Czuje, jak majtki zjeżdżają w dół i zahaczają się o stopę. Odchyła się w tył, zamyka oczy, pozwala mu rozewrzeć uda, czuje gorące pocałunki na brzuchu, kościach biodrowych, pachwinach. Dyszy, przeciąga palcami przez jego gęste, długie włosy. Chce, żeby w nią wszedł, kipi w niej tęsknota. Krew gęstnieje od narastającego pożądania, fale gorąca napływają przez pachwiny do łona, rozkoszne dreszcze przeszywają wnętrzności. Shulman kładzie się na niej, Simone rozsuwa nogi i słyszy siebie, jak wzdycha, przyjmując go. Męczyzna szepce coś niezrozumiale. Simone przyciąga go do siebie i kiedy już czuje na sobie cały jego ciężar, zanurza się w ciemnym, falującym morzu zapomnienia.

32 PONIEDZIAŁEK PO POŁUDNIU, CZTERNASTY GRUDNIA

Dzień jest lodowaty, niebo czyste i błękitne. Przechodnie zatopieni są we własnych myślach. Zmęczone dzieci wracają ze szkoły. Kennet staje przed Seven-Eleven na rogu, witryna zaprasza na kawę z szafranową bułeczką. Wchodzi i ustawia się w kolejce, gdy nagle dzwoni telefon. Patrzy na wyświetlacz i widzi, że to Simone, naciska więc przycisk z zieloną słuchawką i pyta:

– Byłaś na mieście, Simone?

– Musiałam wyjść do galerii. Potem miałam sprawę, która... – milknie w pół zdania. – Właśnie odsłuchałam twoją wiadomość, tato.

– Spałaś? Masz taki głos...

– Tak, trochę spałam.

– To dobrze.

Kennet napotyka zmęczony wzrok ekspedientki i wskazuje na plakat z ofertą specjalną.

– Udało się zlokalizować telefon Benjamina? – pyta Simone.

– Jeszcze mi nie odpowiedzieli. Najwcześniej dziś wieczorem. Miałem do nich właśnie dzwonić.

Ekspedientka patrzy pytająco na Kenneta, dając mu do zrozumienia, żeby wybrał sobie bułeczkę. Kennet decyduje się na, swoim zdaniem, największą. Dziewczyna pakuje ją do torebki, przyjmuje pomietą dwudziestkę i gestem wskazuje mu automat do kawy i kubki. Kennet kiwa głową, mija stoisko z powoli obracającymi się na różnie kiełbaskami i nie przerywając rozmowy z córką, wydłubuje kubek z podajnika.

– Rozmawiałeś wczoraj z Nickem?

– To wspaniały chłopak.

Kennet naciska symbol czarnej kawy.

– Dowiedziałeś się czegoś o Wailordzie?

– Całkiem sporo.

– Czego?

– Poczekaj moment.

Kennet odbiera parujący kubek z automatu, nakłada przykrywkę i podchodzi do jednego z okrągłych stolików.

– Jesteś jeszcze? – pyta, siadając na rozchybotanym krześle.

– Tak.

– Wydaje mi się, że chodzi tu o kilku małych, którzy wyłudniają od Nickego pieniądze, wmawiając mu, że są pokémonami.

Kennet obserwuje mężczyznę o potarganych włosach, prowadzącego nowoczesny wózek dziecięcy. Leży w nim dziewczynka w różowej kurtce, ssąc ze zmęczonym uśmiechem smoczek.

– Ma to coś wspólnego z Benjaminem?

– Pokemony? Nie wiem. Może próbował ich powstrzymać.

– Musimy pogadać z Aidą – mówi Simone z determinacją.

– Zamierzałem to zrobić po szkole.

– Co teraz robimy?

– Mam adres.

– Jaki?

– Do tego oceanu.

– Oceanu? – dziwi się Simone.

– Wiem tylko tyle.

Kennet siorbie łyk kawy. Odłamuje kawałek bułeczki i szybkim ruchem wkłada do ust.

– Gdzie to jest?

– Niedaleko Frihamnen – odpowiada Kennet z pełnymi ustami. – Na Loudden.

– Mogę jechać z tobą?

- Jesteś gotowa?
- Za dziesięć minut.
- Przyprawdżę samochód, stoi przy szpitalu.
- Zadzwoń, kiedy mam zejść.
- Dobrze, to na razie.

Kennet zabiera kubek oraz resztkę bułki i wychodzi ze sklepu. Powietrze jest suche i mroźne. Jakieś dzieci idą, trzymając się za ręce. Rowerzysta przejeżdża na ukos przez skrzyżowanie, między autami. Kennet zatrzymuje się na przejściu dla pieszych i naciska przycisk na słupie. Ma wrażenie, jakby zapomniał o czymś ważnym, że widział coś kluczowego dla rozwiązania zagadki, ale nie zinterpretował tego właściwie. Popija kawę przez otwór w przykrywce i przygląda się kobiecie stojącej po drugiej stronie przejścia, z dygoczącym z zimna psem na smyczy. Przejeżdża ciężarówka, blisko krawężnika, ziemia trzęsie się pod ogromnym ciężarem. Słyszy chichot, sztuczny jakiś, zdąży pomyśleć, gdy nagle ktoś mocno szturcha go w plecy. Wpada na ulicę, robi kilka kroków, żeby nie stracić równowagi, odwraca się i widzi dziesięcioletnią dziewczynkę, patrzącą na niego szeroko otwartymi oczyma. Myśli jeszcze, że to ona musiała go pchnąć, nikogo innego tam nie było. W tej samej chwili rozlega się pisk hamulców i Kennet czuje uderzającą w niego ogromną siłę. Potężny cios podcina mu nogi. W karku coś chrupie, jego ciało staje się nagle miękkie i nieobecne – leci, a potem zanurza się w ciemność.

33 PONIEDZIAŁEK PO POŁUDNIU, CZTERNASTY GRUDNIA

Erik Maria Bark siedzi przy biurku w swoim gabinecie. Białe światło wdziera się przez okno wychodzące na szpitalne podwórze. W plastikowym pudełku z przykrywką więdłą resztki sałatki. Dwulitrowa butelka coca-coli stoi obok lampki z różowym abażurem. Erik przygląda się wydrukowi zdjęcia, które Aida wysłała Benjaminowi: błysk flesza w ciemnościach zamyka przestrzeń wokół wybujałej trawy, żywopłotu i ogrodzenia. Mimo że bada każdy milimetr zdjęcia, nie jest w stanie pojąć, co ono właściwie ma przedstawiać, co jest na nim głównym obiektem. Przysuwa wydruk do twarzy i próbuje dostrzec, czy nie ma czegoś w plastikowym koszu na liście.

W pewnej chwili chce zadzwonić do Simone i poprosić o przeczytanie mejla słowo po słowie, żeby dokładnie wiedzieć, co napisała do Benjaminu Aida i co Benjamin jej odpowiedział, ale potem dochodzi do wniosku, że Simone wcale nie musi chcieć z nim rozmawiać. Sam nie wie, czemu złośliwie potwierdził, że ma romans z Daniellą. Może po prostu dlatego, że tak pragnął przebaczenia Simone i że tak łatwo w niego zwątpiła.

Nagle w myślach znów słyszy głos Benjaminu dzwoniącego z bagażnika samochodu, jak próbował zachować się dorośle, nie okazywać strachu. Erik zażywa różową kapsułkę citodonu i popija zimną kawą. Ręka tak mu się trzęsie, że ma kłopot z odstawieniem filiżanki na spodek.

Benjamin musiał być przerażony – myśli. – Zamknięty w całkowitych ciemnościach. Chciał usłyszeć mój głos, nie wiedział, co się dzieje, kto go porwał ani dokąd jedzie.

Ile czasu może zająć Kennetowi namierzenie rozmowy? Erik czuje

irytację na myśl, że powierzył komuś innemu to zadanie, ale tłumaczy sobie, że jeśli teść odnajdzie Benjamina, to nic innego nie będzie mieć znaczenia.

Kładzie rękę na słuchawce telefonu. Musi zadzwonić na policję i ponaglić ich, sprawdzić, czy cokolwiek udało im się ustalić, czy namierzyli telefon, czy mają jakiegoś podejrzanego. Wybiera numer, ale zostaje źle połączony, musi dzwonić jeszcze raz. Ma nadzieję porozmawiać z Jooną Linną, lecz w telefonie odzywa się asystent Fredrik Stensund. Potwierdza on, że zajmuje się postępowaniem przygotowawczym w sprawie zaginięcia Benjamina Barka. Mówi, że rozumie, co może czuć Erik, bo sam ma nastoletnie dzieci:

- Człowiek niepokoi się całymi nocami, kiedy nie wracają do domu, niby wie, że powinien dać im trochę swobody, ale...
- Benjamin nie jest na imprezie – mówi z naciskiem Erik.
- Nie, pojawiły się pewne informacje, które przeczą...
- Został porwany – przerywa mu Erik.
- Rozumiem, co pan musi czuć, ale...
- ...nie potraktuje pan sprawy zaginięcia Benjamina priorytetowo
- kończy za niego Erik.

Zapada cisza, asystent bierze kilka głębokich oddechów i mówi:

- Bardzo poważnie traktuję to, co nam pan przekazał, i zapewniam, że zrobimy wszystko co w naszej mocy.

– Proszę w takim razie dopilnować, żeby namierzono telefon Benjamina.

– Pracujemy nad tym – odpowiada spokojnie Stensund.

– Błagam – kończy Erik niemal szeptem.

Siedzi z telefonem w ręku. Muszą namierzyć tę rozmowę – myśli.

- Potrzebujemy informacji o miejscu, jakiś obszar na mapie, kierunek... To jedyna wskazówka, jaką mamy. Benjamin potrafił jedynie powiedzieć, że słyszał jakiś głos.

Jak spod koca, przypomina sobie po chwili Erik, niepewny, czy dobrze zapamiętał. Czy Benjamin rzeczywiście powiedział, że słyszał głos, stłumiony głos? Może to było tylko mamrotanie, dźwięk

przypominający głos, żadnych słów, znaczeń. Erik przeciąga dłonią po ustach, patrzy na zdjęcie i pyta sam siebie, czy coś nie leży w wysokiej trawie, ale niczego nie dostrzega. Kiedy po chwili odchyła się na krzesło i zamyka oczy, obraz nie znika: żywość i brązowe ogrodzenie migoczą różowo, a żółtozielony pagórek jest granatowy i sunie powoli. Jak nocne niebo przesłonięte materiałem, myśli Erik i w tej samej chwili przypomina sobie, że Benjamin powiedział coś o jakimś domu strachów.

Otwiera oczy i zrywa się z krzesła. Ten stłumiony głos mówił o domu strachów. Jak mógł o tym zapomnieć? Benjamin powiedział to przecież, zanim samochód się zatrzymał.

Wkładając kurtkę, próbuje sobie uzmysłwić, gdzie widział takie domy. Nie ma ich zbyt wiele. Pamięta jeden, gdzieś na północ od Sztokholmu, w pobliżu Rosersbergu. Szybko odgrzebuje w pamięci trasę: kościół w Ed, Runby, potem aleją, przez oz, koło spółdzielni produkcyjnej, w stronę Mälaren. Zanim się dojedzie do kamiennego kręgu w kształcie statku przy ruinach twierdzy Runsa, widać ten dom, po lewej stronie, nad wodą. Coś w rodzaju skompresowanego drewnianego zameczku, z wieżyczkami, gankami i przesadnie ozdobną stolarką.

Erik wychodzi z pokoju, przechodzi szybkim krokiem przez korytarz, próbuje przypomnieć sobie wycieczkę i to, czy Benjamin był wtedy z nimi. Zwiedzali kamienny krąg, jeden z największych grobów wikińskich w Szwecji. Stali pośrodku elipsy z wielkich szarych kamieni wyłaniających się z wysokiej trawy. Było późne lato, gorąco. Erik pamięta nieruchome powietrze i motyle na żwirowym parkingu, kiedy wsiadali do rozgrzanego samochodu, opuścili szyby i ruszyli w drogę powrotną.

Zjeżdżając windą do garażu, przypomina sobie, że po kilku kilometrach zjechał na pobocze, stanął, pokazał im ten dom i w żartach zapytał Benjamina, czy chciałby tam mieszkać.

– Gdzie?

– W tamtym domiszczu – odpowiedział, ale nie pamięta już, jak

zareagował Benjamin.

Słońce chyli się ku zachodowi, w lodzie pokrywającym kałuże na parkingu dla gości przy klinice neurologii błyskają ukośne promienie. Kiedy Erik skręca w stronę głównego wejścia, pod kołami samochodu na asfalcie chrzęści żwir.

Erik zdaje sobie oczywiście sprawę, że to mało prawdopodobne, aby Benjamin miał na myśli akurat ten dom, nie da się tego jednak wykluczyć. Kieruje się na północ drogą E4. W słabnącym świetle dnia zacierają się kontury. Mruga, żeby lepiej widzieć. Dopiero niebieskie światła zmierzchu przekonują umysł, że zapada mrok.

Pół godziny później zbliża się do domu strachów. Czterokrotnie próbował dodzwonić się do Kenneta, ciekaw, czy udało mu się dowiedzieć, skąd dzwonił Benjamin. Kennet nie odbierał, a Erik nie zostawił wiadomości.

Na niebie, nad wielkim jeziorem, utrzymuje się jeszcze słaba poświata, podczas gdy las jest zupełnie czarny. Erik wjeżdża powoli wąską drogą do miejscowości, która przez lata rozrastała się nad wodą. Reflektory samochodu prześlizgują się po nowo wybudowanych willach, domach z przełomu wieków i małych domkach letniskowych, błyskają w szybach okien i przesuwają się po trzykołowym rowerku na podjeździe jednego z domów. Erik zwalnia i za wysokim żywopłotem dostrzega stary dwór. Mija jeszcze parę domów i parkuje na poboczu. Wysiada z samochodu i wraca kilka kroków, otwiera furtkę do ogrodu jakiejś willi z ciemnej cegły, wchodzi na trawnik i okrąża dom. Lina chłostcze maszt flagi. Erik przechodzi przez płot na sąsiednią działkę, mija basen zakryty skrzypiącym plastikiem. Duże okna wychodzące na jezioro są czarne. Bruk przed domem pokrywają ciemne liście. Erik przyśpiesza kroku, widzi zarysy dworu po drugiej stronie żywopłotu i przeciska się między krzakami.

Ten ogród jest bardziej chroniony przed wzrokiem ciekawskich niż pozostałe, myśli.

Drogą przejeżdża samochód, reflektory oświetlają parę drzew,

a Erik przypomina sobie osobliwą fotografię od Aidy. Pożółkła trawa i krzaki. Zbliża się do drewnianego domostwa i zauważa, że coś, jakby błękitny ogień pali się w jednym z pokoi.

Stary dwór ma wysokie okna z licznymi szprosami, osłaniane przez ażurowe daszki. Muszą mieć niesamowity widok na jezioro, myśli Erik. Wysoka, sześciokątna wieżyczka przy jednym ze skrzydeł i dwa wykusze ze szpiczastymi dachami sprawiają, że dom wygląda jak miniaturowy zamek z drewna. Deski na ścianach są zasadniczo poziome, ale linię przełamuje fałszywy panel, który daje wrażenie wielowymiarowości. Futryna drzwi jest rzeźbiona – składają się na nią drewniane słupy i ładny, ostro zakończony dach.

Kiedy Erik podchodzi do okna, widzi, że błękitne światło bije od telewizora. Ktoś ogląda łyżwiarstwo figurowe. Kamery śledzą posuwiste ruchy, wirujące skoki i szybkie przejścia. Niebieska poświata migocze na ścianach pokoju. Na kanapie siedzi gruby mężczyzna w szarych spodniach od dresu. Poprawia okulary na nosie i rozpiera się wygodnie. Zdaje się, że jest sam. Na stoliku stoi tylko jedna filiżanka. Erik próbuje zajrzeć do sąsiedniego pokoju. Coś cicho szeleści za szybą. Przechodzi do następnego okna i zagląda do sypialni. Widzi niepościelone łóżko i zamknięte drzwi. Na nocnym stoliku obok szklanki na wodę leżą zmięte chusteczki higieniczne. Na ścianie wisi mapa Australii. Na parapet coś kapie. Erik idzie wzdłuż ściany do następnego okna. Zastony są zaciągnięte. Nic nie widać, ale ponownie daje się słyszeć ten dziwny szelest, tym razem połączony z jakimś stukotem.

Erik okrąża sześciokątną wieżyczkę i zagląda do jadalni. Ciemne meble ustawiono pośrodku lśniącej podłogi. Odnosi wrażenie, że są rzadko używane. Przed przeszkloną szafą na podłodze leży coś czarnego, co kojarzy mu się z futerałem na gitarę. Znowu słyszeć szelest. Erik przysuwa twarz do szyby i osłania dłońmi oczy, żeby nie widzieć odbicia szarego nieba. Nagle dostrzega wielkiego brytana pędzącego w jego stronę. Pies zderza się z oknem, ale zaraz znów zrywa się z podłogi i zaczyna ujadać. Erik cofa się, potykając

o donicę, obchodzi dom i czeka z walącym sercem.

Po chwili pies milknie, przed domem zapala się i gaśnie światło.

Erik sam nie wie, czego tu szuka. Czuje się potwornie osamotniony. Nie wie, co począć, zdaje sobie sprawę, że równie dobrze mógłby wracać do swojego pokoju w Karolinska, ale rusza w stronę frontu domu i drzwi wejściowych.

Okrążając budynek, zauważa kogoś w świetle lampy nad drzwiami. Na schodach, ubrany w puchówkę, stoi ów gruby mężczyzna. Na widok Erika na jego twarzy maluje się strach. Pewnie spodziewał się, że to dzieci robią mu kawały albo że pies zareagował na sarny.

– Dobry wieczór – wita się Erik.

– To własność prywatna! – wrzeszczy mężczyzna piskliwie.

Za zamkniętymi drzwiami zaczyna szczekać pies. Erik podchodzi bliżej i zauważa, że na podjeździe stoi żółty sportowy wóz. Ma tylko dwa siedzenia, a bagażnik jest zdecydowanie za mały, aby pomieścić człowieka.

– Czy to pana porsche? – pyta Erik.

– Tak, moje.

– Ma pan inne samochody?

– Po co chce pan to wiedzieć?

– Mój syn zaginął – odpowiada z powagą Erik.

– Nie mam innych samochodów – stwierdza grubas. –

W porządku?

Erik zapisuje numer rejestracyjny.

– Może pan już sobie iść?

– Tak – mówi Erik i rusza w stronę furtki.

Stoi przez chwilę w ciemnościach na drodze, przyglądając się staremu dworowi, a potem wraca do samochodu. Bierze swoje drewniane pudełko z papugą i tubylcem, wysypuje kilka okrągłych pigułek na dłoń, przelicza je kciukiem i wrzuca sobie do ust.

Po chwili wahania wybiera numer Simone i wsłuchuje się w sygnały. Wyobraża sobie, że pewnie jest w domu u Kenneta, je

kanapkę z salami i ogórkiem konserwowym. Sygnały wiercą dziury w ciszy. Erik ma przed oczyma tonące w ciemności mieszkanie na Luntmakargatan – hol z wieszakiem na kurtki, świecznik na ścianie, kuchnię z wąskim, długim stołem dębowym, krzesła. Listy na wycieracze, stos gazet, rachunków, zafoliowanych broszur reklamowych. Kiedy odzywa się poczta głosowa, nie nagrywa żadnej wiadomości, tylko rozłącza się, przekręca kluczyk w stacyjce, zawraca i rusza z powrotem do Sztokholmu.

Myśli o tym, że nie ma do kogo pojechać, jednocześnie zdaje sobie sprawę z ironii sytuacji. On, który tyle lat poświęcił badaniom dynamiki grupy i psychoterapii kolektywnej, nagle jest wyizolowany i samotny. Nie ma nikogo, do kogo mógłby się zwrócić, z kim chciałby porozmawiać. To przekonanie o sile wspólnoty było motorem jego kariery. Chciał zrozumieć, dlaczego ludziom, którzy przeżyli wojnę, dużo łatwiej poradzić sobie z traumą niż tym, którzy samotnie doznali podobnych przeżyć. Był ciekaw, jak to się dzieje, że członkowie torturowanej grupy łatwiej leczą rany niż samotne jednostki. Zadawał sobie pytanie, co takiego jest we wspólnocie, że uśmierza ból. Czy to odzwierciedlenie, skanalizowanie, normalizacja, czy rzeczywiście solidarność?

W żółtym świetle autostrady wybiera numer Joony. Po pięciu sygnałach rozłącza się i próbuje złapać go na komórkę.

– Tak, tu Joona – odzywa się policjant z roztargnieniem w głosie.

– Cześć, tu Erik. Znaleźliście Josefa?

– Nie – wzdycha komisarz.

– Wydaje się, że działa według własnych schematów.

– Już to mówiłem i zamierzam to powtarzać, Erik. Powinieneś przyjąć ochronę.

– Mam inne priorytety.

– Wiem.

Zapada milczenie.

– Benjamin się więcej nie odzywał? – pyta Joona, ze swym smutnym fińskim zaśpiewem.

– Nie.

Erik słyszy w tle jakiś głos, może z telewizora.

– Kennet miał namierzyć tę rozmowę, ale...

– Tak, wiem, ale to może potrwać – wtrąca Jooną. – Technicy muszą dotrzeć do centrali, nawiązać połączenie z konkretną stacją bazową.

– Ale przynajmniej wiedzą, o jaką stację chodzi?

– Wydaje mi się, że operator to wie od razu – odpowiada Jooną.

– Mógłbyś zdobyć tę informację? O tej stacji?

Zapada cisza. Po chwili Erik słyszy spokojny głos Joony:

– Dlaczego nie porozmawiasz z Kennetem?

– Nie mogę się do niego dodzwonić.

Jooną wzdycha cicho.

– Sprawdzę to, ale nie obiecuj sobie zbyt wiele.

– Co masz na myśli?

– Tylko tyle, że prawdopodobnie będzie chodzić o stację bazową w Sztokholmie, a to nam nic nie powie, dopóki technik nie sprecyzuje pozycji.

Erik słyszy, jak Jooną coś odkręca, jakby pokrywkę ze słoika.

– Muszę zrobić mamie zielonej herbaty – wyjaśnia krótko policjant.

Szumi woda puszczona z kranu.

Erik na sekundę wstrzymuje oddech. Wie, że Jooną będzie traktować priorytetowo ucieczkę Josefa Eka, wie, że przypadek Benjamina w żadnym razie nie jest dla policji wyjątkowy. Zaginiony nastolatek to bynajmniej nie to, czym krajowa policja kryminalna zajmuje się na co dzień. Musi jednak go o to zapytać, nie może tego tak zostawić:

– Jooną – mówi Erik. – Chciałbym, żebyś ty wziął sprawę porwania Benjamina, bardzo tego pragnę, czułbym się...

Milknie, czuje ból w szczękach, nieświadomie je zaciskał.

– I ty, i ja wiemy – ciągnie Erik – że to nie jest zwykłe zaginięcie. Ktoś wstrzyknął Simone i Benjaminowi środek znieczulający

używany w chirurgii. Wiem, że na pierwszym miejscu stawiasz poszukiwania Josefa Eka, i rozumiem, że Benjamin to już nie twoja sprawa, odkąd zniknęło powiązanie z Josefem, ale może stało się coś o wiele gorszego...

Milknij, zbyt wzburzony, żeby kontynuować.

– Mówiłem o chorobie syna – wydusza z siebie. – Za dwa dni jego krew nie będzie chroniona przez czynnik, który wspomaga krzepnięcie. Za tydzień naczynia krwionośne będą tak nadwerężone, że może się to skończyć paraliżem albo wylewem krwi do mózgu lub do płuc, jeśli zakaszle.

– Musimy go znaleźć – mówi Joon.

– Jesteś w stanie pomóc?

Błaganie Erika zawisa bezbrinnie w powietrzu. To nie ma znaczenia. Padłby chętnie na kolana i zebrał o pomoc. Ręka trzymająca telefon jest mokra i śliska od potu.

– Nie mogę tak po prostu przejąć postępowania przygotowawczego od sztokholmskiej policji – tłumaczy Joon.

– Gość nazywa się Fredrik Stensund, wydaje się miły, ale raczej nie opuści ciepłego biura.

– Wiedzą, co robią.

– Nie oszukuj mnie – prosi cicho Erik.

– Nie wydaje mi się, żebym mógł przejąć sprawę – stwierdza ciężko Joon. – Nie można nic na to poradzić. Ale spróbuję ci jakoś pomóc. Musisz usiąść i zastanowić się, kto mógł porwać Benjamin. To mógł być ktoś, kto widział cię na pierwszych stronach gazet. Albo ktoś, kogo znasz. Jeśli nie masz podejrzanego, to nie masz też wskazówki, nic. Musisz się zastanowić, przeanalizować swoje życie, raz, drugi, trzeci, wszystkich, których znasz, których znają Simone lub Benjamin. Sąsiadów, krewnych, kolegów z pracy, pacjentów, konkurencję, przyjaciół. Czy ktoś kiedyś ci groził? Albo Benjaminowi? Spróbuj sobie przypomnieć. To mogło być działanie pod wpływem impulsu, albo też planowane od lat. Zastanów się bardzo dokładnie. Potem daj mi znać.

Erik otwiera usta, żeby jeszcze raz poprosić Joonę o przejęcie dochodzenia, ale zanim zdąży się odezwać, słyszy po drugiej stronie kliknięcie. Siedzi w samochodzie i piekącymi oczyma wpatruje się w ruch na autostradzie.

34 NOC Z CZTERNASTEGO NA PIĘTNASTY GRUDNIA

W szpitalnym gabinecie jest ciemno i zimno. Erik zdejmuje buty. Wieszając kurtkę, czuje zapach wilgotnej zieleni. Trzęsąc się z zimna, gotuje wodę na płycie kuchennej, robi sobie herbatę, zażywa dwie silnie uspokajające tabletki i siada przy biurku. Wszystkie lampy, poza stojącą na blacie, są zgaszone. Patrzy prosto w czarną, gęstą ciemność za szybą, w której, obok lustrzanego odbicia stożka światła, majaczy jego cień. Kto mnie nienawidzi, zastanawia się. Kto mi zazdrości, kto chce mnie ukarać, odebrać wszystko, co mam, odebrać życie, to, co we mnie żywe, kto chce mnie zmiążdżyć?

Erik wstaje od biurka, zapala górne światło, zaczyna chodzić tam i z powrotem, staje, wyciąga rękę po telefon, przewracając przy tym plastikowy kubek z wodą na stole. Niewielki strumyczek powoli podpływa do „Gazety Lekarskiej”. Nie mogąc zebrać myśli, wybiera numer komórki Simone, nagrywa krótką wiadomość, że chciałby jeszcze raz zajrzeć do komputera Benjamina, i milknie, niezdolny wykrztusić nic więcej.

– Wybacz – mówi cicho i rzuca telefon na stół.

W korytarzu słychać buczenie windy, dzwonek i rozsuwane drzwi, potem skrzypiący odgłos kółek szpitalnego łóżka.

Tabletki zaczynają działać. Czuje, jak ogarnia go spokój, rosnący w nim niczym gotujące się mleko w garnku, jak wspomnienie, ruch wewnątrz ciała, ssanie w żołądku, prosto przez korpus. Jak spadanie z dużej wysokości, najpierw przez czyste, chłodne powietrze, potem w ciepłą, bogatą w tlen wodę.

– No, dalej – mówi sam do siebie.

Ktoś porwał Benjamina, zrobił to, by mnie skrzywdzić, w mojej

pamięci musi być jakieś okno, przez które widać motyw, myśli.

– Znajdę cię – szeptem.

Erik przygląda się przemoczonym stronom „Gazety Lekarskiej”. Na jednym ze zdjęć nowa szefowa Instytutu Karolinska pochyla się nad biurkiem. Na namokniętej fotografii twarz ma niewyraźną i ciemną. Kiedy Erik próbuje usunąć gazetę, zauważa, że przykleiła się do stołu. Ostatnia strona z ogłoszeniami oderwała się, pozostawiając na wpół przerwane litery tekstu o Global Health Conference. Siada na krześle i zaczyna paznokciem kciuka zdrapywać resztki papieru, gdy nagle drętwieje w pół ruchu, wpatrzony w kombinację liter: e u A.

Z głębin pamięci wytacza się ospała fala, pełna skojarzeń i rozmazanych twarzy, a w końcu pojawia się całkiem wyraźny obraz kobiety, która odmawia oddania jakiejś skradzionej rzeczy. Erik wie, że na imię ma Eva. Jej usta są napięte, na wąskie wargi wystąpiły krople spienionej śliny. Kobieta wrzeszczy na niego, urażona i wściekła: „To ty bierzesz! Bierzesz, bierzesz i bierzesz! Co byś, kurwa, powiedział, gdybym to ja coś ci odebrała? Jak byś się poczuł?”. Chowa twarz w dłoniach i mówi, że go nienawidzi, powtarza to co chwila, może sto razy, zanim się uspokoi. Ma blade policzki, zaczerwienione powieki, patrzy na niego, zagubiona i wyczerpana. Erik pamięta ją, zdaje sobie sprawę, że pamięta ją bardzo dobrze.

Eva Blau, powtarza w myślach. Już wtedy, od samego początku wiedział, że popełnia błąd, przyjmując ją jako pacjentkę.

Minęło wiele lat, od kiedy korzystał z hipnozy jako silnego i skutecznego środka w terapii. Eva Blau. Nazwisko przychodzi z granicy czasu. Zanim skończył z hipnozą. Zanim obiecał, że już nigdy więcej tego nie robi.

Tak mocno wierzył w hipnozę. Widział przecież, że jeśli kogoś wprowadzi się w trans przy innych pacjentach, to ta zakazana inwazja, naruszenie prywatności i upokorzenie nie są tak bolesne. Miało być trudniej zaprzeczać, a łatwiej leczyć. Wina podzielona,

osobowość sprawcy i ofiary rozproszone. Nie można było oskarżać się o to, co się stało, jeśli przebywało się w jednym pokoju z ludźmi o podobnych przeżyciach.

Dlaczego Eva Blau została jego pacjentką? W tej chwili nie pamięta, co było źródłem jej cierpienia. Miał styczność z tyloma strasznymi losami. Przychodzili do niego ludzie ze zrujnowaną przeszłością – nieraz agresywni, zawsze załęknięci, z obsesjami, paranojami, często okaleczeni lub po próbie samobójczej. Wielu z nich stawało przed nim, za sobą mając jedynie cienką ściankę odgradzającą ich od psychozy i schizofrenii. Byli systematycznie bici, torturowani, poddawani pozornym egzekucjom, stracili dzieci, byli ofiarami kazirodztwa, gwałtów, świadkami potworności, albo też zmuszano ich, by w nich uczestniczyli.

Co ona takiego ukradła? Oskarżyłem ją o kradzież, ale co ona ukradła?

Nie może sobie przypomnieć, wstaje, robi kilka kroków, zatrzymuje się i zaciska powieki. Coś jeszcze się wydarzyło, ale co? Czy miało to coś wspólnego z Benjaminem? Przy którejś okazji wyjaśnił Evie Blau, że może poszukać dla niej innej grupy terapeutycznej. Dlaczego nie może sobie przypomnieć, o co wtedy chodziło? Zaczęła mu grozić?

Jedynie, co jest w stanie przywołać z pamięci, to jedno z pierwszych spotkań tu, u niego w gabinecie: Eva Blau zgoliła włosy i pomalowała powieki. Siedziała na kanapie, rozpięta bluzkę i ze stoickim spokojem pokazała mu swoje białe piersi.

– Byłaś u mnie w domu – rzekł Erik.

– A ty byłeś u mnie – odbiła piłeczkę Eva.

– Evo, ty mi opowiadałaś o swoim domu. Włamanie to co innego.

– Nie włamałam się.

– Rozbiłaś okno.

– To kamień rozbił okno.

Klucz tkwi w zamku szafy na dokumenty, drewniane poprzeczki gładko się przesuwają, Erik otwiera klapę i zaczyna poszukiwania. To gdzieś tu, myśli. Wiem, że gdzieś tu znajdę coś o Evie Blau.

Gdy jego pacjenci z jakiegoś powodu reagują inaczej, niż można by się spodziewać, jeśli wykraczają poza ramy swojego stanu, ma zwyczaj zachowywania materiałów na ich temat, do czasu kiedy zrozumie, skąd te odchylenia.

Może to być notatka, spostrzeżenie albo jakiś zapomniany przedmiot. Przesuwa papiery, zeszyty, karteczki i kwitki z zapiskami. Wyblakłe zdjęcia w plastikowej teczce, twardego dysku, kilka pamiętników z czasów, kiedy jeszcze wierzył w totalną otwartość między pacjentem a lekarzem, rysunek, który namalowało pewnej nocy jakieś dziecko po przejściach. Mnóstwo kaset magnetofonowych i wideo z wykładów w Instytucie Karolinska. Książka Hermanna Brocha pełna jego notatek na marginesach. Dłonie Erika nieruchomieją. Czuje łaskotanie w opuszkach palców. Jedna z kaset VHS owinięta jest w kartkę papieru przewiązanego gumką. Na jej grzbiecie widnieje napis: Erik Maria Bark, kasetka 14. Ściąga papier, nachyla lampkę i poznaje swój styl pisma: „Dom strachów”.

Przechodzi go lodowaty dreszcz. Włosy na karku unoszą się, nagle słyszy tykanie swojego zegarka. W głowie huczy, serce szybko bije. Erik siada na krześle, znowu spogląda na kasetę, drżącymi rękami bierze ze stołu telefon i dzwoni do woźnego z prośbą o przywiezienie do jego pokoju odtwarzacza VHS. Nogi ma jak z ołowiu, podchodzi do okna, rozchyła żaluzje, a potem stoi, obserwując zalegającą na podwórzu wilgotną pokrywą śnieżną. Ciężkie płatki padają powoli, na ukos i lądują na jego oknie, tracą kolor i topią się od ciepła szyby. Erik powtarza sobie, że to prawdopodobnie przypadek, dziwny zbieg okoliczności, ale jednocześnie zdaje sobie sprawę, że kawałki układanki będą przypuszczalnie do siebie pasować.

Dom strachów, tylko te dwa słowa na kawałku papieru, a mają

wystarczającą moc, żeby cofnąć go z powrotem w przeszłość. Do czasów, kiedy jeszcze poświęcał się hipnozie. Wie o tym. Wbrew własnej woli podchodzi do ciemnego okna i próbuje dostrzec, co się kryje za lustrzanymi odbiciami minionego czasu.

Woźny cicho puka do drzwi. Erik otwiera, potwierdza zamówienie i wtacza do pokoju stojak z telewizorem i przestarzałym sprzętem wideo.

Wkłada kasetę, gasi górne światło i siada.

– Już prawie zapomniałem – mówi do siebie, kierując pilota na telewizor.

Obraz migocze, a dźwięk trzeszczy przez chwilę, potem Erik słyszy własny głos przez głośniki telewizora. Brzmi, jakby był przeziębiony, bez entuzjazmu wymienia miejsce, datę i godzinę i kończy słowami:

– Mieliśmy krótką przerwę, ale nadal znajdujemy się w stanie posthipnotycznym.

Minęło ponad dziesięć lat, myśli, patrząc w ekran. Statyw z kamerą się podnosi. Obraz skacze, potem się uspokaja. Obiekttyw skierowany jest na krzesła ustawione półkolem. Potem przed kamerą pojawia się on sam. Zaczyna ustawiać równo krzesła. W jego dziesięć lat młodszym ciele jest jakaś lekkość, sprężystość kroku, którą już utracił. Na nagraniu wideo jego włosy nie są jeszcze siwe, nie ma też głębokich zmarszczek na czole i policzkach.

Przychodzą pacjenci, ruszają się apatycznie. Siadają na swoich miejscach. Niektórzy rozmawiają ze sobą przyciszonymi głosami. Jedna osoba się śmieje. Trudno rozróżnić twarze, jakość nagrania jest zła, postacie ziarniste i niewyraźne.

Erik przełyka ślinę. Słyszy siebie, jak zniekształconym przez nagranie głosem mówi, że czas kontynuować sesję. Kilko pacjentów rozmawia, inni siedzą w milczeniu. Skrzypi krzesło. Widzi siebie stojącego pod ścianą i robiącego notatki. Nagle rozlega się pukanie i wchodzi Eva Blau. Jest zdenerwowana, Erik zauważa czerwone plamy na szyi i policzkach, odbiera od niej płaszcz, wiesz

go, prowadzi do grupy, przedstawia ją w kilku słowach i wita na zajęciach. Pozostali kiwają powściągliwie głowami, może ktoś rzuca szeptem „cześć”, niektórzy udają, że jej nie widzą, i wbijają wzrok w podłogę.

Erik pamięta tę atmosferę: grupa była pod wpływem pierwszego seansu hipnozy przed przerwą i pojawienie się nowej osoby burzyło ich spokój. Już się znali i zaczęli nawzajem utożsamiać się ze swoimi historiami.

Grupa składała się maksymalnie z ośmiu osób, a terapia polegała na tym, żeby pod wpływem hipnozy badać przeszłość każdego z uczestników, zbliżyć się do bolesnego miejsca. W trans wchodziło się na oczach grupy i wspólnie z grupą. Zamysł był taki, aby dzięki tej metodzie stać się czymś więcej niż tylko świadkiem przeżyć innych – przez hipnotyczną otwartość dzielić ból i móc wspólnie cierpieć, jak po zbiorowych katastrofach.

Eva Blau siada na wolnym krześle, przez moment spogląda prosto w obiektyw kamery, a na jej twarzy pojawia się wyraz wrogości.

To jest kobieta, która przed dziesięciu laty włamała się do jego domu. Ale co ukradła i co jeszcze zrobiła?

Drugą część sesji otwiera, nawiązując do pierwszej i dopełniając wolnymi, żartobliwymi skojarzeniami. To był jego sposób na poprawienie pacjentom nastroju, przekonanie ich, że pewna beztroska była możliwa, mimo ciągłej obecności tych ciemnych, bezdennych, ukrytych nurtów we wszystkim, co mówiono czy robiono. Erik staje przed grupą.

– Zaczniemy od myśli i skojarzeń wokół pierwszej części sesji – mówi. – Czy ktoś chciałby skomentować?

– Pesząca – odzywa się młoda, tęga kobieta z mocnym makijażem. Sibel, myśli Erik. To Sibel.

– Frustrująca – dodaje po norrländzku Jussi. – To znaczy... Zdażyłem utworzyć oczy i podrapać się po łbie i już było po wszystkim.

– Co poczułeś? – pyta Erik.

– Włosy – odpowiada Jussi z uśmiechem.

– Włosy? – Sibel chichocze.

– Na głowie – wyjaśnia Jussi.

Kilka osób śmieje się z żartu. Na ponurej twarzy Jussiego pojawia się cień radości.

– Skojarzenia z włosami – kontynuuje Erik. – Charlotte?

– Nie wiem... – mówi kobieta. – Włosy? Może broda... Nie.

– Hipis, hipis na chopperze – odzywa się Pierre z uśmiechem. –

Siedzi o tak, żuje juicyfruta i mknie...

Eva wstaje nagle, odsuwa z hałasem krzesło i protestuje:

– Przecież to jakaś dziecinada.

– Dlaczego tak uważasz? – pyta Erik.

Eva nie odpowiada, tylko siada z powrotem na swoim miejscu.

– Pierre, mów dalej – prosi Erik.

Mężczyzna potrząsa głową, krzyżuje palce wskazujące i udaje, że zasłania się przed Evą.

Pierre szepce konspiracyjnie. Jussi podnosi w stronę nowo przybyłej rękę i mówi coś w swoim dialekcie norrlandzkim.

Erikowi zdaje się, że słyszy jego słowa, szuka po omacku pilota, rzucając go przy tym na podłogę, przez co wylatują z niego baterie.

– Co za wariactwo – mówi do siebie, klękając.

Z trzęsącymi się dłońmi naciska przycisk przewijania, puszcza film i podkręca głośność.

– To jakaś dziecinada – stwierdza Eva Blau.

– Dlaczego tak uważasz? – pyta Erik, a kiedy nie uzyskuje odpowiedzi, zwraca się do Pierre'a i prosi, żeby dalej mówił o swoim skojarzeniu.

Ten potrząsa głową i krzyżuje palce.

– Zastrzelili Dennisa Hoppera, bo był hipisem – mówi szeptem.

Sibel chichocze i zerka na Erika. Jussi odchrząkuje i podnosi rękę w stronę Ewy.

– W domu strachów dziecinady nie będzie – oświadcza.

Wszyscy milkną. Eva odwraca się w jego stronę, wygląda tak,

jakby chciała zareagować agresją, ale coś każe jej odpuścić, może powaga w jego głosie i spokój w spojrzeniu.

Dom strachów – huczy Erikowi w głowie. Jednocześnie słyszy siebie wyjaśniającego procedurę hipnozy: zawsze zaczynają od wspólnych ćwiczeń rozluźniających, zanim wprowadzi w trans jedną lub więcej osób.

– A czasami – ciągnie – jeśli czuję, że to zadziała, próbuję całą grupę wprowadzić w stan głębokiej hipnozy.

Erik myśli o tym, że ta sytuacja jest dla niego jednocześnie tak swojska i tak przeraźliwie daleka, z innej epoki, z czasów, zanim zrezygnował z hipnozy. Przygląda się, jak na ekranie przysuwa sobie krzesło, siada naprzeciw półkola ludzi, przemawia do nich, skłania do zamknięcia oczu i odchylenia się na oparcia. Po jakimś czasie prosi, żeby usiedli prosto, ale nie otwierali oczu. Wstaje, mówi o rozluźnianiu, chodzi za ich plecami, obserwuje stopień odprężenia u każdego z nich. Twarze stają się coraz bardziej miękkie, zwiotczałe, coraz mniej świadome, coraz dalsze od sztuczności i kokieterii.

Staje za Evą Blau i kładzie ciężką rękę na jej ramieniu. Erik czuje mrowienie w brzuchu, słuchając swojego głosu inicjującego trans, jak miękko prześlizguje się przez błyskawiczną indukcję z ukrytymi poleceniami, całkowicie pewien swoich umiejętności, rozkoszujący się swoimi wyjątkowymi zdolnościami.

– Masz dziesięć lat, Evo – mówi. – Masz dziesięć lat. To dobry dzień. Cieszysz się. Dlaczego się cieszysz?

– Bo ten pan tańczy, rozpryskując kałuże – odpowiada z ledwie widocznymi skurczami twarzy.

– Kto tańczy?

– Kto? – powtarza Eva. – Mama mówi, że Gene Kelly.

– Aha, oglądasz *Deszczową piosenkę*?

– Mama ogląda.

– Ty nie.

– Też.

– I cieszysz się?

Kobieta powoli potakuje.

– Co się dzieje?

Eva zamyka usta i spuszcza głowę.

– Eva?

– Mój brzuch jest wielki – mówi ledwo słyszalnie.

– Twój brzuch?

– Widzę, że jest ogromny – powtarza Eva, a po policzkach zaczynają jej płynąć łzy.

– Dom strachów – szepce Jussi. – Dom strachów.

– Evo, słuchaj mnie – ciągnie Erik. – Słyszysz wszystkich, którzy są w tym pokoju, ale tylko mojego głosu masz słuchać. Nie obchodzi cię, co mówią inni, zwracaj uwagę tylko na mój głos.

– Okej.

– Wiesz, dlaczego twój brzuch jest duży? – pyta Erik.

Jej twarz jest skryta, pogrążona w myślach, jakichś wspomnieniach.

– Nie wiem.

– Ja myślę, że wiesz – oznajmia spokojnie Erik. – Ale dojdziemy do tego w twoim własnym tempie, Evo. Nie musisz teraz o tym myśleć. Chcesz znowu popatrzeć na telewizję? Pójdę z tobą, wszyscy będą ci towarzyszyć, całą drogę, bez względu na to, co się stanie, masz nasze słowo. Obiecaliśmy ci i możesz na nas polegać.

– Chcę do domu strachów – szepce Eva.

Erik siedzi na kozetce w swoim pokoiku w szpitalu, czuje, że zbliża się do własnych ciemnych miejsc, zbliża się do tego, co zapomniane, wyparte.

Przeciera oczy, patrzy w migoczący ekran i mamrocze:

– Otwórz drzwi.

Słyszy swój głos wypowiadający liczby, które pogłębiają jej trans, wyjaśnia jej, że za chwilę będzie robić to, co on jej powie, bez namysłu, ma po prostu zaakceptować to, że jego głos ją poprowadzi. Kobieta lekko kiwa głową, a Erik dalej odlicza, liczby padają powoli

i usypiająco.

Jakość obrazu szybko się pogarsza: Eva patrzy w górę mętным wzrokiem, zwilża wargi i szepce:

- Widzę, jak kogoś zabierają, podchodzą i zabierają...
- Kto zabiera? – pyta Erik.
- Mężczyzna z kucykiem – jęczy Eva. – Wiesza małego...

Taśma trzeszczy i obraz znika.

Erik przewija nagranie do końca, ale obraz nie powraca, połowa filmu jest zniszczona, skasowana.

Siedzi przed czarnym ekranem telewizora. Patrzy na swoje odbicie w głębi ciemnego ekranu telewizora. Jednocześnie patrzy na swoją starszą o dziesięć lat twarz i twarz tego, kim był wtedy. Spogląda na kasetę wideo numer 14, na gumkę i kartkę z napisem „Dom strachów”.

35 WTOREK RANO, PIĘTNASTY GRUDNIA

Erik naciska dziesięć razy guzik w windzie, jeszcze zanim zamkną się drzwi. Wie, że niczego tym nie przyśpieszy, ale nie może się powstrzymać. Słowa Benjamina wypowiedziane w ciemnościach bagażnika mieszają się z mnóstwem dziwnych fragmentów wspomnień, które wywołała kasetka wideo. Wciąż powraca cichy głos Ewy Blau, że mężczyzna z kucykiem kogoś zabrał. Ale w wyrazie jej ust był jakiś fałsz.

W górze szybu słychać łoskot, podczas gdy winda sunie w dół.

– Dom strachów – powtarza Erik, czepiając się jednocześnie nadziei, że to tylko zbieg okoliczności, że zniknięcie Benjamina nie ma nic wspólnego z jego przeszłością.

Winda staje, drzwi się rozsuwają. Biegnie przez parking podziemny, do wąskiej klatki schodowej. Dwa poziomy niżej otwiera kluczem stalowe drzwi, idzie dalej białym tunelem do kolejnej bramy zabezpieczonej alarmem i wciska mocno guzik domofonu. Odzywa się niechętny głos. Erik nachyla się i do mikrofonu wyjaśnia, z jaką sprawą przychodzi. Nikt tu nie jest mile widziany, myśli. W magazynie znajduje się zarchiwizowana dokumentacja wszystkich pacjentów, wyniki wszystkich badań naukowych, wszystkie eksperymenty, sprawozdania z testów, dyskusje na temat neurosedynu i kontrowersyjnych pomysłów badawczych. Na półkach stoją tysiące segregatorów, w których zachowane są wyniki nieoficjalnych analiz krwi osób z podejrzeniem nosicielstwa wirusa HIV, dane o przymusowych sterylizacjach, eksperymentach dentystycznych na pacjentach opóźnionych w rozwoju, przeprowadzane przed reformą opieki stomatologicznej. Zmuszano wtedy dzieci z domów dziecka, ludzi chorych psychicznie i starców do przesiadywania z masą cukrową w ustach, aż do rozpuszczenia się szkliwa na zębach.

Buczy zamek w drzwiach i Erik wchodzi do pomieszczenia, które rozjaśnia niespodziewanie ciepłe światło. Magazyn sprawia wrażenie przytulności, nie kojarząc się wcale z podziemną norą bez okien.

Z budki strażnika dobiegają dźwięki opery: perlista koloratura mezzosopranu. Erik zbiera się w sobie, próbuje przybrać spokojny wyraz twarzy, wydobyć z zapomnienia jakiś uśmiech i po chwili podchodzi do dozorczy.

Niski mężczyzna w słomianym kapeluszu stoi plecami do wejścia i podlewa kwiaty.

– Cześć, Kurcik.

Dozorca odwraca się i uśmiecha, mile zaskoczony:

– Erik Maria Bark, kopę lat! Co u ciebie?

Erik nie wie, co odpowiedzieć.

– Nie za dobrze – mówi szczerze. – W mojej rodzinie kiepsko się dzieje.

– Ach, no tak, to...

– Piękne kwiaty – zauważa Erik, żeby zmienić temat.

– Bratki. Mam hopla na ich punkcie. Conny zrzędził, że nic tu nie zakwitnie. „Nic?”, zapytałem. Popatrz na mnie!

– Widzę.

– Wszędzie zainstalowałem lampy kwarcowe.

– No proszę.

– Niezłe solarium – żartuje Kurt, podając Erikowi tubkę kremu z filtrem.

– Nie mogę niestety długo zostać.

– Nałóż sobie trochę na nos – radzi Kurt, wyciska odrobinę kremu i podsuwa Erikowi.

– Dzięki, ale...

Kurt zniża głos i z błyskiem w oku szepce:

– Czasami chodzę tu w samych gaciach. Ale nikomu nie mów.

Erik uśmiecha się do niego, czując, że wszystkie mięśnie twarzy ma napięte. Zapada cisza, Kurt przygląda się gościowi.

– Dawno temu – zaczyna Erik – nagrywałem moje seanse hipnozy.

– Jak dawno?

– Jakieś dziesięć lat, chodzi o serię kaset VHS, które...

– VHS?

– Tak, to już wtedy było kompletnie przestarzałe – wyjaśnia Erik.

– Wszystkie kasety wideo zostały zdigitalizowane.

– Świetnie.

– Są w komputerowym archiwum.

– Jak się do niego dostać?

Kurt uśmiecha się, pokazując biel zębów kontrastującą z opalenizną twarzy.

– Tutaj wkraczam ja.

Podchodzą do wnęki za półkami, w której znajdują się cztery stanowiska komputerowe.

Kurt szybko wstukuje hasło i przegląda foldery z nagraniami.

– Czy te kasety będą podpisane twoim nazwiskiem?

– Powinny być.

– Ale nie są – stwierdza po chwili Kurt. – Spróbuję pod hasłem „hipnoza”.

Wpisuje słowo i włącza szukanie.

– Tu coś mamy, zobacz.

Żaden z wyników nie dotyczy dokumentacji Erika. Jedyne, co ma z nim jakikolwiek związek, to zestawienie wniosków i przyznanych środków. Wstukuje hasło „dom strachów”, potem „Eva Blau”, mimo że członkowie jego grupy nie byli wpisani jako pacjenci szpitala.

– Nie ma nic – stwierdza ze zmęczeniem.

– No tak, było trochę kłopotów z przeniesieniem nagrań do komputera – mówi Kurt. – Mnóstwo materiałów uległo zniszczeniu, cały betamax i...

– Kto robił transfer?

Kurt odwraca się do niego przodem i wzrusza przepaszająco ramionami:

– Ja i Conny.

– Ale oryginalne kasety muszą gdzieś być – zauważa z nadzieją Erik.

– Przykro mi, ale nie mam pojęcia.

– Myślisz, że Conny będzie coś wiedział?

– Nie.

– Zadzwoń i zapytaj, proszę.

– Jest w Simrishamn.

Erik odwraca się i próbuje spokojnie wszystko przemyśleć.

– Wiem, że sporo rzeczy zostało przez pomyłkę skasowanych – odzywa się Kurt.

Erik wlepia w niego wzrok. Ręce mu opadają.

– To wyjątkowe badania.

– Mówiłem już, że mi przykro.

– Wiem, nie miałem na myśli...

Kurt odrywa zwiędnięty liść.

– Ale ty podobno skończyłeś z hipnozą? Prawda?

– Tak, ale teraz muszę coś sprawdzić...

Erik milknie, nie ma siły mówić dalej, pragnie tylko wrócić do pokoju, zażyć tabletkę i iść spać.

– Zawsze mieliśmy tu na dole problemy techniczne – ciągnie Kurt.

– Ale za każdym razem, jak o tym wspominamy, odpowiadają, że mamy robić co się da. „Nie przejmujcie się”, powiedzieli, kiedy przez przypadek skasowaliśmy dziesięcioletnie badania nad lobotomią. Stare nagrania, na taśmie szesnastomilimetrowej, które przeniesiono w latach osiemdziesiątych na kasety wideo, ale pokonała je era komputerów.

36 WTOREK RANO, PIĘTNASTY GRUDNIA

Wczesnym rankiem ogromny cień ratusza kładzie się na fasadzie komendy. Jedynie środkowa, najwyższa wieża skąpana jest w słońcu. W ciągu pierwszych godzin poranka cień kurczy się i budynek policji lśni złotem. Błyszczą miedziane dachy, a piękne wbudowane rynny i miedziane zbiorniki na wodę pokryte są migotliwą rosą. Światło utrzymuje się w ciągu dnia, podczas gdy cienie drzew obracają się niczym wskazówki zegarów, i dopiero parę godzin przed zmierzchem fasada znów szarzeje.

Carlos Eliasson stoi przy swoim akwarium i wygląda przez okno, kiedy do drzwi puka Joono i wchodzi do środka.

Carlos się odwraca. Na widok Joony jego twarz jak zwykle wyraża sprzeczne uczucia. Z mieszaniną wstydu, radości i niechęci wita go, gestem zaprasza, żeby usiadł, i wtedy Erik zauważa, że w rękę ściska puszkę z karmą dla rybek.

– Widziałem właśnie, że spadł śnieg – mówi niezobowiązującym tonem, stawiając karmę obok akwarium.

Joono siada i zerka za okno. Cienka, sucha warstewka śniegu pokrywa park Kronoberg.

– Może będziemy mieli białe święta, kto wie? – Carlos uśmiecha się nieznacznie i zasiada po drugiej stronie biurka. – W Skanii, gdzie się wychowałem, nigdy nie mieliśmy pogody na Boże Narodzenie, cały czas było tak samo. Ponure światło nad polami...

Carlos urywa w pół zdania.

– Ale ty zapewne nie przyszedłeś tu na pogawędki o pogodzie – stwierdza szorstko.

– Nie do końca.

Joono patrzy na niego spokojnie i odchyła się na krześle:

– Chcę przejąć sprawę zaginięcia syna Erika Marii Barka.

– Nie – odmawia Carlos kategorycznie.

– To ja zacząłem...

– Nie, Joono, miałeś zajmować się tym dopóty, dopóki istniało powiązanie z Josefem Ekiem.

– Nadal istnieje – upiera się Joono.

Carlos wstaje, robi kilka niecierpliwych kroków i zwraca się do Joony:

– Nasze dyrektywy są jasne jak słońce, nie na to mamy środki, żeby...

– Moim zdaniem porwanie ma bezpośredni związek z zahipnotyzowaniem Josefa Eka.

– Coś ty znowu wymyślił? – pyta z irytacją Carlos.

– Że to nie może być przypadek, że syn Erika Marii Barka zaginął ledwie kilka dni po tej akcji.

Carlos siada z powrotem i próbuje argumentować, choć już z mniejszym przekonaniem:

– Chłopak, który uciekł z domu, to nie jest sprawa dla Rikskrimu, tak nie można.

– On nie uciekł z domu – ucina Joono.

Carlos zerka na rybki, nachyla się nad biurkiem i zniża głos:

– Tylko z tego powodu, Joono, że masz lekkie wyrzuty sumienia, nie mogę pozwolić ci...

– W takim razie żądam przeniesienia – oznajmia Joono, wstając.

– Do?

– Do wydziału, który zajmie się tą sprawą.

– Znowu się upierasz – mówi Carlos ze zdenerwowaniem i drapie się po głowie.

– Ale znowu będę miał rację. – Joono się uśmiecha.

– Boże – wzdycha Carlos, ponownie zerka na swoje rybki i ze zmartwieniem potrząsa głową.

Joono rusza w stronę drzwi.

– Czeka! – woła Carlos.

Komisarz zatrzymuje się i odwraca. Unosi brwi, jakby chciał zadać pytanie.

– Zgoda.

– Za to nie będziesz musiał przyznawać, że miałem rację.

– W porządku.

Joona zjeżdża windą i wysiada na swoim korytarzu, wita się z Anją, która macha mu ręką, nie podnosząc oczu znad komputera, i mija pokój Pettera Näslunda, z którego słychać dźwięki radia. Dziennikarz sportowy ze sztucznym entuzjazmem w głosie komentuje biathlon kobiet. Joona cofa się i idzie z powrotem do Anji.

– Nie mam czasu – mówi policjantka, nie patrząc na niego.

– Ależ tak, masz czas – odpowiada spokojnie Joona.

– Robię coś bardzo ważnego.

Joona próbuje zajrzeć jej przez ramię.

– Nad czym pracujesz? – pyta.

– Nad niczym.

– A to co jest?

Anja wzdycha.

– Aukcja. Mam teraz najwyższą ofertę, ale jakiś idiota cały czas podbija cenę.

– Aukcja?

– Zbieram figurki Lisy Larsson – wyjaśnia zwięźle.

– Te gliniane grubaski?

– To sztuka, ale ty i tak tego nie zrozumiesz.

Wpatruje się w ekran.

– Zaraz się skończy. Żeby tylko nikt mnie teraz nie przebił, to...

– Potrzebuję twojej pomocy – upiera się Joona. – W czymś, co ma związek z twoją pracą. Jest to dość ważne.

– Czeka, czekaj, czekaj.

Powstrzymuje go gestem.

– Tak, mam je! Mam je! Mam Amalię i Emmę.

Szybko zamyka stronę.

– W porządku, Joona, stary Finie. W czym mogę ci pomóc?

– Masz pomęczyć operatorów sieci komórkowych i dopilnować,

żeby mi namierzyli rozmowę z telefonu Benjamina Barka z zeszłej niedzieli. Potrzebuję jasnej informacji, skąd dzwonił. W ciągu pięciu minut.

– Boże, ale masz zły humor – wzdycha policjantka.

– Trzy minuty – zmienia zdanie Jooną. – Twoje zakupy w sieci kosztują cię dwie minuty.

– A idźżeż do diabła – mówi miękko Anja za wychodzącym Jooną.

Jooną wraca do swojego biura, zamyka drzwi i przegląda pocztę. Czyta kartkę od Disy. Wyjechała do Londynu i pisze, że za nim tęskni. Disa wie, że nienawidzi zdjęć szympansów grających w golfa czy zaplątujących się w papier toaletowy, i właśnie dlatego zawsze udaje jej się znaleźć widokówkę z podobnym motywem. Jooną waha się, czy odwrócić kartkę, czy też od razu ją wyrzucić, ale oczywiście ciekawość bierze górę. Odwraca i czuje dreszcz obrzydzenia. Buldog z kapitańską brodą, w czapce marynarskiej i z fajką w pysku. Uśmiecha się na myśl o wysiłkach Disy i wieszka kartkę na korkowej tablicy. W tej samej chwili dzwoni telefon.

– Tak?

– Mam – mówi Anja.

– Szybko ci poszło.

– Powiedzieli, że mieli problemy techniczne, ale że już dzwoniли do komisarza Kenneta Stränga godzinę temu i że stacja bazowa jest w Gävle.

– W Gävle – powtarza Jooną.

– Jeszcze nie skończyli, tak mówią. Za dzień lub dwa, w każdym razie w tym tygodniu, będą mogli dokładnie powiedzieć, skąd chłopak dzwonił.

– Mogłaś przyjść mi to powiedzieć, masz do mnie tylko cztery metry...

– Ale nie jestem twoją gosposią, prawda?

– Prawda.

Jooną zapisuje „Gävle” na pustej stronie w leżącym przed nim notesie i po chwili znowu podnosi słuchawkę.

- Erik Maria Bark. - Erik odbiera niemal natychmiast.
 - Tu Joonna.
 - Jak idzie? Masz coś?
 - Właśnie dostałem przybliżoną lokalizację.
 - Gdzie?
 - Mamy tylko tyle, że stacja bazowa mieści się w Gävle.
 - Gävle?
 - Trochę na północ od rzeki Dalälven i...
 - Wiem, gdzie leży Gävle, po prostu nie rozumiem, to znaczy...
- Joonna słyszy, jak Erik chodzi po pokoju.
- W tym tygodniu sprecyzują nam lokalizację.
 - Kiedy?
 - Może jutro, tak zadeklarowali.

Erik siada.

- Więc bierzesz tę sprawę, prawda? - pyta z napięciem w głosie.
- Biorę - potwierdza krótko Joonna. - Odnajdę Benjamina.

Erik odchrząkuje, a kiedy znowu może zapanować nad głosem, mówi:

- Trochę rozmyślałem o tym, kto mógłby to zrobić, i mam jedno nazwisko, które powinienś sprawdzić. To moja była pacjentka Eva Blau.

- Blau? Jak „niebieski” po niemiecku?
- Tak.
- Groziła ci?
- Trudno to wyjaśnić.
- Już jej szukam.

W słuchawce zalega cisza.

- Chciałbym jak najszybciej spotkać się z tobą i Simone - mówi Joonna po chwili.

- Tak?
- Nie było u was wizji lokalnej, prawda?
- Wizji lokalnej?
- Sprawdzimy, kto z sąsiadów ewentualnie mógł zauważyć

porywacza. Będziecie za pół godziny w domu?

– Zadzwońię do Simone. Poczekamy na ciebie.

– Dobrze.

– Jooną – odzywa się Erik.

– Tak?

– Wiem, że jeśli w ogóle udaje się złapać sprawcę, to dzieje się to w ciągu kilku, kilkunastu godzin. Że liczy się pierwsza doba – ciągnie Erik powoli. – A tu już minęło...

– Boisz się, że go nie znajdziemy?

– To... Nie wiem – szepce Erik.

– Ja nigdy się nie mylę – stwierdza Jooną cichym, ale pewnym siebie głosem. – I uważam, że odnajdziemy twojego syna.

Jooną odkłada słuchawkę. Następnie bierze kartkę z zapisanym nazwiskiem i idzie do Anji. W jej pokoju pachnie pomarańczami. Przy komputerze z różową klawiaturą stoi misa cytrusów, a na jednej ze ścian wisi plakat, na którym umięśniona Anja płynie motylkiem na igrzyskach olimpijskich.

Jooną uśmiecha się.

– W wojsku byłem w grupie zabezpieczającej. Musiałem przepłynąć dziesięć kilometrów z flagą sygnałową. Ale motylek? Tego nigdy nie potrafiłem.

– Strata energii, i tyle.

– Mnie się podoba. Wyglądałaś jak syrena – stwierdza Jooną.

Głos Anji zdradza pewnego rodzaju dumę, gdy stara się mu wyjaśnić:

– Technika koordynacji jest dość wyczerpująca, trzeba znaleźć właściwy rytm i... Ale kogo to obchodzi?

Kobieta przeciąga się z zadowoleniem, niemal sięgając swoim wydatnym biustem do Jooną, stojącego przy jej biurku.

– No tak – mówi policjant, podając jej kartkę. – Chciałbym, żebyś znalazła dla mnie jedną osobę.

Uśmiech Anji znika.

– Tak właśnie przypuszczałam, że czegoś ode mnie chcesz, Jooną.

Było za dobrze, za miło. Pomogłam ci z tym przekaźnikiem, a ty przyszedłeś tu ze swoim zabójczym uśmiechem. Już zaczynałam myśleć, że zaprosisz mnie na obiad albo co, a tu...

– Zaproszę, Anju. W swoim czasie.

Kobieta kręci głową i bierze kartkę z ręki Joony.

– Szukanie osoby. Czy to pilne?

– Bardzo pilne.

– To czemu jeszcze tu stoisz i mnie bajerujesz?

– Myślałem, że chciałaś...

– Eva Blau – mówi Anja z namysłem.

– To nie musi być jej prawdziwe nazwisko.

Policjantka przygryza wargę.

– Fałszywe nazwisko – stwierdza. – Niewiele. Masz jeszcze cokolwiek? Jakiś adres albo coś?

– Nie, adresu nie mam. Wiem jedynie, że dziesięć lat temu była pacjentką Erika Marii Barka w szpitalu uniwersyteckim Karolinska, prawdopodobnie przez kilka miesięcy. Ale musisz sprawdzić rejestry, nie tylko te co zwykle, ale wszystkie inne też. Czy jakaś Eva Blau została przyjęta na studia? Jeśli kupiła auto, będzie w rejestrze samochodów. Może ubiegała się kiedyś o wizę, ma kartę biblioteczną, IOGT-u¹⁹, chciałbym, żebyś zerknęła na chronione tożsamości, ofiary przemocy...

– Tak, tak, zjeżdżaj już – przerywa mu Anja. – Daj mi spokojnie pracować.

Joona wyłącza nagranie, na którym Per Myrberg, w wyjątkowy sposób mieszając spokój i emocję, czyta *Zbrodnię i karę* Fiodora Dostojewskiego. Parkuje samochód pod Lao Wai, azjatycką restauracją wegetariańską, na którą kiedyś namawiała go Disa. Zagląda przez okno. Uderza go ascetyczne, proste piękno drewnianych mebli, brak zbędnych przedmiotów i ozdób.

Kiedy dzwoni do drzwi Barków, Simone i Erik są już na miejscu. Witają się, a Joona w skrócie wyjaśnia, co ma zamiar zrobić.

– Spróbujemy jak najdokładniej zrekonstruować przebieg porwania. Jedyna osoba, która wtedy tak naprawdę tu była, to ty, Simone.

Kobieta w skupieniu kiwa głową.

– Będziesz więc grać samą siebie. Ja jestem sprawcą, a ty, Erik, będziesz Benjaminem.

– Dobrze – zgadza się Erik.

Joona patrzy na zegarek.

– Simone, około której, twoim zdaniem, doszło do włamania?

Simone odchrząkuje.

– Nie jestem pewna... ale nie było jeszcze gazety... więc przed piątą. A ja wcześniej wstawiałam napić się wody, to było o drugiej... Potem chwilę leżałam, nie śpiąc, więc gdzieś między wpół do trzeciej a piątą.

– Dobrze, w takim razie bierzemy średnią i nastawiam zegarek na wpół do czwartej – oznajmia Joona. – Otworzę drzwi i wślizgnę się do sypialni Simone, zasymuluję, że wbijam jej igłę, a potem pójdę do Benjaminą, czyli ciebie, Eriku. Tam dam ci zastrzyk i wyciągnę cię z pokoju. Będę cię włókł po podłodze w holu i przez drzwi. Jesteś cięższy od syna, więc odejmiemy jakąś minutę. Simone, spróbuj poruszać się dokładnie w ten sam sposób co wtedy. Połóż się w tej samej pozycji, w tym samym czasie. Chcę wiedzieć, co widziałaś, dokładnie co mogłaś zobaczyć albo tylko się domyślać.

Simone, pobladła, kiwa głową.

– Dziękuję – szepce. – Dziękuję, że to robisz.

Joona patrzy na nią spokojnym wzrokiem:

– Odnajdziemy Benjaminą.

Simone szybkim ruchem pociera czoło:

– Idę do sypialni – mówi ochryple.

Joona wychodzi z mieszkania, zabierając klucze.

Simone leży pod kołdrą, kiedy pojawia się Joona. Mężczyzna podchodzi szybkim krokiem, nie biegnie, ale ma zdecydowane

ruchy. Gdy chwytą ją za ramię i udaje, że robi zastrzyk, Simone przechodzą ciarki. Patrząc w oczy pochylonemu nad łóżkiem Joonie, przypomina sobie, jak zbudziła się pod wpływem ukłucia i zobaczyła jakąś postać pośpiesznie wymykającą się z pokoju. Już sama myśl o tym wywołuje nieprzyjemne mrowienie w ręce. Kiedy plecy Joony znikają, Simone siada, pociera ramię i powoli wstaje. Wychodzi do holu, zagląda do pokoju Benjaminą i widzi, jak Joona pochyla się nad łóżkiem. Nagle wypowiada te słowa, które jak echo odbijają się w jej pamięci:

– Co robicie? Mogę wejść?

Z wahaniem podchodzi do kredensu. Ciało przypomina sobie, jak uszły z niego wszystkie siły i osunęło się na ziemię. Nogi uginają się pod nią, jednocześnie Simone przypomina sobie, jak stopniowo pogrążała się w czarną pustkę, przerywaną coraz krótszymi błyskami światła. Siedzi oparta o ścianę i patrzy, jak Joona ciągnie Erika za nogi. Pamięć przywołuje obraz niepojętego: jak Benjamin próbował uchwycić się framugi drzwi, jak uderzył głową o próg i jak bezsilnie starał się złapać ją za rękę.

Kiedy Erik przesuwą się obok niej po podłodze, a ich oczy się spotykają, oboje mają wrażenie, jakby w przedpokoju utworzyła się jakaś postać z mgły i oparów. Simone widzi twarz Joony skierowaną do dołu. Nagle Joona znika i na mgnienie oka w jej świadomości pojawia się sprawca. Twarz w cieniu i żółta dłoń obejmująca kostkę Benjaminą. Serce Simone wali młotem, kiedy słyszy, jak Joona wyciąga Erika na klatkę i zamyka za sobą drzwi.

Mieszkanie wydaje się obce i nieprzyjazne. Simone nie może pozbyć się wrażenia, że ponownie została odurzona, nie może wykrztusić słowa, a kiedy podnosi się z podłogi i czeka na ich powrót, z trudem się porusza.

Joona przeciąga Erika przez porysowany marmur podłogi, jednocześnie rozglądając się, analizując kąty i wysokości, szukając, gdzie mogliby się znaleźć świadkowie. Zastanawia się, do którego miejsca na schodach sięga wzrokiem, i dochodzi do wniosku, że ktoś

mógłby teraz stać pięć stopni niżej, tuż przy słupie, i obserwować go. Podchodzi do windy. Przygotował się i zostawił otwarte drzwi. Pochylając się nieco, widzi odbicie swojej twarzy w ich lśniąącym obiciu, a zaraz potem ścianę za sobą. Joona wciąga Erika do windy. Z wnętrza jest w stanie dostrzec drzwi na prawo, szczelinę na listy i mosiężną tabliczkę z nazwiskiem, ale z drugiej strony widać jedynie ścianę. Lampę na suficie zasłania ościeżnica. W windzie Joona kieruje wzrok na lustro, wygina się i przeciąga, ale niczego więcej nie widzi. Okno na schodach jest cały czas zakryte. Zerkając przez ramię, nie dostrzega niczego nowego. Nagle jednak zauważa coś, czego się nie spodziewał. Pod pewnym kątem, przez mniejsze ukośne lustro, można zajrzeć wprost w błyszczący wizjer drzwi do mieszkania, które cały czas wydawały się zasłonięte. Zamyka windę i odnotowuje, że przez okienko w drzwiach nadal jest w stanie, za pośrednictwem lustra, patrzeć w to samo miejsce. Jeśli ktoś tam stał i patrzył przez judasza – myśli – to mógłby wyraźnie zobaczyć moją twarz. Wystarczy jednak, że odwróci głowę o pięć centymetrów w dowolnym kierunku, żeby zniknąć z pola widzenia.

Na parterze Erik wstaje, a Joona sprawdza czas.

– Osiem minut – mówi.

Wracają do mieszkania. Simone czeka w przedpokoju, widać, że przed chwilą płakała.

– Miał gumowe rękawice – odzywa się na ich widok. – Żółte.

– Jesteś pewna? – pyta Erik.

– Tak.

– W takim razie nie ma sensu szukać śladów linii papilarnych – stwierdza Joona.

– Co zrobimy? – pyta Simone.

– Policja już zaglądała do sąsiadów – stwierdza ponuro Erik, podczas gdy Simone strzepuje mu z pleców brud i kurz.

Joona wyciąga kartkę.

– Mam listę osób, z którymi rozmawiali. Oczywiście skoncentrowali się na tym piętrze i mieszkaniach poniżej. Pięciu

osób nie udało się złapać, i jest jeszcze jedna, która...

Przygląda się liście i zauważa, że mieszkanie ukośnie nad windą jest skreślone. To te drzwi widział przez oba lustra.

– Jedno mieszkanie jest skreślone – mówi Jooną. – Tamto, po drugiej stronie windy.

– Właściciele wyjechali – wyjaśnia Simone. – Jeszcze nie wrócili. Sześć tygodni w Tajlandii.

Jooną przygląda im się z powagą.

– Czas zapukać do sąsiadów – oznajmia.

Na drzwiach mieszkania, z którego można było oglądać za pośrednictwem luster wewnątrz windy, wisi tabliczka „Rosenlund”. Policja je pominęła, ponieważ było zasłonięte i według wszystkich danych niezamieszkaną.

Jooną schyla się i zagląda przez szparę na listy. Na wycieracze nie ma poczty ani reklam. Nagle z wnętrza mieszkania dobiega jakiś cichy odgłos. Z przyległego pokoju truchtem wybiega kot, staje i przygląda się Joonie.

– Nikt nie zostawia kota samego na sześć tygodni – mówi Jooną sam do siebie.

Kot czujnie nasłuchuje.

– Nie wyglądasz mi na zagłodzonego – zwraca się do niego Jooną. Zwierzę ziewa, wskakuje na krzesło i zwija się w kłębek.

Pierwszą osobą, z którą Jooną chce porozmawiać, jest mąż Alice Franzén. Tylko Alice była w domu, kiedy poprzednim razem odwiedziła ich policja. Franzénowie mieszkają na tym samym piętrze co Simone i Erik. Mają mieszkanie naprzeciwko windy.

Jooną dzwoni i czeka. Przez głowę przelatuje mu wspomnienie o tym, jak w dzieciństwie chodził od drzwi do drzwi z pudełkiem majowych kwiatków²⁰, a czasem też z tekturową skarbonką pomocy misyjnej. Pamięta uczucie wyobcowania ogarniające go na myśl o zaglądaniu do cudzych mieszkań i niechętny wzrok tych, którzy otwierali.

Ponownie naciska dzwonek. W drzwiach pojawia się kobieta

około trzydziestki. Przygląda mu się z rezerwą, która kojarzy się z zachowaniem kota w pustym mieszkaniu.

– Tak?

– Nazywam się Jooną Linna – przedstawia się Jooną, pokazując odznakę. – Chciałbym porozmawiać z pani mężem.

Kobieta spogląda na niego nieufnie i mówi:

– A ja bym chciała najpierw wiedzieć, o co chodzi. Mąż jest dość zajęty.

– Chodzi o noc z jedenastego na dwunasty grudnia, sobotę.

– Ale już przecież o to pytaliście – irytuje się kobieta.

Jooną szybko zerka na listę, którą trzyma w ręku.

– Tu jest napisane, że policja rozmawiała z panią, ale nie z mężem.

Kobieta wzdycha ze zniecierpliwieniem.

– Nie wiem, czy będzie miał czas.

Jooną uśmiecha się.

– To zajmie tylko chwilkę, obiecuję.

Gospodyni wzrusza ramionami i woła w głąb mieszkania:

– Tobias! Policja do ciebie!

Po chwili pojawia się mężczyzna z ręcznikiem wokół bioder. Jego skóra wygląda na rozgrzaną, jest bardzo mocno opalony.

– Dzień dobry – wita się z Jooną. – Opałałem się...

– Jak miło – mówi Jooną.

– Wcale nie – odpowiada Tobias Franzén. – Mojej wątrobie brak pewnego enzymu, przez co skazany jestem na opalanie się dwie godziny dziennie.

– To faktycznie coś innego – przyznaje Jooną.

– Chciał pan o coś zapytać.

– Tak, czy widział pan lub słyszał coś nietypowego w nocy z piątku na sobotę dwunastego grudnia.

Tobias drapie się po klatce piersiowej. Na spalonej słońcem skórze zostają białe pręgi.

– Niech pomyślę, to było wtedy. Przykro mi, ale naprawdę nie przypominam sobie nic szczególnego. Po prostu nie pamiętam.

– W porządku, bardzo dziękuję – mówi Joono i żegna się skinieniem głowy.

Tobias wyciąga rękę, żeby zamknąć drzwi.

– Jeszcze jedno. – Komisarz wskazuje puste mieszkanie obok.

– Ci Rosenlundowie... – zaczyna.

– Są bardzo mili. – Tobias się uśmiecha. Robi mu się chłodno. – Dawno ich nie widziałem.

– To prawda, wyjechali. Wie pan może, czy mają jakąś pomoc domową albo kogoś takiego?

Tobias potrząsa głową. Zbladł mimo opalenizny i widać było, że marznie.

– Niestety, nie mam pojęcia.

– Dziękuję – mówi Joono i patrzy, jak Tobias Franzén zamyka drzwi do mieszkania.

Bierze drugie nazwisko z listy: Jarl Hammar, piętro niżej. Emeryt, którego nie było w domu, kiedy policja odpytywała sąsiadów.

Jarl Hammar okazuje się chudym mężczyzną, cierpiącym na chorobę Parkinsona. Jest schludnie ubrany w kardigan, na szyi ma zawiązany fular.

– Kryminalna – powtarza ochryplym, ledwie słyszalnym głosem i mierzy policjanta zamglonym przez zaćmę wzrokiem. – A czego policja kryminalna może ode mnie chcieć?

– Chciałbym tylko zadać pytanie – wyjaśnia Joono. – Czy widział pan może coś nietypowego tu, w domu, albo na ulicy, w nocy z jedenastego na dwunasty grudnia?

Jarl Hammar przechyla głowę i zamyka oczy. Po krótkiej chwili podnosi wzrok i kręci głową.

– Mam takie lekarstwo – mówi. – Bardzo mocno po nim śpię.

Za plecami staruszka miga Joono jakąś kobieca postać.

– A pańska żona, czy mógłbym z nią porozmawiać?

Jarl Hammar uśmiecha się krzywo.

– Moja żona Solveig była wspaniałą kobietą. Ale niestety jest już pod ziemią, zmarła prawie trzydzieści lat temu.

Odwraca się i trzęsącą się ręką wskazuje ciemną sylwetkę w głębi mieszkania.

– To Anabella. Pomaga mi w sprzątanii i tak dalej. Niestety nie mówi po szwedzku, ale poza tym jest bez zarzutu.

Postać wychodzi z cienia, słysząc, że ktoś wymówił jej imię. Wygląda na Peruwiankę, ma około dwudziestu kilku lat, na policzkach blizny po ospie, włosy zwiążuje w niedbały kucyk i jest bardzo niska.

– Anabella – odzywa się Jooną łagodnie. – *Soy comisario de policía*, Jooną Linna.

– *Buenos días* – odpowiada, sepleniąc, dziewczyna i przypatruje mu się czarnymi oczyma.

– *Tu limpias más departamentos aquí? En este edificio?*

Odpowiada mu skinieniem, potwierdza, że sprząta również inne mieszkania w tym budynku.

– *Qué otros?* – dopytuje się Jooną. Które?

– *Espera un monumento* – odpowiada Anabella, zastanawia się przez chwilę i zaczyna wyliczać na palcach: *El piso de Lagerberg, Franzén, Gerdman, Rosenlund, el piso de Johansson también.*

– *Rosenlund* – podchwytuje Jooną. – *Rosenlund es la familia con un gato, no es verdad?*

Anabella kiwa głową z uśmiechem. Sprząta mieszkanie z kotem.

– *Y muchos flores* – dodaje.

– Dużo kwiatów – mówi Jooną, dziewczyna potakuje.

Jooną pyta z powagą w głosie, czy zauważyła coś niezwykłego kilka dni temu, kiedy zaginął Benjamin:

– *Notabas alguna cosa special hace quatros días? De noche...*

Twarz Anabelli tężeje.

– *No* – odpowiada pośpiesznie, próbując się wycofać z powrotem do mieszkania Jarla Hammara.

– *De verdad* – mówi szybko Jooną. – *Espero que digas la verdad*, Anabella. Oczekuję, że powiesz prawdę.

Powtarza, że to bardzo ważne, że chodzi o zaginione dziecko.

Jarl Hammar, stojący obok i przysłuchujący się cały czas rozmowie, odzywa się swoim ochrypłym, drżącym głosem, unosząc jednocześnie w górę swe roztrzęsione ręce.

– Ma pan być miły dla Anabelli, to dobra dziewczyna.

– Musi mi powiedzieć, co widziała – wyjaśnia Jooną nieustępliwie i zwraca się ponownie do Anabelli:

– *La verdad, por favor.*

Jarl Hammar przygląda się bezradnie, jak w ciemnych, błyszczących oczach dziewczyny pojawiają się łzy i zaczynają spływać po policzkach.

– *Perdón* – szepce. – *Perdón, señor.*

– Nie smuć się, Anabelle – mówi Jarl Hammar i macha ręką na Joonę. – Proszę wejść, nie mogę pozwolić na to, żeby płakała na korytarzu.

Wchodzą do mieszkania i siadają przy lśniącym stole w jadalni. Jarl stawia przed nimi puszkę pierniczków, a Anabella zduszonym głosem opowiada, że nie ma gdzie mieszkać, przez trzy miesiące była bezdomna, ale udało jej się chronić na klatkach schodowych i w składzikach ludzi, u których sprzątała. Kiedy dostała klucze do mieszkania Rosenlundów, u których miała doglądać kwiatów i kota, wreszcie mogła zadbać o higienę i bezpiecznie nocować. Co chwilę powtarza, że niczego nie wzięła, że nie jest złodziejką, nie brała jedzenia, niczego nie ruszała i nie śpi w łóżkach Rosenlundów, tylko na dywaniku w kuchni.

Potem Anabella spogląda poważnie na Joonę i mówi, że ma bardzo lekki sen, zawsze tak było, od czasu kiedy jako dziecko odpowiadała za młodsze rodzeństwo. Piątkowej nocy usłyszała jakiś odgłos na klatce schodowej i przestraszyła się. Zebrała swoje rzeczy, podkradła się pod drzwi i wyjrzała przez wizjer.

– Winda była otwarta – mówi, ale dodaje, że niczego nie widziała. Nagle rozległ się jakiś dźwięk, sapania i powolne kroki, tak jakby szedł jakiś stary, ciężki człowiek.

– Ale żadnych głosów?

Kręci głową.

– *Sombras.*

Anabella próbuje opisać cienie, które poruszały się po podłodze.

Joona kiwa głową i pyta:

– A co widziałaś w lustrze? *Qué viste en el espejo?*

– W lustrze?

– Mogłaś zajrzeć do windy, Anabelle – mówi Joona.

Dziewczyna zastanawia się, po czym stwierdza, że widziała żółtą rękę.

– A potem – dodaje – po krótkiej chwili, zobaczyłam jej twarz.

– To była kobieta?

– *Sí, una mujer.* Tak, to była kobieta.

Anabella wyjaśnia, że ta osoba miała kaptur, który rzucał cień na jej twarz, ale przez moment mogła dostrzec policzek i usta.

– *Sin duda era una mujer* – powtarza Anabella. Nie ma wątpliwości, że to była kobieta.

– Ile mogła mieć lat?

Potrząsa głową. Nie wie.

– Tyle co ty?

– *Tal vez.* Może.

– Trochę starsza? – pyta Joona.

Kiwa głową, ale dodaje, że nie wie, że widziała ją może przez sekundę, i że twarz była zakryta.

– *Y la boca de la señora?* – dopytuje Joona. Jaki wyraz miały jej usta?

– Zadowolony.

– Wyglądała na zadowoloną?

– *Sí. Contenta.*

Joonie nie udaje się wyciągnąć dokładniejszego opisu, pyta o szczegóły, odwraca pytania, podsuwa propozycje, ale jasne jest, że Anabella opisała już wszystko, co widziała. Dziękuje jej i Jarlowi za pomoc.

Idąc w górę po schodach, dzwoni do Anji. Policjantka odbiera

od razu.

- Anja Larsson, policja kryminalna.
- Anju, udało ci się znaleźć cokolwiek o tej Evie Blau?
- Ja tu pracuję, a ty dzwonisz i bez przerwy mi przeszkadzasz.
- Proszę o wybaczenie, ale nie ma chwili do stracenia.
- Wiem, wiem. Ale w tej chwili nic nie mam.
- Dobrze, zadzwoń jak tylko...
- Nie gładź - przerywa mu Anja i odkłada słuchawkę.

37 ŚRODA PRZED POŁUDNIEM, SZESNASTY GRUDNIA

Erik siedzi w samochodzie obok Joony i dmucha na kawę w papierowym kubku. Mijają uniwersytet i Muzeum Historii Naturalnej. Po drugiej stronie drogi, w kierunku Brunnsviken, w zapadających ciemnościach lśnią szklarnie.

– Jesteś pewien tego nazwiska? Eva Blau? – pyta Joona.

– Tak.

– Nie ma jej w żadnej książce telefonicznej, nic w rejestrze przestępców, podejrzanych czy posiadaczy broni, nic w Urzędzie Skarbowym, spisie ludności czy rejestrze samochodów. Poleciałem sprawdzenie wszystkich rejestrów wojewódzkich, samorządowych, kościelnych, Kasy Ubezpieczeń Społecznych, Urzędu Imigracyjnego. Nie ma i nigdy nie było w Szwecji Evy Blau.

– Była moją pacjentką – upiera się Erik.

– Musiała się inaczej nazywać.

– Wiem chyba, do cholery, jak moi...

Milknie, coś mu mignęło. Wydaje mu się, że może miała inne nazwisko, ale po chwili to uczucie mija.

– Co chciałeś powiedzieć? – pyta Joona.

– Przejrzę moje papiery, może tylko nazywano ją Evą Blau.

Białe zimowe chmury są niskie i gęste. Wyglądają, jakby w każdej chwili mógł zacząć padać śnieg.

Erik upija łyk kawy i czuje, jak po słodczy następuje gorycz. Samochód wjeżdża w osiedle willowe w Täby. Powoli mijają domy, przejeżdżają wzdłuż zamarzniętych ogrodów i małych, zakrytych basenów, przeszklonych werand z meblami z ratanu, batutów pokrytych śniegiem, sznurów kolorowych lampek na cyprysach, niebieskich sanek i zaparkowanych samochodów.

– Dokąd my właściwie jedziemy? – pyta Erik.

Drobne, okrągłe płatki śniegu szybują w powietrzu i zbierają się na masce pod wycieraczkami.

– Jesteśmy prawie na miejscu.

– Czyli gdzie?

– Znalazłem kilka osób o nazwisku Blau – odpowiada z uśmiechem Joon.

Skreca pod garaż i zatrzymuje się, nie wyłączając silnika. Pośrodku trawnika stoi dwumetrowy Kubuś Puchatek z plastiku, z farbą odłączającą z czerwonego kaftanika. Poza nim w ogródku nie widać żadnych zabawek. Dróżka z nierównych łupkowych płyt prowadzi do dużego żółtego domu.

– Tu mieszka Liselott Blau – oznajmia Joon.

– Kto to?

– Nie mam pojęcia, ale może wie coś o Evie.

Na widok zwątpienia na twarzy Erika Joon dodaje:

– To nasz jedyny punkt zaczepienia.

Erik potrząsa głową.

– To było tak dawno. W zasadzie nigdy nie myślę o czasach, w których zajmowałem się hipnozą.

Przypadkiem ich spojrzenia na chwilę się spotykają.

– To może nie mieć nic wspólnego z Evą Blau – mówi.

– Próbowałeś sobie przypomnieć?

– Tak mi się wydaje – odpowiada powoli, patrząc w kubek.

– Przyłożyłeś się do tego?

– Może niewystarczająco.

– Wiesz, czy ta Eva Blau może być niebezpieczna? – pyta Joon.

Erik wygląda przez okno samochodu i na twarzy Kubusia dostrzega namalowane flamastrem kły i groźne brwi. Upija łyk kawy i nagle przypomina sobie ten dzień, w którym po raz pierwszy usłyszał o Evie Blau.

Już pamięta.

Było w pół do dziewiątej rano. Słońce wpadało do pokoju przez

zakurzone okna. Miałem nocny dyżur i nocowałem w pracy, myśli.

DZIESIĘĆ LAT WCZEŚNIEJ

Było w pół do dziewiątej rano. Słońce świeciło wprost do pokoju przez zakurzone okna. Spałem w pracy po nocnym dyżurze, byłem zmęczony, ale mimo to spakowałem torbę sportową. Lasse Ohlson przez parę tygodni odwoływał nasze mecze badmintonu. Miał pełne ręce roboty, jeździł tam i z powrotem między szpitalem w Oslo a szpitalem Karolinska, wykładał w Londynie i miał dostać miejsce w zarządzie, ale przedwczoraj zadzwonił i spytał, czy jestem gotowy.

– Tak, do diabła – potwierdziłem.

– Gotowy, żeby dostać manto – dodał, bez zwykłej werwy w głosie.

Wylałem starą kawę do zlewu, odstawiłem filiżankę do kuchni dla personelu, zbiegłem po schodach i pojechałem na rowerze do hali sportowej. Kiedy wszedłem do środka, Lars Ohlson był już w zimnej przebieralni. Podniósł głowę i spojrzał na mnie wzrokiem, w którym czaił się lęk, a potem odwrócił się i włożył szorty.

– Dostaniesz takie lanie, że nie będziesz mógł usiąść przez tydzień – obiecał i znów na mnie popatrzył.

Drżącą ręką zamknął szafkę.

– Jesteś przemęczony – stwierdziłem.

– Co? No tak, właśnie, to był...

Zamilkł i ciężko opadł na ławkę.

– Dobrze się czujesz? – zapytałem.

– Absolutnie – odparł. – A ty?

– Mam w piątek spotkanie w zarządzie.

– Pewnie skończyły ci się środki, zawsze to samo.

– Jakoś specjalnie się nie martwię – powiedziałem. – To znaczy, wydaje mi się, że powinno pójść gładko, w moich badaniach cały

czas coś się dzieje, posuwa się naprzód, i mam ciekawe wyniki.

– Znam Franka Paulssona z zarządu – oznajmił, wstając.

– Tak? Jak to?

– Byliśmy razem w wojsku, w Boden, na północy. To bystry facet i dość otwarty.

– To dobrze – stwierdziłem po cichu.

Wyszliśmy z przebieralni. Lasse chwycił mnie za ramię.

– Mam do niego zadzwonić i powiedzieć, że ma na ciebie postawić?

– Można tak? – spytałem.

– To raczej nie jest dozwolone, ale co tam.

– W takim razie może lepiej dać spokój – uśmiechnąłem się.

– Ale przecież musisz kontynuować badania.

– Wszystko się ułoży.

– Nie wiadomo.

Spojrzałem na niego i po chwili namysłu dodałem:

– Chociaż, może głupio nie wykorzystać...

– Wieczorem zadzwonię do Franka.

Skinąłem głową, a on z uśmiechem klepnął mnie lekko po plecach.

Kiedy weszliśmy do wielkiej sali gimnastycznej, wywołując echo i skrzypiąc butami, Lars zapytał mnie niespodziewanie:

– Nie chciałbyś przejąć jednej z moich pacjentek?

– Czemu?

– Po prostu nie mam dla niej czasu – odparł.

– Niestety u mnie jest komplet – powiedziałem.

– W porządku.

Zacząłem się rozciągać w oczekiwaniu na zwolnienie piątego kortu. Lars dreptał naokoło, potem przecesał dłonią włosy i odchrząknął.

– Eva Blau chyba by pasowała do twojej grupy – odezwał się. – Ma jakąś traumę, wokół której się zamyka. Tak mi się przynajmniej wydaje, bo ani razu nie udało mi się do niej przebić.

– Chętnie ci doradzę, jeśli...

– Doradzisz? – przerwał mi i zniżył głos. – Jeśli mam być szczerzy, to ja z nią już skończyłem.

– Coś się stało? – zapytałem.

– Nie, tylko... Myślałem, że jest bardzo chora, fizycznie.

– Ale nie jest – podsunąłem.

Uśmiechnął się nerwowo, spoglądając na mnie.

– Nie mógłbyś po prostu powiedzieć, że ją bierzesz? – spytał.

– Przemyślę to – obiecałem.

– Pogadamy o tym jeszcze dzisiaj – rzucił szybko.

Lasse zaczął truchtać, ale się zatrzymał. Spojrzał niespokojnie na wejście do hali, przyjrzał się nowo przybyłym, a potem oparł się o ścianę.

– Nie wiem, Erik, diabelnie by mi ulżyło, jakbyś rzucił okiem na Evę, mógłbym...

Umilkł i spojrzał w stronę kortu, na którym dwie młode kobiety, na oko studentki, miały jeszcze kilka minut. Kiedy jedna z nich potknęła się i nie trafiła w łatwy drop shot, parsknął śmiechem i mruknął:

– Krowa.

Spojrzałem na zegarek i zacząłem robić krążenia ramion. Lasse stał obok, obgryzając paznokcie. Zauważyłem, że spocił się pod pachami. Twarz mu się postarzała, wychudła. Ktoś na zewnątrz wrzasnął, Lasse drgnął i zerknął w stronę drzwi.

Kobiety zebrały swoje rzeczy i gawędząc, opuściły kort.

– No to gramy – powiedziałem, ruszając z miejsca.

– Erik, czy kiedykolwiek poprosiłem cię o przejęcie pacjenta?

– Nie, ale po prostu mam komplet.

– A gdybym wziął za ciebie dyżury? – dodał szybko, obserwując mnie.

– To sporo – zdziwiłem się.

– Wiem, ale pomyślałem, że masz rodzinę i chciałbyś побыć w domu.

– Jest niebezpieczna?

– Co masz na myśli? – zapytał z niepewnym uśmiechem i zaczął coś poprawiać w rękawie.

– Eva Blau? Czy taka jest twoja opinia?

Lars ponownie zerknął ku wejściu.

– Nie wiem, co odpowiedzieć – odrzekł cicho.

– Groziła ci?

– Wiesz, wszyscy pacjenci tego typu mogą być niebezpieczni, ale jestem pewien, że dasz sobie z nią radę.

– Pewnie dam.

– Bierzesz ją? Powiedz, że tak. Bierzesz?

– Tak – odparłem.

Zarumienił się, odwrócił i ruszył w stronę bocznej linii. Nagle po wewnętrznej stronie uda pociekła mu strużka krwi, otarł ją ręką i zerknął na mnie. Kiedy zrozumiał, że to zauważyłem, wymamrotał, że ma problem z pachwiną, przeprosił i utykając, wyszedł z sali.

Dwa dni później, kiedy właśnie wróciłem do swojego gabinetu, usłyszałem pukanie do drzwi. Kiedy je otworzyłem, zobaczyłem na korytarzu Lassego Ohlsona, a kilka metrów za nim kobietę w białym płaszczu przeciwdeszczowym. Jej nos był czerwony, jakby była przeziębiona. Twarz miała wąską i ostrą, a do tego mocny różowo-niebieski makijaż.

– To jest Erik Maria Bark – przedstawił mnie Lasse. – Świetny lekarz, lepszy niż ja kiedykolwiek mógłbym być.

– Przyszliście wcześniej – powiedziałem.

– Mam nadzieję, że to nie problem? – zapytał nerwowo.

Skinąłem głową i zaprosiłem ich do środka.

– Erik, niestety muszę już lecieć – przeprosił.

– Ale dobrze by było, żebyś przy tym był.

– Wiem, ale czas mnie goni – powiedział. – Dzwon, jakby coś.

Odszedł pośpiesznie, a Eva Blau weszła za mną do pokoju, zamknęła drzwi i spojrzała mi w oczy.

– Czy to twój? – zapytała nagle i na drżącej dłoni wyciągnęła w moją stronę porcelanowego słonika.

– Nie, nie mój – odparłem.

– Ale widziałam, jak na niego patrzyłeś – oznajmiła szyderczym tonem. – Chcesz go, prawda?

Wzięłem głęboki oddech i zapytałem:

– Dlaczego uważasz, że go chcę?

– A nie chcesz?

– Nie.

– A to byś chciał? – spytała, unosząc w górę sukienkę.

Nie miała na sobie majtek, zobaczyłem wygolone łono.

– Evo, nie rób tak – powiedziałem.

– Okej – zgodziła się, a usta drżały jej nerwowo.

Stała zdecydowanie zbyt blisko mnie. Jej ubranie przesiąknięte było zapachem wanilii.

– Może usiądziemy? – zaproponowałem neutralnym tonem.

– Na sobie nawzajem?

– Możesz usiąść na kanapie.

– Na kanapie?

– Tak.

– Jeszcze czego – powiedziała i zrzuciwszy na podłogę płaszcz, podeszła do biurka i usiadła na moim fotelu.

– Mogłabyś opowiedzieć coś o sobie? – spytałem.

– A co byś chciał wiedzieć?

Zastanawiałem się, czy mimo wyraźnego wewnętrznego napięcia była typem człowieka, którego łatwo da się zahipnotyzować, czy też stawiałaby opór, starała się zachować dystans i pozycję obserwatora.

– Nie jestem twoim wrogiem – wyjaśniłem spokojnie.

– Nie?

Wyciągnęła jedną z szuflad biurka.

– Zostaw to – poprosiłem.

Zignorowała moje słowa i dalej niedbale przerzucała papiery. Podeszedłem do niej, wziąłem jej rękę, zamknąłem szufladę

i powiedziałem kategorycznie:

– Nie wolno ci tego robić. Prosiłem, żebyś przestała.

Spojrzała na mnie z przekorą i ponownie wysunęła szufladę. Nie spuszczać mnie z oczu, wyciągnęła plik dokumentów i zrzuciła na podłogę.

– Przestań – zażądałem.

Usta zaczęły jej drżeć. Oczy wypełniły się łzami.

– Nienawidzisz mnie – wyszeptała. – Wiedziałam, wiedziałam, że mnie znienawidzisz, wszyscy mnie nienawidzą.

W jej głosie dźwięczał lęk.

– Evo – zacząłem ostrożnie. – Nic złego się nie dzieje, siedź sobie spokojnie, możesz korzystać z mojego fotela albo, jeśli chcesz, możesz przesiąść się na kanapę.

Skinęła głową, wstała i podeszła do sofy. Nagle odwróciła się do mnie i spytała cicho:

– Czy mogę dotknąć twojego języka?

– Nie, nie możesz. Usiądź – powiedziałem.

W końcu mnie posłuchała, ale natychmiast zaczęła się wiercić.

Zauważyłem, że ściska coś w dłoni.

– Co tam masz? – spytałem.

Błyskawicznie schowała rękę za plecami.

– Chodź i zobacz, jeśli się nie boisz – powiedziała tonem pełnym wrogości, w którym pobrzmiwał jednak strach.

Byłem nieco zniecierpliwiony, ale zmusiłem się do spokojnego tonu i zadałem pytanie:

– Opowiesz mi, dlaczego do mnie trafiłaś?

Potrząsnęła głową.

– A jak ci się wydaje? – spytałem.

Coś drgnęło w jej twarzy.

– Bo powiedziałam, że mam raka – wyszeptała.

– Bałaś się, że jesteś chora?

– Myślałam, że on chce, żebym była.

– Lars Ohlson?

– Zoperowali mi mózg, kilka razy. Uśpili mnie. Zgwałcili we śnie.

Popatrzyła mi w oczy i wykrzywiła twarz w krótkim uśmiechu.

– Więc teraz jestem i w ciąży, i po lobotomii.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Że to dobrze, bo pragnę mieć dziecko, synka, który będzie ssał pierś.

– Evo, jak sądzisz, dlaczego znalazłaś się tutaj?

Wyciągnęła rękę w moją stronę i otworzyła dłoń. Była pusta, odwróciła ją kilka razy.

– Chcesz zbadać mi cipę? – szepnęła.

Czułem, że albo będę musiał wyjść, albo kogoś zawołać. Eva Blau zerwała się z sofy.

– Przepraszam – powiedziała. – Przepraszam, to dlatego, że bałam się, że mnie znienawidzisz. Proszę, nie nienawidź mnie. Chcę zostać, potrzebuję pomocy.

– Evo, uspokój się. Próbuję z tobą tylko porozmawiać. Założenie jest takie, że masz dołączyć do mojej grupy hipnotycznej, wiesz o tym, bo Lars ci mówił. Powiedział, że byłaś pozytywnie nastawiona, że tego chciałaś.

Skinęła głową i wyciągając rękę, zrzuciła na podłogę moją filiżankę z kawą.

– Przepraszam – powtórzyła.

Kiedy Eva Blau wyszła, pozbierałem z podłogi papiery i usiadłem przy biurku. Za oknem padał lekki deszczyk, pomyślałem, że Benjamin jest dziś na wycieczce z przedszkola, a zapomnieliśmy spakować mu nieprzemakalne spodnie, które suszyły się w domu na sznurku.

Czysta, jasna woda opadała na ulice, chodniki i place zabaw.

Zastanawiałem się, czy nie zadzwonić do przedszkola i nie poprosić ich, żeby zatrzymali Benjamina pod dachem. Każda taka wycieczka napawała mnie lękiem. Nie podobało mi się nawet to, że idąc do jadalni, musiał przejść przez kilka korytarzy i dwa razy zejść po schodach. Oczywiście wyobraźni widziałem, jak dzieci

potrącają go w pośpiechu, jak ktoś uderza go drzwiami, jak Benjamin potyka się o buty porozrzucone przed progiem. Daję mu zastrzyki – myślałem. – Dzięki lekarstwu nie wykrwawi się z najmniejszej ranki, ale wciąż jest o wiele delikatniejszy niż inne dzieci.



Pamiętam światło słońca następnego ranka, które przebijało przez grafitowe zasłony. Simone spała nago obok mnie. Miała półotwarte usta, zmierzwione włosy, ramiona i piersi pokryte były małymi, jasnymi piegami. Nagle na jej ramieniu pojawiła się gęsia skórka. Przykryłem ją. Benjamin zakaszłał lekko. Nie zauważyłem, że tu był. Czasami przemykał się do nas w nocy, jeśli śniły mu się kosmary, i kładł się na materacu na podłodze. Wtedy leżałem w dość niewygodnej pozycji, trzymając go za rękę, dopóki znowu nie zasnął.

Zegar pokazywał szóstą, odwróciłem się na bok, zamknąłem oczy i pomyślałem, że fajnie byłoby się wyspać.

– Tatusiu? – odezwał się nagle szeptem Benjamin.

– Pośpij jeszcze – odpowiedziałem cicho.

Usiadł na materacu, spojrzał na mnie i powiedział swoim wysokim, czystym głosem:

– Tatusiu, leżałeś dziś w nocy na mamie.

– Ach tak – powiedziałem, czując, że Simone się budzi.

– Tak, leżałeś pod kołdrą i huśtałeś się na niej – ciągnął.

– To musiało być zabawne – próbowałem zbyć go lekkim tonem.

– Mhm.

Simone zdusiła śmiech i schowała głowę pod poduszkę.

– Może coś mi się śniło – podsunąłem ogólnikowo.

Simone trzęsła się ze śmiechu.

– Śniło ci się, że się huśtasz?

– No więc...

Simone popatrzyła na mnie z szerokim uśmiechem.

– No odpowiedz – powiedziała z opanowaniem. – Śniło ci się,

że się huśtasz?

– Tato?

– Pewnie tak.

– Ale – ciągnęła Simone ze śmiechem – dlaczego tak, czemu leżałeś na mnie, kiedy...

– Pora na śniadanie – przerwałem.

Widziałem, jak Benjamin skrzywił się przy wstawaniu. Poranki były najgorsze. Stawy przez wiele godzin się nie ruszały, co powodowało samoistne krwawienia.

– Jak tam?

Benjamin oparł się o ścianę.

– Poczekaj, młody człowieku, wymasuję cię – zaproponowałem.

Benjamin westchnął, kładąc się na łóżku, żebym mógł ostrożnie rozruszać jego stawy.

– Nie chcę zastrzyku – rzekł smutnym głosem.

– Dziś nie będzie, pojutrze dopiero.

– Ja nie chcę, tatusiu.

– Pomyśl o Lassem, który ma cukrzycę – powiedziałem. – On musi brać zastrzyki codziennie.

– Ale David nie musi – marudził Benjamin.

– Ale może jest coś innego, z czym mu ciężko.

Cisza.

– Jego tata nie żyje – wyszeptał Benjamin.

– Sam widzisz – podsumowałem, kończąc masaż ramion i rąk.

– Dziękuję, tatusiu.

– Mój synek.

Objąłem jego drobne, szczupłe ciało, ale jak zwykle powstrzymałem chęć przyciśnięcia go mocno do siebie.

– Mogę pooglądać pokémony? – spytał.

– Zapytaj mamę – odparłem i usłyszałem, jak Simone woła z kuchni „cykor”.

Po śniadaniu usiadłem w gabinecie przy biurku Simone, wziąłem telefon i zadzwoniłem do Larsa Ohlsona. Odebrała jego sekretarka

Jennie Lagercrantz. Pracowała dla niego co najmniej od dziesięciu lat. Uciąłem sobie z nią krótką pogawędkę, powiedziałem jej, że po raz pierwszy od trzech tygodni mogłem rano pospać, i spytałem, czy mógłbym zamienić parę słów z Larsem.

– Poczekaj momencik – poprosiła.

Jeśli jeszcze nie było za późno, chciałem poprosić go, żeby nie wspominał o mnie Frankowi Paulssonowi z zarządu.

Po chwili coś kliknęło w słuchawce i rozległ się głos sekretarki:

– Lars nie może teraz odebrać.

– Proszę mu powiedzieć, że to ja.

– Już to zrobiłam – oznajmiła oschle.

Odłożyłem bez słowa słuchawkę, zamknąłem oczy i zrozumiałem, że coś tu nie gra, że być może zostałem oszukany, a Eva Blau przypuszczalnie była bardziej uciążliwa lub niebezpieczna, niż twierdził Lasse Ohlson.

– Dam sobie radę – mruknąłem pod nosem.

Potem jednak przyszło mi do głowy, że to może wytrącić moją grupę z równowagi. Zestawiłem razem niewielką liczbę osób, kobiet i mężczyzn, których problemy, historia choroby i przeszłość były zupełnie różne. Nie brałem pod uwagę podatności na hipnozę. To, do czego dążyłem, to komunikacja, kontakt między członkami grupy, rozwój ich wzajemnych relacji i zmiana postrzegania samych siebie. Wielu nosiło w sobie ciężar poczucia winy, który nie pozwalał im nawiązywać znajomości, funkcjonować w społeczeństwie. Ofiary gwałtu i przemocy winiły siebie za to, co się stało. Ludzie ci stracili kontrolę nad swoim życiem lub całe zaufanie do świata.

Podczas ostatniej sesji grupa zrobiła krok dalej. Jak zwykle rozmawialiśmy, zanim spróbowałem wprowadzić Marka Semiovia w głęboki trans. Był rozkojarzony i oporny. Czułem, że nie znalazłem właściwego punktu zaczepienia.

– Dom? Boisko? Las? – podsuwałem mu propozycje.

– Nie wiem – odparł jak zwykle Marek.

– Gdzieś musimy zacząć.

– Ale gdzie?

– Wyobraź sobie miejsce, do którego będziesz musiał powrócić, żeby zrozumieć, kim jesteś – powiedziałem.

– Wieś, okolice Zenicy – zaczął Marek neutralnie. – Kanton zenicko-dobojski.

– W porządku, dobrze – odparłem i zrobiłem notatkę. – Wiesz, co się tam stało?

– Wszystko tam się stało, w wielkiej ruderze z ciemnego drewna. Wyglądała prawie jak zamek. Majątek ziemski, strome dachy i małe wieżyczki oraz werandy...

Grupa się skoncentrowała, wszyscy słuchali, zdawali sobie sprawę, że Marek właśnie otworzył drzwi do swego wnętrza.

– Chyba siedziałem w fotelu – zaczął opowiadać z wahaniem. – Albo na kilku poduszkach, w każdym razie paliłem marlboro, podczas... Przeszły koło mnie setki dziewcząt i kobiet z mojego rodzinnego miasta.

– Przeszły koło ciebie?

– W ciągu kilku tygodni... Wchodziły drzwiami wejściowymi, a potem prowadzono je na piętro do sypialni.

– Czy to burdel? – zapytał Jussi, zaciągając silnie po norrlandzku.

– Nie wiem, co tam się działo, właściwie nic nie wiem – odparł cicho Marek.

– Nigdy nie widziałeś pokoi na piętrze? – spytałem.

Potarł twarz dłońmi i wciągnął głęboko powietrze.

– Mam takie jedno wspomnienie – zaczął. – Wchodzę do małego pokoju i widzę moją byłą nauczycielkę z gimnazjum, leży przywiązana do łóżka, naga, z siniakami na biodrach i udach.

– Co się dalej dzieje?

– Stoję przy drzwiach z jakimś takim drewnianym kijem w ręce i... Więcej nie pamiętam.

– Spróbuj – zachęciłem spokojnie.

– Zniknęło.

– Jesteś pewien?
– Nie dam rady.
– W porządku, nie musisz, wystarczy – powiedziałem.
– Poczekaj – przerwał mi i potem przez długą chwilę siedział w milczeniu.

Westchnął, potarł twarz i wstał.

– Marku?

– Nic nie pamiętam – oznajmił łamiącym się głosem.

Zanotowałem kilka spostrzeżeń, czując, jak Marek mnie obserwuje.

– Nie pamiętam, ale wszystko stało się w tym diabelskim miejscu – powtórzył.

Spojrzałem na niego i skinąłem głową.

– Wszystko, czym jestem, znajduje się w tym drewnianym domu.

– W domu strachów – odezwała się Lydia ze swego miejsca obok Marka.

– No właśnie, to był taki dom – stwierdził i zaśmiał się smutno.



Spojrzałem ponownie na zegarek. Za chwilę miałem stanąć przed zarządem szpitala i zaprezentować cel i wyniki moich badań. Musiałem albo zdobyć nowe środki, albo stopniowo zakończyć zarówno pracę naukową, jak i terapię. Na razie byłem spokojny. Podeszedłem do umywalki i ochlapałem twarz, przez chwilę przyglądałem się sobie w lustrze i zanim wyszedłem z łazienki, spróbowałem się uśmiechnąć. Kiedy zamknąłem na klucz drzwi do gabinetu, zobaczyłem młodą kobietę, która zatrzymała się kilka kroków ode mnie.

– Erik Maria Bark?

Miała ciemne, gęste włosy związane na karku w węzeł, a kiedy uśmiechnęła się do mnie, w jej policzkach pojawiły się głębokie dołeczki. Ubrana była w lekarski fartuch, a na piersi miała legitymację stażysty.

– Maja Swartling – przedstawiła się, wyciągając do mnie rękę. –

Jestem jedną z pana największych wielbicielek.

– A czemuż to? – zareagowałem z uśmiechem.

Była radosna i pachniała hiacyntami.

– Chciałabym brać udział w pana pracy badawczej – oznajmiła bez ogródek.

– W mojej pracy?

Skinęła głową i oblała się rumieńcem.

– Musi mi pan pozwolić – powiedziała. – To fascynujące.

– Przepraszam, że nie do końca podzielałam pani entuzjazm, ale nie wiem nawet, czy w ogóle będą jakieś badania – wyjaśniłem.

– Jak to?

– Środków wystarczy mi jedynie do końca roku.

Pomyślałem o czekającym mnie spotkaniu i powiedziałem uprzejmie:

– To wspaniałe, że interesuje się pani moją pracą, chętnie o tym porozmawiam. Ale za chwilę mam ważne zebranie...

Maja się odsunęła.

– Przepraszam – powiedziała. – Boże, przepraszam.

– Możemy porozmawiać w drodze do windy – zaproponowałem z uśmiechem.

Chyba zestresowała ją ta sytuacja. Znowu się zarumieniła i poszła ze mną.

– Myśli pan, że mogą być problemy z funduszami? – zapytała zaniepokojona.

Do spotkania z zarządem pozostało kilka minut. Opowiadanie o swoich badaniach – wynikach, celach i harmonogramie – aby móc ubiegać się o środki, to była zwykła procedura, ale dla mnie kłopotliwa z tego względu, że na temat hipnozy pokutowało jeszcze wiele przesądów.

– Po prostu większość nadal uważa, że hipnoza nie daje jednoznacznych rezultatów, a taka opinia może utrudnić prezentację niepełnych wyników.

– Ale jak się przeczyta wszystkie pana raporty, to przecież widać,

że wyłamują się niesamowite rzeczy, nawet jeśli jest jeszcze za wcześnie na publikację.

– Przeczytała pani wszystkie moje raporty? – zapytałem z niedowierzaniem.

– Trochę tego było – stwierdziła sucho.

Stanęliśmy przed drzwiami windy.

– Co pani sądzi o moich pomysłach dotyczących engramów? – chciałem ją wypróbować.

– Myśli pan o tym przypadku pacjenta po urazie czaszki?

– Tak – potwierdziłem, próbując ukryć zaskoczenie.

– Ciekawe – oświadczyła. – Polemizuje pan z teoriami o umiejscowieniu ośrodków pamięci w mózgu.

– Ma pani jakieś przemyślenia na ten temat?

– Tak, moim zdaniem powinien pan pogłębić badania nad synapsami i skoncentrować się na ciele migdałowatym.

– Jestem pod wrażeniem – przyznałem, naciskając guzik windy.

– Musi pan dostać te fundusze.

– Wiem – odparłem.

– Co będzie, jeśli odmówią?

– Dostanę, miejmy nadzieję, czas na to, żeby zakończyć terapię i skierować pacjentów na inne formy leczenia.

– A praca naukowa?

Wzruszyłem ramionami.

– Może złożę podanie na inny uniwersytet, jeśli ktoś mnie przyjmie.

– Ma pan wrogów w zarządzie?

– Nie wydaje mi się.

Delikatnie, z przepaszającym uśmiechem, położyła mi dłoń na ramieniu. Jej policzki zrobiły się jeszcze czerwieńsze.

– Dostanie pan te pieniądze, bo pańska praca jest przełomowa, nie mogą tego nie zauważyć – powiedziała, patrząc mi głęboko w oczy. – Jeśli tego nie dostrzegą, pójdę za panem na jakikolwiek inny uniwersytet.

Zacząłem się zastanawiać, czy ona przypadkiem mnie nie podrywa. Było coś w jej unізoności, w miękkim, ochrypłym głosie. Zerknąłem szybko na jej identyfikator: Maja Swartling, stażystka.

– Pani Maju...

– Nie może mnie pan odprawić – wyszeptała figlarnie. – Eriku Mario Barku.

– Porozmawiamy później – powiedziałem zza zamykających się drzwi windy.

Maja Swartling uśmiechnęła się, ukazując dołeczki, złożyła dłonie pod brodą i dla żartu ukłoniła się głęboko, mówiąc miękko:

– *Sawadee*.

Jadąc windą w górę na spotkanie z dyrektorem, zdałem sobie sprawę, że uśmiecham się sam do siebie z tego tajlandzkiego pozdrowienia. Winda brzdęknęła i wysiadłem. Pomimo że drzwi były otwarte, zapukałem, zanim wszedłem. Annika Lorentzon siedziała, wyglądając przez panoramiczne okno, z którego rozpościerał się niesamowity widok na położony w oddali Cmentarz Północny i park Haga. Na jej twarzy nie było widać śladu tych dwóch butelek wina, które podobno wypijała każdego wieczoru, żeby móc zasnąć. Pod pięćdziesięcioletnią skórą naczynia krwionośne były równe i niewidoczne. Naturalnie miała pod oczyma i na czole powierzchowną siateczkę zmarszczek, a niegdyś piękna linia brody i szyi, która swego czasu zapewniła jej drugie miejsce w konkursie Miss Szwecji, się postarzała.

Simone dałaby mi za to popalić, pomyślałem. Od razu powiedziałyby, że to męska technika dominacji, polegająca na pomniejszaniu zasług kobiety postawionej wyżej w hierarchii poprzez krytykowanie jej wyglądu. Nikt nie mówi o zwyczajach alkoholowych szefów-mężczyzn i nikt nie wpadłby na pomysł, żeby zauważyć, że szef-mężczyzna ma zwiotczałą skórę twarzy.

Przywitałem się z panią dyrektor i usiadłem obok niej, podziwiając widok.

– Imponujący – powiedziałem.

Annika Lorentzon uśmiechnęła się do mnie w milczeniu. Była opalona i szczupła, włosy miała cienkie i zniszczone rozjaśnianiem. Nie używała perfum, pachniała czystością. Otaczało ją ulotne wrażenie zapachu ekskluzywnego mydła.

– Chcesz? – zapytała, wskazując ręką na butelki wody mineralnej.

Pokręciłem głową i zacząłem się zastanawiać, gdzie się podzieli inni. Zarząd już powinien tu być, mój zegarek pokazywał, że jest pięć minut po czasie.

Annika wstała i wyjaśniła, jakby czytając mi w myślach:

– Przyjdą, Eriku. Mają dziś saunę, rozumiesz.

Uśmiechnęła się z przekąsem:

– Ich sposób, żeby się spotkać beze mnie. Chytre, prawda?

W tej samej chwili otworzyły się drzwi i weszło pięciu mężczyzn o czerwonych twarzach. Ich garnitury miały kołnierze wilgotne od mokrych włosów i karków, parowali ciepłem i wodą kolońską. Bez pośpiechu kończyli rozmowę.

– Ale moje badania będą kosztować – usłyszałem Ronny’ego Johanssona.

– Jasna sprawa – odpowiedział z zakłopotaniem Svein Holstein.

– Tylko że Bjarne wspomniał coś o cięciu kosztów. Podobno księgowość chciała skorygować budżet na badania naukowe w tej dziedzinie.

– Też to słyszałem, ale nie ma się czym przejmować – odparł cicho Holstein.

Kiedy weszli do gabinetu, rozmowa ucichła.

Svein Holstein uściśnął mi mocno prawicę.

Ronny Johansson, w zarządzie odpowiadający za kwestie związane z farmacją, skinął mi tylko powściągliwie ręką i usiadł. W tym czasie dłoń podał mi polityk z samorządu wojewódzkiego Peder Mälarstedt. Uśmiechnął się do mnie zdyszany. Zauważyłem, że wciąż jeszcze obficie się poci. Pot spływał mu po twarzy.

– Dużo się pan poci? – zapytał z uśmiechem. – Moja żona tego nie cierpi. Ale ja uważam, że to zdrowo. To jasne, że zdrowo.

Frank Paulsson nawet na mnie nie spojrział, skinął mi tylko i trzymał się z dala. Kiedy wszyscy zamienili już ze sobą parę słów, Annika zaklaskała w dłonie i poprosiła zarząd o zajęcie miejsc. Chciało im się pić po saunie, więc od razu sięgnęli po butelki z wodą mineralną, ustawione pośrodku wielkiego żółtego stołu z tworzywa.

Przez chwilę stałem nieruchomo, obserwując ich, ludzi, którzy w swoich rękach mieli całą moją pracę naukową. To było dziwne. Patrzyłem na zarząd, jednocześnie myśląc o mojej grupie pacjentów. Byli wpisani w tę chwilę: ich wspomnienia, przeżycia i wyparcia wisiały jak nieruchome kłęby dymu w tej szklanej kuli. Tragicznie piękna twarz Charlotte; smutne, ociążałe ciało Jussiego; ostrzyżona na zapałkę głowa Marka i jego ostre, przerażone spojrzenie; blade, delikatny Pierre; Lydia ze swoją brzęczącą biżuterią i ubraniem pachnącym kadzidełkami; Sibel i jej peruki; no i neurotyczna Eva Blau. Moi pacjenci byli czymś w rodzaju tajemnych lustrzanych odbić tych pewnych siebie, zamożnych mężczyzn w garniturach.

Członkowie zarządu zasiedli wygodnie, poszeptali między sobą, powiercili się. Któryś zabrzączał monetami w kieszeni. Inny ukrył twarz, zgłębiając agendę. Annika podniosła wzrok, uśmiechnęła się łagodnie i powiedziała:

– Eriku, prosimy.

– Moja metoda... – zacząłem. – Moja metoda polega na leczeniu urazów psychicznych przez hipnotyczną terapię grupową.

– Tyle już wiemy – powiedział Ronny Johansson, wzdychając.

Próbowałem referować, co osiągnąłem do tej pory. Moja publiczność słuchała z roztargnieniem, niektórzy patrzyli na mnie, inni wbijali wzrok w stół.

– Muszę niestety wyjść – odezwał się po chwili, wstając, Rainer Milch.

Ucisnął dłoń kilku z zebranych i wyszedł.

– Otrzymali państwo już wcześniej materiały – mówiłem dalej. – Są dość obszerne, wiem, ale to było konieczne, nie mogłem ich

skrócić.

– Czemu nie? – zapytał Peder Mälarstedt.

– Bo jeszcze za wcześnie na wyciąganie wniosków – wyjaśniłem.

– Ale gdybyśmy przeskoczyli dwa lata w przyszłość – zaproponował.

– Trudno powiedzieć, ale widzę już pewne prawidłowości – odparłem, choć wiedziałem, że nie powinienem wdawać się w szczegóły.

– Prawidłowości? Jakie?

– Nie chciałbyś nam opowiedzieć, na co liczysz? – zapytała Annika z uśmiechem.

– Mam nadzieję opisać blokady mentalne, które nie znikają w stanie hipnozy: jak mózg w stanie głębokiego odprężenia wynajduje nowe metody chronienia jednostki przed tym, co ją przeraża. Chciałbym przez to powiedzieć, i to jest właśnie najciekawsze, że kiedy człowiek zbliża się do swojej traumy, do jądra, tego, co naprawdę niebezpieczne... Kiedy dzięki hipnozie wyparte wspomnienie wreszcie zaczyna wypływać na powierzchnię, zahipnotyzowany zaczyna szukać dróg ucieczki w ostatniej próbie chronienia tajemnicy, a wtedy, tak przypuszczam, do obrazów wspomnień wciąga materiał ze snów, po to, żeby nie musieć widzieć.

– Nie widzieć samej tej sytuacji? – zapytał Ronny Johansson w nagłym przyпыtywie zaciekawienia.

– Tak, choć nie do końca... Raczej sprawcy – odparłem. – Zastępuje sprawcę czymkolwiek, najczęściej jakimś zwierzęciem.

Wokół stołu zrobiło się cicho.

Zauważyłem, jak Annika Lorentzon, która dotychczas wyglądała na zawstydzoną w moim imieniu, teraz uśmiecha się do siebie.

– Czy to możliwe? – odezwał się Ronny Johansson niemal szeptem.

– Jak wyraźna jest ta prawidłowość? – zapytał Mälarstedt.

– Wyraźna, ale niepotwierdzona – odpowiedziałem.

– Czy na świecie istnieją podobne badania? – zastanawiał się Mälarstedt.

– Nie – odpowiedział mu krótko Ronny Johansson.

– Ale ja chciałbym wiedzieć co innego. – Głos zabrał Holstein. – Jeśli tam jest ta przeszkoda, to czy twoim zdaniem pacjent zawsze będzie znajdował nowe schronienia?

– Czy można pójść dalej? – dodał Mälarstedt.

Czułem, jak palą mnie policzki, odchrząknąłem i odpowiedziałem:

– Moim zdaniem da się zejść głębiej, poniżej obrazów, w jeszcze głębszą hipnozę.

– Ale pacjenci?

– Też o tym pomyślałem. – Mälarstedt zgodził się z Lorentzon.

– To wszystko jest oczywiście diabelnie kuszące – stwierdził Holstein. – Ale ja chcę gwarancji... Żadnych psychoz czy samobójstw.

– Tak, chociaż...

– Możesz to obiecać? – przerwał mi.

Frank Paulsson siedział tylko, bawiąc się etykietą na butelce z wodą. Holstein wyglądał na zmęczonego i spojrział na zegarek.

– Moim priorytetem jest pomóc pacjentom – oświadczyłem.

– A praca naukowa?

– Praca naukowa jest...

Odchrząknąłem.

– Mimo wszystko jest produktem ubocznym – dokończyłem cicho. – Muszę na to patrzeć w ten sposób.

Kilku mężczyzn siedzących przy stole wymieniło spojrzenia.

– Dobrze powiedziane – odezwał się nagle Frank Paulsson. – Erik Maria Bark ma moje pełne poparcie.

– Ja wciąż niepokoję się o pacjentów – stwierdził Holstein.

– Wszystko jest tu napisane – powiedział Paulsson, wskazując palcem kompendium. – Napisał o tym, o rozwoju pacjentów, to wygląda bardziej niż obiecująco.

– Chociażby z tego powodu, że to taki niespotykany rodzaj terapii, tak śmiały, musimy mieć pewność, że będziemy umieli go

wybronić, gdyby coś poszło nie tak.

– Właściwie to nie ma co pójść źle – powiedziałem, czując na plecach zimny dreszcz.

– Erik, jest piątek i wszyscy chcieliby już iść do domu – odezwała się Annika Lorentzon. – Wydaje mi się, że możesz liczyć na dalsze fundusze.

Pozostali pokiwali głowami na znak, że się zgadzają, a Ronny Johansson odchylił się na krześle i zaczął klaskać.



Kiedy wróciłem do domu, Simone stała w naszej przestronnej kuchni. Wyłożyła na stół zakupy spożywcze z czterech toreb: pęczek szparagów, świeży majeranek, kurczaka, cytrynę i ryż jaśminowy. Na mój widok roześmiała się.

– O co chodzi? – zapytałem.

Potrząsnęła głową i odpowiedziała z szerokim uśmiechem:

– Powinieneś się zobaczyć.

– Jak to?

– Wyglądasz jak dzieciak w Boże Narodzenie.

– Aż tak to widać?

– Benjamin! – zawołała.

Benjamin wszedł do kuchni z etui na leki w ręce. Simone ukryła swoją wesołość i wskazując na mnie, zapytała:

– Zobacz. Jak wygląda tatuś?

Benjamin popatrzył mi w oczy i na buzi pojawił mu się uśmiech.

– Jesteś wesoły, tatusiu.

– Jestem, młody człowieku. Jestem.

– Wynaleźli lekarstwo? – spytał.

– Słucham?

– Żebym wyzdrowiał i już nigdy nie potrzebował zastrzyków – wyjaśnił.

Podniosłem go, przytuliłem i powiedziałem, że jeszcze nie wynaleźli tego lekarstwa, ale mam nadzieję, że wkrótce to się stanie, pragnę tego najbardziej na świecie.

– Okej – powiedział.

Postawiłem go na podłodze i zobaczyłem zamyśloną twarz Simone.

Benjamin pociągnął mnie za nogawkę.

– To co to? – zapytał.

Nie zrozumiałem.

– Z czego się cieszysz tatusiu?

– To tylko pieniądze – odparłem sucho. – Dostałem pieniądze na moje badania.

– David mówi, że czarujesz.

– Nie czaruję, tylko hipnotyzuję, żeby pomóc ludziom, którzy są smutni i się boją.

– Artystów?

Roześmiałem się, a Simone zrobiła zdziwioną minę.

– Dlaczego tak mówisz? – zapytała.

– Powiedziałaś przez telefon, że się boją, mamó.

– Tak powiedziałam?

– Tak, przedtem, słyszałem.

– Racja, mówiłam dziś coś takiego, zgadza się, chodziło o to, że artyści boją się i są zdenerwowani, kiedy pokazują swoje obrazy – wyjaśniła.

– Á propos, co z tym lokalem przy parku Berzeliusa? – wtrąciłem.

– Na Arsenalgatan.

– Byłaś tam dzisiaj?

Simone powoli skinęła głową.

– Jest w porządku. Jutro podpisuję umowę.

– O rany! I czemu nic nie mówisz? Gratulacje, Sixan!

Roześmiała się.

– Wiem już dokładnie, jaka będzie wystawa premierowa. Jest taka dziewczyna, która skończyła Akademię Sztuk Pięknych w Bergen, po prostu fantastyczna, robi wielkie...

Simone przerwała na dźwięk dzwonka u drzwi. Przez kuchenne okno próbowała dojrzeć, kto to, zanim poszła otworzyć. Ruszyłem

za nią i widziałem jej postać w ciemnym korytarzu na tle otwartych drzwi, przez które wpadało światło dnia.

– Kto to był? – zapytałem.

– Nikt, nie było nikogo – odpowiedziała.

Zerknąłem nad żywopłotem na ulicę.

– A to co? – zdziwiła się nagle Simone.

Na schodach przed drzwiami leżał kij z uchwytem z jednej i małą drewnianą płytką z drugiej strony.

– Dziwne – powiedziałem, podnosząc z ziemi to stare narzędzie.

– Co to w ogóle jest?

– Chyba dyscyplina, używana do bicia dzieci w dawnych czasach.



Nadeszła pora sesji w grupie hipnotycznej. Za kilka minut powinni się zjawić. Sześcioro wyjadaczy i ta nowa kobieta, Eva Blau. Wkładając fartuch lekarski, zawsze przez moment czułem oszałamiającą ekscytację, jakbym występował na scenie. Miałem wrażenie, że wkraczam na estradę, w światła jupiterów. To nie była próżność, tylko niewiarygodnie przyjemna pewność, że można odpowiedzieć na każde pytanie.

Wziąłem notatnik i przejrzałem zapiski z poprzedniej sesji, sprzed tygodnia, kiedy Marek opowiedział o tym wielkim drewnianym domu na wsi w kantonie zenicko-dobojskim.

Później udało mi się wprowadzić Marka w głębszy niż zazwyczaj trans. Spokojnie i rzeczowo opisał pomieszczenie w piwnicy, z cementową podłogą, gdzie zmuszony był porażać prądem swoich przyjaciół i dalekich krewnych. Nagle jednak odwrócił się, zmienił scenariusz, nie zważał na moje wskazówki i na własną rękę starał się wyjść z hipnozy. Wiedziałem, że do przodu trzeba iść małymi kroczkami. Dlatego postanowiłem dać dziś Markowi spokój. Teraz przysła kolej na Charlotte, a potem może zrobię pierwsze podejście z tą nową pacjentką – Evą Blau.

Sala do hipnozy miała uspokajać pacjentów. Zasłony miały nieokreślony żółtawy odcień, podłoga była szara, meble proste, ale

wygodne: brzoszowe krzesła i stół, jasne drewno w niewielkie brązowe piegi. Pod jednym z krzesel leżał zapomniany niebieski ochraniacz na but. Ściany były puste, jeśli nie liczyć kilku litografii w łagodnych barwach.

Ustawiłem krzesła w półokręgu, a statyw kamery umieściłem tak daleko, jak to tylko było możliwe.

Badania wzbudziły mój entuzjazm, byłem bardzo ciekaw, co wypłynie na wierzch. Jednocześnie czułem, że ta forma terapii jest najlepsza ze wszystkich, jakie do tej pory stosowałem. Znaczenie grupy było nieocenione w leczeniu urazów psychicznych. Izolację samotności zastępował wspólny proces gojenia ran.

Przymocowałem kamerę do statywu, podłączyłem kabel, włożyłem nową taśmę, ustawiłem balans bieli, zrobiłem zbliżenie na oparcie jednego z krzesel, nastawiłem ostrość, z powrotem oddaliłem. W tym czasie do pokoju weszła jedna z moich pacjentek. Była to Sibel. Prawdopodobnie od kilku godzin czekała pod szpitalem na otwarcie naszej sali i rozpoczęcie sesji. Usiadła na krzesle i zaczęła wydawać dziwne gardłowe dźwięki, coś jakby połykanie, gulgotanie. Z uśmiechem niezadowolenia poprawiała swoją wielką blond perukę z lokami, którą zazwyczaj nosiła podczas naszych spotkań, a potem westchnęła ciężko.

Weszła Charlotte Cederskiöld. Ubrana była w granatowy trencz z szerokim paskiem mocno zaciśniętym na wąskiej talii. Kiedy zdjęła czapkę, jej gęste kasztanowe włosy rozsypały się wokół twarzy. Jak zawsze była nieopisanie smutna i piękna.

Podszedłem do okna, otworzyłem je i poczułem rześki, łagodny wiosenny wiatr owiewający mi twarz.

Kiedy obróciłem się w stronę pokoju, na miejscu był już także Jussi.

– Doktorze – przywitał się.

Podaliśmy sobie dłonie, potem poszedł przywitać się z Sibel. Poklepał się po piwnym brzuszysku i powiedział coś, co wywołało śmiech i rumieniec na twarzy kobiety. Rozmawiali półgłosem,

podczas gdy zbierała się reszta grupy, czyli Lydia, Pierre i Marek, jak zwykle trochę spóźnieni.

Stałem w milczeniu, czekając, aż będą gotowi. Uczestnicy terapii mieli jedną cechę wspólną: przeżyli traumę w wyniku doznanej kiedyś przemocy różnego rodzaju. Te przeżycia spowodowały takie spustoszenia w ich psychice, że aby móc dalej funkcjonować, przed samymi sobą je ukryli. Żadne z nich tak naprawdę nie wiedziało, co im się przydarzyło, mieli tylko świadomość, że coś potwornego w przeszłości zniszczyło im życie.

„Przeszłość nie umarła, ona nawet nie przeszła”, zwykłem cytować Williama Faulknera. Chciałem przez to powiedzieć, że każda najmniejsza rzecz, która się w życiu wydarzy, ciągnie się za człowiekiem w teraźniejszość. Każde doświadczenie ma wpływ na każdy wybór, a w przypadku przeżyć traumatycznych przeszłość zajmuje całą przestrzeń w teraźniejszości.

Zazwyczaj wprowadzałem w trans całą grupę jednocześnie i za każdym razem wybierałem jedną osobę, czasem więcej, z którą schodziłem głębiej. W ten sposób przez cały czas mieliśmy dostęp do dwóch poziomów, na których mogliśmy dyskutować o tym, co się działo: poziom sugestii hipnotycznej i poziom świadomości.

Odkryłem coś. Najpierw było to tylko przecucie, które potem ułożyło się w pewną prawidłowość. To odkrycie trzeba było jeszcze oczywiście udowodnić. Nie wiedziałem, czy nie pokładałam zbyt wielkich nadziei w swojej tezie: w stanie głębokiej hipnozy sprawca głównego urazu nigdy nie występuje we własnej postaci. Można odnaleźć sytuację, obserwować jej przerażający rozwój, ale sprawca pozostaje w ukryciu.

Wszyscy siedzieli już na swoich miejscach, ale Eva Blau, moja nowa pacjentka, jeszcze się nie pojawiła. Fala dobrze znanego niepokoju przeszła przez grupę.

Charlotte Cederskiöld siedziała zawsze z tyłu. Zdjęta płaszcz, była jak zwykle niezwykle elegancka – miała stonowany popielaty sweterek i szeroki, lśniący naszyjnik z pereł wokół smukłej szyi.

Włożyła granatową plisowaną spódnicę, ciemne kryjące rajstopy i niskie, lśniące buty. Kiedy nasze spojrzenia się spotkały, uśmiechnęła się do mnie ostrożnie. Do tego dnia, w którym przyjąłem ją do naszej grupy, próbowała piętnaście razy targnąć się na swoje życie. Ostatnim razem postrzeliła się w głowę z ogromnej, przeznaczonej na polowania na łosie strzelby męża, w salonie willi w Djursholm. Lufa się obsunęła i Charlotte straciła tylko ucho i fragment policzka. Nie było już po tym śladu: przeszła kilka kosztownych operacji plastycznych i zmieniła fryzurę na gładkiego pazia, kryjącego protezę ucha i aparat słuchowy.

Kiedy obserwowałem, jak Charlotte, przekrzywiając głowę, uprzejmie i z szacunkiem słucha opowieści pozostałych członków, zawsze przechodził mnie zimny dreszcz. Ładnie się starzała. Atrakcyjna, pomimo że coś w niej, w środku, było poważnie uszkodzone. Zdawałem sobie sprawę, że skonfrontowany z tą bezdenną czeluścią, którą w niej przeczuwałem, nie zdołam zachować neutralności.

– Siedzisz wygodnie, Charlotte? – zapytałem.

Skinęła głową i odpowiedziała swoim miękkim głosem, idealnie artykułując głoski:

- Jest mi dobrze, bardzo dobrze.
- Dzisiaj zbadamy wewnętrzny pokój Charlotte – wyjaśniłem.
- Mój dom strachów – uśmiechnęła się.
- Właśnie tak.

Marek uśmiechnął się ponuro i niecierpliwie, kiedy nasze oczy się spotkały. Cały ranek spędził na siłowni, jego mięśnie wypełniała krew. Spojrzałem na zegarek. Czas zacząć, nie mogliśmy dłużej czekać na Evę Blau.

– Proponuję, żebyśmy zaczynali – odezwałem się.

Sibel zerwała się z krzesła i zawinęła gumę do żucia w serwetkę, którą potem wyrzuciła. Zerknęła na mnie spłoszona i powiedziała:

– Jestem gotowa, doktorze.

Po ćwiczeniach odprężających następowały trudniejsze dla

pacjentów fazy indukcji, rozmycie poczucia wolnej woli i granic. Stopniowo wprowadzałem ich w głębszy trans, wywołując obraz mokrych drewnianych schodów, którymi powoli schodziliśmy w dół.

Wokół nas zaczął krążyć ów szczególny rodzaj energii, jedyne w swoim rodzaju ciepło między mną a nimi. Jussi zdawał się niespokojny, mamrotał i co jakiś czas agresywnie wykrzywił usta. Mój głos kierował pacjentami, a moje oczy obserwowały, jak osuwają się na krzesłach, jak ich twarze stają się obce, uzyskując ten wyjątkowy, szorstki wyraz, charakterystyczny dla ludzi w transie hipnotycznym.

Chodziłem za ich plecami, delikatnie dotykałem ich ramion, prowadziłem każdego indywidualnie, odliczałem wstecz, krok po kroku.

Jussi syknął coś pod nosem.

Usta Marka Semiovia były otwarte i ciekła z nich strużka śliny.

Pierre wyglądał jeszcze wężej i słabiej niż zwykle. Ręce Lydii zwiślały luźno za podłokietniki krzesła.

– Schodźcie niżej schodami – powiedziałem półgłosem.

Nie przyznałem się przed zarządem, że również sam hipnotyzer zagłębiał się w pewnego rodzaju trans. Uważałem, że to nieuniknione i pomocne w terapii.

Nigdy nie byłem w stanie zrozumieć, dlaczego mój własny trans, który zawsze odbywał się równoległe do transu pacjentów, rozgrywa się pod wodą. Podobał mi się jednak ten podwodny obraz, był wyraźny i przyjemny, i przyzwyczałem się do odczytywania w nim niuansów przebiegu sesji.

Podczas gdy ja zanurzałem się w morzu, moi pacjenci oczywiście widzieli zupełnie inne rzeczy, zagłębiając się w swoich wspomnieniach, w przeszłości. Trafiali do swoich pokoi dziecińczych, miejsc młodości, do domków letniskowych rodziców czy garażów koleżanek z sąsiedztwa. Nie wiedzieli, że w tym samym czasie dla mnie znajdują się głęboko pod wodą, powoli płynąc wzdłuż

jakiegoś gigantycznego koralowca, płyty kontynentalnej czy ściany rowu tektonicznego.

W mojej głowie opadaliśmy wspólnie w dół, wśród drobnych pęcherzyków powietrza.

Tym razem chciałem spróbować wszystkich wprowadzić dość głęboko. Mój głos odliczał liczby, mówił o przyjemnym odprężeniu, podczas gdy woda huczała mi w uszach.

– Chcę, żebyście zanurzyli się jeszcze głębiej, jeszcze trochę – poleciłem. – Idźcie dalej w dół, ale teraz wolniej, wolniej. Zaraz się zatrzymamy, spokojnie, delikatnie... troszkę głębiej, jeszcze troszkę. I stajemy.

Cała grupa stała teraz półkolem naprzeciw mnie na piaszczystym dnie oceanu, płaskim i rozległym jak gigantyczna podłoga. Woda była jasna i zielonkawa. Piasek pod naszymi stopami poruszał się maleńkimi, regularnymi falami. Nad nami unosiły się migotliwe różowe meduzy. Płaszczki wzbijały co jakiś czas chmurę piasku i błyskawicznie odpływały.

– Wszyscy znajdujemy się głęboko – powiedziałem.

Otworzyli oczy i spojrzeli na mnie.

– Charlotte, zaczniemy od ciebie. Co widzisz? Gdzie się znajdujesz?

Usta poruszyły jej się bezgłośnie.

– Nie ma tu żadnego niebezpieczeństwa – zapewniłem. – Jesteśmy cały czas za tobą.

– Wiem – rzekła bez emocji.

Jej oczy nie były ani otwarte, ani zamknięte, tylko przymrużone, jak u lunatyka, puste i dalekie.

– Stoisz przed drzwiami – stwierdziłem. – Chcesz wejść?

Skinęła, a włosy poruszyły się wokół jej głowy, z prądem wody.

– Zrób to – poleciłem.

– Dobrze.

– Co widzisz?

– Nie wiem.

– Weszłaś do środka? – spytałem, czując, że za bardzo się śpieszę.

- Tak.
- Ale nic nie widzisz?
- Widzę.
- Czy to coś dziwnego?
- Nie wiem, nie wydaje mi się...
- Opisz to – wtrąciłem szybko.

Potrząsnęła głową, aż z jej włosów uwolniły się maleńkie bąbelki powietrza i połyskując, uniosły się w górę. Zdawałem sobie sprawę, że popełniam błąd, że nie jestem wyczulony na jej potrzeby, że jej nie prowadzę, tylko próbuję pchnąć naprzód, ale mimo to nie potrafiłem się powstrzymać, żeby nie powiedzieć:

- Jesteś z powrotem w domu dziadka.
- Tak – odparła zduszonym głosem.
- Stoisz w drzwiach i ruszasz naprzód.
- Nie chcę.
- Tylko jeden krok.
- Może nie teraz – wyszeptała.
- Podnosisz wzrok i patrzysz.
- Nie chcę.

Dolna warga jej drżała.

- Widzisz coś dziwnego? – zapytałem. – Coś, czego nie powinno tam być?

Na jej czole pojawiła się zmarszczka i nagle zdałem sobie sprawę, że za chwilę Charlotte może stracić panowanie i wyrwać się z hipnozy. To mogłoby być niebezpieczne i jej zaszkodzić. Gdyby poszło za szybko, mogłaby wpaść w głęboką depresję. Z jej ust wypływały lśniącym łańcuchem wielkie bańki powietrza. Twarz mieniła się, przez jej czoło biegły zielononiebieskie smugi.

- Nie musisz, Charlotte, nie musisz patrzeć – powiedziałem uspokajająco. – Możesz otworzyć szklane drzwi i wyjść do ogrodu, jeśli chcesz.

Cała się trzęsła i zrozumiałem, że jest już za późno.

- Odpręż się – wyszeptałem, wyciągając rękę, żeby ją pogłaskać.

Wargi miała białe, oczy szeroko otwarte.

– Charlotte, powoli wspólnie wynurzymy się na powierzchnię – uspokajałem.

Jej stopy wzbity gęstą chmurę piasku, kiedy uniosła się w górę.

– Poczekaj – powiedziałem cicho.

Marek spojrzał na mnie i spróbował coś zawołać.

– Jesteśmy już w drodze do góry, policzę do dziesięciu – mówiłem, jednocześnie pośpiesznie wypływając na powierzchnię. – A kiedy skończę, otworzycie oczy i będziecie się czuć dobrze, i...



Charlotte gwałtownie wciągnęła powietrze, na chwiejnych nogach wstała z krzesła, poprawiła ubranie i spojrzała na mnie pytająco.

– Zrobimy krótką przerwę.

Sibel podniosła się z wysiłkiem i wyszła na papierosa. Pierre poszedł za nią. Jussi został na swoim miejscu, ociężały i apatyczny. Żaden z pacjentów nie był do końca wybudzony. Proces wychodzenia z transu był zbyt szybki. Za chwilę mieliśmy jednak zejść z powrotem, uznałem więc, że lepiej pozostawić grupę na tym przytłumionym poziomie świadomości. Nie wstając z krzesła, potarłem dłońmi twarz i zrobiłem kilka notatek, kiedy podszedł do mnie Marek Semiovic.

– Dobra robota – odezwał się, uśmiechając się bez entuzjazmu.

– Nie wyszło tak, jak to sobie zaplanowałem – odpowiedziałem.

– Mnie się podobało – stwierdził.

Zbliżyła się do nas Lydia, pobrzękując biżuterią. Jej farbowane henną włosy rozzarzyły się niczym miedziany drucik, kiedy przechodziła przez promień słońca.

– To znaczy? – spytałem. – Co ci się podobało?

– Że pokazałeś jaśnie kurwie, gdzie jej miejsce.

– Co powiedziałaś? – zapytała Lydia.

– Nie mówię o tobie, tylko...

– Ale nie możesz twierdzić, że Charlotte jest kurwą, bo to

nieprawda – powiedziała łagodnie Lydia. – Czyż nie mam racji, Marku?

– Masz, do diabła.

– Wiesz, czym zajmuje się dziwka?

– Tak.

– Bycie dziwką – ciągnęła dalej z uśmiechem – wcale nie musi być złe, to wybór, którego się dokonało, tu chodzi o bhakti, kobiecą energię i kobiecą władzę.

– Właśnie tak, one chcą władzy – przytaknął gorliwie. – Nie ma co ich, kurwa, żałować.

Odsunąłem się, by przejrzeć notatki, ale nie przestałem przysłuchiwać się rozmowie.

– Niektórym nie udało się zbalansować swojej chakry – mówiła ze spokojem Lydia. – I oczywiście czują się źle.

Marek Semiovic usiadł, niespokojny, oblizał wargi i popatrzył na Lydię.

– W domu strachów działy się różne rzeczy – powiedział cicho. – Wiem o tym, ale...

Umilkł i zacisnął zęby, aż poruszyły się mięśnie jego szczęk.

– Tak właściwie nic nie jest złe – stwierdziła Lydia, biorąc jego dłoń w swoje ręce.

– Dlaczego nie pamiętam?

Wrócili Sibel i Pierre. Wszyscy byli milczący i wyciszeni. Charlotte wyglądała na bardzo osłabioną. Założyła ręce na piersi, obejmując się ramionami.

Wymieniłem kasetę w kamerze, podałem czas i datę, a potem dodałem, że znajdujemy się w stanie posthipnotycznym. Spojrzałem przez obiektyw, podniosłem odrobinę statyw i ustawiłem kamerę. Potem wyrównałem krzesła i poprosiłem pacjentów o zajęcie miejsc.

– Proszę, siadajcie, czas kontynuować.

Nagle ktoś zapukał do drzwi i weszła Eva Blau. Widziałem, jaka jest zdenerwowana, i podszedłem do niej.

- Cieszę się, że cię widzę – powiedziałem.
- Naprawdę? – zapytała.
- Tak – potwierdziłem.

Zarumieniła się na twarzy i szyi, kiedy odebrałem od niej płaszcz i powiesiłem na wieszaku. Zaprowadziłem ją do grupy i dostawiłem krzesło do półkola.

- Eva Blau była pacjentką doktora Ohlsona, ale przyłączy się do nas. Wszyscy będziemy się starali, żeby się u nas dobrze czuła.

Sibel skinęła powściągliwie głową, Charlotte uśmiechnęła się przyjaźnie, pozostali pozdrowili ją nieśmiało. Marek udawał, że jej nie widzi.

Eva Blau usiadła na wolnym krześle i ścisnęła dłonie między udami. Wróciłem na swoje miejsce i ostrożnie rozpocząłem drugą część sesji:

- Usiądźcie wygodnie, stopy na podłodze, dłonie na kolanach. Pierwsza część nie przebiegła do końca tak, jak zaplanowałem.

- Przepraszam – odezwała się Charlotte.

- Nikt nie musi przeproszać, a ty w najmniejszym stopniu, mam nadzieję, że to rozumiesz.

Eva Blau obserwowała mnie bez przerwy.

- Zaczniemy od myśli i skojarzeń wokół pierwszej części sesji – powiedziałem. – Czy ktoś chciałby skomentować?

- Pesząca – odezwała się Sibel.

- Frustrująca – dodał Jussi. – To znaczy... Zdążyłem otworzyć oczy i podrapać się po łbie i już było po wszystkim.

- Co poczułeś? – zapytałem.

- Włosy – odpowiedział z uśmiechem.

- Włosy? – Sibel chichocze.

- Na głowie – wyjaśnił Jussi.

Kilka osób zaśmiało się z żartu.

- Skojarzenia z włosami – ciągnąłem z uśmiechem. – Charlotte?

- Nie wiem... – uśmiechnęła się. – Włosy? Może broda... Nie.

Przerwał jej Pierre swoim wysokim głosem.

– Hipis, hipis na chopperze – wtrącił, również się uśmiechając. – Siedzi, o tak, żuje juicyfruta i mknie...

Nagle Eva wstała i odsunęła z hałasem krzesło.

– Przecież to jakaś dziecinada – stwierdziła, pokazując palcem Pierre’a.

Jego uśmiech blednie.

– Dlaczego tak uważasz? – zapytałem.

Nie odpowiedziała, spojrzała mi tylko w oczy i naburmuszona usiadła z powrotem na krześle.

– Pierre, mów dalej – poprosiłem spokojnie.

Pokręcił głową, skrzyżował palce wskazujące, udając, że osłania się przed Evą.

– Zastrzelili Dennisa Hoppera, bo był hipisem – powiedział konspiracyjnym szeptem.

Sibel roześmiała się i spojrzała na mnie wyczekująco. Jussi podniósł rękę i zwrócił się do Evy:

– W domu strachów dziecinady nie będzie – rzekł w swoim ciężkim dialekcie.

W pokoju zrobiło się całkiem cicho. Pomyślałem o tym, że Eva nie może mieć pojęcia, co dom strachów oznaczał dla naszej grupy, ale nie odzywałem się.

Eva Blau odwróciła się w stronę Jussiego i wyglądała, jakby chciała coś do niego krzyknąć, ale on tylko spojrzał na nią ze spokojem i powagą. Eva powstrzymała się i poprawiła się na krześle.

– Evo, zaczynamy ćwiczeniami rozluźniającymi i oddechowymi, potem wprowadzam was pojedynczo lub parami w stan hipnotyczny – wyjaśniłem. – Wszyscy oczywiście cały czas w tym uczestniczą, niezależnie od poziomu świadomości, w którym się znajdują.

Przez twarz Evy przebiegł ironiczny uśmiech.

– A czasami – mówiłem dalej – jeśli czuję, że to zadziała, próbuję całą grupę wprowadzić w stan głębokiej hipnozy.

Przysunąłem krzesło, poprosiłem, żeby zamknęli oczy i wygodnie się oparli.

– Stopy mają spoczywać stabilnie na podłodze, dłonie na kolanach.

Podczas gdy ostrożnie sprowadzałem ich w stan coraz głębszego odprężenia, pomyślałem, że powinienem zacząć od zbadania tajemnego pokoju Ewy Blau. Ważne, żeby w krótkim czasie dała coś od siebie i została przyjęta do grupy. Odliczałem wstecz i przysłuchiwałem się ich oddechom. Zanurzyłem ich w lekki trans i zostawiłem tuż pod powierzchnią wody.

– Evo, zwracam się teraz tylko do ciebie – powiedziałem spokojnie. – Masz na mnie polegać, zaopiekuję się tobą w transie, nic złego nie może się stać. Czujesz się odprężona i bezpieczna, będziesz słuchać mojego głosu i podążać za moimi słowami. Wykonuj spontanicznie moje polecenia, nie kwestionując ich z góry, znajdziesz się w strumieniu słów, nie z przodu i nie z tyłu, tylko cały czas pośrodku...

Opadaliśmy przez szarą wodę, reszta grupy mignęła nam w górze, wisząc głowami u pomarszczonego lustra wody. Zanurzaliśmy się w ciemną toń wzdłuż grubej liny z falującymi chorągiewkami glonów.

Jednocześnie, w rzeczywistości, stałem za plecami Ewy Blau, trzymając dłoń na jej ramieniu i przemawiając spokojnym, cichnym głosem. Jej włosy pachniały dymem. Siedziała oparta na krześle, z rozluźnioną twarzą.

W moim własnym transie woda przed nią była raz brązowa, a raz szara. Twarz miała skrytą w cieniu, usta zaciśnięte, surową zmarszczkę między brwiami, a oczy zupełnie czarne. Zastanawiałem się, gdzie zacząć. Właściwie wiedziałem o niej bardzo niewiele. Dokumentacja Lassego Ohlsona prawie nic nie mówiła o jej przeszłości. Byłem zmuszony sprawdzić to na własną rękę, zdecydowałem więc zacząć ostrożnie. Często okazywało się, że spokój i radość były najkrótszą drogą do najtrudniejszego.

– Masz dziesięć lat, Evo – powiedziałem i obszedłem krzesła naokoło, żeby móc obserwować ją z przodu.

Jej pierś prawie się nie poruszała, oddychała spokojnie, miękko, przeponą.

– Masz dziesięć lat. To dobry dzień. Cieszysz się. Dlaczego się cieszysz?

Eva ułożyła usta w słodki dzióbek, uśmiechnęła się do siebie i powiedziała:

– Bo ten pan tańczy, rozpryskując kałuże.

– Kto tańczy? – spytałem.

– Kto?

Przez chwilę milczy.

– Mama mówi, że Gene Kelly.

– Aha, oglądasz *Deszczową piosenkę*?

– Mama ogląda.

– Ty nie.

– Też – uśmiechnęła się i zmrużyła oczy.

– I cieszysz się?

Eva Blau powoli skinęła głową.

– Co się dzieje?

Spuściła głowę na piersi. Na jej twarzy błysnął nagle dziwny uśmiech.

– Mój brzuch jest wielki – powiedziała cicho.

– Twój brzuch?

– Widzę, że jest ogromny – powtórzyła z płaczem w głosie.

Jussi sapał obok niej. Kątem oka zauważyłem, że poruszył wargami.

– Dom strachów – szepnął w swoim lekkim transie. – Dom strachów.

– Evo, słuchaj mnie – powiedziałem. – Słyszysz wszystkich, którzy są w tym pokoju, ale tylko mojego głosu masz słuchać. Nie obchodzi cię, co mówią inni, zwracaj uwagę tylko na mój głos.

– Okej – zgodziła się z zadowolonym wyrazem twarzy.

– Wiesz, dlaczego twój brzuch jest duży? – spytałem.

Nie odpowiedziała. Obserwowałem ją, stojąc tuż przed nią. Twarz miała poważną, zmartwioną, wzrok zatopiony w jakiejś myśli, wspomnieniu. Przez chwilę wyglądała, jakby chciała powstrzymać uśmiech.

– Nie wiem – odparła.

– Ja myślę, że wiesz – powiedziałem. – Ale dojdziemy do tego w twoim własnym tempie, Evo. Nie musisz teraz o tym myśleć. Chcesz znowu popatrzeć na telewizję? Pójdę z tobą, wszyscy będą ci towarzyszyć, całą drogę, bez względu na to, co się stanie, masz nasze słowo. Obiecaliśmy ci i możesz na nas polegać.

– Chcę do domu strachów – wyszeptała.

Pomyślałem, że coś się nie zgadza, ale zacząłem odliczać wstecz i zasugerowałem jej schody prowadzące w dół. Sam zanurzyłem się w ciepłej wodzie, opadając wzdłuż skały, głębiej i głębiej.

Eva Blau uniosła do góry brodę, zwilżyła usta, wciągnęła policzki i wyszeptała:

– Widzę, jak kogoś zabierają, podchodzą i zabierają...

– Kto zabiera? – spytałem.

Zaczęła oddychać nieregularnie. Twarz jej pociemniała. Brązowa mętna woda przepłynęła przed nią.

– Mężczyzna z kucykiem. Wiesz małego człowieka u sufitu – jęczała.

Widziałem, jak jedną ręką trzyma się mocno cumy, jednocześnie powoli wiosłując nogami. W mgnieniu oka byłem poza transem. Wiedziałem, że Eva Blau blefowała, nie poddała się hipnozie. Nie miałem pojęcia, skąd to wiem, ale byłem całkowicie pewien. Oparła się moim słowom, zablokowała sugestię. Mózg szeptał mi: „Ona kłamie, nie jest ani trochę zahipnotyzowana”.

Patrzyłem, jak rzuca się na krześle.

– Mężczyzna ciągnie, ciągnie małego człowieczka, ciągnie zbyt mocno...

Nagle Eva Blau napotkała mój wzrok i uspokoiła się. Szeroki,

szyderczy uśmiech rozciągnął jej wargi.

– Dobra byłam? – zapytała.

Nie odpowiedziałem. Stałem tylko, przyglądając się, jak wstaje, zdejmując płaszcz z haka i spokojnie wychodzi z pokoju.



Zapisałem „dom strachów” na kawałku papieru, owinąłem go wokół kasety wideo z numerem 14 i zamocowałem gumką. Zamiast jak zwykle zarchiwizować taśmę, wziąłem ją ze sobą do pokoju. Chciałem przeanalizować kłamstwo Ewy Blau i własną reakcję, ale już w korytarzu zrozumiałem, co przez cały czas było nie tak: Eva była świadoma swojej twarzy, starała się wyglądać słodko, nie miała tego ociężałego, szczerzego wyrazu, który był typowy dla osób pod wpływem hipnozy. Osoba w transie może się uśmiechać, ale nie swoim zwykłym uśmiechem, tylko sennym, ospałym.

Kiedy dotarłem do gabinetu, zastałem przed drzwiami tę młodą studentkę medycyny. Sam byłem zaskoczony, że pamiętam, jak się nazywa: Maja Swartling.

Przywitaliśmy się i zanim jeszcze zdążyłem przekręcić w zamku klucz, powiedziała szybko:

– Przepraszam, że jestem taka nachalna. Ale część mojej pracy dyplomowej bazuje na pana badaniach i nie tylko ja, ale także mój promotor chciałby, żeby pan był jej konsultantem.

Spojrzała na mnie z powagą.

– Rozumiem – odparłem.

– Czy mogłabym zadać kilka pytań? – zapytała w końcu. – Pozwoli mi pan zadać sobie parę pytań?

W jednej chwili patrzyła na mnie wzrokiem małej dziewczynki: czujnym, a zarazem niepewnym. Miała bardzo ciemne oczy, błyszcząco czarno na tle niezwykle jasnej skóry. Wyszczotkowane włosy lśniły, zaplecione w finezyjne warkocze. Fryzura była staromodna, ale pasowała do niej.

– Mogę? – powtórzyła miękko. – Nie ma pan pojęcia, jaka potrafię być namolna.

Zdałem sobie sprawę, że uśmiecham się do niej. Było w niej coś takiego świeżego i czystego, że nie namyślając się, rozłożyłem ręce i powiedziałem, że jestem gotów. Zaśmiała się i popatrzyła na mnie długo, z zadowoleniem. Otworzyłem drzwi, a ona weszła za mną bez wahania, usiadła na krześle dla gości, wyjęła notes i długopis i spojrzała na mnie z uśmiechem.

– O co chciałaby mnie pani spytać?

Maja zarumieniła się mocno i zaczęła mówić, cały czas z szerokim uśmiechem, który nie schodził jej z twarzy:

– Gdybyśmy zaczęli od praktyki... co myśli pan o możliwości oszukiwania przez pacjentów? Że będą mówić tylko to, co ich zdaniem chciałby pan usłyszeć?

– Dzisiaj faktycznie miałem taki przypadek. – Uśmiechnąłem się.

– Pacjentka nie chciała poddać się hipnozie, oparła się i oczywiście nie weszła w trans, ale udawała, że tak było.

Maja uspokoiła się, wyglądała na mniej zdenerwowaną. Pochyliła się do przodu, wyduła usta i powtórzyła:

– Udawała?

– Odkryłem to, ma się rozumieć.

Uniosła pytająco brwi.

– Jak?

– Przede wszystkim istnieją bardzo wyraźne oznaki hipnotycznego odprężenia – najważniejsza z nich to, że twarz traci całą sztuczność.

– Może pan to rozwinąć?

– Na jawie nawet najbardziej rozluźniona osoba ma spójną twarz. Wargi złączone, mięśnie twarzy współpracują, wzrok i tak dalej... Osoba w stanie hipnotycznym traci to wszystko. Usta się otwierają, opada broda, wzrok jest ospały... Trudno to opisać, to się wie.

Wyglądała, jakby chciała o coś zapytać, więc zrobiłem przerwę. Potrząsnęła głową i poprosiła, żebym kontynuował.

– Przeczytałam pańskie raporty – powiedziała. – Pańska grupa hipnotyczna nie składa się z samych ofiar, czyli osób, które doznały

przemocy, ale także ze sprawców, ludzi, którzy innych narazili na potworności.

– W podświadomości działa to w ten sam sposób i...

– Chce pan powiedzieć...

– Proszę poczekać, pani Maju... I w sytuacji grupy terapeutycznej jest to tak naprawdę zaleta.

– Ciekawe – stwierdziła, przy okazji coś notując. – Chciałabym do tego wrócić, ale teraz interesuje mnie to, jak sprawca widzi samego siebie podczas transu. Wysnuł pan tezę, że ofiara często zastępuje sprawcę czymś innym, na przykład zwierzęciem.

– Nie zdążyłem jeszcze zbadać tej kwestii i nie chciałbym spekulować.

Przechyliła głowę.

– Ale domyśla się pan?

– Mam takiego pacjenta...

Urwałem, myśląc o Jussim Perssonie, Norrlandczyku, który znosił swą samotność jako potworny, zawiniony przez siebie ciężar.

– Co chciał pan powiedzieć?

– W transie pacjent powraca na ambonę myśliwską, zachowuje się, jakby kierowała nim strzelba, zabija sarny i zostawia je. Poza transem nie przyznaje się do tego, ale opowiada, że często przesiaduje na ambonie i czeka na niedźwiedzicę.

– I to mówi, kiedy jest wybudzony? – Uśmiechnęła się.

– Ma dom na północy, w Västerbotten.

– Aha, a ja myślałam, że mieszka tu – roześmiała się.

– Niedźwiedź jest z pewnością prawdziwy – stwierdziłem. – Tam jest ich pełno. Jussi opowiadał, że ogromna samica kilka lat temu zabiła jego psa.

Siedzieliśmy w milczeniu, patrząc na siebie.

– Już późno – odezwałem się.

– Mam jeszcze mnóstwo pytań.

Machnąłem ręką.

– Będzie jeszcze okazja.

Spojrzała na mnie. Nagle poczułem dziwne ciepło na całym ciele i zauważyłem, jak na jej jasną cerę wypływa lekki rumieniec. Było między nami coś szelmowskiego, pomieszanie powagi i wesołości.

– Czy mogę pana w ramach podziękowania zaprosić na kieliszek? Jest tu taka miła libańska...

Umilkła, kiedy zadzwonił telefon. Przeprosiłem i podniosłem słuchawkę.

– Erik?

To była Simone. Miała zdenerwowany głos.

– Co się dzieje? – zapytałem.

– Ja... Jestem za domem, na ścieżce rowerowej. Chyba ktoś się do nas włamał.

Poczułem lodowaty dreszcz. Pomyślałem o dyscyplinie leżącej pod naszymi drzwiami, starym narzędziu kary z okrągłą drewnianą płytką.

– Co dokładnie się stało?

Usłyszałem, jak Simone przełyka głośno ślinę. W tle bawiły się dzieci, może były na górcie na boisku. Usłyszałem dźwięk gwizdka i jakiś krzyk.

– Co to było? – zapytałem.

– Nic, jakaś klasa – odpowiedziała przez zęby. – Erik – mówiła szybko dalej – drzwi balkonowe u Benjamina są otwarte, szyba rozbita.

Kątem oka zauważyłem, że Maja Swartling wstała i na migi pyta, czy ma sobie pójść.

Skinąłem krótko głową i przepaszająco wzruszyłem ramionami. Niechcący potrąciła krzesło, które zaszurało o podłogę.

– Jesteś sam? – spytała Simone.

– Tak – odparłem, nawet nie wiedząc, dlaczego kłamię.

Maja pomachała mi i po cichu zamknęła za sobą drzwi. Wciąż jeszcze czułem jej perfumy, ich świeży, prosty zapach.

– Dobrze, że nie weszłaś do środka – powiedziałem. – Zadzwoniłaś na policję?

- Tak, dzwoniłam do taty.
- To dobrze.
- Powiedział, że już wsiada do auta.
- Musisz odejść dalej od domu, Simone.
- Stoję na ścieżce rowerowej.
- Widzisz dom?
- Tak.
- Jeśli ty widzisz dom, to ktoś, kto w nim jest, może zobaczyć ciebie.
- Przestań.
- Kochanie, idź na boisko. Już do ciebie jadę.



Zatrzymałem się za brudnym oplem Kenneta, zaciągnąłem ręczny, wyłączyłem stacyjkę i wysiadłem z samochodu. Kennet podbiegł do mnie.

- Gdzie, do diabła, jest Sixan?! – zawołał.
 - Powiedziałem jej, żeby przeszła na boisko.
 - Dobrze.
 - W innym razie by weszła, znam ją, to twoja krew.
- Roześmiał się i uścisnął mnie mocno.
- Dobrze cię widzieć, młody.

Ruszyliśmy wzdłuż szeregu domów, żeby zejść od tyłu. Simone odeszła tylko kawałeczek od naszej działki. Prawdopodobnie przez cały czas obserwowała zniszczone drzwi balkonowe wychodzące wprost na nasz zacieniony ogródek. Gdy nas zobaczyła, zostawiła rower, podeszła do mnie i mocno mnie objęła. Popatrzyła nad moim ramieniem i powiedziała:

- Cześć, tato.
- Wchodzę – oznajmił poważnie.
- Idę z tobą – rzuciłem.
- Kobiety i dzieci czekają na zewnątrz – westchnęła Simone.

Wszyscy troje przekroczyliśmy niski żywopłot z pięciornika, przeszliśmy przez trawnik, na którym stały cztery krzesła i biały

plastikowy stół.

Odłamki szkła pokrywały schody i parapet. Na wykładzinie w pokoju Benjamina, wśród szklanych odprysków, leżał wielki kamień. Weszliśmy głębiej, pomyślałem, że koniecznie muszę opowiedzieć Kennetowi o dyscyplinie, którą znaleźliśmy niedawno pod drzwiami.

Simone weszła za nami i zapaliła lampkę z bajkowym „Karlssonem na dachu”. Miała rozpaloną twarz, rudoblond loki okrywały jej ramiona.

Kennet wyszedł na korytarz, zajrzał do sypialni na prawo i do łazienki. Lampka do czytania w salonie była włączona. Chodziliśmy od pokoju do pokoju, ale na pierwszy rzut oka niczego nie brakowało, nic nie zostało skradzione. Ktoś był w toalecie na parterze, papier był rozwinięty i leżał na podłodze. Kennet spojrzał na mnie z dziwną miną.

– Masz z kimś niezafatwione porachunki? – zapytał.

Pokręciłem głową.

– O ile wiem, to nie – odpowiedziałem. – To jasne, że spotykam mnóstwo niezrównoważonych osób... tak jak i ty.

Skinął głową.

– Nic nie zabrali – stwierdziłem.

– Tato, czy to się często zdarza? – spytała Simone.

Kennet pokręcił głową.

– Nie, nie często. Nie, jeśli ktoś rozbija szybę. Włamywacz chciał, żebyśmy wiedzieli, że był w środku.

Simone stanęła w drzwiach do pokoju Benjamina.

– Mam wrażenie, że ktoś leżał w jego łóżku – powiedziała cicho. – Jak nazywała się ta bajka? O Złotowłosej, prawda?

Pobiegliśmy do naszej sypialni i zobaczyliśmy, że i w naszym łóżku ktoś leżał. Ściągnął narzutę i wymiął pościel.

– To cholernie dziwna sprawa – odezwał się Kennet.

Na chwilę zaległo milczenie.

– Narzędzie! – krzyknęła Simone.

– Właśnie! Że też wypadło mi to z głowy... – Poszedłem do holu i zdjąłem dyscyplinę z półki na kapelusze.

– Co to jest, do licha? – zdziwił się Kennet.

– Leżało wczoraj pod naszymi drzwiami – wyjaśniła Simone.

– Mogę zobaczyć? – poprosił jej ojciec.

– To dyscyplina, tak mi się wydaje – powiedziałem. – Biło się nią dzieci w dawnych czasach.

– Dobrze, żeby wyćwiczyć posłuszeństwo. – Kennet uśmiechnął się, oglądając dokładnie przedmiot.

– Zupełnie mi się to nie podoba, to obrzydliwe – stwierdziła Simone.

– Czy byliście narażeni na groźby lub coś, co można uznać za groźbę?

– Nie – odpowiedziała.

– Ale może trzeba na to patrzeć inaczej – odezwałem się. – Ktoś uważa, że należy nas ukarać. Potraktowałem to jako kiepski żart, że tak się cackamy z Benjaminem. Komuś, kto nie wie o jego chorobie, możemy się wydać nieco dziwni.

Simone poszła prosto do telefonu i zadzwoniła do przedszkola, żeby zapytać, czy z Benjaminem wszystko w porządku.

Wieczorem wcześniej położyliśmy Benjamina, jak zwykle leżałem obok niego i opowiadałem treść całego Kirikou, afrykańskiego filmu dla dzieci. Benjamin oglądał go setki razy i prawie zawsze prosił mnie, żebym mu go opowiadał przed snem. Jeśli zapomniałbym jakiegoś szczegółu, to przypominał mi, a jeśli nadal nie spał, kiedy dochodziłem do końca, zmieniała mnie Simone i śpiewała mu kołysanki.

Kiedy już zasnął, zaparzyliśmy sobie czajnik herbaty i obejrzelśmy film na wideo. Siedzieliśmy na kanapie i rozmawialiśmy o włamaniu, o tym, że niczego nie skradziono, że ktoś tylko rozwinął rolkę papieru toaletowego i leżał w naszych łóżkach.

– Może to tylko jakieś nastolatki, które nie miały gdzie się pieprzyć – podsunęła Simone.

– Nie, narobiliby więcej bałaganu.

– Czy to nie dziwne, że sąsiedzi niczego nie zauważyli? Adolfsson rzadko cokolwiek przegapia.

– Może to on? – rzuciłem.

– Pieprzył się w naszym łóżku?

Roześmiałem się, przyciągnąłem ją do siebie i poczułem, jak ładnie pachnie ciężkimi perfumami, bez przyimilnej słodyczy. Naparła na mnie i poczułem na sobie jej szczupłe dziewczęce ciało. Moje dłonie wślizgnęły się na jedwabistą skórę pod jej luźną koszulą. Poczułem ciepłe, twarde piersi. Jęknęła, gdy pocałowałem ją w szyję. Gorący podmuch oddechu wtargnął mi do ucha.

Rozebraliśmy się w poświacie telewizora, pomagając sobie wzajemnie szybkimi ruchami dłoni, zaplątywaliśmy się w nasze rzeczy, śmialiśmy do siebie i znowu całowaliśmy. Pociągnęła mnie do sypialni i pchnęła na łóżko z żartobliwą surowością.

– Czy to pora na dyscyplinę? – zapytałem.

Skinęła głową i zbliżyła się do mnie, pochyliła się i przeciągnęła włosami po moich nogach, uśmiechała się, nie podnosząc wzroku, przesuwając się jednocześnie do góry. Loki opadały z przodu na jej szczupłe, piegowate ramiona. Mięśnie rąk miała napięte, kiedy siadała okrakiem na moich biodrach. Kiedy w nią wszedłem, jej policzki zapłonęły rumieńcem.

Przez parę chwil w moich myślach migały wspomnienia kilku fotografii. Robiłem kiedyś zdjęcia na plaży, na greckiej wyspie. Było to kilka lat przed urodzeniem się Benjamina. Jechaliśmy autobusem wzdłuż wybrzeża i wysiedliśmy tam, gdzie naszym zdaniem było najpiękniej. Kiedy zdaliśmy sobie sprawę, że plaża jest zupełnie pusta, machnęliśmy ręką na kostiumy kąpielowe. Jedliśmy w słońcu ciepłego arbuza, a potem leżeliśmy nago w płytkiej, przejrzystej wodzie, pieściliśmy się i całowaliśmy. Kochaliśmy się ze cztery razy tego dnia, coraz bardziej ospali i rozgrzani. Simone

miała splątane od słonej wody włosy, pełne słońca spojrzenie i zamyślony uśmiech. Drobne, twarde piersi, piegi, jasnoróżowe sutki. Jej płaski brzuch, pępek, ciemnorude włosy łonowe.

Teraz Simone pochyliła się nade mną i zaczęła dochodzić do swojego orgazmu. Zadrzała, pocałowała mnie w pierś, w szyję. Oddychała gwałtownie, zamknęła oczy, trzymała mnie mocno za ramiona i szeptała:

– Nie przestawaj, Erik, proszę, nie kończ...

Poruszała się coraz szybciej, gwałtowniej, spocona na plecach i pośladkach. Głośno pojękując, rzucała biodrami, raz za razem, zatrzymywała się, uda jej drżały, jeszcze trochę, znowu zatrzymała się, pojękując. Wciągnęła głęboko powietrze, zwilżyła wargi i oparła się dłonią o moją pierś. Westchnęła i popatrzyła mi w oczy, kiedy znów zacząłem się w niej poruszać. Już się nie powstrzymywałem, tylko wytrysnąłem w nią nasienie w długich, rozkosznych spazmach.



Zaparkowałem rower pod neurologią i przez chwilę stałem, słuchając świergotu ptaków w koronach drzew i obserwując załamania jasnych wiosennych barw w liściach. Myślałem o dzisiejszym poranku, kiedy zbudziłem się obok Simone i zajrzałem w jej zielone oczy.

Mój gabinet wyglądał dokładnie tak, jak go zostawiłem poprzedniego dnia. Krzesło, na którym siedziała Maja Swartling, przeprowadzając ze mną wywiad, było wysunięte, a lampka na biurku zapalona. Było dopiero wpół do dziewiątej, więc miałem dużo czasu, żeby przejrzeć notatki z wczorajszej nieudanej sesji z Charlotte. Dlaczego tak się stało, było dość oczywiste: wymusiłem przebieg i parłem do celu. To był klasyczny błąd i powinienem był być mądrzejszy. Miałem zbyt duże doświadczenie, by popełniać tego rodzaju błędy. Nie da się zmusić pacjenta do zobaczenia czegoś, czego on absolutnie nie chce widzieć. Charlotte weszła do pokoju, ale nie chciała podnieść wzroku. Na ten raz powinno to było

wystarczyć, bo i tak wykazała dużo odwagi.

Przebrałem się w fartuch, zdezynfekowałem dłonie i rozmyślałem o swojej grupie pacjentów. Nie byłem do końca zadowolony z roli, jaką w niej odgrywał Pierre, była trochę niejasna. Biegał często za Sibel lub Lydią, miał łatwość wypowiadania się i poczucie humoru, ale w sytuacjach hipnotycznych zachowywał pasywność. Był fryzjerem, zdeklarowanym gejem i chciał zostać aktorem. Na pozór jego życie układało się bardzo dobrze – poza jednym powracającym szczegółem. W każdą Wielkanoc wybierał się ze swoją mamą w podróż za granicę. Na miejscu zamykali się w hotelowym pokoju, upijali się i uprawiali ze sobą seks. Mama nie zdawała sobie sprawy, że po każdej takiej podróży Pierre zapadał w głęboką depresję z nawracającymi próbami samobójczymi.

Nie chciałem naciskać moich pacjentów, wołałem, żeby to był ich własny wybór, jeśli zdecydują się coś opowiedzieć.

Ktoś zapukał do drzwi. Zanim zdążyłem się odezwać, uchyliły się i weszła Eva Blau. Zrobiła dziwną minę, jakby próbowała się uśmiechnąć, nie poruszając mięśniami twarzy.

– Nie, dziękuję – powiedziała nagle. – Nie musisz zapraszać na kolację, już jadłam. Charlotte to urocza kobieta, przygotowuje mi porcje jedzenia na cały tydzień, które sobie zamrażam.

– To miło z jej strony – stwierdziłem.

– Kupuje moje milczenie – wyjaśniła Eva tajemniczo i stanęła za krzesłem, na którym poprzedniego dnia siedziała Maja.

– Evo, powiesz mi, dlaczego tu przyszłaś?

– Bynajmniej nie po to, żeby ci obciągnąć fiuta, nie myśl sobie.

– Nie musisz przychodzić na sesje grupy hipnotycznej – powiedziałem spokojnie.

Spuściła wzrok.

– Wiedziałam, że mnie nienawidzisz – wymamrotała.

– Nie, Evo, mówię tylko, że nikt cię nie zmusza do dołączenia do tej grupy. Niektórzy ludzie nie chcą poddać się hipnozie, inni nie są zbyt podatni, chociaż bardzo by chcieli, a inni...

– Nienawidzisz mnie – przerwała mi.

– Mówię tylko, że nie mogę mieć cię w tej grupie, jeśli absolutnie nie chcesz poddać się hipnozie.

– To było niechcący – powiedziała. – Ale nie wolno ci wsadzać mi chuja do ust.

– Przestań.

– Przepraszam – wyszeptała i wyjęła coś z torebki. – Proszę, to ode mnie.

Przyjąłem przedmiot. Była to fotografia. Zdjęcie przedstawiało Benjamina w dniu chrztu.

– Słodki, prawda? – zapytała z dumą w głosie.

Poczułem, jak serce zaczyna mi bić szybko i mocno.

– Skąd to masz?

– To moja mała tajemnica.

– Odpowiedz mi, Evo, skąd to...

Przerwała mi prowokacyjnie:

– O siebie dbaj, na innych srąj, szczęśliwie przejdiesz życie.

Ponownie spojrzałem na zdjęcie. Pochodziło z albumu Benjamina. Rozpoznałem je z łatwością. Z tyłu były ślady po kleju. Zmusiłem się do zachowania spokoju, choć puls rozsadał mi skronie.

– Proszę cię, żebyś mi opowiedziała, skąd wzięłaś to zdjęcie.

Usiadła na kanapie, spokojnie rozpięła guziki bluzki i pokazała mi piersi.

– Wetknij mi chuja – powiedziała. – To cię chyba zadowoli.

– Byłaś u mnie w domu – stwierdziłem.

– A ty byłeś u mnie w domu – odparła Eva przekornie. – Zmusiłeś mnie do otwarcia drzwi.

– Evo, ja próbowałem cię zahipnotyzować, to nie to samo co włamanie.

– Nie włamałam się – szybko zaprzeczyła.

– Rozbiłaś nasze okno.

– To kamień rozbił okno.

Opadły mi ręce, czułem, że za chwilę stracę panowanie nad sobą i zareaguję wściekłością na chorego, zagubionego człowieka.

– Dlaczego zabrałaś mi to zdjęcie?

– To ty bierzesz! Bierzesz, bierzesz i bierzesz! Co byś, kurwa, powiedział, gdybym to ja coś ci odebrała? Jak byś się poczuł?

Ukryła twarz w dłoniach i powiedziała, że mnie nienawidzi, powtórzyła to wiele razy, może ze sto, zanim się uspokoiła.

– Musisz zrozumieć, że zezłościłam się na ciebie – powiedziała potem opanowanym tonem. – Twierdzisz, że zabieram ci rzeczy, podczas gdy ja dałam ci śliczne zdjęcie.

– Tak.

Uśmiechnęła się szeroko i oblizała wargi.

– Dostałeś coś ode mnie – ciągnęła. – Teraz ja chcę coś od ciebie.

– Co byś chciała? – zapytałem spokojnie.

– Nie próbuj – powiedziała.

– Powiedz tylko, co...

– Chcę, żebyś mnie zahipnotyzował – odparła.

– Dlaczego położyłaś dyscyplinę pod moimi drzwiami? – zapytałem.

Wlepiła we mnie pusty wzrok.

– A co to jest dyscyplina?

– Bije się nią dzieci – odpowiedziałem.

– Niczego nie kładłam pod twoimi drzwiami.

– Położyłaś starą...

– Nie kłam! – wrzasnęła.

Wstała i ruszyła do drzwi.

– Evo, będę musiał porozmawiać z policją, jeśli nie zrozumiesz, gdzie leży granica, jeśli nie pojdziesz, że masz zostawić mnie i moją rodzinę w spokoju.

– A moja rodzina to co? – zapytała.

– Słuchaj, co do ciebie mówię!

– Faszystowska świnią! – wrzasnęła i wyszła z pokoju.



Moi pacjenci siedzieli przede mną w półkolu. Tym razem łatwo było wprowadzić ich w trans. Zanurzyliśmy się razem łagodnie w bulgoczącą wodę. Kontynuowałem pracę z Charlotte. Jej twarz była taka smutna mimo odprężenia – miała głębokie zmarszczki pod oczami, koniec brody lekko zmarszczony.

– Przepraszam – wyszeptała.

– Z kim rozmawiasz? – spytałem.

Na moment twarz jej się skurczyła.

– Przepraszam – powtórzyła.

Czekałem. Jasne było, że Charlotte znajdowała się w stanie głębokiej hipnozy. Oddychała ciężko, ale cicho.

– Wiesz, że jesteś z nami bezpieczna, Charlotte – powiedziałem. – Nic nie może cię skrzywdzić, czujesz się dobrze i jesteś przyjemnie rozluźniona.

Skinęła smętnie głową, ale wiedziałem, że mnie słyszała, że podążała za moimi słowami, nie umiając już oddzielić transu od rzeczywistości. W stanie głębokiej hipnozy miała wrażenie, jakby oglądała film, w którym sama uczestniczy. Była jednocześnie widownią i aktorką, ale nie w dwóch osobach, tylko zespoloną w jedną.

– Nie złość się – wyszeptała. – Przepraszam, kochany, przepraszam. Pocieszę cię, obiecuję, pocieszę cię.

Słyszałem obok siebie ciężkie oddechy grupy i zrozumiałem, że dotarliśmy do domu strachów, że znaleźliśmy się w pokoju grozy Charlotte. Chciałem, żeby została, marzyłem, żeby znalazła dość siły, by podnieść wzrok i coś zobaczyć, choć na mgnienie oka, to, czego się tak boi. Chciałem jej pomóc, ale tym razem nie zamierzałem naciskać i powtarzać tego samego błędu.

– W sali gimnastycznej dziadka jest zimno – powiedziała nagle Charlotte.

– Widzisz coś?

– Długie deski podłogi, wiadro, kabel – odparła ledwo słyszalnie.

– Cofnij się o krok – poleciłem.

Potrząsnęła głową.

– Charlotte, teraz robisz krok w tył i kładziesz dłoń na klamce.

Widziałem drżenie jej powiek, kilka nowych łez wytrysnęło spomiędzy rzęs. Ręce trzymała dłońmi do góry, na podołku, niczym staruszka.

– Dotykasz klamki i wiesz, że możesz w każdej chwili wyjść z tego pokoju – powiedziałem.

– Mogę?

– Naciskasz klamkę i wychodzisz.

– Tak będzie najlepiej, jeśli po prostu wyjdę...

Umilkła, uniosła brodę i powoli odwróciła głowę. Jej usta były na wpół otwarte, jak u dziecka.

– Zostanę jeszcze chwilkę – oznajmiła cicho.

– Jesteś tam sama?

Pokręciła głową.

– Słyszę go – wymamrotała – ale nie mogę zobaczyć.

Zmarszczyła czoło, jakby próbowała dojrzeć coś w cieniu.

– Tam jest jakieś zwierzę – powiedziała nagle.

– Jakie to zwierzę? – spytałem.

– Tata ma wielkiego psa...

– Jest tam twój tata?

– Tak, stoi w rogu, przy drabinkach, jest smutny, widzę jego wzrok. Zrobiłam tatusiowi przykrość, tak mówi. Tatus jest smutny.

– A pies?

– Pies jest przed nim, rusza się, węszy. Zbliża, cofa. Teraz stoi obok niego bez ruchu i dyszy. Tata mówi, że pies będzie mnie pilnował... Nie chcę, nie powinien, nie jest...

Charlotte wciąga gwałtownie powietrze. Jeśli posuwałaby się zbyt szybko naprzód, ryzykowała wyrwanie z hipnozy.

Straszliwy cień przemknął jej po twarzy, więc pomyślałem, że najlepiej będzie, jak wyjdziemy z transu, wypłyniemy z czarnego morza. Znaleźliśmy psa – została i spojrzała na niego. To był ogromny postęp. W swoim czasie rozwiążemy zagadkę, kogo

utożsamia pies.

Kiedy wypływaliliśmy ku powierzchni przez masy wody, zobaczyłem, jak Marek rozwiera wargi i pokazuje Charlotte zęby. Lydia wyciągnęła rękę przez ciemnozieloną chmurę alg i wodorostów, próbując dosięgnąć pieszczotliwie policzka Pierre'a. Sibel i Jussi zamknęli oczy i unosili się w górę, spotkaliśmy też Evę Blau, utrzymującą się tuż pod powierzchnią.

Byliśmy prawie wybudzeni. Granica, za którą rzeczywistość rozmywała się pod wpływem hipnozy, była zawsze niewyraźna, to samo dotyczyło drogi w drugą stronę – z powrotem ku terytorium świadomości.

– Zrobimy teraz przerwę – zarządziłem, a potem zwróciłem się do Charlotte: – Dobrze się czujesz?

– Tak, dziękuję – powiedziała, spuszczać wzrok.

Marek wstał, poprosił Sibel o papierosa i wyszli razem. Pierre został na swoim miejscu obok Jussiego. Wbijał wzrok w podłogę, po chwili szybkim ruchem przetarł oczy, jakby płakał. Lydia podniosła się ospale, wyciągnęła powolnym ruchem ramiona ku górze i ziewnęła. Pomyślałem, że powinienem powiedzieć Charlotte kilka słów, że cieszę się, iż postanowiła zostać chwilę w swoim domu strachów, ale już jej nie było.

Wziąłem swój skoroszyt, żeby zrobić kilka notatek, ale przerwała mi Lydia. Słyszałem pbrzękiwanie jej biżuterii, a kiedy Lydia stanęła blisko mnie, poczułem piżmowy zapach perfum. Zapytała:

– Czy niedługo będzie moja kolej?

– Następnym razem – obiecałem, nie podnosząc wzroku znad notesu.

– Dlaczego nie dzisiaj?

Odłożyłem pióro i spojrzałem jej w oczy.

– Ponieważ zaplanowałem popracować jeszcze z Charlotte, a potem z Evą.

– Wydaje mi się, że Charlotte powiedziała, że jedzie do domu.

Uśmiechnąłem się do Lydii.

- Poczekamy, zobaczymy.
- Ale gdyby nie wróciła? – upierała się Lydia.
- W porządku, Lydio. Oczywiście.

Stała jeszcze chwilę, obserwując mnie, podczas gdy ja wziąłem długopis i wróciłem do notatek.

– Wątpię, żeby Eva była w stanie wejść w jakiś specjalnie głęboki trans – stwierdziła nagle. – Bo ona tak naprawdę nie chce spotkać swego ciała eterycznego – ciągnęła.

– Ciała eterycznego?

Uśmiechnęła się z zawstydzeniem.

– Wiem, że ty używasz innych słów – powiedziała. – Ale wiesz, co mam na myśli.

– Lydio, próbuję pomóc wszystkim swoim pacjentom – stwierdziłem, nie okazując emocji.

Przechyliła głowę.

– Ale nie uda ci się, prawda?

– Czemu tak uważasz?

Wzruszyła ramionami.

– Statystycznie rzecz biorąc, jedno z nas popełni samobójstwo, kilkoro zostanie zamkniętych w zakładzie, a...

– Nie można w ten sposób myśleć – próbowałem tłumaczyć.

– Ja mogę – przerwała. – Bo ja chcę należeć do tych, którzy sobie poradzą.

Zrobiła krok w moją stronę, a w jej wzroku pojawiło się nieoczekiwane okrucieństwo, kiedy zniżając głos, oznajmiła:

– Moim zdaniem to Charlotte odbierze sobie życie.

Zanim zdążyłem jej odpowiedzieć, westchnęła i dodała:

– Ona przynajmniej nie ma dzieci.

Patrzyłem, jak Lydia wraca na swoje miejsce. Kiedy rzuciłem okiem na zegarek, okazało się, że minęło ponad piętnaście minut. Pierre, Lydia, Jussi i Eva siedzieli już na swoich krzesłach. Zawołałem Marka, który chodził po korytarzu, mówiąc sam do siebie. Sibel paliła w drzwiach. Kiedy poprosiłem, żeby weszła,

zachichotała.

Lydia z satysfakcją spojrzała mi w oczy, kiedy w końcu musiałem stwierdzić, że Charlotte nie wróciła.

– No dobrze – powiedziałem, składając ręce. – Kontynuujemy.

Widziałem przed sobą ich twarze. Byli gotowi. Sesje właściwie zawsze były lepsze po przerwie, tak jakby wszyscy tęsknili za powrotem do głębi, jakby światło i dźwięk tam, w dole, szeptem zapraszały nas do siebie.

Efekt indukcji był natychmiastowy – Lydia weszła w stan głębokiej hipnozy zaledwie w dziesięć minut.

Opadaliśmy, czułem na skórze dotyk letniej wody. Wielką szarą skałę pokrywały koralowce. Czułki ich polipowych ciał poruszały się, falując w prądach wody. Widziałem każdy szczegół, każdą lśniącą własnym światłem, wibrującą barwę.

– Lydio, gdzie się teraz znajdujesz?

Oblizła suche wargi, odchyliła głowę w tył, oczy miała łagodnie zamknięte, ale wokół ust rysował się grymas irytacji, a na czole pojawiła się zmarszczka.

– Biorę nóż.

Jej głos był niemal bezdźwięczny i charczący.

– Jaki to rodzaj noża? – zapytałem.

– Ząbkowany, z blatu koło zlewu – odparła ze zdziwieniem w głosie, a potem umilkła na chwilę z półotwartymi ustami.

– Nóż do chleba?

– Tak – uśmiechnęła się.

– Mów dalej.

– Rozkrawam paczkę lodów na dwie części. Biorę ze sobą jedną połówkę i łyżkę, i siadam przed telewizorem. Oprah Winfrey zwraca się do doktora Phila. Doktor siedzi na widowni i pokazuje palec wskazujący. Zawiązał wokół niego czerwoną nitkę i już ma opowiedzieć, dlaczego to zrobił, kiedy Kasper zaczyna wrzeszczeć. Wiem, że niczego nie potrzebuje, chce mi tylko zrobić na złość. Krzyczy, bo wie, że to mnie zasmuci, bo nie zniosę w moim domu

złego zachowania.

Uśmiechnęła się słabo z zaciśniętymi ustami, jej twarz była niemal biała, woda, falując, błyskała metalicznie nad jej czołem.

– Nie zniesiesz? – zapytałem.

– Co?

– Co robisz Lydio?

– Ja... mijam sień i schodzę do bawialni w przyziemiu. Z pokoju Kaspera słyszę piski i dziwne bzyczące dźwięki... Nie rozumiem, co on znowu wymyślił, chcę tylko wrócić na górę i oglądać telewizję, ale podchodzę do drzwi, otwieram je i wchodzę do...

Umilkła. Przez przymknięte usta wydobywa się woda.

– Wchodzisz – powtórzyłem. – Gdzie wchodzisz, Lydio?

Wargi poruszyły jej się lekko. Pęcherzyki powietrza zamigotały i zniknęły w górze.

– Co widzisz? – spytałem ostrożnie.

– Kiedy wchodzę, Kasper udaje, że śpi – zaczęła powoli. – Zniszczył fotografię babci, obiecał, że będzie ostrożny, jeśli pożyczę mu to zdjęcie, jedyne, jakie posiadam. Teraz zniszczył je i udaje, że śpi. Myślę sobie, że muszę w niedzielę poważnie z nim porozmawiać, to dzień, w którym analizujemy, jak się zachowywaliśmy w stosunku do siebie. Zastanawiam się, jaką radę dałby mi doktor Phil. Zdaję sobie sprawę, że wciąż mam w ręku łyżkę, a kiedy na nią patrzę, nie widzę w metalu siebie, tylko odbicie misia, powieszzonego u sufitu...

Lydia wykrzywiła nagle boleśnie usta. Próbowwała się zaśmiać, ale wydobyła z siebie tylko jakieś dziwne dźwięki. Spróbowała ponownie, ale nie zabrzmiało to jak śmiech.

– Co robisz? – zapytałem.

– Patrzę – odparła i podniosła wzrok do góry.

Nagle Lydia ześlizgnęła się z krzesła i uderzyła głową o siedzenie. Podskoczyłem do niej. Siedziała na podłodze, wciąż była w transie, ale już nie tak głębokim. Patrzyła na mnie zdezorientowana ze strachem w oczach, a ja przemawiałem do niej uspokajająco.



Nie wiem, czemu czułem, że powinienem zadzwonić do Charlotte. Coś mnie niepokoiło. Może chodziło o to, że w transie namówiłem ją, żeby została w swoim domu strachów dłużej, niż tak naprawdę miała odwagę, że wyzwiałem jej dumę i skłoniłem do podniesienia oczu i przyjrzenia się po raz pierwszy wielkiemu psu, kręcącemu się ojcu pod nogami. Jej zachowanie, to, że opuściła sesję, nie tłumacząc się, martwiło mnie.

Pożałowałem już w chwili, w której wybrałem numer jej komórki, ale poczekałem z rozłączeniem się, aż odezwała się poczta głosowa.

Po późnym lunchu w restauracji w Stallmästaregården wróciłem na rowerze do szpitala Karolinska. Wiatr był chłodny, ale ciepło wiosennego słońca płynęło wzdłuż ulic i fasad.

Otrząsnąłem się z niepokoju o Charlotte, pomyślałem, że po takim wstrząsającym przeżyciu potrzebowała być przez chwilę sama ze swymi uczuciami. Liście drzew na Cmentarzu Północnym falowały wzburzone na wietrze i słońcu.

Tego dnia Kennet miał odebrać Benjamina, obiecał mu, że z przedszkola pojedzie radiowozem. Benjamin nocował u niego, bo ja musiałem pracować do późna, a Simone wybierała się z przyjaciółkami do opery.

Obiecałem tej studentce medycyny, Mai Swartling, drugi wywiad. Zdałem sobie sprawę, że cieszę się na rozmowę z nią, byłem zadowolony, bo moje teorie właściwie zostały potwierdzone przez Charlotte.

Opuściłem izbę przyjęć i ruszyłem w dół korytarza do mojego gabinetu. W głównym wejściu było pusto, nie licząc kilku starszych kobiet czekających na przewiezienie karetką. Pogoda na zewnątrz była piękna: mgiełka wzbitego przez wiatr pyłu i oślepiające słońce. Pomyślałem, że powinienem wieczorem przebiec rundkę, jak tylko skończę pracę.

Maja Swartling stała już pod drzwiami mojego gabinetu. Jej

pełne, pomalowane na czerwono wargi rozchyliły się w szerokim uśmiechu, a kłamra w jej kruczoczarnych włosach błysnęła, kiedy dziewczyna ukłoniła się i zapytała, jak zawsze z humorem:

– Mam nadzieję, że doktor nie rozmyślił się przed wywiadem numer dwa.

– Oczywiście, że nie – odparłem, otwierając drzwi. Stojąc obok niej, czułem w ciele mrowienie. Nasze oczy spotkały się, dostrzegłem w jej wzroku niespodziewaną powagę, kiedy mijala mnie, wchodząc do pokoju.

Nagle poczułem pełną świadomość mojego ciała, moich stóp, moich ust. Zarumieniała się, wyjmując teczkę z papierami, długopis i notes.

– Co się wydarzyło od naszego ostatniego spotkania? – zapytała.

Zaproponowałem jej filiżankę kawy, a potem zacząłem opowiadać o dzisiejszej udanej sesji.

– Wydaje mi się, że znaleźliśmy prześladowcę Charlotte – powiedziałem. – Tego, który tak bardzo ją skrzywdził, że kobieta ciągle próbuje odebrać sobie życie.

– Kto to?

– Pies – odparłem z powagą.

Maja nie roześmiała się, była dobrze zorientowana, wiedziała, że jedna z moich tez, ta najbardziej śmiała i najbardziej wyrazista, opierała się na pradawej strukturze bajki: ludzie pod postacią zwierząt to jeden z najstarszych sposobów, żeby opowiedzieć coś, co inaczej byłoby zabronione, zbyt przerażające albo zbyt kuszące.

Dla moich pacjentów to metoda uporania się z niepojętym, z faktem, że ten, który powinien ich chronić i kochać, skrzywdził ich w najgorszy możliwy sposób.

Łatwo, niemal zdradziecko łatwo było mi rozmawiać z Mają Swartling. Znała temat, ale nie jako ekspert, stawiała inteligentne pytania i potrafiła słuchać.

– A Marek Semiovic? Jak z nim idzie? – zapytała, ssąc długopis.

– Znasz jego przeszłość, przybył tu jako uchodźca wojenny z Bośni

i tak naprawdę opatrzone mu tylko rany na ciele.

– No tak.

– Jest interesujący dla moich badań, nawet jeśli jeszcze nie do końca rozumiem, co się dzieje, bo na dużej głębi stanu hipnotycznego trafia zawsze do tego samego pomieszczenia, do tego samego wspomnienia, jest zmuszony torturować ludzi – ludzi, których znał, chłopców, z którymi się bawił, ale potem coś się dzieje.

– W transie?

– Tak, odmawia przekroczenia tej granicy.

Maja zanotowała coś, przerzuciła kilka stron i podniosła wzrok.

Postanowiłem nie mówić o Lydii, o tym, że spadła z krzesła w trakcie sesji, zamiast tego wyjaśniłem swoją teorię, że wolna wola w stanie hipnotycznym ograniczona jest tylko niemożnością oszukiwania siebie samego.

Czas upływał, zrobił się wieczór. Korytarz był cichy i wyludniony.

Maja złożyła swoje rzeczy do teczki, owinęła szal wokół szyi i wstała.

– Straciłam rachubę czasu – odezwała się przepraszająco.

– Dziękuję – powiedziałem, podając jej rękę.

Zawahała się, ale po chwili zadała pytanie:

– Mogę zaprosić cię wieczorem na kieliszek?

Zastanowiłem się. Simone i jej przyjaciółki wybierały się dziś do opery na Toscę i miały wrócić późno. Benjamin spał u dziadka, a ja sam miałem zamiar pracować cały wieczór.

– W zasadzie tak – zgodziłem się, choć przeczuwałem że robię coś niewłaściwego.

– Znam taką małą knajpkę na Roslagsgatan – powiedziała Maja. – Nazywa się Peterson-Berger, dość prosta, ale przemiła.

– Dobrze – powiedziałem tylko, wzięłem kurtkę, zgasilem światło w gabinecie i zamknąłem za nami drzwi na klucz.

Przejechaliśmy na rowerach obok parku Haga. Na ulicach prawie

nie było ruchu. Dochodziło wpół do ósmej wieczorem. Wiosna wibrowała w śpiewnych, dochodzących spośród drzew głosach ptaków.

Zaparkowaliśmy rowery naprzeciwko skweru przy starej karczynie Claes na Rogu. Kiedy wchodząc razem do restauracji, napotkaliśmy uśmiechnięty wzrok gospodyni, zacząłem się wahać. Czy powinienem tu być? Co powiem, jeśli zadzwoni Simone i zapyta, co robię? Poczuję niesmak, który jednak szybko minął. Maja była koleżanką, chcieliśmy kontynuować naszą rozmowę, a Simone i tak dziś wieczorem była na mieście z przyjaciółkami, prawdopodobnie piły teraz w restauracji Opery Ludowej.

Maja patrzyła na mnie wyczekująco. Nie do końca potrafiłem zrozumieć, co tu w ogóle ze mną robi. Była niesamowicie piękna, młoda i otwarta. Ja – żonaty i co najmniej piętnaście lat starszy.

– Uwielbiam ich szaszłyk z kurczaka z kminem rzymskim – powiedziała i ruszyła przodem w stronę stolika w głębi lokalu.

Gdy usiedliśmy, natychmiast pojawiła się kelnerka z karafką wody. Maja oparła twarz na dłoni i wpatrując się w kieliszek, oznajmiła spokojnie:

– Jak nam się tu znudzi, możemy pójść do mnie.

– Maja, czy ty ze mną flirtujesz?

Roześmiała się, a dołeczki na jej policzkach stały się jeszcze bardziej widoczne.

– Tata zawsze powtarzał, że taka się już urodziłam. Niepoprawna flirtiara.

Zdałem sobie sprawę, że nic o niej nie wiem, podczas gdy ona zgłębiła wszystko, czym się zajmowałem.

– Twój tata też był lekarzem? – spytałem.

Potwierdziła skinieniem głowy.

– Profesor Jan E. Swartling.

– Ten neurochirurg? – Byłem pod wrażeniem.

– Tak, czy jak tam można nazwać kogoś, kto gmera innym ludziom w głowie – powiedziała cierpko.

Po raz pierwszy z jej twarzy zniknął uśmiech.

Jedliśmy, a ja czułem się coraz bardziej zestresowany tą całą sytuacją. Piliśmy zbyt szybko i zamawialiśmy więcej wina. Spojrzenia personelu, ich święte przekonanie, że byliśmy parą, denerwowały mnie i budziły dyskomfort. Upiłem się, nawet nie spojrzałem na rachunek, podpisując go, zmiąłem tylko paragon i nie trafiłem nim do kosza w drodze do szatni. Na ulicy, w ten piękny, ciepły wiosenny wieczór byłem już nastawiony na powrót do domu. Ale Maja wskazała jakąś bramę i zapytała, czy nie miałbym ochoty wejść na górę, żeby zobaczyć, jak mieszka, i napić się herbaty.

– Maju – powiedziałem – jesteś niepoprawna, twój tato miał całkowitą rację.

Zachichotała i wzięła mnie pod ramię.

W windzie staliśmy bardzo blisko siebie. Nie mogłem nie patrzeć na jej pełne, uśmiechnięte usta, perłowobiałe zęby, wysokie czoło i czarne lśniące włosy.

Zauważyła to i ostrożnie pogłaskała mnie po policzku, nachyliłem się i już miałem ją pocałować, kiedy winda powstrzymała mnie, stając z szarpnięciem.

– Chodź – szepnęła Maja, otwierając drzwi.

Jej mieszkanie było małe, ale przytulne. Ściany miały łagodny lazurkowy kolor, a w jedynym oknie wisiały białe lniane firanki. Wnęka kuchenna sprawiała wrażenie świeżości, ze swoją białą klinkierową podłogą i niewielką, nowoczesną kuchenką gazową. Maja weszła do kuchni, po chwili usłyszałem, że otwiera butelkę wina.

– Myślałem, że będziemy pić herbatę – powiedziałem, kiedy wróciła z butelką i dwoma kieliszkami.

– To jest lepsze na serce – oznajmiła.

– Chyba że tak – odparłem, przyjąłem kieliszek i rozlałem trochę wina na rękę.

Wytarła moją dłoń ręcznikiem kuchennym, usiadła na wąskim

łóżku i odchyliła się w tył.

– Ładne mieszkanie – powiedziałem.

– To dziwne, gościć cię tutaj – uśmiechnęła się. – Od tak dawna cię podziwiam i...

Nagle zerwała się na równe nogi.

– Muszę mieć twoje zdjęcie! – zawołała ze śmiechem. – Wybitny lekarz u mnie w domu!

Przyniosła aparat i skoncentrowała się.

– Zrób poważną minę – zarządziła, patrząc na mnie przez obiektyw.

Rozchichotana robiła mi zdjęcia, zachęcała do pozowania, żartowała i mówiła, że jestem seksowny, że wyglądam bosko, prosiła, żebym wydał wargi.

– Sam seks – powiedziała ze śmiechem.

– Pójdzie na okładkę „Vouge’a”?

– O ile nie wybiorą mnie – odparła, podając mi aparat.

Wstałem, czując, że się zataczam, i spojrzałem na nią przez obiektyw. Rzuciła się na plecy.

– Wygrałaś – powiedziałem, robiąc jej zdjęcie.

– Brat przezywał mnie „klucha”. Sądzisz, że jestem gruba?

– Jesteś niewiarygodnie piękna – wyszeptałem, patrząc, jak siada i ściąga przez głowę sweterek. Jasnozielony jedwabny stanik skrywał jej pełne piersi.

– Zrób mi teraz zdjęcie – wyszeptała i rozpięła biustonosz.

Jej policzki zalał rumieniec, uśmiechnęła się. Ustawiłem obiektyw, spojrzałem w jej ciemne błyszczące oczy, na uśmiechnięte usta, młode, bujne piersi z jasnorożowymi brodawkami.

Fotografowałem, a ona pozowała, przyzywając mnie gestem.

– Zrobię zbliżenie – wybełkotałem, klękając. Ciało tętniło mi pożądaniem.

Uniosła w dłoni ciężką pierś. Błysk flesza. Szepnęła, żebym podszedł bliżej. Miałem potężną erekcję, czułem ból i napięcie. Opuściłem aparat, nachyliłem się i wziąłem jej pierś do ust.

Przycisnęła mi ją do twarzy,ssałem i lizałem twarde sutki.

– Boże – wyszeptała. – Boże, jak cudownie.

Jej skóra była gorąca, parowała. Rozpięta dżinsy, ściągnęła je i zrzuciła kopnięciem. Wstałem, pomyślałem, że nie wolno mi z nią spać, nie mogę tego zrobić, ale wziąłem aparat i zrobiłem jej kolejne zdjęcie. Miała na sobie jedynie parę cienkich jasnozielonych majtek.

– Chodź – wyszeptała.

Spojrzałem znów na nią przez obiektyw, uśmiechnęła się i rozchyliła nogi. Po bokach jej fig, w kroku wystawały włosy łonowe.

– Możemy – kusiła.

– Nie mogę – odpowiedziałem.

– A ja myślę, że chyba możesz. – Uśmiechnęła się.

– Maju, jesteś niebezpieczna, jesteś bardzo niebezpieczna – wykrztusiłem, odkładając aparat.

– Wiem, że jestem niegrzeczna.

– Ale ja jestem żonaty, rozumiesz?

– Nie podobam ci się?

– Jesteś zjawiskowa, Maju.

– Ładniejsza niż twoja żona?

– Przestań.

– Ale podniecam cię? – szepnęła, zaśmiała się, a po chwili spoważniała.

Skinąłem głową, cofnąłem się i zauważyłem, jak uśmiecha się z zadowoleniem.

– Mogę chyba nadal przeprowadzać z tobą wywiady?

– Oczywiście – potwierdziłem i wycofałem się do drzwi.

Zobaczyłem, jak posyła mi buziaka. Odpowiedziałem tym samym, wyszedłem z mieszkania, zbiegłem na ulicę i wsiadłem na rower.

W nocy śniło mi się, że oglądam relief skalny przedstawiający trzy nimfy. Obudził mnie dźwięk własnego głosu, powiedziałem

coś tak głośno, że aż usłyszałem echo w cichej, ciemnej sypialni. Simone wróciła, kiedy już spałem, poruszała się obok mnie we śnie. Byłem mokry od potu, alkohol wciąż jeszcze krążył w mojej krwi. Pod oknem, migając i dudniąc, przejechał samochód myjący ulice. W domu panowała cisza. Zażyłem tabletkę i próbowałem nie myśleć, ale przypominałem sobie, co wydarzyło się poprzedniego wieczoru. Fotografowałem prawie nagą Maję Swartling. Robiłem zdjęcia jej piersi, nóg, wiosennozielonych majtek. Nie poszliśmy do łóżka, powtarzałem sobie. Nie planowałem tego, nie chciałem, przekroczyłem granicę, ale nie zdradziłem Simone. Byłem już kompletnie rozbudzony. Świadomość mroziła. Co mi strzeliło do głowy? Jak, u licha, mogłem dać się namówić na robienie nagich zdjęć Mai? Była piękna, uwodzicielska. Pochlebiła mi. Czy tylko tyle było trzeba? Ze zdziwieniem zrozumiałem, że właśnie odkryłem swój bardzo słaby punkt: byłem próżny. Nie znalazłem w sobie śladu uczucia do niej. To moja próżność dobrze się czuła w jej towarzystwie.

Przeturlałem się po łóżku i zakryłem twarz kołdrą. Po chwili zasnąłem głęboko.



Charlotte nie przyszła na sesję w tym tygodniu. To niedobrze, chciałem dziś kontynuować z nią pracę. Marek znajdował się w głębokiej hipnozie. Siedział zgarbiony, bluza opinała się na jego potężnych, wyćwiczonych bicepsach i przerośniętych mięśniach pleców. Włosy miał ostrzyżone tuż przy pokrytej bliznami głowie. Powoli poruszał szczękami, podniósł oczy i spojrzał na mnie pustym wzrokiem.

– Nie mogę przestać się śmiać – powiedział głośno. – Bo przez te elektrowstrząsy chłopak z Mostaru podryguje jak postać z kreskówki.

Wyglądał na zadowolonego, przechylał głowę na boki.

– Leży na betonowej podłodze, czarny od krwi, szybko oddycha, bardzo szybko. A teraz zwija się w kłębek i zaczyna płakać. Kurwa,

wrzeszczę, żeby wstawał, że zabiję go, jeśli nie wstanie, że wrażę mu w dupę cały pierdolony bagnet.

Marek zamilkł na chwilę. Potem ciągnął tym samym pozbawionym emocji, lekkim tonem:

– Podnosi się, nie może ustać, nogi mu się trzęsą, fiut mu się skurczył, telepie się, błaga o wybaczenie, mówi, że nie zrobił nic złego. Podchodzę, patrzę na jego zakrwawione zęby i ładuję porządny elektrowstrząs w szyję. Tupie w podłogę, szarpie się jak ryba z szeroko rozwartymi oczyma, wali parę razy głową w ścianę, nogi mu podrygują. Śmieję się jak szalony. Osuwa się po barierce, z ust leci mu krew, w końcu zwała się na koce w kącie. Uśmiecham się do niego, nachylam się, daję mu jeszcze jeden ładunek, ale ciało podskakuje tylko jak martwy prosiak. Wołam w stronę drzwi, że zabawa się skończyła, wprowadzają starszego brata tego chłopaka. Spotkałem go kiedyś, pracowaliśmy razem przez rok w Aluminij, fabryce przy...

Marek umilkł, broda mu drżała.

– Co się teraz dzieje? – zapytałem cicho.

Przez chwilę siedział w milczeniu, potem znów zaczął mówić:

– Podłogę pokrywa zielona trawa, już nie widzę chłopaka z Mostaru, tylko mały zielony pagórek.

– Czy to nie dziwne? – spytałem.

– Nie wiem, może, ale nie widzę już pokoju. Jestem na zewnątrz, przechodzę przez bujną łąkę, trawa pod moimi stopami jest wilgotna i zimna.

– Chcesz wrócić do tego domu?

– Nie.

Ostrożnie wyprowadziłem wszystkich z transu, dopilnowałem, żeby każdy czuł się dobrze, zanim zacząłem rozmowę. Marek otarł łzy z policzków i wyprostował się. Pod pachami miał wielkie plamy potu.

– Zmusili mnie, to ich sprawka... Zmusili mnie do torturowania moich dawnych kolegów – powiedział.

– Wiemy – odparłem.

Spojrzał na nas nieśmiało, pytająco.

– Śmiałem się, bo tak bardzo się bałem, nie jestem taki, nie jestem niebezpieczny – wyszeptał.

– Nikt cię nie osądza, Marku.

Ponownie się wyprostował i spojrzał mi w oczy z zadziornym wyrazem twarzy.

– Robiłem straszne rzeczy – stwierdził, drapiąc się w szyję i poprawiając na krześle.

– Byłeś zmuszony.

Marek rozłożył ręce.

– Ale gdzieś w środku jestem taki popierdolony, że chciałbym z powrotem.

– Naprawdę?

– Kurwa mać – jęknął. – Tak tylko gadam, nie wiem, nic już nie wiem.

– A ja myślę, że wszystko doskonale pamiętasz. – Lydia z łagodnym uśmiechem wtrąciła się nagle do rozmowy. – Dlaczego nie chcesz opowiedzieć?

– Stul pysk! – ryknął Marek, podchodząc do niej z podniesioną ręką.

– Siadaj! – rozkazałem.

– Marku, nie będziesz na mnie krzychał – powiedziała ze spokojem Lydia.

Napotkał jej wzrok i zatrzymał się.

– Przepraszam – mruknął z niepewnym uśmiechem, przeciągnął kilkakrotnie dłonią po głowie i usiadł z powrotem.

Na przerwie stałem z kubkiem kawy w dłoni, wyglądając przez uchylone okno. Dzień był pochmurny, w powietrzu wisiał deszcz. Wpadający do środka wiatr był zimny i przynosił ze sobą delikatny zapach liści. Moi pacjenci zaczęli usadawiać się na swoich miejscach w sali do terapii.

Eva Blau ubrała się na niebiesko, pomalowała swoje wąskie

wargi niebieską szminką, a oczy błękitnym cieniem. Jak zwykle sprawiała wrażenie niespokojnej. To zarzucała kamizelkę na ramiona, to ją zdejmowała, i tak w kółko.

Lydia stała, rozmawiając z Pierre'em, słuchał jej, podczas gdy oczy i usta ściągały mu się w bolesnych, powtarzalnych skurczach.

Marek odwrócił się do mnie plecami. Mięśnie grały mu pod ubraniem, gdy szukał czegoś w plecaku.

Wyprostowałem się i przywołałem gestem Sibel, która natychmiast zgasła niedopałek o podeszwę i schowała papierosa z powrotem do paczki.

– Kontynuujmy – zaproponowałem, planując jednocześnie kolejną próbę z Evą Blau.



Na twarzy Ewy Blau malowało się napięcie, drażniący uśmiech wyginał usta, jej pomalowane na niebiesko wargi. Byłem uczulony na jej manipulacyjną uległość. Nie chciała czuć się do czegokolwiek zmuszona, ale miałem pomysł, jak w jej przypadku podkreślić dobrowolność hipnozy. Oczywiście było, że potrzebuje pomocy, żeby móc się rozluźnić i zagłębić w trans.

Kiedy poleciłem grupie opuścić brody na piersi, Eva zareagowała natychmiast szerokim uśmiechem. Odliczałem wstecz, czułem skałę za plecami i otaczającą mnie wodę, ale przez cały czas zachowywałem czujność. Eva zerkała ze swojego miejsca na Pierre'a i próbowała oddychać w tym samym rytmie co on.

– Opadacie powoli – mówiłem. – W coraz głębsze odprężenie, rozluźnienie i przyjemną ocieężałość.

Chodziłem za plecami pacjentów, obserwując ich karki i zaokrąglone plecy. W końcu zatrzymałem się przy Evie. Położyłem dłoń na jej ramieniu. Nie otwierając oczu, ostrożnie uniosła twarz i wyduła lekko wargi.

– Rozmawiam teraz tylko z Evą – oznajmiłem. – Chcę, żebyś pozostała świadoma, ale cały czas rozluźniona. Będziesz słuchać mojego głosu, kiedy rozmawiam z grupą, ale nie wejdziesz w trans,

poczujesz ten sam spokój, przyjemne zagłębienie się, ale będziesz przytomna, cały czas.

Poczułem, jak jej ramiona się rozluźniają.

– Teraz zwracam się do wszystkich. Słuchajcie mnie. Będę odliczał, a z każdą liczbą opadamy głębiej, odprężamy się coraz bardziej, ale Evo, ty podążasz za nami tylko w myślach, jesteś cały czas przytomna i świadoma.

Idąc z powrotem na swoje miejsce, odliczałem malejąco seriami, a kiedy usiadłem naprzeciwko nich, zauważyłem, że twarz Ewy się rozluźniła. Wyglądała inaczej. Trudno było pojąć, że to ta sama osoba. Dolna wargę obwisła, jej wilgotne różowe wnętrze kontrastowało z niebieską szminką. Oddychała bardzo ciężko. Skoncentrowałem się na sobie, odpuściłem i zanurzyłem w toń przez ciemny szyb windy. Znajdowaliśmy się w jakimś wraku lub zatopionym domu. W dole przywitał mnie strumień chłodnej wody. Obok przepływały pęcherzyki powietrza i fragmenty wodorostów.

– Dalej, głębiej, jeszcze spokojniej – zachęcałem ostrożnie.

Mniej więcej po dwudziestu minutach staliśmy wszyscy na dnie, na zupełnie płaskiej stalowej podłodze. Kilka ślimaków przyczepiło się do metalu. Tu i tam widoczne były kępki alg. Po gładkiej powierzchni przebiegł biały krab. Grupa stała przede mną w półokręgu. Twarz Ewy była blada i wyrażała zdziwienie. Na jej policzkach migotliwie odbijały się fale szarego podwodnego światła.

W tak głębokim odprężeniu jej twarz była szczerą i niewinną. Z otwartych ust wypływała bańka śliny.

– Evo, chcę, żebyś mówiła spokojnie i zatrzymywała się przy tym, co zobaczysz.

– Aha – mruknęła.

– Opowiedz nam – spróbowałem – gdzie się znajdujesz.

Nagle zrobiła osobliwą minę, jakby ją samą coś zdumiało.

– Poszłam sobie, a teraz idę miłą ścieżką usianą sosnowymi

igłami i długimi szyszkami – wyszeptwała. – Może pójde do klubu kajakarskiego i zajrzę od tyłu przez okno.

– Robisz to teraz?

Eva skinęła głową i wydeła policzki niczym naburmuszone dziecko.

– Co widzisz?

– Nic – ucięła szybko.

– Nic?

– Tylko jeden drobiazg... który napiszę kredą na ulicy przed pocztą.

– Co piszesz?

– Głupstwo.

– Nic nie widzisz przez okno?

– Nie... tylko chłopca, patrzę na chłopca – wybełkotała. – Śliczny, słodki. Leży na wąskim łóżku, na wersalce. Mężczyzna w białym frotowym szlafroku kładzie się na nim. To dobrze wygląda. Lubię na nich patrzeć, lubię chłopców, chcę się nimi opiekować, dawać im buziaki.

Kiedy było po wszystkim, Eva, z drgającymi nerwowo ustami, przesuwała wzrokiem po członkach grupy.

– Nie byłam zahipnotyzowana – powiedziała.

– Byłaś odprężona, to też dobrze działa – wyjaśniłem.

– Nie, to źle zadziało, bo nie myślałam o tym, co mówię, mówiłam różne rzeczy, to nic nie znaczy, to tylko fantazje.

– Nie ma klubu kajakarskiego?

– Nie – ucięła.

– A ta miękka ścieżka?

– Wymyśliłam ją – odparła, wzruszając ramionami.

Widać było, że czuje się skrępowana po tym, jak dała się zahipnotyzować i opowiedziała rzeczy, które jej się naprawdę przydarzyły. Eva Blau była osobą, która nigdy nie mówiła o sobie niczego, co miało cokolwiek wspólnego z rzeczywistością.

Marek po cichu splunął w dłoń, kiedy zauważył, że Pierre mu się

przygląda. Pierre się zaczerwienił i prędko odwrócił wzrok.

– Nigdy nie robiłam nic złego żadnemu chłopcu – ciągnęła Eva podniesionym głosem. – Jestem miła, jestem dobrym człowiekiem i dzieci mnie lubią. Chętnie bym się nimi opiekowała. Lydia, byłam wczoraj u ciebie, ale bałam się zadzwonić.

– Więcej tego nie rób – odparła cicho Lydia.

– Czego?

– Nie przychodź do mnie do domu.

– Możesz na mnie polegać – zapewniła Eva. – Charlotte i ja już jesteśmy najlepszymi przyjaciółkami. Ona mi gotuje, a ja zbieram kwiaty, które może postawić na swoim stole.

Coś drgnęło w jej twarzy, kiedy zwróciła się znowu do Lydii:

– Kupiłam zabawkę twojemu synkowi, Kasperowi, to tylko drobiazg, taki fajny wiatraczek, który wygląda jak helikopter. Można się wachlować śmigiełkiem.

– Evo... – powiedziała ponurym głosem Lydia.

– Nie jest ani trochę niebezpieczny, nie można sobie nim zrobić krzywdy, słowo.

– Nie będziesz przychodzić do mnie do domu – powtórzyła Lydia.
– Zrozumiano?

– Nie dziś, dziś nie mogę, idę do Marka, bo wydaje mi się, że potrzebuje towarzystwa.

– Evo, słyszałaś co powiedziałam?

– I tak dziś nie zdążę – odpowiedziała z uśmiechem Eva.

Twarz Lydii pobladła i napięła się. Zerwała się z krzesła i wyszła z pokoju. Eva została na swoim miejscu, odprowadzając ją wzrokiem.



Simone jeszcze się nie pojawiła, kiedy wszedłem do lokalu. Nasz stolik stał pusty, w kieliszek wetknięta była karteczka z naszymi imionami. Usiadłem i zastanawiałem się, czy nie zamówić drinka na czas oczekiwania. Było dziesięć po siódmej. Zarezerwowałem dla nas stolik w restauracji KB na Smålandsgatan. Tamtego dnia

przypadały moje urodziny i czułem się szczęśliwy. Rzadko udawało nam się razem gdzieś wyrwać – ona zajęta była swoim projektem z galerią, a ja swoimi badaniami. Kiedy już mieliśmy wspólny wolny wieczór, to zazwyczaj decydowaliśmy się na spędzenie go z Benjaminem na kanapie, przy filmie albo grze telewizyjnej.

Mój wzrok prześlizgnął się po kakofonii ściennych malowideł: szczupli, tajemniczo uśmiechnięci mężczyźni i kobiety o bujnych kształtach. Fresk powstał pewnego wieczoru podczas spotkania Klubu Artystów na górnym piętrze restauracji. Byli tam Grünewald, Chatam, Högfeltd, Werkmäster i inni wielcy modernści. Simone prawdopodobnie wiedziała dokładnie, jak to się odbyło. Uśmiechnąłem się na myśl o wykładzie, jaki by mi tu wygłosiła o tym, jak ci wielbieni mężczyźni odepchnęli i wykluczyli ze swego grona utalentowane artystycznie kobiety.

Dochodziło dwadzieścia po siódmej, kiedy w końcu dostałem kieliszek martini z wódką Absolut, kilkoma kroplami Noilly Prat i długą spiralką ze skórki limonki. Postanowiłem jeszcze poczekać, zanim zadzwonię do Simone, i starałem się nie irytować.

Skosztowałem drinka i zauważyłem, że zaczynam się niepokoić. Niechętnie wyjąłem komórkę, wybrałem numer Simone i czekałem.

– Simone Bark.

Miała roztargniony głos, odbijał się echem.

– Siřan, to ja. Gdzie jesteř?

– Erik? Jestem w lokalu. Malujemy i...

W słuchawce zapadła cisza. Potem usłyszałem głośny jęk Simone.

– O, nie. Nie. Musisz mi wybaczyć, Erik. Zupełnie zapomniałam. Tyle się działo przez cały dzień, hydraulik, elektryk, i...

– Więc jesteř jeszcze w galerii?

Nie potrafiłem ukryć rozczarowania w głosie.

– Tak, utytłana w gipsie i farbie...

– Mieliřmy zjeřć razem kolację – powiedziałem zawiedziony.

– Wiem, Erik. Przepraszam. Zapomniałam o tym...

– W kařdym razie mamy dobry stolik – dodałem sarkastycznie.

– Nie ma sensu, żebyś na mnie czekał – westchnęła i chociaż słyszałem, jak jej przykro, nie mogłem opanować złości na tę całą sytuację.

– Erik – wyszeptała w słuchawkę. – Wybacz mi.

– W porządku – powiedziałem i rozłączyłem się.

Byłem głodny i siedziałem w restauracji, nie było więc sensu iść gdziekolwiek indziej. Szybko przywołałem kelnera i zamówiłem talerz śledzi i piwo na przystawkę, pieczony filet z kaczki ze skwarkami w sosie pomarańczowym i kieliszkiem bordeaux jako danie główne, a na deser gruyère'a alpage z miodem.

– Może pan zabrać drugie nakrycie – powiedziałem kelnerowi, który obdarzył mnie współczującym spojrzeniem, nalewając do szklanki czeskie piwo i podając śledzie i chrupkie pieczywo.

Żałowałem, że nie mam przy sobie notesu, przynajmniej mógłbym wykorzystać ten czas na coś pożytecznego.

Nagle w wewnętrznej kieszeni rozdzwoniła się moja komórka. Wyobraziłem sobie, że Simone tylko żartowała i jest już w drodze. Fala radości zalała mnie i równie szybko odpłynęła.

– Erik Maria Bark – odebrałem, słysząc, jak bezbarwnie brzmi mój głos.

– Cześć, tu Maja Swartling.

– Maja, cześć.

– Chciałam zapytać... Oj, słyszę jakiś hałas, dzwonię nie w porę?

– Siedzę w KB – odparłem. – Mam dziś urodziny – dodałem, sam nie wiedząc dlaczego.

– No to wszystkiego najlepszego! Sądząc po odgłosach, masz spore towarzystwo.

– Jestem sam – odparłem krótko.

– Erik... przykro mi, że próbowałam cię uwieść. Wstydzę się tego bardzo – powiedziała cicho.

Słyszałem, jak odchrząkuje, a kiedy znowu się odezwała, starała się mówić neutralnym tonem:

– Chciałam zapytać, czy masz ochotę przejrzeć wydruki z naszych

rozmów. Są gotowe, mam je złożyć u promotora, ale jeśli chciałbyś przeczytać je pierwszy, to...

– Zostaw je w mojej przegródce na pocztę, jeśli możesz – zaproponowałem.

Pożegnaliśmy się, a ja wlałem reszkę piwa do szklanki i wypilem. Kelner uprzątnął mój stolik i niemal natychmiast powrócił z kaczką i czerwonym winem.

Jadłem, czując smętną pustkę, nieświadomy procesu przeżuwania i połykania, tłumionego drapania sztućców o talerz. Wypilem trzeci kieliszek wina i pozwoliłem malowidłom na ścianie przeobrazić się w moich pacjentów. Tęga dama, z wdziękiem spinająca włosy na karku, eksponując obfity biust, to Sibel. Drobnny, zalękniony mężczyzna w garniturze to Pierre. Jussi stał schowany za dziwną szarą formą, Charlotte siedziała przy okrągłym stoliku, elegancko ubrana, wyprostowana jak struna, a obok niej Marek w dzieciennym garniturze.

Nie wiem, jak długo siedziałem, wlepiając wzrok we freski, kiedy nagle usłyszałem za sobą zdyszany głos:

– Dzięki Bogu, że cię jeszcze złapałam!

To była Maja Swartling.

Uśmiechnęła się szeroko i obdarowała mnie uściskiem, który sztywno odwzajemniłem.

– Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin, Eriku.

Poczułem zapach jej czystych czarnych włosów. W zagłębieniu jej karku kryła się delikatna woń jaśminu.

Wskazała na krzesło naprzeciwko.

– Mogę?

Pomyślałem, że powinienem ją odprawić i wyjaśnić, iż obiecałem sobie już się z nią więcej nie spotykać. Powinna być mądrzejsza i tu nie przychodzić. Ale zawahałem się, bo mimo wszystko musiałem przyznać, że ucieszyło mnie towarzystwo.

Stała przy krześle, czekając na odpowiedź.

– Trudno mi odmówić – powiedziałem, zdając sobie jednocześnie

sprawę z dwuznaczności. – To znaczy...

Usiadła, przywołała kelnera i zamówiła kieliszek wina. Rzuciła mi szelmowskie spojrzenie i położyła małe pudełko przed moim talerzem.

– To tylko taki drobiazg – powiedziała i zalała się znowu ognistym rumieńcem.

– Prezent?

Wzruszyła ramionami.

– Tylko taki symboliczny... Nie wiedziałam, że masz urodziny, dopóki mi tego nie powiedziałaś dwadzieścia minut temu.

Otworzyłem pudełeczko i ku mojemu zdumieniu odkryłem coś, co przypominało miniaturową lornetkę.

– To lornetka anatomiczna – wyjaśniła Maja. – Wynalazł ją mój pradziadek. Wydaje mi się nawet, że dostał Nobla. Nie za nią oczywiście. To było jeszcze w tych czasach, kiedy tylko Szwedzi i Norwegowie dostawali tę nagrodę – dodała usprawiedliwiająco.

– Lornetka anatomiczna – powtórzyłem zdumiony.

– Jakkolwiek by było, jest całkiem ładna i bardzo stara. To taki byle jaki prezent, wiem...

– Maja, przestań, jest...

Spojrzałem jej w oczy, zobaczyłem, jaka jest piękna.

– To przemiłe z twojej strony, Maju. Ogromnie ci dziękuję.

Ostrożnie włożyłem lornetkę do pudełka i schowałem do kieszeni.

– Mój kieliszek jest już pusty – stwierdziła ze zdziwieniem. – Zamówimy butelkę?

Było już późno, kiedy zdecydowaliśmy, że idziemy jeszcze do Riche, niedaleko Dramaten²¹. Mało brakowało, a przewrócilibyśmy się koło szatni – Maja oparła się o mnie, a ja źle obliczyłem odległość do ściany. Kiedy odzyskaliśmy równowagę i zobaczyliśmy posępną, śmiertelnie poważną twarz szatniarki, Maja dostała takiego ataku śmiechu, że musiałem zaprowadzić ją w kąt lokalu.

Było ciasno i gorąco. Popijaliśmy gin z tonikiem, stojąc blisko siebie. Próbowaliśmy rozmawiać, nagle zaczęliśmy się gwałtownie całować. Czułem, jak uderza tyłem głowy w ścianę, kiedy przywarłem do niej. Muzyka dudniła, a ona mówiła mi do ucha, powtarzała, żebyśmy pojechali do niej do domu.

Wybiegliśmy i wpadliśmy do taksówki.

– Tylko na Roslagsgatan – rzuciła niewyraźnie. – Roslagsgatan siedemnaście.

Szofer kiwnął głową i skręcił na pas dla taksówek na Birger Jarlsgatan. Była może druga w nocy, niebo pojaśniało. Maja oparła się o mnie, pomyślałem, że pewnie zaśnie, kiedy poczułem jej dłoń na moim kroczu. Natychmiast dostałem erekcji, a ona wyszeptała „o ho, ho” i roześmiała się cicho w moją szyję.

Nie byłem pewien, jak znaleźliśmy się w jej mieszkaniu. Pamiętam, że stałem w windzie i lizałem jej twarz, czułem smak soli, szminki i pudru, w brudnym lustrze mignęło mi własne pijane oblicze.

Maja stała w przedpokoju, rzuciła kurtkę na podłogę, kopnięciem pozbyła się butów. Pociągnęła mnie do łóżka, pomogła mi zdjąć ubranie, ściągnęła sukienkę i białe figi.

– Chodź – wyszeptała. – Chcę cię poczuć w sobie.

Położyłem się ciężko między jej udami, poczułem, jak bardzo jest wilgotna, i zanurzyłem się w ciepło, w ten uścisk i otulenie. Jęknęła mi w ucho, objęła plecy, miękko poruszyła biodrami.

Robiliśmy to byle jak, pijani. Czułem się coraz bardziej obcy, samotny i niemy. Zbliżałem się do orgazmu, pomyślałem, że powinienem z niej wyjść, ale zamiast tego poddałem się w konwulsyjnym, krótkim wytrysku. Oddychała szybko. Leżałem, dysząc. Opadłem z sił i wyslizgnąłem się z niej. Serce wciąż waliło mi młotem. Zobaczyłem wargi Mai rozchylające się w dziwnym uśmiechu, który sprawił, że poczułem się nieswojo.

Było mi niedobrze, nie docierało do mnie, co się stało, co ja tu robię.

Usiadłem obok niej na łóżku.

– Co jest? – zapytała, głaszcząc mnie po plecach.

Strąciłem jej dłoń.

– Przestań – warknąłem.

Serce dudniło mi w panice.

– Erik? Myślałam...

Zrobiło jej się przykro. Nie mogłem na nią patrzeć, byłem na nią zły. To, co się stało, było oczywiście moją winą, ale nie wydarzyłoby się, gdyby nie jej natarczywość.

– Byliśmy zmęczeni i pijani – wyszeptwała.

– Muszę iść – wydusiłem, zebrałem swoje ubrania i zataczając się, powlokłem się do łazienki. Była mała, pełna kremów, szczotek i ręczników. Na haczykach wisiały puszysty szlafrok i różowa golarka na miękkim, grubym sznurku. Nie śmiałem spojrzeć sobie w twarz, opłukując się nad jej umywalką. Umyłem się jasnoniebieskim mydełkiem w kształcie róży i potem drżącymi rękami ubrałem się, co chwila uderzając łokciami w ściany.

Kiedy wyszedłem z łazienki, czekała na mnie. Owinęła się prześcieradłem, wyglądała bardzo młodo, wydawało mi się też, że była niespokojna.

– Jesteś na mnie zły? – spytała, a ja zobaczyłem, jak drżą jej usta, jakby zaraz miała się rozpłakać.

– Jestem zły na siebie, Maju. Nie powinienem nigdy, nigdy...

– Ale ja tego chciałam, Eriku. Zakochałam się w tobie, nie widzisz tego?

Próbowała się do mnie uśmiechnąć, ale oczy zaszyły jej łzami.

– Nie wolno ci potraktować mnie teraz jak gówno – wyszeptwała, wyciągając do mnie rękę.

Odsunąłem się i tonem bardziej odpychającym, niż sam tego chciałem, oznajmiłem, że to była pomyłka.

Spuściła wzrok. Czoło miała zmarszczone i smutne. Nie pożegnałem się, wyszedłem po prostu z mieszkania, zatraskując za sobą drzwi.

Poszedłem na piechotę do szpitala Karolinska. Może uda mi się przekonać Simone, że potrzebowałem samotności i przenocowałem w gabinecie.



Rano wzięłem taksówkę ze szpitala do naszego domu w Järfälli. Czułem mrówki w ciele ze wstrętu po wypitym alkoholu i z obrzydzenia na myśl o moim głupim gadaniu. To nie mogła być prawda, że zdradziłem Simone. To nie mogła być prawda. Maja była ładna i miła, ale dla mnie zupełnie nieciekawa. Jakim cudem dałem się namówić na seks?

Nie wiedziałem, w jaki sposób mam powiedzieć o tym Simone, ale to było konieczne, popełniłem błąd, ludziom się to zdarza, ale można sobie wybaczyć, jeśli się rozmawia, wyjaśnia.

Pomyślałem, że nigdy nie dałbym Simone odejść. Jej zdrada zraniłaby mnie, ale wybaczyłbym, nie zostawiłbym jej z tego powodu.

Kiedy wszedłem do kuchni, Simone nalewała sobie kawy. Miała na sobie swój zniszczony bladoróżowy jedwabny szlafrok. Kupiliśmy go w Chinach, kiedy Benjamin miał zaledwie roczek i obydwójce pojechali ze mną na konferencję.

– Chcesz? – zapytała.

– Poproszę.

– Erik, strasznie mi przykro, że zapomniałam o twoich urodzinach.

– Przenocowałem w Karolinska – wyjaśniłem i pomyślałem, że ten kłamliwy ton w głosie powinien być dla niej oczywisty.

Rudoblonde włosy opadły jej na twarz, mignęły blade piegi. Bez słowa poszła do sypialni i wróciła z paczką. Zerwałem papier z żartobliwym zapalem.

Był to zestaw płyt kompaktowych saksofonisty bepopowego Charliego Parkera, zawierający wszystkie nagrania z jego jedynej wizyty w Szwecji: dwa koncerty w filharmonii sztokholmskiej, dwa w göteborskiej, jeden w Admirale w Malmö i następująca po nim

jam session w Związku Akademickim, koncert w Parku Ludowym w Helsingborgu, na stadionie w Jönköping, w Parku Ludowym w Gävle i na koniec w klubie jazzowym Nalen w Sztokholmie.

– Dziękuję – powiedziałem.

– Co dziś robisz? – spytała.

– Muszę wracać do pracy – odparłem.

– Pomyślałam, że może zjedlibyśmy dziś wieczorem coś naprawdę dobrego, razem, w domu.

– Chętnie – zgodziłem się.

– Tylko nie za późno. Jutro malarze przychodzą o siódmej. Nie wiadomo po co. Czemu oni zawsze zaczynają tak wcześnie?

Czułem, że oczekuje odpowiedzi, reakcji albo potwierdzenia.

– A i tak zawsze trzeba na nich czekać – mruknąłem.

– Właśnie. – Uśmiechnęła się i napiła kawy. – To co jemy? Może tournedos w porto i sosie rodzynkowym, pamiętasz?

– To było tak dawno – powiedziałem, walcząc z cisnącymi się do oczu łzami.

– Nie bądź na mnie zły.

– Nie jestem, Simone.

Próbowałem się do niej uśmiechnąć.

Później, kiedy stałem w butach w korytarzu i już miałem wychodzić, wyszła z łazienki, ściskając coś w rękę.

– Erik?

– Tak?

– Co to jest? Trzymała lornetkę anatomiczną od Mai.

– Ach, to. To prezent – powiedziałem, słysząc we własnym głosie fałsz.

– Piękny. Wygląda na bardzo stary. Od kogo to dostałeś?

Odwrociłem się, żeby nie musieć patrzeć jej w oczy.

– Od pacjenta – odpowiedziałem, starając się nadać głosowi roztargniony ton i udając jednocześnie, że szukam kluczy.

Roześmiała się zaskoczona.

– Myślałam, że lekarzom nie wolno przyjmować rzeczy

od pacjentów. To chyba nieetyczne?

– Może rzeczywiście powinienem go oddać – stwierdziłem, otwierając drzwi.

Spojrzenie Simone paliło mi plecy. Powinienem był z nią porozmawiać, ale bałem się ją stracić. Nie miałem odwagi, nie wiedziałem, jak zacząć.

* * *

Za kilka minut mieliśmy zacząć sesję. W korytarzu unosił się intensywny zapach detergentów. Pasy wilgoci ciągnęły się śladem maszyny czyszczącej. Dogoniła mnie Charlotte, usłyszałem jej kroki na długo przedtem, nim zaczęła mówić.

– Eriku – zaczęła ostrożnie.

Stałem i odwróciłem się.

– Witaj z powrotem.

– Przepraszam, że tak zniknęłam – usprawiedliwiała się.

– Zastanawiałem się, jak przyjęłaś hipnozę.

– Nie wiem – uśmiechnęła się. – Wiem tylko, że czułam się szczęśliwsza i bardziej pewna siebie w tym tygodniu niż kiedykolwiek w ciągu ostatnich lat.

– Na to liczyłem.

Zadzwoił mój telefon, przeprosiłem i patrzyłem, jak Charlotte znika za rogiem w następnym korytarzu. Zerknąłem na wyświetlacz. To była Maja. Nie odebrałem, odrzuciłem połączenie, a potem zobaczyłem, że dzwoniła już parę razy. Nie potrafiąc zmusić się do odsłuchania wiadomości, skasowałem je wszystkie z poczty głosowej.

W drzwiach do pokoju terapii zatrzymał mnie Marek, tarasując je i uśmiechając się do mnie pustym, obcym uśmiechem.

– Mamy tam w środku mały ubaw – oznajmił.

– Co ty wyprawiasz?

– To prywatna impreza.

Za drzwi dobiegł czyjś krzyk.

– Wpuść mnie, Marku – zażądałem.

Wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Ale doktorku, teraz się nie da...

Odepchnąłem go, drzwi się otworzyły, Marek stracił równowagę, przytrzymał się klamki, ale i tak upadł na podłogę, siadł z wyciągniętą jedną nogą.

– Tylko żartowałem – powiedział. – To był tylko żart, do diabła.

Wszyscy pacjenci wlepiali w nas wzrok, zastygli w pół ruchu. Pierre i Charlotte wyglądali na przestraszonych, Lydia spojrzała na nas, a potem ponownie odwróciła się do mnie plecami. Z grupy emanowała dziwna atmosfera. Przed Lydią stali Sibel i Jussi. Sibel miała otwarte usta i oczy pełne łez. Marek podniósł się i otrzepał dłońią spodnie. Stwierdziłem, że Eva Blau jeszcze nie dotarła, podszedłem do statywu i przygotowałem kamerę do sesji. Zrobiłem ujęcie panoramiczne, potem zbliżenie i przetestowałem mikrofon przez słuchawki. W obiektywie zobaczyłem, jak Lydia uśmiecha się do Charlotte i jednocześnie wykrzykuje wesoło:

– No właśnie! Tak to już jest z dziećmi! Mój Kasper nie mówi o niczym innym, tylko w kółko o Spidermanie.

– Tak właśnie myślałam, że wszyscy teraz za nim szaleją – odparła Charlotte z uśmiechem.

– Kasper nie ma ojca, więc może Spiderman pełni tu funkcję męskiego wzorca – dodała Lydia i zaśmiała się głośno, aż zadudniło w słuchawkach. – Ale dobrze nam razem – ciągnęła. – Dużo się śmiejemy, nawet jeśli ostatnio było trochę awantur. Kasper zachowuje się, jakby był zazdrosny o wszystko, co robię, chce niszczyć moje rzeczy, nie daje mi porozmawiać przez telefon, moją ulubioną książkę wrzucił do toalety, wykrzykuje różne rzeczy... Myślę, że coś musiało się stać, ale nie chce mi powiedzieć.

Na twarzy Charlotte odmalował się niepokój, Jussi coś burknął. Zauważyłem, że Marek machnął niecierpliwie ręką w stronę Pierre'a.

Kiedy skończyłem ustawiać kamerę, podszedłem do swojego

krzesła i usiadłem. Chwilę później wszyscy zajęli swoje miejsca.

– Kontynuujemy poprzednią sesję – oznajmiłem i uśmiechnąłem się.

– Moja kolej – powiedział spokojnie Jussi i zaczął opowiadać o swoim domu strachów: rodzinnym domu na północy w Dorotei, w południowej Laponii. Należały do niego wielkie połacie ziemi przy Sutme, gdzie jeszcze w latach siedemdziesiątych Lapończycy mieszkali w szałasach. – Mieszkałem tuż przy jeziorze Djuptjärnen – opowiadał. – Ostatni kawałek jedzie się po starych leśnych drogach. Latem przyjeżdża tam się kąpać młodzież. Podniecają się tym Wodnikami.

– Wodnikami?

– Od trzystu lat ludzie widują go nad Djuptjärnen, jak siedzi i gra na skrzypkach.

– Ale ty nie?

– Nie – uśmiechnął się szeroko.

– Ale co ty tam robisz w tym lesie cały rok? – zapytał Pierre z uśmiechem.

– Skupuję stare samochody i busy, naprawiam je i sprzedaję dalej, ogród wygląda jak skład złomu.

– Czy to duży dom? – spytała Lydia.

– Nie, ale zielony... Ojciec przemalował ruderę któregoś lata. Wyszedł taki dziwny jasnozielony kolor. Nie wiem, co sobie myślał, może dostał od kogoś tę farbę.

Umilkł, Lydia uśmiechnęła się do niego.

Tego dnia trudno było odprężyć grupę. Może to ja byłem roztargniony z powodu Mai, a może martwiłem się, że zareagowałem zbyt gwałtownie na prowokację Marka. Wyobraziłem sobie jednak, że coś się stało w grupie, coś, o czym nie wiedziałem. Trzeba było kilku rund, tam i z powrotem w głąb, zanim poczułem, że wszyscy opadamy w toń jak owalne ciężarki.

Dolna warga Jussiego wysunęła się do przodu, policzki obwisły.

– Wyobraź sobie, że jesteś na ambonie – powiedziałem.

Jussi wyszeptał coś o kopnięciu w ramię, lekkim bólu, który nie mijał.

– Siedzisz teraz na ambonie? – zapytałem.

– Na wysokiej trawie widać szron – powiedział cicho.

– Rozejrzyj się. Jesteś sam?

– Nie.

– Kto tam jest?

– Na skraju ciemnego lasu porusza się sarna. Nawołuje swoje młode. Szuka.

– Ale na wieży, czy jesteś sam na wieży?

– Zawsze jestem sam ze strzelbą.

– Mówiłeś o odrzucie. Strzeliłeś już? – spytałem.

– Czy strzeliłem?

Zrobił ruch głową, jakby wskazywał kierunek.

– Jedno zwierzę jest nieruchome od wielu godzin – powiedział półgłosem – ale drugie jeszcze kopie w zakrwawionej trawie, coraz bardziej zmęczone.

– Co robisz?

– Czekam, już zaczyna się ściemniać, kiedy widzę nowe poruszenie na skraju lasu. Celuję w racicę, ale zmieniam zdanie, celuję zamiast tego w ucho, w mały czarny nosek, kolano, teraz znowu poczułem odrzut, chyba odstrzeliłem nogę.

– Co teraz robisz?

Jussi oddychał ciężko, robiąc długie przerwy między jednym a drugim oddechem.

– Jeszcze nie mogę jechać do domu – rzekł w końcu. – Idę więc do samochodu, kładę strzelbę na tylnym siedzeniu i zabieram ze sobą szpadel.

– Po co ci szpadel?

Zrobił długą pauzę, jakby zastanawiał się nad moim pytaniem.

Potem odparł cicho:

– Zakopuję zwierzęta.

– Co później robisz?

– Kończę, zdążyło się już całkiem ściemnić, idę do samochodu, piję kawę z termosu.

– Co robisz po powrocie do domu?

– Rozbieram się w sieni.

– Co się dzieje dalej?

– Siedzę na ławie przed telewizorem, strzelba leży na podłodze, jest naładowana, ale kilka kroków ode mnie, przed fotelem bujanym.

– Co robisz Jussi? Nikogo nie ma w domu?

– Gunilla wyprowadziła się w zeszłym roku. Ojciec zmarł piętnaście lat temu. Jestem sam, z bujanym fotelem i strzelbą.

– Siedzisz na ławie przed telewizorem – powtórzyłem.

– Tak.

– Coś się dzieje?

– Jest zwrócona przeciwko mnie.

– Kto?

– Strzelba.

– Ta, która leży na podłodze?

Skinął głową i czekał. Mięśnie wokół ust drgały.

– Fotel bujany skrzypi – powiedział. – Skrzypi, ale dziś daje mi spokój.

Nagle stężała twarz Jussiego złagodniała, ale wzrok wciąż był błyszczący, daleki, zwrócony do wewnątrz.

Czas na przerwę. Wyniosłem ich na powierzchnię i zamieniłem z każdym kilka słów. Jussi mruknął coś o jakimś pająku i zamknął się w sobie. Poszedłem do ubikacji, Sibel zniknęła w palarni, a Jussi jak zwykle stanął przy oknie. Kiedy wróciłem, Lydia wyciągnęła puszkę z szafranowymi sucharkami i poczęstowała wszystkich.

– Są całkowicie ekologiczne – zapewniła, zapraszając gestem Marka, żeby wziął sobie dodatkę.

Charlotte uśmiechnęła się i odgryzła kawałek brzeżka.

– Sama je upiekłaś? – zapytał Jussi z niespodziewanym uśmiechem, który ładnie rozjaśnił jego ciężką, potężną twarz.

– Mało brakowało, a bym nie zdążyła – odpowiedziała Lydia, potrząsając głową. – Trafiłam na awanturę na placu zabaw.

Sibel głośno zachichotała i połknęła swój sucharek w kilku łapczywych kęsach.

– Chodziło o Kaspera. Kiedy jak zwykle rano poszliśmy na plac zabaw, podeszła do mnie jedna z mam i oznajmiła, że Kasper uderzył jej córkę w plecy łopatką.

– *Shit* – szepnął Marek.

– Zmroziło mnie, kiedy to usłyszałam – powiedziała Lydia.

– I co się robi w tego rodzaju sytuacjach? – zapytała uprzejmie Charlotte.

Marek wziął jeszcze jedno ciasteczko i słuchał Lydii z miną, na której widok zacząłem się zastanawiać, czy nie jest w niej zakochany.

– Nie wiem, zapewniłam ją, że podchodzę do tego bardzo poważnie, tak, byłam dość wzburzona. Ale ona stwierdziła, że to nie było takie groźne, że jej zdaniem to był wypadek.

– To jasne – wtrąciła Charlotte. – Zabawy dzieci są takie dzikie.

– Obiecałam jednak porozmawiać z Kasperem i że się tym zajmę – ciągnęła Lydia.

– To dobrze. – Jussi skinął głową.

– Stwierdziła, że Kasper wygląda na przemiłego chłopca – dodała Lydia z uśmiechem.

Usiadłem na swoim miejscu i przerzuciłem kartki w notatniku, chciałem jak najszybciej wrócić do hipnozy. Była znowu kolej Lydii.

Napotkała mój wzrok i ostrożnie się uśmiechnęła. Wszyscy byli milczący, pełni oczekiwania. Zacząłem robić swoje. W pomieszczeniu wibrowało od naszych oddechów. Za uderzeniami serca postępowała mroczna, coraz gęstsza cisza. Zanurzaliśmy się z każdym wydechem. Po indukcji moje słowa prowadziły ich w dół, a po chwili zwróciłem się do Lydii:

– Schodzisz głębiej, ostrożnie opadasz, jesteś bardzo odprężona, ramiona są ciężkie, nogi ciężkie, powieki ciężkie. Oddychasz powoli

i słuchasz moich słów, nie podważając ich, jesteś bezpieczna i posłuszna: Lydio, znajdujesz się bardzo blisko tego, o czym nie chcesz myśleć, o czym nigdy nie mówisz, od czego się odwracasz, tego, co zawsze leży ukryte gdzieś obok ciepłego światła.

– Tak – powiedziała, wzdychając.

– Jesteś tam teraz.

– Bardzo blisko.

– Gdzie się w tej chwili znajdujesz? Gdzie jesteś?

– W domu.

– Ile masz lat?

– Trzydzieści siedem.

Przyglądałem się jej. Odbicia i refleksy prześlizgiwały się po jej wysokim, gładkim czole, drobnych, ładnych ustach i niemal chorobliwie bladej cerze. Wiedziałem, że skończyła trzydzieści siedem lat dwa tygodnie temu. Nie cofnęła się w czasie równie daleko, jak inni, zaledwie kilka dni.

– Co się dzieje? Co jest nie tak? – zapytałem.

– Telefon...

– Co z telefonem?

– Dzwoni, znowu dzwoni, podnoszę słuchawkę i od razu odkładam.

– Możesz być spokojna, Lydio.

Wygląda na zmęczoną, może zmartwioną.

– Jedzenie wystygnie. Przygotowałam kiszone warzywa, zupę z soczewicy i upiekłam chleb. Chciałam zjeść przed telewizorem, ale jak widać się nie da...

Broda jej zadrżała, a po chwili się uspokoiła.

– Odczekuję chwilę, odchyłam żaluzje i wyglądam na ulicę. Nikogo tam nie ma, nic nie słychać. Siadam przy kuchennym stole i zjadam trochę gorącego chleba z masłem, ale nie mam apetytu. Schodzę z powrotem do bawialni na dole, jak zwykle jest tam chłodno, siadam na starej skórzanej kanapie i przymykam oczy. Muszę wziąć się w garść, muszę zebrać siły.

Umilkła, między nami przepłynęły nitki wodorostów.

– Dlaczego musisz zebrać siły? – spytałem.

– Żeby dać radę... żeby dać radę wstać, przejść obok czerwonej lampy z papieru ryżowego z chińskimi znakami, tacki ze świecami zapachowymi i szlifowanymi kamieniami. Deski podłogowe, które uginają się i skrzypią pod linoleum...

– Czy ktoś tam jest? – zapytałem cicho, ale zaraz pożałowałem.

– Biorę laskę, wciskam wybrzuszenie w linoleum, żeby móc otworzyć drzwi, oddycham spokojnie i wchodzę, zapalam lampę – ciągnie Lydia. – Kasper mruga w świetle, ale nie wstaje. Nasikał do wiadra. Cuchnie. Ma na sobie jasnoniebieską pizamę. Szybko oddycha. Trącam go laską przez kraty. Kwili, przesuwają się trochę i siada w klatce. Pytam, czy zmienił zdanie, gorliwie mi przytakuje. Podsuwam mu talerz z jedzeniem. Kawałki dorsza skurczyły się i pociemniały. Przyczołguje się i je, cieszę się i już mam powiedzieć, jak to dobrze, że się rozumiemy, kiedy wymiotuje na materac.

Twarz Lydii napina się w grymasie bólu.

– A ja myślałam, że...

Wargi napięte, kąciki ust opuszczone.

– Myślałam, że już skończyliśmy, ale...

Potrząsnęła głową.

– Po prostu nie pojmuję...

Oblizwała wargi.

– Nie dociera do ciebie, jak ja się czuję? Co? Mówi, że przeprasza. Powtarzam, że jutro niedziela, biję się po twarzy i krzyczę, żeby patrzył.

Charlotte przygląda się Lydii ze strachem w oczach.

– Lydio – powiedziałem – teraz wyjdiesz z piwnicy, nie będziesz się bać ani złościć, jesteś spokojna i opanowana. Powoli wydobędę cię z głębokiego odprężenia, na powierzchnię, w górę, ku jasności, i porozmawiamy o tym, co mi przed chwilą powiedziałaś, tylko ty i ja, zanim wyprowadzę z transu pozostałych.

Mruknęła cicho, ze zmęczeniem.

– Lydio, słuchasz mnie?

Skinęła głową.

– Będę odliczał wstecz, a kiedy dojdę do jednego, otworzysz oczy, będziesz całkowicie rozbudzona i świadoma, dziesięć, dziewięć, osiem, siedem, łagodnie unosisz się ku powierzchni, jesteś rozluźniona i czujesz się dobrze, siedem, sześć, pięć, cztery, za chwilę otworzysz oczy, ale będziesz siedziała dalej na krześle, trzy, dwa, jeden... Podnosisz powieki i budzisz się.

Nasze oczy się spotkały. Twarz Lydii miała w sobie coś zaszuszonego. Nie liczyłem się z czymś takim, jak to, co się przed chwilą stało. Czuję się jak sparalizowany jej słowami. Ustawę o zachowaniu tajemnicy w niektórych sytuacjach znosiła powinność przekazywania informacji, a w tym przypadku było jasne jak słońce, że tajemnica lekarska nie obowiązuje, ponieważ osoba trzecia jest w niebezpieczeństwie.

– Lydio – zacząłem. – Rozumiesz, że będę musiał skontaktować się ze służbami socjalnymi?

– Dlaczego?

– Zmusza mnie do tego to, co powiedziałaś.

– Jak to?

– Nie rozumiesz?

Lydia wciągnęła wargi.

– Ja nic nie powiedziałam.

– Opisałaś, jak...

– Stul pysk – ucięła. – Nie znasz mnie, nic ci do mojego życia, nie masz prawa wtrącać się w to, co robię we własnym domu.

– Podejrzewam, że twoje dziecko...

– Zamknij się! – wrzasnęła i wyszła z pokoju.



Zaparkowałem obok wysokiego świerkowego żywopłotu, sto metrów od dużego drewnianego domu Lydii na Tennisvägen w Rotebro. Pracownica opieki społecznej zgodziła się towarzyszyć mi przy pierwszej wizycie domowej. Moje zgłoszenie na policję

przyjęto z pewną dozą sceptycyzmu, ale oczywiście doprowadziło do otwarcia postępowania przygotowawczego.

Minęła mnie czerwona toyota i zatrzymała się pod domem. Wsiadłem z samochodu, podszedłem do niskiej, tęgiej kobiety i przywitałem się.

Ze skrzynki na listy wystawały mokre broszurki reklamowe Clasa Ohlsona i Elgiganten. Niewielka furtka była otwarta. Poszliśmy dalej ścieżką w stronę domu. W zapuszczonym ogrodzie nie zauważyłem żadnych zabawek. Nie było ani piaskownicy, ani huśtawki na starej jabłoni, ani trójkołowego rowerka na podjeździe. We wszystkich oknach zaciągnięto żaluzje. Z wiszących doniczek wyglądały martwe rośliny. Nierówne kamienne schody prowadziły do drzwi wejściowych. Wydawało mi się, że dostrzegłem ruch za żółtą nieprzezroczystą szybą. Pracownica opieki zadzwoniła do drzwi. Odczekaliśmy chwilę, ale bez skutku. Kobieta ziewnęła i spojrzała na zegarek, ponownie zadzwoniła, a potem nacisnęła klamkę. Drzwi nie były zamknięte na klucz. Otworzyła je i zajrzeliśmy do niewielkiego przedpokoju.

– Halo?! – zawołała. – Lydio?

Weszliśmy do środka, zdjęliśmy buty i ruszyliśmy dalej przez drzwi do korytarzyka z różowymi tapetami na ścianach i obrazem przedstawiającym medytujących ludzi w jasnych aureolach. Na podłodze, przy stoliku, stał różowy telefon.

– Lydio?

Otworzyłem jakieś drzwi i zobaczyłem wąskie schody prowadzące do piwnicy.

– To tu, na dole – powiedziałem.

Przedstawicielka opieki społecznej zeszła za mną do znajdującej się w przyziemiu bawialni ze starą skórzaną kanapą i stołem, którego płytę stanowiły brązowe kafelki. Na tacce, wśród szlifowanych kamieni i szkiełek, stało kilka świec zapachowych. Z sufitu zwisała ciemnoczerwona lampa z ryżowego papieru z chińskimi znakami.

Z bijącym mocno sercem spróbowałem otworzyć drzwi do następnego pomieszczenia, ale zacięły się na wybrzuszeniu linoleum. Wcisnąłem je nogą i wszedłem do środka, ale nie znalazłem klatki. Na środku podłogi stał odwrócony do góry kołami rower ze zdjętym przednim kołem. Obok, w niebieskiej skrzynce z twardego plastiku, leżały narzędzia. Gumowe łatki, klej, klucze nasadowe. Koło, zahaczone kantem opony, wisiało na widelcu. Nagle zaskrzypiał sufit, ktoś najwyraźniej przeszedł po podłodze w pokoju nad naszymi głowami. Bez słowa pośpieszyliśmy w górę schodów. Drzwi do kuchni były uchylone. Zauważyłem na żółtym linoleum kromki chleba i okruszki.

– Halo? – zawołała towarzysząca mi kobieta.

Wszedłem do środka i zobaczyłem otwarte drzwi lodówki. W jej bladym świetle stała Lydia ze wzrokiem wbitym w podłogę. Dopiero po kilku sekundach dostrzegłem w jej ręku nóż. Był to długi, ząbkowany nóż do chleba. Ręka zwisała bezwładnie. Ostrze przy udzie odbijało migotliwie światło.

– Nie wolno ci tu być – wyszeptwała i spojrzała nagle na mnie.

– W porządku – odparłem i wycofałem się tyłem do drzwi.

– Może usiadzimy i porozmawiamy chwilkę? – zapytała neutralnie przedstawicielka opieki społecznej.

Otworzyłem drzwi na korytarz, obserwując powoli zbliżającą się Lydię.

– Erik – powiedziała.

Kiedy chciałem zamknąć drzwi, zobaczyłem, jak Lydia biegnie w moim kierunku. Rzuciłem się przez korytarz do holu, ale drzwi były zamknięte na klucz. Szybkie kroki Lydii się zbliżały. Z jej ust wydobywał się dziwny, jękliwy odgłos. Szarpnąłem inne drzwi i wpadłem do pokoju telewizyjnego. Lydia otworzyła je gwałtownie i weszła za mną. Zderzyłem się z fotelem, ruszyłem dalej w stronę drzwi balkonowych, ale klamka ani drgnęła. Lydia rzuciła się na mnie z nożem, schroniłem się za stołem, skoczyła za mną. Usuwałem się, żeby stół cały czas był między nami.

– To twoja wina – rzekła.

Do pokoju wpadła pracownica opieki, bardzo zdyszana.

– Lydio – powiedziała surowo. – Dość już tych głupstw.

– Wszystko to jego wina – oznajmiła Lydia.

– Co masz na myśli? Czemu jestem winien?

– Temu – powiedziała i przeciągnęła sobie nożem po szyi.

Spojrzała mi w oczy, podczas gdy krew tryskała na jej fartuch i nagie stopy. Usta jej drżały. Nóż upadł na podłogę. Ręka szukała po omacku oparcia. Osunęła się i zamarła, siedząc na jednym biodrze, podobna do syreny.



Annika Lorentzon uśmiechnęła się z zakłopotaniem. Rainer Milch sięgnął nad stołem i nalał sobie syczącej od dwutlenku węgla wody mineralnej Ramlösa. Guzik u mankietu błysnął kobaltem i złotem.

– Z pewnością rozumiesz, czemu chcieliśmy z tobą jak najszybciej porozmawiać – zaczął Peder Mälarstedt, poprawiając krawat.

Spojrzałem na dokumenty, które mi podali. Było w nich napisane, że Lydia złożyła na mnie doniesienie. Twierdziła, że doprowadziłem ją do próby samobójczej, wymuszając na niej wyznanie nieprawdziwych rzeczy. Oskarżała mnie o traktowanie jej jako zwierzęcia doświadczalnego i o wszczepianie jej fałszywych wspomnień w stanie głębokiej hipnozy. Twierdziła, że od samego początku bezwzględnie i cynicznie prześladowałem ją na oczach pozostałych, aż do całkowitego załamania.

Podniosłem oczy znad papierów.

– To nie jest żart?

Annika Lorentzon odwróciła wzrok. Holstein miał otwarte usta i twarz kompletnie pozbawioną wyrazu, kiedy oznajmił:

– To twoja pacjentka, oskarża cię o poważne rzeczy.

– No tak, ale to oczywiste kłamstwa – odparłem wzburzony. – Nie da się wszczepiać wspomnień podczas transu. Mogę poprowadzić kogoś do jakiegoś wspomnienia, ale nie pamiętać za nich... To jak drzwi. Doprowadzam pacjentów do drzwi, których sam nie mogę

otworzyć.

Rainer Milch spojrział na mnie z powagą.

– Samo podejrzenie mogłoby zniszczyć całe twoje badania, Eriku, więc chyba rozumiesz powagę sytuacji.

Potrząsnąłem głową z irytacją.

– Opowiedziała coś takiego o swoim synu, że uznałem za uzasadnione skontaktować się z opieką społeczną. A to, że zareaguje w taki sposób, było...

Ronny Johansson przerwał mi nagle:

– Ale ona przecież nawet nie ma dzieci, tak jest tu napisane.

Postukał swoim długim palcem w teczkę. Parsknąłem głośno, na co Annika Lorentzon spojrzała na mnie dziwnym wzrokiem.

– Eriku, arogancja nie pomoże ci w tej sytuacji – stwierdziła półgłosem.

– Kiedy ona łże w żywe oczy. – Skrzywiłem usta ze złością.

Nachyliła się nad stołem.

– Eriku – powiedziała powoli – ona nigdy nie miała dzieci.

– Nie ma dzieci?

– Nie.

W pokoju zaległa cisza.

Patrzyłem, jak bąbelki gazu w szklance wody mineralnej unoszą się ku powierzchni.

– Nie rozumiem, mieszka w swoim domu rodzinnym – próbowałem wytłumaczyć, jak najspokojniej umiałem. – Zgadzały się wszystkie szczegóły, nie mogę uwierzyć...

– Nie możesz uwierzyć – przerwał Milch. – Ale myliłeś się.

– Nie można w ten sposób kłamać w transie.

– Może nie była zahipnotyzowana?

– Ależ była, to widać, twarz się zmienia.

– To teraz nie ma już żadnego znaczenia, stało się.

– Jeśli nie ma dzieci, nie wiem – ciągnąłem. – Może mówiła o sobie samej, nigdy się z czymś podobnym nie spotkałem, ale może w ten sposób rozprawia się z własnym wspomnieniem

z dzieciństwa.

Annika przerwała mi:

– Może być tak, jak mówisz, absolutnie, ale fakt pozostaje faktem, że twoja pacjentka ma za sobą poważną próbę samobójczą, za którą wini ciebie. Proponujemy, żebyś wziął wolne, podczas gdy my będziemy badać tę sprawę.

Nieznacznie się do mnie uśmiechnęła.

– Wszystko się ułoży, Eriku, jestem tego pewna – dodała z życzliwością. – Ale w tej chwili musisz się usunąć, do czasu kiedy wszystko się wyjaśni. Jest to zbyt łakomy kąsek dla prasy, nie stać nas na to.

Pomyślałem o swoich pacjentach, o Charlotte, Marku, Jussim, Sibel, Pierze i Evie. Nie byli to ludzie, których mógłbym zostawić z dnia na dzień, poczuliby się zdradzeni, oszukani.

– Nie mogę – powiedziałem cicho. – Nie zrobiłem nic złego.

Annika poklepała mnie po dłoni:

– Wszystko się ułoży, Lydia Evers jest najwyraźniej niestabilna emocjonalnie i niezrównowazona, najważniejsze teraz, żebyśmy postępowali zgodnie z przepisami. Poprosisz o zwolnienie z obowiązków dotyczących hipnozy, podczas gdy my przeprowadzimy wewnętrzną kontrolę. Wiem, że jesteś dobrym lekarzem, Eriku, jak już mówiłam, jestem pewna, że wrócisz do swojej grupy już... – Wzruszyła ramionami. – Może już za pół roku.

– Pół roku?

Wstałem wzburzony.

– Mam pacjentów, polegają na mnie. Nie mogę ich zostawić ot tak.

Łagodny uśmiech Anniki zniknął jak płomień zdmuchniętej świecy. Jej twarz przybrała surowy wyraz, a w głosie zabrzmiała irytacja:

– Twoja pacjentka zażądała dla ciebie natychmiastowego zakazu wykonywania zawodu. Poza tym złożyła doniesienie na policję. To

nie są dla nas drobiazgi, zainwestowaliśmy w twoją działalność i gdyby się okazało, że badania nie spełniały wymagań, będziemy musieli podjąć odpowiednie kroki.

Nie wiedziałem, co odpowiedzieć, chciało mi się tylko śmiać z tego wszystkiego.

– To jakiś absurd. – Tylko tyle byłem w stanie z siebie wydobyć.

Następnie odwróciłem się, żeby odejść.

– Erik! – Annika zawołała za mną. – Nie rozumiesz, że to dobre rozwiązanie?

Zatrzymałem się.

– Ale chyba nie wierzycie w te pierdoły o wszczepionych wspomnieniach?

Wzruszyła ramionami.

– Nie to jest istotne. Istotne jest, żebyśmy działali zgodnie z regulaminem. Weź wolne od działalności hipnotycznej, spójrz na to jak na propozycję polubownego załatwienia sprawy. Możesz kontynuować badania, możesz pracować w spokoju, bylebyś nie praktykował hipnoterapii w czasie naszego dochodzenia...

– Co właściwie chcesz powiedzieć? Nie mogę przyznać się do czegoś, co nie jest prawdą.

– I wcale tego nie wymagam.

– Tak to brzmi. Prośba o urlop będzie przecież wyglądać jak przyznanie się do winy.

– Powiedz, że prosisz o urlop – nakazała surowo.

– To jest, kurwa, jakiś idiotyzm! – Zaśmiałem się i wyszedłem.



Było późne popołudnie. Po krótkim deszczu słońce odbijało się w kałużach, ziemia pachniała lasem, mokrą glebą i zmurszałymi korzeniami. Biegłem ścieżką wokół jeziora i zastanawiałem się nad zachowaniem Lydii. Wciąż byłem pewien, że w transie mówiła prawdę, ale nie wiedziałem, w jaki sposób. Jaką prawdę opisała? Albo prawdziwe, konkretne wspomnienie, ale umieściła je w złym czasie. W hipnozie to, że przeszłość nie jest przeszła, jest jeszcze

wyraźniejsze, powtarzałem sobie.

Napełniłem płuca chłodnym, świeżym wiosennym powietrzem i sprintem pokonałem ostatni odcinek przez las. Kiedy dotarłem na naszą ulicę, zobaczyłem zaparkowany przy podjeździe duży czarny samochód. Obok stało dwóch mężczyzn. Jeden przeglądał się w lśniącym lakierze auta, jednocześnie paląc pośpiesznie papierosa. Drugi robił zdjęcia naszego domu. Jeszcze mnie nie zauważyli. Zwolniłem i zacząłem się zastanawiać, czy nie zawrócić, kiedy mnie dostrzegli. Mężczyzna z papierosem przydeptał prędko żar podeszwą, drugi szybkim ruchem zwrócił obiektyw w moją stronę. Podchodząc do nich, byłem jeszcze zdyszany.

– Erik Maria Bark? – zapytał palacz.

– Czego chcecie?

– Jesteśmy z gazety wieczornej „Expressen”.

– „Expressen”?

– Yes, chcielibyśmy zadać panu kilka pytań o jedną z pańskich pacjentek...

Pokręciłem głową.

– Nie dyskutuję na takie tematy z osobami postronnymi.

– Ach tak.

Wzrok mężczyzny prześlizgnął się po mojej czerwonej zgrzanej twarzy, rozciągniętych spodniach od dresu, czarnej bluzie z kapturem. Usłyszałem, jak stojący za nim fotograf odkaslnął. Nad nami w powietrze wystrzelił ptak, jego ciało przemknęło idealnym łukiem, odbijając się w dachu samochodu. Chmury nad lasem zaczęły gęstnieć i ciemnieć. Może dziś wieczorem jeszcze popada.

– W jutrzejszym wydaniu będzie wywiad z pańską pacjentką. Zarzuca panu całkiem poważne rzeczy – stwierdził krótko dziennikarz.

Spojrzałem mu w oczy. Miał dość sympatyczną twarz. W średnim wieku, korpulentny.

– Ma pan szansę teraz na to odpowiedzieć – dodał po cichu.

Okna naszego domu były ciemne. Simone na pewno została

dłużej w mieście, w swojej galerii. Benjamin był jeszcze w przedszkolu.

Uśmiechnąłem się do dziennikarza, a on dodał ucziwie:

– W przeciwnym razie jej wersja pójdzie do druku bez komentarza z drugiej strony.

– Nie mógłbym nawet zamarzyć o wypowiedzeniu się na temat pacjenta – wyjaśniłem powoli, minąłem obu mężczyzn, otwarłem drzwi wejściowe, wszedłem do środka i stanąłem w holu, nasłuchując, jak odjeżdżają.

Telefon zadzwonił już o siódmej następnego rana. Połączenie ze szpitala Karolinska, Annika Lorentzon.

– Erik, Erik! – zawołała zdławionym głosem. – Czytałeś gazetę?

Simone usiadła obok mnie na łóżku, spojrzała na mnie z niepokojem, machnąłem tylko ręką i wyszedłem na korytarz.

– Jeśli chodzi o jej oskarżenia, to chyba każdy rozumie, że to kłamstwa...

– Nie – przerwała ostro. – Nie każdy to rozumie. Wiele osób widzi w niej bezbronnego, słabego i wrażliwego człowieka, kobietę, która została narażona na działania wyjątkowo niepoważnego lekarza manipulanta. Mężczyzny, któremu ufała najbardziej, zwierzyła mu się, a on zdradził ją i wykorzystał. Tak jest napisane w gazecie.

Słyszałem w słuchawce jej gwałtowny oddech. Kiedy znowu się odezwała, jej głos był ochrypły i zmęczony.

– To zaszkodzi całej naszej działalności, chyba to rozumiesz.

– Napiszę odpowiedź – stwierdziłem krótko.

– To nie wystarczy, Erik. Obawiam się, że to nie wystarczy.

Przerwała na chwilę, potem podjęła bezbarwnym tonem:

– Ona zamierza nas pozwać.

– Nigdy nie wygra – parsknąłem.

– Wciąż nie rozumiesz powagi sytuacji, prawda, Erik?

– Co powiedziała?

– Proponuję, żebyś poszedł po gazetę. Potem powinieneś usiąść

i zastanowić się, jak na to odpowiesz. Zostałeś wezwany na posiedzenie zarządu dziś o szesnastej.

Kiedy ujrzałem siebie na afiszach z nagłówkami, poczułem się, jakby serce mi zwolniło. Było to zbliżenie w bluzie z kapturem, pąsowa obrzmiała twarz o apatycznym wyrazie. Zsiadłem na drżących nogach z roweru, kupiłem gazetę i wróciłem do domu. Rozkładówkę zdobiło zamaskowane zdjęcie Lydii siedzącej z podkulonymi nogami i z pluszowym misiem w objęciach. Artykuł mówił o tym, jak ja, Erik Maria Bark, zahipnotyzowałem ją, używałem jako królika doświadczalnego i prześladowałem stwierdzeniami o użyciu przez nią przemocy i popełnionych przestępstwach. Według reportera płakała, mówiąc, że nie jest zainteresowana odszkodowaniem. Pieniądze nigdy nie będą mogły wynagrodzić jej tego, przez co przeszła. Została złamana i wyznała rzeczy, które włożyłem jej w usta w stanie głębokiej hipnozy. Kulminacją prześladowań było wtargnięcie do jej domu i skłonienie do popełnienia samobójstwa. Chciała tylko umrzeć, powiedziała, to było tak, jakby należała do sekty, której byłem przywódcą, i nie miała własnej woli. Dopiero leżąc w szpitalu, ośmieliła się zakwestionować sposób, w jaki ją traktowałem. Teraz żądała, aby już nigdy więcej nie było mi wolno postąpić tak z innymi ludźmi.

Na następnej stronie było zdjęcie Marka z mojej grupy pacjentów. Zgadzał się z Lydią, że moja działalność była śmiertelnie niebezpieczna i że byłem opętany wymyślaniem chorych rzeczy, a potem zmuszałem ich, żeby się do nich przyznali w transie.

Poniżej umieszczono wypowiedź eksperta Görana Sörensena. Nigdy wcześniej o nim nie słyszałem. Ale teraz oto skreślał całą moją pracę naukową, porównał hipnozę do seansów spirytystycznych i zasugerował, że prawdopodobnie odurzałem pacjentów lekami, żeby byli ulegli.

W głowie czułem martwą ciszę. Słyszałem tykanie kuchennego zegara, warczenie przejeżdżających co jakiś czas samochodów. Otworzyły się drzwi i weszła Simone. Kiedy przeczytała gazetę,

zbladła jak śmierć.

– Co się dzieje? – wyszeptała.

– Nie wiem – odparłem, czując suchość w ustach.

Siedziałem, wpatrując się w pustkę. Może moje teorie były błędne? Może hipnoza nie działała na ludzi po ciężkich urazach psychicznych? Może stało się tak, że moja chęć znalezienia jakiejś reguły wpłynęła na ich wspomnienia? Nie wierzyłem, żeby Lydia była w stanie zobaczyć w transie dziecko, które nie istniało. Byłem przekonany, że opisała prawdziwe wydarzenie, ale teraz zaczynałem się już gubić.

Dziwnie się czułem, przechodząc ten krótki odcinek od głównego wejścia do windy do gabinetu Anniki Lorentzon. Żaden z pracowników nie chciał spojrzeć mi w oczy. Kiedy mijalem ludzi, których znałem i z którymi się często spotykałem, zdenerwowani odwracali z ponurą miną wzrok i śpiesznie odchodzili w swoją stronę. Nawet zapach w windzie wydawał się obcy. Woń zgniłych kwiatów przywiodła mi na myśl pogrzeby, deszcz i pożegnania.

Kiedy wyszedłem z windy, przemknęła obok mnie Maja Swartling. Udała, że mnie nie widzi. W drzwiach do gabinetu Anniki Lorentzon czekał Rainer Milch. Zrobił mi miejsce, wszedłem i przywitałem się.

– Erik, Erik, siadaj – powiedział Rainer.

– Dziękuję, postoję – odparłem krótko, ale pożałowałem tego. Zastanawiałem się wciąż, co u licha Maja Swartling robiła na posiedzeniu zarządu. Może przyszła stanąć w mojej obronie? Była rzeczywiście jedną z niewielu osób, które miały faktyczną, gruntowną wiedzę na temat moich badań.

Annika Lorentzon stała przy oknie po drugiej stronie pokoju. Zauważyłem, że mnie nie przywitała, co było zarówno niegrzecznym, jak i dziwnym zachowaniem z jej strony. Zamiast tego stała, obejmując się ramionami i zawzięcie wpatrując w okno.

– Daliśmy ci dużą szansę, Eriku – oświadczył Peder Mälarstedt.

Rainer Milch skinął głową.

– Ale ty nie zgodziłeś się wycofać – dodał. – Odmówiłeś dobrowolnego odsunięcia się na czas naszego dochodzenia.

– Mogę to jeszcze przemyśleć – odezwałem się cicho. – Mogę...

– Teraz jest za późno – przerwał mi. – Potrzebowaliśmy tego argumentu do obrony przedwczoraj, dziś to by było żałosne.

Annika Lorentzon otworzyła usta.

– Ja... – powiedziała cicho, nie odwracając się w moją stronę. – Mam dziś wieczorem wystąpić w „Raporcie” i tłumaczyć się, jak mogliśmy pozwolić ci na takie praktyki.

– Ale ja nie zrobiłem nic złego – broniłem się. – To, że jakiś pacjent przychodzi nagle z bezsensownymi oskarżeniami, chyba nie może zburzyć lat pracy naukowej, która zawsze była bez zarzutu...

– To nie tylko pacjent – przerwał mi Rainer Milch. – Jest więcej takich osób. Poza tym rozmawialiśmy z ekspertem, który wyraził się na temat twoich badań...

Pokręcił głową i umilkł.

– Chodzi o tego Görana Sörensena czy jak mu tam? – spytałem zirytowany. – Nigdy o nim nie słyszałem i najwyraźniej o niczym nie ma pojęcia.

– Mamy osobę, która od lat zgłębia wyniki twojej pracy – wyjaśnił Rainer Milch, drapiąc się w szyję. – Twierdzi, że masz ogromne chęci, ale że prawie wszystkie twoje tezy to zamki na piasku. Nie masz żadnych dowodów i w ogóle nie zważasz na dobro pacjentów, byleby tylko mieć rację.

Odebrało mi mowę.

– Jak nazywa się ten ekspert? – zapytałem wreszcie.

Nie odpowiedzieli.

– Czy przypadkiem nie Maja Swartling?

Twarz Anniki Lorentzon oblała się purpurą.

– Erik – powiedziała, w końcu odwracając się do mnie przodem. – Od tej chwili zostajesz zawieszony w pełnieniu obowiązków. Nie chcę cię już w tym szpitalu.

- A moi pacjenci, muszę dopilnować...
- Zostaną przeniesieni – przerwała mi.
- Zaskodzi im...
- To będzie twoja wina – rzuciła podniesionym tonem.

W gabinecie zaległa cisza. Frank Paulsson stał, odwracając wzrok, Ronny Johansson, Peder Mälarstedt, Rainer Milch i Svein Holstein siedzieli z twarzami bez wyrazu.

- Dobrze więc – powiedziałem załamany.

Zaledwie kilka tygodni temu stałem w tym samym pomieszczeniu i otrzymałem nowe środki. Teraz wszystko skończone, za jednym zamachem.

Kiedy wyszedłem przed szpital, podeszło do mnie kilka osób. Wysoka blondynka podetknęła mi pod nos mikrofon.

- Dzień dobry – powiedziała z ożywieniem. – Czy mógłby pan skomentować fakt, że pańska pacjentka, niejaka Eva Blau, w zeszłym tygodniu została przymusowo objęta opieką psychiatryczną?

- O czym pani mówi?

Odwrociłem się, ale kamerzysta podążył za mną. Czarny błysk obiektywu szukał mnie. Spojrzałem na blondynkę, odczytałem na identyfikatorze imię i nazwisko, Stefanie von Sydow, zauważyłem białą szydełkową czapkę i dłoń przyzywającą kamerę.

- Czy wciąż pan uważa, że hipnoza jest dobrą metodą terapii? – zapytała.

- Tak – potwierdziłem.
- Więc będzie pan ją kontynuował?



Białe światło wysokich szpitalnych okien w końcu korytarza odbijało się w świeżo umytej podłodze na oddziale psychiatrycznym Szpitala Południowego. Minąłem długi rząd zamkniętych drzwi z gumowymi uszczelkami i obdrapaną farbą, stanąłem przy numerze B39, zauważając, że moje buty pozostawiły suche ślady na lśniącej podłodze.

Z oddalonego pokoju dobiegło głośne dudnienie, potem cichy płacz i cisza. Stałem przez chwilę, próbując zebrać myśli, zanim zapukałem do drzwi. Uniosłem klucz, włożyłem go do zamka, przekręciłem i wszedłem.

Woń pasty do podłogi, którą przywiodłem ze sobą, zmieszała się z oparami potu i wymiocin w ciemnej klitce. Eva Blau leżała na łóżku plecami do wejścia. Podszedłem do okna i próbowałem wpuścić nieco światła, unieść choć trochę roletę, ale sprężyna się zacinała. Kątem oka dostrzegłem, że Eva Blau się poruszyła. Pociągnąłem sznurek, ale wyslizgnął mi się i roleta podjechała gwałtownie do góry, z hukiem uderzając w futrynę.

– Przepraszam – powiedziałem – chciałem tylko wpuścić...

W ostrym świetle Eva Blau siedziała ze spuszczoneymi kącikami ust i patrzyła na mnie odurzonym lekami wzrokiem. Serce zabiło mi gwałtownie. Czubek nosa Ewy został odcięty. Zgarbiona, z zakrwawionym opatrunkiem na ręce, wpatrywała się we mnie.

– Evo, przyszedłem, jak tylko się dowiedziałem.

Ostrożnie poklepała się zaciśniętą dłońią po brzuchu. Okrągła rana po odciętych nosie świeciła czerwono na jej cierpiącej twarzy.

– Próbowałem wam pomóc – powiedziałem. – Ale zaczynam rozumieć, że myliłem się prawie we wszystkim, myślałem, że byłem na tropie czegoś ważnego, że rozumiałem funkcjonowanie hipnozy, ale to nie była prawda, nic tak naprawdę nie rozumiałem i przykro mi, że nie mogłem wam pomóc, żadnemu z was.

Przesunęła wierzchem dłoni po nosie, z rany na jej usta zaczęła płynąć krew.

– Evo? Czemu to sobie zrobiłaś? – zapytałem.

– To ty, ty, to twoja wina! – wrzasnęła nagle. – Wszystko to twoja wina, zniszczyłeś mi życie, zabrałeś mi wszystko, co miałam!

– Rozumiem, że jesteś na mnie zła, że...

– Zamknij się – przerwała mi. – Nic nie rozumiesz. Moje życie jest zniszczone i ja zniszczę twoje. Poczekam na swoją kolej, wszystko jedno jak długo, ale zemszczę się.

Potem zaczęła wrzeszczeć, z szeroko otwartymi ustami, ochryple, bez opamiętania. Otworzyły się drzwi i wszedł doktor Andersen.

– Miałeś poczekać na zewnątrz – powiedział ze zdenerwowaniem w głosie.

– Dostałem klucz od pielęgniarki, więc pomyślałem...

Wyciągnął mnie na korytarz i zamknął za nami drzwi na klucz.

– Pacjentka cierpi na paranoję i...

– Nie, nie wydaje mi się – przerwałem z uśmiechem.

– To jest moja ocena mojej pacjentki – uciał.

– Racja, przepraszam.

– Setki razy każdego dnia żąda, żeby zamknąć ją na klucz i schować go w sejfie.

– Dobrze, ale...

– I powiedziała, że nie świadczy przeciwko nikomu, że możemy ją poddać wstrząsom elektrycznym i torturom, ale nic nie powie. Coś ty właściwie robił ze swoimi pacjentami? Jest przerażona, potwornie przerażona. Chyba oszalałeś, że wszedłeś do niej...

– Jest na mnie zła, ale się mnie nie boi – przerwałem mu podniesionym tonem.

– Słyszałem, jak krzyczała – stwierdził.

Po wizycie w szpitalu i spotkaniu z Evą Blau pojechałem samochodem do budynku telewizji i poprosiłem o spotkanie ze Stefanie von Sydow, dziennikarką „Raportu”, która wcześniej tego dnia prosiła mnie o komentarz. Recepcjonistka zadzwoniła do asystentki redakcji i przekazała mi słuchawkę. Powiedziałem, że jestem gotowy udzielić wywiadu, jeśli są zainteresowani. Po chwili asystentka zeszła na dół. Była to młoda, krótko ostrzyżona kobieta o inteligentnym spojrzeniu.

– Stefanie może pana przyjąć za dziesięć minut – oznajmiła.

– Świetnie.

– Zaprowadzę pana do charakteryzacji.



Kiedy wróciłem po krótkim wywiadzie, cały dom tonął

w ciemnościach. Wołałem, ale nikt nie odpowiadał. Simone siedziała na piętrze, na sofie przed wyłączonym telewizorem.

- Coś się stało? – zapytałem. – Gdzie Benjamin?
- U Dawida – powiedziała bezbarwnym głosem.
- Czy nie powinien być już w domu... co powiedziałaś?
- Nic.
- Ale co się dzieje? Porozmawiaj ze mną, Simone.
- Po co? Nie wiem, kim jesteś – odparła.

Poczułem narastający niepokój, zbliżyłem się i chciałem odgarnąć jej włosy z twarzy.

- Nie dotykaj mnie – syknęła, odsuwając głowę.
- Nie chcesz rozmawiać?
- Czy chcę? To nie ja powinnam. To ty powinienes porozmawiać, nie powinienes pozwolić mi samej znaleźć tych zdjęć, nie powinienes pozwolić, żebym czuła się jak idiotka.
- O jakie zdjęcia ci chodzi?

Otworzyła błękitną kopertę i wysypała kilka fotografii. Zobaczyłem siebie pozującego w mieszkaniu Mai Swartling, a potem serię jej zdjęć ubranej jedynie w jasnozielone majtki. Kosmyki ciemnych włosów kładły się na szerokich białych piersiach. Wyglądała na szczęśliwą, była zarumieniona. Kilka nieostrych zbliżeń piersi. Na jednym ze zdjęć leżała z szeroko rozłożonymi udami.

- Sixan, spróbuję...
- Nie mam siły na kolejne kłamstwa – przerwała. – W każdym razie nie teraz.

Włączyła telewizję, zmieniła kanał na „Raport” i trafiła w środek reportażu o skandalu hipnotycznym. Annika Lorentzon ze szpitala uniwersyteckiego Karolinska nie chciała komentować sprawy w trakcie trwającego dochodzenia, ale kiedy dobrze zorientowany dziennikarz wspomniał o ogromnej dotacji, którą zarząd niedawno przyznał Erikowi Marii Barkowi, była zmuszona zareagować.

- To była pomyłka – powiedziała półgłosem.

- Nie rozumiem, co było pomyłką?
- Erik Maria Bark jest zawieszony do odwołania.
- Tylko do odwołania?
- Nigdy więcej nie użyje hipnozy w szpitalu Karolinska – oznajmiła.

Potem ujrzałem własną twarz, siedziałem w studiu telewizyjnym, w moich oczach czaił się lęk.

- Czy zamierza pan używać hipnozy w innych szpitalach? – zapytała dziennikarka.

Wyglądałem tak, jakbym nie rozumiał pytania, i prawie niezauważalnie pokręciłem głową.

- Eriku Mario Barku, czy nadal pan uważa, że hipnoza jest skuteczną formą terapii?
- Nie wiem – odparłem cicho.
- Zamierza pan to robić w przyszłości?
- Nie.
- Nigdy?
- Już nigdy nikogo nie zahipnotyzuję.
- Czy to jest obietnica? – spytała dziennikarka.
- Tak.

38 ŚRODA PRZED POŁUDNIEM, SZESNASTY GRUDNIA

Erikiem wstrząsa dreszcz, jego ręka trzymająca kubek drga, ochlapując kawą marynarkę i mankiet koszuli.

Joona spogląda na niego pytająco, podaje mu jednorazową chusteczkę z paczki leżącej na desce rozdzielczej.

Erik przygląda się przez okno żółtej drewnianej willi, ogrodowi i stojącemu na trawniku gigantycznemu Kubusiowi Puchatkowi z dorysowanymi kłami.

– Czy jest niebezpieczna? – pyta Joona.

– Kto?

– Eva Blau.

– Może – odpowiada Erik. – Chyba jest w stanie zachowywać się niebezpiecznie.

Joona wyłącza silnik, odpinają pasy i otwierają drzwi.

– Nie licz na zbyt wiele – uprzedza Joona ze śpiewnym fińskim akcentem. – Być może Liselott Blau nie ma nic wspólnego z Evą.

– Może – odpowiada Erik pogrążony w myślach.

Podchodzą ścieżką wyłożoną czarnymi łupkowymi płytami. W powietrzu wirują maleńkie, okrągłe śnieżynki, wyglądają prawie jak grad, ale nie z lodu, tylko ze śniegu. Przypomina to welon, taka mleczna mgiełka, a za nią wielki drewniany dom.

– Musimy jednak zachować ostrożność – dodaje Joona. – Bo to rzeczywiście może być ten dom strachów.

Jego symetryczną, miłą twarz rozświetla słaby uśmiech. Erik staje pośrodku ścieżki. Czuje chłód mokrego materiału wokół nadgarstka. Wokół niego unosi się woń starej kawy.

– Dom strachów to rudera w byłej Jugosławii – mówi Erik. – To mieszkanie w Jakobsbergu i sala gimnastyczna w Stocksund,

jasnozielony dom w Dorotei i tak dalej.

Nie może powstrzymać uśmiechu na widok zdziwionej miny Joony.

– Dom strachów to nie jeden, konkretny budynek, to taki termin – wyjaśnia Erik. – Grupa hipnotyczna nazywała tak to miejsce... Miejsce, w którym doszło do aktu przemocy.

– Wydaje mi się, że rozumiem – stwierdził Joona. – Gdzie znajduje się ten Evy Blau?

– W tym właśnie problem. Jako jedyna nie trafiła do swojego źródła lęku. W odróżnieniu od pozostałych nigdy nie opisała jakiegoś miejsca, wokół którego wszystko się działo.

– To może tu – mówi Joona, wskazując na dom przed nimi.

Długimi krokami przemierzają ścieżkę. Erik szuka w kieszeni kasetki z papugą. Źle się czuje, jakby wciąż jeszcze zamroczony był wspomnieniami. Mocno drapie się w czoło, chciałby wziąć tabletkę. Marzy o tabletkę, jakiegokolwiek, ale wie, że musi zachować całkowitą jasność myśli. Musi rzucić te leki, nie może już dłużej się ukrywać, musi znaleźć Benjamina, póki nie jest za późno.

Erik naciska guzik dzwonka, przez masywne drewno dobiega ciężki klang. Zmusza się, żeby nie wyrwać drzwi, nie wpaść do środka i nie wołać Benjamina. Joona trzyma rękę za pazuchą. Drzwi po chwili otwiera młoda kobieta w okularach, o rudych włosach i z dużą liczbą drobnych blizn na policzkach.

– Szukamy Liselott Blau – odzywa się Joona.

– To ja – odpowiada nieufnie pani domu.

Joona zerka na Erika i wie już, że owa ruda kobieta nie jest tą, która nazwała się Eva Blau.

– Właściwie to szukamy Evy – dodał.

– Evy? Jakiej Evy? O co chodzi?

Joona pokazuje jej swoją legitymację policyjną i pyta, czy mogą na chwilę wejść do środka. Gospodyni nie chce ich wpuścić, więc Joona prosi ją, by w takim razie włożyła kurtkę i wyszła na chwilę do nich. Kilka minut później stoją na twardym, zamrożonym

trawniku i rozmawiają, a przed ustami kłębią im się obłoczki pary.

– Mieszkam sama – oznajmia kobieta.

– To wielki dom.

Właścicielka pozwala sobie na oszczędny uśmiech.

– Dobrze mi się powodzi.

– Czy Eva Blau jest pani krewną?

– Nie znam żadnej Ewy Blau, już mówiłam.

Joona pokazuje jej trzy zdjęcia Ewy, które wydrukował z przegranego na płytę nagrania wideo, ale rudowłosa kręci tylko głową.

– Proszę się dobrze przyjrzeć – prosi Joona z powagą.

– Nie będzie mi pan mówił, co mam robić – odgryza się kobieta.

– Nie, ale proszę panią o...

– Płacę pańską pensję – przerywa, cedząc słowa. – Pańska pensja jest z mojego podatku.

– Bardzo proszę jeszcze raz spojrzeć na zdjęcie – mówi Joona.

– Nigdy jej nie widziałam.

– To ważne – wyjaśnia Erik.

– Może dla was. Dla mnie nie.

– Nazwała się Eva Blau – ciągnie Joona. – Blau to dość niespotykane nazwisko w Szwecji.

Erik dostrzega nagle ruch firanki w oknie na piętrze. Rzuca się w stronę domu, słysząc, jak oboje za nim wołają. Wpada przez drzwi, do korytarza, rozgląda się, widzi szerokie schody, wbiega na górę, przeskakując po kilka stopni.

– Benjamin! – woła i przystaje.

Korytarz ciągnie się w obydwie strony, z drzwiami do sypialni i łazienki.

– Benjamin? – nawołuje półgłosem.

Gdzieś skrzypi podłoga. Słyszy, jak ruda właścicielka wbiega przez drzwi wejściowe. Erik próbuje przypomnieć sobie, w którym oknie widział ruch firanki, szybkim krokiem idzie w prawo do drzwi na końcu korytarza. Próbuje je otworzyć, ale są zamknięte na klucz.

Pochyla się i zerka przez dziurkę od klucza. Klucz tkwi w zamku, ale wydaje mu się, że dostrzega jakieś poruszające się cienie odbite w metalu.

– Otwórz drzwi! – mówi podniesionym głosem.

Gospodyni jest już na schodach.

– Nie wolno panu tu być! – woła.

Erik robi krok w tył, kopnięciem wyważa drzwi i wchodzi do środka. Pokój jest pusty: wielkie, niepościelone łóże z różową pościelą, blad różowa wykładzina na podłodze i drzwi do garderoby z przydymionymi lustrami. Kamera na statywie skierowana na łóżko. Podchodzi do garderoby i otwiera ją, nikogo tam nie ma. Odwraca się, ogląda ciężkie zasłony, fotel, schyla się i widzi człowieka skulonego pod łóżkiem: przestraszone, lękliwe oczy, szczupłe uda, nagie stopy.

– Wyjdź – nakazuje surowo.

Wyciąga się i łapie za kostkę nagiego młodzieńca. Chłopak próbuje coś wyjaśnić, mówi do Erika szybko i intensywnie, ale w języku, który brzmi jak arabski, jednocześnie wkładając dżinsy. W łóżku porusza się kołdra, wystawia spod niej głowę drugi chłopiec i mówi coś zdecydowanym tonem do kolegi, który natychmiast milknie. W drzwiach stoi rudowłosa i powtarza drżącym głosem, że ma zostawić jej przyjaciół w spokoju.

– Są nieletni? – pyta Erik.

– Wynocha z mojego domu! – wrzeszczy wściekle kobieta.

Drugi chłopiec owija się prześcieradłem. Wyciąga papierosa i obserwuje Erika z uśmiechem.

– Won! – krzyczy Liselott Blau.

Erik przechodzi korytarzem i w dół schodami. Kobieta idzie za nim, pokrzykując ochryple, że ma iść do diabła. Erik opuszcza dom i odchodzi po ścieżce z łupków. Joona czeka na podjeździe z bronią przy nodze. Liselott Blau staje w drzwiach.

– Nie wolno wam tak robić! – woła. – To zabronione, policja musi mieć nakaz, żeby tak wtargnąć.

- Nie jestem z policji! – odkrzykuje Erik.
- Ale... zamierzam to zgłosić.
- Proszę bardzo – mówi Joonas. – Mogę przyjąć zgłoszenie, bo, jak mówiłem, ja jestem z policji.

39 ŚRODA PO POŁUDNIU, SZESNASTY GRUDNIA

Przed zjazdem na Norrtäljevägen Joonna skręca na pobocze. Mija ich ciężarówka z przyczepą pełną zakurzonego tłucznia. Komisarz wyjmuje z kieszeni kartkę i czyta:

– Mam pięć Blau w okręgu sztokholmskim, trzy w Västerås, dwie w Eskilstunie i jedną w Umeå.

Składa kartkę i uśmiecha się pocieszająco do Erika.

– Charlotte – odzywa się cicho Erik.

– Nie ma tu żadnej Charlotte – zaprzecza Joonna, ścierając plamkę z lusterka.

– Charlotte Cederskiöld – wyjaśnia Erik. – Była dla Ewy miła.

– Jak myślisz, gdzie możemy ją znaleźć?

– Mieszkała w Stocksundzie dziesięć lat temu, ale...

Joonna już wybrał numer na policję.

– Cześć, Anju. Tak, dziękuję, nawzajem. Potrzebuję numeru telefonu i adresu Charlotte Cederskiöld. Mieszka w Stocksundzie, albo przynajmniej mieszkała. Tak, dzięki. Okej, czekaj – mówi, bierze długopis i notuje na paragonie. – Dzięki wielkie.

Włącza lewy kierunkowskaz i wjeżdża na drogę.

– Mieszka tam jeszcze? – pyta Erik.

– Nie, ale i tak mieliśmy szczęście. Mieszka niedaleko Rimbo.

Erik czuje, jak niepokój ściska mu wnętrzności. Nie wie, dlaczego jej przeprowadzka ze Stocksundu wydaje mu się złym znakiem, być może powinien to tłumaczyć wręcz odwrotnie.

– Kompleks pałacowy Husby säteri – mówi Joonna, wtykając do odtwarzacza płytę.

Mamrocze, że to muzyka mamy, i delikatnie pogłaśnia.

– Saija Varjus! – woła.

Z żalem potrząsa głową i śpiewa do wtóru:

– Dam dam da da di dum...

W samochodzie rozbrzmiewa smutna melodia. Kiedy pieśń się kończy, przez chwilę siedzą cicho, potem Joono odzywa się ze zdziwieniem w głosie.

– Nie lubię już fińskiej muzyki.

Odchrząkuje.

– Moim zdaniem to piękna pieśń – stwierdza Erik.

Joono uśmiecha się i zerka na niego z boku.

– Mama była tam, kiedy została królową tanga w Seinäjoki...

Kiedy opuszczają szeroką i ruchliwą Norrtäljevägen i skręcają w drogę numer siedemdziesiąt siedem przy miejscowości Sätuna, pada intensywny śnieg z deszczem. Od wschodu nadciąga zmięch, mijane gospodarstwa stopniowo toną w mroku.

Joono bębni palcami po desce rozdzielczej. Nawiew wtłacza do samochodu elektrycznie podgrzane powietrze. Erik czuje, jak od tego specyficznego ciepła wilgotnieją mu stopy.

– No to zobaczymy – mówi do siebie Joono, mijając niewielką miejscowość i wjeżdżając na prostą, wąską drogę wzdłuż oszronionych pól. W oddali majaczy wielki biały dom za wysokim ogrodzeniem. Parkują przed otwartą bramą i przechodzą ostatni odcinek na piechotę. Młoda kobieta w skórzanej kurtce grabi żwir na ścieżce. Pod nogami płacze jej się golden retriever.

– Charlotte! – woła. – Charlotte!

Zza węgła ogromnego domu wyłania się kobieca postać, ciągnąc za sobą czarny wór na śmieci. Ubrana jest w różową puchową kamizelkę i gruby szary sweter, sprane džinsy i gumki.

Charlotte – myśli Erik. – To naprawdę Charlotte.

Zniknęła owa smukła, chłodna dama w eleganckim ubraniu i zadbanej fryzurze pazia. Ta, która idzie im naprzeciw, wygląda zupełnie inaczej. Ma długie siwe włosy splecione w gruby warkocz. Jej twarz pokrywa sieć zmarszczek od śmiechu i nie ma śladu makijażu. Jest piękniejsza niż kiedykolwiek, myśli Erik. Kiedy go

dostrzega, to jakby płomień przebiegł jej przez twarz. Z początku oniemiała, ale po chwili twarz rozjaśnia jej szeroki uśmiech.

– Erik – mówi, a jej głos pozostaje niezmienny: głęboki, ciepły, z nienaganną artykulacją.

Upuszcza worek i ujmuje Erika za rękę.

– Czy to naprawdę ty? Cudownie znów cię zobaczyć.

Wita się z Jooną, a potem przez chwilę stoi nieruchomo, przypatrując się im. Tęga kobieta otwiera drzwi wejściowe i spogląda na nich. Ma tatuaż na szyi i nosi workowatą czarną bluzę z kapturem.

– Potrzebujesz pomocy?! – woła.

– To moi przyjaciele! – odkrzykuje Charlotte, machając uspokajająco ręką.

Charlotte z uśmiechem patrzy za przyjaciółką zamykającą drzwi.

– Zamieniłam rezydencję w dom dla kobiet. Mam tyle miejsca, że przyjmuję tu te, które potrzebują trochę spokoju czy, jak to powiedzieć... Pozwalam im tu mieszkać, razem gotujemy, zajmujemy się stajnią do czasu, kiedy uznają, że chcą znów zacząć robić coś swojego. Wszystko to jest tak naprawdę bardzo proste.

– To wspaniale – mówi Erik.

Charlotte kiwa głową i robi taki gest, jakby chciała zaprosić ich do środka.

– Charlotte, musimy znaleźć Evę Blau – wyjaśnia Erik. – Pamiętasz ją?

– Oczywiście, że tak. Była tu moim pierwszym gościem. Miałam pokoje w skrzydle i...

Urywa.

– Dziwne, że o niej wspomniałeś – zaczyna od nowa. – Eva dzwoniła do mnie jakiś tydzień temu.

– Czego chciała?

– Była wściekła.

– No tak – wzdycha Erik.

– Dlaczego była zła? – pyta Jooną.

Charlotte robi głęboki wdech. Erik słyszy wiatr w bezlistnych gałęziach drzew, widzi, że ktoś próbował zbudować bałwana z tej odrobiny śniegu, która spadła.

– Była zła na Erika.

Erik czuje ciarki na myśl o ostrych rysach twarzy Evy Blau, jej agresywnym głosie, mrugających oczach i obciętym końcu nosa.

– Obiecałeś już nigdy nie hipnotyzować, a tu nagle, tydzień temu, znowu zacząłeś. Było o tym w każdej gazecie, mówiono o tym w telewizji. Naturalnie wiele osób było wzburzonych.

– Musiałem – odpowiada Erik. – Ale to był wyjątek.

Charlotte bierze go za rękę.

– Pomogłeś mi – szepce. – Wtedy, kiedy ujrzałam... Pamiętasz?

– Pamiętam – potwierdza cicho Erik.

Charlotte uśmiecha się do niego.

– Wystarczyło, weszłam do domu strachów, podniosłam wzrok i ujrzałam tych, którzy mnie skrzywdzili.

– Wiem.

– To by się nigdy nie stało bez ciebie, Eriku.

– Ale ja...

– Coś we mnie zostało uleczone – dodaje Charlotte, kładąc dłoń na piersi.

– Gdzie teraz jest Eva? – pyta Joona.

Charlotte marszczy lekko czoło.

– Kiedy ją wypisali, przeprowadziła się do mieszkania w Åkersberdze i wstąpiła do Świadków Jehowy. Początkowo utrzymywałyśmy kontakt. Pomagałam jej finansowo, ale potem jakoś się to rozeszło. Wydawało jej się, że ktoś ją prześladowa, mówiła dużo o szukaniu schronienia, o tym, że ściga ją zło.

Charlotte stoi przed Erikiem.

– Jesteś smutny.

– Mój syn zaginął, Eva jest naszym jedynym śladem.

Charlotte patrzy na niego zmartwiona.

– Będzie dobrze.

– Jak ona się nazywa – wiesz może? – pyta Erik.

– Pytasz o prawdziwe nazwisko? Nikomu tego nie mówi, może nawet sama nie wie.

– W porządku.

– Ale nazywała siebie Weroniką, kiedy dzwoniła ostatnio.

– Weroniką?

– Chusta Weroniki, to stąd.

Obejmują się, potem Erik i Joona wracają śpiesznie do samochodu. W drodze na południe, w kierunku Sztokholmu, Joona rozmawia przez telefon. Prosi o pomoc w odszukaniu Weroniki z Åkersbergi i adresu do Świadków Jehowy, zboru albo Sali Królestwa.

Erik przysłuchuje się rozmowie. Jest wyczerpany, głowa zaczyna mu ciążyć, jakby była z ołowiu. Rozmyśla o niedawno przeżytej fali wspomnień i czuje, jak zaczynają opadać mu powieki.

– Tak, Anju, notuję – słyszy słowa Joony. – Västra Banvägen...
Czekaj, Stationsvägen pięć, okej, dzięki.

Jakby czas owinał się ogonem i złapał się za jego koniec, Erik budzi się, kiedy zjeżdżają z góry, wzdłuż pola golfowego.

– Zaraz dojedziemy – mówi Joona.

– Zasnąłem – mruczy Erik, bardziej sam do siebie.

– Eva Blau zadzwoniła do Charlotte w dniu, w którym figurowałeś we wszystkich nagłówkach gazet w całym kraju – zastanawia się głośno Joona.

– A następnego dnia Benjamin został porwany – dodaje Erik.

– Bo ktoś cię zobaczył.

– Albo dlatego, że złamałem obietnicę niekorzystania więcej z hipnozy.

– W takim razie to moja wina – stwierdza Joona.

– Nie, to...

Erik milknie, nie wie, co powiedzieć.

– Przykro mi – mówi Joona, wpatrując się w drogę.

Mijają dyskont z porzbijanymi szybami. Joona zerka w lusterko.

Kobieta w chuście zamiata odłamki na trawnik.

– Nie wiem, co się stało z Evą, kiedy była moją pacjentką – mówi Erik. – Okaleczyła się i wpadła w paranoję, o wszystko obwiniła mnie i hipnozę, nie powinienem był jej przyjmować do grupy, nie powinienem był nikogo hipnotyzować.

– Ale pomogłeś Charlotte – oponuje Jooną.

– Na to wygląda – potwierdza cicho Erik.

Zaraz za rondem przejeżdżają przez tory, skręcają w lewo przy stadionie, przejeżdżają rzekę i zatrzymują się przy szarych blokach.

Jooną wyciąga rękę w stronę schowka.

– Mógłbyś mi podać pistolet?

Erik podnosi klapkę i wyjmuje ciężką broń. Jooną sprawdza, czy jest naładowany, i zabezpiecza go, zanim schowa do kieszeni.

Szybkim krokiem przemierzają parking i mijają placyk z huśtawkami, piaskownicą i ścianką do wspinaczki.

Erik wskazuje palcem bramę, podnosi wzrok i widzi na prawie każdym balkonie migające światełka choinkowe i anteny satelitarne.

Jakaś staruszka wsparta na chodziku stoi za zamkniętymi drzwiami na klatkę schodową. Jooną puka i macha do niej wesoło. Kobieta spogląda na nich i kręci głową. Jooną pokazuje jej przez szybę legitymację policyjną, ale i tym razem spotyka się z odmową. Erik przeszukuje kieszenie i wyjmuje kopertę z paragonami, które miał zanieść do działu płac. Podchodzi do okna, puka i wskazuje na kopertę. Staruszka natychmiast zbliża się do drzwi i wciska przycisk otwierający zamek elektryczny.

– Czy to poczta? – pyta zrzędlawie.

– List ekspresowy – odpowiada Erik.

– Tyle tu teraz płaczu i krzyku – szepce staruszka do ściany.

– Co pani powiedziała? – pyta Jooną.

Erik sprawdza tablicę z nazwiskami i wyszukuje Weronikę Andersson na pierwszym piętrze. Ciasna klatka schodowa upstrzona jest wielkimi sygnaturami wymalowanymi farbą w spreju. Ze zsyphu

na śmieci cuchnie. Zatrzymują się przed tabliczką z nazwiskiem Andersson i dzwonią do drzwi. Ślady zabłoconych dziecięcych kaloszy prowadzą w górę i w dół schodów.

– Zadzwoń jeszcze raz – prosi Erik.

Joona uchyla klapkę nad otworem na listy i woła, że ma list ze „Strażnicy”. Erik widzi, jak głowa komisarza odskakuje od drzwi, jak od fali uderzeniowej.

– Co się stało?

– Nie wiem, ale proszę, żebyś poczekał na zewnątrz – mówi zdenerwowany Joona.

– Nie – sprzeciwia się Erik.

– Wchodzę sam.

Za jednymi z drzwi na pierwszym piętrze rozlega się bręk tłuczonego szkła. Joona wyjmuje etui z dwoma cienkimi przedmiotami ze stali. Jeden jest zagięty na końcu, a drugi przypomina bardzo wąski klucz.

Jakby czytając Erikowi w myślach, mruczy pod nosem, że wtargnięcie do mieszkania bez nakazu sądowego jest zupełnie w porządku.

– Zgodnie z nową ustawą wystarczy dobry powód.

Udaje mu się wetknąć jeden z przyrządów do dziurki od klucza, gdy Erik wyciąga rękę i naciska klamkę. Drzwi nie są zamknięte. Kiedy je otwierają, z mieszkania bucha ostry fetor. Joona wyciąga broń i gestem nakazuje Erikowi zostać na miejscu.

Erik słyszy bicie własnego serca, szum krwi w uszach. Cisza jest przerażająco złowróżbna. Benjamina tu nie ma. Światła na klatce schodowej gasną, ogarnia go ciemność. Nie jest czarno, ale oczom trudno znaleźć punkty odniesienia.

Nagle przed nim pojawia się Joona.

– Chyba będziesz musiał ze mną wejść, Eriku – mówi.

Wchodzą do środka, Joona zapala światło. Drzwi do łazienki są otwarte na oścież. Smród rozkładu jest nie do wytrzymania. W obdrapanej, pustej wannie leży Eva Blau. Twarz ma spuchniętą,

muchy kłębią się wokół jej ust i brzęczą w powietrzu. Niebieska bluzka podwinęła się; brzuch jest wypięty, niebieskozielony. Wzdłuż obu przedramion biegną dwa długie cięcia. Materiał bluzki i blond włosy skleja zakrzepła krew. Skóra Ewy jest bladoszara, wyraźna brązowa sieć żył zaznacza się na całym ciele. Nieruchoma krew zgniła w swoim obiegu. W kącikach oczu, nozdrzach i ustach widać skupiska żółtych muszych jajeczek. Krew wypłynęła z odpływu na łazienkowy dywanik. Brzeg i frędzle pociemniały. Obok ciała w wannie leży zakrwawiony nóż.

– Czy to ona? – pyta policjant.

– Tak. To Eva.

– Nie żyje co najmniej od tygodnia. Brzuch zdążył już porządnie spuchnąć.

– Widzę.

– A więc to nie ona porwała Benjamina – stwierdza Joon.

– Muszę się zastanowić – mówi Erik. – Sądziłem...

Patrzy przez okno i po przeciwnej stronie torów dostrzega niski budynek z cegły. Eva mogła widzieć ze swego okna Salę Królestwa. Erik myśli o tym, że może dawało jej to poczucie bezpieczeństwa.

40 CZWARTEK PRZED POŁUDNIEM, SIEDEMNASTY GRUDNIA

Simone czuje nagle kroplę krwi na dolnej wardze. Przygryzła ją, nie zdając sobie z tego sprawy. Całą energię zużyła na powstrzymanie myśli. Tatę potracił samochód, leży od paru dni w zacienionym pokoju w Szpitalu św. Jerzego i nikt jeszcze nie potrafi powiedzieć, jak ciężko jest ranny. Jedyne, co Simone wie, to to, że uderzenie mogło go zabić. Stalowa kula bólu krąży jej po głowie. Straciła Erika, być może straciła Benjamina, a teraz jeszcze może stracić ojca.

Nie wie, który to już raz, ale na wszelki wypadek wyciąga komórkę, sprawdza, czy działa, i chowa do zewnętrznej kieszonki torebki, z której może ją łatwo wyjąć, gdyby wbrew wszystkiemu zaczęła jednak dzwonić.

Potem pochyla się nad tatą i poprawia mu koc. Śpi, ale nie wydaje z siebie żadnego dźwięku. Kennet Sträng jest prawdopodobnie jedynym mężczyzną na świecie, który nie hałasuje przez sen, ta myśl przeszła jej już wielokrotnie przez głowę.

Czoło opasuje mu kredowobiały bandaż. Spod opatrunku wypęła ciemny cień, siniak, który zakrywa jeden policzek. Ojciec wygląda inaczej: duży wylew krwi, opuchnięty nos i opadnięty kącik ust.

Ale nie zginął – myśli Simone. – Żyje, on żyje. Benjamin też żyje, Simone to wie, musi żyć.

Simone przechadza się po pokoju. Rozmyśla o tym, jak wróciła do domu od Sima Shulmana i rozmawiała z tatą przez telefon, chwilę przed wypadkiem. Powiedział, że odnalazł Wailorda, miał jechać do miejsca, które nazywało się „ocean”. Było to gdzieś na Loudnden.

Simone patrzy na ojca, który śpi głęboko.

– Tato?

Od razu żałuje, że go zawołała. Kennet nie budzi się, ale przez jego pogrążoną we śnie twarz przebiega bolesny grymas. Simone ostrożnie dotyka ranki na wardze. Jej wzrok pada na adwentowy świecznik. Spogląda na swoje buty w niebieskich ochraniaczach. Myśli o popołudniu sprzed wielu lat, kiedy stali razem i patrzyli, jak mama macha im, a potem znika w swoim zielonym fiaciku.

Simone wzdyga się, ból głowy pulsuje w skroniach. Otula się ciałniej swetrem. Nagle słyszy cichy jęk.

– Tatusiu – odzywa się głosem małego dziecka.

Kennet otwiera oczy. Są zamglone, nie do końca obudzone. Jedno białko pokrywa siateczka pękniętych żyłek.

– Tato, to ja. Jak się czujesz?

Kennet błądzi wzrokiem. Simone czuje nagły strach, że oślepl.

– Siłan?

– Tu jestem, tato.

Ostrożnie siada obok niego i bierze go za rękę. Powieki mu znowu opadają, a brwi ściąga grymas bólu.

– Tatusiu – pyta cicho Simone – jak się czujesz?

Ojciec próbuje poklepać ją po ręce, ale nie jest w stanie.

– Niedługo stanę na nogi – charczy. – Nie martw się.

Zapada milczenie. Simone próbuje poskromić myśli, odpędzić ból głowy, powstrzymać atakujący ją strach. Boi się go naciskać w tym stanie, ale panika zmusza ją do próby.

– Tatusiu? – pyta półgłosem. – Pamiętasz, o czym rozmawialiśmy tuż przed wypadkiem?

Spogląda na nią spod przymrużonych powiek i kręci głową.

– Powiedziałeś, że wiesz, gdzie jest Wailord. Mówiłeś o oceanie, pamiętasz? Powiedziałeś, że jedziesz tam.

W oczach Kenneta pojawia się błysk. Próbuje wstać, ale z jękiem opada z powrotem na poduszkę.

– Tato, powiedz mi, muszę wiedzieć, gdzie to jest. Kim jest

Wailord? Kto to?

Kennet otwiera usta, broda mu drży, gdy szeptem wypowiada słowa:

- Dziecko... To... jest... dziecko.
- Co mówisz?

Ale Kennet zamknął już oczy i zdaje się jej nie słyszeć. Simone podchodzi do okna i wygląda na teren szpitala. Czuje zimny przeciąg. Na szkle widać smugę brudu. Simone chucha na szybę i przez moment widzi odcisk twarzy w mgiełce. Ktoś stał dokładnie w tym samym miejscu i opierał się o okno.

Kościół po drugiej stronie ulicy jest ciemny, uliczne latarnie odbijają się w czarnych oknach łukowych. Simone myśli o tym, że Benjamin zabronił Aizie puszczać Nickego nad ocean.

– Aida – mówi cicho. – Jadę z nią porozmawiać, tym razem powie mi wszystko.

To Nicke otwiera drzwi, kiedy Simone naciska dzwonek. Patrzy na nią ze zdziwieniem.

- Cześć – wita się Simone.
- Dostałem nowe karty – chwali się z zapałem Nicke.
- Wspaniale.
- Są też babskie, ale i dużo supermocnych.
- Czy twoja siostra jest w domu? – pyta Simone, poklepując Nickego po ramieniu.
- Aida! Aida!

Chłopak wbiega w mrok korytarza i znika w głębi mieszkania. Simone stoi i czeka. Po chwili słyszy dziwny, przypominający dźwięk pompki odgłos, coś cicho brzęczy, i nagle dostrzega zbliżającą się chudą, zgarbioną kobietę, która ciągnie za sobą niewielki wózek z zamocowaną butlą z tlenem. Z butli odchodzi wężyk, wtłaczając tlen w jej nozdrza przez cienkie plastikowe rurki. Kobieta uderza się w pierś drobną pięścią.

- Ro... zedma – syczy, a po chwili jej pomarszczona twarz kurczy

się w ochrypłym, wysiłonym ataku kaszlu.

Kiedy w końcu się uspokaja, gestem zaprasza Simone do środka. Przechodzą razem przez długi, ciemny korytarz do salonu, w którym stoją ciężkie meble. Na podłodze, pomiędzy półką na sprzęt stereo i stolikiem telewizyjnym, Nicke bawi się swoimi kartami z pokémonami. Na brązowej sofie wciśniętej między dwie palmy siedzi Aida. Simone z trudem ją poznaje. Dziewczyna jest nieumalowana. Twarz ma ładną i bardzo młodą, cała sprawia wrażenie delikatności. Lśniące, wyszczotkowane włosy związane są w zwyczajny kucyk.

W tej samej chwili, w której Simone wchodzi do pokoju, dziewczyna wyciąga rękę po paczkę papierosów i zapala jednego drżącą dłonią.

– Cześć – wita się Simone. – Jak się masz?

Aida wzrusza ramionami. Chyba płakała. Zaciąga się i podsuwa pod żarzący się popiół zieloną popielniczkę, jakby bała się zniszczyć meble.

– Proszę... usiąść... – Jej mama sykiem zaprasza Simone, która siada na jednym z szerokich foteli wciśniętych obok kanapy, stolika i palm.

Aida strzepuje popiół do zielonej popielniczki.

– Przychodzę prosto ze szpitala – tłumaczy Simone. – Mojego ojca potrafił samochód. Był w drodze do oceanu, do Wailorda.

Nicke zrywa się nagle na równe nogi.

– Wailord jest zły, taki zły.

Simone zwraca się do Aidy, która przełyka głośno ślinę i zamyka oczy.

– O co tu chodzi? – pyta Simone. – Wailord? Kto to?

Aida gasi papierosa, potem mówi łamiącym się głosem:

– Zniknęli.

– Kto?

– Taka banda, która nam dokuczała. Nickemu i mnie. Byli straszni, mieli mnie naznaczyć, powiedzieli, że zrobią...

Milknie i patrzy na swoją mamę, która prychnęła w odpowiedzi.

– Chcieli zrobić pochodnię... z mamy – kończy powoli.

– Skurwy...syny – syczy matka z drugiego fotela.

– Noszą imiona pokémonów: Azelf, Magmortar czy Lucario.

Czasami je zmieniają, trudno się połapać.

– Ilu ich jest?

– Nie wiem, może tylko pięciu – odpowiada. – To smarkacze, najstarszy jest w moim wieku, najmłodszy ma z sześć lat. Ale zarządzili, że każdy, kto tu mieszka, musi im coś dać – mówi, po raz pierwszy podnosząc wzrok na Simone. Ma oczy w kolorze ciemnego bursztynu, piękne, czyste, ale przepełnia je strach. – Dzieciaki miały dawać słodycze, długopisy – ciągnie dalej swoim wysokim głosem. – Opróżniały skarbonki, żeby uniknąć lania. Inne oddawały swoje rzeczy, komórki, gry Nintendo. Dostali moją kurtkę, papierosy. A Nickego po prostu bili, zabrali mu wszystko, dręczyli go.

Głos jej zamiera i łyży cisną się do oczu.

– Porwali Benjamina? – pyta Simone wprost.

Mama Aidy macha ręką.

– Ten... chłopiec... nie... dobry...

– Odpowiedz mi, Aido – mówi Simone gwałtownie. –
Odpowiadaj!

– Nie... wrzeszcz... na moją... córkę – wydusza chrapliwie matka dziewczyny.

Simone potrząsa głową w jej stronę i powtarza, jeszcze ostrzejszym tonem:

– Masz mi powiedzieć wszystko, co wiesz! Słyszysz?

Aida przełyka ślinę.

– Nie wiem zbyt wiele – mówi w końcu. – Benjamin się wtrącił, powiedział, że mamy niczego nie dawać tym chłopakom. Wailord wpadł w furję, stwierdził, że to wojna, i zażądał od nas mnóstwa pieniędzy.

Zapala kolejnego papierosa, zaciąga się, wstrząsana dreszczami, ostrożnie strzepuje popiół do zielonej popielniczki i po chwili mówi

dalej:

– Kiedy Wailord dowiedział się, że Benjamin jest chory, dał dzieciakom igły, żeby go kaleczyły...

Milknie i wzrusza ramionami.

– Co się stało? – pyta niecierpliwie Simone.

Aida przygryza wargi, ściąga z języka płatek tytoniu.

– Co się stało?

– Wailord przestał – szepce dziewczyna. – Nagle zniknął.

Widziałam pozostałe dzieciaki, niedawno znów zaatakowały Nickego. Teraz słuchają takiego jednego, co się nazywa Ariandos, ale po zniknięciu Wailorda są zagubione i zdesperowane.

– Kiedy to było? Kiedy Wailord zniknął?

– Wydaje mi się... – Aida się zastanawia. – Wydaje mi się, że to było w zeszłą środę. Czyli trzy dni przed porwaniem Benjamin.

Usta zaczynają jej drżeć.

– Wailord go zabrał – szepce. – Wailord zrobił mu coś strasznego. Teraz nie ma odwagi się pokazać...

Wybucha gwałtownym, spazmatycznym płaczem, Simone patrzy, jak matka Aidy z trudem wstaje, wyjmując córce z dłoni papierosa i powoli gasi go w zielonej popielniczce.

– Jebany... niedorób – rzęzi, a Simone nie ma pojęcia, kogo kobieta ma na myśli.

– Kim jest Wailord? – pyta. – Musisz mi powiedzieć, kto to.

– Nie wiem! – krzyczy Aida. – Nie wiem!

Simone wyciąga fotografię trawnika i zarośli przy brązowym płocie, którą znalazła w komputerze Benjamin.

– Spójrz na to – nakazuje twardo.

Aida patrzy na wydruk z kamienną twarzą.

– Co to za miejsce? – pyta Simone.

Dziewczyna wzrusza ramionami i zerka na mamę.

– Nie mam pojęcia – odpowiada bezbarwnie.

– Sama przecież wysłałaś mu to zdjęcie – denerwuje się Simone. – Przyszło od ciebie, Aido.

Aida ucieka wzrokiem i znów patrzy na mamę, siedzącą z posykaną butlą tlenową u stóp.

Simone macha jej kartką przed oczyma.

– Przyjrzyj się, Aido. Popatrz jeszcze raz. Dlaczego wysłałaś to mojemu synowi?

– To był taki żart – szepce.

– Żart?

Aida potakuje.

– No wie pani... Czy chciałby tu mieszkać – wyjaśnia niepewnie.

– Nie wierzę ci – stwierdza Simone, zaciskając zęby. – Mów prawdę!

Matka Aidy znowu wstaje i macha ręką.

– Ty, włóczęgo... wynoś się... z mojego domu...

– Dlaczego kłamiesz? – pyta Simone, w końcu napotykając wzrok Aidy.

Dziewczyzna jest uosobieniem smutku.

– Przepraszam – szepce cichutko. – Przepraszam.

Simone wychodząc, wpada na Nickego. Chłopiec stoi w ciemnościach korytarza i pociera oczy.

– Nie mam mocy, jestem beznadziejnym pokémonem.

– Ależ na pewno masz moc – mówi Simone.\

41 CZWARTEK, POŁUDNIE, SIEDEMNASTY GRUDNIA

Kiedy Simone wchodzi do pokoju Kenneta, widzi go siedzącego na łóżku. Jego twarz nabrała nieco kolorów, wygląda, jakby się jej spodziewał. Simone podchodzi do niego, nachyla się i ostrożnie przytyka policzek do jego policzka.

– Wiesz, co mi się śniło, Sikan? – pyta Kennet.

– Nie wiem. – Simone się uśmiecha.

– Śnił mi się mój ojciec.

– Dziadek?

Kennet śmieje się cicho.

– Możesz to sobie wyobrazić? Stał w warsztacie, spocony i szczęśliwy. „Synku mój”, powiedział tylko. Wciąż jeszcze mam w nozdrzach zapach oleju napędowego...

Simone przełyka ślinę. W gardle czuje twardą, bolącą kulę.

– Tatusiu – szepce. – Tato, czy pamiętasz, o czym rozmawialiśmy tuż przed wypadkiem?

Ojciec patrzy na nią z powagą i nagle jakby jakiś żar zapłonął w jego przenikliwym, surowym spojrzeniu. Próbuje się podnieść, ale ruch jest zbyt gwałtowny, i opada z powrotem na poduszki.

– Pomóż mi, Simone – prosi niecierpliwie. – Nie mamy czasu do stracenia, nie mogę tu zostać.

– Pamiętasz, co się stało, tato?

– Pamiętam wszystko.

Przeciąga ręką po oczach, odchrząkuje i wyciąga ręce do Simone.

– Chwyć mnie – zarządza i tym razem, kiedy Simone go przytrzymuje, udaje mu się usiąść prosto i przerzucić nogi przez brzeg łóżka.

– Potrzebne mi moje ubranie.

Simone idzie do szafy i przynosi rzeczy ojca. Klęcząc, zakłada mu na nogi skarpety. W tej samej chwili otwierają się drzwi i w progu staje młody lekarz.

– Muszę stąd wyjść – rzuca opryskliwie Kennet, jeszcze zanim mężczyzna zdąży wejść do pokoju.

Simone podnosi się z klęczek.

– Dzień dobry – wita się i podaje rękę lekarzowi. – Nazywam się Simone Bark.

– Ola Tuvefjäll – przedstawia się lekarz i kiedy odwraca się w stronę Kenneta zapinającego rozpiorek, wygląda na zażenowanego.

– Słuchaj, pan – mówi Kennet i wpycha koszulę do spodni. – Przykro mi, że nie możemy zostać, ale sytuacja jest kryzysowa.

– Nie mogę pana zmusić do pozostania w szpitalu – stwierdza lekarz spokojnie – ale sam pan powinien wiedzieć, że po takim uderzeniu w głowę trzeba być ostrożnym. Może teraz czuje się pan dobrze, ale musi pan sobie zdać sprawę, że powikłania mogą wystąpić za minutę, godzinę, a może dopiero jutro.

Kennet podchodzi do umywalki i ochlapuje twarz zimną wodą.

– Jak już mówiłem, przykro mi – powtarza, prostując się. – Muszę jednak jechać nad ocean.

Lekarz patrzy za nimi zdumiony, gdy śpiesznie idą korytarzem. Simone próbuje opowiedzieć o wizycie u Aidy. Zauważa, że kiedy czekają na windę, Kennet musi oprzeć się o ścianę.

– Dokąd jedziemy? – pyta Simone. Tym razem, wyjątkowo, Kennet nie protestuje, kiedy córka zajmuje miejsce kierowcy. Siada koło niej bez słowa, zapina pasy i drapie się pod bandażem w czoło.

– Musisz mi powiedzieć, dokąd jedziemy – mówi Simone, nie doczekawszy się odpowiedzi. – Którędy?

Ojciec patrzy na nią dziwnie.

– Do oceanu, muszę się zastanowić.

Opiera się o siedzenie, zamyka oczy i milczy przez chwilę. Simone zaczyna dochodzić do wniosku, że popełniła błąd. Jej tata jest

wyraźnie w kiepskim stanie, powinien wrócić do szpitala. Wtem Kennet podnosi powieki i poleca zwięźle:

– Wyjedziesz na Sankt Eriksgatan, przez most i w prawo na Odengatan. Prosto w dół do dworca Östra station, stamtąd pojedziesz Valhallavägen na wschód, aż do Filmhuset²², gdzie skręcisz w Lindarängsvägen. Prowadzi prosto do portu.

– I po co ludziom GPS? – pyta Simone z uśmiechem i przedostaje się na hałaśliwą arterię komunikacyjną Sankt Eriksgatan w kierunku galerii Västermalm.

– Tak się zastanawiam... – odzywa się Kennet w zamyśleniu, ale zaraz milknie.

– Co?

– Zastanawiam się, czy rodzice czegoś się domyślali.

Simone zerka na niego z boku, mijają właśnie kościół Gustawa Wazy. Kątem oka dostrzega długi rząd dzieci w komzach. W dłoniach ściskają świece i powoli wchodzą przed bramę świątyni.

Kennet odchrząkuje:

– Zastanawiam się, czy rodzice domyślali się, czym zajmują się ich pociechy.

– Wymuszenia, napaści, przemoc, groźby – dodaje Simone ze zmęczeniem. – Słoneczka mamusi i tatusia.

Przypomina sobie, jak pojechała do Tensty, do studia tatuażu. Dzieci trzymające dziewczynkę za barierką. Ani trochę się nie bały, wydawały się groźne, niebezpieczne. Myśli o tym, jak Benjamin próbował powstrzymać ją przed podejściem do tego chłopaka na stacji metra. Teraz już rozumie, że to musiał być jeden z nich. Prawdopodobnie należał do tych noszących imiona pokémonów.

– Co się dzieje z ludźmi? – rzuca retorycznie.

– To nie był nieszczęśliwy wypadek, Sixan. Zostałem wepchnięty pod samochód – odpowiada ostro Kennet. – I wiem, kto to zrobił.

– Wepchnięty? Kto...

– Jedno z nich, to było dziecko, dziewczynka.

Trójkąty elektrycznych świeczników lśnią w czarnych oknach Instytutu Filmowego. Drogę pokrywa mokra breja. Simone skręca w Lindarängsvägen. Nad dzielnicą Gärdet wiszą nabrzmiałe, ciężkie chmury, wygląda na to, że wkrótce na spacerujących w okolicy właściciele psów i ich szczęśliwe zwierzęta lunie ulewny deszcz.

Loudden to cypel zaraz na wschód od portu w Sztokholmie. Pod koniec lat dwudziestych XX wieku utworzono tam przystań na prawie sto cystern naftowych. Obszar obejmuje niskie zabudowania przemysłowe, wieżę ciśnień, terminal kontenerowy, podziemny magazyn i nadbrzeża.

Kennet wyciąga zmiętą wizytówkę, którą znalazł w portfelu dziecka.

– Louddsvägen osiemnaście – czyta i gestem daje Simone znać, żeby się zatrzymała. Simone skręca w wyasfaltowany teren ogrodzony wysoką siatką.

– Ostatni kawałek przejdziemy pieszo – mówi, odpinając pas.

Maszerują między gigantycznymi cysternami i widzą wąskie schodki wijące się wokół cylindrycznych budynków. Między zagięte i zespawane metalowe elementy mocowań i poręczy wżera się rdza. Zaczął padać zimny deszcz. Krople uderzają o metal. Razem z wodą odpryskują zardzewiałe kawałki i warstwy brudu. Wkrótce zapadnie zmrok, a wtedy to już nic nie będzie widać. Między cysternami a żółtymi, czerwonymi i niebieskimi kontenerami poustawianymi jeden na drugim powstały wąskie alejki. Nigdzie nie ma latarni, są tu tylko zbiorniki, nadbrzeża załadunkowe, niskie baraki biur, a bliżej wody proste zabudowania z dźwigami, rampami i suchymi dokami. Brudny ford pick-up stoi zaparkowany przed niewielką szopą na rogu rozległego magazynu z blachy falistej. Na ciemnej szybie szopki naklejono napis, teraz na wpół zdrapany: „Ocean”. Mniejsze literki poniżej ktoś zeskrobał, ale wciąż jeszcze w kurzu da się odczytać słowa: klub nurkowy. Przy drzwiach wisi ciężki rygiel.

Kennet odczekuje chwilę, nasłuchuje, a następnie ostrożnie

otwiera drzwi. W małym biurze panuje ciemność. Jedyne sprzęty to biurko, kilka rozkładanych krzeseł z plastikowymi siedzeniami i zardzewiałe butle tlenowe. Na ścianie wisi odkształcony plakat z egzotycznymi rybami w szmaragdowozielonej wodzie. Nie ma wątpliwości, że klub nurkowy już tu nie działa. Może go zlikwidowano, zbankrutował albo przeniósł się w inne miejsce.

Coś brzęczy za kratką wentylatora, stukają wewnętrzne drzwi. Kennet przykładając palec do warg. Słysząc wyraźne kroki. Szybko idą w tamtym kierunku, otwierają i zagląдают do magazynu. Ktoś biegnie w ciemnościach. Simone próbuje cokolwiek dostrzec. Kennet schodzi stalowymi schodami, podejmuje pościg, ale nagle wydaje z siebie rozdzierający krzyk.

– Tato?! – woła Simone.

Nie widzi go, ale słyszy jego głos. Klnie i uprzedza ją głośno, żeby szła ostrożnie.

– Rozciągnęli drut kolczasty.

Słysząc metaliczny dźwięk na betonowej podłodze. Kennet rzucił się znów w pogoń. Simone rusza za nim, przekracza drut, podąża w głąb wielkiego pomieszczenia. Powietrze jest zimne i wilgotne. Panuje ciemność, trudno się zorientować w przestrzeni. W oddali słysząc szybkie kroki.

Światło reflektora z dźwigu kontenerowego wpada przez brudne okno. Simone zauważa kogoś przy wózku widłowym. To chłopiec w szarej masce z płótna albo kartonu. W ręku trzyma żelazny pręt, przebiera nogami i kuli się.

Kennet zbliża się do niego, szybkim krokiem idzie wzdłuż półek.

– Za wózkiem! – ostrzega Simone.

Chłopiec w masce rzuca się do przodu i ciska rurą w Kenneta. Pręt przecina powietrze i przelatuje tuż nad jego głową.

– Poczekaj, chcemy z tobą tylko porozmawiać! – woła Kennet.

Chłopak otwiera stalowe drzwi i wybiega. Słysząc łoskot, do środka wpada światło. Kennet jest już przy drzwiach.

– Uciekł – sapie.

Simone idzie za nim, wychodzi, ale upada na oślizgłym pomoście. Czuje fetor śmieci. Wstaje i widzi, jak ojciec biegnie wzdłuż nabrzeża. Śnieżna maź sprawia, że ziemia jest śliska, i kiedy Simone rusza w pogoń, niewiele brakuje, żeby wpadła do wody. Biegając, widzi przed sobą dwie postacie, a jednocześnie otchłań obok. Czarna, na wpół zamarznięta lodowa breja uderza o brzeg.

Wie, że jeśli poślizgnęłaby się i spadła, to nie upłynęłoby wiele czasu, a lodowata woda sparaliżowałaby ją tak, że poszłaby na dno jak kamień, w grubym płaszczu i kozakach pełnych czarnej wody.

Przychodzi jej na myśl ta dziennikarka, którą zamordowano razem z przyjaciółką, kiedy jechały nabrzeżem. Samochód zatonął jak więcierz na ryby, a na dnie pochłonał go szlam. Cats Falk, tak się nazywała, przelatuje jej przez głowę.

Jest zdyszana, trzęsie się ze stresu i z wysiłku. Plecy ma przemoczone.

Wygląda na to, że Kennet zgubił chłopca. Stoi zgięty wpół i czeka na nią. Bandaż na głowie mu się poluzował, ojciec ciężko oddycha ze zmęczenia. Z nosa płynie mu strużka krwi, coś świszcze w płucach. Na ziemi leży rozmiękła od deszczu maska z tektury. Poryw wiatru podrzuca ją w górę i strąca do wody.

– Kurwa mać jebana – sapie Kennet, kiedy Simone podchodzi do niego.

Kierują się z powrotem do środka. Wokół zapada zmrok. Deszcz ustał, ale za to zaczęło mocno wiać. Wiatr wyje wśród blaszanych budynków. Przechodzą obok długiego suchego doku, z dołu dobiega ponury, jednostajny śpiew wichru. Na zardzewiałych łańcuchach wisi opona od traktora, pełniąc funkcję trapu. Simone spogląda w głąb ogromnej, wysadzonej w skale dziury. Gigantyczny basen bez wody, nierówne kamienne ściany wzmocnione betonem i zbrojone stalowymi prętami. Pięćdziesiąt metrów niżej widać betonową podłogę z wielkimi wspornikami.

Brezentowa płachta powiewa na wietrze, a światło dźwigu migocze na pionowych ścianach doku. Simone nagle dostrzega

postać kryjącą się za jednym z betonowych słupów na samym dole.

Kennet widzi, że córka przystanęła, i odwraca się do niej, unosząc brwi. Simone bez słowa wskazuje w głąb suchego doku.

Skulona figurka usuwa się z kręgu światła.

Kennet i Simone rzucają się w stronę wąskich schodków przy ścianie. Postać zrywa się do biegu w stronę czegoś, co wygląda na bramę. Kennet trzyma się barierki, zbiega po stromych schodkach, potyka się, ale szybko odzyskuje równowagę. Otacza ich ciężka i ostra woń metalu, rdzy i deszczu. Biegną dalej. Kroki odbijają się echem w głąbi doku. Na dnie jest mokro, Simone marznie. Czuje, jak zimna woda wlewa jej się do butów.

– Gdzie on się podział?! – woła.

Kennet śpiesznie przechodzi między wspornikami mającymi na celu utrzymanie statku na miejscu po wypompowaniu wody. Pokazuje jej miejsce, w którym zniknął chłopak. Nie ma tam drzwi, jak im się zdawało, tylko pewnego rodzaju wentylator. Kennet zagląda do środka, lecz niczego nie widzi. Jest zdyszany, ociera z potu czoło i szyję.

– Wyłaż – sapie. – Dość już tego.

Z otworu dobiega rytmiczne zgrzytanie. Kennet próbuje wczłogać się do wentylatora.

– Tato, bądź ostrożny.

Coś trzaska, po chwili wrota śluzę zaczynają skrzypieć. Nagle słychać ogłuszający syk i Simone zdaje sobie sprawę, co się dzieje.

– Wpuszcza wodę! – woła.

– Tu jest drabina! – odkrzykuje Kennet.

Pod potwornym ciśnieniem, przez minimalną szczelinę we wrotach do wnętrza suchego doku tryskają cienkie strużki lodowatej wody. Metaliczne trzaski nie cichną, wrota rozwierają się jeszcze bardziej. Woda wdiera się do środka. Simone rzuca się w stronę schodów, walczy z głęboką po kolana, paraliżująco zimną kipiela. Światło dźwigu drga na chropowatych ścianach. Rwący prąd tworzy wiry, ciągnie ją w tył. Simone wpada na metalowe

okucie i czuje, jak noga cierpieć jej z bólu. Kaskady czarnej wody wpadają z łoskotem. Bliska płaczu dociera do stromych schodków i zaczyna się po nich wspinać. Po kilku krokach odwraca się. W ciemnościach nie może dojrzeć ojca. Woda zalała otwór wentylacyjny. Słysząc rozdzierające trzaski. Simone trzęsie się, ale przebiega do góry. Oddech pali w płucach. Huk szalejącej wody powoli się uspokaja. Wrota zamykają się i napływ ustaje. Simone nie ma czucia w ręce, którą trzyma się metalowej barierki. Ubranie ciąży, opina uda. Wydostaje się na powierzchnię i widzi Kenneta po drugiej stronie doku. Macha do niej i prowadzi jakiegoś chłopca w stronę starego klubu nurkowego.

Simone jest przemoczona, dłonie i stopy ma zmarznięte na kość. Czeka ją przy samochodzie. Wzrok Kenneta jest dziwny, nieobecny. Chłopiec stoi ze zwieszoną głową.

– Gdzie Benjamin?! – krzyczy Simone z daleka.

Chłopak nic nie mówi, Simone chwyta go za ramiona i odwraca. Na widok jego twarzy jest tak zaskoczona, że z ust wyrzywa jej się jęk.

Jego nos został odcięty.

Rana wygląda, jakby ktoś próbował ją zaszyć, ale w pośpiechu, bez wiedzy medycznej. Wzrok chłopca jest apatyczny. Wiatr wyje, wszyscy troje idą do samochodu, gdzie Simone uruchamia silnik, żeby ogrzać wnętrze. Szyby w krótkim czasie pokrywa para. Znalazła trochę czekolady, częstuje nią chłopca. W samochodzie panuje zupełna cisza.

– Gdzie jest Benjamin? – pyta Kennet.

Chłopak wbija wzrok w kolana. Gryzie czekoladę i przełyka z trudem.

– Opowiesz nam teraz wszystko, słyszysz? Biliście inne dzieci, zabieraliście im pieniądze.

– Mnie nie ma, skończyłem – odpowiada szeptem chłopiec.

– Dlaczego dręczyliście inne dzieci? – pyta Kennet.

– Tak wyszło, kiedy my...

- Wyszło? Gdzie pozostali?
- Nie wiem, skąd miałbym wiedzieć, może teraz mają inną bandę
- odpowiada chłopak. - Z tego co wiem, Jerker ma.
- Jesteś Wailordem?
- Usta chłopca drżą.
- Skończyłem z tym - mówi cicho. - Słowo daję, że skończyłem.
- Gdzie jest Benjamin? - pyta przenikliwym głosem Simone.
- Nie wiem - odpowiada szybko chłopak. - Już nigdy nie zrobię mu nic złego, obiecuję.
- Posłuchaj mnie - ciągnie Simone. - Jestem jego mamą, muszę wiedzieć.
- Przerywa jej zachowanie chłopca, który zaczyna kiwać się w przód i w tył, płacze przy tym przejmująco i powtarza:
- Obiecuję, obiecuję... Obiecuję... Obiecuję...
- Kennet kładzie rękę na ramieniu Simone.
- Musimy zawieźć go do szpitala - mówi. - On potrzebuje pomocy.

42 CZWARTEK WIECZOREM, SIEDEMNASTY GRUDNIA

Kennet wysadził Simone na skrzyżowaniu Odengatan i Sveavägen, a sam pojechał do Szpitala Dziecięcego imienia Astrid Lindgren.

Chłopiec został natychmiast przebadany i lekarz postanowił zostawić go na leczenie i obserwację. Mały pacjent cierpiał z powodu odwodnienia i niedożywienia, na ciele miał zainfekowane rany i niegroźne odmrożenia palców u dłoni i stóp. Chłopiec, który nadał sobie imię Wailorda, tak naprawdę nazywał się Birk Jansson i mieszkał u rodziny zastępczej w Husby. Zaangażowano opiekę społeczną i skontaktowano się z opiekunami dziecka. Kiedy Kennet miał już wychodzić, Birk zaczął płakać i powiedział, że nie chce zostać sam.

– Proszę, niech pan zostanie – wyszeptał, zasłaniając nos ręką.

Kennet czuł ciężkie bicie serca, jak uderzenia młota. Wciąż jeszcze z nosa leciała mu krew po pogoni, ale zatrzymał się w drzwiach.

– Mogę z tobą poczekać, Birk, ale pod jednym warunkiem – zastrzegł.

Usiadł na zielonym krześle obok chłopca.

– Musisz mi opowiedzieć o Benjaminie i jego zaginięciu.

Kennet siedział przy Birku, czując narastające zawroty głowy, i podczas dwóch godzin oczekiwania na pracownicę socjalną próbował skłonić go do mówienia. Jednak jedyne, czego się dowiedział, to to, że ktoś tak mocno go nastraszył, że przestał dręczyć Benjaminą. Wyglądało na to, że nawet nie wiedział o porwaniu.

Wychodząc, Kennet usłyszał jeszcze, jak pracownica socjalna dyskutuje z psychologiem o umieszczeniu Birka w poprawczaku

Lövsta w Sörmlandii.

Z samochodu Kennet dzwoni do Simone, żeby się dowiedzieć, czy dotarła bezpiecznie do domu. Córnka odpowiada, że zdrzemnęła się chwilę, a teraz zastanawia się, czy nie nalać sobie grappy.

– Jadę porozmawiać z Aidą – oświadcza Kennet.

– Zapytaj ją o to zdjęcie trawnika i płotu. Coś z nim jest nie tak.

Kennet parkuje w Sundbybergu na tym samym miejscu co poprzednim razem, niedaleko budki z hot dogami. Jest zimno, a kiedy otwiera drzwi samochodu, na fotel kierowcy opada kilka płatków śniegu. Od razu zauważa Aidę i Nickego. Dziewczyna siedzi za domem na ławce na wyasfaltowanym chodniku prowadzącym do wąskiej odnogi jeziora Ulvsundasjön. Obserwuje brata. Nicke coś jej pokazuje, wygląda to tak, jakby wypuszczał z rąk na ziemię jakiś przedmiot i potem znów go łapał. Kennet stoi chwilę bez ruchu i przygląda się. Sposób, w jaki się do siebie garną, mówi wiele o samotności i opuszczeniu tych dzieci. Dochodzi szósta po południu, w oddali, między domami, smugi światła miasta odbijają się w ciemnej tafli jeziora.

Kennetowi kręci się w głowie, na chwilę zamazuje mu się obraz. Ostrożnie przekracza śliską ulicę i idzie przez zmrożony trawnik w stronę jeziora.

– Cześć – wita się.

Nicke podnosi wzrok.

– To ty! – woła, podbiega i obejmuje Kenneta. – Aida – mówi podekscytowany – to on, ten taki stary!

Dziewczyna obdarza brata bladym, niespokojnym uśmiechem. Czubek nosa ma czerwony od mrozu.

– Benjamin? Znaleźliście go?

– Nie, jeszcze nie – odpowiada Kennet, podczas gdy Nicke trzyma go w uścisku i podskakuje.

– Aida! – woła Nicke – On jest taki stary, że zabrali mu pistolet...

Kennet siada na ławce obok dziewczyny. Otaczają ich gęste, ciemne kępy bezlistnych drzew.

– Przyszedłem wam powiedzieć, że Wailord jest już pod odpowiednią opieką.

Aida patrzy na niego sceptycznie.

– Pozostali są zidentyfikowani – ciągnie Kennet. – Było pięcioro „pokémonów”, tak? Birk Jansson wyznał wszystko, ale nie ma nic wspólnego ze zniknięciem Benjamina.

Nicke zamarł na te słowa. Stoi teraz z otwartymi ustami.

– Pokonałeś Wailorda? – pyta.

– Ano tak – odpowiada twardo Kennet. – Nie ma go.

Nicke zaczyna tańczyć na chodniku. Jego potężne ciało paruje z gorąca w zimnym powietrzu. Nagle zatrzymuje się i przygląda się Kennetowi:

– Jesteś najsilniejszym pokémonem, jesteś Pikachú! Jesteś Pikachú!

Nicke z radości obejmuje Kenneta, a Aida śmieje się, zaskoczona.

– A Benjamin? – pyta.

– To nie oni go porwali, Aido. Może narobili mnóstwo głupot, ale nie zabrali Benjamina.

– To muszą być oni, muszą.

– Nie wydaje mi się – stwierdza Kennet.

– Ale...

Kennet wyjmuje wydruk z komputera Benjamina. Zdjęcie, które wysłała Aida.

– Musisz mi powiedzieć, co to za miejsce – mówi przyjaźnie, ale surowo.

Dziewczyna blednie i kręci głową.

– Obiecałam – mówi cicho.

– Żadne obietnice nie obowiązują przy zagrożeniu życia, rozumiesz?

Ale Aida zaciska wargi i odwraca twarz.

Nicke podchodzi i zerka na kartkę.

– To jego mama mu to dała – oznajmia wesoło.

– Nicke!

Aida patrzy ze złością na brata.

– Ale przecież tak było – broni się z oburzeniem chłopak.

– Kiedy się nauczysz trzymać język za zębami?

Kennet ucisza ich.

– Siřan dała mu to zdjęcie? Co masz na myśli, Nicke?

Ale Nicke patrzy lękliwie na Aidę, jakby szukał przyzwolenia na odpowiedź. Dziewczyna kręci głową. Kennet czuje ból w miejscu uderzenia, silne, uporczywe pulsowanie.

– Odpowiedz mi zaraz, Aido – mówi, siląc się na spokój. – Przysięgam ci, że w tym przypadku milczenie jest błędem.

– Ale zdjęcie nie ma z tym nic wspólnego – odpowiada udręczona.

– Dałam Benjaminowi słowo, że nikomu nie powiem, cokolwiek by się działo.

– Masz mi powiedzieć, co przedstawia to zdjęcie!

Kennet słyszy grzmiące między domami echo swojego głosu. Nicke ma smutną i przestraszoną minę. Aida z uporem zaciska usta jeszcze mocniej. Kennet zmusza się do opanowania nerwów. Zdaje sobie sprawę, jak niestabilnie brzmi jego głos, kiedy próbuje wytłumaczyć:

– Aido, posłuchaj mnie dobrze. Benjamin umrze, jeśli go nie znajdziemy. Jest moim jedynym wnukiem. Nie mogę pozwolić sobie na pominięcie jakiegokolwiek tropu, bez zbadania go.

Zapada cisza. Po chwili Aida odwraca się w jego stronę i mówi zrezygnowana, na skraju płaczu:

– Nicke powiedział prawdę.

Przełyka ślinę i dodaje:

– Dostał to zdjęcie od swojej mamy.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

Kennet patrzy na Nickego, który gorliwie potakuje.

– Nie Simone – ciągnie Aida. – Tylko jego prawdziwej mamy.

Kennet czuje falę mdłości i intensywny ból w klatce piersiowej. Próbuje wziąć kilka głębokich oddechów. Słyszy, jak serce bije mu ciężko i mocno. Już myśli, że to zawał, kiedy ból mija.

– Jego prawdziwej mamy? – powtarza.

– Tak.

Aida wyjmuje z plecaka paczkę papierosów, ale nim zdąży zapalić, Kennet łagodnie odbiera jej pudełko.

– Nie wolno ci palić – mówi.

– Dlaczego?

– Nie masz jeszcze osiemnastu lat.

Dziewczyna wzrusza ramionami.

– Okej, i tak mi wszystko jedno – stwierdza krótko.

– Dobrze – mówi Kennet, czując nieprawdopodobną ociążałość myśli.

Szuka w pamięci wspomnień z porodu Benjamina. Migają mu obrazy: twarz Simone, czerwona od płaczu po poronieniu, a potem ten czerwiec, kiedy chodziła ubrana w kwiecistą suknię wielką jak namiot, była wtedy w zaawansowanej ciąży. Odwiedził ich na porodówce, pokazała mu szkraba. „Oto szkrab – powiedziała drżącymi wargami. – Będzie miał na imię Benjamin, dziecko szczęścia”.

Kennet pociera mocno oczy, drapie się pod bandażem i pyta:

– A jak nazywa się jego... prawdziwa mama?

Aida spogląda na jezioro.

– Nie wiem – odpowiada bezbarwnym głosem. – Naprawdę. Ale powiedziała Benjaminowi, jak on ma naprawdę na imię. Cały czas mówiła do niego Kasper. Była miła, czekała na niego zawsze pod szkołą, pomagała odrabiać zadanie i wydaje mi się, że dostawał od niej pieniądze. Była smutna, że została zmuszona do oddania go.

Kennet unosi zdjęcie.

– A to, co to jest?

Aida rzuca okiem na wydruk.

– Grób rodzinny. Grób prawdziwej rodziny Benjamina, leżą w nim jego krewni.

43 CZWARTEK WIECZOREM, SIEDEMNASTY GRUDNIA

Tych kilka jasnych godzin dnia już minęło i ciemności nocy z powrotem ogarnęły miasto. Gwiazdy adwentowe lśnią niemal we wszystkich oknach po drugiej stronie ulicy. Ze stojącej na stoliku koniakówki z włoską grappą dobywa się intensywny aromat winogron. Simone siedzi na parkiecie i przegląda szkice. Po tym jak ojciec wysadził ją na skrzyżowaniu między Sveavägen a Odengatan, poszła do domu, zdjęła mokre ubranie, owinęła się kocem i położyła. Zasnęła na kanapie i zbudził ją dopiero telefon Kenneta. Potem przyszedł Sim Shulman.

Teraz Simone siedzi na podłodze w samej bieliźnie, pije grappę, aż ją pali w żołądku, i układa w rzędzie rysunki. Cztery arkusze papieru w linie przedstawiające instalację artystyczną, którą zaplanował do galerii sztuki w Tenście.

Shulman, chodząc po pokoju, rozmawia przez komórkę z kuratorem wystawy. Skrzywienie parkietu pod jego stopami cichnie nagle. Simone zauważa, że ustawił się tak, by móc patrzeć jej między nogi. Czuje to wyraźnie. Składa szkice, bierze kieliszek do ręki, udaje, że nie zwraca na niego uwagi. Rozchyła nieco uda i wyobraża sobie, jak jego palący wzrok wdziera się do środka. Mężczyzna mówi teraz wolniej, chce zakończyć rozmowę. Simone kładzie się na plecach i zamyka oczy. Czeka na niego, czuje mrowienie gorąca w podbrzuszu, napływ krwi i ogarniającą ją rozkosz. Shulman przestał mówić. Zbliża się, Simone nie otwiera oczu, rozchyła nogi. Słyszy dźwięk rozpinanego rozporoka. Nagle na biodrach czuje jego ręce. Sim przewraca ją na brzuch, podciąga na kolana, zsuwa majtki i wchodzi w nią od tyłu. Simone nie jest jeszcze gotowa. Widzi przed sobą własne dłonie z rozczapierzonymi

na parkiecie podłogi palcami. Paznokcie, żyły. Zapiera się, żeby nie upaść od rytmicznych pchnięć, silnych i egoistycznych. Ciężki zapach grappy przyprawia ją o mdłości. Chciałaby prosić Shulmana, żeby przestał, zrobił to inaczej, chciałaby zacząć od nowa w sypialni, razem, prawdziwie. Mężczyzna wzdycha ciężko i szybko dochodzi do orgazmu. Po wszystkim idzie do łazienki. Simone podciąga majtki, ale nie wstaje z podłogi. Ogarnia ją powoli dziwna bezsilność, która gasi myśli, nadzieję, radość. Nie obchodzi jej już nic, co nie ma związku z Benjaminem.

Dopiero kiedy Shulman wychodzi spod prysznic z ręcznikiem na biodrach, Simone się podnosi. Kolana ma obolałe, próbuje się uśmiechnąć, mijając go, i zamyka za sobą drzwi do łazienki. Kiedy staje pod prysznicem, czuje pieczenie pochwy. Jednocześnie ze strumieniem ciepłej wody, który moczy jej włosy, spływa po karku, ramionach i plecach, zalewa ją potworne uczucie osamotnienia. Dokładnie namydla się i szoruje, dokładnie płucae, długo nadstawia twarz pod miękkie strumień wody.

Przez szum spadających kropeł docierają do niej metaliczne uderzenia, po chwili uświadamia sobie, że to pukanie do drzwi łazienki.

- Simone! – woła Shulman. – Twój telefon dzwoni.
- Co?
- Twój telefon.
- Odbierz – odpowiada, zakręcając wodę.
- Teraz jeszcze ktoś się dobija do drzwi!
- Idę już.

Wyjmuje z szafy świeże prześcieradło kąpielowe i wyciera się. Łazienkę wypełnia ciepła para. Bielizna Simone leży na wilgotnych płytkach posadzki. Powierzchnię lustra pokrywa mgiełka, widzi siebie jak szarego ducha bez rysów twarzy, postać z gliny. Wentylator za kratką w ścianie dziwnie szumi. Simone nie wie, dlaczego zmysły ma wyostrzone, jakby groziło jej wielkie niebezpieczeństwo. Z jakiegoś powodu ostrożnie, bezgłośnie otwiera

drzwi łazienki i wygląda na korytarz. Coś jest nie w porządku. Zastanawia się, czy Shulman sobie poszedł, ale boi się zawołać.

Nagle słyszy prowadzoną szeptem rozmowę. Może to z kuchni, myśli. Próbuje stłumić to narastające uczucie strachu, ale bezskutecznie. Podłoga skrzypi, w szczelinie pod drzwiami do łazienki widzi, jak ktoś szybko przecina korytarz. To nie Shulman, ktoś znacznie mniejszy, kobieta w rozciągniętym dresie. Postać wraca, a Simone nie ma czasu się ukryć. Ich wzrok spotyka się w wąskiej szparze drzwi, kobieta sztywnieje, a jej oczy rozszerzają się ze strachu. Potrząsa szybko głową w stronę Simone i idzie dalej do kuchni. Jej tenisówki zostawiają na podłodze krwawe ślady. Simone ogarniają panika i przerażenie. Serce wali jej jak oszalałe, wie, że musi wydostać się z mieszkania, byle dalej. Otwiera drzwi łazienki i wymyka się na korytarz, w stronę holu. Stara się poruszać bezszelestnie, ale słyszy własny oddech i skrzypienie podłogi pod swoim ciężarem.

Ktoś mówi sam do siebie, grzebiąc w szufladzie ze sztućcami, które brzęczą i zgrzytają metalicznie.

W ciemności Simone dostrzega na podłodze coś dużego i wygiętego. Dopiero po chwili zdaje sobie sprawę, przed czym stoi. Shulman leży na plecach przy drzwiach wejściowych. Z rany na szyi słabymi, rytmicznymi kaskadami wypływa krew. Ciemnoczerwona kałuża zakrywa niemal całą podłogę. Shulman ma wzrok wlepiony w sufit, powieki mu drżą. Usta są otwarte i bezwładne. Przy ręce, wśród butów na wycieraczkę, leży jej komórka. Simone myśli, że musi ją zabrać, wybiec z mieszkania, zawiadomić policję i wezwać karetkę. Dziwi ją, że nie miała ochoty krzyknąć na widok Shulmana. Może powinnam coś powiedzieć, myśli, lecz nagle słyszy kroki w korytarzu. Pojawia się znowu ta młoda kobieta, cała się trzęsie, przygryza wargi i próbuje zachować spokój.

- Nie damy rady wyjść, drzwi są zamknięte na klucz – szepce.
- Kto...
- Mój młodszy brat – przerywa.

– Ale dlaczego...

– Myśli, że zabił Erika, nie widział, wydaje mu się...

W kuchni z głośnym hukiem spada na podłogę szuflada.

– Evelyn? Co ty tam robisz?! – woła Josef Ek. – Przyjdiesz tu wreszcie?

– Schowaj się – szepce kobieta.

– Gdzie klucze? – pyta Simone.

– Ma je w kuchni – odpowiada Evelyn i biegnie z powrotem.

Simone przemyka się wąskim przejściem do pokoju Benjamina, ciężko dyszy, próbuje zamknąć usta, ale brakuje jej powietrza. Podłoga skrzypi pod jej stopami, ale Josef Ek mówi coś cały czas podniesionym głosem i zdaje się niczego nie zauważać. Simone podchodzi do komputera syna i włącza go, przeslizgując się do łazienki, słyszy, jak wentylatorek zaczyna trzeszczeć i szumieć, a kiedy chowa się za drzwiami, rozlega się powitalna melodia systemu.

Z sercem bijącym jak oszalałe oczekuje kilka sekund, wychodzi z łazienki, rozgląda się w pustym korytarzu i szybko przechodzi do kuchni. Podłogę pokrywają rozrzucone sztucce i krwawe odciski stóp.

Słyszy, jak rodzeństwo buszuje w pokoju Benjamina. Josef klnie, jakieś książki spadają na podłogę.

– Sprawdź pod łóżkiem – woła Evelyn przestraszonym głosem.

Łupnięcie, wali się sterta mang, Josef syczy wściekle, że nikogo tam nie ma.

– Pomóż – mówi.

– W szafie? – podrzuca Evelyn.

– Co to, kurwa?! – wrzeszczy Josef.

Klucz do drzwi leży na dębowym stole, Simone chwytą go i jak najciszej biegnie do drzwi.

– Josef, czekaj, może w drugiej szafie! – Dobiega ją wołanie Evelyn.

Brzęk tłuczonego szkła i ciężkie kroki na korytarzu.

Simone przekracza ciało Shulmana. Końcówki jego palców poruszają się słabo. Wtyka klucz do zamka. Ręka jej się trzęsie.

– Josef! – krzyczy z desperacją Evelyn. – Sprawdź w sypialni! Wydaje mi się, że jest w sypialni!

Simone obraca klucz i słyszy kliknięcie mechanizmu, w tej samej chwili, w której Josef wpada do holu i wlepia w nią wzrok. W płucach rzezi mu i charczy. Simone po omacku próbuje przekręcić gałkę zamka, jej dłoń się ślizga, w końcu jej się udaje. Josef trzyma w ręku nóż do mięsa. Waha się, po chwili szybkim krokiem rusza w jej stronę. Simone tak się trzęsie, że nie jest w stanie otworzyć drzwi. Młoda kobieta wpada do holu, rzuca się na nogi Josefa, próbuje go zatrzymać, krzyczy, żeby zaczekał. Josef, nie patrząc, odgania ją nożem, raniąc w głowę. Dziewczyna kwili, jej brat idzie dalej, Evelyn puszcza jego nogi. Simone udaje się otworzyć drzwi, potyka się i wypada na klatkę, ręcznik zsuwa się z niej, Josef jest coraz bliżej, ale staje i przygląda się jej nagiemu ciału. Simone widzi, jak za jego plecami Evelyn nurza rękę we krwi Shulmana na podłodze. Wciera ją sobie w twarz, szycję i zwała się na podłogę.

– Josef, krwawię! – krzyczy. – Kochanie...

Kaszle i milknie, leży na plecach, jak martwa. Josef odwraca się w jej stronę, widzi zakrwawione ciało.

– Evelyn? – woła lękliwie.

Wraca do środka, a kiedy pochyla się nad nią, Simone dostrzega w jej ręku błysk noża, który wystrzeliwuje niczym z prymitywnej pułapki. Ostrze z wielką siłą trafia między żebra Josefa, jego ciało się rozluźnia. Przechyla głowę, przewraca się na bok i nieruchomieje.

44 PIĄTEK Wczesnym rankiem, OSIEMNASTY GRUDNIA

Kennet przechodzi obok dwóch dyskutujących szeptem policjantek na korytarzu szpitala Danderyd. W pokoju za ich plecami widzi dziewczynę, która siedzi na krześle ze wzrokiem wbitym w przestrzeń. Jej twarz umazana jest krwią, włosy posklejane są zaschniętą posoką. Czarne skrzepy pokrywają białą szyję i klatkę piersiową. Dziewczyna trzyma stopy skierowane nieco do wewnątrz, dziecinnie i nieświadomie. Kennet domyśla się, że to Evelyn Ek, siostra seryjnego mordercy Josefa Eka. Jakby czytając mu w myślach, Evelyn podnosi wzrok i patrzy wprost na niego. Jej oczy wyrażają taką osobliwą mieszankę uczuć – bólu i szoku, żalu i triumfu – że to aż prawie obsceniczne. Kennet instynktownie odwraca twarz, mając wrażenie, że naruszył czyjąś intymność, tabu. Przechodzi go dreszcz, prędko powtarza sobie, jak to dobrze, że jest na emeryturze, że nie musi być tym, który wejdzie do tego pokoju, wysunie krzesło i usiądzie, by przesłuchać Evelyn Ek. Żaden człowiek nie powinien być zmuszony do niesienia przez życie takiego ciężaru, jak to, co ta kobieta ma do powiedzenia o dojrzewaniu z Josefem Ekiem.

Przed drzwiami pokoju Simone stoi umundurowany policjant o poszarzałej, podłużnej twarzy. Kennet zna go z lat swojej służby, ale nie odnajduje w pamięci jego imienia.

- Kennet – odzywa się mężczyzna. – Wszystko dobrze?
- Niestety nie.
- No tak.

Kennet nagle sobie przypomina. Reine – tak się nazywa, jego żona zmarła nagle zaraz po urodzeniu pierwszego dziecka.

- Reine – mówi Kennet. – Wiesz, w jaki sposób Josef dostał się

do siostry?

- Wygląda na to, że go po prostu wpuściła.
- Dobrowolnie?
- Nie do końca.

Reine relacjonuje, co mu opowiedziała Evelyn. Zbudziła się w środku nocy, podeszła do drzwi i przez judasza zobaczyła policjanta, Olę Jacobssona, który siedział na schodach i drzemał. Przy zmianie warty słyszała, jak opowiadał koledze, że ma małe dzieci. Nie chciała go budzić, wróciła więc na sofę i jeszcze raz przejrzała zdjęcia w albumie, który Josef włożył do kartonu z jej rzeczami. Fotografie były niezrozumiałymi migawkami z życia, które dawno minęło. Odłożyła zdjęcia z powrotem do pudła i zaczęła się zastanawiać nad możliwością zmiany nazwiska i wyjazdu za granicę. Kiedy podeszła do okna i wyjrzała na ulicę przez żaluzje, wydało jej się, że widzi kogoś na chodniku. Szybko cofnęła głowę, odczekała chwilę i znów wyjrzała na zewnątrz. Padał gęsty śnieg i nie była już w stanie nikogo dojrzeć. Latarnia wisząca między domami huśtała się na wietrze. Evelyn ścierpła skóra, podeszła na palcach do drzwi i przyłożyła ucho do drewna. Miała wrażenie, jakby ktoś stał zaraz za drzwiami. Wokół Josefa roztaczał się specyficzny zapach. Zapach wściekłości, palonych chemikaliów. Evelyn zdało się nagle, że czuje ten odór, może go sobie tylko wmówiła, ale stała pod drzwiami, bojąc się zerknąć przez wizjer.

Po chwili nachyliła się i wyszeptała:

- Josef?

Po drugiej stronie panowała cisza. Już miała wrócić do pokoju, kiedy usłyszała jego szept:

- Otwieraj.

Starając się zapanować nad głosem, odpowiedziała:

- Dobrze.
- Myślałaś, że się wywiniesz?
- Nie – szepnęła.
- Masz robić, co ci każę.

- Nie mogę...
- Wyjrzyj przez judasza - przerwał jej.
- Nie chcę.
- Zrób to.

Drżąc na całym ciele, oparła się o drzwi. Przez szeroki ką soczewki zobaczyła klatkę schodową. Policjant, który zasnął na schodach, nadal tam był, ale teraz wokół niego rozlewała się ciemna kałuża krwi. Oczy miał zamknięte, ale jeszcze oddychał. Evelyn widziała Josefa ukrywającego się na skraju okrągłego obrazu w wizjerze. Przyciskał plecy do ściany, ale po chwili skoczył i uderzył mocno dłonią w soczewkę. Evelyn rzuciła się w tył i potknęła na swoich butach w przedpokoju.

- Otwieraj - powtórzył. - Bo inaczej zabiję policjanta, zadzwonię do sąsiadów i też ich zabiję. Zacznę od tych drzwi, tu obok.

Evelyn załamała się, nie miała już siły. Cała nadzieja zgasła, kiedy rozum wypowiedział jej, że nigdy nie uwolni się od Josefa. Drżącymi rękami otworzyła drzwi i wpuściła młodszego brata. Jedyłą jej myślą było, że wolałaby sama umrzeć, niż pozwolić mu znów kogoś zamordować.

Reine opisuje przebieg zdarzeń jak najdokładniej, opierając się na tym, czego się dowiedział. Przypuszcza, że Evelyn chciała pomóc rannemu policjantowi i zapobiec kolejnym zabójstwom, i dlatego otworzyła.

- Jacobsson się wyliże - stwierdza. - Uratowała go, słuchając brata.

Kennet potrząsa głową.

- Co to się dzieje z tymi ludźmi...

Reine drapie się w czoło. Widać, że jest zmęczony.

- Uratowała życie twojej córki - mówi.

Kennet puka delikatnie do drzwi pokoju Simone i po chwili uchyla je. Zastony są zaciągnięte, światła pogaszone. Wpatruje się w ciemność. Na sofie dostrzega jakiś kształt, który mógłby być jego córką.

– Simone? – pyta cicho.

– Tu jestem, tato.

Głos dobiega z kanapy.

– Chcesz, żeby było tak ciemno? Mam zapalić światło?

– Nie mam siły, tato – szepce Simone. – Nie mam siły.

Kennet na palcach przechodzi przez pokój, siada na sofie i obejmuje córkę. Simone zaczyna szlochać, głośno i rozpaczliwie.

– Raz – szepce Kennet, głaszcząc ją – kiedy mijałem z patrolem twoje przedszkole, zobaczyłem cię tam na podwórku. Zwrócona byłaś twarzą do ogrodzenia i płakałaś. Ciekło ci z nosa, byłaś mokra i brudna, a żaden z pracowników nie zrobił nic, żeby cię pocieszyć. Stali i rozmawiali ze sobą, kompletnie obojętni.

– I co zrobiłeś? – pyta szeptem Simone.

– Zatrzymałem samochód i podszedłem do ciebie.

Kennet uśmiecha się w ciemnościach.

– W jednej chwili przestałaś płakać, wzięłaś mnie za rękę i poszłaś ze mną.

Milknie.

– Pomyśl, gdybym tak teraz mógł wziąć cię za rękę i pójść z tobą do domu.

Simone kiwa głową, opiera się o jego ramię i pyta:

– Słyszałaś coś o Simie?

Ojciec gładzi ją po policzku i przez krótką chwilę zastanawia się, czy powiedzieć prawdę, czy nie. Lekarz stwierdził szorstko, że Shulman stracił zdecydowanie zbyt dużo krwi. Doznał poważnego uszkodzenia mózgu. Nie ma ratunku. Nigdy nie wybudzi się ze śpiączki.

– Jeszcze do końca nie wiemy – mówi ostrożnie. – Ale...

Wzdycha.

– To nie wygląda dobrze, kochanie.

Simone wstrząsa szloch.

– Już nie mogę, nie mogę – płacze.

– Dobrze już, dobrze... Dzwoniłem do Erika. Jest w drodze.

Simone kiwa głową.

– Dzięki, tato.

Kennet poklepuje ją po plecach.

– Ja już naprawdę nie mam siły – szepce Simone.

– Nie płacz, słonko.

Simone szlocha głośno, żałośnie.

– Już nie mogę...

W tej samej chwili otwierają się drzwi i Erik zapala światło. Idzie prosto do sofy, siada po drugiej stronie Simone i mówi:

– Bogu dzięki, że jesteś cała.

Simone chowa twarz w płaszcz na jego piersi.

– Erik... – Tylko tyle Simone potrafi wykrztusić.

Erik głaszczuje ją po głowie. Wygląda na strasznie zmęczonego, ale wzrok ma trzeźwy i przenikliwy. Dla Simone pachnie domem, pachnie jej rodziną.

– Eriku. – Kennet zwraca się do niego z powagą. – Musisz się dowiedzieć o czymś bardzo ważnym. Ty też, Simone. Dopiero co rozmawiałem z Aidą.

– Powiedziała coś? – pyta Simone.

– Chciałem im dać znać, że złapaliśmy Wailorda i pozostałych. Żeby się już nie bali.

Erik patrzy na niego pytającym wzrokiem.

– To długa historia, pogadamy, jak będzie czas, ale...

Kennet wciąga głęboko powietrze i mówi ochrypłym, zmęczonym głosem:

– Kilka dni przed porwaniem ktoś skontaktował się z Benjaminem. Kobieta, która podawała się za jego prawdziwą, biologiczną matkę.

Simone uwalnia się z objęć Erika i patrzy na ojca, ociera nos i pyta zmienionym od płaczu głosem:

– Jego prawdziwą matkę?

Kennet potakuje.

– Aida powiedziała, że ta kobieta dawała mu pieniądze

i pomagała odrabiać zadania domowe.

– To jakieś szaleństwo – szepce Simone.

– Nadała mu nawet inne imię.

Erik spogląda na Simone, potem na Kenneta i prosi, żeby mówił dalej.

– Aida mówi, że ta jego niby prawdziwa mama twierdziła, że tak naprawdę nazywa się Kasper.

Simone zauważa, jak twarz Erika tężeje, czuje falę niepokoju, która w jednej chwili ją otrzeźwia.

– Co jest, Erik? – pyta.

– Kasper? – dopytuje się Erik. – Mówiła na niego Kasper?

– Tak – potwierdza Kennet. – Aida z początku nie chciała powiedzieć, obiecała Benjaminowi, że...

Przerywa. Erik pobladł na twarzy i wygląda, jakby zaraz miał zemdleć. Wstaje, cofa się parę kroków, potyka się o stół, wpada na fotel i wychodzi z pokoju.

45 PIĄTEK RANO, OSIEMNASTY GRUDNIA

Erik zbiega po schodach do głównego holu szpitala, przeciska się przez grupę nastolatków z kwiatami, rzuca się do wyjścia, przebiega przez brudną podłogę i mija staruszka na wózku inwalidzkim. Mokre gumowe maty chlupoczą mu pod stopami, kiedy pchnięciem otwiera drzwi. Biegnie w dół kamiennych schodów, nie dbając o kałuże i brudne błoto śniegowe, pędem mija autobus, przebiega przez ulicę, przeciska się przez niskie krzaki wprost na parking dla gości szpitala. W biegu wyjmuje kluczyki i gna do swojego samochodu wzdłuż zaparkowanych pojazdów. Otwiera drzwi, wsiada, odpala, cofa tak gwałtownie, że bokiem samochodu ociera się o zderzak sąsiedniego auta.

Skrecając na zachód w Danderydsvägen, wciąż jeszcze nie może uspokoić oddechu. Utrzymuje jak największą prędkość, ale zwalnia przy szkole Edsberg, przejeżdża obok niej powoli, wyciąga telefon i dzwoni do Joony.

- To Lydia Evers! – prawie krzyczy.
- Kto?
- Lydia Evers porwała Benjaminą – powtarza z powagą. – Opowiadałem o niej. To ta, która złożyła na mnie doniesienie.
- Sprawdzimy ją – mówi Joona.
- Jadę tam.
- Podaj adres.
- Dom na Tennisvägen w Rotebro, nie pamiętam numeru, ale jest czerwony i dość spory.
- Zaczekaj na mnie gdzieś w...
- Jadę od razu.
- Nie zrób czegoś głupiego.
- Benjamin umrze, jeśli nie dostanie lekarstwa.
- Zaczekaj na mnie...

Erik rozłącza się, przyśpiesza za torami na drodze przez Norrviken w kierunku wąskiego jeziora, przy fabryce drożdży niebezpiecznie wyprzedza i czuje uderzenia pulsu w skroni, kiedy skręca przy supermarkecie Coop Forum.

Odnajduje drogę w głąb willowego osiedla i parkuje pod tym samym żywopłotem co dziesięć lat wcześniej, kiedy razem z pracownicą opieki społecznej miał odwiedzić Lydię. Patrząc na dom z wnętrza samochodu, prawie czuje swoją obecność sprzed dziesięciu lat. Pamięta, że w ogrodzie nie było żadnych zabawek, śladów dzieci, nic nie świadczyło o tym, żeby Lydia była mamą. Nie mieli jednak czasu rozejrzeć się po domu. Przeszli tylko schodami w dół do piwnicy i z powrotem, potem Lydia rzuciła się na niego z nożem. Przypomina sobie, jak wyglądała, kiedy przeciągała ostrzem po szyi, nie spuszczając z niego wzroku.

Niewiele się w tej okolicy zmieniło. Pizzerię zastąpił bar sushi, a we wszystkich ogrodach stały wielkie trampoliny pokryte jesiennymi liśćmi i śniegiem. Erik zostawia kluczyk w stacyjce, wysiada z samochodu i wbiega pod górę. Ostatni odcinek przechodzi szybkim krokiem, otwiera furtkę i wchodzi do ogrodu. Wysoką żółtą trawę przykrywa warstwa mokrego śniegu. Sople lodu lśnią pod zepsutą rynną. Martwe rośliny bujają się w swoich donicach. Erik szarpie za klamkę, ale drzwi są zamknięte na klucz. Zagląda pod wycieraczkę. Z mokrego prostokąta na betonowych schodach umyka kilka stonóg. Serce bije mu mocno. Maca pod drewnianą barierką, ale nie znajduje klucza. Przechodzi na tyły domu, bierze kawałek ukruszonego krawężnika i rzuca w drzwi na taras. Górna szyba się rozbija, kamień spada z łupnięciem na ziemię. Erik podnosi go i rzuca jeszcze mocniej. Wypada cała szyba. Erik podchodzi do drzwi, otwiera je i znajduje się w sypialni, której ściany zapełniają obrazy aniołów i indyjskiego guru Sai Baby.

– Benjamin! – krzyczy. – Benjamin!

Woła syna, chociaż zdaje sobie sprawę, że dom jest opuszczony:

ciemny i cichy, zatęchły, czuć stare szmaty i kurz. Rusza w stronę korytarza, otwiera drzwi do piwnicy, z której bucha ostry fetor. Ciężki smród popiołu, zwęglonego drewna i palonej gumy. Zbiega na dół, potyka się na schodach, opiera ramieniem o ścianę i odzyskuje równowagę. Lampy nie działają, ale w świetle dochodzącym z wysoko umieszczonych okien widzi, że pomieszczenie strawił ogień. Podłoga pod nim trzeszczy. Prawie wszystko jest czarne, ale niektóre meble wyglądają na nienaruszone. Stół pokryty płytkami jest tylko lekko odymiony, podczas gdy tacka ze świecami zapachowymi się stopiła. Erik po omacku idzie do drzwi prowadzących do drugiego pomieszczenia w podziemiu. Wiszą luźno na zawiasach, wewnętrzna strona jest zupełnie zwęglona.

– Benjamin – mówi Erik ze strachem w głosie.

Podmuch unosi popiół, który wirując, osiada mu na twarzy. Erik mruga, oczy go pieką. Pośrodku podłogi stoją resztki czegoś, co mogło kiedyś być klatką, wystarczająco dużą, aby pomieścić człowieka.

– Erik! – woła ktoś w górze.

Erik staje i nasłuchuje. Ściany trzeszczą. Spalone fragmenty sufitu spadają na ziemię. Powoli podchodzi do schodów. W dali słychać szczekanie psa.

– Erik!

To głos Joony. Jest w środku. Erik wchodzi schodami na górę. Jooną patrzy na niego z niepokojem malującym się na twarzy.

– Co się stało?

– W piwnicy był pożar – odpowiada Erik.

– Nic więcej?

Erik robi niewyraźny gest w stronę podziemia.

– Resztki klatki.

– Mam ze sobą psa.

Jooną wraca śpiesznie korytarzem i otwiera drzwi wejściowe. Macha na umundurowaną przewodniczkę psa, kobietę o ciemnych

włosach ciasno zaplecionych w warkocz. Czarny labrador podąża za nią krok w krok. Wita Erika skinieniem głowy, prosi, żeby poczekali na zewnątrz, kuca potem przed psem i mówi do niego. Jooną próbuje wyciągnąć Erika na zewnątrz, ale poddaje się, kiedy zdaje sobie sprawę, że to bezcelowe.

Czarny lśniący pies z zapałem przeczesuje dom, węszy niestrudzenie, dyszy szybko, szuka. Brzuch porusza mu się w krótkim oddechu. Systematycznie przeszukuje każdy pokój po kolei. Erik stoi w holu. Robi mu się niedobrze, nagle czuje, że musi zwymiotować, i wybiega na zewnątrz. Dwóch policjantów rozmawia, stojąc przy busie. Erik przechodzi przez furtkę, idzie chodnikiem w stronę samochodu, wyjmuje z niego kasetkę z papugą i tubylcem. Stoi, trzymając ją w ręku, a następnie podchodzi do kratki ściekowej i opróżnia pudełko. Czoło zalewa mu zimny pot, zwilża wargi, jakby chciał po długim milczeniu coś powiedzieć, a potem upuszcza też kasetkę i słyszy plusk, kiedy ta wpada do wody.

Gdy wraca do ogrodu, Jooną wciąż stoi przed domem. Napotyka wzrok Erika i kręci głową. Erik wchodzi do środka. Przewodniczka siedzi na piętach i głaszcze labradora po szyi i fałdach skóry za uszami.

- Byliście w piwnicy? – pyta Erik.
- Oczywiście – odpowiada kobieta, nie podnosząc wzroku.
- W pomieszczeniu w głębi?
- Tak.
- Może pies nie złapał tropu przez ten popiół.
- Rocky jest w stanie wyczuć zwłoki pod wodą, na głębokości sześćdziesięciu metrów – stwierdza przewodniczka.
- A żywych ludzi?
- Gdyby coś tu było, Rocky by to znalazł.
- Ale nie byliście jeszcze na zewnątrz – odzywa się Jooną, który wszedł za Erikiem.
- Nie wiedziałam, że mieliśmy – odpowiada kobieta.

– Macie.

Policjantka wzrusza ramionami i wstaje.

– Chodź – mówi niskim, ochrypłym głosem do labradora. – No, chodź. Pójdziemy na podwórko? Pójdziemy na podwórko?

Erik idzie za nimi na zewnątrz, w dół schodów i wokół domu. Czarny pies biega tam i z powrotem po zarośniętym trawniku, węszy wokół beczki z wodą, na której utworzyła się nieprzejrzysta warstewka lodu, szuka wśród starych drzew owocowych. Niebo jest ciemne i zachmurzone. Erik zauważa, że sąsiad na jednym z drzew zapalił kolorowe sznury lampek. Jest zimno. Funkcjonariusze schowali się do policyjnego busa. Jooną przez cały czas znajduje się w pobliżu policjantki i psa, co jakiś czas wskazuje jakiś kierunek. Erik podąża za nimi na tyły domu. Nagle rozpoznaje pagórek w kącie ogrodu. To miejsce ze zdjęcia, myśli. Fotografia, którą Aida wysłała Benjaminowi przed jego zaginięciem. Erik oddycha ciężko. Pies wietrzy wokół kompostu, rusza w stronę pagórka, węszy wokół niego, dyszy, okrąża go, wącha pod krzakami i pod brązowym płótem, wraca, biegnie naokoło kosza na liście i do ogródka ziołowego. Patyczki z zawieszonymi na nich torebkami po nasionach informują, co zasiano w danym rzędku. Czarny labrador skomle niespokojnie i kładzie się płasko pośrodku poletka, na mokrej, spulchnionej ziemi. Ciało psa drży z podniecenia, a twarz przewodniczki, kiedy chwali swojego pupila, ma bardzo smutny wyraz. Jooną zawraca w miejscu, biegiem dopada Erika, nie puszcza go dalej w stronę grządek. Erik nie ma pojęcia, co krzyczy ani co próbuje zrobić, ale Joonie udaje się odciągnąć go stamtąd i wyprowadzić z ogrodu.

– Muszę wiedzieć – mówi Erik łamiącym się głosem.

Jooną kiwa głową i wyjaśnia półgłosem:

– Pies zaznaczył miejsce, w którym mogą się znajdować ludzkie zwłoki.

Erik osuwa się na chodnik po szafie rozdzielczej, stopy, nogi, całe ciało przestaje dla niego istnieć, widzi policjantów wysiadających

z busa, każdy z łopata w garści, a potem zamyka oczy.

Erik Maria Bark siedzi samotnie w samochodzie Joony Linny i wygląda przez szybę na Tennisvägen. Ciemne korony drzew przechwytyją światło wiszących latarni. Czarne sterczące konary na tle mrocznego zimowego nieba. W ustach czuje suchość, twarz i głowę ma obolałe. Erik szepce coś sam do siebie, wysiada z samochodu, przekracza taśmę odgradzającą teren i okrąża dom w wysokiej, zamrożonej trawie. Jooną obserwuje mężczyzn w mundurach. Pracują w milczeniu, poruszając się prawie jak roboty. Poletko jest przekopane. Została po nim wielka, prostokątna dziura w ziemi. Na foliowej płachcie leżą oblepione gliną szczątki ubrań i fragmenty kości. Odgłos pracujących szpadli nie milknie, metal uderza o kamień. Policjanci przerywają pracę, prostują się. Erik zbliża się pomału, z trudem. Widzi, jak Jooną odwraca się w jego stronę i jak uśmiech rozjaśnia jego zmęczoną twarz.

– Co to? – pyta szeptem.

Jooną idzie mu naprzeciw, patrzy w oczy i mówi:

– To nie Benjamin.

– A kto?

– Ciało leżało tu co najmniej od dziesięciu lat.

– Dziecko?

– Może pięcioletnie – potwierdza Jooną, czując dreszcz na plecach.

– A więc Lydia jednak miała syna – mówi Erik stłumionym głosem.

46 SOBOTA PRZED POŁUDNIEM, DZIEWIĘTNASTY GRUDNIA

Pada mokry, gęsty śnieg, po skwerku przy komendzie biega pies. Szczeka gorączkowo na padające płatki, szczęśliwy skacze między śnieżynkami, kłapie szczękami w powietrzu, otrzepuje sierść. Widok zwierzęcia ściska Erika za serce. Już zapomniał, jak to jest po prostu żyć. Zapomniał, jak to jest nie myśleć bez przerwy o życiu bez Benjamina.

Ma mdłości, ręce mu drżą po odstawieniu proszków. Nie zażył ani jednej tabletki od prawie doby i nie spał przez całą noc.

Podchodząc do wielkich drzwi wejściowych komendy, myśli o tych staruszkach tkaczkach, które Simone pokazała mu pewnego dnia na wystawie kobiecego rękodzieła. Były jak niebo w takie dni jak ten: pochmurne, szare i niewyraźne.

Simone stoi na korytarzu przed pokojem przesłuchań. Na widok zbliżającego się Erika rusza mu naprzeciw i ujmuje jego ręce. Z jakiegoś powodu Erik odczuwa dla niej wdzięczność za ten gest.

– Nie musisz w tym uczestniczyć – szepce Simone.

– Kennet powiedział, że chciałaś – odpowiada Erik.

Kobieta nieznacznie kiwa głową.

– Po prostu jestem taka...

Milknie i odchrząkuje.

– Byłam na ciebie zła – mówi z opanowaniem.

Jej oczy są wilgotne i mają czerwone obwódki.

– Wiem, Simone.

– Ty przynajmniej masz swoje pigułki – dodaje kobieta ostro.

– Tak...

Simone odwraca się od niego i wbija wzrok w przestrzeń za oknem. Erik przygląda się jej szczupłemu ciału, ramionom ciasno

obejmującym korpus. Simone ma gęsią skórę, bo z wentylatora pod oknem dochodzi zimny strumień powietrza. Otwierają się drzwi i krzepka kobieta wzywa ich półgłosem do środka.

– Proszę, możecie już wejść.

Uśmiecha się łagodnie błyszczącymi na różowo ustami.

– Nazywam się Anja Larsson – przedstawia się Erikowi i Simone.

– To ja odbiorę zeznanie.

Kobieta podaje zadbaną, krągłą rękę. Długie, lakierowane paznokcie mają posrebrzane brzeżki.

– To z okazji świąt – mówi wesoło o paznokciach.

– Ładnie – stwierdza z roztargnieniem Simone.

Joon Linna siedzi już w pokoju. Marynarkę powiesił na oparciu krzesła. Jego blond włosy są zmierzwione i wyglądają na nieumyte. Nie ogolił się. Kiedy siadają naprzeciw niego, Joon spogląda na Erika z powagą.

Simone odchrząkuje i upija łyk wody ze szklanki. Odstawia ją i dotyka dłoni męża. Ich spojrzenia się spotykają. Erik widzi, jak jej usta układają się w bezdźwięczne „wybaczyć”.

Anja Larsson stawia na stole pomiędzy nimi cyfrowy dyktafon, sprawdza, czy czerwona dioda się świeci, a następnie zwięźle wymienia datę, godzinę i osoby obecne w pokoju. Robi krótką przerwę, przechyla głowę na bok i mówi jasnym, miłym głosem:

– W porządku, Simone, chcielibyśmy od ciebie usłyszeć, co się wydarzyło przedwczoraj wieczorem w twoim mieszkaniu na Luntmakargatan.

Simone kiwa głową, zerka na Erika i spuszcza wzrok.

– Ja... byłam w domu i...

Milknie.

– Byłaś sama? – pyta Anja Larsson.

Simone potrząsa głową.

– Był u mnie Sim Shulman – mówi neutralnie.

Joon notuje coś w swoim zeszycie.

– Czy możesz nam powiedzieć, jak twoim zdaniem Josef i Evelyn

Ekowie dostali się do środka? – pyta Anja.

– Nie wiem dokładnie, bo brałam wtedy prysznic – odpowiada powoli Simone i na moment oblewa się rumieńcem. Kolor znika niemal natychmiast, pozostawiając na policzkach żywszy poblask. – Stałam pod prysznicem, kiedy Sim zawołał do mnie, że ktoś dzwoni do drzwi... Nie, chwila, najpierw zawołał, że dzwoni moja komórka.

Anja Larsson powtarza:

– Stałaś pod prysznicem i usłyszałaś, jak Sim Shulman woła, że dzwoni twój telefon.

– Tak – szepce Simone. – Poprosiłam, żeby odebrał.

– Kto dzwonił?

– Nie wiem.

– Ale odebrał?

– Tak mi się wydaje, jestem prawie pewna.

– Która była godzina? – wtrąca nagle Joona.

Simone drga, jakby wcześniej go nie zauważyła, jakby nie poznała jego głosu.

– Nie wiem – odpowiada przepaszająco.

Joona nie uśmiecha się, tylko naciska:

– Mniej więcej.

Simone wzrusza ramionami i odpowiada niepewnie:

– Piąta.

– A nie czwarta? – upewnia się Joona.

– Co masz na myśli?

– Po prostu chcę wiedzieć.

– Przecież już to wiecie – mówi Simone do Anji.

– A więc piąta – stwierdza Joona i zapisuje godzinę.

– Co robiłaś, zanim poszłaś pod prysznic? – pyta Anja. – Łatwiej przypomnieć sobie czas, kiedy przeanalizuje się cały dzień.

Simone potrząsa głową, wygląda na bardzo zmęczoną, na granicy apatii. Nie patrzy na Erika. Mężczyzna siedzi w milczeniu obok niej z mocno bijącym sercem.

– Nie wiedziałem – odzywa się nagle i milknie znowu. – Nie

wiedziałem, że ty i Shulman mieliście...

Simone potakuje.

– Tak, Eriku. Tak było.

Erik patrzy na nią, na policjantkę i na Jooneę.

– Przepraszam, że przerwałem – wyjąkuje.

Anja, pełna wyrozumiałości, zwraca się znów do Simone.

– Mów dalej, opowiedz, co się wydarzyło. Sim Shulman zawołał, że dzwoni...

– Wyszedł do holu i...

Simone urywa, a po chwili znowu się poprawia:

– Nie, nie tak to było. Usłyszałam, jak Sim mówi „Teraz jeszcze ktoś się dobija do drzwi” albo coś w tym stylu. Skończyłam się myć, wytarłam się, ostrożnie otworzyłam drzwi i zobaczyłam...

– Dlaczego ostrożnie? – wtrąca Joona.

– Co?

– Dlaczego otworzyłaś je ostrożnie, a nie normalnie?

– Nie wiem, przecucie, coś było w powietrzu, jakaś groźba... Nie potrafię tego wyjaśnić...

– Usłyszałaś coś?

– Nie wydaje mi się.

Simone patrzy przed siebie.

– Mów dalej – prosi Anja.

– Przez uchylone drzwi zobaczyłam dziewczynę. Młoda kobieta stała w korytarzu, patrzyła na mnie. Wyglądała, jakby się bała, a potem pokazała mi na migi, żebym się ukryła.

Simone marszczy czoło.

– Poszłam do przedpokoju i zobaczyłam Sima... leżącego tam, na podłodze... Było tyle krwi i cały czas jej przybywało, oczy mu drżały, próbował poruszyć rękami...

Głos Simone robi się ochrypły i Erik widzi, że żona walczy z płaczem. Chciałby ją pocieszyć, wesprzeć, wziąć za rękę albo objąć, ale nie wie, czy gdyby spróbował, nie odepchnęłaby go albo zezłościła się.

– Mamy zrobić przerwę? – pyta delikatnie Anja.

– Ja... ja...

Simone urywa i trzęsącymi się dłońmi unosi szklankę wody do ust. Przełyka i ociera oczy.

– Drzwi wejściowe były zamknięte – ciągnie pewniejszym głosem. – Dziewczyna powiedziała, że zabrał klucz do kuchni, więc wślizgnęłam się do pokoju Benjamina i włączyłam komputer.

– Włączyłaś komputer. Po co? – pyta Anja.

– Żeby myślał, że jestem w środku, żeby usłyszał dźwięk komputera i pognął do pokoju.

– O kim mówisz?

– O Josefie.

– Josefie Eku?

– Tak.

– Skąd wiedziałaś, że to on?

– Wtedy nie wiedziałam.

– Rozumiem – mówi Anja. – Kontynuuj.

– Włączyłam komputer i schowałam się w łazience. Kiedy usłyszałam, że weszli do pokoju Benjamina, wymknęłam się do kuchni i zabrałam klucz. Dziewczyna próbowała cały czas skłaniać Josefa do poszukiwań w różnych miejscach, żeby go zatrzymać, słyszałam ich, ale wydaje mi się, że przez przypadek uderzyłam w obraz na korytarzu, bo nagle Josef ruszył za mną. Dziewczyna starała się go powstrzymać, wieszała się mu na nogach i...

Simone przełyka ślinę.

– Nie wiem, uwolnił się od niej. I wtedy zaczęła udawać, że ją zranił, wysmarowała się krwią Sima, położyła na podłodze i udawała martwą.

Na chwilę zapada cisza. Simone wydaje się mieć trudności z oddychaniem.

– Mów dalej – prosi cicho Anja.

Simone kiwa głową i krótko mówi:

– Josef ją zobaczył, zawrócił, a kiedy się nad nią pochylił, wbiła mu nóż pod żebra.

– Widziałaś, kto zranił Sima Shulmana?

– To był Josef.

– Widziałaś to?

– Nie.

Zalega milczenie.

– Evelyn Ek uratowała mi życie – szeptem Simone.

– Czy chcesz coś dodać?

– Nie.

– W takim razie dziękujemy za współpracę i kończymy przesłuchanie – oznajmia Anja i wyciąga migoczącą brokatowym lakierem dłoń, żeby wyłączyć nagrywanie.

– Czekaj – odzywa się Jooną. – Kto to dzwonił?

Simone patrzy na niego nieprzytomnym wzrokiem, tak jakby znowu zapomniała o jego obecności.

– Kto dzwonił do ciebie na komórkę?

Kobieta potrząsa głową.

– Nie wiem, nie wiem nawet, gdzie się podziała komórka, ja...

– Nic nie szkodzi – mówi spokojnie Jooną. – Znajdziemy ją.

Anja Larsson czeka jeszcze chwilę, spogląda na nich pytająco, a następnie wyłącza dyktafon.

Nie patrząc na nikogo, Simone wstaje i powoli wychodzi z pokoju. Erik żegna Joonę kiwnięciem głowy i podąża za nią.

– Poczekaj – mówi.

Simone zatrzymuje się i odwraca.

– Poczekaj, chcę tylko...

Milknie na widok jej bezbronnej, wrażliwej twarzy, bladych piegów w kolorze korka, szerokich ust, zielonych oczu. Bez słowa obejmują się, zmęczeni i smutni.

– Już dobrze – mówi Erik. – Już dobrze.

Całuje jej włosy, jej rudoblond kręcone włosy.

– Już nic nie wiem – szeptem Simone.

– Dowiem się, czy mają tu jakiś pokój, żebyś mogła odpocząć.

Kobieta uwalnia się delikatnie z jego ramion i kręci głową.

– Muszę odnaleźć komórkę – oświadcza z powagą. – Muszę się dowiedzieć, kto dzwonił, kiedy Shulman odebrał.

Z pokoju przesłuchania wyłania się Joonas z marynarką przewieszoną przez ramię.

– Czy ten telefon jest tu, na komendzie? – pyta Erik.

Joonas kiwa głową w stronę Anji Larsson, która jest już w połowie drogi do wind.

– Anja powinna wiedzieć.

Erik już ma za nią biec, kiedy Joonas powstrzymuje go gestem. Wyjmuje telefon i wybiera skrót klawiszowy.

Patrzą, jak kobieta staje i odbiera.

– Potrzebujemy od ciebie pewien papier, skarbie – rzuca lekko Joonas.

Z nadąsaną miną Anja zawraca, a oni ruszają w jej stronę.

– Kiedy Anja tu zaczynała, była prawdziwą atletką, niesamowitą pływaczką, pływała motylkiem, była ósma na igrzyskach w...

– Co za papier ci znów potrzebny? Toaletowy?! – woła Anja.

– Nie obrażaj się o...

– Za dużo gadasz.

– Tylko się troszkę tobą chwaleb.

– Tak, tak – mówi Anja z półuśmiechem.

– Czy masz może listę przedmiotów, które poszły do laboratorium?

– Nie jest gotowa, musisz pojechać na dół i sprawdzić.

Razem wracają do wind. Lina huczy nad ich głowami, kabina trzeszczy, wioząc ich na dół. Anja wysiada na drugim piętrze i macha im przez zasuwające się drzwi.

W recepcji na parterze siedzi wysoki mężczyzna, który przypomina Erikowi jakiegoś krewnego. Szybkim krokiem przechodzą korytarzem z drzwiami, tablicami ogłoszeniowymi i gaśnicami za pleksiglasem. W dziale laboratoryjnym jest znacznie

jaśniej, większość pracowników ubrana jest w białe fartuchy. Jooną wymienia uścisk dłoni z bardzo grubym mężczyzną, który przedstawia się jako Erikon i wskazuje im drogę do innego pomieszczenia. Na stole o stalowym blacie leży mnóstwo przedmiotów ułożonych w rzędy. Erik rozpoznaje je. Dwa noże kuchenne pokryte czarnymi plamami znajdują się w osobnych metalowych pojemnikach. Widzi znajomy ręcznik, dywanik z przedpokoju, kilka par butów i telefon Simone w foliowej torebce. Jooną pokazuje palcem komórkę.

– Chcielibyśmy ją obejrzeć. Skończyliście już?

Grubas podchodzi do listy przyklepionej nad przedmiotami. Przegląda ją i po dłuższej chwili mówi:

– Wygląda na to, że tak... Obudowa komórki jest sprawdzona.

Jooną wyjmuje telefon z torebki, obciera kawałkiem papieru i beztrudnie podaje Simone. Kobieta w skupieniu otwiera listę rozmów, mruży coś pod nosem, zakrywa usta dłonią i wydaje zduszony okrzyk na widok tego, co się pojawiło na wyświetlaczu.

– To... to Benjamin – wykrztusza. – Ostatnia rozmowa była od Benjamin.

Skupiają się nad telefonem. Imię Benjamin mruga kilkakrotnie i bateria się wyczerpuje.

– Shulman rozmawiał z Benjaminem? – pyta Erik podniesionym głosem.

– Nie wiem – odpowiada Simone żałośnie.

– Ale to chyba on odebrał? Tylko o to mi chodzi.

– Byłam pod prysznicem i wydaje mi się, że odebrał, zanim...

– Chyba, do cholery, widzisz, czy rozmowa była nieodebrana, czy...

– Nie była nieodebrana – przerywa mu Simone. – Ale nie wiem, czy Sim zdążył cokolwiek usłyszeć lub powiedzieć, zanim otworzył Josefowi drzwi.

– Nie chciałem podnosić głosu – mówi Erik z wymuszonym spokojem. – Ale musimy dowiedzieć się, czy Benjamin coś

powiedział.

Simone zwraca się do Joony:

– Czy rozmowy przez komórkę nie są przypadkiem archiwizowane?

– Zdobycie tego może potrwać tygodnie – odpowiada.

– Ale...

Erik kładzie rękę na ramieniu Simone i mówi:

– Musimy porozmawiać z Shulmanem.

– Przecież się nie da, jest w śpiączce – odpowiada wzburzona. –
Przecież już mówiłam, że jest w śpiączce.

– Chodź ze mną – prosi Erik i wychodzi z pokoju.

47 SOBOTA PO POŁUDNIU, DZIEWIĘTNASTY GRUDNIA

Simone siedzi obok Erika w samochodzie, co jakiś czas spogląda na niego, potem odwraca wzrok i patrzy za okno. Droga z brązową linią błota pośniegowego pośrodku umyka spod kół. Samochody przed nimi poruszają się nieskończonym sznurem. Monotonnie błyskają mijane latarnie. Simone nie komentuje śmieci na tylnym siedzeniu i podłódze pod jej nogami: puste butelki po wodzie, puszki po napojach, karton po pizzy, gazety, kubki, serwetki, torebki po chipsach i papierki po cukierkach.

Erik jedzie spokojnie w stronę szpitala Danderyd, w którym Sim Shulman leży w śpiączce, i dokładnie wie, co robi, kiedy dotrze na miejsce. Zerka na Simone. Ostatnio schudła, kąciki jej ust są opuszczone, twarz wygląda przez to na smutną i niespokojną. Sam czuje się niemal przerażająco skoncentrowany. Wydarzenia poprzednich dni widzi w przejmująco jasnym świetle. Zdaje mu się, że rozumie już okoliczności tego, co przydarzyło się jemu i jego rodzinie. Jeszcze przed kompleksem Kräftriket zaczyna mówić.

– Kiedy zrozumieliśmy, że porywaczem Benjamina nie mógł być Josef, Joona kazał mi pogrzebać w pamięci. – Erik zaczyna wprost, przerywając ciszę. – Cofnąłem się w przeszłość, próbując dojść, kto mógłby chcieć się na mnie zemścić.

– Co znalazłeś? – pyta Simone.

Kątem oka Erik widzi, że zwróciła ku niemu twarz. Wie, że gotowa jest go wysłuchać.

– Grupę hipnotyczną, którą porzuciłem... Minęło tylko dziesięć lat, ale nigdy o nich nie myślałem, to był skończony rozdział – mówi. – Lecz teraz, kiedy wyteżyłem pamięć, to tak, jakby grupa nigdy nie zniknęła, jakby ci ludzie stali gdzieś z boku i czekali.

Erik zauważa, jak Simone kiwa głową. Ciągnie dalej, próbuje wyjaśnić swoje teorie w związku z grupą terapeutyczną, napięcia między osobami, delikatną równowagę, którą musiał utrzymywać, i zaufanie, które przepadło.

– Kiedy poniosłem we wszystkim porażkę, obiecałem już nigdy nie hipnotyzować.

– Tak.

– Ale złamałem przyrzeczenie, bo Joona przekonał mnie, że to jedyny sposób, aby uratować Evelyn Ek.

– Myślisz, że to wszystko stało się dlatego, że go poddałeś hipnozie?

– Nie wiem...

Erik milknie i mówi po chwili, że mógł zbudzić drzemiącą nienawiść, nienawiść, którą powstrzymywało jedynie przyrzeczenie o niestosowaniu hipnozy.

– Pamiętasz Evę Blau? – ciągnie. – Wahala się cały czas między normalnością a psychozą. Wiesz, że groziła, że zniszczy mi życie.

– Nigdy nie mogłam zrozumieć dlaczego – odzywa się cicho Simone.

– Kogoś się bała, potraktowałem to jako paranoję, ale teraz jestem niemal pewien, że Lydia naprawdę jej groziła.

– Nawet ludzie z urojeniami mogą być prześladowani – stwierdza Simone.

Erik skręca w stronę niebieskiego rozległego kompleksu szpitala Danderyd. Deszcz uderza o szybę.

– Może nawet to Lydia okaleczyła jej twarz.

Simone wstrząsa dreszcz.

– Miała okaleczoną twarz?

– Myślałem, że sama sobie to zrobiła, to było typowe – ciągnie Erik. – Myślałem, że odcięła sobie koniec nosa w desperackiej potrzebie poczucia czegoś innego, żeby nie myśleć o tym, co naprawdę bolało...

– Czekaj, czekaj chwilę – przerywa mu Simone ze wzburzeniem. –

Miała odcięty nos?

– Czubek nosa.

– Tata i ja znaleźliśmy chłopca z odciętym czubkiem nosa. Tata mówił ci o tym? Ktoś mu groził, nastraszył i skrzywdził za to, że dręczył Benjamina.

– To Lydia.

– Ta, która go porwała?

– Tak.

– Czego chce?

Erik patrzy na nią z powagą.

– Część tej historii już znasz. Lydia w transie przyznała, że trzyma swojego syna, Kaspera, w klatce w piwnicy i wmusza w niego zepsute jedzenie.

– Kasper? – powtarza Simone.

– Kiedy opowiedzieliście mi o relacji Aidy, że jakaś kobieta nazywała Benjamina Kasperem, to wiedziałem już, że to Lydia. Pojechałem do jej domu do Rotebro i włamałem się, ale nikogo tam nie było, dom wyglądał na opuszczony.

Przejeżdża wzdłuż rzędów zaparkowanych samochodów, ale plac jest przepełniony, wyjeżdża więc z parkingu i kieruje się w stronę głównego wejścia.

– W piwnicy był pożar, który sam wygasł – ciągnie Erik. – Przypuszczam, że ogień został podłożony, ale resztki wielkiej klatki wciąż tam stały.

– Ale przecież nie było żadnej klatki – wtrąca Simone. – Dowiedziono, że nigdy nie miała dzieci.

– Jooną zabrał tam ze sobą psa tropiącego zwłoki, który znalazł dziesięcioletnie szczątki jakiegoś dziecka w ogrodzie.

– Boże – szepce Simone.

– Tak.

– To przecież wtedy...

– Moim zdaniem zabiła to dziecko w piwnicy, kiedy zrozumiała, że została zdemaskowana – mówi Erik.

– A więc cały czas miałaś rację – stwierdza szeptem Simone.

– Na to wygląda.

– Czy ona chce zabić Benjamina?

– Nie wiem... Prawdopodobnie uważa, że to wszystko była moja wina. Gdybym jej nie zahipnotyzował, mogłaby zatrzymać dziecko.

Erik milknie i myśli o głosie syna, kiedy do niego zadzwonił. Jak chłopiec próbował zapanować nad głosem, gdy mówił o domu strachów. To musiał być dom Lydii. Miejsce, w którym dorastała, gdzie dopuściła się niegodziwości i sama pewnie takich doznała. Jeśli nie zabrała Benjamina do swojego zamczyska, to mogła go zabrać gdziekolwiek.

Zostawia samochód przed głównym wejściem, nie troszcząc się o opłatę parkingową czy zamykanie auta. Przebiegają obok ponurej, zaśniewanej fontanny, mijają kilkoro trzęsących się z zimna palaczy w szlafrokach, wpadają do środka przez syczące drzwi i wjeżdżają windą na oddział, na którym leży Sim Shulman.

W pokoju unosi się ciężki zapach kwiatów. Ogromne bukiety stoją we flakonach w oknie. Na stoliku leży sterta kartek i listów od przyjaciół niemogących uwierzyć w to, co się stało.

Erik patrzy na mężczyznę na szpitalnym łóżku, zapadnięte policzki, nos, powieki. Zbyt regularny ruch brzucha naśladuje sapiący rytm respiratora. Shulman jest w stanie wegetatywnym, przy życiu utrzymują go zebrane w pokoju urządzenia, bez których już nigdy nie będzie się mógł obejść. Do tchawicy przez nacięcie w szyi wprowadzono mu rurkę umożliwiającą oddychanie. Karmiony jest przez sondę żołądkową z płytką zabezpieczającą na brzuchu.

– Simone, porozmawiasz z nim, kiedy się obudzi i...

– Jego się nie da obudzić – przerywa mu Simone przenikliwym głosem. – Jest w śpiączce, Erik, mózg uszkodzony przez utratę krwi. Nigdy się nie obudzi, Sim nigdy nie przemówi.

Simone ociera łzy z policzków.

– Musimy się dowiedzieć, co Benjamin powiedział...

– Przestań! – krzyczy Simone i wybucha płaczem.

Do pokoju zagląda pielęgniarka, widzi Erika obejmującego wstrząsaną płaczem Simone i zostawia ich w spokoju.

– Dam mu zastrzyk z zolpidemu – szepce Erik. – To mocny środek nasenny, który może wybudzić człowieka w śpiączce.

Czuje, jak Simone kręci głową.

– O czym ty mówisz?

– To działa tylko przez chwilę.

– Nie wierzę ci.

– Środek nasenny spowalnia nadaktywne procesy w mózgu, które powodują śpiączkę.

– Wtedy się obudzi? Naprawdę?

– Nigdy nie wyzdrowieje, jego mózg doznał zbyt wielkich uszkodzeń, Sixan, ale po tym leku zbudzi się może na parę sekund.

– Co mam robić?

– Czasami pacjenci mówią parę słów, czasem tylko patrzą.

– To niedozwolone, prawda?

– Nie zamierzam pytać o pozwolenie, zrobię to, a ty, kiedy się zbudzi, musisz z nim porozmawiać.

– Pośpiesz się – ponagla go Simone.

Erik szybko wychodzi i przynosi potrzebny sprzęt. Simone staje przy łóżku Shulmana i bierze go za rękę. Przygląda mu się. Jego śniada twarz jest rozluźniona. Zazwyczaj tak ironiczne, zmysłowe usta teraz są bez wyrazu. Nie ma już nawet tej poważnej zmarszczki między czarnymi brwiami. Simone powoli gładzi jego czoło. Myśli o tym, że dalej będzie wystawiać jego prace, że naprawdę dobry artysta nigdy nie umiera.

Wraca Erik. Bez słowa podchodzi do Shulmana i odwrócony tyłem do drzwi, bez emocji podwija rękaw jego szpitalnej koszuli.

– Gotowa? – pyta.

– Tak – potwierdza Simone. – Jestem gotowa.

Erik bierze strzykawkę, podłącza ją do wenflonu i powoli wprowadza żółtawą oleistą ciecz, która wnika powoli w przejrzysty

płyn nawadniający i znika w igle, mieszając się z krwią Shulmana. Erik chowa strzykawkę do kieszeni, rozpina kurtkę i przenosi elektrody z klatki piersiowej Shulmana na swoją, a klips z jego palca wskazującego na swój palec. Potem obserwuje twarz mężczyzny.

Nic się nie dzieje. Brzuch Shulmana unosi się i opada regularnie dzięki respiratorowi.

Erik czuje suchość w ustach, marznie.

– Idziemy? – pyta Simone po chwili.

– Czekaj – szepce Erik.

Zegarek tyka powoli. Jeden z kwiatów stojących w oknie upuszcza płatek. Kiedy dotyka podłogi, słysząc szelest.

W szybę uderza kilka kropel deszczu. Słyszą kobiecy śmiech dobiegający z oddalonego od nich pokoju.

Z ciała Shulmana wydobywa się dziwne syknięcie, jak lekki wietrzyk przez na wpół zamknięte okno.

Simone czuje spływający po ciele pot. Ma wrażenie, że jest uwięziona w sytuacji bez wyjścia.

Właściwie to chciałyby uciec z tego pokoju, ale już nie może oderwać wzroku od szyi Shulmana. Może sobie wmawia, ale nagle wydaje jej się, że tętnica zaczyna pulsować szybciej. Erik oddycha ciężko, a kiedy pochyla się nad nieprzytomnym Shulmanem, Simone widzi, że także jest zdenerwowany, przygryza dolną wargę i spogląda znów na zegarek. Nic się nie dzieje. Respirator posykuje metalicznie. Ktoś przechodzi za drzwiami. Kółka wózka skrzypią, a potem znów w pokoju zapada cisza. Jedynym dźwiękiem jest rytmiczna praca maszyny.

Nagle słysząc słabe drapanie. Simone nie ma pojęcia, skąd ono dobiega. Erik cofnął się kilka kroków. Drapanie nie ustaje. Simone uświadamia sobie, że to musi być Shulman. Zbliży się do niego i widzi, jak jego palec wskazujący ociera się o napięty materiał prześcieradła. Kobieta czuje przyśpieszający puls i już ma coś powiedzieć do Erika, kiedy Shulman otwiera oczy. Wpatruje się w nią dziwnym wzrokiem. Usta rozciągają mu się w grymasie

strachu. Język rusza się powoli, ślina cieknie po brodzie.

– To ja Sim. To ja – mówi Simone i ujmuje jego rękę w swoje dłonie. – Zapytam cię o kilka bardzo ważnych rzeczy.

Palce Shulmana podrygują. Simone wie, że ją widzi, lecz nagle oczy uciekają mu w tył, usta napinają się, tętnice na skroniach mocno się wybrzuszą.

– Odebrałeś telefon, kiedy dzwonił Benjamin, pamiętasz?

Erik, który na swojej piersi ma elektrody Shulmana, widzi, jak jego własny rytm serca przyśpiesza. Stopy chorego drżą pod prześcieradłem.

– Sim, słyszysz? – pyta Simone. – Jestem Simone. Słyszysz mnie, Sim?

Jego oczy wracają na miejsce, ale natychmiast uciekają w bok. W korytarzu za drzwiami słychać szybkie kroki i wołanie jakiejś kobiety.

– Odebrałeś moją komórkę – powtarza Simone.

Shulman potakuje słabo.

– To był mój syn – ciągnie Simone. – To dzwonił Benjamin...

Jego stopy zaczynają znów podrygiwać, oczy uciekają w tył głowy, język wysuwa się z ust.

– Co powiedział Benjamin? – pyta Simone.

Shulman przełyka, porusza powoli szczękami, powieki mu opadają.

– Sim? Co powiedział?

Mężczyzna kręci głową.

– Powiedział cokolwiek?

– Nie... – odzywa się z sykiem Shulman.

– Co mówisz?

– Nie Benja... – powtarza niemal bezgłośnie.

– Nic nie powiedział?

– Nie on. – Głos Shulmana jest dzwięczny i przestraszony.

– Jak to?

– Ussi?

– Co mówisz?

– Jussi dzwonił..

Usta Shulmana drżą.

– Gdzie się znajdował? – pyta Erik. – Zapytaj, gdzie się znajdował.

– Gdzie on był? – pyta Simone. – Wiesz?

– W domu – odpowiada wysokim głosem.

– Benjamin też tam był?

Głowa Shulmana przewraca się na bok, usta się rozluźniają, broda marszczy. Simone zerka nerwowo na Erika, nie wie, co ma robić.

– Czy była tam Lydia? – pyta Erik.

Shulman patrzy w górę, oczy uciekają mu na bok.

– Była tam Lydia? – pyta Simone.

Shulman kiwa głową.

– Czy Jussi powiedział coś o...

Simone milknie, kiedy Shulman zaczyna kwilić. Głaszcząc go delikatnie po policzku, a on nagle patrzy jej prosto w oczy.

– Co się stało? – pyta zupełnie przytomnie i zapada z powrotem w śpiączkę.

48 SOBOTA PO POŁUDNIU, DZIEWIĘTNASTY GRUDNIA

Anja wchodzi do pokoju Joony. W milczeniu podaje mu teczkę z dokumentami i kubek grzańca. Jooną spogląda na jej okrągłą, zaróżowioną twarz. Wyjątkowo tym razem Anja nie uśmiecha się do niego.

– Zidentyfikowali to dziecko – wyjaśnia, wskazując palcem dokumenty.

– Dzięki – mówi Jooną.

Są dwie rzeczy, których nie cierpi – myśli, przyglądając się tekturowej teczce. Jedna to zostać zmuszonym do porzucenia sprawy, wycofać się, zostawiając niezidentyfikowane ciała, niewyjaśnione przypadki gwałtów, pobic i zabójstw. Druga rzecz, której nienawidzi, chociaż w inny sposób, to sytuacje, kiedy nierozwiązane przypadki zostają wyjaśnione. Gdy znajduje się odpowiedź na stare zagadki, rzadko dzieje się to tak, jak by się chciało.

Jooną Linna otwiera teczkę i czyta. Zwłoki znalezione w ogrodzie Lydii Evers należały do chłopca. Miał pięć lat, kiedy pozbawiono go życia. Przyczyną zgonu było prawdopodobnie pęknięcie kości na ciemieniu spowodowane uderzeniem tępym narzędziem. Oprócz tego znaleziono pewną liczbę zagojonych i niezagojonych uszkodzeń szkieletu, wskazujących na powtarzające się akty ciężkiej przemocy wobec dziecka. „Chłosta?”, napisał lekarz sądowy. Pobicia tak poważne, że spowodowały złamania i pęknięcia kości. Dotyczy to głównie pleców i ramion, które były prawdopodobnie wystawione na ciosy ciężkim przedmiotem. Liczne objawy niedoboru substancji odżywczych świadczą o tym, że dziecko głodowało.

Jooną wygląda przez okno. Nie jest w stanie do tego

przywyknąć, ale obiecał sobie, że jeśli to się kiedyś stanie, odejdzie z pracy. Przeczesuje dłonią gęste włosy, przełyka ślinę i wraca do lektury.

A więc dziecko zostało zidentyfikowane. Chłopiec nazywał się Johan Samuelsson, jego zaginięcie zgłoszono przed trzynastu laty. Matka, Isabella Samuelsson, miała według własnego zeznania znajdować się w ogrodzie razem ze swoim synem, kiedy zadzwonił telefon. Weszła do domu, nie zabierając ze sobą chłopca. Dziecko zniknęło w czasie tych dwudziestu, trzydziestu sekund, które zajęło jej odebranie telefonu, stwierdzenie, że nikogo po drugiej stronie nie ma, i odłożenie słuchawki.

Johan miał wtedy dwa lata.

Pięć, kiedy został zamordowany.

Potem jego szczątki leżały przez dziesięć lat w ogrodzie Lydii Evers.

Dochodzący z kubka zapach grzańca przyprawia go nagle o mdłości. Jooną wstaje i uchyla okno. Spogląda w dół na zamknięte podwórze, sterczące gałęzie drzew przy areście, lśniący, mokry asfalt.

Lydia trzymała to dziecko przez trzy lata – myśli. – Trzy lata w tajemnicy. Trzy lata znęcania się, głodu i strachu.

– Jooną, w porządku? – pyta Anja, zaglądając przez uchylone drzwi.

– Jadę porozmawiać z rodzicami chłopca – mówi Jooną.

– Niklasson na pewno mógłby to zrobić.

– Nie.

– De Geer?

– To moja sprawa – mówi komisarz. – Jadę...

– Rozumiem.

– Możesz w tym czasie sprawdzić dla mnie kilka adresów?

– Mój drogi... – odpowiada Anja z uśmiechem. – Oczywiście, że mogę.

– Chodzi o Lydię Evers, chciałbym wiedzieć, gdzie przebywała

w ciągu ostatnich trzynastu lat.

– Lydia Evers? – powtarza policjantka.

Jooną czuje się tak, jakby był zamroczony. Wkłada futrzaną czapkę i zimową kurtkę. Wychodzi, żeby poinformować Isabellę i Joakima Samuelssonów, że ich syn Johan niestety został odnaleziony.

Anja dzwoni do niego, kiedy mija stary sztokholmski Urząd Celný.

– Szybko ci poszło – zauważa Jooną i próbuje nadać swojemu głosowi wesołe brzmienie, ale nie jest w stanie.

– Kochanie, to w końcu moja praca – szczebioce Anja.

Komisarz słyszy, jak kobieta wciąga powietrze. Z pokrytego śniegiem pola wzbija się stado czarnych ptaków. Patrząc na nie kątem oka, ma się wrażenie, że to ciężkie krople wody. Kiedy myśli o tych dwóch zdjęciach Johana, które ma w teczce, chce mu się głośno przeklinać. Na jednym widać roześmianego, rozczochranego chłopca w policyjnym mundurze. Na drugim – szczątki kości ułożone na metalowym stole, starannie zaopatrzone w karteczki z numerami.

– Pierdolony świat – mruczy pod nosem.

– No proszę, proszę!

– Przepraszam, Anju, to tylko jakieś auto...

– Okej, okej. Ale nie lubię przekleństw.

– Wiem – mówi Jooną zmęczonym głosem, nie mając siły wdawać się w sprzeczkę.

Do Anji chyba w końcu dociera, że to nie moment na żarty, bo tylko mówi neutralnie:

– Dom, w którym odnaleziono szczątki Johana Samuelssona, to dom rodziców Lydii Evers. Wychowała się w nim i to jej jedyne adres.

– Nie ma rodziny? Rodziców? Rodzeństwa?

– Czekaj, czytam na bieżąco. Nie wygląda na to... Ojciec nieznany, matka nie żyje. Chyba niezbyt długo opiekowała się Lydią.

– Żadnego rodzeństwa? – pyta jeszcze raz Joono.

– Nie – odpowiada Anja. Joono słyszy, jak przewraca kartki. –
A jednak! – woła. – Miała młodszego brata, ale wcześniej zmarł.

– Lydia miała wtedy... ile lat?

– Dziesięć.

– Zawsze mieszkała w tym domu?

– Nie, tego nie powiedziałam – oponuje Anja. – Mieszkała też
gdzie indziej, nawet kilka razy...

– Gdzie? – pyta cierpliwie Joono.

– Ulleråker, Ulleråker, Ulleråker.

– Szpital dla psychicznie chorych?

– To się nazywa klinika psychiatryczna. Ale tak.

W tej samej chwili Joono skręca w wąską drogę do Saltsjöbaden,
gdzie wciąż jeszcze mieszkają Samuelssonowie. Od razu zauważa ich
dom, w kolorze czerwieni faluńskiej, osiemnastowieczny,
z siodłowym dachem. W ogrodzie stoi zniszczony domek zabaw,
a za pagórkowatą działką mającą czarne ciężkie wody jeziora.

Joono przeciąga dłońmi po twarzy i wysiada z samochodu.
Nienawidzi tego robić. Brzegi zwirowanej dróżki są schludnie
wyłożone okrągłakami. Podchodzi do drzwi i naciska dzwonek,
odczeka, unosi rękę i dzwoni jeszcze raz. W końcu słyszy czyjś głos
wewnątrz domu.

– Ja otworzę!

Zamek zgrzyta i w drzwiach pojawia się nastolatka. Wokół oczu
ma namalowane czarne obwódki, a włosy ufarbowane
na fioletowo.

– Dzień dobry – odzywa się ze zdziwieniem w głosie i przygląda
się Joonie.

– Nazywam się Joono Linna – przedstawia się komisarz. – Jestem
z Krajowej Policji Kryminalnej. Czy mama i tata są w domu?

Dziewczyna kiwa głową i odwraca się, żeby zawołać. W końcu
korytarza stoi już jednak kobieta w średnim wieku i wbija wzrok
w Joonę.

– Amanda – mówi przestraszonym głosem. – Zapytaj go... Zapytaj, czego chce.

Joona potrząsa głową.

– Wolałbym nie mówić tego, co mam do powiedzenia, stojąc na schodkach pod drzwiami. Czy mogę wejść?

– Proszę – szepce kobieta.

Joona przekracza próg i zamyka za sobą drzwi. Patrzy na dziewczynkę, której zaczęła drżeć dolna warga. Potem na matkę, Isabellę Samuelsson. Kobieta przyciska dłonie do piersi, twarz ma białą jak płótno. Joona bierze głęboki oddech i mówi cicho:

– Jest mi bardzo, bardzo przykro. Znaleźliśmy szczątki Johana.

Matka zasłania pięścią usta, słysząc jęk. Opiera się o ścianę, ale potyka się i osuwa na podłogę.

– Tato! – krzyczy Amanda. – Tato!

Po schodach zbiega mężczyzna. Na widok szlochającej żony zwalnia. Nagle jakby cały kolor zniknął z jego warg i twarzy. Spogląda na żonę, córkę, a potem na policjanta.

– Chodzi o Johana... – mówi tylko.

– Znaleźliśmy jego szczątki – dopowiada głucho Joona.

Siadają w salonie. Dziewczynka obejmuje swoją mamę, która płacze rozpaczliwie. Ojciec wciąż wygląda na dziwnie spokojnego. Joona już to widział. Ci mężczyźni – a czasem i kobiety, choć rzadziej – którzy zdają się nie reagować jakoś szczególnie, którzy mówią i zadają pytania, których głos nabiera specyficznego brzmienia, jakiejś pustki, kiedy dowiadują się o szczegóły. Joona wie, że to nie jest obojętność. To walka. To desperacka próba odsunięcia chwili, w której uderzy ból.

– Jak go znaleźliście? – pyta szeptem matka między atakami płaczu. – Gdzie?

– Poszukiwaliśmy innego dziecka u pewnej osoby podejrzanej o porwanie – wyjaśnia Joona. – Nasz pies złapał trop... Zaznaczył miejsce w ogrodzie... Zdaniem lekarza sądowego Johan nie żyje od dziesięciu lat.

Joakim Samuelsson podnosi wzrok.

– Dziesięć lat?

Potrząsa głową.

– Ale – szepce – przecież minęło trzynaście lat, odkąd straciliśmy Johana.

Jooną kiwa głową. Czuje, że jest u kresu sił, ale wyjaśnia:

– Mamy powody przypuszczać, że osoba, która porwała państwa dziecko, trzymała je w niewoli przez trzy lata...

Patrzy w dół, na swoje kolana, a kiedy znów podnosi wzrok, zmusza się do spokojnego tonu głosu:

– Johan był więźniem przez trzy lata – kontynuuje – zanim sprawca pozbawił go życia. Kiedy umarł, miał pięć lat.

Maska na twarzy ojca pęka. Jego żelazne próby zachowania spokoju roztrzaskują się w miliony odłamków, jak cienka tafla szkła. Wpatruje się w Joonę, podczas gdy twarz kurczy mu się, a łzy zaczynają płynąć po policzkach, wpadając do otwartych ust. Potężne, straszne łkania przecinają powietrze. Jooną rozgląda się, przygląda zdjęciom na ścianach. Poznaje fotografię z teczki – dwuletni Johan w policyjnym mundurze. Zauważa zdjęcie z confirmacji dziewczynki. Jest też jedno, na którym uradowani rodzice pokazują nowo narodzonego dzidziusia. Przełyka ślinę i czeka. Naprawdę tego nienawidzi. Ale to jeszcze nie koniec.

– Jest jeszcze jedna sprawa, o którą muszę zapytać – odzywa się i uzbiera w cierpliwość, czekając, aż rodzice na tyle wezmą się w garść, żeby zrozumieć, o czym mówi.

– Muszę spytać, czy kiedykolwiek słyszeli państwo o niejkiej Lydii Evers.

Matka dezorientowana kręci głową. Ojciec mruga kilka razy i po chwili zaprzecza:

– Nie, nigdy.

Amanda szepce:

– Czy to ona... Ona porwała mojego starszego brata?

Jooną patrzy na nią z powagą.

– Tak sądzimy – potwierdza.

Kiedy w końcu wstaje, jego dłonie są mokre od potu, który spływa mu także po plecach.

– Moje kondolencje – powtarza. – Jest mi naprawdę bardzo, bardzo przykro.

Kładzie swoją wizytówkę na stole i zostawia numer do kuratora i grupy wsparcia.

– Proszę do mnie zadzwonić, jeśli przypomną sobie państwo cokolwiek albo jeśli po prostu będą chcieli państwo porozmawiać.

Zbiera się do wyjścia, kiedy kątem oka zauważa, że ojciec rodziny wstaje.

– Proszę poczekać... Muszę to wiedzieć. Czy już ją złapaliście? Macie ją?

Joona odwraca się do niego i zaciska zęby, rozkładając ręce.

– Nie, jeszcze jej nie złapaliśmy. Ale jesteśmy na tropie. Wkrótce ją schwytemy. Już niedługo, wiem to.

Joona wybiera numer do Anji, jak tylko wsiada do samochodu. Anja odbiera po pierwszym sygnale.

– Dobrze poszło? – pyta.

– To nigdy nie idzie dobrze – odpowiada Joona.

Na chwilę w słuchawce zapada milczenie.

– Chciałeś coś? – pyta Anja ogólnikowo.

– Tak.

– Wiesz, że jest sobota.

– Facet kłamie – ciągnie Joona. – Zna Lydię. Powiedział, że nigdy o niej nie słyszał, ale kłamał.

– Skąd wiesz?

– Jego oczy, kiedy zadałem pytanie. Mam rację.

– Wierzę ci, ty zawsze masz rację. Prawda?

– Tak, mam.

– A jak ci się nie wierzy, to potem człowiek musi znieść to twoje „a nie mówiłem”.

Joona uśmiecha się pod nosem.

- Znasz mnie już, jak słyszę.
- Chciałeś powiedzieć coś jeszcze, oprócz tego, że masz rację?
- Tak, że jadę do Ulleråker.
- Teraz? Wiesz, że dziś wieczorem mamy spotkanie świąteczne?
- To dziś?
- Joono – napomina go Anja. – To impreza firmowa, w Skansenie.

Chyba o niej nie zapomniałeś?

- Trzeba być? – pyta Joono.
- Trzeba – potwierdza zdecydowanie Anja. – Siedzisz koło mnie, prawda?
- Tylko nie zrób się zbyt natarczywa po kilku głębszych.
- Jakoś wytrzymasz.
- Jeśli będziesz aniołkiem, zadzwonisz do Ulleråker i dopilnujesz, żeby był tam ktoś, z kim mógłbym porozmawiać o Lydii, to będziesz mogła ze mną zrobić prawie wszystko.
- O Boże! Dzwonię! Dzwonię! – woła radośnie Anja i odkłada słuchawkę.

49 SOBOTA PO POŁUDNIU, DZIEWIĘTNASTY GRUDNIA

Joona już prawie nie czuje gniecienia w żołądku, kiedy wrzuca piątkę i pędzi przez rozjeżdżony śnieg drogą E4 w stronę Uppsali. Zakład psychiatryczny Ulleråker wciąż działa, mimo dużych oszczędności w służbie ochrony zdrowia psychicznego, które na początku lat dziewięćdziesiątych nazwano reformami. Nagle od dużej liczby chorych psychicznie osób zaczęto oczekiwać, że dadzą sobie same radę po spędzeniu całego życia w zakładzie. Zaoferowano im mieszkania, z których prędko zostali wyrzuceni, bo jeszcze nigdy sami nie płacili rachunków, nie pilnowali kuchenek ani drzwi. Zmniejszyła się liczba pacjentów zamkniętych w zakładach psychiatrycznych, ale o tyle samo wzrosła liczba bezdomnych. Wielki kryzys finansowy uderzył jako efekt liberalnych decyzji i nagle samorządy terytorialne nie dysponowały żadnymi środkami, żeby z powrotem przyjąć chorych. Dziś w Szwecji działa jedynie kilka szpitali psychiatrycznych, a Ulleråker jest jednym z nich.

Anja jak zwykle robiła dobrą robotę. Kiedy Joona wchodzi przez główne wejście, już po spojrzeniu dziewczyny w recepcji poznaje, że jest oczekiwany.

Recepcjonistka pyta tylko:

– Joona Linna?

Joona kiwa głową i pokazuje legitymację.

– Doktor Langfeldt czeka na pana. Pierwsze piętro, pierwszy pokój na prawo.

Joona dziękuje i rusza w górę szerokich kamiennych schodów. W oddali słyszy łomot i krzyki. W powietrzu unosi się zapach dymu papierosowego, a skądś dobiegają dźwięki telewizji. Okna są

zakratowane. Szpital otoczony jest parkiem przypominającym cmentarz. Pełen jest przemoczonych, szerniałych krzaków, zniszczonych wilgocią trejaży, po których pną się rosochate rośliny. Ponury widok, myśli Joona i mówi sobie, że miejsce tego rodzaju nie służy leczeniu – to tylko przechowalnia. Dochodzi do szczytu schodów i rozgląda się. Po lewej, za szklanymi drzwiami ciągnie się długi, wąski korytarz. Przez chwilę zastanawia się, gdzie go już widział, dopóki nie zdaje sobie sprawy, że to prawie identyczna kopia aresztu Kronoberg. Rzędy zamkniętych drzwi, wiszące metalowe klamki. Zasuwiki zamków. Przez jedno z drzwi wychodzi kobieta w długiej sukience. Wpatruje się w niego tępo przez szybę. Joona kiwa jej krótko głową i otwiera drzwi do drugiego korytarza. Unosi się w nim ostra, gryząca woń środków czyszczących, przypominająca zapach chloru.

Doktor Langfeldt czeka już w drzwiach.

– Pan z policji? – pyta retorycznie i wyciąga do Joony szeroką, potężną dłoń. Uścisk jest zaskakująco delikatny, może nawet najdelikatniejszy, z jakim Joona dotychczas się zetknął.

Doktor Langfeldt, nie zmieniając wyrazu twarzy, oszczędnym gestem zaprasza:

– Proszę do mojego pokoju.

Jego gabinet jest nadspodziewanie duży. Ciężkie regały wypełnione segregatorami pokrywają ściany. Pomieszczenie jest pozbawione jakichkolwiek ozdób, brak w nim obrazów czy zdjęć. Jediną dekoracją gabinetu jest dziecięcy rysunek na drzwiach. Przedstawia głowonoga namalowanego zieloną i niebieską kredką. W ten sposób trzylatki rysują ludzi. Prosto z twarzy – z oczami, nosem i ustami – wystają ręce i nogi. Można uznać, że albo głowonogi nie mają korpusu, albo głowa jest ich ciałem.

Doktor Langfeldt podchodzi do swojego biurka, niemal całkowicie zakrytego stertami papierów. Usuwa z krzesła dla interesantów stary telefon i wykonuje w stronę komisarza kolejny subtelny ruch ręki, który Joona interpretuje jako zaproszenie

do zajęcia miejsca.

Lekarz przygląda mu się w zamyśleniu. Jego oblicze jest poważne, poorane zmarszczkami, a w rysach kryje się jakaś martwota, jakby cierpiał na paraliż twarzy.

– Dziękuję, że znalazł pan czas – mówi Joon. – Jest przecież weekend i...

– Wiem, o co chce pan zapytać – przerywa mu lekarz. – Potrzebuje pan informacji o mojej pacjentce Lydii Evers.

Joon otwiera usta, ale doktor powstrzymuje go, unosząc dłoń.

– Zakładam, że słyszał pan o tajemnicy lekarskiej – ciągnie Langfeldt. – Poza tym...

– Znam prawo – przerywa mu Joon. – Jeśli za przestępstwo, którego dotyczy postępowanie, grozi więcej niż dwa lata pozbawienia wolności, to...

– Tak, tak, tak – wpada mu w słowo Langfeldt.

Wzrok lekarza nie próbuje nigdzie uciekać, jest po prostu martwy.

– Naturalnie mogę wezwać pana na przesłuchanie – dodaje łagodnie Joon. – W tej chwili prokurator przygotowuje nakaz aresztowania Lydii Evers. Prawdopodobnie zażądamy wówczas także dokumentacji lekarskiej.

Doktor Langfeldt uderza palcami o palce i oblizuje wargi.

– No właśnie – mówi. – Chciałbym tylko...

Urywa.

– Po prostu chcę gwarancji.

– Gwarancji?

Langfeldt kiwa głową.

– Żeby moje nazwisko nie pojawiło się w mediach w związku z tą historią.

Joon napotyka wzrok lekarza i zdaje sobie sprawę, że ta martwota to tak naprawdę skrywany strach.

– Nie mogę tego obiecać – odpowiada szorstko.

– A jeśli bym pana poprosił?

– Jestem uparty – wyjaśnia Joon.

Lekarz odchyła się na krześle. Kąciki jego ust drgają lekko. To do tej pory jedyna oznaka nerwowości, czy w ogóle życia.

– Co pan chce wiedzieć? – pyta.

Jooną nachyla się w jego stronę i odpowiada:

– Wszystko, ja zawsze chcę wiedzieć wszystko.

Godzinę później Jooną Linna wychodzi z pokoju lekarza. Rzuca okiem w przeciwny korytarz, ale kobieta w sukni zniknęła. Zbiegając po kamiennych schodach, zauważa, że zdążyło się całkiem ściemnić, nie widać ani parku, ani trejaży. Dziewczyna w recepcji najwyraźniej skończyła już pracę, jej lada jest pusta. W budynku panuje zupełna cisza, chociaż Jooną wie, że znajduje się w nim stu pacjentów.

Trzęsąc się z zimna, wsiada do samochodu i wyjeżdża z ogromnego parkingu przed szpitalem. Jest coś, co nie daje mu spokoju. Coś mu umknęło. Próbuje sobie przypomnieć moment, w którym pojawiło się to uczucie.

Lekarz wyjął segregator, identyczny jak cała reszta segregatorów wypełniających półki. Postukał w okładkę i rzekł:

– Oto ona.

Zdjęcie Lydii ukazywało dość ładną kobietę z długimi do pasa, ufarbowanymi henną włosami i dziwnie uśmiechniętym spojrzeniem: pod błagalną powierzchnią kipiała furia.

Za pierwszym razem, kiedy przyjęto ją na leczenie, miała jedynie dziesięć lat. Przyczyną było zamordowanie młodszego brata Kaspera Eversa. Pewnej niedzieli rozbiła mu czaszkę drewnianą łagą. Lekarzowi wyjaśniła, że mama zmusiła ją do wychowywania braciszka. Była za niego odpowiedzialna, kiedy mama pracowała albo spała, jej zadaniem było nauczyć go moresu.

Zajęto się Lydią, matkę skazano na więzienie za znęcanie się nad dziećmi. Kasper Evers miał trzy lata.

– Lydia straciła rodzinę – szepce Jooną, włączając wycieraczkę, kiedy nadjeżdżający z naprzeciwka autobus ochlapuje od góry do dołu jego samochód.

Doktor Langfeldt leczył Lydię jedynie silnymi psychotropami na stany lękowe, nie stosując żadnej terapii. Uważał, że była pod wpływem matki. Dzięki jego opinii Lydię umieszczono w jednym z młodzieżowych ośrodków adaptacji społecznej. Kiedy ukończyła osiemnaście lat, zniknęła z rejestrów. Wprowadziła się z powrotem do swojego dawnego domu i mieszkała tam z chłopakiem, którego poznała w ośrodku. Pięć lat później ponownie pojawia się w dokumentacji, kiedy zostaje skierowana na przymusowe leczenie psychiatryczne, zgodnie z niedziałającym już prawem, za wielokrotne pobicie dziecka na placu zabaw.

Doktor Langfeldt spotkał ją po raz drugi i tym razem została jego pacjentką w zakładzie, z zastrzeżeniem, że sąd orzeknie o jej zwolnieniu.

Lekarz opowiedział szorstkim, obojętnym tonem, że Lydia poszła na plac zabaw, wybrała pewne dziecko, chłopca około pięciu lat, którego zwabiła na bok, a następnie pobiła. Przychodziła w to samo miejsce wiele razy, zanim ją złapano. Ostatnie pobicie było tak poważne, że dziecko w stanie krytycznym znalazło się w szpitalu.

– Lydia siedziała w klinice psychiatrycznej Ulleråker przez sześć lat. Przez cały czas chodziła na terapię – wyjaśnił Langfeldt i uśmiechnął się smutno. – Zachowywała się wzorowo. Jedyнным problemem było to, że cały czas budowała alianse z innymi pacjentami. Tworzyła wokół siebie grupy. Grupy, od których żądała stuprocentowej lojalności.

Tworzy rodzinę, myśli Joona, skręcając w stronę Fridhensplan, kiedy nagle przypomina sobie o świątecznej imprezie w Skansenie. Zastanawia się, czy po prostu nie udać, że o niej zapomniał, ale zdaje sobie sprawę, że jest to winien Anji.

Langfeldt zamknął oczy i zaczął masować skronie, ciągnąc dalej:

– Po sześciu latach bez incydentów Lydia zaczęła dostawać przepustki.

– Ani jednego incydentu? – upewnił się Joona.

Langfeldt zastanowił się.

– Zdarzyła się jedna rzecz, ale nigdy jej tego nie dowiedziono.

– Co takiego?

– Pacjentka z raną twarzy. Twierdziła, że sama się pocięła, ale chodziły słuchy, że zrobiła to Lydia Evers. O ile pamiętam, to były tylko plotki, nikt nie brał tego na poważnie.

Langfeldt uniósł brwi, jakby chciał przejść do dalszej części swojej relacji.

– Proszę kontynuować – poprosił Jooną.

– Pozwolono jej na powrót do rodzinnego domu. Nadal chodziła na terapię, dobrze się zachowywała. Nie było powodu – mówił lekarz – naprawdę nie było powodu, by wątpić w szczerść jej zapewnień, że pragnie wyzdrowieć. Po dwóch latach przysłała pora na zakończenie leczenia. Wybrała formę terapii, która w tamtym czasie była w modzie. Terapia grupowa u...

– Erika Marii Barka – dokończył Jooną.

Langfeldt skinął głową.

– Wygląda na to, że ta cała hipnoza nie była dla niej korzystna – stwierdził z wyższością. – Skończyło się próbą samobójczą Lydii. Po raz trzeci wylądowała u mnie...

Jooną Linna przerwał mu:

– Czy opowiadała panu o załamaniu?

Langfeldt pokręcił głową:

– O ile rozumiem, to wszystko było winą tego hipnotyzera.

– Jest pan świadomy, że przyznała się Barkowi do zamordowania dziecka? – zapytał ostro Jooną.

Langfeldt wzruszył ramionami.

– Słyszałem o tym, ale hipnotyzer może chyba zmusić człowieka do wyznania czegokolwiek, jak przypuszczam.

– A więc nie potraktował pan poważnie tego wyznania?

Langfeldt uśmiechnął się oschle.

– Była wrakiem człowieka, w ogóle nie dało się z nią przeprowadzić rozmowy. Musiałem jej przepisać elektrowstrząsy i podać silne neuroleptyki. Trudno było w ogóle z powrotem

poskładać ją do kupy.

– A więc nawet pan nie próbował zbadać, czy to, co powiedziała, ma jakieś podstawy?

– Przyjąłem, że chodzi o poczucie winy z powodu młodszego brata – odparł Langfeldt surowo.

– Kiedy ją pan wypisał?

– Dwa miesiące temu. Bez wątpienia była zdrowa.

Joona wstał i jego wzrok padł znowu na jedyny obrazek w pokoju doktora Langfeldta, głowonoga wiszącego na drzwiach. Chodząca głowa – pomyślał nagle. – Sam mózg, żadnego serca.

– To pan – powiedział na głos, wskazując obrazek. – Prawda?

Doktor Langfeldt miał zdezorientowaną minę, kiedy Joona opuszczał jego gabinet.

Piąta po południu, słońce zaszło dwie godziny temu. Jest zimno i ciemno choć oko wykol. Rzadko rozstawione latarnie rozsiewają zamglone światło. Poniżej wzgórza Skansenu majączą przydymione światła miasta. W szopach widać szklarzy i złotników. Joona przechodzi przez świąteczny jarmark. Palą się ognie, konie parskają, pieką się kasztany. Dzieci biegają po kamiennym labiryncie, kilkoro stoi, popijając gorącą czekoladę. Słychać muzykę. Rodziny, trzymając się za ręce, tańczą wokół wysokiej choinki na drewnianym podeście.

Dzwoni telefon, Joona zatrzymuje się przed stoiskiem z kiełbasami i mięsem z renifera.

– Joona, słucham.

– Tu Erik Maria Bark.

– Cześć.

– Wydaje mi się, że Lydia zabrała ze sobą Benjamina do domu strachów Jussiego, gdzieś pod Doroteą, w Laponii.

– Wydaje ci się?

– Jestem prawie pewien – odpowiada Erik z uporem. – Dziś już nie ma lotów, nie musisz ze mną jechać, ale zarezerwowałem

na jutro trzy bilety.

– Dobrze – zgadza się Jooną. – Wyślij mi, proszę, SMS-a z danymi tego Jussiego, to skontaktuję się z tamtejszą policją.

Idąc jedną z wąskich żwirowych uliczek w stronę restauracji Solliden, słyszy za plecami dziecięcy śmiech i przechodzi go dreszcz. Pomalowany na żółto, ładny lokal ozdobiony jest sznurami lampek i gałązkami choiny. W jadalni podano świąteczne potrawy na czterech ogromnych, długich stołach. Jak tylko Jooną wchodzi do środka, zauważa swoich kolegów z pracy. Rozsiedli się pod wielkimi oknami oferującymi fantastyczny widok na wody Nybroviken i wyspę Södermalm z lunaparkiem Gröna Lund z jednej strony, a Muzeum Okrętu „Waza” z drugiej.

– Tu jesteśmy! – woła Anja.

Kobieta wstaje i macha do niego. Jooną uśmiecha się na widok jej entuzjazmu. Wciąż jeszcze czuje się nieswojo po wizycie w Ulleråker.

Wita się i siada obok Anji. Carlos Eliasson ma miejsce naprzeciw niego. Na głowę włożył mikołajową czapkę i wesoło kiwa Joonie.

– Już strzeliliśmy po jednym – mówi poufale, a jego zazwyczaj żółtoblada cera nabiera zdrowych rumieńców.

Anja próbuje wcisnąć rękę pod ramię Joony, ale on wstaje i wyjaśnia, że musi przynieść sobie coś do jedzenia.

Wędruje między gawędzącymi, jedzącymi ludźmi i myśli o tym, że naprawdę nie potrafi wzbudzić w sobie właściwego nastroju świąt. To tak, jakby jego część nadal siedziała w salonie u rodziców Johana Samuelssona. Albo jakby wciąż jeszcze poruszał się po zakładzie psychiatrycznym Ulleråker, w górę kamiennych schodów, do zamkniętych drzwi prowadzących na przypominający areszt korytarz.

Jooną bierze talerz ze sterty, staje w kolejce do śledzia i z daleka obserwuje kolegów z pracy. Anja wcisnęła swoje krągłe, bujne ciało w czerwoną sukienkę z angory. Na nogach wciąż jeszcze ma zimowe botki. Petter wdał się w gorącą dyskusję z Carlosem. Ma świeżo

ogoloną głowę, w świetle lamp ciemię połyskuje od potu.

Jooną nakłada sobie matiasy, śledzie w sosie musztardowym i marynowane. Stoi i przygląda się kobiecie z innej grupy biesiadników. Ubrana jest w jasnoszarą obcisłą sukienkę, a dwie ładnie uczesane dziewczynki prowadzą ją do stołu ze słodyczami. Za nimi śpieszy mężczyzna w brązowoszarym garniturze, prowadząc mniejszą dziewczynkę w czerwonej sukience.

Skończyły się ziemniaki w mosiężnym rondelku. Jooną czeka dłuższą chwilę, zanim kelnerka doniesie następną porcję. Jego ulubionego dania, fińskiej zapiekanki z brukwi, nigdzie nie widać. Jooną balansuje talerzem między policjantami, którzy nakładają sobie już czwartą porcję. Przy stole pięciu techników kryminalistyki wywrzaskuje piosenkę biesiadną Helan går, z wzniesionymi w górę kieliszkami. Jooną siada i natychmiast czuje na kolanie dłoń Anji. Kobieta uśmiecha się do niego.

– Pamiętasz, że miałeś mi pozwolić na macanki – żartuje, nachyla się ku niemu i dodaje głośnym szeptem: – Dziś chcę z tobą tańczyć tango.

Słyszysz to Carlos i woła:

– Anju Larsson, ty i ja zatańczymy tango!

– Zatańczę z Jooną – odpowiada zdecydowanie Anja.

Carlos przechyla głowę i bełkocze:

– Wezmę numerki do kolejki.

Anja wydyma wargi i upija trochę piwa.

– Jak było w Ulleråker? – pyta Joonę.

Komisarz krzywi się, a policjantka opowiada o ciotce, która nie była szczególnie chora, ale którą faszzerowano lekami, bo tak było wygodniej personelowi.

Jooną kiwa głową i już ma wziąć do ust kawałek łososa wędzonego na zimno, kiedy zamiera w pół ruchu. Przypomniał sobie, czego ważnego dowiedział się od Langfeldta.

– Anju – mówi. – Potrzebny mi jest pewien raport policyjny.

Kobieta parska śmiechem.

– Chyba nie teraz, co?

– To jutro, jak najwcześniej.

– Co to za raport?

– Przypadek pobicia. Lydia Evers została aresztowana za pobicie dziecka na placu zabaw.

Anja wyjmuje długopis i notuje na kwitku leżącym przed nią.

– Jutro niedziela, dzień śpiocha – marudzi.

– Będziesz musiała sobie darować.

– A zatańczysz ze mną?

– Obiecuję – szepce Jooną.

Carlos drzemie na krześle w garderobie. Petter i jego towarzystwo ruszyli na miasto, żeby kontynuować wieczór w Café Opera. Jooną i Anja obiecali dopilnować, żeby Carlos dotarł bezpiecznie do domu. Czekając na taksówkę, wychodzą na mroźne powietrze. Jooną prowadzi Anję na parkiet do tańca i ostrzega przed cienką warstewką lodu, którą wyczuwa na deskach pod nogami.

Tańczą, a Jooną nuci miękko:

– Milloin, milloin, milloin...

– Ożeń się ze mną – szepce Anja.

Jooną nie odpowiada, myśli o Disie i jej melancholijnej twarzy. Myśli o ich przyjaźni przez te wszystkie lata, o tym, jak musiał ją rozczarować. Anja próbuje dosięgnąć językiem jego ucha, a on delikatnie odsuwa głowę.

– Jooną – jęczy Anja. – Tak dobrze tańczysz.

– Wiem – odpowiada szeptem i okręca ją dookoła.

Powietrze pachnie drewnem i grzańcem. Anja przytula się do niego coraz mocniej, a Jooną myśli o tym, że trudno będzie sprowadzić Carlosa na dół, na parking taksówek. Wkrótce będą musieli skierować się w stronę ruchomych schodów.

W tej samej chwili dzwoni komórka w jego kieszeni. Anja wydaje głośny jęk zawodu, kiedy Jooną oswabada się i odbiera:

– Jooną Linna.

– Dobry wieczór – odzywa się spięty głos. – To ja. Joakim

Samuelsson. Był pan u nas dziś...

– Tak, wiem, kim pan jest – przerywa Jooną.

Przypomina sobie, jak żrenice Joakima Samuelssona rozszerzyły się na pytanie o Lydię Evers.

– Zastanawiałem się, czy nie moglibyśmy się spotkać – mówi Joakim Samuelsson. – Muszę o czymś panu powiedzieć.

Jooną spogląda na zegarek. Jest wpół do dziesiątej wieczorem.

– Czy moglibyśmy się zobaczyć jeszcze dziś? – pyta Joakim i dodaje bez powodu, że jego żona i córka pojechały do teściów.

– Dobrze – zgadza się Jooną. – Czy może pan przyjechać na komendę, wejście od Polhemsgatan, za trzy kwadranse?

– Tak – potwierdza Joakim wymęczonym głosem.

– Przykro mi, mała – mówi Jooną do Anji, czekającej na niego pośrodku sceny. – Nie będzie dziś więcej tanga.

– Twoja strata – odpowiada kobieta z kwaśną miną.

– Nie toleruję alkoholu – stwierdza z westchnieniem Carlos, kiedy zaczynają go prowadzić w stronę ruchomych schodów i wyjścia.

– Tylko się nie porzygaj – napomina szorstko Anja – bo zażądam podwyżki.

– Anja, Anja – wzdycha urażony Carlos.

Joakim siedzi w białym mercedesie po drugiej stronie ulicy, naprzeciw wejścia do Krajowego Urzędu Policji. Ma włączone oświetlenie wnętrza samochodu, w którym zdaje się zmęczony i osamotniony. Kiedy Jooną puka w szybę, Joakim wzdryga się, jakby był głęboko pogrążony w myślach.

– Dobry wieczór – mówi, otwierając drzwi. – Proszę wsiąść.

Jooną siada na fotelu pasażera. Czeką. W środku czuć zapach psa. Tylnie siedzenia okrywa rozpostarty koc pokryty sierścią.

– Wie pan – mówi Joakim – kiedy myślę o sobie, o tym, jaki byłem, kiedy urodził się Johan, to jakbym myślał o kimś zupełnie obcym. Miałem popaprane dzieciństwo, siedziałem w poprawczaku, byłem adoptowany... Ale kiedy poznałem Isabellę, wziąłem się

w garść, przyłożyłem się do nauki. W tym samym roku, w którym urodził się Johan, zdałem egzamin inżynierski. Pamiętam, że wyjechaliśmy na urlop, nigdy wcześniej nie byłem na urlopie, pojechaliśmy do Grecji. Johan właśnie nauczył się chodzić i...

Joakim Samuelsson kiwa głową.

– To było dawno temu. Był do mnie bardzo podobny... Te same...

W samochodzie zapada cisza. Mokry szary szczer przemknął, kołuszając się, chodnikiem, w kierunku zaśmieconych krzaków.

– O czym chciał mi pan powiedzieć? – pyta po chwili Joona.

Joakim pociera oczy.

– Jest pan pewien, że zrobiła to Lydia Evers? – pyta słabym głosem.

Joona kiwa głową.

– Jestem zupełnie pewien – potwierdza.

– W takim razie... – szepce Joakim Samuelsson, zwracając swą wycieńczoną, pooraną zmarszczkami twarz w stronę Joony. – Znam ją – mówi wprost. – Znam ją bardzo dobrze. Siedzieliśmy razem w poprawczaku.

– Czy wie pan, dlaczego porwała Johana?

– Tak – przyznaje Joakim Samuelsson i przełyka głośno ślinę. – Tam, w zakładzie... Lydia miała zaledwie czternaście lat, kiedy odkryli, że jest w ciąży. Oczywiście o mało nie popuścili ze strachu, więc zmusili ją do aborcji. Chciano to wyciszyć, ale... Było mnóstwo komplikacji, ciężka infekcja w macicy, która przeniosła się na jajowody, ale Lydia dostała penicylinę i wyzdrowiała.

Ręce Joakima drżą, kiedy kładzie je na kierownicy.

– Po poprawczaku zamieszkaliśmy razem w jej domu w Rotebro i staraliśmy się o dziecko, miała obsesję na tym punkcie. Ale się nie dało. Umówiła się na wizytę do ginekologa. Nigdy nie zapomnę, jak wróciła po badaniu i oznajmiła, że po tamtej aborcji stała się bezpłodna.

– To z panem zaszła w ciążę w zakładzie – domyśla się Joona.

– Tak.

- Więc był jej pan winien dziecko - mówi Jooną, bardziej do siebie niż do niego.

50 NIEDZIELA RANO, DWUDZIESTY GRUDNIA, CZWARTA NIEDZIELA ADWENTU

Pada bardzo gęsty śnieg. Zasy pokryły budynki terminali na Arlandzie. Pług jeździ tam i z powrotem, odśnieżając pasy startowe. Erik stoi przy dużym oknie i przygląda się taśmie z walizkami, które wjeżdżają pod górę w głąb wielkiego kolorowego samolotu.

Simone przynosi kawę oraz talerzyk bułeczek szafranowych i pierniczków. Stawia oba kubki przed Erikiem i spogląda przez ogromną szybę na lotnisko. Obserwują rząd stewardes w drodze do samolotu. Mają na głowach czerwone mikołajowe czapki i wydają się przesadnie stropione śnieżną mazią pod stopami.

Na parapecie lotniskowej kafeterii stoi mechaniczny mikołaj i rytmicznie porusza biodrami. Baterie są chyba na wykończeniu, ruchy mikołaja stają się coraz bardziej spazmatyczne, szarpane. Erik napotyka wzrok Simone. Kobieta ironicznie unosi brwi na widok kopulacyjnych podrygów figurki.

– Poczęstowali nas czymś słodkim – mówi, wlepiając wzrok w próżnię. Po chwili sobie przypomina. – Czwarta niedziela adwentu, to dziś.

Spoglądają na siebie, nie wiedząc, co powiedzieć. Nagle przez ciało Simone przebiega dreszcz i kobieta robi przerażoną minę.

– Co się stało? – pyta Erik.

– Czynniki krzepnięcia – odpowiada Simone zduszonym głosem. – Zapomnieliśmy... Jeśli on tam jest, jeśli żyje...

– Simone, ja...

– Minęło zbyt wiele czasu... Nie będzie mógł ustać na nogach...

– Simone, mam go – przerywa jej Erik. – Wziąłem ze sobą.

Kobieta patrzy na niego zaczerwienionymi oczyma.

– Naprawdę?

– Kennet mi przypomniał, zadzwonił ze szpitala.

Simone powraca pamięcią do momentu, gdy odwiozła Kenneta do domu. Patrzyła, jak wysiada z samochodu, a potem pada na twarz w śnieżne błoto. Myślała, że się potknął, ale kiedy wyskoczyła z auta, żeby pomóc mu wstać, był całkiem zamroczony. Wzięła go do szpitala, wnieśli go na noszach. Miał słabe odruchy, jego źrenice reagowały powoli. Lekarz sądził, że to połączenie efektów wstrząsu mózgu i skrajnego wyczerpania organizmu.

– Jak on się czuje? – pyta Erik.

– Spał, kiedy u niego byłem, ale lekarz raczej nie widzi większego zagrożenia.

– To dobrze – mówi Erik, spogląda na mechanicznego krasnala, a potem bez słowa bierze czerwoną świąteczną serwetkę i zakrywa go.

Serwetka buja się rytmicznie w przód i w tył, niczym duch. Simone wybucha śmiechem, okruchy piernika lądują na kurtce Erika.

– Przepraszam – mówi, krztusząc się – to wygląda komicznie. Szalony mikołaj erotoman, który...

Kolejny atak śmiechu i Simone zwija się w pół przy stole. Potem zaczyna płakać. Po jakimś czasie uspokaja się, wyciera nos, osusza twarz i wraca do picia kawy.

Mięśnie wokół jej ust zaczynają ponownie drgać, kiedy Joon Linna podchodzi do ich stolika.

– Policja z Umeå już tam jedzie – mówi bez ogródek.

– Masz z nimi kontakt radiowy? – pyta natychmiast Erik.

– Ja nie, są w kontakcie z...

Joon ucina nagle na widok serwetki zawieszanej na tańczącym krasnalu. Spod brzegu papieru wystaje para plastikowych butów. Simone odwraca głowę, zaczyna się trząść ze śmiechu albo z płaczu, albo jednego i drugiego. Brzmi to tak, jakby się czymś zakrztusiła. Erik zrywa się ze swojego miejsca i wyprowadza ją.

- Puść mnie – mówi Simone między konwulsjami.
- Chcę ci tylko pomóc, Simone. Chodź, wyjdziemy na zewnątrz. Otwierają drzwi na balkon i wychodzą na mroźne powietrze.
- Już mi przechodzi, dzięki – szepce kobieta.

Erik rzuca śnieg z barierki i opiera jej nadgarstek o zimny metal.

- Zaraz mi przejdzie – powtarza Simone. – Zaraz... przejdzie.

Zamyka oczy i traci równowagę. Erik łapie ją. Widzi, że Jooną szuka ich wzrokiem z kafeterii.

- Simone, jak się czujesz? – szepce do żony.

Kobieta patrzy na niego spod przymrużonych powiek.

- Nikt mi nie wierzy, kiedy mówię, że jestem taka zmęczona.

- Też jestem zmęczony, wierzę ci.

- Ale masz te swoje tabletki, prawda?

- Tak – odpowiada Erik, nawet nie myśląc, by się usprawiedliwiać.

Przez twarz Simone przechodzi skurcz, a Erik nagle czuje ciepłe łzy płynące mu po policzkach. Może to dlatego, że skończył z pigułkami i nie ma już wewnętrznej ochrony, wszystko w nim jest bezbronne, odkryte.

- Przez ten cały czas – mówi drżącymi ustami – miałem tylko jedną myśl w głowie: nie może umrzeć.

Stoją bez ruchu i obejmują się nawzajem. Śnieg pada na nich wielkimi, puszystymi płatkami. Szary lśniący samolot startuje w oddali z głośnym hukiem. Kiedy Jooną puka w szybę, obydwójce otrząsają się z zamyślenia. Erik otwiera i policjant wychodzi do nich. Odchrząkuje.

- Pomyślałem, że powinniście się dowiedzieć, że zidentyfikowaliśmy ciało znalezione obok domu Lydii.

- Kto to był?

- To nie było jej dziecko... Chłopiec zginął trzynaście lat temu.

Erik kiwa głową i czeka na dalszą część historii. Jooną wzdycha ciężko:

- Resztki ekskrementów i uryny wskazują...

Kiwa głową.

– Wskazują, że dziecko żyło dość długo, prawdopodobnie trzy lata, zanim odebrano mu życie.

Zapada milczenie. Śnieg wydaje się ciemny, pada na nich z szelestem. Z oddali słychać huk silnika samolotu wzbijającego się ku niebu.

– Innymi słowy, miałeś rację, Eriku... Lydia trzymała w klatce dziecko, które traktowała jak własne.

– Tak... – odpowiada bezgłośnie Erik.

– Zabiła chłopca, kiedy zrozumiała, co wyznała w transie, co to oznacza, co może oznaczać.

– Myślałem, że się pomyliłem, pogodziłem się z tym – mówi głucho Erik i patrzy na biały pas startowy.

– Czy to dlatego zerwałeś z hipnozą? – pyta Jooną.

– Tak.

– Myślałeś, że się pomyliłeś, i obiecałeś już nigdy więcej tego nie robić.

Simone przeciąga drżącą ręką po czole.

– Lydia cię zobaczyła, kiedy złamałeś przyrzeczenie. Zobaczyła Benjamina – dodaje cicho.

– Nie, musiała śledzić nas przez cały czas – szepce Erik.

– Lydię wypuszczono z Ulleråker dwa miesiące temu – mówi Jooną. – Ostrożnie zbliżała się do Benjamina. Może powstrzymywała ją twoja obietnica, że nigdy nie użyjesz hipnozy.

Jooną myśli o tym, że Lydia uważała Joakima Samuelssona za winnego aborcji, która doprowadziła do jej bezpłodności. To dlatego zabrała mu syna, Johana. A kiedy Erik wrócił do hipnozy, uznała, że skoro to przez niego musiała zabić Johana, teraz zabierze Benjamina.

Twarz Erika jest śmiertelnie poważna, twarda i zamknięta w sobie. Otwiera usta, żeby wyjaśnić, że łamiąc przyrzeczenie, prawdopodobnie ocalił życie Evelyn, ale powstrzymuje się, kiedy wychodzi do nich asystent policyjny.

– Musimy iść – oznajmia krótko. – Samolot startuje za dziesięć minut.

– Rozmawiałeś z policją w Dorotei? – pyta Joon.

– Nie mogą się skontaktować z patrolem, który pojechał do tego domu – odpowiada policjant.

– Dlaczego?

– Nie wiem, ale mówią, że próbują już od pięćdziesięciu minut.

– Do diabła, muszą im przecież wysłać jakieś wsparcie – mówi Joon.

– Powiedziałem to, ale oni chcą jeszcze poczekać.

Idąc w stronę samolotu, który czeka, by zabrać ich do południowej Laponii, na lotnisko Vilhelmina, Erika zalewa nagle krótkotrwała i dziwna fala ulgi: przez cały ten czas miał rację.

Unosi twarz naprzeciw płatkom śniegu, które kłębią się i wirują, lekko i groźnie jednocześnie. Simone odwraca się i bierze go za rękę.

51 CZWARTEK, SIEDEMNASTY GRUDNIA

Benjamin leży na podłodze i słucha lepkiego skrzypienia płóz bujanego fotela na błyszczącej powierzchni linoleum. Bardzo bołą go stawy. Fotel huśta się powoli, w przód i w tył. Słyszcć skrzypienie i uderzenia wiatru o blaszany dach. Nagle rozlega się metaliczny zaśpiew potężnych zawiasów w drzwiach do sieni i odgłos ciężkich kroków. Ktoś zrzuca zimowe buty. Benjamin unosi głowę, ale kiedy próbuje dojrzeć, kto wszedł do pokoju, obroża na jego szyi się zaciska.

– Leżeć – burczy Lydia.

Chłopiec zniża głowę do ziemi, czuje znów na policzku długie, szorstkie frędzle plecionego dywanika i suchy zapach kurzu w nosie.

– Za trzy dni czwarta niedziela adwentu – mówi Jussi. – Powinniśmy upiec pierniczki.

– Niedziele są na karanie i nic innego – oznajmia Lydia i huśta się dalej.

Marek parska śmiechem, ale zaraz milknie.

– Śmiej się – mówi Lydia.

– To nic takiego.

– Chcę, żeby moja rodzina była szczęśliwa – oznajmia Lydia stłumionym głosem.

– Ależ jesteśmy – zapewnia Marek.

Podłoga jest zimna, od ścian wieje zimnem, kłęby kurzu tłoczą się między kablami za telewizorem. Benjamin wciąż jest ubrany jedynie w swoją piżamę. Myśli o tym, jak dotarli do domu Jussiego. Już wtedy ziemię pokrywał śnieg i od tamtej pory nieprzerwanie padał, topniał i zamarzał. Marek poprowadził go przez plac z różnymi pojazdami, między starymi, zasypanymi śniegiem autobusami i wrakami samochodów na podpórkach z cegieł. Szedł przez śnieg bosy, stopy go paliły. To było jak wędrowanie fosą

między tymi wielkimi, zaśnieżonymi autami na podwórzu. W domu paliło się światło, na schody wyszedł Jussi ze strzelbą na łosie na ramieniu, ale na widok Lydii jakby cała siła z niego wyparowała. Nie była oczekiwana, nie była mile widziana, ale nie mógł się sprzeciwić, tylko musiał podporządkować się jej woli. Potrząsnął głową, kiedy Marek podszedł i odebrał mu strzelbę. Potem dały się słyszeć kroki w sieni i wyszła Annbritt. Jussi wymamrotał, że to jego dziewczyna, że powinni dać jej odejść. Kiedy Annbritt ujrzała obrożę na szyi Benjamin, pobladła jak ściana i próbowała zawrócić w głąb domu i zamknąć drzwi. Marek powstrzymał ją, wtykając lufę karabinu w szparę, i z uśmiechem zapytał, czy mogą wejść.

– Porozmawiamy o świątecznych potrawach? – pyta teraz niepewnie Annbritt.

– Najważniejsze są śledź i głowizna – mówi Jussi.

Lydia wzdycha z irytacją. Benjamin zerka w górę na pomalowany na złoto wentylator pod sufitem i cztery złote lampy. Cienie nieruchomych łopat na białych panelach wyglądają jak szary kwiat.

– Chłopiec zje pewnie pulpeciki – mówi Jussi.

– Zobaczymy – odpowiada Lydia.

Marek spluwa do doniczki i wygląda przez okno w ciemności.

– Człowiek się robi głodny – mówi.

– Mamy w zamrażarce sporo łosia i sarniny – odpowiada mu Jussi.

Marek podchodzi do stołu, grzebie w koszyku z chlebem, odłamuje kawałek chrupkiego pieczywa i wsadza sobie do ust.

Kiedy Benjamin podnosi wzrok, Lydia szarpie za obrożę. Chłopiec kaszle i kładzie się z powrotem. Jest głodny i zmęczony.

– Niedługo będę potrzebował swojego lekarstwa – odzywa się.

– Świetnie sobie poradzisz bez – mówi Lydia.

– Muszę dostawać jeden zastrzyk tygodniowo, a minął już ponad tydzień od...

– Masz być cicho.

– Umrę, jeśli nie...

Lydia szarpie go tak mocno, że Benjamin jęczy z bólu. Zaczyna płakać, na co ona jeszcze raz szarpie za smycz, żeby się uciszył.

Marek włącza telewizor, słysząc trzaski i jakiś daleki głos. Może to transmisja sportowa. Marek przerzuca kanały, nie znajdując na żadnym obrazu, i w końcu wyłącza odbiornik.

– Mogłem zabrać telewizor z drugiego domu – mówi.

– Tu u nas, na górze, nie ma kabłówki – wyjaśnia Jussi.

– Jesteś idiotą – wtrąca Lydia.

– Czemu satelita nie działa? – pyta Marek.

– Nie wiem – odpowiada gospodarz. – Czasem dość mocno wieje, pewnie się wykoślawiła.

– To ją napraw – mówi Marek.

– Sam sobie napraw!

– Dość tych bzdur! – krzyczy Lydia.

– I tak w telewizji są same głupoty – mruczy Jussi.

– Lubię Let's Dance – mówi Marek.

– Czy mogę do ubikacji? – pyta cicho Benjamin.

– Sikać możesz na zewnątrz – oznajmia Lydia.

– W porządku – zgadza się chłopiec.

– Wyprowadź go, Marku – poleca Lydia.

– Niech Jussi to zrobi.

– Sam chyba może wyjść – wtrąca Jussi. – Nie ma jak uciec, jest minus pięć i daleko do...

– Idź z nim – przerywa Lydia. – Popilnuję w tym czasie Annbritt.

Benjamin siada, czując zawroty głowy. Widzi, że Jussi przejął smycz od Lydie. Kolana mu zeszywniały i do ud promieniuje rozsadzający ból, kiedy zaczyna iść. Każdy krok jest nie do zniesienia, ale chłopiec zaciska zęby, żeby nie wydać z siebie dźwięku. Nie chce przeszkadzać Lydie, nie chce jej drażnić.

W korytarzu na ścianach wiszą dyplomy. Światło pochodzi od mosiężnego kinkietu z czterema kloszami z matowego szkła. Plastikowa torba z supermarketu Ica z napisem „jakość, dbałość, serwis” stoi na linoleum w kolorze korka.

– Muszę się wysrać – mówi Jussi, puszcżając smycz. – Poczekaj w sieni, jak wrócisz.

Jussi trzyma się za brzuch, sapiąc, znika w toalecie i zamyka za sobą na klucz. Benjamin spogląda za siebie, przez szparę w drzwiach widzi szerokie, pulchne plecy Annbritt i słyszy, jak Marek opowiada o greckiej pizzy.

W korytarzu na haku wisi ciemnozielona puchówka Lydii. Benjamin przeszukuje jej kieszenie, znajduje klucze do domu, złotą portmonetkę i swoją komórkę. Serce zaczyna mu mocniej bić, kiedy zdaje sobie sprawę, że bateria telefonu wystarczy przynajmniej na jedną rozmowę. Wymyka się przez samozamykające się drzwi do sieni, mija wejście do spiżarni i wychodzi na obezwładniający ziąb. Ma słaby zasięg. Idzie kawałek na boso odśnieżoną ścieżką prowadzącą do drewnutni. W ciemności domyśla się krągłych formacji śnieżnych na starych autobusach i samochodach na podwórzu. Ręce ma zeszywniałe, trzęsą mu się z zimna. Pierwszy numer, jaki znajduje, to komórka Simone. Wybiera go i drżąc, przykłada telefon do ucha. Słyszy pierwsze przerywane sygnały, kiedy otwierają się drzwi domu. To Jussi. Patrzą na siebie. Benjaminowi nie przychodzi do głowy, by schować komórkę. Powinien może biec, ale nie wie, gdzie miałyby się podziać. Jussi podchodzi do niego długimi krokami, twarz ma bladą i zdenerwowaną.

– Skończyłeś? – pyta głośno.

Podchodzi do Benjamin, ich oczy spotykają się, widać w nich porozumienie, odbiera mu telefon i rusza do drewnutni, w tej samej chwili, w której Lydia otwiera i wychodzi z domu.

– Co wy tam robicie? – pyta.

– Przyniosę parę kawałków drewna! – woła Jussi, chowając telefon pod kurtkę.

– Skończyłem – mówi Benjamin.

Lydia czeka w drzwiach i wpuszcza Benjamin do domu.

Jak tylko Jussi wchodzi do drewnutni, patrzy na telefon i widzi,

że na jasnoniebieskim wyświetlaczu pojawiło się „mama”. Mimo mrozu czuje zapach drewna i żywicy. W szopie jest prawie czarno. Jedyne światło pochodzi z telefonu. Jussi przykłada go do ucha i słyszy, że w tej samej chwili ktoś odbiera.

– Halo – odzywa się męski głos. – Halo?

– Czy to Erik? – pyta Jussi.

– Nie tu...

– Nazywam się Jussi, może pan przekazać wiadomość dla Erika, to ważne, jesteśmy tu, na północy, u mnie w domu, ja, Lydia, Marek i...

Jussi przerywa, kiedy mężczyzna, który odebrał, wrzeszczy gardłowo. Słysząc huk i trzaski. Ktoś kaszle, jakaś kobieta płacze żałośnie, potem zapada cisza. Rozmowa przerwana. Jussi spogląda na telefon, myśli, że powinien spróbować zadzwonić do kogoś innego, zaczyna przeglądać numery, kiedy nagle wysiada bateria. Telefon gaśnie w tej samej chwili, w której otwierają się drzwi drewniane i do środka zagląda Lydia.

– Widziałam twoją aurę przez szczeliny w drzwiach, była zupełnie niebieska – mówi.

Jussi chowa telefon za plecami i wsadza do kieszeni, jednocześnie wrzucając polana do kosza.

– Idź do środka – mówi Lydia. – Ja się tym zajmę.

– Dzięki – odpowiada Jussi i wychodzi z szopy.

Wracając ścieżką do domu, widzi, jak pokrywające śnieg kryształki lodu błyszczą w świetle dochodzącym z okien. Pod stopami skrzypi suchy śnieg. Z tyłu słyszy nierówne człapanie, sapiące odgłosy. Przychodzi mu na myśl jego pies Castro. Pamięta, jak Castro był szczeniakiem i polował na myszy pod lekkim, świeżym śniegiem. Uśmiecha się do siebie, kiedy uderzenie w tył głowy pozbawia go równowagi. Upadłby na brzuch, gdyby nie to, że siekiera utkwiała mu w czaszce i ciągnie go w tył. Stoi bez ruchu ze zwieszonymi ramionami. Lydia porusza siekierą, żeby ją wydobyć. Jussi czuje krew płynącą mu po karku i wzdłuż pleców.

Pada na kolana, potem na twarz, czuje śnieg na policzku, kopie nogami, przewraca się na plecy, żeby wstać. Pole widzenia gwałtownie mu się kurczy, ale w ostatnich sekundach świadomości widzi jeszcze, jak Lydia robi kolejny zamach.

52 NIEDZIELA RANO, DWUDZIESTY GRUDNIA, CZWARTA NIEDZIELA ADWENTU

Benjamin kuli się pod ścianą za telewizorem. Czuje przerażające zawroty głowy, z trudem jest w stanie skupić na czymkolwiek wzrok. Jest bardziej spragniony niż kiedykolwiek w swoim życiu. Głód został stłumiony, choć nie zniknął – jest niczym tępy, nieokreślony ból w okolicy jelit, ale przyćmiewa go całkowicie pragnienie. Pragnienie i ból stawów. Pragnienie, które dusi, jakby gardło było jedną wielką raną. Już prawie nie przełyka, w ustach nie ma śliny. Myśli o dniach spędzonych na podłodze tego domu, o Lydii, Marku, Annbritt i sobie, siedzących beczynnie w jedynymumeblowanym pokoju.

Benjamin słucha śniegu stukającego delikatnie o dach. Rozmyśla o tym, jak Lydia wtargnęła w jego życie, jak podbiegła do niego, kiedy wracał po szkole do domu.

– Zapomniałeś tego! – zawołała, podając mu jego czapkę.

Zatrzymał się i podziękował. Popatrzyła na niego dziwnie i po chwili powiedziała:

– Ty jesteś Benjamin, prawda?

Zapytał, skąd zna jego imię. Pogładziła go wtedy po włosach i wyjaśniła, że to ona go urodziła.

– Ale dałam ci na imię Kasper – oznajmiła. – Chciałabym móc nazywać cię Kasper.

Wręczyła mu szydełkowane jasnoniebieskie śpioszki.

– Zrobiłam je dla ciebie, kiedy nosiłam cię w brzuchu – wyszeptała.

Wyjaśnił jej, że nazywa się Benjamin Peter Bark i że nie może być jej dzieckiem. To wszystko było raczej smutne i starał się rozmawiać z nią spokojnie i miło. Słuchała go z uśmiechem,

a potem tylko potrząsnęła melancholijnie głową.

– Zapytaj rodziców – zaproponowała. – Zapytaj, czy jesteś naprawdę ich dzieckiem. Możesz to zrobić, ale nie powiedzą ci prawdy. Nie mogli mieć dzieci. Zauważysz, że będą kłamać. Zrobią to, żeby cię nie stracić. Nie jesteś ich prawdziwym dzieckiem. Mogę ci opowiedzieć o twoim pochodzeniu. Jesteś mój. Takie są fakty. Nie widzisz, że jesteśmy do siebie podobni? Zostałam zmuszona do oddania cię do adopcji.

– Ale ja nie jestem adoptowany – bronił się.

– Wiedziałam... Wiedziałam, że ci nie powiedzą – odparła.

Zastanowił się i doszedł nagle do wniosku, że to może być prawda, od dawna czuł się inny.

Lydia przyglądała mu się z uśmiechem.

– Nie mogę ci tego dowieść – powtórzyła. – Musisz zaufać własnym uczuciom, musisz sam pomyśleć. Wtedy zrozumiesz, że to prawda.

Rozstali się, ale spotkał ją znowu następnego dnia. Poszli razem do cukierni i długo siedzieli, rozmawiając. Opowiedziała mu o tym, jak została zmuszona, żeby oddać go do adopcji, ale nigdy o nim nie zapomniała. Rozmyślała o nim każdego dnia od chwili, w której się urodził i został jej odebrany. Tęskniła za nim w każdej minucie swojego życia.

Benjamin opowiedział o wszystkim Aidzie i zgodzili się, że Erik i Simone absolutnie nie powinni się o tym dowiedzieć, dopóki on sobie tego dobrze nie przemyśli. Chciałby najpierw poznać Lydię, zastanowić się, czy to może być prawda. Lydia kontaktowała się z nim przez pocztę elektroniczną Aidy. Dostała jej adres mailowy i wysłała mu zdjęcie rodzinnego grobowca.

– Chcę, żebyś wiedział, kim jesteś – powiedziała. – Tu spoczywa twoja rodzina, Kasper. Pewnego dnia pojedziemy tam razem, ty i ja.

Benjamin prawie zaczął jej wierzyć. Chciał jej wierzyć, była fascynująca. Niesamowite było czuć się tak wytęsknionym, kochanym. Dawła mu różne rzeczy, drobiazgi z własnego

dzieciństwa, pieniądze, książki i aparat fotograficzny, a on dawał jej rysunki, przedmioty, które zachował z czasów, kiedy był mały. Dopilnowała nawet, żeby ten Wailord przestał go dręczyć. Pewnego dnia wręczyła mu kartkę od Wailorda, na której tamten dał słowo, że już nigdy więcej nie zbliży się do Benjamina ani jego przyjaciół. Coś takiego nigdy nie udałoby się jego rodzicom. Coraz bardziej był przekonany, że jego rodzice – ludzie, którym wierzył przez całe swoje życie – zachowywali się jak kłamcy. Irytowało go, że nigdy z nim nie rozmawiali, nigdy tak naprawdę nie okazywali, co dla nich znaczy.

Jak mógł być tak niewiarygodnie głupi?

Wtedy Lydia zaczęła mówić o przychodzeniu do niego do domu, przebywaniu z nim. Chciała mieć jego klucze. Nie rozumiał do końca, po co jej były. Powiedział, że może ją wpuścić, jak zadzwoni do drzwi. Rozzłościła się. Powiedziała, że będzie musiała go ukarać, jeśli nie będzie posłuszny. Pamięta, że całkiem go zatkało. Wyjaśniła, że już kiedy był małym dzieckiem, dała jego przybranym rodzicom dyscyplinę na znak, że oczekuje od nich właściwego wychowania go. Potem po prostu wyjęła klucze z jego plecaka i powiedziała, że sama będzie decydować, kiedy odwiedzi własne dziecko.

Wtedy zrozumiał, że nie mogła być całkiem zdrowa. Następnego dnia, kiedy czekała na niego, podszedł do niej, spokojnie poprosił o zwrot kluczy i oznajmił, że nie chce się z nią więcej spotykać.

– Ależ Kasper – powiedziała. – Oczywiście, że dostaniesz swoje klucze.

Oddała mu je. Ruszył, a ona zaczęła iść za nim. Stał więc i zapytał, czy nie zrozumiała, że nie chce się już więcej z nią spotykać.

Benjamin zerka na swoje ciało. Widzi na kolanie ogromnego siniaka. Mama wpadłaby w histerię, gdyby to zobaczyła, myśli.

Marek jak zwykle stoi przy oknie i wygląda na zewnątrz. Pociąga nosem i spluwa na szybę w stronę ciała Jussiego leżącego w śniegu.

Annbritt kuli się przy stole. Próbuje powstrzymać płacz, przełyka, chrząka, czka. Kiedy wyszła przed dom i zobaczyła, jak Lydia morduje Jussiego, wrzeszczała, dopóki Marek nie wycelował w nią strzelby i nie oznajmił, że ją zabije, jeśli wyda z siebie choć jedno chlipnięcie.

Lydii nigdzie nie widać. Benjamin podciąga się do pozycji siedzącej i mówi ochryple:

– Marek, jest jedna rzecz, którą powinieneś wiedzieć... Marek spogląda na chłopca oczyma czarnymi jak ziarnka pieprzu, potem kładzie się na podłodze i zaczyna robić pompki.

– Czego chcesz, zasrańcu? – pyta z wysiłkiem.

Benjamin przełyka resztki śliny poranionym gardłem.

– Jussi powiedział mi, że Lydia zamierza cię zabić – kłamie. – Najpierw miała załatwić jego, potem Annbritt, a na końcu ciebie.

Marek nie przerywa ćwiczenia, w końcu z westchnieniem podnosi się z podłogi.

– Zabawne gówienko z ciebie.

– Tak powiedział – zapewnia Benjamin. – Chce tylko mnie. Chce być ze mną sama. To prawda.

– Prawda, tak?

– Tak, Jussi powiedział, że mówiła, co zamierza, że najpierw go zabije, a teraz on...

– Stul pysk – przerywa Marek.

– Będziesz tak siedział i czekał na swoją kolej? – pyta Benjamin. – Ona ma cię gdzieś, uważa, że my jesteśmy lepszą rodziną, tylko ona i ja.

– Jussi naprawdę powiedział, że ona chce mnie zabić? – pyta Marek.

– Tak, słowo, ona...

Marek wybucha głośnym śmiechem, Benjamin milknie.

– Już słyszałem wszystko, co człowiek może wymyślić, żeby uniknąć bólu – mówi z uśmiechem. – Wszystkie obietnice i fortele, umowy i sztuczki.

Marek obojętnie odwraca się do okna. Benjamin wzdycha i próbuje wymyślić coś innego, kiedy wchodzi Lydia. Usta ma surowe i zaciśnięte, jest bardzo blada i trzyma coś za plecami.

– Tak minął tydzień i znów jest niedziela – oznajmia uroczyście i zamyka oczy.

– Czwarta adwentu – szepce Annbritt.

– Proszę, żebyśmy się rozluźnili i rozważyli miniony tydzień – ciągnie powoli Lydia. – Trzy dni temu Jussi opuścił nas, nie ma go już wśród żywych, jego dusza wędruje po jednym z siedmiu kręgów niebieskich. Zostanie rozdarty na strzępy za swoją zdradę przez tysiące inkarnacji jako zwierzę przeznaczone na rzeź lub robak.

Milknie.

– Rozważyliście? – pyta po chwili.

Kiwają głowami, a Lydia uśmiecha się z zadowoleniem.

– Kasper, podejdź do mnie – mówi stłumionym głosem.

Benjamin próbuje wstać, stara się nie krzywić z bólu, ale Lydia i tak zadaje pytanie:

– Robisz do mnie miny?

– Nie – szepce chłopiec.

– Jesteśmy rodziną i szanujemy się wzajemnie.

– Tak – potakuje na skraju płaczu.

Lydia uśmiecha się i wyciąga przedmiot, który kryła za plecami. Są to nożyce, wielkie nożyce krawieckie z szerokimi ostrzami.

– Więc nie będzie dla ciebie problemem przyjęcie należytej kary – oznajmia spokojnie i z kamienną twarzą kładzie na stole nożyce.

– Jestem tylko dzieckiem – mówi Benjamin i chwije się na nogach.

– Stój spokojnie! – ryczy Lydia. – Że też to nigdy nie wystarczy... Że też ty nigdy, nigdy nie możesz zrozumieć. Walczę, staram się, pracuję, tyram, żeby nasza rodzina funkcjonowała. Była w komplecie, czysta. Chcę tylko, żeby funkcjonowała.

Benjamin płacze ze spuszczoną głową, z jego ust dobywa się ciężkie, chrapliwe łkanie.

– Jesteśmy rodziną, czyż nie?

– Tak – potakuje chłopiec. – Tak, jesteśmy.

– To dlaczego tak się zachowujesz? Skradasz się za plecami, zdradzasz i oszukujesz, kradniesz, obmawiasz i niszczysz... Cemu mi to robisz? Wtykasz nos w nie swoje sprawy, rozsiewasz plotki i chlapiasz ozorem.

– Nie wiem – szepce Benjamin. – Przepraszam.

Lydia unosi w górę nożyce. Oddycha ciężko, pot spływa jej po twarzy. Czerwone plamy pojawiły się na policzkach i szyi.

– Zostaniesz ukarany i będziemy mogli zapomnieć o tym – oznajmia lekkim, choć zdecydowanym tonem.

Mierzy wzrokiem Marka i Annbritt.

– Annbritt – mówi. – Podejdź.

Annbritt, która siedziała, wpatrując się w ścianę, podchodzi do niej z wahaniem. Oczy ma spłoszone, patrzą we wszystkich kierunkach, koniuszek brody drży.

– Odetnij mu nos – rozkazuje Lydia.

Twarz Annbritt robi się krwście czerwona. Patrzy na Lydię, potem na Benjamina. Potrząsa głową. Lydia chwytą ją za pulchne ramię i popycha w stronę chłopca.

– Kasper wtykał nos w nie swoje sprawy, więc się go pozbędzie.

Annbritt z nieobecny wzrokiem pociera policzek, potem unosi nożyce. Marek zbliża się i mocno obejmuje głowę Benjamina, kierując ją w stronę Annbritt. Ramiona nożyc błyskają metalicznie, chłopiec widzi przed sobą niespokojną twarz kobiety, nerwowe tiki wokół oczu i ust, ręce, które zaczynają się trząść.

– Utnij w końcu! – wyje Lydia.

Annbritt stoi z uniesionymi nożycami i płacze głośno.

– Mam skazę krwotoczną – kwili Benjamin. – Umrę, jeśli to zrobisz. Mam skazę krwotoczną!

Dłonie kobiety drżą, tnie powietrze przed twarzą chłopca i upuszcza narzędzie na podłogę.

– Nie mogę – szlocha. – Nie da się... Bolał mnie ręce od tych nożyc,

nie mogę ich utrzymać.

– To jest nasza rodzina – mówi Lydia surowo, zmęczonym głosem, schylając się z wysiłkiem i podnosząc z ziemi narzędzie.

– Masz mnie słuchać i szanować. Zrozumiano?!

– Bolał mnie ręce, mówiłam przecież! Nożyce są za duże dla...

– Zamknij się – przerywa jej Lydia i uderza z całej siły żelaznymi uchami. Annbritt jęczy, odsuwa się o krok, niepewnie opiera o ścianę i przyciska dłoń do zakrwawionych warg.

– Niedziele są na karanie – dyszy Lydia.

– Nie chcę – błaga kobieta. – Proszę... Nie chcę...

– Chodź tu – nakazuje niecierpliwie Lydia.

Annbritt kręci tylko głową i szepce coś pod nosem.

– Co powiedziałaś? Powiedziałaś do mnie „cipo”?

– Nie, nie – płacze Annbritt i wyciąga rękę. – Zrobię to – szlocha. – Obetnę mu nos. Pomogę wam. To nie boli, zaraz będzie po wszystkim.

Lydia z zadowoleniem wręcza jej nożyce. Annbritt podchodzi do Benjamin, głaszcząc go po głowie i rzuca szeptem:

– Nie bój się. Tylko się pośpiesz, uciekaj co sił w nogach.

Benjamin spogląda na nią pytająco, próbuje odczytać coś z jej przerażonego spojrzenia i drżących warg. Annbritt unosi nożyce, ale obraca się do Lydii i uderza, choć bez większej siły. Benjamin widzi, jak Lydia broni się przed atakiem Annbritt, jak Marek łapie jej tęgi nadgarstek, prostuje rękę i wyłamuje ze stawu barkowego. Annbritt wrzeszczy z bólu. Benjamin już nie ma w pokoju, kiedy Lydia podnosi nożyce z podłogi i siada okrakiem na jej piersi. Annbritt odchyła głowę we wszystkie strony, żeby uniknąć ciosu.

Kiedy Benjamin wybiega z zimnej sieni na piekący mróz, słyszy krzyk i kaszel Annbritt.

Lydia ociera krew z policzka i rozgląda się za chłopcem.

Benjamin idzie śpiesznie odśnieżoną ścieżką.

Marek zdejmuje ze ściany strzelbę na łosie, ale Lydia go powstrzymuje.

– To mu dobrze robi – mówi. – Kasper nie ma butów i ubrany jest w piżamę. Wróci do mamy, kiedy zmarznie.

– Albo umrze – dodaje Marek.

Benjamin je śnieg i nie dba o ból, przebiegając między rzędami pojazdów. Potyka się, ale zaraz wstaje, biegnie kawałek i traci czucie w stopach. Marek wrzeszczy coś za nim od strony domu. Benjamin wie, że mu nie ucieknie, jest zbyt mały i słaby. Najlepiej ukryć się w ciemnościach, a potem znaleźć drogę do jeziora, kiedy wszystko się uspokoi. Może jakiś wędkarz przyjdzie ze świdrem i skrzynką na ryby. Jussi opowiadał, że lód skuł Djuptjärnen dopiero jakiś tydzień temu, początek zimy był łagodny.

Benjamin czuje, że musi się zatrzymać, nasłuchuje kroków, opiera dłoń o zardzewiałego pick-upa, zerka w stronę czarnego skraju lasu i rusza dalej. Nie zajdzie daleko, całe ciało pali go z bólu i zimna. Upada i wczołguje się pod sztywną plandekę chroniącą traktor, pełźnie pod nim przez przemarzniętą trawę, pod następny samochód, potem wstaje. Widzi, że znalazł się pomiędzy dwoma autobusami. Po omacku wyszukuje otwarte okno w jednym z nich, udaje mu się wspiąć po wielkiej oponie i wślizgnąć się do środka. W ciemnościach przesuwają się w głąb i na jednym z siedzeń znajduje stos starych dywaników, w które się owija.

53 NIEDZIELA RANO, DWUDZIESTY GRUDNIA, CZWARTA NIEDZIELA ADWENTU

Pomalowane na czerwono budynki lotniska w Vilhelminie położone są na białym rozległym pustkowiu. Jest dopiero dziesiąta rano, ale tej niedzieli, czwartej niedzieli adwentu, mrok jest gęsty. Reflektory oświetlają betonowy pas lądowiska. Po półtoragodzinnym locie samolot powoli toczy się w stronę budynku terminalu.

W poczekalni jest ciepło i zaskakująco przytulnie. Z głośników płynie świąteczna muzyka, a ze sklepiku wyglądającego na połączenie kiosku, punktu informacyjnego i kafejki roznosi się aromat kawy. Przed sklepikiem wiszą szerokie rzędy tak zwanego lapońskiego rękodzieła – noży do masła, czarek i wyplatanych z kory koszyczków. Simone patrzy tępo na lapońskie czapki na stojaku. Przez chwilę czuje żal z powodu tej pradawnej kultury łowieckiej, która zmuszona została odrodzić się w formie kolorowych czapek z czerwonymi pomponami dla dowcipnych turystów. Czas zepchnął w niebyt lapoński szamanizm, a ceremonialne bębny, meaurresgárri, ludzie wieszają sobie nad kanapą. Nawet hodowla reniferów wkrótce przerodzi się w atrakcję turystyczną.

Joona wyciąga komórkę i wybiera numer. Erik jednocześnie pokazuje palcem taksówkę – minibusa czekającego przy pustym wyjściu. Policjant kręci głową i z rosnącą irytacją rozmawia z kimś przez telefon. Erik i Simone słyszą buczenie jakiegoś blaszanego głosu w odpowiedzi. Kiedy Joona składa komórkę, ma zacięty wyraz twarzy. Lodowo połyskujące oczy są napięte i poważne.

– Co jest? – pyta Erik.

Joona wyciąga szyję, żeby wyjrzeć przez okno.

– Policjanci, którzy wyjechali do tego domu, jeszcze się nie odezwali – mówi z roztargnieniem.

– To niedobrze – stwierdza cicho Erik.

– Porozmawiam z komendą.

Simone próbuje pociągnąć za sobą Erika.

– Chyba nie będziemy tu siedzieć i czekać na nich.

– Nie będziemy – odpowiada Joon. – Dostaniemy samochód. Już powinien tu być.

– Boże... – wzdycha Simone. – To wszystko zabiera tak niewiarygodnie dużo czasu.

– Odległości są tu inne – wyjaśnia Joon z cieniem irytacji w głosie.

Simone wzrusza ramionami. Ruszają w stronę wyjścia i kiedy mijają drzwi, uderza ich suche, mroźne powietrze.

Dwa granatowe samochody zatrzymują się nagle przed nimi i wysiada z nich dwóch mężczyzn ubranych w pomarańczowe mundury ratowników górskich.

– Joon Linna? – pyta jeden z nich.

Joon odpowiada krótkim skinieniem głowy.

– Mielіśmy dostarczyć panu wóz.

– Ratownicy górscy – odzywa się zaniepokojony Erik. – A gdzie policja?

Jeden z mężczyzn wyjaśnia, zacisnąwszy zęby:

– Nie zawsze robi to dużą różnicę tu, na północy. Policja, straż graniczna, ratownicy – pomagamy sobie w razie potrzeby.

Drugi wtrąca:

– Brakuje nam ludzi, święta za progiem i w ogóle...

Stoją w milczeniu. Erik wygląda na zrozpaczonego. Otwiera usta, żeby coś powiedzieć, ale ubiega go Joon:

– Mielіście jakieś wieści od patrolu, który wyjechał do tego domu?

– Nic od siódmej dziś rano – odpowiada jeden.

– Ile czasu zajmie dojazd?

– No, godzinę, dwie trzeba liczyć, jeśli mamy dotrzeć do Sutme.
– Dwie i pół – dodaje drugi. – Biorąc pod uwagę porę roku.
– Który samochód jest nasz? – pyta niecierpliwie Jooną, ruszając w kierunku jednego z wozów.

– No, ja nie wiem – odpowiada pierwszy z mężczyzn.
– Dajcie nam ten, który ma więcej paliwa – mówi Jooną.
– Mam sprawdzić kontrolki? – pyta Erik.
– W moim jest czterdzieści siedem litrów – mówi prędko jeden z ratowników.

– To masz o dziesięć więcej niż ja.
– Świetnie – mówi Jooną i otwiera drzwiczki.

Wsiadają do ciepłego wnętrza. Jooną odbiera kluczyki i prosi Erika, żeby wpisał cel w nowiutkim GPS-ie.

– Czekać! – woła za ratownikami, którzy zmierzają już do drugiego samochodu.

Tamci stają.

– Ten patrol, który wyjechał dziś rano, to też byli ratownicy?

– Tak.

Jadą na północ wzdłuż brzegu jeziora Volgsjön, w kierunku dzielnicy Brännbäck, a stamtąd już tylko parę kilometrów do drogi krajowej numer 45, potem prosty odcinek na zachód, około dziesięciu kilometrów, następnie znajdują się na krętej drodze, po której przejadą osiemdziesiąt kilka wijących się kilometrów na południe od gór Klimpfjäll i doliny Daimadalen.

Jadą w milczeniu. Kiedy zostawili już Vilhelminę daleko za sobą i wyjechali na drogę do Sutme, niebo zdaje się przejaśniać. Niesamowite, miękkie światło odkrywa przed nimi widoki. Domyślają się konturów gór i jezior wokół siebie.

– Patrz – odzywa się Erik. – Dnieje.

– Jeszcze przez wiele tygodnie nie będzie dniało – odpowiada Simone.

– Śnieg wyłapuje światło z chmur – dodaje Jooną.

Simone opiera czoło o szybę samochodu. Przejeżdżają przez

zasypane śniegiem lasy, po których następują gigantyczne białe wyręby, ciemne mokradła i jeziora niczym wielkie równiny. Mijają tabliczki z nazwami, takimi jak Jetneme, Trollklinten, Långseleån. W ciemnościach widzą zarysy przepięknego jeziora, które według szyldu nazywa się Mevattnet, strome brzegi, zimne i zamrożone na kamień, ciemno połyskujące w odbitym od śniegu świetle.

Po prawie półtoragodzinnej jeździe na przemian prosto na północ i na zachód, droga robi się węższa i prawie wpada do olbrzymiego jeziora Borgasjön. Są już w gminie Dorotea, zbliżają się do norweskiej granicy, krajobraz piętrzy się w wysokie, ostre szczyty. Nagle jadący z naprzeciwka samochód daje im znaki reflektorami i wyłącza je. Zjeżdżają na pobocze, stają i widzą, że tamten samochód również staje i cofa do nich.

– Ratownicy górscy – mówi Joonas, bez emocji w głosie, kiedy dostrzega kolor i markę auta.

Joonas opuszcza szybę, a lodowate, trzaskające mrozem powietrze wysysa ciepło z wnętrza pojazdu.

– To wy jesteście ci sztokholmscy? – woła z fińskim akcentem jeden z mężczyzn z drugiego samochodu.

– Tak, to my – odpowiada Joonas po fińsku. – Zeroósemki²³.

Śmieją się przez chwilę, potem Joonas przechodzi na szwedzki:

– To wy pojechaliście do tego domu? Nie mogli się z wami połączyć.

– Cień radiowy – odpowiada mężczyzna. – Ale to była tylko strata paliwa. Nic tam nie ma.

– Nic? Żadnych śladów wokół domu?

Ratownik kręci głową.

– Przeszliśmy przez warstwy śniegu.

– Że co? – dziwi się Erik.

– Od dwunastego padało pięć razy, więc szukaliśmy śladów w pięciu warstwach.

– Dobra robota – stwierdza Joonas.

– To dlatego zabrało nam to trochę czasu.

– Ale nikogo tam nie było? – pyta Simone.

Ratownik potrząsa głową.

– Nikogo po dwunastym, jak mówiłem.

– Do diabła – klnie Jooną pod nosem.

– Wracacie z nami? – pyta mężczyzna.

Jooną kręci głową.

– Przyjechaliśmy aż ze Sztokholmu, nie możemy teraz zawrócić.

Mężczyzna wzrusza ramionami.

– Jak chcecie.

Machają im i znikają na wschodzie.

– Cię radiowy – szepce Simone. – Ale Jussi zadzwonił przecież z domu.

Jadą dalej w milczeniu. Simone kołacze się po głowie ta sama myśl co pozostałym: że ta podróż była fatalną pomyłką, że może zostali zwabieni w złe miejsce, na północ, w kryształowy świat śniegu i lodu, na mokradła, w ciemności, podczas gdy Benjamin znajduje się zupełnie gdzieś indziej, bez ochrony czynnika krzepnięcia. Może już nie żyje.

Jest środek dnia, ale tak daleko na północ, w głębi lasów regionu Västerbotten, dzień o tej porze roku podobny jest do nocy. Jest szczelną ciemnością, która nie przepuszcza światła. Nocą tak potężną i surową, że w jej mroku prawie ginie świt z przełomu grudnia i stycznia.

Docierają do domu Jussiego w gęstych, dusznych ciemnościach. Powietrze jest lodowate i nieruchome, ziąb kąsa policzki. Ostatni odcinek przez szreń przejdą pieszo. Jooną wyciąga broń, myśli o tym, że dawno nie widział prawdziwego śniegu i nie czuł tej specyficznej suchości w nozdrzach od mroźnego powietrza.

Trzy niewielkie budynki ustawione są w literę U. Na dachach śnieg usypał olbrzymią, puszystą czapę, a pod ścianami wiatr nawiał zasy, aż pod niewielkie okna. Erik wysiada i rozgląda się wokół. Równoległe ślady kół samochodu ratowników są wyraźnie widoczne, a potem liczne ślady stóp między budynkami.

– O, Boże – szepce Simone i podbiega bliżej.

– Czekaj – mówi Jooną.

– Tu nikogo nie ma, pusto, my...

– Wygląda na opuszczony – przerywa Jooną. – Tylko tyle wiemy.

Simone czeka, trzęsąc się z zimna, podczas gdy Jooną podchodzi po skrzypiącym śniegu do budynków. Staje przy jednym z okienek, nachyla się i dostrzega drewnianą skrzynię i kilka dywaników na podłodze. Krzesła są wystawione na stół, a otwarta lodówka opróżniona i wygaszona.

Simone patrzy na Erika, który nagle zaczyna się dziwnie zachowywać. Chodzi nerwowo po śniegu, przeciąga dłonią po ustach, staje pośrodku podwórza i rozgląda się kilkakrotnie wokół siebie. Simone już ma zapytać, o co chodzi, kiedy głośno i wyraźnie Erik oznajmia:

– To nie tu.

– Nikogo tu nie ma – odpowiada Jooną ze zmęczeniem.

– Chciałem powiedzieć – mówi Erik z dziwnym, niemal świdrującym tonem w głosie – chciałem powiedzieć, że to nie jest dom strachów.

– Co ty mówisz?

– To nie ten dom. Jussiego jest jasnozielony, opisywał mi go, w sieni jest spiżarnia, blaszany dach z zardzewiałymi gwoździami, antena satelitarna blisko kalenicy, a podwórze pełne jest starych samochodów, autobusów, traktorów...

Jooną zatacza ręką krąg:

– To jego adres, jest tu zameldowany.

– Ale to nie to miejsce.

Erik robi kilka kroków wzdłuż domu, potem spogląda z powagą na Joonę i Simone i mówi uparcie:

– To nie jest dom strachów.

Jooną klnie i wyjmuje komórkę, ale zaraz przeklina jeszcze bardziej, bo przypomina sobie, że są w cieniu radiowym.

– Raczej trudno będzie nam chwycić języka, więc musimy jechać,

dopóki nie złapiemy zasięgu – oznajmia, wsiadając do samochodu. Wycofują się i już mają skręcić na główną drogę, kiedy Simone dostrzega ciemną postać między drzewami. Mężczyzna stoi nieruchomo i obserwuje ich.

– Tam! – woła kobieta. – Tam ktoś był.

Las po drugiej stronie drogi jest gęsty i ciemny. Między pniami leży ubity śnieg, drzewa są obciążone do granic wytrzymałości. Simone wysiada z samochodu, słyszy, że Joonna woła za nią, żeby zaczekała. Długie światła odbijają się w oknach domu. Simone próbuje dostrzec coś między drzewami. Erik dogania ją.

– Widziałam człowieka – szepce.

Joonna gasi samochód, wyciąga broń i rusza za nimi. Simone idzie szybkim krokiem w stronę lasu. Znow widzi mężczyznę między drzewami, trochę dalej.

– Halo! Proszę poczekać! – woła.

Podbiega kilka kroków, ale staje, kiedy napotyka jego wzrok. To starzec z pomarszczoną i zupełnie spokojną twarzą. Bardzo niski, sięga jej ledwie do piersi, ubrany jest w gruby, sztywny anorak i dżinsy. W ręku trzyma niebieskozielony telefon komórkowy, który zamyka i chowa do kieszeni.

– Przepraszam, jeśli przeszkadzam – mówi Simone.

Starzec odpowiada niezrozumiale, potem spuszcza wzrok i coś mamrocze. Erik i Joonna zbliżają się ostrożnie. Joonna schował już broń z powrotem do kieszeni.

– On chyba mówi po fińsku – stwierdza Simone.

– Zaczekaj – mówi Joonna i zwraca się do mężczyzny.

Erik słyszy, jak policjant się przedstawia, wskazuje palcem samochód, a potem wymawia imię Jussiego. Mówi po fińsku, spokojnym, stonowanym głosem. Staruszek powoli kiwa głową i wyciąga paczkę papierosów. Potem stoi z twarzą zwróconą do góry, jakby jednocześnie czegoś wypatrywał i słuchał. Wytrzepuje z paczki papierosa, przygląda mu się, a potem pyta Joonnę o coś łagodnym, melodyjnie gulgoczącym głosem, otrzymuje

kilka zdań odpowiedzi, po czym z żalem potrząsa głową. Spogląda na Erika i Simone z miną wyrażającą współczucie. Kiedy częstuje ich papierosem z paczki, Erik ma na tyle przytomności umysłu, żeby przyjąć, podziękować i pożyczyć od niego plastikową zapalniczkę z rysunkiem Betty Boop.

Lapończyk odrywa filtr swojego papierosa, wkłada go do ust i zapala. Simone słyszy, jak szczegółowo wyjaśnia coś Joonie. Ułamuje patyk z drzewa i rysuje w śniegu kilka kresek. Joonie pochyla się nad tą mapą, coś pokazuje, pyta. Wyciąga z wewnętrznej kieszeni notatnik i odrysowuje. Simone szepce „dziękuję”, kiedy mają wracać do samochodu. Mały człowiek odwraca się, wskazuje ręką w głąb lasu i znika na ścieżce między drzewami.

Prędko idą z powrotem do auta, którego drzwi były otwarte i siedzenia zdążyły tak się oziębic, że aż pieką w plecy i uda.

Joonie podaje Erikowi kartkę, na której zapisał wskazówki starca.

– Mówił dziwnym ume-lapońskim, więc nie wszystko do końca zrozumiałem. Wspominał o terenach rodu Kroiks.

– Ale znał Jussiego?

– Tak, o ile dobrze pojąłem, to Jussi miał jeszcze jeden dom, chatę myśliwską głębiej w lesie. Po lewej będzie jezioro. Możemy dojechać aż do miejsca z trzema dużymi kamieniami położonymi tam na pamiątkę starego lapońskiego obozowiska. Dalej nie jest odśnieżone, stamtąd pójdziemy na północ po szreni, aż zobaczymy starą przyczepę kempingową.

Joonie patrzy ironicznie na Simone i Erika, po czym dodaje:

– Starzec powiedział, że jeśli przebijemy się przez lód na Djuptjärnen, to znaczy, że zaszliśmy trochę za daleko.

Po czterdziestu minutach zwalniają i zatrzymują się przed trzema bliźniaczymi głazami, które postawiła tu gmina Dorotea. Reflektory sprawiają, że wszystko wydaje się szare i zaciemnione. Kamienie błyskają na kilka sekund, by zaraz zatonać w mroku.

Joonie parkuje na skraju lasu. Mówi, że prawdopodobnie

powinien zakamuflować auto, uciąć parę gałęzi, ale że nie ma na to czasu. Rzuca okiem na rozgwieżdżone niebo i rusza szybkim krokiem naprzód. Simone i Erik idą za nim. Szrenń leży ciężką, sztywną pokrywą na wysokiej warstwie przemrożonego śniegu. Prą naprzód najciszej, jak to tylko możliwe. Wskazówki starca zgadzają się: po przejściu pół kilometra widzą pod śniegiem przerdzewiałą przyczepę kempingową. Skręcają ze ścieżki i zauważają, że droga jest wydeptana. W dole, wśród zasp, stoi dom. Z komina dobywa się dym. W świetle okien ściany wydają się miętowozielone.

To jest dom Jussiego – myśli Erik. – To jest dom strachów.

Na rozległym podwórzu mającą wielkie ciemne kontury. Zasypany białym puchem park maszyn tworzy dziwny labirynt.

Wśród skrzywienia śniegu zbliżają się powoli do domu. Idą ciasnymi przesmykami pomiędzy postawionymi na ceglach i zasypanymi wrakami samochodów, autobusami miejskimi, kombajnami, spychaczami i skuterami.

Dostrzegają postać, która przemyka koło okna, coś się tam dzieje, ruchy są szybkie. Erik nie może już czekać, rusza biegiem w stronę domu, ma gdzieś konsekwencje. Musi odnaleźć Benjamina, potem niech się dzieje, co chce. Simone, dysząc, biegnie za nim. Kończy się szrenń, stają na skraju odśnieżonej ścieżki. Przy ścianie stoją szufla do śniegu i aluminiowe sanki. Słychać zduszony krzyk. Szybkie, gwałtowne uderzenia. Ktoś wygląda przez okno. Na skraju lasu łamie się gałąź. Drzwi do drewnutni trzaskają. Oddech Simone przyśpiesza. W oknie nikogo już nie ma. Wiatr zawodzi w koronach drzew. Śnieżny pył wiruje nad szrenią. Nagle drzwi się otwierają i oślepia ich światło. Ktoś świeci na nich mocną latarką. Mrużą i przysłaniają oczy, żeby coś zobaczyć.

– Benjamin?! – woła Erik.

Kiedy snop światła opada na ziemię, Erik widzi stojącą przed nimi Lydię. W ręku ściska wielkie nożyce. Światło latarki spoczęło na jakiejś postaci w śniegu. To Jussi, siedzi oparty. Jego twarz jest zlodowaciała i szarosina, oczy ma zamknięte, w piersi tkwi siekiera,

pokryty jest zamarzniętą krwią. Simone stoi bez słowa obok Erika, który po jej urywanym, przerażonym oddechu poznaje, że też już zauważyła zwłoki. W tej samej chwili zdaje sobie sprawę, że Joony nie ma z nimi. Musiał wybrać inną drogę, myśli. Zakradnie się do Lydii od tyłu, jeśli uda mu się zająć ją wystarczająco długo.

– Lydio – mówi Erik. – Jak miło cię znów widzieć.

Kobieta stoi bez ruchu i patrzy na nich w milczeniu. Nożyce błyskają w jej dłoni, huśtając się luźno. Blask latarki oświetla szarą ziemię na ścieżce.

– Przyjechaliśmy po Benjamina – wyjaśnia Erik spokojnie.

– Benjamina – odzywa się Lydia. – A kto to taki?

– To moje dziecko – mówi zduszonym głosem Simone.

Erik próbuje dać jej znak, żeby milczała. Może to zauważyła, bo cofa się o krok i próbuje uspokoić oddech.

– Cudzych dzieci poza moim własnym nie widziałam – oznajmia powoli Lydia.

– Lydio, posłuchaj – mówi Erik. – Jeśli dostaniemy Benjamina, odejdziemy stąd i zapomnimy o wszystkim. Obiecuję, że już nigdy nikogo nie zahipnotyzuję, ani...

– Ale ja go nie widziałam – powtarza Lydia, spoglądając na nożyce. – Jesteśmy tu tylko ja i mój Kasper.

– Pozwól nam, pozwól tylko podać mu lekarstwo – prosi Erik, czując, jak głos zaczyna mu drżeć.

Lydia znajduje się teraz w doskonałej pozycji – myśli gorączkowo. – Stoi plecami do domu, wystarczy, żeby Joona zakradł się na drugą stronę, obszedł dom i obezwładnił ją od tyłu.

– Chcę, żebyście sobie już poszli – mówi krótko.

Erikowi zdaje się, że widzi kogoś poruszającego się wzdłuż rzędu pojazdów, po skosie, za domem. Serce skacze mu z radości. Nagle wzrok Lydii staje się czujny, kobieta unosi latarkę, świeci w stronę drewnutni i omiata światłem śnieg.

– Kasper potrzebuje lekarstwa – powtarza Erik.

Lydia opuszcza znów latarkę. Głos ma surowy i chłodny.

– Jestem jego mamą, wiem, czego mu potrzeba.

– Masz rację, oczywiście – odpowiada prędko Erik. – Ale jeśli pozwolisz nam podać Kasperowi trochę lekarstwa... to będziesz mogła go wychowywać, karcić, jest przecież niedziela i...

Erik mimowolnie milknie na widok zbliżającego się cienia zza domu.

– W niedzielę – ciągnie – bo wtedy zazwyczaj...

Za węglą wyłaniają się dwie osoby. Joono idzie sztywno i niechętnie w ich stronę. Za nim podąża Marek ze strzelbą na łożosie wymierzoną w jego plecy.

Lydia uśmiecha się krzywo i wychodzi na szren z odśnieżonej ścieżki.

– Zastrzel ich – wydaje polecenie i kiwa głową w stronę Simone. – Ją pierwszą.

– W strzelbie są tylko dwa naboje – mówi Marek.

– Zrób, jak chcesz, bylebyś zrobił.

– Marku – odzywa się Erik. – Zwolnili mnie, chciałem pomóc ci...

– Stul pysk – przerywa mu mężczyzna.

– Zacząłeś mówić o tym, co działo się w tym wielkim domu na wsi, w Zenicy-Doboju.

– Mogę zaraz tu pokazać, co się działo – mówi Marek, spoglądając na Simone lśnjącymi, spokojnymi oczyma.

– Po prostu to zrób – wzdycha Lydia ze zniecierpliwieniem.

– Kładź się – rozkazuje Marek Simone. – I zdejmij dzinsy.

Simone nie rusza się. Marek kieruje na nią strzelbę i kobieta się cofa. Podchodzi Erik, Marek szybko celuje w niego.

– Strzelę mu w brzuch – mówi. – To będzie mógł popatrzeć, jak się zabawiamy.

– Po prostu zrób to – powtarza Lydia.

– Czekaj! – Simone zaczyna rozpinać spodnie.

Marek splota na śnieg i stawia krok w jej stronę. Wygląda, jakby nie do końca wiedział, co ma robić. Zerka na Erika, kieruje lufę w jego stronę. Simone nie patrzy na niego. Teraz mierzy w nią,

najpierw w głowę, potem w brzuch.

– Nie rób tak – mówi Erik.

Marek opuszcza karabin i zbliża się do Simone. Lydia się cofa. Simone zaczyna opuszczać dzinsy i rajstopy.

– Trzymaj strzelbę – mówi półgłosem Marek do Lydii.

Kobieta zbliża się powoli, gdy coś zaczyna skrzypieć wśród zasypanych śniegiem pojazdów. Słychać powtarzający się metaliczny stuk. Joonka kaszle. Stukoty nie cichną i nagle rozlega się huk. To odgłos uruchamianego silnika, głośny łoskot pracujących tłoków. Pod śniegiem zapala się ostre światło. Ziemia pod ich nogami lśni bielą. Silnik ryczy na wysokich obrotach, słychać jazgot skrzyni biegów. Śnieg jakby eksplodował. Stary miejski autobus z dachem przykrytym wielką plandeką wypada ze zwałów śniegu, zrywa szreni i jedzie wprost na nich.

Kiedy Marek odwraca wzrok i patrzy na autobus, Joonka rzuca się naprzód z niespodziewaną szybkością. Chwyta za lufę karabinu. Marek nie puszcza jej, ale jest zmuszony zrobić krok w przód. Joonka uderza go mocno w pierś i próbuje kopnięciem podciąć mu nogi, ale Marek nie upada. Zamiast tego stara się obrócić strzelbę. Kolba trafia Joonkę w czubek głowy i ześlizguje się po ciemieniu. Marek ma tak zgrabiałe dłonie, że puszcza broń, która wylatuje w powietrze i spada przed stopy Lydii. Simone rzuca się w jej stronę, ale Marek chwyta ją za włosy i odciąga do tyłu.

Autobus utknął pod cienką gałęzią, silnik huczy. Spaliny i wzburzony śnieg wirują wokół pojazdu. Przednie drzwi otwierają się i zamykają z syknięciem.

Obroty znów rosną, drzewo się chwieje, śnieg spada z ciemnych gałęzi. Autobus uparcie uderza w konar i zdrapuje korę, głucho, metalicznie. Wirujące koła skręcają raz w jedną, raz w drugą stronę, śnieżne łańcuchy brzęczą.

– Benjamin! – krzyczy Simone. – Benjamin!

Za szybą dymiącego autobusu widać półprzytomną twarz chłopca. Z nosa płynie mu krew. Lydia podbiega do pojazdu

ze strzelbą Marka. Erik rusza za nią. Kobieta wpada do środka, krzyczy coś do Benjamina, uderza go kolbą i strąca z siedzenia kierowcy. Erik nie zdąża dobiec. Autobus cofa się, skręca ostro i skrzypiąc, stacza się w dół w stronę jeziora. Erik woła do Lydii, żeby się zatrzymała, i rzuca się w pościg śladem kół i rozjeżdżonej szreni.

Marek nie puszcza z uchwytu włosów Simone. Kobieta krzyczy i próbuje podważyć jego palce. Jooną szybko przesuwa się na bok. Ręka opada, ciało obraca się i uderza zaciśniętą pięścią od dołu, trafiając Marka z wielką siłą w pachę i wybijając mu ramię ze stawu. Chwytność za włosy Simone słabnie, kobieta wyrzuca się i jednocześnie jej wzrok pada na nożyce leżące w śniegu. Marek wymierza cios drugą ręką, ale Jooną odparowuje go i całą swoją siłę wkłada w uderzenie prawym łokciem po skosie w dół szyi Marka, łamiąc obojczyk z głuchym trzaskiem. Marek pada z krzykiem na ziemię. Simone rzuca się na nożyczki, ale Marek kopie ją w brzuch. Chwyta nożyce i szerokim łukiem uderza w tył zdrową ręką. Simone krzyczy i widzi, jak twarz Joony zastyga, gdy ostrze wbija się w jego prawe udo. Krew tryska na śnieg. Jooną utrzymuje się na nogach, ma już w rękach kajdanki, którymi uderza Marka w lewe ucho. Cios jest silny. Marek nieruchomieje, patrzy tylko zdziwiony przed siebie i próbuje coś powiedzieć. Krew płynie z jego ucha i nosa. Dysząc, Jooną pochyla się nad nim i zaciska kajdanki na jego zwiotczałych rękach.

Walcząc o oddech, Erik gna w ciemnościach za autobusem. Przed sobą widzi czerwone tylne światła pojazdu, a dalej migoczącą, bladą poświatę reflektorów na drzewach. Słychać trzask, kiedy jedno z lusterek uderza o pień.

Erikowi przelatuje przez głowę myśl, że mróz chroni syna. Że ujemna temperatura obniża ciepłość ciała o jakąś dziesiętną stopnia. To wystarczy, żeby jego krew była gęstsza, może nawet na tyle, żeby mimo uderzenia przeżył.

Za domem zbrocze jest strome. Erik potyka się, wstaje. Zagajniki

i pagórki ukryte są pod śniegiem. Autobus widać już tylko jako cień w oddali, kształt z otaczającą go mdłą poświatą.

Zastanawia się, czy Lydia spróbuje jechać wzdłuż brzegu i dostać się na starą leśną drogę po drugiej stronie. Autobus hamuje i Erik widzi, jak skręca na lód. Krzyczy, żeby się zatrzymała.

Wlekący się za pojazdem koniec liny zaplątuje się o pomost i ściąga brezent z dachu.

Erik zbliża się do jeziora, czuje zapach diesla. Autobus jest już dwadzieścia metrów od brzegu.

Ześlizguje się po zboczu, jest mocno zdyszany, ale dalej biegnie.

Nagle autobus staje. Z paniką cisnącą się do gardła Erik widzi, jak czerwone światła unoszą się w górę, jakby ktoś powoli podnosił wzrok.

Lód grzmi i trzeszczy. Erik staje na brzegu, stara się cokolwiek dostrzec. Domyślił się, że lód nie wytrzymał, że autobus tonie. Tylne koła kręcą się w tył, ale tylko poszerzają przerębel.

Erik wyrywa koło ratunkowe ze stojaka na pomoście i zaczyna biec po lodzie. Serce dudni mu jak oszalałe. Oświetlenie wewnątrz autobusu, który wciąż jeszcze unosi się na wodzie, nadaje mu wygląd klosza z matowego szkła. Słychać chlupot, ciężkie kawałki kry odrywają się i kręcą w czarnej wodzie.

Erikowi zdaje się, że dostrzega białą twarz w kłębiącej się toni za autobusem.

– Benjamin! – krzyczy.

Fale przyboju wdzierają się na lód, sprawiając, że robi się jeszcze bardziej śliski. Pośpiesznie chwyta linę, przywiązaną do koła ratunkowego, owija się nią w pasie i mocno zawiązuje, żeby nie wypuścić z ręki. RzUCA koło, ale nie dostrzega już nikogo w ciemnej wodzie. Umieszczony z przodu silnik pracuje z hukiem. Czerwony poblask tylnych świateł rozchodzi się po lodowej brei i śniegu.

Przednia część autobusu zanurza się coraz głębiej, widać tylko dach. Reflektory znikają w toni. Silnik ucichł. W ciszy słychać tylko skrzypienia, trzaski lodu i miękkie bulgotanie wody. Nagle Erik

dostrzega, że zarówno Benjamin, jak i Lydia znajdują się jeszcze w autobusie. Podłoga jest przechylona. Cofają się w stronę tylnych siedzeń. Benjamin przytrzymuje się słupka. Sufit nad fotelem kierowcy jest już na poziomie lodu. Erik rozpędza się i przeskakuje na dach. Olbrzymi pojazd chybcze się pod jego ciężarem. Z oddali słychać wołanie Simone, która dobiegła nad brzeg jeziora. Erik czołga się do szyberdachu, staje i kopnięciem wyważa go. Odłamki szkła sypią się na siedzenia i podłogę. Jedyne, o czym jest w stanie myśleć, to to, że musi wydostać syna z tonącego autobusu. Przeciska się przez otwór, zawisa na rękach, udaje mu się oprzeć stopy o oparcie fotela i zeskakuje na dół. Benjamin jest przerażony, przemarznięty, krew cieknie mu z nosa i z ranki na policzku.

– Tatusiu – szepce.

Erik przenosi wzrok na Lydię, która stoi na samym końcu autobusu. Jej twarz ma zawzięty wyraz. Ściska w rękach strzelbę, krew spływa jej wokół ust.

– Musimy się stąd wydostać! – woła Erik.

Lydia powoli kręci głową.

– Benjamin – mówi Erik, nie przestając patrzeć Lydii w oczy. – Wespnij się po mnie i wyjdź przez szyberdach.

Benjamin nie odpowiada, ale wykonuje polecenie ojca. Chwiejnie podchodzi do niego, wdrapuje się na fotel, stamtąd na plecy i ramiona Erika. Kiedy sięga otworu w suficie, Lydia unosi broń i strzela. Erik nie czuje bólu, tylko uderzenie w ramię tak mocne, że go przewraca. Dopiero kiedy wstaje, czuje ból i ciepłą krew. Benjamin zwisa ucepiony brzegu okienka. Erik podchodzi i pomaga mu zdrową ręką, chociaż widzi, że Lydia znów mierzy w niego ze strzelby. Benjamin jest już na dachu, kiedy pada kolejny strzał. Lydia pudłuje. Kula mija biodro Erika i wybija szybę, przez którą wlewa się lodowata woda. Teraz wszystko dzieje się bardzo szybko. Erik stara się dosięgnąć okna w dachu, ale wtedy autobus przewraca się na bok i zanurza się pod wodę.

Szok termiczny odbiera mu świadomość na kilka sekund. Kopie

w panice nogami, wydobywa się na powierzchnię i napełnia płuca powietrzem. Autobus tonie w czarnych wodach jeziora, powoli, trzeszcząc metalicznie. Przewraca się do góry kołami, coś uderza Erika w głowę, tak że znów jest pod wodą. W uszach mu dudni, ogarnia go niepojęty chłód. Przez okno widzi snopy świateł reflektorów sięgające daleko w głąb toni. Serce mu wali. Głowę ściska niewidzialna obręcz. Woda jest tak paraliżująco zimna, że nie może się poruszyć. Widzi Lydię, która trzyma się słupka, plecami do ostatniego rzędu siedzeń. Dostrzega otwór w suficie i rozbite okno. Wie, że autobus tonie, że musi wypłynąć, że trzeba się śpieszyć, że musi walczyć, ale ręce go nie słuchają. Wydaje mu się, że nic nie waży, nie ma jednak czucia w nogach. Próbuje się przemieścić, ale z trudem synchronizuje ruchy.

Erik dostrzega, że otacza go chmura krwi z rany w ramieniu.

Nagle napotyka wzrok Lydii, która spogląda mu spokojnie w oczy. Unoszą się bez ruchu w lodowatej wodzie i przyglądają się sobie wzajemnie.

Jej włosy falują posłuszne ruchom wody, a z nosa, niczym sznur pereł, wypływają drobne banieczki.

Erik potrzebuje powietrza, gardło mu się zaciska, ale opiera się walce płuc o głęboki wdech. W skroniach dudni, w głowie błyska białe światło.

Temperatura jego ciała jest tak niska, że zaczyna tracić świadomość. W uszach słyszy głośne, przejmujące dzwonięcie.

Erik myśli o Simone, o tym, że z Benjaminem wszystko będzie dobrze. Czuje się jak we śnie, unosząc się wolno w lodowatej wodzie. Z dziwną jasnością uświadamia sobie, że to chwila jego śmierci, i nagle przenika go trwoga.

Stracił poczucie kierunków, własnego ciała, światła i ciemności. Woda nagle wydaje mu się ciepła, prawie gorąca. Myśli o tym, że wkrótce będzie musiał otworzyć usta i się poddać, pozwolić nadejść końcowi, a płuca napełnić wodą. Nowe, dziwne myśli przelatują mu przez głowę, gdy nagle coś się dzieje. Czuje, że lina

w pasie się napręża. Zapomniał, że obwiązał się sznurem przymocowanym do koła ratunkowego. Teraz gdzieś uwiązł. Powoli ciągnie go w bok. Erik nie jest w stanie się opierać, nie ma już sił. Lina nieubłaganie holuje jego bezwładne ciało wokół słupka, a potem ukośnie w górę przez okno w dachu. Uderza w coś tyłem głowy, but zsuwa mu się ze stopy i nagle znajduje się na zewnątrz, w czarnej wodzie. Coś unosi go w górę, patrzy jak autobus pogrąża się w toni już bez niego. Dostrzega Lydię w rozświetlonej klatce, która bezgłośnie opada na dno jeziora.

54 CZWARTEK, DWUDZIESTY CZWARTY GRUDNIA

Simone, Erik i Benjamin wjeżdżają do szarego Sztokholmu pod pociemniałym już niebem. W powietrzu wisi deszcz, a miasto otacza niemal purpurowa mgiełka. Kolorowe sznury świateł lśnią wszędzie na choinkach i balustradach balkonów. W oknach wiszą świąteczne gwiazdy, a w witrynach mikołaje wśród iskrzących się ozdób.

Kierowca taksówki, który podwozi ich pod hotel Birger Jarl, ma na głowie czerwoną czapkę. Macha im ponuro do lusterka. Zauważają, że na dachu, na szyldzie z napisem „Taxi”, zamontował sobie plastikowego mikołajka.

Simone zerka w stronę głównego holu i okien zamkniętej hotelowej restauracji i mówi, że to trochę dziwnie mieszkać w hotelu oddalonym zaledwie o dwieście metrów od własnego domu.

– Ale ja naprawdę już nigdy nie chcę przekroczyć progu tego mieszkania.

– Nie ma co do tego dwóch zdań – zgadza się z nią Erik.

– Nigdy więcej.

– Ani ja – wtrąca Benjamin.

– To co robimy? – pyta Erik. – Kino?

– Jestem głodny – stwierdza cicho Benjamin.

Erik był poważnie wychłodzony, kiedy helikopter dotarł do szpitala w Umeå, ale rana postrzałowa nie była poważna. Pocisk półpłaszczowy przeszył na wylot mięsień, tylko lekko drasnąwszy kość. Po operacji dzielił pokój z Benjaminem, którego zatrzymano, żeby podać mu potrzebne leki, opatrzyć i uzupełnić płyny w organizmie. Chłopiec nie miał większych wylewów i szybko

wracał do zdrowia. Już po jednym dniu w szpitalu zaczął marudzić, że chce do domu. Najpierw Erik i Simone nie chcieli się na to zgodzić. Woleli, żeby został na obserwacji z powodu choroby i żeby mógł porozmawiać z kimś, kto pomógłby mu poradzić sobie z ostatnimi przeżyciami.

Kerstin Bengtsson, psycholog, wyglądała na zestresowaną i zdawała się nie rozumieć do końca ogromu niebezpieczeństwa, na jakie narażony był Benjamin. Po czterdziestopięciominutowej rozmowie z pacjentem spotkała się z Erikiem i Simone i stwierdziła krótko, że chłopiec jak na te okoliczności czuje się dobrze i że powinni odczekać, dać mu czas.

Rodzice zastanawiali się, czy lekarka chce ich tylko uspokoić, bo przecież zdawali sobie sprawę, że ich syn będzie potrzebował pomocy, widzieli, jak przebierał we wspomnieniach, jakby już teraz zdecydował się o niektórych rzeczach zapomnieć. Domyślali się, że jeśli pozostawią go samemu sobie, zamknie się wokół tych wydarzeń jak skała macierzysta wokół skamieliny.

– Znam dwóch świetnych psychologów – powiedział Erik. – Porozmawiam z nimi, jak tylko wrócimy do domu.

– Dobrze.

– A jak ty się czujesz?

– Słyszałam o pewnym hipnotyzerze, który...

– Strzeż się go.

– Wiem – powiedziała Simone z uśmiechem.

– Ale na poważnie – dodał po chwili Erik. – Wszyscy będziemy potrzebować pomocy, żeby to ogarnąć.

Skinęła głową, w jej oczach pojawiła się zaduma.

– Mój mały Benjamin – szepnęła.

Erik położył się z powrotem na łóżku obok Benjamin, a Simone usiadła pomiędzy nimi na krześle. Przyglądali się swojemu synowi, był blady i wychudzony. Patrzyli w jego twarz nieznużenie, jak wtedy, gdy był noworodkiem.

– Jak się masz? – spytał ostrożnie Erik.

Benjamin odwrócił twarz i patrzył przez okno. Ciemności sprawiły, że szyba zmieniała się w wibrujące lustro przy każdym uderzeniu wiatru.

Kiedy chłopiec z pomocą Erika wdrapał się na dach autobusu, usłyszał drugi strzał. Poślizgnął się i mało brakowało, a wpadłby do wody. W tej samej chwili dostrzegł w mroku Simone stojącą na skraju przerębla. Krzyczała do niego, że autobus tonie i że musi dostać się na lód. Benjamin zobaczył koło ratunkowe huśtające się na czarnej wodzie za autobusem i skoczył. Złapał je, położył się na nim i podpłynął do brzegu. Simone przyczołgała się na skraj lodu. Dosięgła go, wyciągnęła na kole i oddaliła od wody. Zdjęła kurtkę i owinęła go nią, objęła i powiedziała, że helikopter jest już w drodze.

– Tata tam został – szlochał Benjamin.

Autobus tonął, skrzypiąc, znikał w głębi jeziora, na powierzchni zapanowały ciemności. Wzburzone fale pluskały, bulgotały wielkie bańki powietrza. Simone wstała i patrzyła na kawałki kry układające się na powierzchni rozhuśtanego jeziora.

Padła na kolana i mocno przytuliła do siebie syna, kiedy nagle coś szarpnęło jego ciałem i wyrwało go z jej ramion. Próbował się opierać, ale poślizgnął się i upadł. Lina przymocowana do koła wrzynała się w lód i znikła w wodzie. Benjamin zbliżał się do przerębla. Walczył, zapierał bosymi stopami i krzyczał. Simone pochwyciła go i razem zsuwali się w stronę brzegu lodu.

– To tata! – zawołał chłopiec. – Miał linę wokół pasa!

Twarz jej stężała. Chwyciła koło ratunkowe obiema rękami i wbiła pięty w lód. Benjamin krzywił się z bólu, kiedy ciężar ciągnął ich coraz bliżej przerębla. Lina była tak napięta, że aż skrzypiała, głucho się ocierając o kant lodu. W pewnej chwili układ sił w zmaganiach odwrócił się: nadal było ciężko, ale mogli się cofać, oddalając od wody. Potem prawie nie czuli oporu. Wyciągnęli Erika przez okno w dachu autobusu. Teraz szybko unosił się ku powierzchni. Kilka sekund później Simone mogła wyciągnąć

go na lód. Leżał twarzą w dół, kaszląc i łapiąc oddech, podczas gdy pod nim rosła czerwona plama.

Kiedy policja i karetka pogotowia dotarły do chaty Jussiego, znaleźli Joone leżącego w śniegu z prowizoryczną opaską uciskową na udzie, a obok wrzeszczącego i wyjącego Marka. Zamarznięte zwłoki gospodarza z siekierą w piersi siedziały przed schodami do sieni. Policjanci i ratownicy weszli do domu i znaleźli ukrywającą się w szafie w sypialni dziewczynę Jussiego, Annbritt. Była cała we krwi i kulila się jak dziecko za ubraniami na wieszakach. Ratownicy medyczni wynieśli ją na noszach do czekającego helikoptera i udzielili natychmiastowej pomocy.

Dwa dni później nurkowie zeszli pod wodę, żeby wydobyć ciało Lydii. Na głębokości sześćdziesięciu czterech metrów na swoich sześciu kołach stał autobus, jakby tylko zatrzymał się na przystanku, by przyjąć pasażerów. Jeden z nurków wpłynął przez przednie drzwi i poświecił latarką na puste siedzenia. Strzelba leżała na podłodze z tyłu pojazdu. Dopiero kiedy nurek skierował snop światła w górę, zauważył Lydię. Wypłynęła do góry i unosiła się, opierając plecami o sufit. Ramiona miała opuszczone, kark zgięty. Skóra twarzy była zmacerowana i zaczęła odchodzić. Rude włosy falowały miękko w prądach wody, usta miała spokojne, a oczy zamknięte jak we śnie.

Benjamin nie miał pojęcia, gdzie się znajdował w pierwszych dobach od porwania. Możliwe, że Lydia przetrzymywała go u siebie w domu albo u Marka, ale chłopiec był tak odurzony środkiem znieczulającym, który mu wstrzyknęto, że nie do końca rozumiał, co się z nim dzieje. Może dostał więcej zastrzyków, kiedy zaczął się budzić. Pierwsze dni ginęły w mroku.

Odzyskał świadomość w samochodzie w drodze na północ. Znalazł swoją komórkę i udało mu się zadzwonić do Erika, zanim został przyłapany. Musieli usłyszeć jego głos w kabinie samochodu.

Potem nadeszły długie, złe dni. Simone i Erikowi udało się wyciągnąć z niego zaledwie urywki. Nie wiedzieli nic więcej ponad

to, że musiał leżeć na podłodze chaty Jussiego w psiej obroży na szyi. Sądząc po stanie, w jakim dotarł do szpitala, nie dostawał przez wiele dni nic do jedzenia ani picia. Doznał odmrożeń jednej stopy, ale nie były one groźne. Udało mu się uciec z pomocą Jussiego i Annbritt. Gdy o tym opowiadał, zamilkł na chwilę. Po jakimś czasie kontynuował, mówiąc, jak Jussi uratował go, kiedy próbował zadzwonić do Simone, i jak on sam wybiegł z domu, mając w uszach krzyki Annbritt, której Lydia obcinała nos. Benjamin wczołgał się pomiędzy stare samochody. Pomyślał, że musi się ukryć, i wślizgnął się przez otwarte okno do jednego z zasypanych śniegiem autobusów. Tam znalazł kilka dywaników i nadpleśniały koc, które prawdopodobnie ocaliły go przed zamrożeniem. Zasnął skulony na siedzeniu kierowcy. Parę godzin później obudziły go głosy rodziców.

– Nie wiedziałem, czy żyję – szepnął.

Potem usłyszał groźby Marka i zdał sobie sprawę, że wpatruje się w kluczyk w stacyjce autobusu. Nie zastanawiając się, spróbował odpalić pojazd. Zobaczył, że światła reflektorów się zapalają i usłyszał ochrypły, wściekły ryk silnika, kiedy docisnął gaz i skierował się w miejsce, w którym, jak mu się wydawało, stał Marek.

Benjamin umilkł, na rzesach zawisło mu kilka łez.

Po dwóch dobach w szpitalu w Umeå Benjamin był na tyle silny, żeby móc chodzić. Poszedł z rodzicami odwiedzić Joonę Linnę leżącą na oddziale pooperacyjnym. Marek nieźle pokiereszował mu udo, wbijając w nie ostrze nożyc, ale trzytygodniowy odpoczynek powinien wystarczyć, żeby już całkiem postawić go na nogi. Siedziała u niego ładna kobieta z miękkim jasnym warkoczem przerzuconym przez ramię, i czytała mu na głos. Przedstawiła się jako Disa, wieloletnia przyjaciółka Joony.

– Należymy do kółka czytelniczego, muszę dopilnować, żeby nie miał zaległości – wyjaśniła z fińskim akcentem i odłożyła książkę.

Simone zwróciła uwagę, że było to Do latarni morskiej Virginii

Woolf.

– Wynajęłam małe mieszkanie od górskiego pogotowia – powiedziała z uśmiechem.

– Dostaniecie eskortę policyjną z Arlandy – oznajmił Joon Erikowi.

Zarówno Erik, jak i Simone próbowali odmówić. Chcieli być sami ze swoim synem, a nie spotykać kolejnych policjantów. Kiedy Benjamin został wypisany na obchodzie w czwartej dobie, Simone natychmiast zarezerwowała bilety na samolot do domu, a następnie poszła po kawę. Jednak po raz pierwszy szpitalna kawiarnia była zamknięta. W świetlicy dla pacjentów znalazła tylko dzbanek soku jabłkowego i trochę sucharków. Wyszła ze szpitala, żeby spróbować gdzieś znaleźć kawę, ale wszystko wydawało się dziwnie opustoszałe i zamknięte na cztery spusty. Miasto pogrążone było w niezmaconym spokoju. Stała przed torami kolejowymi i stała tak, przyglądając się znikającym w dali błyszczącym szynom, przysypanym śniegiem podkładom i nasypowi. Daleko, w mroku, majaczyła szeroka rzeka Ume, poprzecinana pasami białego lodu i czarnej połyskliwej wody.

Dopiero teraz coś w niej odpuściło. Pomyślała, że już po wszystkim. Odzyskali Benjamina.

Po wylądowaniu na Arlandzie dostrzegli obiecaną przez Joonę eskortę czekającą na nich, a obok kilkunastu cierpliwych dziennikarzy z przygotowanymi aparatami i mikrofonami. Nie zamieniając ze sobą słowa, wybrali inne wyjście, przeszli za plecami zbiegowiska i zatrzymali taksówkę.

Teraz stoją niezdecydowani przed hotelem Birger Jarl w Sztokholmie, a po chwili idą wzdłuż Tulegatan, potem Odengatan, zatrzymują się i rozglądają wokoło. Benjamin ma na sobie zdecydowanie zbyt duży dres pochodzący z policyjnego działu rzeczy znalezionych, wełnianą czapkę – lapoński wariant dla turystów – którą Simone kupiła mu na lotnisku i parę wełnianych rękawic z jednym palcem. Dzielnica Vasastan jest opustoszała

i wyludniona. Wszystko wydaje się zamknięte, stacja metra, przystanki autobusowe, ciemne okna restauracji, wszystko pogrążone jest w surowej ciszy.

Erik spogląda na zegarek. Jest czwarta po południu. W górę ulicy Odengatan spieszy jakaś kobieta, niosąc dużą torbę.

– Wigilia – odzywa się nagle Simone. – Dziś jest Wigilia.

Benjamin patrzy na nią ze zdziwieniem.

– To by wyjaśniało, dlaczego wszyscy życzą wesołych świąt – stwierdza Erik z uśmiechem.

– To co robimy? – pyta Benjamin.

– Tam jest otwarte.

– Mamy zjeść wieczerzę wigilijną w McDonaldzie? – pyta Simone.

Zaczyna mżyć. Drobny, zamarzający deszcz pada na nich, kiedy szybkim krokiem idą w stronę restauracji, położonej w pobliżu Observatorielunden.

Lokal jest brzydki, niski, przycupnięty pod basztą biblioteki w kolorze ochry. Za ladą czeka kobieta około sześćdziesiątki. W restauracji nie ma innych gości.

– Chciałabym dostać kieliszek wina – mówi Simone. – Ale przypuszczam, że to niemożliwe.

– Milkshake – zamawia Erik.

– Waniliowy, truskawkowy czy czekoladowy? – pyta kobieta z niezadowoloną miną.

Simone wygląda, jakby zaraz miała dostać ataku histerycznego śmiechu, ale opanowuje się i mówi z wymuszoną powagą:

– Truskawkowy, wezmę oczywiście truskawkowy.

– Ja też – dorzuca Benjamin.

Kobieta wystukuje zamówienie krótkimi, wściekłymi ruchami.

– To wszystko? – pyta.

– Weź wszystkiego po trochu. – Simone zwraca się do Erika. – My w tym czasie usiądziemy.

Przechodzą razem z Benjaminem pomiędzy pustymi stolikami.

– Stolik przy oknie – szepce i uśmiecha się do syna.

Siada obok niego, przytula do siebie i czuje, jak po policzkach zaczynają jej płynąć łzy. Za oknem widzi długi, niepasujący tu basen. Jak zwykle jest pusty i zaśmiecony. Samotny deskorolkarz lawiruje między plamami lodu, wydając nieprzyjemne, szurające dźwięki. Na ławce przy linii do zjeżdżania na skraju placu zabaw siedzi samotna kobieta. Obok stoi pusty wózek z supermarketu. Opona zawieszona na linie huśta się na wietrze.

– Zimno ci? – pyta Simone.

Benjamin nie odpowiada, wtula w nią twarz, zostaje w tej pozycji, pozwala мамie całować się po głowie.

Erik stawia cicho tackę na stole i idzie po następną. Siada i zaczyna rozstawiać pudełka, torebki i papierowe kubki na stole.

– Jak ładnie – mówi Benjamin, prostując się.

Erik podaje mu zabawkę z zestawu Happy Meal.

– Wesołych świąt – mówi.

– Dzięki, tato. – Benjamin uśmiecha się i przygląda plastikowemu opakowaniu.

Simone obserwuje swojego syna. Zrobił się potwornie chudy. Ale jest coś jeszcze. Jakby przytłaczał go jakiś ciężar, coś, co przyciąga jego myśli, nęka i ciąży. Jakby nie do końca był tu z nimi obecny. Jakby spoglądał w głąb siebie – myśli – jak w lustrzane odbicie w ciemnym oknie.

Na widok Erika wyciągającego rękę, by pogłaskać syna po policzku, Simone znowu zaczyna płakać. Odwraca się, szepce „przepraszam” i przygląda się, jak wiatr wydmuchuje foliową torebkę z kosza na śmieci i przyciska do szyby.

– Spróbujemy coś zjeść? – proponuje Erik.

Benjamin odwija papier z wielkiego hamburgera, kiedy dzwoni komórka Erika. Na wyświetlaczu pokazuje się numer Joony.

– Wesołych świąt, Joona – mówi.

– Erik – odzywa się Joona po drugiej stronie. – Jesteście już z powrotem w Sztokholmie?

– Właściwie to jemy świąteczną kolację.
– Pamiętasz, jak powiedziałem, że znajdziemy twojego syna?
– Tak, pamiętam.
– Kilka razy zwątpiłeś, kiedy...
– Tak.
– Ale ja wiedziałem, że się uda – ciągnie Jooną ze swym poważnym fińskim zaśpiewem w głosie.

– Ja nie.

– Wiem, zauważyłem – mówi komisarz. – Dlatego jest jedna rzecz, którą muszę ci powiedzieć.

– Tak?

– A nie mówiłem?

– Że co?

– Miałem rację, prawda?

– Miałeś – odpowiada Erik.

– Wesołych świąt – kończy Jooną i rozłącza się.

Erik zdziwiony wpatruje się w przestrzeń, a potem kieruje wzrok na Simone. Patrzy na jej przezroczystą skórę i szerokie usta. Niezliczone zmarszczki zmartwień zdążyły w ostatnim czasie wyryć się wokół oczu. Simone uśmiecha się do niego, potem idąc jej śladem, Erik spogląda na Benjaminą.

Długo przygląda się synowi. Gardło boli go od powstrzymanego płaczu. Benjamin siedzi z poważną miną i je frytki. Pochłonęła go jakaś myśl. Oczy patrzą pustym wzrokiem, wessały go wspomnienia i próżnia między nimi. Erik wyciąga zdrową rękę, ścisną palce syna i widzi, jak chłopiec podnosi wzrok.

– Wesołych świąt, tato – mówi Benjamin z uśmiechem. – Proszę, masz tu ode mnie trochę frytek.

– Może weźmiemy ze sobą jedzenie i pojedziemy do dziadka? – proponuje Erik.

– Mówisz serio? – pyta Simone.

– A czy fajnie jest leżeć w szpitalu?

Simone uśmiecha się do niego i dzwoni po taksówkę. Benjamin

podchodzi do sprzedawczyni i prosi o torbę, do której mogliby spakować jedzenie.

Kiedy taksówka powoli mija Odenplan, Erik widzi w oknie odbicie swojej rodziny, a jednocześnie olbrzymią, ubraną choinkę na placu. Jak w zabawie suną wokół niej w kółko. Stoi wysoka i rozłożysta, a na niej wiszą setki zapalonych lampek, wijących się w górę ku błyszczącej gwiazdzie.

PRZYPISY

- 1) Specjalna grupa powołana do rozwiązania sprawy zabójstwa szwedzkiego premiera Olofa Palmego w 1986 roku (wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki). ↵
- 2) Stopień w szwedzkiej policji otrzymywany na czas półrocznego stażu po szkole policyjnej. ↵
- 3) Najniższy stopień w szwedzkiej policji, otrzymywany po ukończeniu stażu. ↵
- 4) Gra słów: N. Ålén – Nålen, po szwedzku „igła”. ↵
- 5) Karolinska Institutet – jeden z największych w Europie uniwersytetów medycznych, mieszczący się w Solnie, dzielnicy Sztokholmu. ↵
- 6) Sieć sklepów monopolowych. ↵
- 7) „Gdy panna zachichocze, ja robię się czerwony; gdy jakiś facet się zaśmieje, rozwalilibym mu łeb. Mówię wam, życie nie jest łatwe dla chłopaka o imieniu Zuzia”. ↵
- 8) Berwaldhallen – hala koncertowa Szwedzkiego Radia w Sztokholmie. ↵
- 9) Individuell människohjälp – szwedzka organizacja humanitarna. ↵
- 10) Zarah Leander (1907–1981) – szwedzka aktorka i piosenkarka. ↵
- 11) Tre comp – lek przeciwbólowy zawierający kwas acetylosalicylowy, kodeinę i kofeinę. ↵
- 12) Jedna z metod badań DNA. ↵
- 13) Sophiahemmet – jeden z najstarszych prywatnych szpitali w Sztokholmie, założony w 1889, nazwany na cześć królowej Zofii. ↵
- 14) Tekniska Högskolan – Wyższa Szkoła Techniczna. ↵
- 15) Magazyn dla mężczyzn. ↵
- 16) Czasopismo muzyczne, które po przejęciu przez konkurencję zmieniło swój profil na magazyn dla mężczyzn i nazwę na „Slitz”. ↵
- 17) „Dagens Eko” (szwedz. Echo Dnia) – program informacyjny szwedzkiego radia. ↵
- 18) LunarStorm – szwedzki portal społecznościowy. ↵

19) IOGT (International Organisation of Good Templars, Międzynarodowa Organizacja Dobrych Templariuszy) – pozarządowe stowarzyszenie propagujące życie bez alkoholu i narkotyków. ↵

20) Majblomma („majowy kwiatek”) – znaczek w kształcie kwiatu, sprzedawany co roku w kwietniu przez dzieci w wieku 9–12 lat. Akcja ta, która ma na celu walkę z ubóstwem dzieci w Szwecji i zwrócenie na ten problem uwagi społeczeństwa, prowadzona jest od 1907 roku. ↵

21) Dramaten (Kungliga Dramatiska Teatern) – Królewski Teatr Dramatyczny w Sztokholmie. ↵

22) Filmhuset – budynek Szwedzkiego Instytutu Filmowego. ↵

23) Zeroósemki – slang: sztokholmczycy, czyli mający numer kierunkowy 08. ↵